



Nowa powieść autorki *Gorzkiej czekolady*

Pamiętne lato

Lesley Lokko

„Mądra, wyrafinowana książka z wielkim
bijącym sercem” *Tasmina Perry*

Świat Książki

Lasley Lokko

Pamiętne lato

Z angielskiego przełożyła
Małgorzata Żbikowska



Pamięci Charlesa

CZĘŚĆ PIERWSZA

Prolog

Mougins, Francja, czerwiec 1969

Głuchy szcęk metalu uderzającego w ziemię docierał do młodej kobiety jak przez mgłę. Ze splecionymi na piersi ramionami obserwowała, jak dwaj mężczyźni kopią w ziemi mały, wąski dół, zatrzymując się jedynie po to, by otrzeć pot z twarzy lub oznaczyć granice kopania. W balsamicznym powietrzu nocy zabrzmiało ciche pohukiwanie przelatującej sowy. Wiatr przyniósł woń drzew oliwnych i sosen z pobliskiej doliny. Ten zapach będzie jej towarzyszyć do końca życia.

Mężczyźni zakończyli pracę. Jeden z nich powiedział coś cicho do drugiego. Patrzyła, jak podają sobie ostrożnie małe zawiniątko w białym muślinie i kładą na dnie wykopanego dołu. Stłumiony jęk wyrwał się jej z gardła. Zagłuszył go cichy odgłos spadającej ziemi, gdy mężczyźni zaczęli zasypywać dół. Nie trwało to długo. Na koniec ukleпали i udeptali ziemię. Rano robotnicy zaczną układać na podjeździe nowe płyty chodnikowe. Za kilka dni nikt nie będzie wiedział, że pod spodem coś leży. Pogrzebane i zapomniane. Kobieta nigdy więcej nie zobaczy tych dwóch mężczyzn. Taka była umowa. Żaden z nich nie spojrzał na nią, gdy przechodzili obok. To też należało do umowy. Odwróciła się i patrzyła, jak wkładają łopaty do małej przybudówki na końcu podjazdu, po czym odchodzą. Odczekała kilka minut i wróciła niespiesznie do domu, zamykając za sobą drzwi. Szczekała zębami. Nalała sobie kieliszek brandy i poszła do salonu. Nie miała dość siły, by wejść na górę.

Zwinęła się w kłębek przed wygasłym kominkiem, gdzie spała przez ostatnie sześć nocy, ściskając w ręku kieliszek. Przestała się trząść dopiero po wypiciu prawie całej zawartości. Skupiła myśli na tym, co ją czeka w najbliższej przyszłości. Jutro, oprócz ułożenia nowego podjazdu, zdarzy się jeszcze coś, co położy kres koszmarowi, który zaczął się przed tygodniem. Wszystko wróci do normy. Będzie jak dawniej, jakby nic się nie zdarzyło. Dopija brandy, starając się w to uwierzyć. Nikt nie może się dowiedzieć. Gdyby prawda wyszła na jaw, byłaby skończona. Wszyscy byliby skończeni. Inne rozwiązanie nie wchodziło w grę. Tak musiało pozostać już na zawsze.

1

JOSH

Mougins, Francja, lipiec 1973

Ziemia pod stopami przyjemnie grzała, jak to bywa latem, na początku wakacji. W gorącym powietrzu roiło się od brzęczących owadów, a niebo było błękitne aż po horyzont. Czteroletni Josh Keeler maszerował ścieżką z determinacją wielkiego odkrywcy, z trudem hamując podniecenie. Poprzedzający go dwaj starsi bracia biegli w podskokach za ojcem, którego wysoka sylwetka emanowała spokojem i pewnością siebie. Na końcu szła ich matka Diana, ubrana w piękną kwiecistą sukienkę, z rodzaju tych noszonych jedynie podczas wakacji. Nuciała pod nosem, co nigdy jej się nie zdarzało w Londynie.

Różowe oleandry rosnące wzdłuż ścieżki prowadzącej do basenu uderzały Josha po twarzy, gdy podążał za ojcem i braćmi, starając się dotrzymać im kroku. Przepęniała go radość. W tym roku nauczył się pływać. Bracia już byli świetnymi pływakami, bo brali lekcje w szkole. O pięć lat młodszy Josh dopiero zaczynał. Nie miał lekko jako najmłodszy, Rafe i Aaron poświęcali mu tyle uwagi co psu Busterowi. Chciał im dorównać, chciał, by go polubili. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak go traktują.

*

Jedwabista woda w basenie była równie ciepła jak powietrze. Czuł delikatny nacisk dłoni ojca podtrzymującej go pod brodą i usiłował sobie przypomnieć, jak ma machać nogami, by utrzymać się na powierzchni. Rafe i Aaron pajacowali na drugim końcu basenu, przepychając się w wodzie i swobodnie nurkując. Upłynęła chwila, zanim będzie mógł tak robić – pomyślał Josh z rozpaczą, starając się nie opadać na dno. Kilka sekund później usłyszał krzyk Rafe'a. Poczuł, że traci kontakt z ojcem, gdy ten odwrócił się w stronę starszego syna i rzucił mu się na pomoc. Nagle zapadła cisza i czas jakby przyspieszył. Woda zalała Joshowi nos i usta. Gdy poczuł, że leci w dół, zaczął w panice machać rękoma. Wydobył się na powierzchnię, próbując się czegoś chwycić, ale złapał tylko haust powietrza. Otworzył oczy i zanim znów poszedł pod wodę, zobaczył Aarona patrzącego na niego ze spokojem. Nikt nie wyciągnął ręki, żeby mu pomóc. W wirującej głębi panowała cisza. Miał wrażenie, że za chwilę eksploduje, jeżeli nie odetchnie. Bał się otworzyć oczy. Poczuł w ustach smak chlorowanej wody, która dostała się przez nos. Łzy napłynęły mu do oczu i ogarnął go wstyd. Nie może się rozpłakać w obecności Aarona i Rafe'a. Po prostu nie może.

2

MADDY

Nowy Jork, wrzesień 1991

Tuż przed świtem wielki greyhound wolno wjechał na dworzec autobusowy. Wśród trzydziestu z górą pasażerów, których większość zbierała bagaże i szykowała się do wyjścia, była dziewczyna pogrążona w głębokim śnie. Leżała skulona na siedzeniu owinięta czarnym płaszczem, spod którego wyłaniała się burza potarganych rudych loków, opadających do połowy pleców. Siedząca obok niej kobieta, towarzysza podróży przez szesnaście godzin, znieruchomiała z ręką na torbie stojącej w schowku nad głową i popatrzyła na śpiącą z pobłażliwym uśmiechem.

– Obudź się, kochanie – powiedziała półgłosem, dotykając jej ramienia. – Jesteśmy na miejscu.

Dziewczyna otworzyła oczy. Przez krótką chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Zaskoczona rozejrzała się po ciemnym, widmowym wnętrzu autobusu. Pasażerowie wyjmowali walizki i torby ze schowków nad głowami, gdzieś z przodu płakało dziecko. Gdzie ona, u diabła, jest? Nagły ucisk w żołądku przywrócił ją do rzeczywistości. To Nowy Jork! W końcu dojechała. Wyprostowała się, nerwowo przeczesła palcami włosy i zebrała je w koński ogon. Poczowała wzbierającą w niej złość. Nie do wiary. Prawie przez całą drogę nie zmrużyła oka, czekając w napięciu na chwilę, gdy zobaczy Manhattan wyłaniający się z porannej mgły, i w końcu przespała ten moment. Wygramoliła się z siedzenia, złapała płaszcz i torbę, otrząsając się z resztek snu.

– Wiesz, gdzie masz teraz iść? – spytała z uśmiechem Shirley, pulchna kobieta świeżo po rozwodzie, która wsiadła we Franklinie, na następnym przystanku za Marshalltown. Miała niewiele ponad pięćdziesiąt lat i jechała do starszej córki mieszkającej w New Jersey. Udzieliła współpasażerze mnóstwa rad dotyczących Nowego Jorku, w większości zupełnie niezrozumiałych dla osiemnastoletniej Maddy Stiller, która dotychczas nie wyjeżdżała dalej niż do Chicago, i to tylko raz.

Maddy kiwnęła głową, mając nadzieję, że wygląda na pewniejszą siebie, niż się czuje.

– Ja... mam tu adres – odpowiedziała, klepiąc torbę. – Mama powiedziała, żebym wzięła taksówkę.

– Bardzo słusznie – stwierdziła kobieta. – Tak będzie najlepiej. Znajdziesz je po drugiej stronie ulicy. Podaj kierowcy adres i upewnij się, czy ma nalepkę NYC na szybie. Nigdy nie wiadomo – dodała złowieszczo. – Mam nadzieję, że sobie

poradzisz i że pewnego dnia zobaczą twoje nazwisko na afiszu. Uważaj na siebie, Maddy. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Dzi... dziękuję – mruknęła dziewczyna, rumieniąc się ze wstydu.

Patrzyła, jak tamta bierze walizkę i przeciska się przez tłum pasażerów. Poczuła się nagle strasznie samotna. Co prawda poznała Shirley dopiero w autobusie, ale była to jedyna osoba, z którą rozmawiała od wyjazdu z domu. Nie miała nic przeciwko temu, by przejechać te tysiąc sześćset kilometrów z Iowa do Nowego Jorku w zupełnym milczeniu, ale kobieta nie pozwoliła jej na to. Była wścibską gadułą, jak mówiła Martha, matka Maddy, z rodzaju tych, które się nie zamkną, dopóki nie wyciągną od ciebie wszystkich informacji. Nie była nieuprzejma, jedynie ciekawska. Zanim dojechały do Des Moines, ustaliła, że Maddy Stiller chodziła do liceum Meskawi w Marshalltown, była jedyną córką Franka i Marthy Stillerów i że jej ojciec zniknął w pewne niedzielne popołudnie, gdy dziewczynka miała czternaście lat. Wstał jak zwykle wcześniej, poszedł nakarmić krowy, po czym wrócił do kuchni i oznajmił, że jedzie do Des Moines. Dotarł otwartą białą furgonetką do drogi, skręcił w lewo zamiast w prawo i pojechał do Chicago. Następnie zostawił samochód na parkingu przy Międzynarodowym Porcie Lotniczym O’Hare z kartką na przedniej szybie, zawierającą instrukcję, by zawiadomić panią Marthę Stiller z Dewey Farm w hrabstwie Marshall, w stanie Iowa. Martha pojechała na parking z Ronem, ich najbliższym sąsiadem, nie odzywając się do niego przez całą drogę. Po kilku tygodniach przyszedł list do niej i kartka do Maddy. Z San Francisco. Dziewczyna przeczytała ją, po czym spaliła. Najwyraźniej w całą sprawę zaangażowany był jeszcze ktoś. „Biedna Martha” – mówili ludzie, ale nikt nigdy nie powiedział: „biedna Maddy”. „Och, wiemy o wszystkim, kochanie. Twoja biedna matka. Tak to już jest. Nigdy nie wiadomo, co w ludziach siedzi, prawda?” Maddy popatrzyła na swoje dłonie. Kiedy ludzie poruszali temat zniknięcia ojca, co zwykle robili, usłyszawszy jej nazwisko, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Podczas długiej jazdy autostradą międzystanową numer 88 wyznała Shirley, że otrzymała czteroletnie stypendium w szkole aktorskiej i że z wyjątkiem szkolnej wycieczki do Chicago nie wyjeżdżała dotąd poza granice Iowy.

– Ojej – westchnęła z podziwem Shirley. – Musisz być bardzo utalentowana.

Maddy poczuła ucisk w żołądku. Utalentowana? Nie, nie była utalentowana. Po prostu chciała się wyrwać z Iowy i tyle. Wciąż nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Trzy miesiące temu wysłała zgłoszenie do Tisch i proszę. To było jak sen.

– Czy to pani? – usłyszała opryskliwy głos kierowcy. Wskazał na dwie zniszczone walizki stojące w luku bagażowym.

– Tak – odpowiedziała, kiwając pospiesznie głową.

– Proszę. – Pchnął je bezceremonialnie w stronę pasażerki. – Nie zamierzam tu sterczeć cały dzień – dodał, po czym zamknął klapę bagażnika. – Czas ruszać w drogę. – Klepnął bok autobusu i odszedł.

Maddy chwyciła walizki i odciągnęła je na bok. Stała na brzegu chodnika,

przyciskając torebkę do piersi i czując, jak żołądek ściska jej się ze strachu. Rozejrzała się wokół siebie, szukając wskazówki, która podpowiedziała by, dokąd ma iść i co robić. Ze stacji metra po drugiej stronie ulicy wylewał się tłum ludzi. Wokół był ogłuszający hałas. Dochodziła siódma rano, a miasto tętniło już życiem. Ludzie wchodzili do wąskiego otworu w ziemi, milczący i obojętni, i wychodzili z niego, nie patrząc na siebie. Spieszyli się, zlewając się w splątana, ruchomą masę, z której wyłaniały się co chwila jakieś detale – jarmułka, długa biała szata, czarna jak smoła twarz chłopaka w odwróconej baseballówce, który przystanął, by sięgnąć po bajgła owiniętego w papier, dwie kobiety w czarnych namiotach ze szczelinami na oczy i plecionymi koszykami na zakupy wystającymi spod czarnego materiału – wszystko to było dla niej obce i dziwne. Stała jak przymurowana, zbyt oszołomiona, by się ruszyć. Przypomniała sobie matkę machającą jej na pożegnanie, gdy wielki greyhound zniknął za zakrętem. Poczowała wówczas łzy zbierające się pod powiekami i ucisk w gardle. Odwróciła się, by pomachać matce, ale Martha zniknęła już z pola widzenia. Żołądek znowu podszedł Maddy do gardła. Musi złapać taksówkę, dostać się do akademika i zatelefonować do matki. I znaleźć łazienkę. W brzuchu, reagującym na stan jej nerwów, zaczynała się rewolucja.

Ulicą sunął nieprzerwany strumień taksówek. Usiłowała przypomnieć sobie, co Shirley jej mówiła – czy powinna wybrać taką z żółtym światłem po lewej, czy z białym pośrodku? Wszystko jej się pomyliło. Ruszyła wzdłuż chodnika z walizkami objadającymi się o nogi i biodra, by stanąć w jakiejś kolejce. Kilka razy ktoś przed nią wyciągał rękę i biegł do taksówki, którą sobie uprzednio upatrzyła. Wyglądało na to, że żadna kolejność nie obowiązuje. Spróbowała machać jak inni, ale za każdym razem, gdy podjeżdżała taksówka, ktoś był od niej szybszy. Nikt nie zwracał uwagi na szczupłą, młodą, rudowłosą dziewczynę z żalnym wyrazem twarzy wskazującym na kiepski stan jej nerwów. Była bliska płaczu, gdy po raz dziesiąty lub jedenasty ktoś ją ubiegł. Czy ci ludzie nie umieją się zachować? Dostrzegła pędzącą w jej stronę taksówkę. Rozejrzała się na boki. Może tym razem się uda. Zamachała energicznie ręką. Taksówka zmierzała w jej kierunku. Maddy zeszła z chodnika, żeby nikt jej nie uprzedził, zaciskając dłonie na walizkach. Usłyszała pisk hamulców, poczuła podmuch zimnego powietrza i czyjś krzyk. Uderzyła czołem w krawężnik, gdy zaczepiła kolaniem o jedną z walizek. Leżała oniemiała, słuchając, jak cichnie szum samochodów i gwar rozmów, ustępując miejsca podniesionym głosom.

– Co ona, u diabła, wyprawia?

– Co się stało? Czy ja coś zrobiłem? Uderzyłem ją?

– Jezu!

Usiłowała się podnieść, czując, jak mokre od łez policzki płoną jej ze wstydu. Wszystko przez tę przeklętą walizkę.

– Nic się pani nie stało? – spytał ktoś, pochylając się nad nią.

Młody mężczyzna ukląkł i spojrzał jej w oczy. Pomógł Maddy usiąść, obejrzał rozcięcie, po czym wyciągnął czystką chustkę do nosa i przycisnął do jej czoła.

– Zraniła się pani w głowę. Ale to nic takiego, tylko otarcie. Kiedy wróci pani do domu, proszę splukać je obficie zimną wodą. Dzięki temu rozcięcie szybciej się zagoi. – Miał miły głos. Zamknęła oczy, gdy nieznajomy przyłożył jej rękę do czoła.

– Proszę się nie martwić, wkrótce przestanie krwawić.

– Kochanie, nic jej nie będzie. Spóźnimy się – rozległ się zniecierpliwiony głos młodej kobiety.

– Chwileczkę. Przecież ona krwawi.

– To nic takiego, tylko otarcie. Przyklej jej plaster. – Kobieta popatrzyła na oszołomioną Maddy. – Spóźnimy się na pierwszy akt – dodała płaczliwym tonem.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku pochylił się nad dziewczyną i wspólnie z młodym człowiekiem pomógł jej wstać.

– Niech ktoś sprowadzi jej taksówkę – warknął do gromadzącego się tłumku gapiów.

Chwilę później podjechała taksówka. Wskoczył z niej kierowca, chwycił walizki, jakby nic nie ważyły, a Maddy usadowiono na tylnym siedzeniu. Przyciskając chustkę do czoła, odchyliła się na plastikowe oparcie, wyciągając rękę z kartką papieru i zapisanym na niej adresem Gramercy House – akademika dla studentów pierwszego roku. Z całych sił starała się nie rozplakać. Taksówka ruszyła spod krawężnika i płynnie włączyła się do ruchu. Maddy uniosła dłoń do twarzy, dyskretnie ocierając wilgoć z policzków. Nie tak wyobrażała sobie swój przyjazd.

NIELA

Hargeisa, październik 1991

Piętnaście lat minęło od wyjazdu Adenów z Hargeisy. Teraz do niej wracali, ale nie jako zamożni ludzie – żalił się Hassan Aden każdemu, kto chciał słuchać – lecz jako uchodźcy, wyrzuceni ze swoich domów przez wojnę, której się nie spodziewali i nic o niej nie wiedzieli. Uchodźcy! – prychnął pogardliwie. Mieli tylko to, co zdołali pomieścić w walizkach, oraz kilka przedmiotów chwyconych w pośpiechu podczas ucieczki z domu. Nawet otwarta furgonetka, która przywiozła ich do Hargeisy, nie należała do nich. W Mogadiszu mieli trzy samochody, w tym nowego mercedesa, którego zmuszeni byli sprzedać za bezcen. Za bezcen! W podniesionym głosie Hassana brzmiały uraza i ból. Siedząca obok niego żona, cała w czerni, jedynie z otworem na oczy, nie odezwała się słowem. Na tylnym siedzeniu, zmęczeni, zirytowani i przerażeni, jechali ściśnięci dziewiętnastoletnia Niela Aden i jej dwaj młodsi bracia.

Furgonetka pięła się z trudem na szczyt stromego urwiska, pokonując niezliczone zakręty. Wreszcie za którymś z nich pojawiły się pierwsze budynki przedmieścia – niskie, białe domy bez okien. Gdy jechali opustoszałymi ulicami w stronę centrum, nawet Hassan się nie odzywał. Droga usiana była wyrwami po pociskach, które kierowca usiłował omijać. Wszystkie domy nosiły ślady niedawnych walk. Nawet uliczne lampy uległy zniszczeniu. Resztki oświetlenia wisiały na wygiętym, chwiejącym się ramieniu latarni. Niela z trudem przełknęła ślinę. Nie pamiętała Hargeisy, ale z pewnością nie było to miasto z gajami cytrusowymi i cichymi, spokojnymi ulicami, o którym z taką nostalgią opowiadali rodzice. Tu było jeszcze gorzej niż w Mogadiszu. Hassan dawał kierowcy wskazówki niskim, niepewnym głosem. Skręcali w lewo i w prawo, w poznaczone dziurami ulice, aż w końcu zatrzymali się przed żółtym murem ze śladami kul.

– Zaczekajcie tutaj – polecił.

Niela patrzyła, jak ojciec podchodzi do bramy z kutego żelaza i stuka w nią energicznie. Gdzieś z głębi dobiegło ostrzegawcze szczekanie psa. Po kilku chwilach w bramie otworzyły się małe drzwiczki.

– *Salaam alaikum* – powiedział Hassan. – Czy Mohammed Osman jest w domu?

Nastąpiła szybka wymiana zdań, po czym brama stanęła otworem. Matka, która milczała przez całą podróż, zaczęła nagle płakać.

Woda płynęła cienkim strumykiem, ale Nieli to wystarczało. Stała pod

prysznicem, a życiodajny płyn spływał po gęstych kręconych włosach, łopatkach i łydkach. Odchyliła głowę, pozwalając, by obmył jej twarz. Trzy dni nie brała prysznicza. Niewiarygodne. W domu myła się trzy, cztery razy dziennie. Kiedy uciekali na północ, matka pokazała jej, jak szybko umyć się na poboczu drogi, mając do dyspozycji jedynie flanelową szmatkę i małą butelkę wody do picia: pod pachami, pod piersiami i między nogami. Matka bez wstydu kuciała przy drodze, unosząc czarną burkę, a dziewczyna nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Nigdy dotąd nie widziała jej w takiej sytuacji. Ale nie było innego wyjścia. Ściągała dzinsy i kuciała jak matka.

Teraz wycisnęła z włosów ostatnie krople wody i wyszła spod prysznicza. Zebrała włosy w koński ogon, strzepnęła kurz z dzinsów i włożyła jedyny czysty T-shirt. Ciekawe, gdzie się wszyscy podziewają – pomyślała. Ojca z braćmi zaprowadzono do pokoju po drugiej stronie podwórza, a ona z matką poszły za młodą służącą, która kręciła w milczeniu głową, gdy ją o coś pytano. Niela otworzyła ostrożnie drzwi. Dom urządzono wokół wewnętrznego dziedzińca. Pośrodku stała dawno nieczynna fontanna ozdobiona pięknymi niebiesko-zielonymi płytkami. Rosło tu drzewo pomarańczy. Dostrzegła też kilka glinianych donic, w których kiedyś hodowano rośliny. W jednej z nich walczył o życie cienki zielony pęd wśród brązowych, gnijących liści. Zadrżała mimowolnie. Hargeisa umierała tak jak Mogadysu.

Dziewczyna odwróciła się i poszła zewnętrznym korytarzem do kuchni w nadziei, że znajdzie tam matkę. Nagle usłyszała ciche głosy dobiegające z jednego z pokoi. Przystanąła. Rozpoznała głos ojca, który z kimś dyskutował. Zapewne z Mohammedem Osmanem. Rozejrzawszy się uprzednio, podeszła bliżej.

– Wywieź ich stąd, Hassanie – usłyszała. – Masz przecież rodzinę za granicą.

– Czemu miałbym wyjeżdżać? To jest mój kraj. – W głosie ojca brzmiał gniew.

– Już nie, Hassanie. Przejęli wszystko. Nie masz wyboru. Myślisz, że tkwiłbym tutaj, gdybym miał wybór? Też bym stąd wyjechał.

– Ale dokąd mielibyśmy pojechać?

– Jedź do brata. Wyrwij się stąd. Jedź do Europy, do Ameryki, gdziekolwiek.

Mówię ci, Hassanie, tu nie ma przyszłości.

– Niela!

Drgnęła gwałtownie. W drzwiach jednego z pokoi stała matka. Skupiona na podsłuchanej rozmowie dziewczyna nie usłyszała jej kroków.

– Natychmiast stamtąd odejść!

Niela wycofała się na palcach. Serce waliło jej jak szalone. Mają wyjechać? Ale dokąd? Nie wyobrażała sobie, by rodzice, a zwłaszcza ojciec, mogli opuścić Somalię. Byli już wcześniej za granicą – kilka razy u stryja Raageha w Wiedniu i raz we Francji, gdzie szlifowała francuski, codziennie jadła lody zamiast lunchu i zadurzyła się w synu sąsiada – ale spędzali tam tylko wakacje. Po trzech lub czterech tygodniach wsiedli do samolotu i wrócili do Mogadysu, gdzie czekał mercedes z szoferem i duży, wygodny dom na przedmieściach. Ona zaś

kontynuowała naukę w szkole międzynarodowej, gdzie jej najlepszymi przyjaciółkami były Niemka, Amerykanka i Senegalka, córki dyplomatów i bogatych biznesmenów, jak jej ojciec. Wymieniały się liścikami i pocztówkami z miejsc, które odwiedziły. Przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby tu nie wrócić. Tymczasem okazało się to bardzo realne. Uzbrojeni bandyci wałęsający się po przedmieściach nie dbali o to, że Hassan Aden przez całe życie ciężko pracował, by zapewnić dzieciom wykształcenie i wygodny dom. Zabrali samochody, zajęli dom i siedem aptek otwartych przez ojca w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nic nie zostało. Nawet szyldy zniknęły. Hassan przybiegł pewnego popołudnia z gotówką, którą zdołał zebrać do małej skórzanej walizeczki, i kazał im się pakować. Uciekli jedynie z tym, co zdołali unieść.

– Czy nie kazałam ci zostać w pokoju? – syknęła matka.

– Ale...

– Nie ma żadnych ale. Tu jest niebezpiecznie.

– *Uma*, przecież jesteśmy w domu...

– Pomóż mi przygotować posiłek. Ojciec i bracia pewnie są głodni.

Ja też jestem głodna – chciała powiedzieć Niela, ale nie ośmieliła się. Poszła za matką przez małą furtkę do kuchni. Wspólnie zajęły się przygotowaniem prostego posiłku złożonego z ryżu i fasoli. Pomagała im ta sama służąca, która zaprowadziła je do ich pokoju. Nie pojawiła się żadna z żon Mohammeda Osmana. *Inszallah* – odpowiadała matka, gdy Niela zadawała pytania. Taka jest wola Boga. Szkoda, że nie mam w sobie choć części tej wiary – myślała, płuczac ryż pod kranem. Odkąd na Mogadiszu zaczęły spadać bomby, poważnie zwątpiła w Jego dobre intencje.

JULIA

Oksford, październik 1991

– Burrows? Przez „w” czy przez „gh”?

Julia popatrzyła w osłupieniu na portiera. Czuła, jak zaczyna wzbierać w niej wściekłość.

– Słucham?

– Jak się pisze pani nazwisko. – Pióro zawisło nad listą. – Tak jak William S^u. czy jak mieszkanie kreta²?

– B-U-R-R-O-W-S – przeliterowała szybko.

– Szkoła? – spytał, wydymając wargi z lekką ironią.

– Szkoła? – Spojrzała na niego zdezorientowana. Przecież szkołę skończyła dobre cztery lata temu. O co mu, u diabła, chodzi?

– Do jakiej szkoły pani chodziła?

– A co to ma do rzeczy?

Zmierzył ją wzrokiem, oceniając akcent, płaszcz, buty i oczywiście tę najważniejszą informację dotyczącą szkoły.

– Na liście przy nazwisku wpisujemy nazwę szkoły. To stara oksfordzka tradycja.

I tak będzie zawsze – mówiły jego oczy – bez względu na to, jakich studentów się teraz przyjmuje.

– Kenton.

– A gdzie jest Kenton?

Poczuła, że się czerwieni. Za plecami usłyszała cichy chichot.

– W Newcastle – mruknęła.

– Aha. – W jego głosie było tyle snobizmu i pogardy, ile zdołało się zmieścić w tym krótkim słowie. – Pokój numer jedenaście. Schodami na górę i w prawo. Następny, proszę. A, pan Fothergill-Greaves. Czekaliśmy na pana... Eton, prawda? Doskonale...

Julia jak niepyszna wzięła walizki i odwróciła się z wypiekami na twarzy. Dwaj młodzieńcy stojący za nią w kolejce zmierzili ją od stóp do głowy. Ich spojrzenia były aż nadto wymowne. Kogo oni, u diabła, dziś przyjmują? – zdawały się mówić. Nie chcąc pokazać, jak bardzo ją to dotknęło, uniosła dumnie brodę i przeszła obok, zagryzając mocno wargę, by nie rzucić się na nich z pazurami. Trzy lata spędzone na uniwersytecie w Nottingham nauczyły ją jednego: gdy czujesz się upokorzona, nic nie mów. Wniosła walizkę na górę po schodach, skręciła w prawo zgodnie z instrukcją i przeszła korytarzem do pokoju numer 11. Jak tylko otworzyła drzwi,

zapomniała o portierze i snobistycznych spojrzeniach dwóch młodzieńców. Stała w drzwiach, bojąc się wejść do środka. Miała nadzieję, że zamieszka w takim właśnie pokoju – małym, przytulnym, uroczym; dokładnie tak sobie wymarzyła. Za oknem rosła jabłoń, ciągle jeszcze obsypana owocami. Julia postawiła walizkę na podłodze i weszła z wahaniem do środka. Była w Oksfordzie. Dopięła swego. Pokonała dwunastu innych chętnych, zdobywając miejsce na prestiżowym rocznym studium podyplomowym prawa cywilnego. Był to początek trimestru jesiennego. Czekają ją dziewięć tygodni wykładów i seminariów, a potem powrót do domku w Elswick, który dostała w spadku po babci. Otworzyła okno i wychyliła się, wdychając zapachy jesiennych kwiatów i świeżo skoszonej trawy. W wąskiej uliczce tłoczyły się samochody przywożące studentów. Poczowała ucisk w gardle i przyłożyła palce do oczu. Żadnych łez – upomniała siebie w duchu. A na pewno nie pierwszej spędzonej tu nocy. Trudno było nie płakać. Wyobraziła sobie rumiane policzki ojca, które ciemnieją z dumy. Wszystko by oddał, żeby zobaczyć ją w Oksfordzie. A ona wszystko by oddała, by znowu zobaczyć rodziców. Zamknęła okno i odwróciła się. Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta trzydzieści. Wieczorem miała odbyć się kolacja powitalna dla studentów studiów magisterskich. Czas rozpakować rzeczy, wziąć prysznic i przygotować się na tę galę. Wyglądało na to, że znalezienie własnego miejsca w college’u Balliol będzie trudniejsze, niż sądziła.

*

Niecałe pół godziny zajęło jej powieszenie ubrań, ustawienie książek na półce i zastąpienie uniwersyteckiej kołdry własną, zszywaną z kawałków materiału i wypełnioną puchem, która służyła jej od trzynastego roku życia. Zamknęła szafę i sięgnęła po ostatnią rzecz leżącą na łóżku – fotografię rodziców. Wpatrywała się w nią przez chwilę. Od siedmiu lat stała na szafce przy łóżku. Przywykła do niej jak do mebli, na które spoglądała codziennie, nie zauważając ich. Przesunęła palcem wzdłuż ozdobnej ramki. Mike i Sheila Burrowsowie. Ojciec obejmował matkę ramieniem, patrzyli w obiektyw, uśmiechając się figlarnie. Zdjęcie zrobiła babcia pewnego popołudnia, gdy rodzice wrócili z niedzielnego spaceru nad rzeką. Pamiętała ten dzień, jakby to było zaledwie wczoraj. Ojciec kupił jej aparat na czternaste urodziny, gdy zapisała się z Annie do klubu fotograficznego. To przyjaciółka wpadła na ten pomysł, bo zadurzyła się w chłopaku, który należał do tego samego klubu. Julia już zapomniała, jak miał na imię. Poszła tam raczej dla towarzystwa, ale potem spodobało jej się robienie zdjęć. Ojciec, który zawsze szukał dla niej różnych hobby poszerzających wiedzę, kupił córce aparat. Ojciec. Włosy koloru piasku, niebieskie oczy, surowa twarz o mocnych rysach. Nie znalazła w niej nic, co zapowiadałoby przyszłą tragedię, która miała się zdarzyć dwa lata później. Odstawiła fotografię na stolik, czując, jak drżą jej ręce. Nie czas teraz o tym myśleć. Musi się skupić na czekającym ją wieczorze. Trzeba wziąć prysznic, umyć włosy.

Ściągnęła bluzkę i džinsy, zrzuciła buty jeden po drugim, zdjęła szlafrok zawieszony na drzwiach i założywszy go, wyrzała na korytarz. Pusty. Ruszyła do łazienki, zastanawiając się, gdzie są wszyscy. W Holywell Manor panowała cisza. Dziewczyna ponownie spojrzała na zegarek. Piętnaście po siódmej. Kolacja jest o ósmej. Miała piętnaście minut na przebranie się w sukienkę, którą kupiła specjalnie na tę okazję, ułożenie kasztanowych włosów i zrobienie delikatnego makijażu. Nie malowała się mocno, tylko rzęsy i trochę szminki na usta – to były granice, których nie przekraczała przez całe dorosłe życie. Nigdy nie przywiązywała wagi do wyglądu. A po tym, co się stało z rodzicami, uznała te sprawy za głupie, nieistotne, a nawet niestosowne. Zadrzała. Przestań, natychmiast przestań, zanim będzie za późno – upomniała siebie.

Piętnaście minut później, już spokojna i opanowana, otworzyła szafę i przejrzała się w wewnętrznym lustrze. Wygładziła sztywny materiał sukienki. Wyglądam jak beza – pomyślała. Jasnożółta suknia wydawała się wprost idealna, gdy zobaczyła ją na wystawie sklepu. Teraz Julia uznała, że kreacja ma zbyt dużo ozdób. Zagryzła dolną wargę. Chrzącić to – pomyślała, przeczesując szczotką włosy. Nie ma czasu na zmianę stroju, zresztą i tak nie miałyby się w co przebrać. Albo żółta beza, albo nici z kolacji. Wsunęła stopy w nowe białe pantofle i sięgnęła po torebkę. Zeszła po schodach i pchnęła frontowe drzwi, zastanawiając się, gdzie są wszyscy. To doprawdy dziwne. Z wyjątkiem chińskiego studenta, który zmierzył ją obojętnym spojrzeniem, nie spotkała po drodze nikogo. Idąc Broad Street, zauważyła, że cały Oksford jakby opustoszał.

Zatrzymała się przed drewnianymi drzwiami prowadzącymi do college'u Balliol, pchnęła je i przeszła przez łukowo sklepioną bramę, wstrzymując oddech. Była to jej trzecia wizyta w college'u, ale za każdym razem, gdy patrzyła na te złociste budynki i nieskazitelne trawniki, dreszcz podniecenia przebiegał jej po plecach. Siedzący w portierni mężczyzna na jej widok uniósł wzrok.

– Słucham panią – odezwał się energicznym głosem.

– Ja na kolację powitalną – odparła, zastanawiając się, dlaczego on zerka na zegarek.

– Na kolację? Zaczęła się pół godziny temu – oznajmił. – Spóźniła się pani.

– Pół godziny temu? – Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. – Myślałam, że o ósmej. Tak napisali w prospekcie...

Portier pokręcił głową.

– Kolacje zawsze zaczynają się o wpół do ósmej. Może pani wejść tylnymi drzwiami. To te w północnym skrzydle.

Wskazał budynek po drugiej stronie dziedzińca. Miała ochotę odwrócić się i uciec do Holywell, ale mężczyzna patrzył na nią wyczekująco. Nie może stchórzyć. Nie pierwszego wieczoru. To nie wchodzi w grę. Musi tam iść.

– Dziękuję – mruknęła.

Ruszyła z dumnie podniesioną głową, chociaż pantofle ją uwierały, a w żołądku zacisnął się węzeł ze zdenerwowania. Zajrzała przez małe okno w drzwiach. Kolacja rzeczywiście trwała w najlepsze. Ogromna sala była wypełniona po brzegi studentami w czarnych eleganckich garniturach i długich czarnych sukniach, oszałamiających w swojej prostocie. Ani jednej żółtej z falbankami. Zatem kniła nagle do przyjaznej atmosfery uniwersytetu w Nottingham. Wśród jej przyjaciół tylko ona jedna zdecydowała się na studia podyplomowe, w dodatku w Oksfordzie. W Nottingham wszyscy ją znali, wszędzie spotykała przyjazne twarze. Tutaj była obca, a co gorsza, nikt nie spieszył się do nawiązania z nią znajomości. Na podwyższeniu w końcu sali siedzieli członkowie kolegium zarządzającego i dziekani, wszyscy w długich czarnych i purpurowych togach. Ktoś właśnie przemawiał. Serce jej zamarło. Nacisnęła klamkę z nadzieją, że wsunie się niepostrzeżenie, ale drzwi nie puszczały. Spróbowała ponownie. Może są zamknięte. Gdy pchnęła je trzeci raz, głośno skrzypnęły i ustąpiły. Nadzieje na ciche wejście się rozwiały. Setki głów zwróciły się w jej stronę. Czerwona ze wstydu, z sercem bijącym tak głośno, że pewnie wszyscy je słyszeli, pospiesznie zamknęła drzwi i usiadła na najbliższej ławce. Mówca, który przerwał swoje wystąpienie, gdy weszła na salę, podjął wątek. Powiodła wzrokiem wzdłuż stołu i napotkała wzrok kogoś, kto wydał jej się znajomy. Był to młodzieniec, który stał za nią w kolejce, gdy dziś po południu meldowała się w Holywell. Na jego twarzy malowała się wówczas pogarda. Teraz dołączyło się jeszcze rozbawienie i niedowierzanie. Młody mężczyzna odwrócił się i szepnął coś do sąsiada. Obaj popatrzyli na nią i zachichotali. Najwyraźniej dała plamę. Spojrzała na swój talerz. Straciła apetyt, nie tylko na kolację.

Godzinę później pompatyczna, nudna uroczystość dobiegła końca. Julia nie zamieniła z nikim ani jednego zdania z wyjątkiem pytania, gdzie jest toaleta. Wraciała samotnie Broad Street, utykając lekko z powodu pęcherza, który zrobił się natychmiast po założeniu nowych pantofli. Skręciła w lewo w Parks Road i w połowie drogi zorientowała się, że chyba pomyliła drogę. Przystanąła na rogu Parks Road i Museum Road. Którędy teraz? Usiłowała sobie przypomnieć, jak tu przyszła. W lewo czy w prawo? W końcu skręciła w lewo w Museum Road, potem w prawo w Blackhall Road i nagle znalazła się w ślepej uliczce. Zawróciła, skręciła w lewo w Keble Road i zatrzymała się. Teraz już naprawdę się zgubiła. Pantofle straszliwie ją uwierały. Gdzie, u diabła, jest Holywell Manor? Postanowiła wrócić tam, skąd przyszła, i pokuśtykała w stronę świateł na skrzyżowaniu.

– Zgubiłaś się? – dobiegł ją rozbawiony głos z wnętrza samochodu, który zatrzymał się obok.

Uniosła wzrok. Chryste, to niemożliwe. Znowu on? Sięgnęła ręką do włosów gestem nieśmiałej dziewczynki, którego tak nienawidziła u innych.

– Nie, ja... ja tak sobie spaceruję – rzuciła nonszalancko.

– Jasne. Skręć w prawo przy końcu ulicy. Tam jest drogowskaz. Będzie ci łatwiej, jeżeli zaczniesz zwracać na nie uwagę.

Zaśmiali się razem z siedzącym obok kolegą, po czym odjechali bez słowa.

Popatrzyła za nimi, zaciskając pięści. Pokuśtykała do końca ulicy i spojrzała na drogowskaz. Holywell Manor. Strzałka nakazywała iść prosto. Jak, do cholery, mogła ją przeoczyć? Poszła St Cross Street, czując, że płoną jej policzki, a w gardle zbierają się łzy.

^[1] William S. Burroughs (1914–1997) – pisarz i poeta amerykański, legendarny bitnik, popularny w środowisku hippisów i obyczajowych rebeliantów lat sześćdziesiątych XX wieku (ten i kolejne przypisy pochodzą od tłum.).

^[2] *Burrow* (ang.) – nora, jama.

MADDY

Nowy Jork, wrzesień 1991

Gdy Maddy wysiadła z taksówki przed Gramercy Hall, nowojorskim akademikiem dla pierwszoroczników, i rozejrzała się nerwowo na boki, jej głowa wciąż pulsowała bólem z rozciętego czoła, a na kolanie pojawiał się wielki siniak. Washington Square było zapchane samochodami i taksówkami, które przywoziły studentów takich jak ona. Taksówkarz pomógł jej z walizkami i wkrótce otrzymała numer pokoju, klucz i kartę – jak powiedział opiekun akademika, cenniejszą niż życie. Bez niej nie będzie mogła uczęszczać na zajęcia, wypożyczać książek, jeść, spać ani studiować.

– Proszę jej nie zgubić – upomniał, machając nią przed nosem dziewczyny. – A w ogóle co się pani stało? – spytał, patrząc spode łba na jej czoło.

– Ja... eee... potknęłam się – mruknęła niewyraźnie, biorąc od niego kartę. – To nic takiego... tylko zadrapanie.

– Skoro pani tak mówi... Pokój na piątym piętrze. Windy są tam. Następny, proszę.

Maddy wycofała się pospiesznie. Poszła z walizkami w stronę wind i czekała wraz z innymi studentami, którzy podobnie jak ona starali się na nikogo nie patrzeć. Wysiadła na piątym piętrze i przeszła korytarzem wzdłuż identycznie wyglądających drzwi do pokoju numer 517. W liście przysłanym przez biuro zakwaterowania poinformowano ją, że pokój będzie dzielić z inną studentką pierwszego roku, Sandrą Zimmerman. Maddy zastanawiała się, jaka będzie jej współlokatorka i czy już przyjechała. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Przy oknie stała dziewczyna – wysoka, ciemnowłosa, w eleganckim czarnym płaszczu z futrzanym kołnierzem. Odwróciła się, a Maddy poczuła ukłucie w sercu. Miała przed sobą nie tylko piękną, ale niezwykle elegancką młodą kobietę. Ona sama, w tym swoim praktycznym wełnianym płaszczu, wyglądała pewnie jak przysłowiowa prowincjuszka. Przełknęła nerwowo ślinę.

– Cześć – wydusiła z trudem, starając się panować nad głosem. – Ty... ty pewnie jesteś Sandra.

– Tak, ale wszyscy mówią do mnie Sandy. A ty pewnie jesteś Madison.

– Tak, ale wszyscy mówią do mnie Maddy.

Popatrzyły na siebie nieufnie.

– Co ci się stało w czoło? – spytała w końcu panna Zimmerman.

– Ja... potknęłam się. O walizkę – wyjąkała Maddy, czerwieniąc się.

Sandy uniosła kształtną brew.

– Nic dziwnego. Skąd je wzięłaś? – spytała, patrząc wymownie na dwie wielkie, rozpadające się walizy.

Twarz Maddy jeszcze bardziej poczerwieniała.

– One... one należały do mojej mamy.

Spojrzała na dwie eleganckie, czarne walizki stojące pod oknem. Ona i Sandy Zimmerman należały do zupełnie innych światów.

– Schodzę na dół po butelkę wina – oznajmiła jej współlokatorka, kierując się ku drzwiom. – To nasz pierwszy wspólny wieczór, więc możemy się urządzić. Jakie wolisz, czerwone czy białe?

Maddy gapiła się na nią bez słowa. Wino? Nie pamiętała, kiedy ostatni raz piła wino.

– Wszystko jedno – odpowiedziała, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. – Czy... czy chciałabyś, żebym... Ile?

– Ile? – powtórzyła Sandy, marszcząc brwi.

Maddy poczuła węzeł zaciskający się w żołądku.

– Ja... Chcesz, żebym partycypowała w kosztach?

Była to jedna z rad, które dała jej matka. „Zawsze płać za siebie. Możesz nie być bogata, ale bądź wspaniałomyślna, pamiętaj o tym”.

– To tylko butelka wina – odparła Sandy, kręcąc głową. – Nie ma o czym mówić. Poza tym to tata płaci. – Machnęła kartą kredytową i znikła za drzwiami.

Maddy usiadła na brzegu łóżka oszołomiona. Poczuli się nagle bardzo samotna. Była w Nowym Jorku zaledwie od czterech godzin, a zdążyła już upaść, zranić się i znaleźć nowy dom. Teraz zaś stanęła twarzą w twarz z nową współlokatorką, postacią nie z tego świata, kompletnie różną od znanych jej osób. To przekraczało jej siły. Wstała, objęła się ciasno ramionami i pchnęła drzwi do łazienki. Zatrzymała się w progu, oszołomiona bielą kafelków i zapachem dezodorantów, po czym weszła do środka, zamknęła drzwi, oparła się o nie i zacisnęła powieki. Brakowało jej matki, farmy, krów i widoku z okna swego pokoju. Dosłownie wszystkiego. Otworzyła oczy i popatrzyła na stojącą w rogu muszlę klozetową – błyszczącą, białą, solidną i czystą. Podeszła i uklękła przy niej. Chwilę głęboko oddychała, po czym płynnym, wprawnym ruchem założyła włosy za uszy, pochyliła się i wsunęła palce do gardła.

Pięć minut później było po wszystkim. Wyprostowała się, czując ogromną ulgę, która sprawiła, że skołatane nerwy natychmiast się uspokoiły, przywracając jej wewnętrzny ład. Z oczu ciekły jej łzy, ale umysł miała jasny i czysty. Wstała i podeszła do umywalki. Wypluła usta i obmyła twarz, krzywiąc się, gdy dotknęła palcami rozcięcia. To rzeczywiście było drobne skaleczenie – skorupka zakrzepłej krwi, mały siniak, nic strasznego. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, zaskakująco blademu w ostrym świetle łazienki. Spróbowała sobie wyobrazić, jak

inni ją widzą. Lekko piegowata alabastrowa karnacja, wydatne, pełne usta, brązowe, zbyt szeroko rozstawione oczy. Nie była nawet ładna, a na pewno nie piękna, jak Andrea Halgren, Lindy Myerson czy Sandy Zimmerman. „Oryginalna” – mówiono najczęściej lub „zachwycająca” – w przyпыlywie dobrego humoru. Miała wyrazistą twarz, na której odbijały się wszystkie emocje, myśli i najdrobniejsze odczucia, niczego nie mogła ukryć. Rozpaczliwie pragnęła to zmienić. „Jesteś zbyt wrażliwa” – mówił ojciec. Wrażliwa. Kapryśna. Humorzysta. Nerwowa. Stworzył długą listę jej wad, poczynając od charakteru, a kończąc na wyglądzie. Gruba. Ta ostatnia uwaga dręczyła ją przez kilka lat. Czuła, że się czerwieni za każdym razem, gdy ją sobie przypominała.

– Tylko popatrz na swoje uda, Madison Stiller. Będziesz grubsza od tych krów, jeżeli nie będziesz uważała.

Pomagała ojcu przy porannym dojeniu. Było lato, miała na sobie szorty i T-shirt. Spojrzała przerażona na swoje uda i wybuchnęła płaczem.

– Co z tobą?! – zawołał za nią ojciec, gdy wybiegła z obory. – To był żart. Dokąd idziesz? Jeszcze nie skończyliśmy.

Wbiegła na górę do swojego pokoju, zsunęła szorty i obejrzała się w lustrze. Gruba? Naprawdę jestem gruba? – pomyślała z rozpaczą. Pewnie tak, skoro ojciec to powiedział. W następnych dniach ku zmartwieniu matki jadła tyle co nic.

– Co w ciebie wstąpiło? – denerwowała się Martha, zabierając ze stołu nietknięty talerz. – To na pewno wina tych dziewczyn. Nigdy nie lubiłam Lindy i Andrei. Spójrz na nią, Frank – zwróciła się do męża.

Uniósł wzrok znad gazety i chrząknął. Po chwili znowu czytał, co oznaczało, że uważa temat za zamknięty. Sprawdziły się najgorsze obawy Maddy. Ojciec sądził, że jest gruba.

Nie mogła jednak nie jeść. Nazajutrz podczas lekcji fizyki nauczyciel wezwał ją do tablicy. Zbyt szybko wstała, zawirowało jej w głowie i obudziła się na podłodze. Zemdlała. Nie jadła przecież przez tydzień. Jak na ironię to właśnie Lindy, jedna z „tych dziewczyn”, znalazła rozwiązanie jej problemów.

– Moja siostra tak robi – stwierdziła lekkim tonem. – Właśnie tego ci trzeba.

– A co ona robi? – spytała Maddy z obawą w głosie.

– To bardzo proste. Jesz, co chcesz, a potem po prostu zwracasz.

– Jak?

Lindy wzruszyła ramionami.

– Wkładasz palec do gardła. To proste. Ona używa do tego kawałka nitki. Pokażę ci.

– Fúj! Jesteś obrzydliwa! – pisnęła Andrea.

Lindy miała rację. To było proste. Maddy przekonała się o tym jeszcze tego wieczoru. Zjadła na kolację trochę więcej niż zwykle, chociaż wcale nie miała ochoty. Wykręciła się bólem głowy, poszła do swojego pokoju, po czym zamknęła się w łazience. Dopiero po kilku próbach udało jej się wywołać nudności. Zwróciła

wszystko – półtorej parówki, dwie łyżki tłuczonych ziemniaków i marchewkę. Z trudem chwyciła oddech, ale takiego uczucia spokoju i pewności siebie, jakie na nią spłynęły, nigdy przedtem nie doświadczyła. Dalej szło już jak z płatka. Czekiła, aż rodzice się położą, po czym schodziła na dół do kuchni, otwierała lodówkę i wpychała do ust wszystko, co tam znalazła. Delektowała się smakiem tłuczonych ziemniaków, lodami i innymi smakołykami. A gdy już nie mogła niczego więcej w siebie wepchnąć, szła do łazienki i wszystko zwracała. Kiedy ojciec zniknął, uznała, że to przez nią. Była gruba i brzydka, dlatego nie mógł jej znieść. Niedobrze mu się robiło na jej widok, więc odszedł. To było jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Dobrze się czujesz? – Sandy siedziała na łóżku, gdy Maddy w końcu wyszła z łazienki. – Dziwnie wyglądasz. Masz, napij się. – Wyciągnęła w jej stronę szklankę z ciemnoczerwonym winem.

Dziewczyna wzięła ją i pociągnęła łyk. W ustach miała smak żółci i płynu do płukania. Wino było ciepłe i aromatyczne.

– Twoje zdrowie – powiedziała Sandy. – Witaj w Nowym Jorku.

– Zdrowie – mruknęła Maddy.

Przełknęła następną porcję, starając się nie gapić na koleżankę, która rzuciła niedbale płaszcz na łóżko, odsłaniając metkę z napisem Donna Karan. DKNY. Nigdy nie słyszała o Donnie Karan ani o DKNY.

– No to skąd jesteś? – zagaiła rozmowę Sandy.

– Z Iowy – mruknęła Maddy, wbijając wzrok w szklankę.

– Z Iowy? – powtórzyła tamta z niedowierzaniem. – To na Środkowym Zachodzie, tak?

Maddy kiwnęła głową zawstydzona. Zabrzmiało to jak choroba.

– Jesteś z Nowego Jorku? – spytała pospiesznie, żeby zmienić temat.

– Jasne. Z Upper East Side. Mama chciała, żebym została w domu, ale ja musiałam się stamtąd wyrwać. Za to na weekend wracam. Jedź ze mną. Jeden z moich przyjaciół organizuje imprezę w piątek wieczorem. Może wybierzemy się razem?

Maddy przytknęła szklankę do ust. Poczuła dreszcz podniecenia i strachu przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Impreza. Weekend w obcym domu. Miała wrażenie, że gra w jakimś filmie. Dopiero wyjechała z rodzinnych stron, a jej życie już uległo diametralnej zmianie.

NIELA

Hartishek, październik 1991

Prawie tydzień zajęło Adenom dotarcie do Hartishek, rozległego obozu dla uchodźców przy granicy z Etiopią. Dojechali tam przed świtem. Nikt się nie odzywał, nawet kierowca, gdy posuwali się wolno wśród labiryntu ścieżek. Wschodzące słońce odsłoniło bezładne skupisko namiotów i chat, nad którym unosiły się wąskie smużki dymu. Przed prowizorycznymi domami krzątały się kobiety, gotując posiłki na małych kuchenkach opalanych węglem. Hassan rozglądał się wokół, zbyt zaskoczony tym widokiem, by zdobyć się na jakieś działanie. To Niela poleciła kierowcy, by stanął, po czym otworzyła okno i spytała młodego mężczyznę, gdzie znajduje się kwatera główna Wysokiej Komisji ONZ do spraw Uchodźców. Wskazał na piaszczystą, wyżłobioną koleinami drogę prowadzącą do środka obozu.

– Ale nie spodziewajcie się, że coś wam dadzą – oznajmił na pożegnanie. – Wszystko im się skończyło. Są bezużyteczni – dodał z goryczą w głosie.

– O co mu chodziło? – spytała dziewczyna ojca po powrocie do samochodu. – Skończyło się? Co się skończyło?

Hassan pokręcił bezradnie głową. Niela przekazała kierowcy wskazówki, czując, jak serce jej się ściska. Przez trzy dni myśleli jedynie o dojechaniu do Hartishek, sądząc, że to będzie koniec ich podróży. Gdy dotarli na miejsce, okazało się jednak, że to dopiero początek.

Kilka godzin później opuszczali biura komisji z namiotem, kilkoma kocami i małą paczką żywnościową, która miała im starczyć na weekend. Hassan był wyraźnie załamany. Pracownicy organizacji, których celem była opieka nad gęstniejącym tłumem zdesperowanych uchodźców, nie potrafili odróżnić majątnego, wykształconego Somalijczyka z kilkoma stopniami naukowymi i dochodowym interesem od koczowniców wędrujących z kozami po wyżynie Ogaden. Rozmawiali z nim, jakby nigdy nie trzymał w ręku widelca czy noża, a jeżeli już, to po to, żeby zabić. Uniwersyteckie stopnie naukowe nie miały dla nich znaczenia. Pewnie je sobie kupił – mówiło aż nadto wymowne spojrzenie jednej z pracownic. I znowu to Niela oszczędziła ojcu dalszych upokorzeń. Wzięła koce i żywność, znalazła wyznaczone im miejsce wśród setek namiotów i wysłała braci po wodę. Potem zgodnie z poleceniem ojca zapłaciła kierowcy i kazała mu zwrócić furgonetkę Mohammedowi Osmanowi. Patrzyła za odjeżdżającym samochodem, walcząc

z pokusą, by pobiec za nim i poprosić szofera, żeby ją stąd zabrał – dokądkolwiek. Każde miejsce byłoby lepsze od tego.

Ich nowi sąsiedzi, wielopokoleniowa rodzina z południowej dzielnicy Mogadisu, natychmiast pospieszyli z pomocą. Kilka godzin zajęło im rozstawienie namiotu. Niela z braćmi przygotowali posłania i ustawili nieliczne rzeczy osobiste, które udało im się zabrać ze sobą. Późnym popołudniem, gdy słońce przestało w końcu prażyć, Adenowie mogli się wprowadzić do nowego domu. Był to tylko namiot, duszny, niekomfortowy i niechroniący przed niekiedy ogłuszającym hałasem z zewnątrz, ale zapewniał odrobinę prywatności. Pocięchę dawała świadomość, że inni są w podobnej sytuacji, również stracili domy i poczucie bezpieczeństwa. Tu wszyscy byli sobie równi – lekarze i prawnicy, stróże i kierowcy taksówek wspólnie dokonywali rytualnych ablucji. Ale przynajmniej nic im nie groziło, co Niela uświadamiała matce. Nie było tu plądrujących domy żołnierzy, uzbrojonych bandytów i gangów. Krzepcy oenzetowscy żołnierze strzegący granic obozu robili dobre wrażenie. Raageh i Korfa podekscytowani rozprawiali o ich broni. Byli jeszcze dziećmi i ucieczkę z Somalii traktowali jak przygodę, ale Nielę martwiło milczenie matki i zaciśnięte usta ojca. Bez swoich aptek i szacunku, jaki dawała pozycja majątnego biznesmena, sprawiał wrażenie zagubionego. Patrzyła na to z bólem i obawą. Musiał wywieźć rodzinę z Hartishek do Addis Abeby, a stamtąd do Wiednia, ale czy starczy mu sił do dalszej walki? Stryj Raageh, młodszy brat ojca mieszkający w Wiedniu z żoną Austriaczką, robił wszystko, aby załatwić im wizy, lecz biurokratyczne procedury zezwalające Somalijczykom na opuszczenie Etiopii wydawały się nie do pokonania. To dopiero pierwszy dzień – pomyślała Niela, z trudem przełykając ślinę. Może ojciec dojdzie do równowagi za kilka dni.

Kiedy tej pierwszej nocy nie mogła zasnąć, wsłuchując się w cichy dźwięk koralików przesuwanych przez niego w palcach i płytki oddech matki, poczuła, jak zalewa ją fala strachu. W rogu namiotu stało małe radio tranzystorowe, kilka garnków oraz dwie czy trzy książki zabrane z domu przez braci. Przedmioty te, symbole dawnego życia, miały im przypominać, skąd pochodzą, a przede wszystkim kim są. Muszą o tym pamiętać, bo inaczej będą straceni.

Było jednak jeszcze coś oprócz strachu. W pierwszych dniach po przybyciu, odcięci od domu i wszystkiego, co się z nim wiązało, a także od przyjaciół, szkoły i pracy, mogli przynajmniej swobodnie spacerować po rozległym miasteczku namiotowym. Matka została przyjęta do grupy zasłaniających twarze kobiet, które załatwiały żywność dla swoich rodzin i rodzin sąsiadów, tworząc w ten sposób małe społeczności według kryteriów zupełnie dla Nieli niezrozumiałych, takich jak język, klasa, stosunki, rodziny wielopokoleniowe, związki plemienne. Dawało im to poczucie pewnego porządku i przynależności w miejscu, które nazywali teraz swoim domem. Po tygodniu Niela zorientowała się, że pomimo całej swojej tymczasowości

i biedy obóz był zaskakująco dobrze zorganizowany. Dawni właściciele sklepów, nauczyciele, mechanicy, murarze i lekarze próbowali ułożyć sobie życie będące namiastką poprzedniego. Działały prowizoryczne szpitale i kliniki, fryzjerzy ustawiali krzesła pod kawałkiem brezentowego płótna, przedsiębiorczy krawcy pracowali przy maszynach na pedały, a kobiety wspólnie gotowały posiłki. Wszystko po to, by nie czekać na jałmużnę. Niektórym nawet dobrze się powodziło, bo mieli szczęście albo przewidzieli, że nieprędko wrócą do Somalii, i zabrali ze sobą biżuterię lub gotówkę, które przydawały się bardziej niż żywność i ubrania. Niestety, Hassan nie był taki przewidujący, ale już pod koniec pierwszego tygodnia okazało się, że swoją wiedzę o lekarstwach może zamienić na papierosy, jedzenie i cenne środki czystości.

Ku zaskoczeniu Nieli równie pożyteczna była jej znajomość języków oraz umiejętność czytania i pisania. Dzięki nim mogła pomagać sąsiadom w pisaniu listów do organizacji zajmujących się uchodźcami z prośbą o ten czy inny artykuł pierwszej potrzeby lub o przyspieszenie ciągnących się w nieskończoność spraw. Po pewnym czasie uświadomiła sobie z przerażeniem, jak niewiele trzeba, by zamienić dotychczasowe życie na inne. W Mogadiszu, gdzie dotąd mieszkała, była zwykłą licealistką mającą dość liberalnych rodziców i ładny, wygodny dom. Jadała trzy posiłki dziennie, a w komodzie czekały na nią czyste ubrania. Na ścianach w jej pokoju wisiały plakaty z wizerunkami gwiazd popu i kina, a na łóżku leżała przywieziona z Paryża piękna koronkowa narzuta, którą codziennie rano rozkładała jedna ze służących. Dwa razy w tygodniu zmieniano jej kwiaty na toaletce, a w piątkowe wieczory mogła oglądać z koleżankami filmy wideo przywiezione z Anglii i Ameryki, i chrupać robioną przez matkę prażoną kukurydzę. Ale to było kiedyś. Nie minął miesiąc, a świat, w którym dorastała, przestał istnieć. Dwie najlepsze przyjaciółki – Sally Anne Parkinson i Helga Neustrop, córki ambasadorów Australii i Danii – wyjechały z rodzicami, gdy wybuchła wojna, i od tego czasu nie miała od nich żadnych wieści. Międzynarodową szkołę zamknięto, a nieliczni somalijscy uczniowie musieli uciekać tak jak Adenowie. Z dawnego życia nic nie pozostało. Uciekając ze stolicy, przekroczyli niewidzialną granicę; wszystko, co kiedyś znali, skurczyło się teraz do namiotu, kilku koców i wspomnień, które, jeżeli mieli przetrwać, powinni wymazać z pamięci.

JULIA

Oksford, październik 1991

Dopiero po chwili zorientowała się, że wskazówki budzika zbliżają się do godziny dziewiątej, nie do siódmej. Wskoczyła z łóżka i sięgnęła po okulary, zaczepiając dużym palcem u nogi o brzeg biurka. Za piętnaście dziewiąta! Sięgnęła po szlafrok wiszący na drzwiach i wybiegła w nim na korytarz. Pierwsze seminarium zaczynało się o dziewiątej. Zasnęła. O Boże!

Piętnaście minut później, czując w ustach smak pasty do zębów, z włosami zebranymi w kucyk i swetrze narzuconym na podkoszulek, w którym spała, wybiegła z akademika, usiłując sobie przypomnieć, gdzie znajduje się wydział prawa i, co ważniejsze, jak do niego dotrzeć. Sala C/2/4. Gdzie, u diabła, była sala C/2/4? Czy była aula oznaczona literą C? I gdzie – na drugim czy na czwartym piętrze? Z bijącym sercem biegała z jednego piętra na drugie, przemierzając kolejne korytarze. Dochodziła za piętnaście dziesiąta, gdy wreszcie znalazła właściwie drzwi. Zatrzymała się na kilka minut, by uspokoić oddech. Odrzuciła z twarzy niesforne kosmyki, żałując, że przed wyjściem nie spojrzała w lustro, po czym ostrożnie otworzyła drzwi salki seminaryjnej. Sześć par oczu odwróciło się w jej stronę. Ze spuszczoną głową wślizgnęła się na najbliższą ławkę. Policzki paliły ją jak ogniem.

– A, panna Burrows, jak mniemam – odezwał się siedzący na środku pomieszczenia starszy profesor w okularach. – Seminarium zaczyna się punktualnie o dziewiątej. Wiem, że to niezbyt wygodne, ale tak u nas jest. O czym to mówiliśmy...?

– Bardzo przepraszam, to się więcej nie powtórzy. Trochę się pogubiłam, usiłując znaleźć salę.

– Znowu? – zabrzmiał jej w uszach męski szept, dochodzący z lewej strony.

Zarumieniła się jeszcze bardziej, bo natychmiast rozpoznała ten głos. Znowu on.

Przez następne pół godziny słuchała pilnie niskiego, cichego głosu profesora, ignorując rosnącą panikę, bo zaczęła sobie uświadamiać, że jej znajomość prawodawstwa jest nawet gorsza, niż się obawiała. W Nottingham plasowała się w pierwszej piątce studentów na roku, w Balliol było jednak inaczej. Złoty środek Arystotelesa, Tomasz z Akwinu i Thomas Hobbes, Ronald Dworkin i analityczne prawoznawstwo... z ust profesora płynęły zdania, zrozumiałe dla wszystkich oprócz niej. Usiłowała nadązać za tokiem jego rozumowania, kątem oka dostrzegając, że tylko ona jedna robi dokładne notatki. Pozostali kiwali od czasu do czasu głowami,

notując jedynie jakieś słowo lub nazwisko. Nikt tak jak ona nie tonął w morzu informacji.

– Reasumując – powiedział profesor Munro, wstając i zapalając fajkę, jakby dla podkreślenia swojej tezy – wszystko, co wiąże się z organizacją społeczeństwa, jest polityką.

Julia znieruchomiła i poczuła ostry ból przebiegający wzdłuż kręgosłupa. „Wszystko, co wiąże się z organizacją społeczeństwa, jest polityką, Julio”. Zupełnie jakby słyszała głos ojca. Nagle znowu miała czternaście lat, stała obok niego w szopie na końcu ogrodu, pomagając mu pakować koperty na wybory uzupełniające, i czuła zapach tuszu i farb drukarskich, którymi pachniały jego ręce.

Mike Burrows, krzepki mężczyzna, był, tak jak jego ojciec, drukarzem i związkowcem w „Newcastle Herald”. Cenił sobie niezależność, miał silnie rozwiniętą wrażliwość społeczną i zamiłowanie do samokształcenia. Był piekielnie ambitny, ale nie miał takich możliwości, jakie otwierały się przed pokoleniem córki. Julia wychowała się w przekonaniu, że jej przyszłość będzie inna. Ale to nie wszystko. Mike różnił się od mężczyzn mieszkających w sąsiedztwie. Miał w sobie coś, co trzymało ludzi na dystans. Przychodzili do niego po radę lub wsparcie, a nie żeby się napić czy pograć w karty. Przynajmniej raz w miesiącu komuś z sąsiedztwa życie dawało porządnie w kość, a przerażone dzieci przybiegały do ojca Julii, by opowiedzieć, co się stało. Ukradkiem słuchała ich relacji, stojąc pod drzwiami salonu i drapiąc się w łydkę, i poznawała ciemne strony życia, które były jej zupełnie obce – jeden mąż bił żonę, inny co wieczór wracał do domu pijany, a jeszcze inny mógł stracić pracę. Ojca proszono, by z nimi porozmawiał.

Pewnego dnia zjawiała się pani Glenby mieszkająca po drugiej stronie Elswick Road. Jej córka Winifred chodziła z Julią do jednej klasy. Obraz pochlipującej, przerażonej kobiety pozostał jej przed oczyma na wiele miesięcy. Matka Julii, Sheila, nigdy nie pracowała zawodowo, ale z córką wiązała wielkie nadzieje. W każdą sobotę chodziły razem do miejscowej biblioteki z listą wybranych książek, którą wręczały bibliotekarce. Wieczorami oddawały się lekturze przy cicho grającym radiu – Julia czytała klasyków, a matka Catherine Cookson lub Agatę Christie. Ojciec nie pochwalał codziennego oglądania telewizji. Dorastała, słuchając Radia 4.

Pewnego dnia wszystko się nagle zmieniło. Był piątkowy wieczór, sześć tygodni przed małą maturą. Rodzice wracali z cotygodniowych zakupów w sklepie spożywczym. Świadkowie mówili, że mała czerwona furgonetka pędziła z ogromną szybkością wzdłuż Park Close. Z ogłuszającym piskiem hamulców wzięła zakręt, po czym kierowca stracił panowanie nad kierownicą. Był pijany. Zarzuciło go na przeciwległy pas ruchu, po czym zderzył się czołowo z samochodem rodziców Julii. Mike’a przygniotło do kierownicy, zginął na miejscu. Sheilę przewieziono na sygnale do najbliższego szpitala, gdzie godzinę później zmarła. Dziewczynka była wtedy w szkole. Wiadomość dotarła do niej dopiero po godzinie. Zanim obie

z babcią przyjechały do szpitala, rodzice już nie żyli i świat Julii legł w gruzach.

Starła się odzyskać oddech, siedząc wśród tych wybitnie inteligentnych twarzy ludzi, którzy nie mieli pojęcia, co ona przeżywa. Ucisk w piersi nie pozwalał jej notować. Odłożyła długopis i odwróciła głowę w stronę okna. Przez zasłonę z łoż widziała wierzchołki drzew porastających brzegi rzeki Cherwell i szczyt wzgórza Headington. Siedziała bez ruchu, czekając, aż serce się uspokoi, a świat wróci na swoje miejsce. Czuła na sobie wzrok sąsiada, ale miała jedynie tyle siły, by go zignorować. W takich chwilach uświadamiała sobie, jak inaczej ułożyło się jej życie w porównaniu z losami większości znajomych. Uderzało to w nią z siłą pędzącej ciężarówki. Zamknęła oczy, zdając sobie sprawę z niestosowności tego porównania.

– Trzeba mieć pecha, żeby zabłądzić pierwszego dnia – posłyszała czyjś głos, gdy godzinę później opuszczali salę.

Odwróciła się i zobaczyła wysokiego, szczupłego młodzieńca z wydatnym jabłkiem Adama. Przypomniała sobie, że siedział w pierwszym rzędzie. Zmierzyła go nieufnym spojrzeniem.

– Powinam sprawdzić na planie – mruknęła. – Moja wina.

– Nie przejmowałbym się tym – rzucił niedbałym tonem. – Przez pierwsze dwa tygodnie każdy się gubi. A w ogóle to jestem Dominik – dodał, wyciągając rękę. – Ale mów mi Dom.

Zawahała się. Piątka studentów szła przodem, rozmawiając z ożywieniem. Najwyraźniej dobrze się znali. Jak to możliwe? Byli w Oksfordzie dopiero od dwóch dni. Nikt nie raczył nawet na nią spojrzeć z wyjątkiem tego aroganta, którego poznała wczorajszego wieczoru, ale on zagadnął ją tylko po to, by dociąć jej złośliwie. Dlaczego więc ten Dominik, Dom, chciał się z nią zadawać? Dobre maniere wzięły jednak górę i niechętnie podała mu rękę.

– Julia.

– Wiem. Munro sprawdzał obecność i tylko ciebie nie było.

– Musisz mi to wypominać? – spytała gniewnie i natychmiast pożałowała swoich słów. Jak zwykle zajęła obronne stanowisko. A może on chce być tylko uprzejmy.

Dom uniósł brwi w łagodnym proteście.

– Nie miałem takiego zamiaru. Byłem tylko ciekaw, kim jesteś. Znam tu prawie wszystkich. Razem kończyliśmy studia – wyjaśnił, wskazując na idących przed nimi kolegów. – Z wyjątkiem oczywiście Keelera. Jest trochę starszy, ale jego młodszy brat był ze mną na roku.

– Kto to jest Keeler?

– Aaron. Ten blondyn, który siedział obok ciebie i któremu rzucałaś nienawistne spojrzenia.

Zaczerwieniła się.

– On... był niegrzeczny wobec mnie – odpowiedziała niepewnie. – Jest taki... cholernie arogancki.

– To zawsze idzie w parze. Przystojny, sławna matka, miejsce w Oksfordzie praktycznie gwarantowane... Na jego miejscu też pewnie bym się tak nadymał. Trochę potrwa, zanim się człowiek przyzwyczai, ale w gruncie rzeczy chłop jest w porządku. Moim zdaniem to вина matki.

Popatrzyła na Doma z uwagą. W jego wesołym głosie był jakiś dziwny ton. Zazdrość? Nie potrafiła powiedzieć. Kimże była matka tego Keelera?

– A kim jest jego matka? – spytała.

– Diana Pryce. Nie wiedziałaś?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Diana Pryce? Diana Pryce jest jego matką? Przypomniała sobie, jak pierwszy raz zobaczyła ją w telewizji. Była sławnym adwokatem, z honorowym tytułem członka palestry. Przez wiele lat bez cienia nadziei walczyła o uwolnienie dwóch prowadzących głódówkę irlandzkich więźniów politycznych; nagle sprawa nabrała wielkiego rozgłosu i cofnięto im karę. Przez tydzień co wieczór oglądali z ojcem relacje z procesu.

– Wspaniała osoba – powiedział wówczas Mike z podziwem w głosie. – Nigdy się nie poddaje. Pamiętaj, Julio, walcz do końca.

W pamięci pozostał jej mglisty obraz elegancko ubranej kobiety na wysokich obcasach, trzymającej pod ramię jednego z więźniów, na którego wychudzonej twarzy malował się wyraz oszołomienia i niedowierzania. Julia pokręciła głową. Diana Pryce była matką Aarona Keelera?

– Nigdy bym się nie domyśliła – mruknęła.

– Och, za dwa tygodnie będziesz to słyszała na każdym kroku. Wszyscy o nim mówią. Podejrzewam, że nie jest mu łatwo być bez przerwy porównywanym z matką. Jest ich trzech braci. Boskie istoty, tak o nich mówią. No wiesz, przystojni, wysportowani, inteligentni i powszechnie znienawidzeni. – Popatrzył na nią. – Do diabła z Keelerami. Za godzinę mamy przysposobienie biblioteczne. Może pójdziemy gdzieś na kawę? Byłaś już w bibliotece Bodleian? – Pokręciła głową. – No to chodźmy. Po drugiej stronie jest kawiarnia. Potem możemy iść razem na zajęcia. Nie bój się, nie ma w tym żadnego ukrytego celu. Jestem niegroźny. Najprawdziwszy ze mnie pedzio.

Julia otworzyła usta w proteście.

– Nigdy mi to nawet przez myśl nie przeszło.

– Doskonale. – Uśmiechnął się. – Idziemy?

– No dobrze – odparła, wciąż nie do końca przekonana.

Chociaż polubiła Doma już po pięciu minutach rozmowy, nie mogła zrozumieć, dlaczego się do niej odezwał. Nikt inny tego nie zrobił. Z wyjątkiem aroganckiego Keelera nikt nawet na nią nie spojrział. Dlaczego więc Dom? Zerknęła na niego, lecz niczego nie zdołała wyczytać z jego oczu. Otworzył przed nią drzwi, a ona niepewnie ruszyła przodem.

Zeszli po schodach za hałaśliwą grupą studentów i opuścili budynek wydziału. Julia wciąż się zastanawiała, dlaczego Dominik Barrington-Browne chce być jej

przyjacielem. To nie miało sensu. Zaraz jednak przypomniała sobie, że niewiele z tego, co zdarzyło się w ciągu dwóch dni w Oksfordzie, ma jakiś sens. Nigdy w życiu nie czuła się tak obco jak tutaj.

Co prawda należała do nielicznych uczniów w szkole średniej w Newcastle, którzy zdecydowali się pójść na uniwersytet, ale w Nottingham spotkała mnóstwo takich jak ona – wyjechali z domu i rozpoczęli studia z myślą o tym, że nigdy nie wrócą. Na jej roku były trzy lub cztery osoby wywodzące się z tego samego środowiska. W Oksfordzie było inaczej. Bez względu na to, jakie intencje przyświecały Domowi, na pewno nie czuł się tu źle. Ona zaś po prostu nie pasowała do tego miejsca. Wszystko wokół niej krzyczało: „klasa pracująca”, „północna Anglia”, „biedota” albo nawet gorzej. Wyglądała jak osobliwy okaz z trochę niedbałą fryzurą i garderobą składającą się z dzinsów i swetrów wśród tych długonogich pięknych blondynek i szatynek. Nigdy nie przywiązywała wagi do swojego wyglądu, bo uważała, że nie ma do czego. Alison, najbliższa przyjaciółka w Nottingham, pozwalała sobie mieć odmienne zdanie, ale ona była studentką wydziału inżynierskiego, więc co mogła o tym wiedzieć? W Nottingham Julia miała dwóch chłopaków – Mike’a, studenta uczestniczącego w wymianie z New Haven w Connecticut, i George’a, kolegę z roku, pochodzącego z Doncaster – żaden jednak nie rozniecił w niej ognia, choć zdaniem Alison powinien. Obie znajomości przetrwały tylko do końca studiów. Sęk w tym, że nigdy nie spotkała kogoś, z kim rozmowa byłaby bardziej interesująca od powieści czytanych w łóżku wieczorami lub podręczników uniwersyteckich. Owszem, zdarzały się chwile czułości i intymnych uniesień, ale nic poza tym. Alison uważała, że Julia jest beznadziejna. Ona sama też tak sądziła. I oto teraz, po ukończeniu z wyróżnieniem prawa na uniwersytecie w Nottingham, zaczynała studia podyplomowe w college’u Balliol w towarzystwie najinteligentniejszych, najambitniejszych i zapewne najzdolniejszych studentów w Anglii, którzy wyraźnie ją ignorowali.

Szybko odsunęła od siebie tę bolesną myśl, postawiła kołnierz kurtki, wsunęła ręce do kieszeni i podążyła za Domem, starając się dotrzymać mu kroku. Mając metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, zawsze uważała się za wysoką, ale trudno jej było nadążyć za długonogim kolegą. Skręcili w Turl Street i wkrótce, ku radości Julii, zostawili innych z tyłu.

Po dwóch tygodniach od przyjazdu do Balliol dowiedziała się dwóch rzeczy. Po pierwsze, okazało się, że bez względu na to, jak ciężko pracowała w Nottingham, w Oksfordzie to nie wystarczało. Dyplom z wyróżnieniem otrzymany na uniwersytecie Nottingham – czyli nigdzie – niewiele tu znaczył, właściwie nic. W Balliol w grupie najinteligentniejszych i najambitniejszych młodych ludzi musiała podwoić wysiłki, żeby utrzymać się na powierzchni. Oprócz horrendalnej listy lektur miała tyle wykładów w tygodniu, ile w Nottingham przez cały semestr. Lista esejów do przeczytania zdawała się nie mieć końca, liczba precedensów, które musiała przejrzeć – bez granic. Na domiar wszystkiego arogancki Aaron Keeler chodził razem z nią na seminaria z prawoznawstwa, teorii prawa i prawa cywilnego. Podzielono ich na małe, sześć- oraz siedmioosobowe grupy i trudno było się przed nim ukryć. Jej skrupowanie wyraźnie go bawiło. Dlaczego? Nie miała pojęcia. Gdy po raz piąty wywołano ją do odpowiedzi na pytanie, którego nawet nie zrozumiała, i zobaczyła złośliwy uśmiech na jego twarzy, doszła do wniosku, że nie tylko ma nieodpowiedni wygląd, akcent i pochodzenie, ale jeszcze odstaje intelektualnie. To był dla niej druzgocący cios.

Druga zaskakująca sytuacja dosięgła ją nieoczekiwanie i chociaż nie wywołała takiej samej reakcji żołądka, była nie mniej szokująca. Na jednym z licznych wykładów siedziała obok Doma, ukradkiem rozglądając się na boki, gdy nagle dostrzegła wyraz jego twarzy. Malowała się na niej tak wyraźna mieszanina pożądania i bólu, że zmarszczyła brwi, zastanawiając się, kto lub co je wywołał. Podążyła za jego wzrokiem i po chwili wszystko stało się jasne. Wpatrywał się w tył głowy Aarona Keelera. Zaskoczona, mimowolnie otworzyła usta. W tym momencie Dom odwrócił głowę i dostrzegł jej zdziwienie. Chciał coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie i uciekł spojrzeniem w bok. Julia zamknęła usta. Nic nie powiedziała, ale nagle wszystko zrozumiała. Nic dziwnego, że ją wybrał – była jedyną osobą, oprócz niego, do której Aaron Keeler nigdy się nie odezwał. Czy chodziło o coś, o czym Aaron wiedział od czasów szkolnych? Długo się głowiła, co takiego Dominik w niej dostrzegł. Teraz już wiedziała. Nie tego się spodziewała, ale poczuła, że ma dla niego tyle gorącej sympatii, iż wcale jej to nie rozczarowało. Kochał się w kimś, kto nawet na niego nie spojrzał. Julia nie była zakochana – zresztą chyba nie znała tego uczucia – ale wiedziała, jak to jest być outsiderem. A więc dlatego ją zaczął. Teraz, kiedy to rozumiała, jeszcze bardziej polubiła Doma. Biedak. Że też musiał się zakochać akurat w Aaronie Keelerze! Gorzej być nie mogło.

Wracała właśnie z jednego z seminariów pod koniec piątego tygodnia. Jeszcze

trzy przede mną – pomyślała zgnębiona. Potem pojedzie do Newcastle i spędzi święta Bożego Narodzenia albo z jedynymi krewnymi, jacy pozostali jej po śmierci babci, która zmarła, gdy Julia była na pierwszym roku studiów – dalekim kuzynem ojca i jego żoną – albo zatelefonuje do Alison. Przyjaciółka mieszkała teraz w Londynie ze swoim chłopakiem inżynierem i walczyła o dobrą pozycję w firmie zdominowanej przez mężczyzn. Ani jedna, ani druga perspektywa nie była zachęcająca. Julia mogłaby też spędzić święta samotnie, tak jak w zeszłym roku, ale to było okropne i przysięgła sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Zatopiona w myślach, nie zauważyła grupy studentów, którzy pojawili się przed nią, gdy szła Broad Street ze wzrokiem utkwionym w chodniku, przyciskając do piersi stertę książek.

– Ona nie wytrzyma – zabrzmiał jej w uszach dziewczęcy głos. – Takie jak ona odpadają przed końcem.

– Widzieliście jej minę dziś rano, gdy Munro zapytał ją o Hegla? Nawet nie wie, kim był Hegel.

Julia przystanęła na wzmiankę o Heglu. Czyżby mówili o niej? Podniosła wzrok i natychmiast rozpoznała jasną głowę Aarona Keelera. Pochylał się ku jakiejś blondynce, zdaje się Aramincie Hedley-Tetherington. Obok dziewczyny, znanej wszystkim oprócz Julii jako Minta, stał Peregrine, nieodłączny towarzysz Keelera.

– Na pewno odpadnie – usłyszała jego głos. – Ten typ szybko rezygnuje. Odpadnie podczas zimowej sesji i będzie po wszystkim.

Zobaczyła, że Aaron się zatrzymuje i zapala papierosa.

– Kogo obchodzi, co się stanie z Julią Burrows? – spytał, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie jego. – Czemu tracimy cenne minuty na rozmowę o niej?

– Ja o niej nie rozmawiam – odparł Peregrine urażonym tonem. – Tylko zakładam, że nie zda sesji. Jest okropna.

– Nie warto o niej mówić. Co tam mamy jutro wieczorem? Gdzieś w Headington jest fajny bal przebierańców. Organizuje go jakaś dziewczyna z politechniki.

– Z politechniki? Boże, Aaronie, ale ty masz dziwnych znajomych! – odrzekła Minta, chichocząc.

Dreszcz nienawiści przebiegł Julii po plecach, zmuszając ją do zatrzymania się. Stała na środku chodnika, sapiąc z wściekłości. Nigdy dotąd nie spotkała się z taką wrogością, i to ze strony obcych sobie osób. Oni jej nienawidzili. Ale dlaczego? Co im zrobiła? Przyłożyła dłoń do policzka. Był gorący i wilgotny, ale nie od deszczu. Otarła gniewnie twarz wierzchem dłoni, starając się nie zwracać uwagi na rosnącą w sercu głęboką urazę. Dom nie miał racji. Bez względu na to, jak bardzo będzie się starała, na zawsze pozostanie tu obca. Nic nie robiła jak należy. Nie miało znaczenia, że ciężko pracuje. Oni wszyscy uważali ją za kogoś gorszego. Rodzice nie przygotowali jej na coś takiego. To przekraczało wszelkie wyobrażenia. Była obywatelką drugiej kategorii i zawsze nią pozostanie. Diana Pryce mogła mieć wszystko, Julia Burrows nic. Koniec kropka. Tak już jest. Ale co do jednego się

mylili. Odpadnie podczas zimowej sesji? Nie ma mowy. Czas dać im nauzkę, nawet gdyby miało ją to zabić. Nieważne, jak długo i jak ciężko będzie pracowała. Musi stanąć do walki. Tego oczekiwaliśmy od niej ojciec. Skoro chcą wojny, będą ją mieli. Będzie z nimi walczyć do samego cholernego końca.

MADDY

Nowy Jork, grudzień 1991

– Stop, stop, stop!

Głos instruktora przerwał jej monolog. Maddy zaniemówiła w połowie zdania. Niedobrze. Rozejrzała się nerwowo po sali, czując, jak serce w niej zamiera. Mark Ryan, nauczyciel głosu i dykcji beznadziejnych pierwszoroczników, jak ich nazywał, napadł na nią niczym rozwścieczony bóg.

– Beznadziejnie. Kompletnie do luftu.

Chociaż był Anglikiem, potrafił naśladować każdy akcent bez wyjątku.

– Rozejrzyjcie się wokół siebie – powiedział na pierwszym spotkaniu na początku semestru. – Przypatrzcie się sobie uważnie. Do Bożego Narodzenia osoby siedzące po waszej prawej i lewej stronie znikną.

Zbliżało się Boże Narodzenie, a on mierzył ją wściekłym spojrzeniem.

– Ty kaleczysz ten cholerny język.

Otworzyła usta, lecz ku jej przerażeniu nie wyszło z nich żadne słowo, żaden dźwięk, nic. Siedzący przed nią studenci patrzyli na nią, nie wszyscy jednak ze współczuciem.

– Co ty, do cholery, czytasz? – spytał Ryan, piorunując ją wzrokiem. – Notatkę służbową?

– Nie, proszę pana – wydukała Maddy, oblewając się rumieńcem. Zobaczyła, jak Sandy się krzywi.

– Więc dlaczego, u diabła, odnoszę takie wrażenie?

– Ja... ja nie... Ja...

Nie mogła skłecić sensownego zdania. Była jak sparaliżowana.

– Nie? W takim razie, wybaczone, musiałem się przesłyszeć. Następny! – Jego głos ociekał sarkazmem. Maddy popatrzyła na niego niepewnie. – Następny – warknął, patrząc ponad jej ramieniem w głąb sali, po czym zerknął na listę. Wywalił ją. Tak po prostu. Przeszła na tył klasy, czując łyzy pod powiekami.

– Dupek – mruknęła Sandy, gdy koleżanka usiadła obok niej. – Nie daj się wyprowadzić z równowagi – szepnęła.

– Panna Zimmerman! – zabrzmiał głos Ryana. Nic nie uchodziło jego uwagi. – Zechce nam pani pokazać, jak to się robi?

Maddy odwróciła wzrok, gdy czerwona na twarzy koleżanka stanęła na środku sali. Zamrugnęła powiekami, starając się powstrzymać łyzy, które cisnęły się jej do oczu. To była istna tortura. Jak mogła sobie wyobrazić, że właśnie to pragnie robić

do końca życia?

O siedemnastej, po prawie trzech godzinach, psychiczne znęcanie się dobiegło końca. Studenci wychodzili z nosami na kwintę i znikali tak szybko, jak tylko się dało. Dziewczęta szły w milczeniu korytarzem. Maddy nie miała odwagi się odezwać. Nagle za plecami usłyszała głos Ryana. Opowiadał komuś o zajęciach, które właśnie skończył.

– Jezu, co za grupa! Powinien być na nich jakiś paragraf. Zwłaszcza jedna się wybija. Stiller. Straszny z niej głąb. Czy oni produkują je gdzieś w polu? Aktorka ze Środkowego Zachodu. Wyobrażasz sobie coś gorszego?

Ten ktoś odpowiedział pogardliwym prychnięciem. Maddy stała jak przymurowana, nie mając odwagi się odwrócić. Jakieś drzwi otworzyły się i zamknęły, po czym zapadła cisza. Czuła, że jej twarz płonie. Nie miała odwagi spojrzeć Sandy w oczy. Głąb ze Środkowego Zachodu. Tak właśnie o niej myślał? Wszyscy tak o niej myślą?

– Chodź – powiedziała Sandy, ściskając ją za ramię współczująco. – Napijmy się czegoś. Nie daj się wyprowadzić z równowagi, Maddy. To zwykły dupek.

Zbyt zaskoczona, by myśleć, nie mówiąc już o mówieniu, pozwoliła się poprowadzić schodami w dół do baru na parterze. Głąb ze Środkowego Zachodu. Jak mogła sobie choćby wyobrażać, że zostanie aktorką?

– Proszę. – Dziesięć minut później Sandy postawiła na stoliku dwie butelki piwa. – Wypij. Mamy niecałą godzinę do zajęć z Loughlinem. I nie trać czasu na myślenie o Ryaniu. On cię podpuszcza. Chce, żebyś zrezygnowała.

– Skąd wiesz? – spytała zdumiona Maddy.

– Zaufaj mi. Znam takich jak on. Nie daj się wyprowadzić z równowagi. Musisz się nauczyć walczyć.

Maddy popatrzyła na nią z zazdrością. Były kompletnymi przeciwieństwami, wszystko je różniło. Sandy była bogata, obyta w świecie, pewna siebie, ona wprost przeciwnie. Wiedziała, że tak jest, bo była u Zimmermannów w domu. Dwa razy. W wielkim, obszernym i bardzo eleganckim apartamencie wychodzącym na Central Park. Trzy psy z długą sierścią, które Maddy wzięła za koty, pół tuzina służących, wakacje spędzane w Europie, a zimy w St Bart's. Nawet nie miała pojęcia, gdzie to jest. Matka Sandy, szczupła, ciemnowłosa piękność, była psychologiem, ojciec adwokatem. Tu też dzieliła je przepaść.

– Z Iowa?! – wykrzyknęła pani Zimmerman, gdy córka przedstawiła jej swoją współlokatorkę.

Zabrzmiało to tak, jakby Maddy pochodziła z księżycy. Cały ich dom był jak nie z tej ziemi. Chodziła po nim w niemym oszołomieniu. W salonie zgromadzono więcej dzieł sztuki, niż dziewczyna widziała w całym swoim życiu.

– Czy to oryginały? – spytała szeptem Sandy, gdy ta prowadziła ją schodami na

górze. Pierwszy raz widziała, żeby mieszkanie miało schody.

– Oczywiście – odparła tamta, zaskoczona.

Przez resztę popołudnia Maddy trzymała buzię na kłódkę.

Teraz siedziała na wprost koleżanki, trzymając w ręku butelkę piwa, i zastanawiała się, po co w ogóle przyjeżdżała do Nowego Jorku i dlaczego próbowała zostać aktorką. Było oczywiste, że nie umie grać. Wszystko przez panią Steenkamp – pomyślała, pociągając łyk piwa. To ona podsunęła jej ten pomysł, mniej więcej miesiąc po zniknięciu ojca.

– Może przyszlabyś i spróbowała – zaproponowała jej, kierując się głównie współczuciem.

Maddy miała już dość nieustannych pytań, gdzie ojciec wyjechał, dlaczego i z kim. Zaproszenie pani Steenkamp do uczestniczenia w zajęciach kółka teatralnego było dla niej okazją do czegoś w rodzaju ucieczki. Jednak z chwilą, gdy weszła na scenę, coś się w niej otworzyło. Nie była już Maddy Stiller, córką człowieka, który pewnego popołudnia spakował manatki i porzucił żonę i dziecko, lecz zupełnie kimś innym, kimś, kto miał inną przeszłość i historię. Na scenie wreszcie poczuła się wolna. Odtąd mogła myśleć tylko o graniu. Teraz jednak zrozumiała jeszcze coś. Nie wystarczy chcieć zostać aktorką, trzeba jeszcze udowodnić, że jest się w tym dobrym. A ona tego nie umiała.

– Co jest ze mną nie tak? – spytała raczej retorycznie, bo już знаła odpowiedź.

Nie tylko Ryan wymagał od niej czegoś, czego nie potrafiła zrobić czy choćby się do tego przygotować. Wszyscy nauczyciele mówili mniej więcej to samo. Dopóki się nie rozluźni i nie przestanie skrywać swoich uczuć, pozostanie tym, kim jest – aktorką bez polotu. Ciężko pracowała, uczyła się tekstów, bardzo rzadko zapominała słów, ale nie potrafiła porwać publiczności. Brakowało jej głębi. Tylko ona wiedziała dlaczego. Po prostu nie mogła.

– Chodźmy – oznajmiła Sandy, opróżniając butelkę. – Czas na Loughlina. Na pewno dasz sobie radę?

Maddy kiwnęła głową z udaną pewnością siebie. Jeżeli bała się Ryana, to Wally Loughlin ją wręcz przerażał. Był to bardzo zasadniczy człowiek, który pracował ze wszystkimi wielkimi, od Branda po Pacina. Bez względu na to, jak bardzo się go obawiała, jednocześnie podziwiała za to, co potrafi wyciągnąć ze studentów, nawet z niej. Dlatego podczas jego zajęć siedziała rozdarta między pragnieniem uczestniczenia w nich a chęcią ucieczki.

Dopiła piwo i wstała. Sandy miała rację, musi się nauczyć przyjmować krytykę, której im nie szczędzono. Musi mieć twardszą i grubszą skórę. Musi nauczyć się walczyć, a nie odchodzić ze łzami w oczach tylko dlatego, że zdaniem Ryana jest do niczego. Skąd on może to wiedzieć? Podniesiona nieco na duchu wyszła za Sandy z baru. Wjechały windą na drugie piętro, gdzie odbywały się cotygodniowe lekcje improwizacji z Loughlinem.

Sala była już pełna. Koleżanka znalazła kilka wolnych miejsc z tyłu, co Maddy

przyjęła z ulgą. Parę minut później pojawił się Loughlin. Nie tracił czasu na sprawdzanie listy, wybrał kilku studentów i dał im pięć minut na przygotowanie dwuminutowego występu na zadany przez siebie temat. Dziesięciu delikwentów zachichotało nerwowo, usiłując wymyślić coś, co nie tylko zadowoliłoby nauczyciela, ale zrobiło na nim wrażenie. Trudne zadanie. Jeszcze nikomu nie udało się tego dokonać. Maddy siedziała z brodą opartą na dłoni, patrząc z niemym podziwem, jak wydaje studentom polecenia.

– Strach! Zazdrość! Pożądanie! Pokaż nienawiść! – wrzasnął Loughlin do chłopaka, który miał zagrać zazdrość. – Zapiękłą nienawiść.

Nagle usłyszała to, czego obawiała się przez cały semestr.

– Stiller! – Zamarła. – Chodź tutaj. Twoja kolej. Pokaż smutek. – Patrzył na nią groźnie, gdy szła niepewnie na środek sali. – Masz dwie minuty. Pokaż, jak to powinno wyglądać.

Maddy poczuła suchość w gardle. Jak zwykle, gdy się denerwowała, temperatura jej ciała zaczęła spadać. Przez ciało przeszedł dreszcz. Przymknęła oczy i spróbowała wywołać w sobie emocje, o które prosił nauczyciel. Ale nie mogła. Nie miała punktu zaczepienia. Loughlin zakasłał. Spróbowała się skoncentrować. Smutek. Rozpacz. Łzy. Przełknęła ślinę. Loughlin ponownie zakasłał. Dłonie zaczęły ją świerzbic. Smutek. No dalej, Maddy – ponagliła siebie. Weź się w garść.

– Ja... – Otworzyła usta, lecz nie umiała zrobić nic więcej.

– Nie spiesz się, Stiller – powiedział z nutą ironii w głosie. – Ale jak dotąd nie widzę tego smutku.

Zmusiła się do koncentracji. Smutek. Kiedy ostatni raz go doświadczyła? Nie mogła sobie przypomnieć. Pociła się, choć było jej zimno. Pomyślała o farmie, o wyrazie twarzy matki w dniu, gdy wyjeżdżała do Nowego Jorku. Na pewno był w niej jakiś smutek. Ale w pamięci pozostał jedynie szczelny mur, którym odgradzała się od trudnych do zniesienia emocji. Poczwała, że się w sobie zamyka. Usta nagle wypełniły się śliną i zaczęło w niej wzbierać dobrze znane uczucie paniki.

Loughlin zsunął się ze stołka i podszedł do niej. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną. Stanął nad nią bez słowa i patrzył. Przez sekundę pomyślała, że chce ją uderzyć.

– Stiller! – ryknął.

Maddy podskoczyła, a ktoś na sali zaśmiał się nerwowo.

– Smutek! Gniew! Strach! – ryczał Loughlin, szturchając ją palcem.

– Ja... ja nie mogę – wydusiła z siebie, rozpaczliwie usiłując panować nad głosem.

– Nie możesz czy nie chcesz? – W jego niebieskich oczach pojawił się pogardliwy błysk.

Spojrzała na niego pokonana. Widziała, jak znęca się nad studentami, ale teraz było inaczej. Stała przed nim uwięziona we własnym strachu – strachu przed nim,

przed grupą, przed tym, co kazał jej zrobić. Żołądek zacisnął się jej w ciasny węzeł. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. W gardle poczuła mdły, metaliczny smak łez.

Och, nie – pomyślała. Nie mogę się przed nim rozplakać.

– Ja... – spróbowała jeszcze, ale język odmówił posłuszeństwa.

– Tak myślałem. – Loughlin rzucił jej pogardliwe spojrzenie. – Wynoś się, Stiller. Widocznie nie masz w sobie tego, co potrzeba. Następny! Anderson. Chodź tutaj. Pokaż wszystkim, jak to należy zrobić.

Widownia odpowiedziała zakłopotanym chrząknięciem.

Maddy stała jak skamieniała, niezdolna tego pojąć. Todd Anderson, wysoki, niemożliwie przystojny i niebywale zdolny chłopak, wyszedł pewnym siebie krokiem na środek sali. Udał, że jej nie widzi, gdy przygotowywał się do odegrania tego, czego ona nie potrafiła. Nie pozostało nic innego, jak szybko wyjść. Rzuciła się pędem do drzwi.

Mniej niż pół godziny zajęło jej opróżnienie szafy i wepchnięcie rzeczy do walizki. Łzy spływały jej po policzkach, ale ich nie czuła. Serce tłukło się w piersi. Nikt nigdy tak jej nie upokorzył. W uszach brzmiały jej słowa Loughlina: „Widocznie nie masz w sobie tego czegoś. Głęb ze Środkowego Zachodu”. Chyba rzeczywiście nie miała w sobie tego, co potrzeba. Lepiej się stąd wynieść, zanim znowu ją upokorzą.

Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Sandy. Rozchyliła usta ze zdziwienia, gdy zobaczyła walizkę współlokatorki.

– Co ty robisz? Chyba nie chcesz zrezygnować?

Maddy wzięła sweter, złożyła go i umieściła w walizce. Miała nadzieję, że głos jej nie drży.

– Loughlin ma rację. Nie nadaję się do tego. Nie wiem, co sobie myślałam...

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Sandy z niedowierzaniem. – Kilka złych dni i już chcesz zrezygnować?

– To nie są tylko złe dni – zaprotestowała Maddy. – Loughlin ma rację. Ja... Trzeba mieć talent. Nie wystarczy chcieć grać. Ja widocznie go nie mam.

– Bzdura. Przecież jesteśmy tu dopiero trzy miesiące. Nie możesz zrezygnować przed końcem pierwszego semestru. To absurdalne.

– To wcale nie jest absurdalne. – Maddy z trzaskiem zamknęła wieko walizki. – Nie jestem taka jak ty. Wychowałam się na farmie w Iowa. Chciałabym mieć twoją pewność siebie. Ty tu dorastałaś, podróżowałaś po świecie, jesteś twarda. A ja jestem tylko wiejską dziewczyną.

– Przystaniesz wreszcie? Maddy, wszyscy się boimy. Wszyscy przeżywamy trudne chwile, nie tylko ty.

– Nie w tym rzecz. Wiem, że wszyscy przeżywają trudne chwile. Ale ja nie jestem dobra, Sandy. Nie potrafię tego robić. Po prostu nie umiem. Za każdym razem, gdy

żąda ode mnie tych... tych emocji... nie mogę.

– Dlatego, że się kontrolujesz. Nie myśl, że nie wiem, co się z tobą dzieje.

Sądziś, że nie wiem, gdzie znikasz każdej nocy?

Maddy zaniemówiła. Dreszcz wstydu przebiegł jej po plecach.

– O czym ty mówisz? – wyszeptała, bo głos odmówił jej posłuszeństwa.

– Daj spokój, to oczywiste. Przez cały dzień nic nie jesz, a potem wpychasz w siebie to całe gówno. Myślisz, że nie wiem?

Zapadła cisza. Maddy poczuła, że kolana się pod nią uginają. Usiadła ciężko na brzegu łóżka. Głowa jej ciążyła, a w piersi nagle zabrakło powietrza. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz na próżno. Ogarnął ją wstyd. Ktoś odkrył jej mały, brzydki sekret.

– Ja... ja – wymamrotała, nie mając odwagi spojrzeć Sandy w oczy.

– Nie musisz się tłumaczyć. Wiem, co się dzieje. Zapomniałaś, że moja mama jest psychoanalitykiem? Potrzebujesz pomocy. Rezygnacja to żadne wyjście.

Oczy Maddy napełniły się łzami. Pomocy? Jak ktoś mógłby jej pomóc, skoro ona sama nie wie, co jest z nią nie tak?

– Ja... – spróbowała wydobyć z siebie głos. – Nic mi nie jest – bąknęła, ocierając łzy. – Jestem tylko trochę zmęczona.

Sandy popatrzyła na nią spod przymkniętych powiek. W końcu wzruszyła ramionami i uniosła rękę.

– W porządku. Jak chcesz – powiedziała.

Jeszcze raz na nią spojrzała, po czym wyszła z pokoju.

Maddy została sama. Popatrzyła na dłonie. Trzęsły się. Miała wrażenie, że całe ciało ją pali. O mały włos, a prawda wyszłaby na jaw. I to wszystko jej wina. Popełniła błąd, pozwalając zanedo zblżyć się do siebie. Była nieostrożna, odsłoniła się. Musi dopilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło. Bardzo lubiła Sandy i była jej wdzięczna za to, że znalazła przyjaciółkę w tym zimnym, obcym mieście, ale nie mogła pozwolić sobie na zbyt dużą bliskość. Musi polegać tylko na sobie, jak zawsze zresztą. Tak było bezpieczniej.

NIELA

Wiedeń, styczeń 1992

Można powiedzieć bez cienia wątpliwości, że najtrudniejsze było czekanie. Poczynając od kilometrowych kolejek, które tworzyły się przed świtem przy magazynie, gdzie wydawano paczki żywnościowe, po niekończące się oczekiwanie na wizy, każdy dzień polegał na naznaczonym niepokojem czekaniu. Niela już dawno zapomniała, jak to jest nie czekać. Zadziwiające było, jak szybko to zaakceptowali. Przyzwyczaiała się, że ojciec wychodzi rano i wraca bez żadnych wieści. Stało się to dla niej czymś prawie normalnym, zupełnie jakby szedł do pracy. Wstawał przed świtem, ubierał się w ciemności i wychodził przed namiot odmówić modlitwę. Potem wstawała matka, szukając po omacku zapalek leżących na radiu. W milczeniu zapalała pod kuchnią i szykowała mężowi śniadanie, tak jak kiedyś robiły to za nią służące. Podawała mu kawę i njerę, kwaśny placek etiopski, którego Niela nienawidziła, oraz tak jak kiedyś jajka, łososia z siekaną pietruszką i szklanę zimnego świeżego soku z pomarańczy. Jadł szybko, zatrzymując się jedynie po to, by wytrzeć usta i wygładzić brodę, po czym ruszał do biur oenzetowskich, gdzie czekał przez cały dzień na rozmowę lub na informację, pozwalającą posunąć o krok naprzód sprawę ich wyjazdu z kraju. Tylko on wiedział, ile musiał znieść, przechodząc te pięć kilometrów i odpowiadając potulnie i z właściwą dozą służalczości na pytania zadawane przez urzędników niewiele starszych od jego córki, a wszystko po to, żeby wy dostać stąd rodzinę całą i zdrową.

Pewnego ranka, jakieś trzy miesiące od ich przyjazdu do obozu, Niela kroїła cebulę niezbyt ostrym nożem, siedząc w kucki, gdy usłyszała jakieś zamieszanie na zewnątrz. Odchyliła połę namiotu i wyjrzała. Piaszczystą drogą biegli ludzie. Popatrzyła na matkę.

– Krój cebulę – poleciała jej pani Aden, przytrzymując połę namiotu.

Nieustannie martwiła się, że mężczyźni oglądają się za córką. Jakby ktokolwiek się za nią oglądał – pomyślała Niela rozbawiona. W Mogadiszu myła się trzy, cztery razy dziennie, a raz w tygodniu chodziła z matką do salonu fryzjerskiego, gdzie myto jej głowę, nakładano odżywkę i zaplatano włosy. Tutaj chodziła dwa razy w tygodniu do baraku dla kobiet, aby wziąć prysznic, i myła włosy mydłem bez żadnych odżywek. To cud, że ktoś jeszcze dostrzegał w niej kobietę, nie mówiąc już o czymś tak nieistotnym jak uroda. Już dawno zrezygnowała z patrzenia w lustro.

Przez szparę w namiocie zobaczyła biegnących sąsiadów. Wśród nich był pan

Aden, który wymachiwał jakimiś papierami. Rzuciła nóż i nie zwracając uwagi na ostrzeżenie matki, w dwóch skokach znalazła się na dworze. Jej oczom ukazał się ojciec w rozwianej, długiej białej dżebelli, z różańcem kiwającym się na boki. Otworzyła usta ze zdziwienia. Po raz pierwszy widziała go biegnącego.

– Dostali wizy! Jadą do Austrii!

Ludzie krzyczeli i śmiali się podekscytowani. Serce Nieli zaczęło mocniej bić, gdy wpatrywała się w twarz ojca. Tak długo na to czekali. To niemożliwe. To nie może być prawda.

Okazało się, że może. Po tygodniach i miesiącach nieustannych próśb sprawa Hassana trafiła wreszcie do właściwego wydziału i dotarła do właściwych uszu. Nikt nie wie, ile człowiek ma w sobie siły – myślała tej nocy Niela, wsłuchując się w szepty rodziców. Bóg jedynie był świadkiem tego, ile musieli znieść w ciągu ostatnich miesięcy, żeby utrzymać rodzinę. Ale dopięli swego. Udało im się załatwić wizy, dzięki którym mogli wyjechać z Afryki i rozpocząć nowe życie.

Niecały tydzień zajęło im spakowanie skromnego dobytku, podróż z Hartisheku do Addis Abeby, a stamtąd nareszcie do Wiednia. Kiedy samolot unoszący Adenów i inne rodziny, których przerażone twarze zdradzały status uchodźcy, obrał kierunek północny, Niela spojrzała na połyskujące w dole Morze Czerwone. Poczowała, że traci bezpowrotnie jakąś część siebie. Tym razem jednak patrzyła z optymizmem w przyszłość, czując, że po raz trzeci w ciągu kilku miesięcy się odradza.

Wiedeń. Miasto, kraj, cały kontynent przykrywała gruba warstwa śniegu. Gdy przyjechali, trwała tu w najlepsze zima. Dni przypominały krótkie przerwy między zaskakująco długimi nocami. Każdego ranka Niela wychodziła z ciepłego mieszkania stryja Raageha prosto na siarczysty mróz. Obszerny, wygodny apartament mieścił się na pierwszym piętrze starej kamienicy przy Wallnerstrasse, niedaleko parków Volksgarten i Rathaus, które skrzyły się niczym klejnoty, pokryte grubą powłoką zmrożonego śniegu. Codziennie, udając się na obowiązkowe lekcje niemieckiego, Niela z braćmi szli brzegiem Dunaju w ubraniach pożyczonych od sąsiadów i przyjaciół dla ochrony przed chłodem.

– *Ich fahre, du fährst, er fährt.* – Nauczycielka zamilkła i spojrzała na siedzącą przed nią grupę obcokrajowców. – *Jetzt bitte wiederholen Sie...*

Niela przyłączyła się do chóru głosów powtarzających odmianę czasownika *fahren*. Po trzech miesiącach zaczynała się wreszcie oswajać z trudnym językiem. Nie stała już skępowana w supermarkecie, pokazując palcem na potrzebne jej rzeczy, których nie umiała nazwać. Nie kręciła głową sfrustrowana, gdy ktoś się do niej odezwał. Poszczególne słowa, jak nuty w trudnym utworze muzycznym, zaczęły się wreszcie układać w harmonijną całość. Pomogło również to, że kuzynka Ayanna, jedyna jak dotąd przyjaciółka, mówiła tylko po niemiecku i trochę po angielsku. Niela jak przez mgłę pamiętała zamieszanie, jakie powstało w rodzinie, gdy stryj Raageh odmówił poślubienia wybranej dla niego somalijskiej dziewczyny i ożenił się ze swą austriacką przyjaciółką. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś miałby mieć coś przeciwko temu – przecież ze związku z ciocią Ulli narodziła się Ayanna, nie tylko najpiękniejsza, ale również najmilsza młoda kobieta, jaką Niela знаła. Miała dwadzieścia lat i była tylko dwa lata od niej starsza, ale równie dobrze mogła pochodzić z innej planety. Studiowała na drugim roku psychologii i nadal mieszkała z rodzicami. W jej dużym, prawie pustym pokoju na końcu korytarza stały teraz walizki Adenów, ona sama większość czasu spędzała w mieszkaniu swojego chłopaka w innej części miasta. Niela ze zdumieniem to obserwowała. Jej kuzynka nie była mężatką, a mimo to nocowała u obcego mężczyzny, w dodatku narodowości tureckiej, nie somalijskiej. Stryj Raageh nie widział w tym jednak nic złego. Kiedyś pan Aden spytał go, jak mógł do tego dopuścić.

– Och, Hassanie, oni wszyscy tak robią – odpowiedział mu brat ze śmiechem. – Co niby miałem zrobić? Przecież jej nie zabronię. Lepiej, żebyśmy wiedzieli, gdzie ona jest.

Niela nie usłyszała odpowiedzi ojca. Nie była pewna, czy chce ją usłyszeć.

Kiedy przyszła wiosna i miasto wyzwoliło się z okowów śniegu, Adenowie zaczęli wreszcie układać sobie życie. Hassan znalazł pracę, chociaż nie odpowiadała ona jego kwalifikacjom. Teraz miał tylko jeden cel – zapewnić rodzinie środki do życia. Dlatego przyjął posadę księgowego u tureckiego hurtownika. Wychodził rano i wracał wieczorem. Nie mówił o swojej pracy, a rodzina o nią nie pytała. Komisja lokalowa znalazła im małe mieszkanie w dzielnicy Simmering, w południowej części miasta. Matka Nieli zajmowała się gotowaniem i sprzątaniami, tak jak w Mogadiszu, tylko nie miała do pomocy szóstki służących i wsparcia przyjaciółek.

W czerwcu, po czterech miesiącach nauki języka, Korfa i Raageh mówili po niemiecku na tyle płynnie, że mogli pójść do szkoły. Niela nie miała tyle szczęścia. Na szkołę średnią była za stara, a niemiecki znała jeszcze zbyt słabo, aby przystąpić do egzaminów na uniwersytet, o ile oczywiście sytuacja finansowa by na to pozwalała. Tkwiła więc w dziwnym zawieszaniu. Przeszłość zamknęła za sobą drzwi, a przyszłość przedstawiała się zbyt mgliście, by w nią uwierzyć. Dziewczyna czekała więc w przedsionku dzielącym dwa światy – ten, do którego już nie należała, i drugi, do którego jeszcze nie mogła należeć. Kiedy jej znajomość niemieckiego się poprawiła, a chłopców wciągnęło szkolne życie, stała się oczami i uszami rodziny. Tłumaczyła otaczający ich świat i wydarzenia oraz starała się, by nowe życie nabrało sensu. Z początku się przed tym broniła. Ojciec i bracia wychodzili rano i wracali wieczorem, a ona musiała sprzątać, gotować, a potem obsługiwała mężczyzn, gdy wracali do domu. Nużyła ją ta rutyna, dlatego zaczęła się rozglądać za jakimś zajęciem.

Fascynowały ją wzajemne relacje stryja i jego córki. Raageh był adwokatem. Po wyjątkowo ciężkim dniu w sądzie wracał do domu, poluzowywał krawat i jeśli Ayanna i Niela były w pobliżu, zapraszał je do gabinetu zastawionego regałami z książkami.

– Chodźcie, rozstawcie szachownicę. Miałem piekielny dzień. Zagrajmy partyjkę.

Grali więc w szachy, Ayanna z Nielą po jednej stronie, a Raageh po drugiej, dopóki nie pojawiła się stryjenka Ulli z winem i serem. Wtedy przychodził czas na rozmowę. Niela zawsze czuła się blisko związana z rodzicami, ale tutaj odnajdowała inny rodzaj bliskości. Z rodzicami nie mogłaby rozmawiać tak jak ze stryjostwem, na różne tematy. O życiu, polityce, a nawet o chłopcach. Czerwieniła się ze wstydu, gdy Ayanna dyskutowała z matką o sprawach, o których ona sama nie miała odwagi pomyśleć, a co dopiero mówić o nich matce. Chociaż bardzo kochała rodziców, przysłuchując się Ulli, Raagehowi i kuzynce, zaczynała rozumieć, że powściągliwość i brak elastyczności ojca, które to cechy przydawały się w Somalii, w Europie są bezużyteczne. Należało się zmienić i przystosować, nauczyć się podążać z duchem czasu, a nie przeciw niemu. Gdy pewnego wieczoru podczas kolacji siedziała przy stole między rodzicami, obok Ayanny, stryja i stryjenki, doznała silnego, nieprzyjemnego uczucia, że dwa bieguny jej życia, zamiast przyciągać, odpychają się. Z jednego trzeba było zrezygnować. I to jak najszybciej.

12

– Umiesz pisać na maszynie? – Siedząca naprzeciwko Nieli kobieta w średnim wieku spojrzała na nią podejrzliwie.

Dziewczyna kiwnęła energicznie głową.

– Tak, całkiem niezłe – potwierdziła z pewnością siebie, choć wcale jej nie miała.

– A gromadzić dokumentację?

Ponownie skinęła głową. Kobieta zmierzyła ją spojrzeniem od stóp do głowy, zacisnęła wargi i podjęła natychmiastową decyzję.

– Dobrze. Wezmę cię na miesiąc, a potem zobaczymy. *Gut?*

Niela poczuła przyływ ulgi.

– Och, dziękuję, Frau Henschler. Bardzo dziękuję.

– *Nichts zu danken.* Zobaczymy, jak sobie poradzisz. Możesz zacząć od poniedziałku od dziewiątej rano. Proszę przyjść punktualnie.

– Przyjdę, oczywiście. Jeszcze raz dziękuję – bąknęła, podnosząc się z miejsca, gdy kobieta wstała.

Opuściła małe biuro, walcząc z pokusą, by przebić pięścią powietrze. Znalazła pracę! Po pięciu miesiącach uczenia się i osvajania z językiem znalazła zajęcie. Nie mogła w to uwierzyć. Jak każdego ranka szła Simmeringhauptstrasse do sklepu spożywczego, gdy pod wpływem impulsu postanowiła skrócić sobie drogę przez cmentarz. Przypominał bardziej park niż miejsce, gdzie chowają zmarłych. Niela szła wśród starannie utrzymanych grobów, zatrzymując się od czasu do czasu, by przeczytać inskrypcje i pomyśleć o leżących tu osobach. Wyszła na ulicę i znalazła się w miejscu, którego w ogóle nie знаła. Stojące tu domy miały charakter przemysłowy i mieściły się w nich małe rodzinne interesy – takie dziwne fabryczki. Mijała właśnie jedną z nich, gdy na szybie okiennej zauważyła ogłoszenie: „Potrzebna pomoc biurowa. Musi umieć pisać na maszynie i mówić płynnie po angielsku”. Weszła do środka bez zastanowienia. Pół godziny później miała pracę.

– Pracę? – zapytała matka, przerywając obieranie cebuli i mierząc córkę podejrzliwym spojrzeniem. – Nie rozumiem. Jaką pracę? Co ojciec na to powie?

– A co on ma do tego? – odparła zaskoczona Niela.

– Należało go najpierw zapytać.

Popatrzyła na matkę z niedowierzaniem.

– *Uma*, potrzebujemy pieniędzy. Poza tym nie mogę siedzieć cały dzień w domu.

– To ojciec ma zarabiać pieniądze, nie ty. I nie siedzisz beczynnym w domu cały dzień. Trzeba sprzątać i gotować. Miałaś mi pomagać w kuchni, a nie chodzić do pracy.

– *Uma*, miałam przecież iść na uniwersytet – zaprotestowała dziewczyna, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. – Nie chcę tylko sprzątać i gotować.

– Sytuacja się zmieniła, Nielo.

– Ale nie mogę tak siedzieć i czekać. Od roku nie robię nic konkretnego...

– Nic konkretnego? – powtórzyła matka. – W takim razie jak to nazwiesz? – spytała, wskazując na krojoną cebulę.

Niela otworzyła usta, po czym je na powrót zamknęła. Nie było sensu kłócić się z matką. Od przyjazdu do Austrii czuła rosnący między nimi dystans. Był wynikiem zmian, jakie zaszły w ich życiu, i obowiązków, które na nią spadły – zakupy, drobne sprawunki, rachunki, kontakt z władzami. Nie chodziło o to, że Saira czuła się tym dotknięta, ale zachwiała się równowaga sił między nimi. Nic bardziej nie gniewało matki niż utrata pozycji. Niela nie potrafiła jej wyjaśnić, że nie straciła autorytetu tylko dlatego, że córka mówi po niemiecku, a ona nie, albo że lepiej radzi sobie w nowym życiu. Wprost przeciwnie. Popatrzyła na matkę i westchnęła.

– Nie chcę się z tobą kłócić – powiedziała, siląc się na pojednawczy ton.

– Kłócić? Od kiedy to kłócisz się ze mną? – W pani Aden powoli zaczął wzbierać gniew.

Niela ponownie westchnęła. Cokolwiek ostatnio powiedziała, jej matka uważała to za niewłaściwie. Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Przepraszam, *uma*. Ja... to dlatego, że jestem zmęczona.

– Zmęczona? Spróbuj gotować i sprzątać przez cały dzień, a dopiero wtedy powiedz, że jesteś zmęczona. Nie wiem, co robisz, wałęsając się wciąż po mieście. Ty i ta twoja kuzynka. Doprawdy nie pojmuję, co w ciebie wstąpiło. I wcale tego nie pochwalam. Nie wiem, co ojciec by na to powiedział.

Niela miała na końcu języka, że nic go to nie obchodzi, ale moment nie był odpowiedni na konfrontację. Słuchała jednym uchem wymówek matki, po czym uciekła z kuchni pod byle pretekstem. Przeszła korytarzem do swojego pokoiku i zamknęła drzwi. Położyła się na łóżku, wsłuchując w stłumione odgłosy miasta za oknem. Autobus przejechał z warkotem, gdzieś w oddali trwał remont jezdni, płakało dziecko. Po nieustannej kanonadzie moździerzy i ostrzale artyleryjskim, który towarzyszył im w Somalii, dźwięki dochodzące z wiedeńskiej ulicy działały kojąco, uspokajająco. Były oznaką normalności w świecie, który chwilowo oszalał. Kłótnia z matką – jeżeli można tak to nazwać – nie opuszczała jej myśli. Czuła gorycz. I wciąż miała wrażenie, że najgorsze jeszcze nie nadeszło.

W poniedziałek rano, punktualnie o dziewiątej, czekała przed wejściem do firmy Bünchl u. Sohne, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Frau Henschler otworzyła drzwi i kiwnęła z aprobatą głową.

– Herr Bünchl jest już w biurze – poinformowała, idąc korytarzem do pomieszczenia, w którym Niela miała pracować. W powietrzu unosił się zapach lekko przypalanej kawy. – Tu możesz powiesić palto – dodała, wskazując na małą

szafę. – Pokój śniadaniowy jest tam. Codziennie o jedenastej mamy przerwę na kawę i herbatniki. – Otworzyła drzwi do małego pokoju. Siedziały w nim dwie kobiety. – Lisel i Margarethe, to jest Niela, nowa pracownica. Zaczyna od dzisiaj. – Frau Henschler dokonała prezentacji.

Lisel miała niewiele ponad trzydzieści lat i była uśmiechniętą tlenioną blondynką, nieustannie żującą gumę. Machnęła Nieli ręką, gdy ta zajęła miejsce naprzeciwko niej. Margarethe, starsza z kobiet, okazała się bardziej powściągliwa. Powitała nową koleżankę uprzejmie, ale dała jasno do zrozumienia, że niełatwo się zaprzyjaźnia. Pracowała w firmie prawie dwadzieścia lat i to ona tu rządziła. Niela nie przejęła się chłodnym przyjęciem. Ciotka Rawia, starsza siostra matki, była taka sama. Wszyscy musieli ulegać jej dziwacznym kaprysom. Z Margarethe pewnie będzie podobnie.

Praca Nieli pomimo sprzeciwów matki wniosła spokój do ich domu. Saira przestała zaciskać usta z dezaprobatą na widok wracającej córki, a Raageh i Korfa patrzyli jeden na drugiego, niepewni, który pierwszy może ją uściskać. Był to znak, że oddaliła się od rodziny. Chłopcy traktowali ją teraz z rodzajem podziwu graniczącego ze strachem. Matka zaakceptowała w końcu to, że ojciec nie dowie się o nowym przedsięwzięciu córki, która co tydzień wręczała jej kopertę, uzupełniając w sposób dyskretny, ale mile widziany, skromną pensję Hassana i zasiłek od państwa. Tak właśnie załatwiano sprawy w Somalii – po cichu, bez konfrontacji i, co ważniejsze, bez utraty twarzy. Niela zaczynała rozumieć, jakie to ważne, nie tyle dla niej, ile dla rodziny.

Pracowała w firmie Bünchl u. Sohne prawie od trzech miesięcy, gdy w deszczowe wtorkowe popołudnie Lisel zatrzymała się przy jej biurku i spytała, czy pojedzie z nimi na Oktoberfest do Mistelbach. Niela popatrzyła na nią przerażona.

– Co to jest Oktoberfest? – spytała.

– To święto piwa. Wspaniała zabawa. Herr Bünchl zamawia dla nas autokar. Jedź z nami.

Dziewczyna pokręciła głową.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale nie. Mój ojciec się na to nie zgodzi.

– Dlaczego nie? Co jest złego w Oktoberfeście? – spytała Lisel zaskoczona. – Przecież wszyscy w nim uczestniczą. To święto narodowe.

– Ja... zapytam, ale nie sądzę, by mi pozwolił.

– Zapytaj. Będzie miło, zobaczysz. Dotąd nigdzie z nami nie byłaś.

– Uważasz więc, że nie powinnam ich pytać?

Niela popatrzyła na kuzynkę z powątpiewaniem. Ayanna nakładała srebrny cień na powieki. Cofnęła się, by obejrzeć efekt w lustrze.

– Absolutnie nie – odparła z mocą. – Powiedz, że zostajesz u mnie.

– A jeżeli zadzwonią i będą chcieli ze mną rozmawiać? A jeżeli mój tata

zadzwoń do twojego i...

– Nielo, przestań się zamartwiać. Chociaż raz w życiu baw się dobrze. Tylko zadzwoń, jak wrócisz do Wiednia, to wyjdę po ciebie na przystanek tramwajowy. Nikt nawet nie zauważy, że cię nie było.

– Skoro tak mówisz – odrzekła z wahaniem, ale dreszczyk ekscytacji przebiegł jej po plecach. – A w co się ubiorę? Nigdy nie byłam na przyjęciu.

– To Oktoberfest. Możesz włożyć, co chcesz. Na przykład to.

Ayanna wyciągnęła czarny sweter z dekoltem w serek i napisem „Fame” z cekinów. Niela popatrzyła podejrzliwie na proponowany jej strój.

– Czy nie jest trochę... zbyt mocno wycięty? – spytała z niepokojem w głosie.

– Zbyt mocno wycięty? Przecież to sweter! – Ayanna się zaśmiała. – Zobacz. – Przyłożyła go do piersi kuzynki. – Do tego dzinsy. Jest ładny i prosty. Idziesz na Oktoberfest, nie do opery. No, przymierz.

Niela ściągnęła przez głowę koszulową bluzkę, włożyła sweter i odwróciła się do lustra. Wyglądała jak te młode dziewczyny, które widziała co rano idące do szkoły, do pracy czy na uniwersytet. Różniła się od nich jedynie kolorem skóry.

– Masz wspaniałą figurę – stwierdziła z podziwem Ayanna. – Nie wiem, czemu ją zakrywasz.

Niela zaczerwieniła się ze wstydu. Pospiesznie zdjęła sweter, włożyła bluzkę i chwyciła torbę. Myśl o okłamaniu rodziców napawała ją przerażeniem.

– Zadzwoń do ciebie – powiedziała i prędko ruszyła w stronę drzwi, zanim Ayanna zdążyła się odezwać. – I proszę, nic nikomu nie mów. Nie wiem jeszcze, czy pojedę.

– Oczywiście, że pojedziesz. Ja wybieram się na Prater. Jeżeli wcześniej wrócisz, może przyłączysz się do nas?

Niela nie odpowiedziała. Miała okłamać rodziców, pojechać do Mistelbach, a potem pójść jeszcze z Ayanną na Prater? To stanowczo zbyt wiele.

– Na razie – mruknęła, otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz.

Stryjenka była w kuchni, ale dziewczyna nawet się z nią nie pożegnała. Pragnęła jak najszybciej wrócić do domu, zamknąć się w swoim pokoju i ukryć twarz w poduszce. Coś wisiało w powietrzu, czuła to. A okłamanie rodziców było jedynie częścią tego czegoś.

*

– Masz, spróbuj. To nie gryzie. – Lisel zachichotała, podając jej kufel piwa. – Albo zmieni cię w alkoholiczkę, albo w coś jeszcze, czego wy się boicie.

Niela wzięła ostrożnie kufel do ręki.

– Nie wszyscy tacy jesteśmy – odparła łagodnie. – Niektórzy z nas piją. Mój tata na przykład. Od czasu do czasu.

– Tylko nie ty.

– Och, piłam już wino. I raz szampana.

– Ja tylko żartowałam – Lisel znów się zaśmiała. – Masz rację. Alkohol to nic dobrego. – Podniosła szklanę i opróżniła ją jednym haustem. – Jeszcze jedno?

Niela wybuchnęła śmiechem. Pokręciła przecząco głową. Rzeczywiście piła kiedyś wino, ale nigdy nie próbowała piwa i miała wątpliwości, czy jeszcze kiedyś go spróbuje. Było kwaśne i zimne. Patrzyła zaskoczona, jak Lisel napełnia czwartą szklanę. Ona sama wciąż trzymała w ręku ten sam kufel, który wręczyli jej pracownicy fabryki na początku imprezy. Rozejrzała się po ogromnym namiocie. Trudno było zrozumieć, dlaczego wszyscy ekscytowali się tym Oktoberfestem. Prawie cały ranek spędzili w autobusie, a ona w tym czasie walczyła z paniką ściskającą żołądek na myśl o tym, co będzie, jeżeli jej kłamstwo wyjdzie na jaw.

Impreza ciągnęła się godzinami. Dochodziła jedenasta, gdy autokar zajechał na plac przed katedrą Świętego Stefana. Niela usypiała z głową opartą o szybę. Miała wrażenie, że język przykleił się jej do podniebienia. Spojrzała nerwowo na zegarek. Na szczęście czekał ją tylko krótki spacer od katedry do mieszkania stryja Raageha. Wsiadła wraz z innymi z autokaru i ruszyła pośpiesznie przez park.

W pokoju Ayanny paliło się światło. Wróciła już zatem z Prateru albo właśnie wychodziła. Niela odetchnęła z ulgą, otwierając drzwi do klatki schodowej. Po dwóch sekundach zorientowała się, że ktoś czeka na nią w korytarzu. Nogi się pod nią ugięły. Ojciec. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Z tyłu dostrzegła sylwetkę matki. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz nie wydobyła z siebie żadnego słowa.

– Chodź tutaj – warknął pan Aden.

– Hassanie – zaczęła matka, unosząc chusteczkę do oczu. – Hassanie, proszę cię...

Przez chwilę Niela sądziła, że ojciec ją uderzy. W tym momencie zza jego pleców wyłoniła się stryjenka i popatrzyła na nich w zdumieniu.

– Czyj to był pomysł? – spytała po niemiecku. – Ayanny?

Niela pokręciła głową, przerażona.

– Nie, mój, ja...

– Zamilcz! – ryknął nagle ojciec. – Nie waż się mówić tym językiem w mojej obecności!

– Hassanie, proszę cię – zabrzmiał głos stryja, który dołączył do żony. Położył uspokajająco rękę na ramieniu brata. – To nie czas i miejsce. Jest prawie północ. Wejdźmy do środka. Pozwólmy dziewczynie się wytłumaczyć. Ona...

– Dziwka. – Ojciec pokręcił głową z obrzydzeniem i niedowierzaniem. – Dziwka!

– Hassanie! – zawołała matka. – Przestań, błagam cię.

– Proszę, wejdźmy do środka. – Stryj Raageh był wyraźnie zdenerwowany. – Porozmawiajmy o tym w mieszkaniu.

– Tak cię wychowaliśmy? Żebyś wymykała się jak zwykła prostytutka? Bez cienia przyzwoitości i wstydu?

Ojciec coraz bardziej się nakręcał. Znała jego wybuchy wściekłości. Nie będzie spokojnej rozmowy. Raz wzniecony gniew trudno było ugasić. Nielę przeszedł dreszcz. Przecież nie zrobiłam nic złego – pomyślała. Spuściła głowę i słuchała w milczeniu gniewnych oskarżeń i gróźb ojca. „Natychniast wróci do domu. Zostanie zamknięta w pokoju pod kluczem. Nigdy więcej nie wyjdzie z domu. Ta cała praca – od początku było wiadomo, że ściągnie na nią kłopoty. Powinien się tego domyślić. Jak mogła wyjść z domu i nikomu nie powiedzieć ani słowa?” Wściekał się i wściekał. Nagle zrozumiała, że on gniewa się nie tylko na nią.

Starannie unikając wzroku matki, patrzyła w podłogę, czekając, aż opadną wezbrane wody.

Stryj Raageh odwiózł ich do domu. Dochodziła pierwsza, gdy zatrzymali się przed mieszkaniem w Simmering. Ze sposobu, w jaki matka wypchnęła ją z samochodu, zostawiając braci samych, wywnioskowała, że czeka ją kolejne kazanie. Poszła za nią do salonu, zastanawiając się, ile jeszcze zdoła wytrzymać. Ale Saira ją zaskoczyła.

– Nielo – powiedziała łagodnie, odwracając się do niej i dając znak, by usiadła. – Nie tak się powinnaś do tego zabrać.

– Do czego? – spytała, nie bardzo rozumiejąc.

Matka wolno odwinęła szal, usiadła na kanapie i poklepała miejsce obok siebie.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. To trudne dla nas wszystkich, zwłaszcza dla ojca. To nie jest łatwe, no wiesz... dla mężczyzny z jego pozycją. Przyniosłaś wstyd jemu i jego bratu.

– Ale ja nic nie zrobiłam! – wykrzyknęła Niela, wybuchając płaczem. – Ja tylko...

– Okłamałaś nas, czy to mało?

– To dlatego, że nie pozwalacie mi nic robić. Nie wolno mi wychodzić z domu. Nie mogę mieć przyjaciół. Nie mogę nigdzie pójść, poznawać nowych ludzi, zrobić czegoś ze swoim życiem.

– Nielo, Nielo. Wszystko w swoim czasie. *Y'ani*... ty chcesz mieć wszystko naraz. Tak się nie robi. Nie z twoim ojcem. Jestem jego żoną od dwudziestu pięciu lat. Są inne sposoby na osiągnięcie tego, czego chcesz. Nie trzeba zaraz doprowadzać do scysji.

– Co masz na myśli?

Matka popatrzyła na nią z uwagą.

– Masz prawie dwadzieścia lat. Wiem, że sprawy nie potoczyły się tak, jak byś chciała, jak byśmy wszyscy chcieli. Ale tak już jest. Teraz musimy na nowo ułożyć sobie życie. Ty też.

– Jak mogę to zrobić, skoro przez cały czas trzymacie mnie pod kluczem?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Saira odwróciła się ku niej i wzięła jej rękę w swoje.

– Nielo, zwrócono się do nas z propozycją...

Dziewczyna popatrzyła na nią ze ściśniętym sercem.

– Z jaką propozycją? – spytała podejrziwym tonem, cofając rękę.

– To daleki krewny ze strony ojca. On...

Niela zerwała się z kanapy.

– Nie! Nie! – Poczwała rosnącą panikę. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Nielo...

– Nie! – Cofnęła się, omal nie przewracając małej szafki stojącej przy drzwiach.

– To tylko propozycja. On jest bardzo szanowanym człowiekiem. Mieszka

w Niemczech i...

– Nie możecie mnie do tego zmusić!

Drzwi do pokoju braci otworzyły się i wyrzały przez nie dwie głowy. Dziewczyna przebiegła obok nich oślepią łzami, wpadła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko, nie dbając o to, co ojciec czy ktokolwiek inny sobie pomyśli. Nie mogła uwierzyć, że to ją spotyka. Chcą ją wydać za mąż, właśnie ją. Miała tyle planów – wstąpić na uniwersytet, zdobyć zawód, wybrać sobie męża, gdy przyjdzie na to pora. Tymczasem oni chcą oddać jej rękę kompletnie obcemu człowiekowi, nieważne, że dalekiemu krewnemu. Po co to wszystko było? Te namowy, żeby dobrze się uczyła, te podróże do Europy i wiara, że przyszłość należy do niej? Nigdy jej niczego nie zabraniali, dlaczego więc teraz? Pytania wirowały jej w głowie jak szalone, gotowe eksplodować. Słyszała, że rodzice kłócą się w salonie, matka coś mówi błagalnym głosem, wreszcie trzaskają zamykane drzwi. Słowa Sairy: „Zwrócono się do nas z propozycją” brzmiały w uszach Nieli raz głośniejsze, raz ciszsze, jak myśli, które napływają i oddalają się tuż przed zapadnięciem w sen. W końcu usnęła, zbyt zmęczona, by myśleć lub marzyć.

CZEŚĆ DRUGA

NIELA

Wiedeń, październik 1992

Jeżeli chociaż przez chwilę sądziła, że uda jej się przekonać rodziców do swoich racji, to grubo się myliła. Stała się więźniem we własnym domu. Nie wolno jej było wychodzić bez asysty. Korfa i Raageh spędzali cały dzień w szkole, a matka tkwiła w kuchni, dziewczyna nie miała więc żadnej możliwości ucieczki. Spędzała czas, leżąc w łóżku, zbyt zszokowana, by myśleć.

Pewnego ranka, jakiś tydzień po awanturze, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła matka. Rozsunęła zasłony i odwróciła się do córki.

– Czas wstawać – oznajmiła, ściągając kapę z łóżka. – Mamy dla ciebie wiadomości. Hamid zjawi się tu w sobotę. Musisz się przygotować.

Niela wytrzeszczyła na nią oczy. Poczowała suchość w ustach.

– Przygotować? *Uma*, nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. Nie zmuszaj mnie, błagam.

– Przestań dramatyzować – odparła spokojnie Saira. – I przestań myśleć tylko o sobie.

– Dlaczego mi to robicie? – Niela się rozplakała.

Matka cmoknęła językiem, jak zawsze gdy była zirytowana.

– O czym ty mówisz? Sama jesteś sobie winna. Nikt ci niczego nie robi. To dla twojego dobra, Nielo. Wszystko się jakoś ułoży.

– Nie, nie ułoży się. Ja nie chcę wychodzić za męża, *uma*. Dlaczego *abba* mi to robi? Dlaczego mu pozwoliłaś? – pytała dziewczyna, łkając.

Saira patrzyła na nią przez chwilę, po czym westchnęła, przysiadła ciężko na brzegu łóżka i poklepała niezdarnie córkę po rękę.

– On się boi.

– Boi się? Czego?

– O przyszłość. O to, co się z tobą stanie. Co się stanie z nami.

– *Uma*, przecież tak nie będzie zawsze. – Niela uniosła mokrą od łez twarz i rozejrzała się po pokoju. – Nie będziemy zawsze tu mieszkać.

– Och, dziecko, jesteś taka młoda i naiwna. A co się niby zmieni? Jesteśmy wygnańcami. Nie możemy wrócić.

Córka popatrzyła na nią.

– Nieprawda – odpowiedziała z uporem w głosie. – Jeszcze wszystko się zmieni.

– Twój ojciec ma prawie sześćdziesiąt lat. On się nie zmieni, nie przystosuje się jak wy, dzieci. Jego życie się skończyło, a twoje dopiero zaczyna. – Saira popatrzyła

na nią z czułością. – Myślisz, że ojciec wydałby cię za męża za kogoś nieodpowiedniego? Kogoś, kto nie dbałby o ciebie? Dokonał właściwego wyboru. Zaufaj nam. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. – Wstała z trudem. – A teraz otrzyj oczy i obmyj twarz. Chcę, żebyś wstała. W ten weekend przyjeżdża twój przyszły mąż. Musisz zrobić kilka rzeczy. Ubieraj się. Idziemy do miasta.

Niela musiała przyznać, że matka wciąż potrafiła ją zaskakiwać. Szła za nią w niemym zdumieniu, patrząc, jak radzi sobie w labiryncie tramwajów i autobusów, które zawiozły ich do Meidling, dzielnicy zupełnie jej wcześniej nieznanej. Skąd Saira o niej wiedziała? To było zupełnie inne miasto, bez kawiarni czy eleganckich, drogich butików. Domy nie miały olśniewającego blasku 1. Bezirku, gdzie mieszkała Ayanna, czy nowoczesnych bloków Simmeringu. Tu domy były małe, ulice wąskie i zatłoczone, co potęgowały jeszcze prowizoryczne kioski i stragany stojące wzdłuż chodników. Wypełniali je przybysze z Nigerii, Ghany, Turcji, Afryki Północnej, a także z Somalii. Matka szła swobodnie od jednego kramu do drugiego, zatrzymując się na chwilę rozmowy, próbując jakiegoś owocu czy plotkując z kobietą w chustce, która uśmiechnęła się czule do Nieli.

– Nie poznajesz jej? – spytała Saira, trącąc córkę w żebra. – To pani Qureisha z Mogadiszu. Pamiętasz?

Niela pokręciła głową zdumiona. Jak matka dowiedziała się o tym miejscu i czemu nic nie mówiła? Teraz rozmawiała z ożywieniem z właścicielkami sklepu z materiałami. Tak, córka wychodzi za męża – powiedziała, patrząc z dumą na jedynaczkę. Kobiety uśmiechnęły się do niej z równą dumą.

– Mieszka w Monachium – dodała matka, z trudem wymawiając nazwę miasta. – To dobry człowiek, krewny ze strony męża.

Kobiety pokiwały znacząco głowami. Tak, to dobra partia. Trudno dziś o taką. Młode dziewczęta... mają głowy nabite... Popatrzyły po sobie. Co możemy zrobić tak daleko od domu? Nigdy nie wiadomo, w co się wplączą. Saira ścisnęła ramię córki jakby dla potwierdzenia, że ona nie zrobiłaby czegoś takiego. Niela słuchała z rosnącym przerażeniem.

Mieszkanie zostało wysprzątane, zamiecione, wyczyszczone do połysku i jeszcze raz wysprzątane. Przez dwa dni Niela i Saira odkurzały i polerowały, żeby nigdzie nie został najdrobniejszy nawet pyłek. Dziewczyna rzuciła się w wir pracy, próbując w ten sposób zapomnieć o tym, co ją czeka. Wstawała, ubierała się i wykonywała wszystkie obowiązki, jakby nie była sobą.

Pani Aden zabrała się do szykowania uczyty. W kuchni pojawiły się worki z ryżem, torby z cebulą i kartony posiekanych pomidorów. Hassan wrócił do domu we wtorek przed przyjazdem Hamida z torbami krwistego mięsa, które udało mu się dostać u najlepszego rzeźnika, dokonującego uboju zwierząt zgodnie z prawem muzułmańskim. Korfę wyznaczono do pomocy przy krojeniu mięsa. Przechodząca

obok Niela poczuła w gardle gulę wielkości pomarańczy. W piątek zjawiała się znajoma Sairy z Meidling i z małej kuchni zaczęły się wydobywać swojskie zapachy i odgłosy. Tego wieczoru przyszedł na kolację stryj Raageh. Nie mógł spojrzeć Nieli w oczy. Hamid, jak nakazywał zwyczaj, zatrzymał się u niego. Dziewczyna jadła kolację z matką i panią Qureisha, wsłuchując się w dźwięk otwieranej i zamykanej butelki whisky, gdy ojciec ze swoim bratem świętowali przyszły związek. Poszła spać, łykając łzy. Nieporadne próby matki uspokojenia jej zawiodły. Leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć i myśląc o tym, że jej życie się skończyło.

Hamid Osman i jego siostra Fathia zostali wprowadzeni z szacunkiem do salonu. Niela siedziała samotnie w jadalni, oddzielona od rodziców i gości regałem na książki. W przelocie mignęła jej niska, zaokrąglona postać ubrana na biało. Korfa i Raageh mieli pozostać w swoim pokoju, a po prezentacji i omówieniu spraw związanych z małżeństwem wziąć udział w uczcie. Niela posłyszała piskliwy, nosowy głos Fathii. Serce jej zamarło. Podśluchiwała, jak Saira mówi do pani Qureisha, że jej córka nie będzie przynajmniej sama przez pierwsze lata małżeństwa, bo Fathia Osman niedawno przyjechała do brata do Monachium. *Alhamdulillah*, dzięki Bogu. Lepiej, że będzie miała z kim porozmawiać. Hamid to zapracowany człowiek, *alhamdulillah*, zamożny, prowadzi własny interes. Niczego jej nie zabraknie. Niela słuchała tej rozmowy w niemym zaskoczeniu. Monachium. Niemcy. Mąż. Szwagierka. Słowa sunęły jej przed oczyma jak na paradzie.

Popatrzyła na materiał swojej sukni. Był czarny, haftowany złotą nitką. To matka z panią Qureisha go wybrały. Nie cierpiała jej. Siedziała ze złożonymi na kolanach rękoma, pragnąc znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w salonie małego mieszkania na Simmeringu, gdzie czekała na spotkanie z mężczyzną, którego nigdy nie widziała, a z którym rozpocznie nowe życie. Robiło jej się niedobrze na myśl, co to oznacza. Mąż. Noc poślubna. Żołądek skurczył jej się ze strachu. Matka starała się ją pocieszyć. Nie musi się niczego bać. To dobry człowiek. Zaopiekuje się nią. Znają tę rodzinę. Wszystko będzie dobrze. Jak mogła ich przekonać, żeby tego nie robili? Jakie powody mogła podać?

– Nielo? – Głos ojca przedarł się przez mgłę strachu.

Uniosła wzrok. Stał obok regału.

– Chodź. Hamid jest gotów cię przyjąć.

Wstała. W uszach jej dzwoniło, gdy szła za ojcem przez pokój. Najpierw zobaczyła Fathię. Okrągła twarz, głowa owinięta koronkową białą chustą, małe ciemne oczy, które zmierzyły Nielę od stóp do głowy, małe, zaciśnięte w wiecznym niezadowoleniu wargi. Potem przeniosła wzrok z kobiety na Hamida. Był niski, niższy od niej. I gruby. Miał ciemną, błyszczącą, emanującą dobrym zdrowiem karnację i gęstą czarną brodę z pasemkami siwizny. Aż skuliła się wewnątrz. Uśmiechał się do niej i kiwał głową. Opuściła wzrok na podłogę. Ojciec coś powiedział, na co wszyscy zareagowali śmiechem. Matka szepnęła coś do Fathii – tak, wszystko jest jak trzeba. Córka spodobała się bratu. Negocjacje zakończyły się sukcesem. Hamid przekazał swoją część umowy. Zaczęli omawiać ślub. Wszystko szło dobrze. Nikt nie zapytał o nic Nieli. Stała ze wzrokiem utkwionym w podłodze. Oczy ją szczypały, ale nie podniosła głowy. Nie mogła znieść myśli, że ktoś zobaczy

jej ły.

Aroos – ślub – zaplanowano na przyszły tydzień. Nie było czasu do stracenia. Hamida czekały ważne spotkania biznesowe, lepiej więc wszystko załatwić jak najszybciej. Niela pojechałaby z nimi do Monachium po dwudniowych uroczystościach. Hassan wyjął butelkę whisky i zgodnie z męskim zwyczajem nalał po kieliszku sobie, Raagehowi i Hamidowi. Saira i Fathia piły słodką lemoniadę, przygotowaną przez panią domu tego popołudnia. Niela milczała, pragnąc, by spotkanie dobiegło końca, a ona mogła wrócić do swojego pokoju.

Gdy myślała, że już dłużej tego nie znieś, Hamid podniósł się ze swego miejsca. Poczł się zmęczony, to był długi dzień. Podziękował Hassanowi i Sairze za rękę córki i gościnność w oficjalnej, raczej sztywnej formie, jakby sfinalizował korzystną transakcję. Goście wyszli ze stryjem Raagehem, a Niela z matką zostały same.

– Chodź – powiedziała Saira, gdy mężczyźni zeszli na dół. – Chcę ci coś pokazać.

Dziewczyna podążyła za matką do sypialni rodziców. Na łóżku leżała walizka. Kobieta otworzyła ją, odsłaniając całe metry najczystszej, najpiękniejszego jedwabiu w oszałamiających kolorach i wzorach. Niela patrzyła nań w milczeniu.

– To dla ciebie – wyjaśniła Saira, biorąc do ręki jasnofioletowy jedwab. – Na twoje *guntiino*. To taki zwyczaj. Na trzy suknie. Pani Qureisha uszyje je dla ciebie. Przestań być taka ponura – upomniała córkę ostro. – To kosztowało Hamida fortunę. Okaż choć trochę wdzięczności.

– A czy ja o coś prosiłam? – mruknęła Niela z uporem.

– Nie w tym rzecz. Jesteś teraz zaręczona – tłumaczyła pani Aden. – Przestań zachowywać się jak rozpuszczone dziecko. Zachowujesz się jak twoja kuzynka.

– No to może ją oddacie temu grubemu, staremu człowiekowi – rzuciła córka z goryczą. – Skoro tak wam zależy na ślubie.

– Niela! – wykrzyknęła Saira z irytacją, po czym wepchnęła jedwab do walizki i zatrasnęła wieko. – Mam tego dość. Idź do swojego pokoju.

Dziewczyna odwróciła się bez słowa i wyszła z sypialni. Nie zważając na zmartwione miny Korfy i Raageha, poszła prosto do swojego pokoju na końcu korytarza. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, ciężko oddychając. Za tydzień jej życie się skończy. Ślub zaplanowano na piątkowe popołudnie. Hassan wynajął świetlicę w Meidling, w której miał się odbyć *nikkah* w obecności całej niemal wiedeńskiej społeczności somalijskiej. Przyjęcie będzie trwać dzień i noc i zakończy się uroczystym lunchem następnego dnia dla rodziny i najbliższych przyjaciół. Hamid zarezerwował pokój w hotelu na noc poślubną, a w niedzielę rano, po pożegnaniu się z rodziną, Niela miała wyruszyć do Monachium jako jego żona. Naciągnęła narzutę na głowę, usiłując powstrzymać tłoczące się w głowie myśli.

W dniu ślubu Niełę obudziły pierwsze promienie słońca. Zapomniała zaciągnąć zasłony i teraz jasna smuga wyłaniała się zza ciężkich szarych chmur, kładąc świetlistą plamę na dywanie. Na narzucie dostrzegła małe piórko, które unosiło się i opadało pod wpływem jej oddechu. Leżała nieruchomo, starając się nie myśleć o tym, co ją czeka. Słyszała matkę krzątającą się w kuchni, brzęk naczyń, otwieranie i zamykanie drzwi do lodówki. Za jakąś godzinę zaczną się schodzić przyjaciółki Sairy, stryj Raageh podjedzie samochodem pod dom i zacznie się pakowanie jedzenia i napojów. Nadszedł dzień, którego bała się przez cały tydzień.

Niewiele z tego zapamięta. Nie potrafiła powiedzieć, kiedy po raz pierwszy zastosowała sztukę z patrzeniem na siebie z dystansu, jakby stała z boku, obserwując siebie podczas jakichś przerażających zdarzeń. Może zaczęło się to wraz z wybuchem wojny. W pamięci pozostał jej dzień, gdy wracała do domu i nagle usłyszała huk eksplodującej gdzieś niedaleko rakiety, a potem ostry jęk silnika i krzyki ludzi. Zatrzymała się, czując, jak włosy stają jej dęba na karku. Po kilku sekundach nie było jej już w oblanym potem ciele. Patrzyła na siebie jakby w zwolnionym tempie, idącą spokojnie ulicą. Ukryła się za rzędem czarnych plastikowych pojemników na śmiecie i czekała, aż warkot silnika stanie się głośniejszy. Powietrze rozdarła seria z broni maszynowej i ludzkie krzyki. Tkwiała ukryta za pojemnikami, ale tak naprawdę jej tam nie było. Słyszała warkot nadjeżdżającego jeepa, ludzie krzyczeli, płakali, błagali. Przejechał tuż obok niej, a siedzący w nim mężczyźni wymachiwali karabinami, krzyczeli i strzelali w powietrze. Nie ruszała się z miejsca prawie przez godzinę. Nogi zdrętwiały jej od kucania. W końcu powoli wróciła na ziemię. Film dobiegł końca, znowu była we własnym ciele. Ruszyła w stronę domu. Matka szalała ze strachu. Zapewniała, że córka nigdy więcej nie wyjdzie z domu sama. Nigdy.

Gdy kobiety ubierały ją w jasnioletowy *dirac* uszyty przez matkę, doznała podobnego uczucia jak wtedy w Mogadiszu. Obserwowała te czynności jakby z dystansu, błędząc myślami gdzie indziej. Widziała radosne twarze, słyszała zawodzące krzyki kobiet i głośny śmiech mężczyzn. Hamid wygłosił mowę, imam odczytał wersety z Koranu. Niektóre kobiety płakały, a ona nie uroniła ani jednej łzy. Powtarzała słowa przysięgi bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem. Tak naprawdę jej tam nie było. Hamid chwycił ją za ramię. Patrzyła na grube owłosione palce z różowymi, wypolerowanymi paznokciami. Wpychano jej do ust kandyzowane owoce i miękkie pachnące słodkości, które matka z panią Qureisha szykowały przez cały tydzień. Siedziała na krześle z wysokim oparciem, okryta koronkowym welonem, a wokół raz po raz błyskały flesze. „Dobre małżeństwo.

Świetna partia. Chociaż żał patrzeć na pannę młodą. Dlaczego ona się nie uśmiecha? Głupia dziewczyna, można by pomyśleć, że idzie na pogrzeb”. Słuchała tych cichych komentarzy, jakby mówiono o kimś innym.

Rodzice wyszli jako ostatni. Wesele przycichało, to znowu nabierało tempa. Goście wychodzili, po czym wracali, by wzniesć ostatni toast, po raz ostatni zamienić z kimś kilka słów. Przychodzili, wychodzili i wracali. Wzrok Nieli wędrował co jakiś czas w stronę dużego zegara w końcu sali: 21.56, 22.07, 23.13. Minęła północ, gdy wahadłowe drzwi się zatrzymały i została sama z Hamidem. „Samochód czeka przed wejściem” – oznajmił, nalewając sobie whisky z ostatniej butelki, jaka pozostała. Kobiety sprzątały stoły, a młodzi mężczyźni ustawiali krzesła. Z przyjęcia trwającego cały dzień nie pozostało prawie nic – kolorowe serpentyny, pęknięty balon, jedna czy dwie puste puszki po coli. Wstała sztywno i wzięła torbę z rzeczami. Fałdy długiej szaty w kolorze kości słoniowej owijały się wokół jej nóg, gdy szła przez pustą salę do wyjścia. To była już trzecia suknia tego dnia, ale nie potrafiła przypomnieć sobie kolorów dwóch poprzednich.

Na dworze było zimno. Czekwała przy schodach przed budynkiem, aż Hamid przyprowdzi samochód. Oprócz wypowiedzenia przysięgi zamienili ze sobą jedynie kilka słów. Pochylił się i otworzył jej drzwi od środka. Przez chwilę zmagala się z klamką, po czym wsiadła do samochodu i postawiła torbę przy nogach. Otuliła ją ciemność pachnąca cygarami i wodą po goleniu.

– Zapnij pas – powiedział, ruszając spod krawężnika.

Spełniła jego polecenie. Nie odezwał się do niej przez całą drogę do hotelu.

Nie dany jej był nawet lęk. Hamid był niższy, za to dwa razy silniejszy. Ledwie znaleźli się w małym pokoju hotelowym, gdy niecierpliwie położył jej rękę na biodrze, uniósł cienki materiał sukni i dotknął nagiej skóry. Starła się zapanować nad strachem, przypominając sobie, co mówiła jej matka. „Nie opieraj się, to będzie łatwiej, *inszallah*”. Nieumiejętnie zdjął z niej ubranie, najpierw *dirac*, potem biustonosz. Nie pamiętała, jak znaleźli się w łóżku, ale gdy oprzytomniała na tyle, by zrozumieć, co się z nią dzieje, było za późno. Przycisnął jej ręce do boków, sunąc lepkimi ustami po ciele. Czy on ją całował? Odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć. Nawet tego nie zauważył. Rozsunął jej nogi, poczuła jego brzuch na sobie, a potem stało się to, czego najbardziej się obawiała – jego palce torujące sobie drogę. Leżała nieruchomo, czując w ustach bicie serca, i czekała. Kiedy wreszcie w nią wszedł, miała wrażenie, że to ktoś inny krzyczy, w innym pokoju. Przykrył dłońią jej usta. Jego gardłowe pomruki i dyszenie zagłuszały jej krzyki. Trzęsa się cała, czując rozdzierający ból. Usiłowała przyciągnąć kolana do piersi, żeby go odepchnąć, lecz nie miała siły. Musiał wyczuć jej opór, bo zacisnął palce na jej ramionach, wbijając te swoje wypolerowane paznokcie w ciało. Szarpała głową na boki, raniąc wargi o jego brodę, rozpaczliwie uchylając się przed jego ustami.

Wbijął się w nią raz za razem, mówił coś nieskładnie, powtarzając jej imię. Jego głos brzmiał dla niej jak ryk. Nagle Hamid zaczął spazmatycznie oddychać i wszystko się skończyło równie nieoczekiwanie, jak się zaczęło. Zadygotał jak ranne zwierzę, po czym zsunął się z niej, przetaczając na bok i chwytając powietrze niczym tonący. Cisza, jaka nastąpiła po tym szalonym ataku na jej ciało, była szokująca. Odwróciła się tyłem do niego, zwinęła w kłębek i wcisnęła pięść do ust. Ból płynący z wnętrza rozlewał się na nogi, brzuch i piersi aż do ust. Poczowała, że materac zadrżał lekko, gdy Hamid usiłował zapanować nad oddechem.

– Idź się umyć – polecił, jakby mówił do służącej.

Wstała i pokuśtykała do łazienki. Była zbyt otępiała, by myśleć. Na udach miała krew i szybko schnącą smugę wilgoci, która wypłynęła z niego. Odkręciła kurek i weszła pod prysznic. Po chwili uświadomiła sobie, że słony smak wody bierze się z jej łez.

Wyjechali z Wiednia wczesnym rankiem. Ani razu nie obejrzała się za siebie. To Hamid uniósł dłoń, by pomachać jej rodzicom. Usiadła obok niego i odwróciła głowę w stronę okna, czując, jak wzbiera w niej gniew. Fathia zajęła miejsce z tyłu, chrupiąc słodkości, które Saira zapakowała na długą podróż, i gawędziła z bratem. Żadne z nich nie odezwało się do Nieli, co bardzo jej odpowiadało. Radio nadawało wiadomości z Somalii. Słuchała jednym uchem, usiłując nie myśleć o tym, co ją czeka albo co zdarzyło się poprzedniej nocy. Hamid prowadził niecierpliwie, pragnąc jak najszybciej wrócić do pozostawionych w Monachium interesów, tak w każdym razie zrozumiała z jego rozmów z Fathią. Niewiele wiedziała na temat jego pracy. Był biznesmenem, nie miał zawodu jak ojciec czy stryj Raageh. Dialekt, którym on i siostra się posługiwali, był bardziej szorstki od znanego jej z domu. To kolejny znak czasów. W Somalii takie małżeństwo byłoby nie do pomyślenia. Tu, na wygnaniu, wszystko stało się możliwe.

Jechali przez Austrię, mijając puste przestrzenie pól, rzeki i wzgórza, od czasu do czasu znaczone miasteczkami i wioskami, czasami większym miastem. Graz, Innsbruck, Klagenfurt przepływały jej przed oczyma ciche i milczące. W ciągu kilku godzin przejechali przez Szwajcarię, zatrzymując się na noc przy granicy z Niemcami. Tym razem, ku jej ogromnej uldze, Hamid nawet się do niej nie zbliżył. Spał na wznak, głośno chrapiąc. Leżała godzinami, nie mogąc zasnąć, obserwując wzory, jakie na cienkich zasłonach tworzyły reflektory przejeżdżających samochodów.

Rano obudziła się na długo przed nim. Wstała cicho, zebrała rzeczy i poszła korytarzem do łazienki. Wzięła prysznic, ubrała się szybko, po czym wróciła do pokoju, by spakować torbę. Właśnie wychodziła, gdy zatrzymał ją jego głos.

– Żadnych spodni – powiedział po niemiecku.

Odwróciła się zaskoczona. Nadal leżał w łóżku, eksponując wydatny brzuch. Wyglądał jak ciemny kopiec na tle białej pościeli.

– Żadnych spodni – powtórzył, ziewając. – Nie możesz nosić spodni. Przebierz się.

Usiłowała zaprotestować, lecz zanim zdołała powiedzieć słowo, odrzucił kołdrę i wstał.

– Żadnych spodni – powiedział znowu, podnosząc głos niemal do krzyku. – Spódnica.

Zdjął garnitur z krzesła i zaczął się ubierać. Rozmowa dobiegła końca. Niela bez słowa wyjęła z walizki spódnice i otworzyła drzwi. Nawet na nią nie spojrział. Szła korytarzem z głośno bijącym sercem. Nie pomyślała o tym. Czy twarz też będzie musiała zasłaniać? Gdy weszła do jadalni, ani on, ani Fathia nie odezwali się do niej słowem. Wzięła w milczeniu grzanekę, choć miała ochotę krzyczeć.

Zapadał zmrok, gdy w końcu zatrzymali się przed małym domem gdzieś na przedmieściach miasta. Niela prawie zasypiała, ukołyszana ciepłem panującym w samochodzie i miarowym bębnieniem deszczu o szyby. Natychmiast oprzytomniała. Hamid zgasił już silnik i wyjmował walizki z bagażnika. Otworzyła ostrożnie drzwi. Zobaczyła mały ogród z drucianym płotem oddzielającym ich działkę od sąsiadów. Kilka stopni prowadziło do frontowych drzwi jednopiętrowego murowanego domu z płaskim dachem. Pospiesznie omiotła wzrokiem ulicę. Stojące wzdłuż niej budynki były identyczne. Nawet drzwi miały pomalowane na jednakowy ciemnoszary kolor. Hamid i Fathia ruszyli pierwsi, a ona za nimi z lekką torbą.

Przynajmniej jest ciepło – pomyślała, gdy weszli do środka. Wnętrze było zapchane meblami jak w większości somalijskich domów – za dużo kanap, krzeseł, stolików, półek z fotografiami. Każdą wolną przestrzeń zajmowały oprawione w ramki zdjęcia krewnych. Rozejrzała się wokół i przełknęła nerwowo ślinę. Dom. To był jej dom.

Fathia pokazała jej pokoje.

– Ja śpię tutaj – oznajmiła, wskazując na drugie drzwi w korytarzu. – Kiedy jutro posprzątam, pokażę ci, gdzie wszystko leży. Ty i Hamid śpicie tutaj.

Otworzyła drzwi do średniej wielkości pokoju, zajętego przez wielkie podwójne łóże. Hamid wniósł tu walizkę Nieli.

– Jutro wszystko poukładamy – powiedziała Fathia, po czym wyszła z bratem, sprzecząc się o to, które z nich zatelefonuje w tym tygodniu do rodziców do Mogadyszu.

Niela została sama. Usiadła na brzegu łóżka, składając ręce na kolanach. Była zbyt wykończona po długiej podróży, żeby się nad sobą użalać. Godzinę później, gdy wszedł Hamid, wciąż siedziała w tym samym miejscu.

– Czas na posiłek – powiedział żywo, podchodząc do szafy i wyjmując z niej parę zniszczonych kapci. – Jutro ty będziesz gotować.

Wstała bez słowa i poszła za nim do jadalni. Niewiele jadła przez cały dzień. Potrawka z ryżu z kawałkami kurczaka przygotowana przez Fathię była przyjemną

odmianą. Wzięła talerz od szwagierki i już miała unieść widelec do ust, gdy dostrzegła, że kobieta marszczy brwi. Spojrzała na Hamida. On jeszcze nie zaczął. Fathia usiadła naprzeciwko niego, czekając cierpliwie, aż brat włoży do ust pierwszą porcję. Potem dała znak Nieli: tak, możesz już zacząć. Dziewczyna poczuła, jak całe jej ciało się buntuje, lecz znowu nic nie powiedziała. Przełknęła dumę razem z porcją ryżu i skupiła się na jedzeniu.

Tego wieczoru uległa Hamidowi tak jak podczas nocy poślubnej, czekając jedynie, by było po wszystkim. Na szczęście dla niej zmęczyła go długa podróż i wszystko skończyło się w ciągu kilku minut. Odwrócił się na bok z westchnieniem satysfakcji i prawie natychmiast usnął. Leżała w ciemności, słuchając jego chrapania i starając się przypomnieć sobie szczęśliwsze chwile. W przeciwnym razie uciekłyby w milczące zobojętnienie, które opanowało ją od chwili, gdy rodzice oznajmili, co zamierzają zrobić. Gdzieś w czeluściach pamięci kołatało się wspomnienie o ciotce, młodszej przyrodniej siostrze ojca, która omal nie umarła z rozpacz, gdy jej mąż wziął sobie drugą żonę. Nie pamiętała szczegółów, była zbyt mała, aby właściwie zrozumieć przyczynę jej smutku, ale w cichej, żalostnej melancholii, która ogarnęła wówczas pełną życia kobietę, odnalazła coś, co przypominało jej obecną sytuację. Ciotka była kiedyś piękną młodą kobietą z temperamentem i dźwięcznym, szczerym śmiechem. Pewnego dnia Niela zastała ją w salonie zatopioną w myślach, z twarzą odwróconą od innych, pogrążoną w jakimś tylko jej znanym smutku.

– Co się stało ciotce Sorai? – spytała matkę. – Dlaczego ona płacze?

– Ciiii! Nie przeszkadzaj biedaczce. Tak się dzieje, gdy zbyt mocno się kocha.

To było zbyt trudne dla dwunastolatki. Teraz jednak, leżąc obok obcego człowieka, który zaledwie wczoraj został jej mężem, nie mogła pozbyć się obrazu młodej kobiety przesiadującej samotnie w salonie lub na tarasie i poruszającej bezgłośnie wargami, jakby rozmawiała z samą sobą. Jeżeli nie będzie ostrożna, skończy podobnie, chociaż nie z tego samego powodu. Jeżeli nieszczęście ciotki polegało na tym, że kochała kogoś zbyt mocno, to w jej przypadku było odwrotnie. Ledwie знаła Hamida, a już go nienawidziła.

Rano, gdy się obudziła, nie zastała męża w łóżku. Odrzuciła kołdrę i pobiegła do łazienki. Długo stała pod prysznicem, zmywając z siebie najdrobniejszy ślad potu i nasienia, usiłując zapomnieć o jego dotyku. Zadrzała, wycierając się ręcznikiem przywiezionym z domu. Nie chciała mieć kontaktu z czymś, co należało do niego.

Ubrała się i otworzyła drzwi łazienki. Z kuchni dochodził brzęk mytych naczyń. Widocznie Fathia już wstała. Gdy Niela tam weszła, szwagierka spojrzała na nią z wyrazem dezaprobaty, jakby była na nogach już od kilku godzin. Na stole czekało nakrycie.

– Zjedz śniadanie – powiedziała z niechęcią w głosie. – Ale pospiesz się. Jest mnóstwo do zrobienia.

Nie żartowała. Gdy Niela dopiła kawę i umyła talerz, Fathia pojawiła się w drzwiach kuchni ze szczotką w ręku. Przez cały ranek młoda żona sprzątała każdy centymetr domu. Miała wrażenie, że tych dwoje zgromadziło całe pokłady kurzu. Wyczyściła dywany, umyła podłogi, poprzesuwała meble, wytarła wszystkie stoliki, krzesła i ramki, wypolerowała do połysku przedmioty z mosiądzu, a Fathia ciągle mnożyła rozkazy. „Trzeba posprzątać łazienki. Trzeba przewietrzyć szafy. Trzeba uprać pościel. Zapomniałaś o prasowaniu?” Gdy nadeszła pora lunchu, Nielę bolały ręce od wysiłku. W Mogadiszu brała najwyżej talerz do ręki. W Wiedniu, pod baczynym okiem matki, nauczyła się szybko, jak sprzątać małe mieszkanie, ale żądania szwagierki miały zupełnie inny charakter.

Zjadły razem lunch przy małym stole, prawie się do siebie nie odzywając. Niela odpowiadała krótkim „tak” lub „nie” na pytania o to, czy wytarła lustro w łazience lub czy pamiętała o wykrochmaleniu koszul Hamida. Nie reagowała na zaczepki Fathii. „Czy ona myśli, że nie umiem zamieść podłogi?” Pod koniec dnia poczuła mały dreszcz satysfakcji, gdy szwagierka nie potrafiła już wymyślić żadnego polecenia dla niej. Niela zrobiła wszystko, o co tamta prosiła, a nawet więcej. W całym domu nie było drobinki kurzu. Zdjęła fartuch i schowała środki czystości do szafki pod zlewem, pozwalając sobie na nikły uśmiech satysfakcji w kącikach ust. Przeszła korytarzem, czując wzrok Fathii na plecach. Zamknęła za sobą drzwi do pokoju, oparła się o nie i wreszcie dała upust łzom, które gromadziły się w niej nie wiadomo od jak dawna.

Stopniowo, wbrew jej woli, życie zaczęło się stabilizować. Tęskniła za Korfą i Raagehem bardziej, niż mogła to wyrazić słowami, ale oprócz krótkich, wymuszonych przez nią rozmów telefonicznych dwa razy w tygodniu, podczas których odpowiadała na niekończące się pytania matki obcesowym „dobrze”, Wiedeń zaczął powoli znikać z jej pamięci. Nie mogła sobie przypomnieć rozkładu mieszkania. Czy regał z książkami oddzielający jadalnię od salonu stał przodem, czy tyłem? Jakiego koloru była terakota w kuchni? Mogadiszu wciąż miała przed oczyma, jakby wyjechali stamtąd zaledwie przed kilkoma dniami, a nie miesiącami. Wiedeń natomiast pamiętała coraz słabiej.

Hamid pracował od rana do wieczora. W tygodniu wstawał na długo przed nią i modlił się w swoim gabinecie na końcu korytarza. Radość Sairy z tego, że jego siostra dotrzyma Nieli towarzystwa, nie miała podstaw. Fathia potrzebowała służącej, a nie przyjaciółki. Dobiegała pięćdziesiątki, nie miała męża ani nawet widoków na niego. Osobiste niepowodzenia musiały znieczulić jej serce i sprawiły, że codziennie rano witały Nielę zaciśnięte usta i niechętnie spojrzenie.

Hamid nie był złym człowiekiem. Zachowywał się z rezerwą i skrywał swoje uczucia, ale inaczej nie potrafił. Chodził do pracy, modlił się, był lojalnym członkiem miejscowej wspólnoty somalijskiej, zapewniał wyżywienie i dom młodej żonie. Czemu więcej mogłaby chcieć? Wypełnił swoją część umowy, teraz ona

powinna wypełnić swoją. Czasami słyszała, jak mąż skarży się swojej siostrze:

– Czemu ona wiecznie chodzi z taką smutną miną? Nie mogłaby się choć raz uśmiechnąć? Co my jej zrobiliśmy?

Fathia zawsze odpowiadała tak samo:

– Takie one już są, te młode dziewczyny. Rozpieszczone. Nie martw się, to się wkrótce zmieni.

Niela odwróciła się ze ściśniętym sercem. Jak ktoś mógł pomyśleć, że ona jest rozpieszczona?

Dwa razy w tygodniu jeździły z Fathią do supermarketu. W drodze spoglądała przez okno na przesuwany się przed oczyma podmiejski krajobraz. Raz czy dwa dostrzegła swoje odbicie w szybie – napięta maska skrywanych emocji. Zaskoczył ją widok własnej twarzy, oglądanej jakby oczyma obcej osoby. Nigdy nie przykładła wielkiej wagi do swojego wyglądu. Zawsze sądziła, że jest dość ładna. W średniej szkole była równie popularna jak jej dwie najlepsze przyjaciółki, Sally Anne i Helga. Tworzyły zachwycające trio: Helga – niebieskooka blondynka, Sally Anne – o zielonych oczach i kręconych kasztanowych włosach i Niela – ciemnowłosa, o czarnych oczach i ciemnej karnacji. Nazywali je Aniołkami Charliego. Było takie lato, gdy bardzo chciała mieć długie, lśniące jasne włosy jak Helga, ale wynikało to raczej z ciekawości. Ona musiała raz w tygodniu chodzić do fryzjera, gdzie myto jej włosy, nakładano odżywkę i zaplatano. Helga i Sally myły je pod prysznicem i rozczesywały szczotką. Słyszała, jak przyjaciółki matki mówiły: „Spójrz, Sairo, jaka ona jest ładna. Masz szczęście. Bez kłopotu znajdziesz dla niej męża”. Słuchała tych komentarzy z uśmiechem. Przyjaciółki matki się myliły. Nie będzie żadnego skojarzonego przez rodziców małżeństwa, bo ona pójdzie na uniwersytet po skończeniu średniej szkoły. Zdobędzie zawód i niezależność, jakiej nigdy nie miała jej matka. To będzie jej przyszłość, a nie taka, o jakiej mówiły przyjaciółki Sairy.

No i tyle zostało z tych marzeń – pomyślała teraz z rozpaczą, chodząc z Fathią po sklepie i pchając przed sobą wózek. Tak ma wyglądać jej życie?

Pewnego ranka, jakiś miesiąc po przyjeździe do Monachium, weszła do kuchni i zastała tam dziwną ciszę. Rozejrzała się i stwierdziła, że Fathia jeszcze nie wstała. Niela usiadła przy stole, zachodząc w głowę, co się stało. Szwagierka zawsze zjawiała się pierwsza. Zaparzyła herbatę, zastanawiając się, czy ma sama szykować sobie śniadanie. Stała chwilę niezdecydowana. Może siostra męża zasnęła. Nalała filiżankę herbaty i zapukała do drzwi jej pokoju.

– Wejdz – usłyszała.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Bywała tu jedynie po to, by posprzątać. Teraz, gdy zasłony były zaciągnięte, a w powietrzu unosił się mdły zapach potu, miała ochotę stąd wyjść.

– Dobrze się czujesz? – spytała, stawiając filiżankę z herbatą na toaletce.

– Jestem chora. Gardło – wycharczała z trudem Fathia. – Musisz pójść do apteki po lekarstwo.

Serce Nieli podskoczyło z radości. Sama? Wreszcie będzie mogła wyjść sama z domu.

– Oczywiście – powiedziała, siląc się na troskliwy ton. Serce zaczęło jej szybciej bić.

– Podaj mi kartkę. – Szwagierka wskazała na notes leżący na biurku pod oknem.

Żadnego „proszę”, żadnego „dziękuję, Nielo, za przyniesienie herbaty” albo chociażby prostego zdania: „Proszę, pójdz do apteki po lekarstwo dla mnie”. Nie, ta kobieta wydawała jedynie rozkazy. Przynieś to, przynieś tamto, weź to, weź tamto. Ale myśl o wyjściu z domu bez asysty po czterech długich, smutnych tygodniach sprawiła, że Niela dała spokój irytacji i wyszła podekscytowana z pokoju.

– Pospiesz się – wychrypiała jeszcze Fathia.

Nie zwracała sobie głowy odpowiedzią.

Opatulona w kilka warstw, przez co wydawała się grubsza, nie zwracając uwagi na pokryty lodem chodnik, niemal biegła przez całą drogę. Był zaledwie początek grudnia, a drzewa stały już nagie. Kopała leżące wzdłuż chodnika zmarznięte liście i wdychała zimne powietrze, delektując się pierwszą chwilą wolności. Nadjechał autobus. Wsiadła do niego i uśmiechnęła się szeroko do kierowcy. Odpowiedział tym samym i zaraz się speszył. Uświadomiła sobie, że od tygodni się nie uśmiechała.

Wstąpiła do piekarni przy wejściu do małego centrum handlowego i kupiła sobie bułeczkę z kremem. Wbiła zęby w delikatne nadzienie. Fathia wołała kleistą słodką bakławę i daktylę, które kupowała w hurtowych ilościach. Niela ich nie cierpiała.

Stała na mrozie, zlizując z palców resztki kremu.

– Musi ci bardzo smakować – posłyszała czyjś głos.

Drgnęła gwałtownie. Nie zauważyła młodego mężczyzny, który stał za nią w kolejce. Przełknęła ostatni kęs i pospiesznie wytarła usta.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

Uśmiechnął się do niej. Twarz miał częściowo ukrytą pod czapką i szalikiem osłaniającym brodę. Zauważyła, że ma niebieskie oczy. Wyglądał sympatycznie.

– Ja... nie, ja tylko... – wydukała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Masz krem... o tu... – wskazał na czubek jej nosa.

Niela natychmiast sięgnęła tam ręką.

– Tu?

– Nie, trochę dalej. Tak, tutaj.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Stali chwilę zakłopotani.

– Zimno, prawda? – spytał w końcu.

Kiwnęła głową.

– Tak.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

– Chyba nie pochodzisz stąd, prawda?

Zawahała się. Był pierwszą osobą w Monachium, z którą rozmawiała, wyłączając kasjerki i sprzedawców. Tęskniła za kontaktem z ludźmi, ale jednocześnie bała się i wstydziła. Rozejrzała się na boki w obawie, że za chwilę z jednego ze sklepów wyjdzie Fathia.

– Nie – odpowiedziała.

– A skąd?

– Z Somalii.

– Długo tu jesteś? Świetnie mówisz po niemiecku. A tak w ogóle mam na imię Christian. – Wyciągnął dłoń.

Zawahała się. Dlaczego tak go interesuje, skąd ona pochodzi i że dobrze mówi po niemiecku? Zerknęła na niego. Był wysoki, miał kasztanowe włosy, niebieskie oczy z kurzymi łapkami w kącikach i ciemny ślad zarostu. Wyglądał na trochę starszego od niej, tak pod trzydziestkę. Spojrzała w dół na stopy. Dlaczego ją zaczepił?

– Byłam w Wiedniu, zanim tu przyjechałam – wyjaśniła w końcu.

– Ach, w Wiedniu, stąd ten akcent. Ładne miasto – dodał. – Jak ci na imię?

– Niela.

– Miło mi cię poznać, Nielo. Pracujesz w pobliżu?

Pokręciła głową.

– Ja... lepiej już pójdę. Muszę kupić parę rzeczy – wyjaśniła pospiesznie, oglądając się za siebie. – Do widzenia – powiedziała szorstko, nie bardzo wiedząc, jak zakończyć rozmowę.

Uniósł brew.

– No cóż, do widzenia. Cieszę się, że cię poznałem, Nielo. Pracuję w tym banku na rogu. – Wskazał kierunek. – Może się jeszcze kiedyś zobaczymy?

Kiwnęła głową niecierpliwie. Uniosła rękę na pożegnanie i nie czekając, rzuciła się biegiem przez plac do supermarketu. Twarz ją piekła. Od jak dawna nie rozmawiała z nikim oprócz Hamida i jego strasznej siostry?

– Co tak długo? – spytała Fathia, gdy Niela weszła. – Czekam tu godzinami. Co robiłaś?

– Nic – odpowiedziała krótko.

Wyjęła z torby kupione owoce – kiść bananów, kilka pomarańczy i siatkę słodkich mandarynek – oraz lekarstwo. Szwagierka wzięła je bez słowa i zniknęła w swoim pokoju. Nie padło „proszę”, nie można więc było oczekiwać „dziękuję”. Niela schowała owoce i wzięła szczotkę. Trzeba wytrzeć podłogę, zanim Fathia wyda jej taki rozkaz.

Wspomnienie krótkiej rozmowy nie opuszczało jej przez cały dzień. Było jak jasny promyk, pomimo skrępowania i strachu, jakie wywołało w niej zainteresowanie nieznanego mężczyzny. Christian. Usiłowała przypomnieć sobie jego twarz ukrytą za grubym wełnianym szalikiem i czapką ściągniętą na czoło. Miał niebieskie oczy, ciemnoniebieskie z domieszką... Zielonego? Brązowego? Nie mogła sobie przypomnieć. Gęste ciemne brwi, prosty nos i usta odsłaniające rząd zębów nie do końca równych, bo jeden lekko zachodził na sąsiedni. Zalała ją nieoczekiwana fala czułości. Korfa też miał taki ząb, który opierał się wszelkim próbom ortodonta ustawienia go na miejscu. Nie cierpiał dentystów, podobnie jak Niela, która przez dwa długie lata musiała nosić aparat korekcyjny. Myśl o bracie wywołała ból kojarzący się teraz, nie wiadomo dlaczego, z pięciominutowym spotkaniem z młodym Niemcem imieniem Christian, pracującym w banku. Wprawiło ją to w irytację. Świadomość, że jest zdolna do innych uczuć poza milczącą rezygnacją, była dla niej niemiłym zaskoczeniem. Nie chciała myśleć, czuć i tęsknić za swoim dawnym ja. Nie chciała myśleć o Korfie ani o przyczynach, dla których kompletnie obcy człowiek wykazał zainteresowanie tym, skąd ona pochodzi lub kim jest.

Czy to on? Niela spuściła oczy, gdy młody człowiek stojący za kontuarem uniósł wzrok. Nie, to nie on. Tak, to on. Najwyraźniej rozpoznał ją, gdy przesuwała się wolno w kolejce.

– Witaj – powiedział i uśmiechnął się, gdy podeszła. – Niela, prawda?

Potaknęła ruchem głowy, bojąc się odezwać.

– Ja... ja chciałabym otworzyć konto – wyjaśniła, mając nadzieję, że głos jej nie drży. – Rachunek oszczędnościowy.

Kiwnął głową, nie przestając się uśmiechać.

– Musisz pójść do tamtej pani w rogu. Założy ci rachunek. Potem możesz wrócić do mnie. Przyjmę od ciebie depozyt i uruchomię rachunek.

– Dziękuję.

Odwróciła się ze ściśniętym gardłem. Prawie dwa tygodnie zbierała się na odwagę, żeby wymknąć się z domu. Zaczekała, aż Fathia będzie brała prysznic, po czym napisała kartkę: „Zapomniałam o czymś w supermarkecie. Wracam za pół godziny”. Położyła ją na stole w kuchni, złapała palto i klucze leżące na konsoli w przedpokoju i wyszła z domu, czując, jak wali jej serce. Pokonała biegiem Lindenallee. Miała szczęście, bo kilka sekund później nadjechał autobus. Po dziesięciu minutach znalazła się przed centrum handlowym. Na rogu był bank. Sparkasse. Wsunęła rękę do kieszeni i wymacała banknoty. Czteryście marek, ostatni prezent od matki. Spojrzała na zegarek. Minęło piętnaście minut. Fathia pewnie wyszła już z łazienki i znalazła jej kartkę. Niela miała powody do zdenerwowania. Z dwojga rodzeństwa to siostra stanowiła dla niej większe zagrożenie. Dziewczyna była świadoma tego, że działa szwagierce na nerwy. Może chodziło o nikły ton zuchwalstwa, z jakim jej odpowiadała? A może o umiejętność zamykania się w sobie, dzięki której tyrady Fathii spływały po niej jak woda po kaczce? A może o to, że była żoną jej brata, chociaż związek, jaki ich łączył, trudno było nazwać małżeństwem – pomyślała Niela z goryczą. Hamid spędzał więcej czasu z siostrą niż z nią, co bardzo jej odpowiadało. Dzieliła z nim jedynie łóżko, a i to na szczęście rzadko i bardzo krótko. Jedyna nieoczekiwana korzyść z poślubienia znacznie starszego mężczyzny. Nie był jednak na tyle stary, by szybko paść trupem.

Podeszła do kobiety, którą wskazał jej Christian, odchrząknęła i wyjaśniła, z czym przychodzi. Miała najwyżej pół godziny, by wykonać zadanie. Ale jakie zadanie? Po co właściwie przyszła? Pieniądze nadal mogły sobie spokojnie leżeć w dolnej szufladzie szafy. Musiała być ze sobą szczerą: przyszła tu, bo czuła się samotna. Rozpaczliwie samotna. Tak samotna, że czasami mówiła sama do siebie tylko po to, by usłyszeć inny głos niż zawodzący pisk Fathii czy niski, pełen irytacji bas Hamida.

Christian był jedyną osobą, z którą rozmawiała od sześciu tygodni, i tylko dlatego tu przyszła. A nie z powodu czterystu marek czy konta oszczędnościowego. Wzięła blankiety podane jej przez urzędniczkę, szybko wypełniła, po czym wróciła do Christiana. Czekwała cierpliwie, aż wystuka jej dane, spoglądając na nią co chwila z uśmiechem.

– Proszę. Oto twoja książeczka. Przynoś ją za każdym razem, gdy zechcesz dokonać wpłaty lub wypłaty. I dowód osobisty. – Podsunął jej małą książeczkę. – Gotowe.

– Dziękuję. – Niela wzięła ją i schowała do torby, a po chwili przerwy dodała: – No to do widzenia.

– Możesz poczekać chwilę? – zapytał, zniżając głos. – Kończę za jakieś dziesięć minut. Moglibyśmy pójść na kawę... Oczywiście, jeżeli nie jesteś zajęta – dorzucił z uśmiechem.

Zawahała się, ale pokręciła głową.

– Ja... muszę wracać do pracy – skłamała. – Bardzo mi przykro. Ja...

– No to może jutro.

Znowu zaprzeczyła ruchem głowy. Szanse na to, żeby wymknąć się dwa dni z rzędu, były nikłe. Już teraz czuła strach na myśl o stawieniu czoła szwagierce, gdy wróci do domu.

– Przykro mi – powtórzyła ze smutkiem w głosie. Nie powinna była tu przychodzić. Nie mogła mu wytłumaczyć, dlaczego musi odmówić. – Ale może w piątek by mi się udało – powiedziała, rozjaśniając się nagle. W piątek Fathia i Hamid jeździli do meczetu. – Gdybyś chciał – dodała szybko.

Skrzywił się.

– To prawie tydzień! Nie, nie, w porządku. W piątki wcześniej kończę... Druga ci odpowiada?

Kiwnęła głową. Ścisnęła mocniej torbę. Dochodziła trzecia. Nie było jej prawie godziny.

– Lepiej już pójde – powiedziała nerwowo. – Nie chcę się spóźnić.

– Do zobaczenia w piątek.

Uśmiech na twarzy Christiana sprawił, że omal się nie rozpłakała. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś się do niej uśmiechnął. Pospieszyła do wyjścia, na wpół oślepiona przez łzy.

Miała rację. Była wielka awantura. Piskliwy, gniewny głos Fathii biegł za nią przez cały korytarz i do jej pokoju. Gdzie ona była? Jak śmie sama wychodzić bez pozwolenia? Czy nie zrozumiała instrukcji Hamida? Nie wolno jej samej nigdzie chodzić. Monachium to niebezpieczne miasto... I tak to trwało. Niela milczała uparcie. Gdyby coś powiedziała, przedłużyłaby gniewną tyradę. W końcu, zgodnie z przewidywaniem, z Fathii uszła para. Nie mogła jej nic zarzucić. Dziewczyna poszła przecież po zakupy. Na szczęście pomyślała o tym i kupiła dwa kartony

mleka, które skończyło się wczoraj wieczorem. Szwagierka rzuciła jej ostatnie pogardliwe spojrzenie, po czym wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Na korytarzu zadudniły jej gniewne kroki.

W pokoju zapadła cisza. Niela położyła się na łóżku, czując ciepło w dole brzucha, którego głos Fathii nie zdołał ostudzić. Rozmawiała z Christianem zaledwie piętnaście minut, a miała wrażenie, jakby znała go przez całe życie; biorąc pod uwagę, że to było wszystkim, co miała, ta myśl nie wydawała się wcale takim szaleństwem. Piątek. Był dopiero poniedziałek. Cztery dni. Po raz pierwszy od przyjazdu do Monachium czekała na coś z niecierpliwością.

Spotkała się z nim o drugiej, tak jak zostało zaplanowane. To było łatwe. Fathia pojechała z bratem do meczetu około wpół do drugiej. Przy odrobinie szczęścia wrócić do domu dopiero koło szóstej. Idąc Lindenallee do przystanku autobusowego, opatulona przed mrozem i śniegiem, który zaczął padać rano, Niela uświadomiła sobie, że oprócz cotygodniowych wizyt w meczecie i mieszczącym się obok centrum kultury somalijskiej oraz wypraw do sklepów czy na pocztę Fathia nigdzie nie chodzi. Matka, zdaje się, mówiła, że siostra Hamida mieszka w Monachium od dwóch czy trzech lat. Sądząc po tym, jak wysławia się po niemiecku, sztywno i nienaturalnie, nie mogła być tu dłużej. Nie miała przyjaciół, żadnych widoków na pracę – nic dziwnego, że stała się zgorzkniałą, samotną, starą babą. No cóż, miała to, na co zasłużyła, dlatego nie ma powodu, by jej współczuć. Gdyby była choć trochę życzliwsza, to co innego. Niela uśmiechnęła się do siebie, gdy autobus stanął przed bankiem. Wchodząc do kawiarni, nadal się uśmiechała. Christian już na nią czekał, dwa duże pączki z kremem leżały przed nim na talerzyku. Gdy podeszła, uniósł wzrok i rozjaśnił się na jej widok.

– Pozwoliłem sobie zamówić – powiedział, wskazując na pączki. – Z kremem i dżemem.

Potem wszystko poszło jak z płatka. Zjadła pączka i połowę drugiego, wypila dwie filiżanki kawy i rozmawiała, jakby to było najzwyczajniejsze spotkanie z przyjacielem. Jakby nie musiała czekać, aż mąż ze szwagierką pojedą do meczetu. Jakby nie musiała siedzieć w autobusie z żołądkiem ściśniętym ze strachu i, przede wszystkim, jakby bez problemu mogła się znów spotkać z Christianem.

– Gdzie pracujesz? – spytał.

Kłamstwo bez trudu przeszło jej przez gardło.

– Jestem tłumaczką w centrum kultury somalijskiej – odpowiedziała. –

W Sendling.

Było to jedyne znane jej miejsce w Monachium oprócz domu i centrum handlowego.

– To bardzo daleko. Jeździsz tam autobusem?

– Mój m... przyjaciel zawozi mnie tam co rano – wyjaśniła. – Jak długo pracujesz w banku? – spytała, pospiesznie zmieniając temat.

– Zbyt długo. Zbieram fundusze. Chcę podróżować. Zobaczyć Afrykę, Azję, Daleki Wschód. Pojeździć po świecie. Ty nie?

Miała na końcu języka, że też chciałaby pojeździć po świecie. Tylko że dla niej i przyjaciół w Mogadyszu ciekawsze były inne kraje. Europejczycy pragnęli podróżować po Afryce i Ameryce Południowej, im dalej od utartych szlaków, tym lepiej. Ona natomiast marzyła o Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Berlinie. I oto teraz była w Monachium, ale nie jako turystka, tylko żona, więzień w domu męża. Ale jeszcze gorsze było to, że gdy mąż pojechał do meczetu, ona uciekła z domu, by spotkać się z mężczyzną, którego ledwie знаła. Nie brzmiało to dobrze, nawet w jej uszach. Oby Hamid nigdy się o tym nie dowiedział.

Pierwszy policzek ją zaskoczył. Zachwiała się pod siłą uderzenia. Drugi rzucił ją na podłogę. Padając, uderzyła ramieniem o komodę. Poczła ostry ból, który odebrał jej mowę.

– Dziwka!

Usłyszała to już drugi raz w tym roku. Hamid pochylił się, dysząc, i chwycił ją za włosy. Nastąpiło trzecie uderzenie, potem czwarte. Próbowała go odepchnąć, czym jeszcze bardziej rozwścieczyła męża.

– Czy po to cię tu sprowadziłem?! – ryknął, odchylając jej głowę do tyłu z taką siłą, że groziło to uszkodzeniem szyi. – Żebyś wymykała się jak zwykła dziwka? Powinniśmy się tego spodziewać. Wiedziałem, że coś jest z tobą nie tak.

– Ja... – zaczęła Niela, ale następny policzek rozciął jej wargę. Poczła krew na języku. Uniósł rękę, by znowu uderzyć, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi.

– Hamid... wystarczy – zabrzmiał głos Fathii. – Ona krwawi.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? – Wściekłość jej brata zaczynała powoli opadać. – Dziwka!

Uderzył Nielę jeszcze raz z twarzą wykrzywioną gniewem. Poczła, że robi jej się słabo, a w uszach zaczyna dzwonić. Spróbowała wstać z dywanu.

– Hamid... przestań. – Fathia nie zamierzała ustąpić. Weszła między leżącą na dywanie, krwawiącą szwagierkę a rozwścieczonego brata. – Wystarczy. Zajmę się tym.

Stał nad żoną, dysząc. Jego pierś podnosiła się i opadała, w kąciku ust błyszczała ślina. Niela patrzyła z uporem w dół. Nie miała odwagi podnieść wzroku. Czła, że za chwilę wymiotuje. Słyszała, jak Fathia wyprowadza Hamida, który wciąż się wściekał. Zaskrzypiały drzwiczki barku stojącego w salonie. W głowie czła pulsowanie i nieznośny ból rozchodzący się wzdłuż rąk, twarzy, ramienia... po całym ciele. Dotknęła wargi. Była lepka. W ustach miała krew. Z trudem przełknęła ślinę. Co się, do cholery, stało? Wróciła z cotygodniowego spotkania w kawiarni. W domu jak zwykle nie było nikogo. Zjadła samotny posiłek w kuchni, obejrzała wiadomości w telewizji i zamierzała pójść spać o dwudziestej pierwszej. Często się zdarzało, że Hamid i Fathia wracali z meczetu o tej porze, a nawet później. Stała przy komodzie, składając upraną bieliznę, gdy usłyszała warkot samochodu. Zamiast jak zwykle pójść do kuchni mąż ruszył korytarzem do sypialni. Niczego nie podejrzewała, dopóki nie otworzył drzwi. Odwróciła się, zobaczyła wściekłość malującą się na jego twarzy i domyśliła się, że odkrył jej sekret. Próbowała uciec, lecz zastąpił jej drogę i wymierzył pierwszy bolesny cios.

Drzwi ponownie się otworzyły. Niela uniosła wzrok przerażona, lecz zamiast

Hamida zobaczyła Fathię. W jednej ręce trzymała szklaneczkę wypełnioną złocistym płynem, a w drugiej kawałek bawełnianej szmatki.

– Chodź tutaj. – Kiwnęła na Niełę.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, gdy zmoczyła szmatkę w whisky i przyłożyła ją do twarzy dziewczyny. Ostry ból wycisnął jej łzy z oczu. Szwagierka okazała się zaskakująco delikatna. Wykonywała swoje czynności w milczeniu. Obmyła Nieli usta, oczy i opatrzyła rozcięcie na ramieniu. Kiedy skończyła, odstawiła pustą szklaneczkę i odwróciła się do niej.

– Idź spać. Rano wszystko będzie dobrze – powiedziała, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Niela usiadła na brzegu łóżka, czując, jak trzęsą jej się nogi. Miała opuchnięte wargi i źle widziała na jedno oko. Dotknęła ostrożnie powieki. Nie mogła jej unieść. Wielki złoty sygnet Hamida musiał ją trafić tuż poniżej brwi. Siedziała tak przez wiele godzin, bojąc się położyć, bojąc się zasnąć. Nie miała pojęcia, co ją teraz czeka. „Rano wszystko będzie dobrze”. Niby jak? Nigdy w życiu nikt jej nie uderzył. Nie wyobrażała sobie, że ojciec mógłby podnieść rękę na matkę czy na kogokolwiek. Co, na Boga, miała teraz zrobić? Czekać, aż znowu ją pobije? Usiłowała zapanować nad płynącymi łzami – piekły jak diabli – ale nie mogła. Czuła, jak płyną – miękkie, słone i jedwabiste – po policzkach, brodzie i kapią na materiał nocnej koszuli. Musi coś zrobić. Ale co?

– Niela! – Na twarzy Christiana malowało się przerażenie. – Co ci się stało? Wszystko w porządku? – Zignorował pełne dezaprobaty spojrzenie szefa i dotknął oddzielającej ich od siebie szyby.

Serce boleśnie tłukło się w jej piersi.

– Christianie... Muszę wyjąć moje oszczędności – wyjąkała, nie przejmując się tym, co inni w kolejce o niej pomyślą. – Natychmiast. Wszystko. Muszę zamknąć rachunek.

– Co się stało? – zapytał, po czym zwrócił się do kasjera obok: – Zastąp mnie na chwilę, dobrze?

Zamierzał wstać, lecz Niela go powstrzymała.

– Nie, proszę. Daj mi tylko to, co jest na koncie. Nie mam zbyt wiele czasu.

– Ale dokąd się wybierasz? Co się stało?

– Ja... Później ci wytłumaczę. Teraz daj mi wszystko, co mam. Tylko pospiesz się, proszę.

Christian popatrzył jej w oczy. Musiał znaleźć w nich coś, co go przekonało, że dziewczyna mówi poważnie i jest zdesperowana. Odliczył plik banknotów, włożył je do koperty i wsunął do szczeliny w okienku. Podpisała odbiór i wepchnęła kopertę do torebki.

– Możemy się spotkać w czasie lunchu? – spytał, nie spuszczając z niej wzroku.

Spojrzała na wiszący nad nim zegar. Nie było jej trzydzieści minut. W każdej

chwili Fathia i Hamid mogą zacząć jej szukać.

– Nie mogę – wyjąkała, czerwona na twarzy. – Może kiedy indziej.

Odwróciła się, zanim zdołał coś powiedzieć lub zobaczyć łyzy wzbierające pod jej powiekami. Musi jak najszybciej opuścić bank. Nie mogła uwierzyć, że udało jej się uciec. Przez dwa dni od pobicia trzymano ją pod kluczem. Przez cały dzień leżała w łóżku, popadając w coraz większe przygnębienie. Tego ranka usłyszała dzwonek do drzwi i głos szwagierki. Był to pracownik gazowni, który przyszedł sprawdzić licznik. Poprosił Fathię, by zeszła z nim do piwnicy. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Niela wyskoczyła z łóżka. Nie miała żadnego sprecyzowanego planu. Wiedziała tylko, że musi stąd jak najszybciej uciec. Odkręciła prysznic w łazience – to zapewni jej dodatkowe piętnaście minut – i pospiesznie się ubrała. Wyciągnęła małą torbę, wsunęła do niej sweter, trochę bielizny oraz fotografie rodziców i braci stojące na serwantce i po kilku sekundach była na dworze. Biegła przez całą drogę do przystanku, modląc się, by autobus szybko przyjechał. Zjawił się jak na zawołanie i zanim się obejrzała, pędziła do banku.

Teraz pospiesznie go opuściła i przeszła przez ulicę, nie rozglądając się na boki. W każdej chwili oczekiwała, że poczuje na ramieniu rękę Fathii lub usłyszy jej głos. Na przystanku po drugiej stronie ulicy stał autobus z napisem Marienplatz. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że to gdzieś w centrum. Przebiegła przez jezdnię i wsiadła do niego. Nie miała pojęcia, dokąd jedzie ani co powinna zrobić. Może na dworzec kolejowy. Jeżeli tam dotrze, dokąd się uda? Kilka chwil później kierowca uruchomił silnik. Zaciśnęła mocno dłoń na torbce. Od tej chwili nie ma już dla niej powrotu. Jeżeli Hamid i Fathia ją złapią, będzie skończona. Tak, to jest rozwiązanie – pomyślała podekscytowana, gdy autobus włączył się do ruchu. Ale dokąd teraz pojedzie?

Stała przed tablicą odjazdów, która nieustannie się zmieniała. Pstryknięcie i warkot spadających kłapek. Stuttgart. Berlin. Hanower. Bonn. Zmiana, gdy zapowiedziane pociągi odjeżdżały ze stacji. Zagryzła wargę. Stuttgart? Nawet nie miała pojęcia, gdzie to jest. Druga tablica informowała o odjazdach międzynarodowych. Londyn. Amsterdam. Barcelona. Madryt. Rozejrzała się wokół siebie. Był to okres przedświąteczny. Za tydzień zaczynało się Boże Narodzenie. Wszędzie było pełno podróżnych. Młode pary, dziadkowie, rodziny, każdy gdzieś jechał lub wracał do domu na święta. Poczwała zbierające się w gardle łyzy i znajomy przypływ paniki. Nie miała rodziny, przyjaciół ani miejsca przeznaczenia. Spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Fathia musiała już zauważyć jej nieobecność i dzwoni pewnie do Hamida. Ale nigdy jej nie znajdą. Nie domyślą się, że wsiadła do autobusu jadącego do centrum, a stamtąd do drugiego, który zawiózł ją na dworzec. Nigdy jej nie znajdą. Była wolna. Dopóki nie zdecyduje, że chce wrócić, nikomu nie da znać, gdzie jest. Ponownie spojrzała na tablicę odjazdów. Londyn. Za niecałą godzinę odjeżdżał pociąg do Londynu. Przez Paryż. Przełknęła ślinę. Nikogo nie

znała w Londynie. Może właśnie dlatego to było dobre miejsce na rozpoczęcie nowego życia.

JULIA

Oksford, styczeń 1992

Zrobiło się ciemno, gdy pociąg zajechał wreszcie na stację. Padający na tory śnieg przypominał cukier puder. Julia ściągnęła z półki walizkę i wyszła na korytarz. Otworzyła drzwi wagonu, trzęsąc się z zimna. Niewiele osób kręciło się po peronie. Był drugi dzień nowego roku, a semestr zaczynał się dopiero za dziesięć dni. Stojący zazwyczaj przy barierce kontroler biletów odpoczywał najwidoczniej po sylwestrze. Ona nie. Dwa dni świąt Bożego Narodzenia spędziła z ciotką i wujem w Elswick w rozpaczliwej ciszy, po czym wymówiła się bólem głowy i wróciła do siebie. Nienawidziła tych świąt, bo przypominały jej, co straciła – rodziców, babcię, swoje korzenie. Z utęsknieniem czekała, żeby się skończyły. Na sylwestra poszła do jednej z nielicznych przyjaciółek, jakie jej pozostały w Elswick, lecz i tu nie czuła się zbyt dobrze. Tylko dwie dziewczyny z jej klasy poszły na uniwersytet, żadna z nich nie wróciła jednak do Elswick. Rebecca, która urządziła przyjęcie, pracowała w agencji turystycznej. Poza wesołym „jak się masz?” nie miały o czym ze sobą rozmawiać. Julia stała z boku przez cały wieczór, trzymając w ręce szklankę z piwem, i wyszła tuż po północy. Następny dzień spędziła w dawnym domu babci, a potem spakowała małą walizkę, nie mogąc dłużej znieść ciszy i wspomnień. Przyjeżdżając do opustoszałego Holywell Manor, trochę żałowała, że nie przyjęła propozycji Dominika, by spędzić święta w jego rodzinnym domu. Miała jedynie mgliste pojęcie o tym, gdzie on mieszka. Określał to miejsce jako „krwiożerczą pijawkę na łonie natury”, ale kiedyś podsłuchiwała, jak ktoś mówił, że jego ojciec jest hrabią. Nie bardzo wiedziała, co to oznacza, lecz bała się spytać. Można się było jednak domyślić, że Dom pochodzi z wyższych sfer. Miałyby spędzić święta z ludźmi z wyższych sfer? Nie wyobrażała sobie tego. Dlatego teraz musiała sobie radzić sama, co też nie bardzo jej wychodziło. Wysiadła z autobusu przy głównej ulicy i ruszyła Longwall do Holywell w gęstniejącym śniegu. Poślizgnęła się raz czy dwa, ciągnąc za sobą walizkę. Do pełni szczęścia brakuje jeszcze, żebym złamała nogę – pomyślała z goryczą, pchając żelazną furtkę prowadzącą do akademika.

Weszła na górę, nie spotykając po drodze nikogo, co przyjęła z ulgą. Nie miała ochoty nikogo widzieć, nawet tych trzech cichych i grzecznych chińskich studentów, którzy, tak jak ona, odstawali od innych. Ale przynajmniej mieli siebie nawzajem. Często spotykała ich w kuchni. Rozmawiali ze sobą po kantońsku czy mandaryńsku, tego oczywiście nie wiedziała, ale za każdym razem, gdy wchodziła, milkli zawstydzeni, jakby robili coś złego. Próbowwała ośmielić ich wesołym „cześć”, lecz

nigdy nie uzyskała niczego więcej poza bojaźliwym uśmiechem. Dała więc sobie spokój. Teraz nawet ich nie było. Akademik tonął w śmiertelnej ciszy.

Otworzyła drzwi do swojego pokoju. Był dokładnie taki, jak go zostawiła. Ogarnął ją nagły przypływ czułości na widok kołdry patchworkowej i długopisów leżących na biurku. Czuła się tu jak w domu bardziej niż w innych miejscach. Postawiła walizkę na środku, zdjęła buty, otworzyła okno i usiadła na parapecie.

Zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy wirowały płatki śniegu. Teren na prawo od Holywell pokrywała warstwa białego puchu. Świat tonął w ciszy i spokoju. Wciągnęła w płuca chłodne zimowe powietrze, walcząc z ogarniającym ją smutkiem. Do rozpoczęcia wiosennego semestru pozostało kilka dni. Powinna je dobrze wykorzystać. Poprzedni semestr zakończyła bez żadnej porażki, ale czekała ją jeszcze długa droga na szczyt. W tej chwili pierwsze miejsce zajmowały dwie osoby: Douglas Parks i Jonathan Roddington-Palmer. Przysięgła sobie, że przed końcem tego roku do nich dołączy. Nie wystarczyło studiować na Oksfordzie, musiała się jeszcze znaleźć w grupie najlepszych. Wiedziała, że jest równie dobra jak oni, brakowało jej tylko pewności siebie. Gdy tylko proszono ją o zaprezentowanie własnej opinii lub linii obrony, zaczynały jej się pocić ręce. Widziała, jak się krzywili na jej akcent i nerwowe zakładanie włosów za ucho. Nie miała takiej swobody i łatwości wysławiania się jak inni i spośród czterech kobiet na kursie tylko ona nie była uroczą, zalotną blondynką. Podśluchała kiedyś, jak jeden z wykładowców mówił o niej, że jest całkowicie pozbawiona kobiecego uroku. Nie wiedziała, czy ma się z tego cieszyć, czy martwić.

Zamknęła okno i odwróciła się. Dochodziła osiemnasta. Dotąd zjadła jedynie rozmokłą kanapkę z serem i pomidorem kupioną w pociągu. Brzuch domagał się swoich praw. W kuchni na dole zostawiła paczkę makaronu i słoiczek pesto. Nie było jej tylko dwa tygodnie, więc może produkty jeszcze się nie zepsuły. Zerknęła na walizkę. Najpierw coś zje, potem się rozpakuje i weźmie do pracy.

Spod drzwi kuchni sączyło się światło i ktoś trzaskał drzwiczkami szafki i lodówki. Ktokolwiek to był, robił piekielnie dużo hałasu. A więc chińscy studenci odpadają. Zajrzała ostrożnie do środka, zastanawiając się, kto jeszcze mógłby wrócić do Oksfordu dzień po Nowym Roku i dlaczego. Mimowolnie przykryła usta dłonią, gdy zobaczyła, kto to jest. Aaron Keeler. Stał tyłem do niej, ale od razu rozpoznała rozczochraną blond czuprynę i szerokie ramiona. Odwrócił się, gdy weszła, i powitał ją z równym zaskoczeniem.

– A, to ty – mruknął.

– Tak. Ja też ci życzę wesołych świąt – warknęła, nie mogąc się powstrzymać.

Otworzyła szafkę, w której trzymała swoje artykuły spożywcze. Zamrugnęła powiekami. Torba z makaronem fusilli zniknęła. Aaron Keeler trzymał ją właśnie nad garnkiem z gotującą się wodą, jej garnkiem, jeśli chodzi o ścisłość. Właściwie to po raz pierwszy widziała go w kuchni.

– Przepraszam – powiedziała lodowatym tonem. – Zdaje się, że to mój makaron.

Popatrzył na pustą już torbę, której zawartość wirowała właśnie w wodzie, i wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Nie był podpisany.

– Nie możesz tak po prostu wchodzić i... – Urwała, uświadamiając sobie, że podnosi głos i zaczyna mówić z północnym akcentem. Skrzywiła się. – Chodzi o to, że...

– Wiem, o co ci chodzi. Proszę bardzo. Możesz sobie wziąć ten cholerny makaron – rzucił lekceważącym tonem. – Znajdę inny. – Podeszedł do szafki i otworzył ją. – MiS. Znacznie lepiej. – Uniósł w górę paczkę. – Zadowolona?

– Słuchaj, nie chciałam, żeby tak to wyszło. Tego makaronu wystarczy dla nas dwojga – odpowiedziała czerwona na twarzy. Boże, ale arogant!

– Nie bój się, nawet by mi przez myśl nie przeszło, żeby ciebie okraść.

Wyjął drugi garnek. Julia została na środku kuchni, żałując, że nie trzymała języka za zębami. Jeżeli czegoś nie mogła znieść, to oskarżenia o skąpstwo. Nigdy w życiu nie była skąpa. I ten jego delikatny, ale wyraźny nacisk na słowo „ciebie” świadczył o tym, że już prędzej okradłby kogoś innego niż ją. Poczula, jak wzbiera w niej gniew.

– Chciałam tylko powiedzieć, że byłoby grzeczniej zapytać – odparowała. – Mam gdzieś ten cholerny makaron. Dla mnie możesz sobie zjeść całą paczkę. A skoro o tym mowa, to proszę, możesz też skończyć moje pesto.

Otworzyła lodówkę. Słoik z pesto zniknął. Odwróciła się. Stał przy kuchence, a w środku tkwiła łyżeczka. Rzuciła na Aarona piorunujące spojrzenie i bez słowa wyszła z kuchni. Wróciła na górę. Prędzej umrze z głodu, niż będzie się kłócić z Keelerem o jedzenie. Otworzyła drzwi do pokoju, zatrzasnęła je za sobą z hukiem i rzuciła się na łóżko.

Serce biło jej jak szalone. Nic nie mogła na to poradzić, że działał jej na nerwy. Właściwie to wszystko ją w nim irytowało, poczynając od tej pewnej siebie, przystojnej gęby po szyderczy uśmiech nieschodzący mu z ust. „Nie bój się, nawet by mi przez myśl nie przeszło, żeby ciebie okraść”. Och! Popatrzyła na swoje zaciśnięte w pięści dłonie i westchnęła z irytacją. Była nie tylko zła, ale i głodna. Wyglądało na to, że będzie musiała poczekać przynajmniej godzinę. Nie chciała znowu natknąć się na Keelera. A w ogóle co, u diabła, on tu robił? Dopiero teraz uświadomiła sobie, że był opalony. Miał zaczerwienione czoło i nos, które tworzyły charakterystyczny kształt litery T. Albo spędzał czas na plaży, albo na nartach. Tak czy owak wyglądał niepokojąco zdrowo i... niepokojąco atrakcyjnie. Och, niech go diabli! Przekręciła się i ukryła twarz w poduszce.

Nagle do jej uszu dotarło pukanie. Uniosła głowę, zastanawiając się, czy aby dobrze słyszała. Podniosła się z łóżka i ściskając poduszkę dla ochrony, ostrożnie uchyliła drzwi. Korytarz był pusty, tylko unosił się w nim zapach ciepłego makaronu z pesto. Stała w progu, zastanawiając się, czy powinna wrócić do kuchni.

Najwyraźniej pofatygował się, by przynieść jej gotowe danie. Co powinna teraz zrobić? Pójść za nim? Zagryzła wargę w zamyśleniu, po czym wróciła do pokoju. Niech go szlag! – pomyślała po raz któryś z rzędu. Zaskoczył ją i teraz nie wiedziała, jak ma się zachować. Czy przyszedł przeprosić i zaproponować talerz makaronu, czy napawać się swoim triumfem? Znajac Keelera, pewnie to drugie. Problem w tym, że w ogóle go nie znała. W każdym razie nie na tyle, by znaleźć odpowiedź na swoje pytanie. Otworzyła walizkę i wyciągnęła z niej koszulę nocną. Była zbyt zmęczona, głodna i zdenerwowana, by dłużej się nad tym zastanawiać. Ponownie otworzyła drzwi, rozejrzała się na boki, sprawdzając, czy nie ma go w pobliżu, i poszła do łazienki umyć zęby. Miała tego dość. A semestr jeszcze nawet się nie zaczął.

Animozja, jaką czuli do siebie Julia Burrows i Aaron Keeler, biorąca się w dużej mierze z pogardy, przerodziła się teraz w regularną, bezpardonową wojnę. W tygodniu po incydencie z makaronem, jak lubił go określać Dom, Aaron, ku zaskoczeniu Julii, zaczął pojawiać się w bibliotece wydziału prawa i nosić ze sobą prawie tyle samo książek co ona. Stale teraz przesiadywał z nosem w książce w klubie wydziałowym. Zaintrygowało ją to. W poprzednim semestrze większość czasu spędzał w barze.

– To dlatego, że go wkurzasz – wyjaśnił Dom z zadowoloną miną, gdy wspomniała o tym, siląc się na obojętny ton. – Całe życie trzymał się spódnicy mamusi. Teraz postanowił się usamodzielnąć. A skoro twoje notowania poszły w górę, to nie ma się czemu dziwić. Jeżeli jest coś, czego Keelerowie nie znoszą, to przegrywać. Bez względu na dziedzinę. Wioślarstwo, rugby, literatura, dla nich to bez różnicy. Moim zdaniem wywierasz na niego presję. Wyglądał, jakby miał go szlag trafić, gdy wygrałaś wczoraj tę polemikę.

– Ja? – spytała Julia, udając zdziwienie. Prędzej umarłaby, niż się do tego przyznała, ale myśl, że udało jej się pokonać Keelera, była nadzwyczaj satysfakcjonująca. Nadzwyczaj.

– Tak, ty. Nie bądź taka zdziwiona. Nawet Munro musiał zrewidować swoją opinię o tobie. Byłaś w świetnej formie dziś rano. I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

Miała na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

– Dopisało mi po prostu szczęście – powiedziała, siląc się na nonszalancki ton.

– Bzdura. Niewiele cię ostatnio widuję. Stale przesiadujesz w tej cholernej bibliotece. Z Keelerem, pozwolę sobie dodać.

Rumieniec na twarzy Julii pogłębił się.

– To nieprawda – mruknęła.

– Skoro tak mówisz... Zresztą nie po to tu przyszedłem. W przyszłym tygodniu są moje urodziny. Tak, tak, kończę dwadzieścia trzy lata, możesz to sobie wyobrazić? – Julia miała ochotę wybuchnąć śmiechem, bo Dom wyglądał na osiemnaście. –

W każdym razie – ciągnął, marszcząc czoło, jakby czytał w jej myślach – urządzam przyjęcie. Nie, nie tutaj – dodał, wskazując na klub. – W domu.

– W domu? To znaczy w Norfolk?

Kiwnął głową z lekkim zakłopotaniem.

– Matka się uparła. Ma dość słuchania o kolegach z roku, chce was wszystkich zobaczyć. Parę osób już zna z Eton, ale ciebie zawsze bardzo chciała poznać.

– Mnie? – spytała Julia zaskoczona.

– Mhm. Podejrzewam – zniżył głos – że wiąże z tobą nadzieje. Duże nadzieje.

Popatrzyła na niego niepewnie.

– Nadzieje? Ach... rozumiem. No cóż...

– Powiedz, że przyjedziesz. Obiecuję, że będzie fajnie. Pojechalibyśmy pociągiem w piątek rano, a wrócilibyśmy w niedzielę.

– A kto jeszcze będzie? – spytała.

– No... zaprosiłem Keelera – wyznał z zakłopotaniem w głosie. – Musiałem. Nie był na moim roku, ale jest etończykiem. Matka zabiłaby mnie, gdybym go nie zaprosił.

Julia nie odpowiedziała. Weekend na wsi z Aaronem Keelerem? Jak jej żołądek to zniesie? Już na samą myśl robiło jej się niedobrze. No, ale to przecież urodziny Doma. Wiedziała, jak bardzo mu zależało na obecności i jej, i Keelera, chociaż z różnych powodów. Była również ciekawa jego domu. Niewiele o nim mówił, podobnie jak o rodzicach. Hayden Hall, rodzinna posiadłość Barrington-Browne'ów, leżała w Norfolk, blisko morza.

– Jest ogromna – powiedział kiedyś ze smutkiem w głosie. – I nie ma od niej ucieczki. Odziedziczę to cholerstwo, gdy ojca zabraknie. A teraz pozwalają mi się wyszumieć.

Wbił wzrok w szklankę z piwem.

– Jak to wyszumieć? – spytała zaskoczona.

– Z tą specjalizacją. Tak naprawdę to tylko zabawa. Kiedy oni odejdą, będę musiał przejąć cały ten cholerny majątek i spędzić resztę życia, kombinując, jak go utrzymać. Nie masz pojęcia, co znaczy zarządzanie taką wiejską posiadłością.

– Nie, chyba nie mam. – Uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi o to, że ja nie chcę tego, czego oni ode mnie oczekują.

– Żony, dzieci, posiadłości i tak dalej?

Potaknął głową z ponurą miną.

– W skrócie.

Popatrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Oczywiście, że przyjadę – odparła w końcu. – Za nic bym tego nie przegapiła.

– Dzięki, Burrows – powiedział z uczuciem. – Będę mógł... no wiesz, co mam na myśli.

Potwierdziła powolnym ruchem głowy. Nie miała okazji tego doświadczyć, ale

nieodwzajemniona miłość musiała być czymś okropnym. Zwłaszcza w wypadku Doma, który nie miał żadnej nadziei na to, że doczeka się wzajemności. Sądząc po tym, jak kobiety narzucały się Aaronowi Keelerowi i jak na nie reagował, pewnie nawet się nie domyślał, co czuje Dominik. I jak cierpi. Zawahała się. Nie należała do osób wylewnych, nawet w stosunku do przyjaciół, więc tylko wsunęła mu rękę pod ramię.

– Będziesz mi musiał pomóc kupić jakąś sukienkę – powiedziała, pozwalając sobie na uśmiech. – Mam tylko jedną wieczorową kreację. Jest żółta i okropna.

– A tak... Żółta beza, tak ją, zdaje się, nazwałaś. Dobrze, zrobię, co w mojej mocy. Chyba powinna być czarna. Matka mówi, że pasuje na każdą okazję.

– W takim razie pomóż mi wydać część stypendium. Od wieków nie kupowałam nowych ciuchów.

– To widać – odparł, usuwając się przed delikatnym kuksańcem. – Dzięki, Burrows – powiedział, gdy wyszli z klubu. – Mówię serio. I nie przejmuj się moją matką. W głębi duszy ona chyba wie.

– Matki zwykle wiedzą – odpowiedziała miękko, czując nagły ucisk w gardle.

W piątek Dom uparł się, że zapłaci za bilety pierwszej klasy dla siebie i Julii. Aaron, Peregrine i David – trójka etończyków z Balliol, zaproszonych na specjalną prośbę lady Barrington-Browne – mieli przyjechać następnego dnia rano samochodem. Pomimo zastrzeżeń co do obecności Keelera na przyjęciu urodzinowym i wielu pytań związanych ze spędzeniem weekendu w wiejskiej posiadłości – co powinna włożyć na piątkową kolację, jak ma się zwracać do lady Barrington-Browne, który widelec służy do owoców i czy musi pić herbatę z filiżanki, odwodząc mały palec – Julia czuła się podekscytowana. Dom starał się rozwiązać wszystkie jej wątpliwości.

– Po prostu bądź sobą. Matka na pewno cię polubi – zapewnił.

Po raz pierwszy od przyjazdu do college’u Balliol miała wrażenie, że znalazła wreszcie swoje miejsce. Co prawda niewielkie, jedynie dla Dominika i siebie, ale zawsze. Przyjemnie było czekać na weekend, który spędzi tym razem nie w bibliotece. Z zadowoleniem wspominała również popołudniowe zakupy. Zwyciężył pierwszorzędny gust Doma (jego własne słowa) i wyszła z Selfridges z prostą czarną sukienką i parą zabójczych pantofli na wysokich obcasach (też jego słowa).

Pojechali pociągiem do stacji Paddington, a potem czarną taksówką przez miasto do Liverpool Street, gdzie wsiedli do pociągu do Norfolk. Przyjaciel poinformował ją, że w Swaffham będzie na nich czekał szofer. Gdy pociąg ruszył z peronu i zaczął nabierać prędkości, podniecenie Julii wzrosło. Nie pamiętała, kiedy ostatnio bawiła się naprawdę dobrze. Chyba całe wieki temu. Okolice Cambridge tonęły w promieniach słońca i opalizującej zieleni. Na krzewach janowca pojawiły się pierwsze żółte kwiaty. Niebo nad Norfolk było bezchmurne i błękitne. Po mrocznym Oksfordzie Julia poczuła, że wstępuje w nią nowe życie. Siedziała na wyłożonej pluszem ławce, z nosem wciśniętym w okno, nie chcąc przegapić najdrobniejszego szczegółu.

W Swaffham czekał na nich szofer w liberii. Mimowolnie otworzyła usta, idąc za Domem do błyszczącego czarnego samochodu, którego obszerne wnętrze przypominało wagon kolejowy.

– To twój samochód? – spytała go szeptem, nie chcąc, by kierowca się dowiedział, pod jakim jest wrażeniem.

– Należy do rodziny – odrzekł, lekko zmieszany. – Ja nim nie jeżdżę.

Odwróciła się w stronę okna. Nie miała pojęcia, że Dominik jest aż tak bogaty. W połowie drogi do Hayden zauważyła niski mur biegnący wzdłuż wiejskiej drogi.

– Chyba nie powiesz mi, że to granica posiadłości – rzuciła żartem.

Wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego.

– No tak. Mówiłem ci, to prawdziwa pijawka. Nie masz pojęcia, ile kosztuje jej utrzymanie.

– Nie, ale zaczynam się domyślać – mruknęła.

Ponownie odwróciła głowę w stronę okna. Jechali od jakichś piętnastu minut z prędkością około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Szybko policzyła w myślach. To mniej więcej szesnaście kilometrów, a zostało jeszcze dwa razy tyle. Z trudem przełknęła ślinę. Hayden Hall było większe od Elswick. Gdy w końcu minęli bramę, jej oczom ukazały się majestatyczne dęby rosnące wzdłuż podjazdu. Wyglądały niczym zieloni wartownicy w futrzanych czapach. Oślepiły ją promienie słońca odbijające się od maski, gdy samochód zatoczył olbrzymie koło i zatrzymał się przed jasnożółtą fasadą okazałego dworu.

– Dojechaliśmy! – wykrzyknął Dom, otwierając drzwi. Szofer obszedł samochód i otworzył drzwi przed Julią, pomagając jej wysiąść. – Nareszcie.

– Wniose bagaże, proszę pana – mruknął szofer, zamykając drzwi za dziewczyną.

– Dziękuję, Neil. Chodź, matka czeka. Założę się, że czekała całe popołudnie.

Wyciągnął rękę. Ujęła ją, kompletnie oszołomiona, po czym razem weszli po schodach.

– Dominik! – zabrzmiał kobiecy głos, gdy przeszli długim, niekończącym się korytarzem z mnóstwem obrazów, mebli i drzwi. Potem były rzeźby i jeszcze więcej obrazów, aż wreszcie skręcili do prywatnego saloniku.

Lady Barrington-Browne podniosła się z miejsca na ich widok. Była wysoką, cudownie smukłą kobietą, ubraną w spódnicę w kratę i żakiet Chanel, jak się Julii wydawało, chociaż nie miała pojęcia, jakim cudem go rozpoznała. Ucałowała syna ostrożnie w oba policzki, a następnie zwróciła się do gościa:

– A ty musisz być Julia. Wspaniale, że przyjechałaś. – Podała jej rękę.

Julia nie wiedziała, czy ma ją uścisnąć, czy dygnąć. Lady Barrington-Browne rozwiązała problem sama, serdecznie ściskając jej dłoń. Niebieskie oczy spojrzały z wyraźną sympatią na nowo przybyłą.

– Dominik mówił, że jesteś sierotą. To okropne. On bardzo cię lubi i teraz rozumiem, dlaczego. Witaj w Hayden Hall, kochanie. Musisz poczuć się jak u siebie w domu. Natychmiast. Chodźcie. – Poprowadziła ich do trzech cudownie miękkich, pluszowych kanap. – Napijesz się herbaty?

Nie czekając na odpowiedź, potrząsnęła srebrnym dzwoneczkiem i po chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiła się pokojówka z równie srebrną tacą. Julia wzięła filiżankę dłonią, która tylko lekko drżała. Pomimo dzielącej ich ogromnej przepaści społecznej pani Barrington-Browne emanowała ciepłem, a dziewczyna z radością je odwzajemniła. Kiedy pół godziny później pojawił się ojciec Doma i powitał ich chłodno, oficjalnie, było jasne, które z rodziców ma większy wpływ na syna. Subtelność odziedziczył niewątpliwie po matce. Ojciec

warkliwym tonem zadał dwa rutynowe pytania: „Jak sobie radzisz?” i „Kiedy wrócisz na stałe?”. Po wypiciu herbaty wstał i oznajmił, że idzie do gabinetu.

– Zejdiesz na kolację? – skierowała lady Barrington-Browne pytanie do jego oddalających się pospiesznie pleców.

Odpowiedziało jej chrząknięcie. Popatrzyła na Julię i Doma i twarz jej pojaśniała.

– To chyba znaczyło: nie. A więc będę się musiała wami zająć. Wspaniale.

Kolację zjedli w pięknie umeblowanej jadalni wychodzącej na południe, na szeroki trawnik i jezioro. Obsługiwało ich dwóch służących w liberii. W trakcie posiłku gospodyni udało się wyciągnąć z Julii dawno zapomniane szczegóły z dzieciństwa. Może przyczyną było wino. Wystarczyło, by wypić dwa łyki wybornego czerwonego wina, gdy pojawiał się lokaj z kryształową karafką i natychmiast jej dolewał. Podano łososia z młodymi ziemniakami posypanymi koperkiem.

– Wszystko, co jemy, pochodzi z naszego gospodarstwa – wyjaśniła z dumą lady Barrington-Browne i spojrzała na Doma. – To wielkie przedsięwzięcie, synu. Przed powrotem do Oksfordu powinieneś porozmawiać o tym z ojcem. Zdziwisz się, jak dobrze prosperuje.

Chłopak chrząknął podobnie jak ojciec. Julia ukryła uśmiech. Popatrzyła na rosnące za oknem drzewa. Miała wrażenie, jakby dwór i jego historia stały u jej boku. Było to dziwnie uspokajające odczucie.

– Bardzo tu pięknie – wyrwało jej się.

– Prawda? – Lady Barrington-Browne podążyła za jej wzrokiem. – Wciąż pamiętam dzień, w którym mąż przywiózł mnie tutaj po raz pierwszy. Trudno powiedzieć, w kim się bardziej zakochałam.

– Mamo! – Dom uniósł wzrok znad talerza. – To straszne, co mówisz.

– Być może – odparła. – Ale to prawda. Kiedyś to wszystko będzie twoje – dodała z uśmiechem. – I twoich dzieci.

– Mamo. – W jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

– Już dobrze, dobrze. – Uniosła kieliszek wina znaczącym gestem. – Ja tylko chcę, żebyś był szczęśliwy, kochanie.

– Jestem szczęśliwy, mamo.

– Wiem, że jesteś. Przywiozłeś tu Julię. Bardzo się cieszę.

– Mamo. – Tym razem ostrzeżenie było aż nadto wyraźne.

Pragnąc ukryć zakłopotanie, dziewczyna zaczęła opowiadać o wycieczce do okazałego domu, którą odbyła z rodzicami, gdy miała sześć lat. Zapamiętała z niej jedynie to, że musiała iść do łazienki, z samego domu nic nie pozostało jej w pamięci. Dominik popatrzył na nią z wdzięcznością, a jego matka sięgnęła przez stół i ścisnęła jej ramię.

– Biedactwo. Żeby stracić ich oboje w ten sposób. To musiało być straszne. Uważaj nas za swoją rodzinę, Julio.

– Och, ale ja nie to miałam na myśli – wyjąkała. – Ja nie chciałam...

– Oczywiście, że nie. Ale muszę powiedzieć, że jesteś najbardziej interesującą osobą, jaką Dom przywiózł do domu. Zwykle byli to koledzy z Eton, którzy jutro tu się zjawiają. Jak oni się nazywają? Aha, Aaron i Peregrine. Mało ciekawi.

– Mamo, dość tego. Pokażę teraz Julii kaplicę, a potem idziemy spać. To był długi dzień.

– Oczywiście, kochanie. To piękna kaplica, Julio. Działa kojąco. Zapal świecę. Śpij dobrze. Jutro rano jeżdżę konno, ale spotkamy się na lunchu. Pani McCallum przygotowuje menu na jutrzejszy wieczór. Wszystko jest pod kontrolą.

– Jak zwykle. Dobranoc, mamo. – Dominik pochylił się i pocałował matkę. – Chodź – powiedział, odwracając się do Julii. – Rzeczywiście, kaplica jest wspaniała. Podziała na ciebie uspokajająco.

Naprawdę była wspaniała. Nieduża, ale piękna. W powietrzu unosił się słodki zapach lilii. Kiedy pchnęli ciężkie dębowe drzwi, Julia znowu poczuła uspokajający ciężar bogactwa i tradycji. Podążyła za Domem do ołtarza. Po obu stronach stały świece. Poszła za przykładem przyjaciela, zapaliła jedną i postawiła na stojaku w górnym rzędzie. Cienki, migotliwy płomyk powoli nabierał mocy, rzucając cienie na kamienną podłogę i ściany. Nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do religii – rodzice byli niepraktykującymi katolikami – ale stojąc teraz przed obliczem Boga, czuła się poruszona i uwznioślona. Zmówiła cichą modlitwę, ale tym razem nie było w niej bólu czy smutku. Rodzinna kaplica emanowała spokojem. Gdy Julia wstała po kilku minutach, świat wydał jej się bardziej przyjazny i jaśniejszy. Wyszła za Domem w chłodne powietrze nocy, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza. Potem wzięła przyjaciela pod ramię i ruszyli przez dziedziniec w zgodnej ciszy. Cieszyła się, że tu przyjechała. Od bardzo dawna nie czuła ciepła prawdziwego domu, i to tak wspaniałego jak ten. To ciepło pozostało w niej przez całą noc.

Nazajutrz po południu grali z Domem w scrabble w salonie, gdy weszła służąca z wiadomością, że przyjechali pierwsi goście. Przez cały ranek Julia słyszała odgłosy przygotowań dochodzące z obszernej kuchni pod hallem wejściowym – brzęk garnków, butelek przynoszonych z piwnicy, stłumione okrzyki służących. Widziała dwie z nich, jak biegały tam i z powrotem między kuchnią a jadalnią z talerzami, sztućcami, naręczami świeżych kwiatów i butelkami wina.

– Ile osób ma być na przyjęciu? – spytała zdumiona.

– Och, jakiś tuzin. Będzie paczka z Balliol i jeszcze dwóch etończyków. Na pewno polubisz Simona. Przez ostatnie dwa lata podróżował po świecie. Będzie też moja kuzynka z przyjaciółmi. Dziś rano dzwonił Keeler i pytał, czy Minty może przyjechać.

– Minty? – Julia nie kryła niezadowolenia. – Boże, tylko nie ona. Jest okropna. – Wciąż bolało ją wspomnienie zasłyszanej rozmowy z Aaronem na jej temat.

– Co mogłem powiedzieć? Wiem, że jest upierdliwa, ale ona i Keeler są praktycznie nierozłączni.

Julia usłyszała jej głos, zanim jeszcze dziewczyna się pojawiła.

– Och, czy tu nie jest bosko?

Skrzywiła się i wstała z podłogi.

– Dopilnuj, żebym nie przesadziła z szampanem dziś wieczorem – powiedziała ponurym tonem. – W przeciwnym razie mogłabym ulec pokusie i ją walnąć.

Dominik uśmiechnął się szeroko.

– Wobec tego będę cię poił przez cały wieczór. Araminta Hedley-Tetherington spoliczkowana? Muszę to zobaczyć.

– Dom...

– Dobrze już, dobrze. Nie gorączkuj się. Żartowałem.

– Chryste, ale niektórym się powodzi!

W drzwiach stanął Aaron Keeler. Oczy mu się zwęziły na widok Julii. Ona zaś udała, że go nie dostrzega. Tuż za nim weszła Minty, rozglądając się ciekawie po pokoju, a dalej Peregrine i David, niemożliwie lalusiowaty czwarty przedstawiciel ich małej grupki. Serce Julii się ścisnęło. Tak dobrze się bawiła przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, a teraz myśl o kolacji ściągnęła ją na ziemię, przypominając, że dalsza część pobytu nie będzie już taka miła. Poczowała, jak oczy Minty omiatają jej dżinsy i sweter i zatrzymują się na skarpetkach. W schludnym bliźniaku, z nieodłącznymi perłami na smukłej szyi wyglądała jak przybysz z obcej planety. Planety dostatku. Dość tego – pomyślała Julia, zbierając kostki scrabli z podłogi. Nie pozwoli, by Minty zrujnowała jej najlepszy weekend. Wyszła za

gośćmi na korytarz i uciekła do swojego pokoju. Dochodziła czwarta. Do kolacji pozostało kilka godzin. Spędzi je na czytaniu, a potem weźmie długą kąpiel i zacznie się szykować. Omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Szykować? Zwykle zajmowało jej to nie więcej niż dziesięć minut. Teraz mogło być inaczej. Po raz pierwszy ogarnęło ją zniecierpliwienie na myśl o dzinsach i swetrach, które stanowiły podstawę jej garderoby. Spojrzała w lustro wiszące obok łóżka. Powinna zrobić coś z włosami. Sięgały jej do ramion, były idealnie gładkie i łatwe w utrzymaniu. Od prawie dziesięciu lat nie zmieniała fryzury. Co prawda trudno było to nazwać fryzurą, jednakże dziś wieczorem... Zebrała włosy na czubku głowy i obejrzała siebie z jednej i drugiej strony. Czegoś brakowało. Kolczyków, ale ich nie miała. Pozwoliła włosom znów swobodnie opaść na ramiona. Co ona wyprawia? Kogo obchodził jej wygląd? Na kim chce zrobić wrażenie?

Punktualnie za piętnaście ósma otworzyła drzwi do pokoju i wyjrzała na korytarz. Nikogo nie było w pobliżu. Dom uprzedził wszystkich telefonicznie, żeby przyszli do salonu na aperitif piętnaście minut przed kolacją. Ruszyła trochę niepewnie w nowych pantoflach na wysokich obcasach, starając się nie myśleć o butach, sukience, włosach i o najtrudniejszej rzeczy – makijażu. Zrobiła parę prób z tuszem do rzęs i kredką do oczu, nie mając pewności, czy efekt jej się spodoba. Nie pierwszy raz się malowała, ale nie była do tego przyzwyczajona. Dotknęła warg... Tak, nie zapomniała nałożyć szminki. Przeszła przez wielki hall, stukając głośno obcasami po marmurowej podłodze, a następnie skierowała się długim korytarzem w stronę, skąd dochodziły gwar rozmów i muzyka.

– A, Julia, jesteś. – Lady Barrington-Browne, szczupła i elegancka w granatowej jedwabnej sukni, poklepała miejsce obok siebie. – Wyglądasz uroczo, kochanie. Chodź, usiądź przy mnie.

Unikając zawistnego spojrzenia Minty, przeszła przez pokój, świadoma każdego kroku. Przysiadła na brzegu kanapy i z wdzięcznością przyjęła kieliszek wina. Pociągnęła większy łyk, niż powinna, i rozejrzała się po salonie. Oprócz czterech osób, które знаła, było tu sześć lub siedem innych w wieczorowych sukniach i smokingach. Oczywiście wszyscy się znali, chodzili do tych samych przedszkoli, szkół z internatem i na uniwersytety. Wydeptana ścieżka, jak często mówił Dom. W jednym rogu przy oknie stał Aaron z kieliszkiem w ręku. Minty rozmawiała z dziewczyną w długiej szmaragdowozielonej sukni, koleżanką ze szkoły, tak w każdym razie mówiono. Dlaczego jej głos niósł się dalej niż innych, było dla Julii tajemnicą.

– Och, naprawdę? Och, to okropne! Nie! Nie wyobrażam sobie, by ona...

I tak dalej. Julia wypila kolejny łyk wina, czując rozlewające się po ciele przyjemne ciepło, podbudowujące jej dość chwiejną wiarę w siebie. Zegar wybił ósmą. Lady Barrington-Browne klasnęła w dłonie. Pojawiła się służąca, za nią druga. Goście ruszyli do jadalni. Za chwilę miała się rozpocząć kolacja.

– Drukarz? – Głos Minty niósł się przez cały długi, elegancko udekorowany stół. – Kto to jest drukarz?

Julia była przy trzecim, a może czwartym lub piątym kieliszku wybornego czerwonego wina i pytanie ani jej nie zdziwiło, ani nie zirytowało. Czuła wzrok Doma na sobie, gdy odstawiała kieliszek.

– Osoba zajmująca się drukowaniem prasy. Gazet. Ojciec pracował dla „Newcastle Herald”.

– Aha. – Minty najwyraźniej straciła rezon.

– Działał również w związku. – Julia nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała.

– Związkowiec? – nie wytrzymał Peregrine. Popatrzył na nią, jakby właśnie poinformowała go, że ojciec siedział w więzieniu za morderstwo.

– Mhm. Przez całe życie. – Chociaż raz świetnie się bawiła. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale zakłopotane spojrzenia gości rozbawiły ją. Chryste, oni żyją w ciepłarniach. – Był takim trochę podżegaczem.

– Nieźle – mruknął Aaron.

Jego uwaga była skierowana tylko do jej uszu. Odwróciła wolno głowę w jego stronę.

– Coś ci nie pasuje?

Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć. Dom w obawie, że rozmowa może się skończyć czymś poważniejszym, pospiesznie zmienił temat i zaczął opowiadać jakąś starą szkolną historię sprzed dziesięciu lat.

Myśli Julii poszybowały w inną stronę. Przytknęła kieliszek do ust. Jeśli powiedziało się A, trzeba powiedzieć i B – mawiał ojciec. Uśmiechnęła się do siebie. Nie sądziła, że przyjdzie dzień, gdy będzie mogła myśleć o ojcu lub matce z uśmiechem na twarzy. Minęło prawie dziesięć lat od ich śmierci i chociaż czas stępił ból, to go nie zlikwidował. I oto nagle, gdy zupełnie się tego nie spodziewała, wspomnienie o nich wywołało uśmiech. Tak długo czekała na ten dzień.

– Przepraszam – powiedziała szybko, odstawiając kieliszek i wstając z miejsca. Dom popatrzył na nią i zmarszczył brwi.

– Wszystko w porządku? – spytał z troską w głosie.

– Tak. Muszę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie, nie wstawaj. Wyjdę na chwilę na zewnątrz.

Odsunęła krzesło, przeszła spiesznie na koniec pokoju, otworzyła przeszklone drzwi prowadzące na obszerny balkon i znalazła się w ciemności. Otuliła się ramionami i wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Ten weekend wbrew jej obawom okazał się całkiem znośny. Miała okazję doświadczyć jeszcze czegoś oprócz pysznego jedzenia, dobrego wina i cudownie wygodnego łóżka. Zastanawiała się nad właściwym określeniem. Tak, chyba życzliwość i sympatia będą tu najważniejsze. Przepaść dzieląca ją od Doma i jego sfery nie była ani tak szeroka, ani tak trudna do pokonania, jak sądziła. Był jakiś wdzięk i poczucie przyzwoitości w sposobie, z jakim traktowali swoje bogactwo. Może – zawahała się, gdy ta myśl przyszła jej do

głowy – może to, że czuje się w Balliol nie na miejscu, jest jej problemem, nie ich. Może nie powinna się czuć zagubiona. Dom często sobie z tego żartował. „Nie czuj się gorsza, Burrows, to cholerny balast. Powinnaś spróbować go czasem zrzucić, bo dysk ci wypadnie”. Nie mogła się powstrzymać i zachichotała głośno.

– Z czego się śmiejesz? – usłyszała nagle czyjś głos w ciemnościach.

Odwróciła się. Aaron Keeler. Znowu poczuła ciężar balastu.

– Z niczego – odparła niechętnie.

Co on tu robi, u diabła? Usłyszała trzask zapalanej zapałki. Aha, wyszedł na papierosa.

– Zapalisz? – Wyciągnął w jej stronę paczkę.

Zawahała się. W zasadzie nie paliła, najwyżej jednego czy dwa na imprezie, ale nie wiedziała, co zrobić z rękoma, a bliskość Aarona wyprowadzała ją z równowagi. Czowała zapach jego wody po goleniu – zdecydowany i przenikliwy, przypominający jej ojca.

– Dzięki – mruknęła, biorąc papierosa.

Pochylił się, by podać jej ogień. Przez krótką chwilę ich ręce się zetknęły, a Julia poczuła prąd przebiegający ciało. Zakręciło jej się w głowie. Pospieszenie się zaciągnęła, jakby miało to jej pomóc utrzymać równowagę. Wszystko przez to wino – pomyślała, wściekła na siebie. Albo świeże powietrze. Albo jedno i drugie.

– A więc drukarz i działacz związkowy. Co teraz robi? Pewnie jest już na emeryturze.

– Nie żyje. Oboje nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym, gdy miałam piętnaście lat. – Słowa wypłynęły jej z ust, chociaż wcale tego nie chciała.

Odwróciła głowę, strzepując popiół za balustradę.

– O cholera, przepraszam. Ja... nie wiedziałem. – Głos Aarona złagodniał.

– Niby skąd?

– Nie, naprawdę mi przykro. To... wiele wyjaśnia.

– Co takiego?

Odwróciła się i popatrzyła na niego podejrzliwie. Mierzyli się wzrokiem przez kilka sekund, po czym Aaron nieoczekiwanie dotknął jej ramienia. Znowu prąd przebiegł jej ciało.

– Nie wiem... jesteś... jesteś taka... – Nie zdążył dokończyć zdania.

– Aaron? – zabrzmiał jękliwy głos Minty. – Co tam robisz?

Drzwi się otworzyły i dziewczyna wyszła na balkon. Keeler cofnął rękę i szokująca, nieoczekiwana chwila intymności została przerwana. Odwrócił się. Julia zobaczyła, jak Araminta bierze go pod ramię i odciąga. Poczuła się tak, jakby dostała w twarz. Paliły ją policzki i miała wilgotne dłonie. Nie zastanawiając się dłużej, wyrzuciła papierosa za balustradę i wróciła do jadalni. Usiadła na swoim miejscu obok Doma. Serce waliło jej w piersi.

– Paliłaś? – spytał, unosząc brwi.

– Tylko jednego – odparła nerwowo.

Sięgnęła po kieliszek z winem. Ręce jej drżały. Co się z nią stało, u diabła? Przecież nienawidziła Aarona. Ale emocje, które z taką łatwością w niej wywołał, nie miały nic wspólnego z nienawiścią. Wprost przeciwnie. Przez krótką szaloną chwilę, gdy dotknął jej ramienia, myślała tylko o tym, by znaleźć się bliżej niego. Z drugiego końca sali posłyszała, jak Aaron z Minty wracają na swoje miejsca. Ona śmiała się z czegoś, co jej powiedział. Gdy usiedli przy stole, Julia spojrzała w ich stronę. Napotkawszy wzrok Keelera, odwróciła głowę. Dotąd mało ją obchodziło, czy byli parą, czy nie, teraz jednak uświadomiła sobie z przerażeniem, że czuje coś, co jest bardzo zbliżone do zazdrości. Nie mogła się powstrzymać i znowu spojrzała w ich stronę. Jego ręka spoczywała na ramieniu Minty dokładnie w tym samym miejscu, w którym dotknął jej. Jego palce muskały jasną skórę dziewczyny. Miał silną, opaloną dłoń. Popatrzył przez stół na Julię, po czym objął swą towarzyszkę, przyciągnął do siebie i szepnął jej coś do ucha. Minty odpowiedziała tym swoim strasznym, pewnym siebie uśmiechem i również spojrzała na Julię. Pewnie się ze mnie śmieją – pomyślała z rozpaczą i poczuła palące łzy pod powiekami. Wstała raptownie, nie zwracając uwagi na zdziwiony wzrok Doma, i niemal wybiegła z jadalni. Kolacja jeszcze się nie skończyła, ale ona miała dość. Przenikliwy wzrok Aarona i elektryzujące dotknięcie rozpętały w niej burzę uczuć; nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

Wróciła do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie całym ciałem, jakby się chciała odgrodzić od tego, co tak ją przerażało w Aaronie Keelerze. Gdy energicznymi ruchami starła z twarzy tusz i szminkę, a potem umyła zęby, nagle uświadomiła sobie, że nie tylko jego się obawiała, ale również siebie. Odślonił jej słaby punkt, a ona pozwoliła mu na to. Spojrzała w lustro. Miała czerwone od łez oczy, żołądek zacisnął się w węzeł, a w ustach czuła gorzki smak żalu. Zachowała się jak idiotka. Do końca roku akademickiego pozostały cztery miesiące. Będzie unikać Aarona za wszelką cenę. To jedyny sposób.

MADDY

Nowy Jork, luty 1992

Maddy po raz dziesiąty uchyliła kurtynę i spojrzała z obawą na morze twarzy. Widownia była wypełniona po brzegi, niektórzy nawet stali za tylnym rzędem. Za chwilę rozpoczynała się sztuka Joela Silvera, przygotowana na koniec drugiego semestru, w której grała główną rolę. Poczowała ucisk w żołądku. Opuściła kurtynę i wygładziła jaskraworóżowe spodnium, usiłując przypomnieć sobie wszystko, czego nauczyła się o panowaniu nad nerwami i oddychaniu. Po raz pierwszy dostała główną rolę i określenie, że jest jej niedobrze, nawet w części nie oddawało tego, co się z nią działo. Grała ciekawą, świetnie napisaną, złożoną postać, wystarczyło tylko przekazać wszystko, nad czym pracowała prawie przez miesiąc, odsuwając na bok inne sprawy. Odetchnęła głęboko, trzymając dłoń na przeponie i starając się zapanować nad tremą.

Zabrzmiała muzyka, światła przygasły i nagle nadszedł ten ważny moment.

– Złam nogę – szepnął ktoś, gdy muzyka ucichła i kurtyna poszła w górę.

Maddy znów wzięła głęboki oddech, odzyskała równowagę i weszła na scenę. Całą koncentrację przeniosła teraz na rolę. Władzę nad nią przejęła Sydney – niebywale chuda, niebywale bogata i niebywale samolubna osoba; Maddy Stiller przestała istnieć. Przez następne dziewięćdziesiąt minut była zupełnie kimś innym. A potem nagle wszystko się skończyło. Wypowiedziała ostatnią kwestię, nastąpiła chwila ciszy, po czym widownia rozbrzmiała oklaskami. Oszołomiona i oślepiąca światłem reflektorów, Maddy zajęła miejsce obok innych uczestników przedstawienia, ukloniła się nisko i jeszcze dwa razy została wywołana na scenę. Czowała, że poszło jej dobrze. Wreszcie zniknęła za kurtyną wraz z innymi, zbyt wyczerpana, by myśleć.

Koledzy nie szczędzili jej pochwał. Sandy uściskała ją, gdy tylko dotarła za kulisy.

– Byłaś niesamowita! – wykrzyknęła, obejmując ją tak mocno, że dziewczyna z trudem oddychała. – Nigdy nie zgadniesz, kto był na widowni.

– Kto? – spytała Maddy, wciąż oszołomiona.

– Althea Katzmann – odpowiedziała przyjaciółka, jakby zdradzała tajemnicę państwową. – Althea Katzmann!

Maddy poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Pani Katzmann była jedną z czołowych nowojorskich agentek odpowiadających za casting.

– Poważnie?

– Tak. Siedziała w rzędzie za Loughlinem. O cholera, idzie tu. Zadzwoń później, dobrze? Wybieramy się wszyscy do Jimmy on Canal.

Sandy pobiegła, owijając się szalikiem, i zanim zniknęła w drzwiach, posłała koleżance całusa.

– Maddy – zabrzmiał głos Loughlina. Urwał i przez chwilę myślała, że ją obejmie.

– Dobre przedstawienie – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Świetnie ci poszło.

Był to chyba pierwszy uśmiech, jaki u niego widziała. Tak bardzo odbiegało to od wizerunku człowieka, który nieustannie warczał na nią przez ostatnie kilka miesięcy, że omal się nie rozpląkała.

– Dzi... dziękuję – wyjąkała, czując piekące łzy pod powiekami.

– Brawo. Kilka ważnych osób też to widziało. Oby tak dalej, Stiller. Masz talent.

Zniknął równie nagle, jak się pojawił. Maddy została na miejscu, zastanawiając się, czy to nie sen. Jakaś jej część nie chciała wierzyć, że to się dzieje naprawdę. Obawiała się, że jeżeli coś powie, to zapeszy albo stanie się coś złego. Obserwowała, jak wszyscy wokół niej się krzątają, przenoszą rekwizyty, zamykają pomieszczenia, przybijają sobie piątki i rzucają gratulacje przez ramię. Przedstawienie się udało. Wiedziała z przerażających opowieści krążących po wydziale aktorskim, że nie zawsze tak bywa. Studenci pierwszego roku, którzy się sypnęli, grali drętwo i bezbarwnie lub po prostu mieli zły dzień, kończyli swoje kariery, jeszcze zanim je zaczęli. Do upokorzenia i bólu, jakie musieli znosić na zajęciach, dochodził jeszcze stres związany z przedstawieniem kończącym semestr i kolejnym odsiewem. Ona wytrzymała w Nowym Jorku sześć miesięcy, nie poddała się. Jakoś udało jej się przetrwać, a gdy czuła, że nie może wykrzesać z siebie więcej, wkraczała Sandy. Ku ogromnemu zaskoczeniu Maddy, nie pozwoliła się spławić. Im bardziej ta pierwsza zamykała się w sobie, tym bardziej ta druga starała się do niej zbliżyć. Chyba rzeczywiście nie na darmo była córką psychoterapeutki. Nie wspomniała więcej o tym, czego Maddy najbardziej się obawiała – że odkryła jej mały sekret. Zresztą im lepiej jej szło, tym rzadziej się do tego uciekała. Gdy przysła wiosna, a ona dostała rolę Sydney, w ogóle przestała to robić. Nie śmiała jeszcze w to uwierzyć, ale chyba była na dobrej drodze do wyleczenia się. Nie sądziła, że to możliwe, a jednak... Wyjęła ubrania z szafki i szybko poszła pod prysznic. Czas zmyć teatralny makijaż, przebrać się i sprawdzić, czy uda jej się zachować chociaż część pewności siebie Sydney, i to na dłużej.

NIELA

Londyn, grudzień 1992

Pociąg sunął przez kontynent, mijając rozległe pola, góry, rzeki, z przycupniętymi gdzieś wioskami i miastami. Graz. Innsbruck. Basel-Mulhouse. Niela siedziała sztywno wyprostowana, nie mogąc zamknąć oczu. Patrzyła bezmyślnie w okno, ale nie widziała ani zielonych płaszczyzn, ani przykrytych śniegiem szczytów, gdy pociąg wyłaniał się z jednego tunelu za drugim, przejeżdżając przez Alpy. W torbie miała kopertę zawierającą pięćset marek. Gdy ją otworzyła, spodziewała się, że znajdzie w niej czterysta, a znalazła dodatkowe sto. Musiał je tam wsunąć Christian. Omal się nie rozplakała. Żadnych łez – przykazała sobie w duchu. Ani teraz, ani później. Schowała kopertę do wewnętrznej kieszeni torebki i starała się skierować myśli na inne tory. Londyn. Jechała do Londynu. Była tam raz, gdy miała dwanaście lat. Niewiele pamiętała z tamtego pobytu – deszcz, jedzenie bez smaku i bardzo długa kolejka do domu wypełnionego figurami woskowymi. Stali cierpliwie przez kilka godzin, a gdy w końcu weszli i Korfa uświadomił sobie skalę oszustwa, jego rozpacz była ogromna. Nie mógł zrozumieć idei przyświecającej twórcom galerii. Gdy Niela powiedziała mu, że zobaczy Michaela Jacksona, uwierzył. Ale co tu robiła ta martwa woskowa figura? Musieli go wyprowadzić, bo się rozplakał. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Siedząca naprzeciwko starsza pani odwzajemniła jej uśmiech. Niela odwróciła głowę. Nie zniosłaby kolejnej porcji dobroci, bez względu na to, jak niewielkiej.

Od czasu do czasu wstawiała i spacerowała po korytarzu, by rozprostować kości. Szwajcaria wyglądała jak kalejdoskop obrazków z czekoladowych opakowań: górskie wioski, kościelne wieże, drewniane stodoły i tłuste, lśniące krowy pasące się na oszałamiająco zielonych polach. Przy granicy z Francją pociąg nagle się zatrzymał. Nawoływania i pisk hamulców wyrwały Nielę ze snu. Przyćmione światło wydobyło z mroku tuzin lub więcej pasażerów równie zaskoczonych jak ona. Siedzący po drugiej stronie mężczyzna drzemał niespokojnie, z głową opadającą na pierś.

Do Paryża przyjechali tuż przed świtem. Opustoszały peron tonął w niesamowitej feerii świateł. Założyła torbę na ramię i ruszyła do stacji metra. Kupiła bagietkę z kawą i wbiła zęby w miękką bułkę. Pociąg do Londynu odjeżdżał z Gare du Nord za niecałą godzinę. Gdy zeszła do metra, owiała ją fala ciepłego powietrza. Gdzieś z głębi doszło ją zawroźnienie samotnego grajka. Kupiła bilet i dołączyła do tłumu ludzi spieszących się do pracy. Była zbyt zmęczona, by myśleć o czymś innym poza

dotarciem na czas na dworzec. Przyszłość jawiła się jej jako pusta, czarna dziura. Pieniądzy miała jedynie na tydzień, ale nie dopuszczała do siebie strachu. Znowu znajdzie pracę, znowu jej się uda. Wyszła z metra na stacji Gare du Nord i odnalazła pociąg do Londynu. Wsiadła do niego, położyła torbę na półce i wybrała miejsce przy oknie. Wagon zaczął się wypełniać ludźmi – studenci, turyści z plecakami, matka z dzieckiem. Patrząc, jak zajmują miejsca, wkładają bagaże na półki, śmieją się i rozmawiają z ożywieniem ze znajomymi, uśmiechają się do obcych, poczuła się nagle potwornie samotna. Nikt nie był w takiej sytuacji jak ona, nikt nie uciekał. Odwróciła głowę do okna. Przez cieką zasłonę łez ujrzała twarz Christiana. „Niel, co się stało?” Nie mogła nic powiedzieć, podobnie jak teraz. Czekwała, oddychając spazmatycznie, aż zimna szyba pokryła się parą, i marząc o tym, żeby wreszcie ruszyli.

Victoria Station o czwartej po południu przerażała kakofonią najróżniejszych dźwięków. Niel przeszła kontrolę wraz z setkami innych w końcu ogromnej hali z łukowatym sklepieniem, przy nieustannie trzaskających drzwiach pociągów i ogłuszającym stukocie biegnących stóp. Z torbą przyciśniętą do piersi ruszyła w stronę wyjścia. W informacji turystycznej wzięła plan Londynu. Siedząca w niej wyraźnie znudzona kobieta musiała poczuć do niej litość, bo zerknęła na dziewczynę raz i drugi.

– Uważaj na ludzi proponujących zakwaterowanie. Spróbuj lepiej w hotelach na Warwick Way. To jakieś dziesięć minut stąd.

Niel podziękowała, przeszła na drugą stronę ulicy i ruszyła Vauxhall Bridge Road w kierunku rzeki, przystając co kilka minut, by sprawdzić drogę na planie. Hotele sprawiały tu odpychające wrażenie – wysokie, zniszczone, z neonami informującymi o szwedzkim masażu i pokojach na godziny. Przycisnęła mocniej torbę do piersi i przyspieszyła kroku. Skręciła w Warwick Way i rozejrzała się nerwowo wokół siebie. Hotele wyglądały tu na drogie – Windermere Guest House, Enrico Hotel, Astor Palace, Lime Tree Hotel. Zatrzymała się przed jednym z nich, przypominającym śliczny wiejski domek, oznaczonym niebieskim znakiem i czterema lśniącymi złotymi gwiazdkami. Zebrała w sobie całą odwagę i weszła do środka.

– Pięćdziesiąt pięć funtów ze śniadaniem.

Niel aż otworzyła usta, zaskoczona. Kobieta za ladą recepcyjną zmierzyła ją od stóp do głowy.

– Spróbuj bliżej dworca – powiedziała chłodno. – Może tam ceny będą bardziej odpowiednie.

– Dziękuję – wyjąkała dziewczyna i szybko się odwróciła.

Kątem oka dostrzegła pokojówkę pchającą wózek ze świeżo wypraną pościelą i ręcznikami. Przełknęła ślinę. Od trzech dni nie brała prysznica, czuła się brudna i spocona pomimo chłodu. Pchnęła drzwi i wyszła z hotelu. Zawróciła w kierunku

dworca, omijając kałuże. Zaczął padać drobny deszczyk, od którego zrobiło się szaro. Ogarnął ją paraliżujący strach. Co ona najlepszego zrobiła? Była kompletnie sama, w zupełnie nieznanym mieście. Miała zaledwie dwieście funtów, nie miała gdzie spać, dokąd pójść i do kogo zwrócić się o pomoc. Pomyślała o rodzicach. Matka pewnie kroi teraz warzywa i zagląda do garnków na kuchni. Ojciec jest w pracy, a chłopcy w szkole. Przed oczyma stanął jej Korfa odrabiający lekcje i wysuwający z wysiłku język. Zatrzymała się. Poczowała tak ogromną tęsknotę za domem, że nie mogła zrobić kroku.

Comfort B&B przy Vauxhall Bridge Road oferował pokój za dwadzieścia pięć funtów za noc. Niela zapłaciła za cztery. Tylko na tyle było ją stać. Została z czterema dwudziestofuntowymi banknotami i trzema lub czterema funtami. Recepcjonistka, duża tleniona blondynka, z mechanicznie poruszającą się szczęką rozgniatającą jasnoróżową gumę do żucia, szybko przedstawiła warunki.

– Śniadanie jest w piwnicy. Dwa funty pięćdziesiąt, stawka zryczałtowana. Radzę być tam wcześniej.

Zaprowadziła gości do pokoju, pokazała toalety w końcu korytarza, po czym zniknęła w windzie. Niela została sama. Usiadła ostrożnie na brzegu łóżka. Pokój był malutki, mieściło się w nim jedynie łóżko i drewniana szafa bez uchwyty do otwierania. Okno wychodziło na sąsiedni budynek. W górnym lewym rogu dostrzegła mały skrawek nieba. Po obu stronach okna zwisały wyblakłe kwieciste zasłony. Łazienka znajdowała się w połowie korytarza. Niela powoli zaczęła sobie uświadamiać powagę swojego czynu. Wpatrywała się w kapę przykrywającą nierówne łóżko, dopóki kwiaty nie zaczęły znikać, a kolory rozmazywać się w strumieniu łez.

Śniadanie składało się z gotowanych jajek, zimnej grzanki, herbaty i dżemu. Niela wzięła cztery kawałki pod uważnym okiem recepcjonistki. Spała dobrze, pomimo uczucia paniki, które towarzyszyło przebudzeniu się. Wiedziała z doświadczenia, że w sytuacji, w jakiej się znalazła, nie należy się poddawać i siedzieć z założonymi rękoma, lecz robić wszystko, co możliwe, i tak szybko, jak to możliwe. Tygodnie, a nawet miesiące oczekiwania na wizy w obozie w Etiopii nauczyły ją tego, co uważała za największą lekcję życia: bądź aktywna, zajmij się czymś, szukaj dróg wyjścia. Dopija herbatę i wstała. Miała przed sobą zadanie do wykonania – znaleźć pracę, nieważne jaką. Byleby miała z czego żyć, a reszta przyjdzie później.

Pytała wszędzie – w restauracjach, hotelach, biurach, nawet o pracę sprzątaczką na stacji metra Victoria. Na próżno. Po zapisaniu nazwiska proszono ją o referencje i adres, których nie miała. Przeszła ulice Victorii i Pimlico, szukając ogłoszeń w oknach kiosków, biurach pośrednictwa pracy, pytała w dwóch gabinetach dentystycznych i w sklepie monopolowym. Bez rezultatu. Jeżeli była jakaś praca, to ona nie miała szans jej dostać.

Czwartego, ostatniego dnia w Comfort B&B policzyła, ile zostało jej pieniędzy – dwa funty, pięćdziesiąt cztery pence. Wsunęła je do kieszeni i zeszła na dół.

– Szukasz pracy? – Recepcjonistka popatrzyła na nią podejrzliwie. – Jakiej pracy?

– Jakiegokolwiek – przyznała uczciwie.

Zapadła cisza, jakby kobieta się nad czymś zastanawiała.

– Dobrze – powiedziała w końcu. Sięgnęła po notatnik i wyjęła długopis zza ucha.

– Zadzwoń pod ten numer. Zapytaj o Marty’ego. Powiedz mu, że to ja cię przysyłam. Mam na imię Irene. – Wyrwała kartkę i podała Nieli. – Zapłaciłaś tylko za cztery noce. Nie jesteśmy instytucją charytatywną. Albo zapłacisz za następną noc, albo musisz się wyprowadzić do południa. Nie masz bagażu?

Niela pokręciła przecząco głową, zbyt zmieszana, by mówić. Irene spojrzała na nią spod zmrużonych powiek.

– Dobrze. Porozmawiaj z Martym i przyjdź do mnie po południu. On znajdzie coś dla ciebie. Jesteś wystarczająco ładna.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Nie miała pojęcia, co jej wygląd ma z tym wspólnego, ale była zdesperowana. Po dwóch dniach zorientowała się, że Londyn jest znacznie droższy od Wiednia, Monachium czy innego miejsca. Pieniądzy wystarczy jej najwyżej do piątku, a co potem? Dokąd pójdzie? Wzięła kartkę i ruszyła korytarzem do telefonu. W dole brzucha czuła dziwny, lodowaty ucisk, którego nie miała odwagi nazwać. Popatrzyła na numer, wzięła głęboki oddech i zadzwoniła.

Głos Marty’ego brzmiał sympatycznie.

– Och, Irene cię przysyła? Dobrze. Może wpadłabyś do mnie dziś po południu? Jesteśmy niedaleko, pod numerem osiemdziesiąt cztery. Trafisz bez trudu. To dom z czerwonymi drzwiami.

Podziękowała i odwiesiła słuchawkę. Może źle zrozumiała uwagę recepcjonistki. Marty miał miły głos. Może prowadzi jakąś agencję zatrudniającą sprzątaczkę czy pomoce domowe. Rozprostowała ramiona. Nie żartowała, gdy powiedziała Irene, że może robić cokolwiek. I będzie robiła cokolwiek. Nie miała innego wyjścia.

Punktualnie o drugiej po południu znalazła się przed zniszczoną kamienicą przy Vauxhall Bridge Road, niedaleko hotelu. Rzeczywiście, był to jedyny dom z czerwonymi drzwiami w okolicy, zapewne znak rozpoznawczy; numer 84 wyglądał upiornie, ponieważ odpadała z niego farba. Drzwi zastała zamknięte, ale z lewej strony zauważyła domofon. Wcisnęła brzęczyk i czekała.

– Kto tam?

– Mam na imię Niela. Rozmawiałam dziś rano z Martym – powiedziała niepewnie do mikrofonu.

– Kto cię przysłał? – usłyszała po chwili przerwy.

– Irene z hotelu Comfort B&B. Dała mi numer do Marty’ego.

Cisza, a potem ktoś zwolnił blokadę drzwi. Niela weszła do środka.

W korytarzu było ciemno i pachniało wilgocią. W rogu stało stare krzesło, wieszak na ubrania i świeżo wyprane prześcieradła w plastikowym opakowaniu. Popatrzyła na nie nerwowo. Co one tu robią? – pomyślała. Nagle usłyszała jakieś szuranie nad głową i nad balustradą pojawiła się głowa mężczyzny.

– Tutaj, piętro wyżej.

Niela weszła na górę. Na końcu wąskiego korytarza znajdowały się otwarte drzwi. W progu stał mężczyzna, który nie spuszczał z niej wzroku.

– Niela, tak? – spytał, gdy do niego podeszła.

Kiwnęła głową. W jego uśmiechu było coś wilczego i drapieżnego. Poczula, jak skóra kurczy się jej ze strachu.

– Wejdz – powiedział, patrząc na nią z ukosa. – Marty zaraz przyjdzie.

Przytrzymał ręką drzwi, lecz nie cofnął się, żeby ją przepuścić. Musiała się schylić i przejść mu pod ramieniem. Pachniał silnie potem i papierosami. Pospiesznie weszła do pokoju, który trudno było nazwać biurem, pomimo że stało w nim biurko. Poczula, że zaczyna się pocić.

– Siadaj.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Usiadła ze złączonymi nogami. Coś było nie tak. Zastanawiała się, jak się stąd wydostanie.

– Niela? – Ktoś wszedł do pokoju. Uniosła głowę i zobaczyła niskiego, grubego mężczyznę z wąsami. – To ty dzwoniłaś dziś rano? – Zatarł ręce. – Jesteś bardzo ładna. Bardzo ładna. Dopiero przyjechałaś do Londynu?

Kiwnęła głową, czując, jak serce jej zamiera.

– Przed kilkoma dniami – odpowiedziała z nadzieją, że głos nie zdradza jej obaw. Uniósł krzaczastą brew.

– Pewnie uciekłaś z domu, co? – zapytał z fałszywą troską w głosie.

Przełknęła ślinę i pokręciła głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Ja... ja tylko szukam pracy. Irene nie powiedziała, o jaką pracę chodzi. Co miałabym robić?

Podszedł do biurka, usiadł na krześle i złączył palce w piramidkę.

– To zależy od ciebie, kotku.

– Nie... nie rozumiem – odparła. Strużka potu zaczęła jej spływać po plecach.

– Zaspokajamy różne potrzeby. Oralne, analne, klasyczne, trójkąty, wedle życzeń klientów. Płacimy ekstra za robienie tego bez kondomów, ale to zależy od dziewcząt. Zaspokajamy wszelkie gusta. Czarne, Azjatki, białe, do wyboru. Jesteśmy takim centrum handlowym, prawda, Pete?

Mężczyzna stojący w drzwiach wyszczerzył zęby w uśmiechu. Niela poczuła, jak ścisną ją lodowaty strach i jednocześnie zalewa gorąca fala wstydu. Wstała.

– Przepraszam – wyjąkała – ale zaszło nieporozumienie. Myślałam... szukałam pracy sprzątaczką lub czegoś w tym rodzaju. Nie zrozumiałam, przepraszam.

– Szkoda – wycedził Marty, mrużąc oczy. – Świetnie byś zarabiała. Jesteś pewna?

Ścisnęła torbę, jakby to była broń. Pot spływał jej po plecach. Kiwnęła głową.

– Jestem. Przepraszam, że zajęłam panu czas...

Skierowała się do drzwi. Mężczyzna imieniem Pete nie ruszył się z miejsca. Blokował ręką wyjście.

– Czy... czy mogłabym... – Wskazała na jego rękę. – Czy mogłabym przejść?

Nie ruszył się. Poczowała, że żołądek podchodzi jej do gardła. Marty podniósł się ze swojego miejsca. Posłyszała jego kroki za plecami i nie myśląc o konsekwencjach, rzuciła się do drzwi, zaskakując tym Pete'a. Puścił klamkę dla utrzymania równowagi. Błyskawicznie to wykorzystała. W jednej chwili znalazła się w korytarzu, a w następnej zbiegała po schodach, czując spływające po policzkach łzy wstydu i zażenowania. Drzwi na ulicę były zamknięte. Serce jej zamarło. Rozejrzała się na boki przerażona. Pod zamkiem dostrzegła mały przycisk. Napała na niego z całej siły i drzwi ustąpiły. Wypadła na dwór i rzuciła się do ucieczki. Przystanąła dopiero na końcu ulicy.

Nie mogła wrócić do hotelu. Nie mogła spojrzeć Irene w twarz. Jak to się mogło stać? W uszach brzmiał jej głos Marty'ego: „Czarne, Azjatki, białe... oralny, analny...”. Zatkąła uszy rękoma. Dlaczego Irene ją tam wysłała? Nagle dostrzegła swoje odbicie w witrynie sklepowej. Potargane, wilgotne od padającej mżawki włosy, matowa, ziemista cera i oczy... Zamarła. Nigdy nie widziała tak udęczonego, rozpaczliwego wyrazu twarzy. Sprawiała wrażenie na wpół oszalałej ze strachu. Nic dziwnego, że Irene źle ją zrozumiała. Z trudem przełknęła ślinę. Co ona teraz robi?

Nagle zapragnęła znaleźć się w objęciach matki, chociaż nie pamiętała, kiedy Saira ją przytuliła, usłyszeć piskliwy śmiech Raageha czy niższy Korfy. Nawet myśl o głosie ojca sprawiła jej taki ból, że aż złapała się za serce. Wspomnienia, które trzymała na wodzy przez ostatnie kilka miesięcy, popłynęły teraz wartkim strumieniem. Zapach włosów matki po umyciu – często wołała ją do siebie, żeby pomogła je rozczesać i zapleść. W Mogadiszu dwa razy w tygodniu ktoś przychodził do domu, by umyć i ułożyć Sairze włosy, zrobić hennę i wydepilować woskiem ręce i nogi. Kiedy Niela dorosła, ta sama kobieta i ją zaczęła obsługiwać. W Wiedniu nie było pieniędzy na takie luksusy i ona się tym zajęła. Był to kolejny z jej obowiązków. Stojąc teraz na londyńskim chodniku, w mokry zimowy dzień, nie mając gdzie spać i co jeść, uświadomiła sobie nagle, jak bardzo za nimi tęskni, jak bardzo ich jej brak. Wsunęła rękę do kieszeni. Wiele by dała, żeby znowu usłyszeć głos matki. Czy powinna...? Czy mogłaby...? Tylko jeden telefon. Nie powiedziałaaby, skąd dzwoni, pragnęła się jedynie upewnić, że nie jest sama na świecie, że gdzieś tam, nieważne jak daleko, ma rodziców, którym na niej zależy, i braci, którzy ją kochają.

Przed dworcem stał rząd czerwonych budek telefonicznych. Podeszła do nich wolno, jak w transie. Ta stojąca najdalej od niej była wolna. Otworzyła ciężkie drzwi i weszła do środka. Buchnął w jej nozdrza tak ostry zapach moczu, że ogarnęły ją mdłości. Wzięła słuchawkę i przytknęła do ucha. Potem wyjęła drobne z kieszeni. Po

południu kupiła paczkę chipsów na lunch, zostały jej więc dwa funty i dwanaście pensów. Czy mogła sobie pozwolić na wydanie funta na rozmowę telefoniczną? Popatrzyła na trzymane w dłoni monety. Nie. Nie miała pojęcia, kiedy zje następny posiłek. Nie mogła wydać funta tylko po to, by usłyszeć głos matki. Pchnęła drzwi budki i wyszła. Wciągnęła w płuca świeże powietrze i dotknęła wilgotnego policzka. Była piętnasta, a już zaczynało się robić ciemno. Tej nocy nie miała gdzie spać. Palce zdrętwiały jej z zimna. Uciekając od Hamida i Fathii, zapomniała zabrać rękawiczki. Chuchnęła w dłonie, usiłując je ogrzać. Zakręciło jej się w głowie z głodu. Oprócz jajka na twardo, czterech grzanek i paczki chipsów nie miała nic w ustach przez cały dzień. Myśli wirowały jak szalone. Co ma teraz zrobić?

Wróciła wolno na dworzec. Zobaczyła znak informujący o toaletach. Torując sobie drogę w tłumie pasażerów, zeszła na dół. Toaleta była pusta. Otworzyła drzwi najdalszej kabiny i zamknęła je za sobą. Na szczęście były to staroświeckie toalety z drzwiami sięgającymi podłogi. Prawdopodobnie nikt jej nie będzie przeszkadzał. Oparła torbę o ścianę, zdjęła buty i podsunęła stopy pod siebie. Usnęła w ciągu kilku minut, pomimo nieustannego trzasku otwieranych i zamykanych drzwi sąsiednich kabin.

Obudziła się przed świtem. Szyja jej zeszywniała i bolały plecy, ale przespała prawie całą noc. Wstała i otworzyła drzwi. Toaleta tonęła w zielonkawym świetle neonu. Wyglądała jak pusty oddział szpitalny. Podeszła do umywalki i odkręciła kran. Na dłonie popłynęła letnia woda. Umyła się prędko i wyczyściła zęby. Skoro przetrwała tygodniową podróż przez równiny Ogadenu, przetrwa i to. Zmoczyła włosy i zebrała je w kok. Pomyślała tęsknie o pieniądzach, które wydała na hotel. Powinna była zrobić od razu to, co teraz. W ten sposób miałyby co jeść prawie przez miesiąc. Spojrzała w lustro i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie wiedziała jak i dlaczego, ale wyraz udręki i rozpacz zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca pewności i determinacji. Przypominała teraz dawną Nielę Aden z czasów ucieczki z Mogadiszu, a nie osobę, którą później się stała. Uprała bieliznę, zwinęła w wilgotną kulkę i wrzuciła do torby. Znajdzie gdzieś potem suchy kawałek trawy. Rozejrzała się po raz ostatni po publicznej toalecie, która stała się jej noclegownią, i pospiesznie weszła schodami na górę. Dworzec zaczynał się zapęłniać ludźmi. Minęła 5:30. Był zimny poranek, a ona nie miała ani mieszkania, ani pieniędzy, ale przynajmniej się nie bała. Znajdzie dziś pracę, choćby miała szukać do upadłego.

- Adres? – Siedząca za biurkiem dziewczyna nawet na nią nie spojrzała.
- Vauxhall Bridge Road osiemdziesiąt cztery – odparła Niela pewnym siebie głosem.
- Pracowałaś już w biurze, tak?
- Tak.
- W porządku. Mam coś dla ciebie na Gillingham Street u Sarafina. To firma

budowlana. Szukają pomocy biurowej. Obsługiwanie kserokopiarki, segregowanie dokumentów, przepisywanie na maszynie, sortowanie poczty. Kiedy możesz zacząć? Zaraz? To bardzo pilne.

– Tak... tak, oczywiście. – Starła się, by głos jej nie drżał.

– Świetnie. Pytaj o Annę. Jest sekretarką pana Delaneya. Pokaże ci, co masz robić.

– Dzi... dziękuję.

– Dzwon do mnie, gdybyś miała problemy. Kto następny?

I było po wszystkim. Niela wstała lekko oszołomiona i wyszła z biura. Popatrzyła na szyld. Agencja Pośrednictwa Pracy. Do końca życia ją zapamięta.

– Dzień dobry, jestem Niela. Z agencji... Szukam Anny.

Stała przed recepcjonistką, ściskając w rękę dokument, który dostała, i wciąż nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Znalazła pracę w dwie godziny po wyjściu z dworca.

– Tam, przy oknie. Dziewczyna w okularach.

– Dziękuję. – Poszła we wskazane miejsce. – Jesteś Anna? – spytała.

– Tak. Agencja cię przysyła?

Kiwnęła głową twierdząco.

– Jestem Niela.

– Świetnie – odrzekła Anna. – Nasz poprzedni pracownik odszedł wczoraj. Chodź za mną.

Zaprowadziła ją do małego pomieszczenia z kserokopiarką i faksem. Na krześle piętrzył się ogromny stos dokumentów.

– Przepraszam za ten bałagan. Za dwa tygodnie przeniesiemy sprzęt do centrali, ale na razie muszę cię tu ulokować. Trochę tu ciemno, ale nikt ci nie będzie przeszkadzał. Nikt tu nie wchodzi, nawet ochrona. To praca tylko na dwa tygodnie. Na pewno sobie poradzisz. – Anna wskazała na stos papierów na biurku. – Musimy to dziś wysłać. Jakies trzysta listów. Trzeba robić po dwie kopie każdego, włożyć jedną do koperty – tu masz listę nazwisk – a potem zanieść je na pocztę przed siedemnastą, a kopię położyć mi na biurku. Dasz sobie radę?

Czy da sobie radę? Niela wytrzeszczyła na nią oczy. Zrobiłaby dwa razy więcej, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Oczywiście. Bez problemu.

– Fantastycznie. No to do zobaczenia. Jak będziesz miała jakieś pytania, jestem do dyspozycji. Lunch jest o pierwszej. Pokażę ci, gdzie mieści się stołówka. Na końcu stoi automat do kawy... Korzystaj do woli. Aha, a tam jest łazienka. – Wskazała na drzwi w rogu pokoju.

Niela kiwnęła głową, nie ufając własnemu głosowi. Nie miała nic w ustach od poprzedniego dnia i brzuch domagał się pożywienia. Drzwi zamknęły się za Anną i została sama.

O wpół do piątej zaniósła na pocztę dwa wielkie worki listów. Musiała czekać w długiej kolejce. Gdy wróciła do biura, prawie wszyscy już wyszli. Anny też nie było. Na jej biurku leżała kartka zaadresowana do Nieli. Przeczytała ją. Zawierała listę spraw, które należało załatwić jutro rano. Wsunęła kartkę do kieszeni i wróciła do pokoiku. W środku nie było nikogo. Rozejrzała się wokół i nagle przyszło jej coś do głowy. Tu było cieplej niż w publicznej toalecie. Anna powiedziała, że nikt nie wchodzi do tego pomieszczenia, nawet ochrona. Miała toaletę i małą umywalkę, poduszkę z krzesła mogła sobie podłożyć pod głowę. Uprałaby bieliznę i koszulę w umywalce i powiesiła do wyschnięcia. Niewiele, ale w tych okolicznościach musiało wystarczyć.

Otworzyła ostrożnie drzwi i poszła do kuchni. W metalowym pudełku pod zlewem znalazła herbatniki i mnóstwo herbaty oraz kawy. Zaniósła kubek słodkiej herbaty z mlekiem do swojego kącika. Kilka osób pracowało do późna, lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi. Zamknęła za sobą drzwi i tak na wszelki wypadek podstawiła krzesło pod klamkę. Wypiła herbatę i zjadła całą paczkę herbatników w czekoladzie. Usiadła na podłodze, objęła kolana ramionami i czekała, aż zamkną biuro i będzie mogła się położyć.

– Nie idziesz na lunch? – spytała Anna, wsuwając głowę przez drzwi. – Jest wpół do drugiej, a ty jeszcze nie miałaś przerwy.

Niela poczuła, że się czerwieni. Pokręciła głową przecząco. Był czwartek. Pracowała w Sarafinie już tydzień. Jutro miała otrzymać wypłatę.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała pospiesznie. – Zjadłam obfite śniadanie.

Anna popatrzyła na nią dłużej, niż to było konieczne.

– Wszystko w porządku? – spytała nagle.

Pod Nielą ugięły się kolana. To życzliwe słowa tak na nią podziały. Mogła znieść wszystko, ale nie życzliwość. Dosłownie zwała ją z nóg.

– Ja... ja. – Ku swojemu przerażeniu poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami. Odwróciła wzrok. – Nic mi nie jest – odparła słabym głosem. – Przepraszam.

Anna się zawahała, po czym weszła do pokoiku i zamknęła za sobą drzwi.

– Słuchaj, pewnie to nie moja sprawa, ale muszę cię zapytać. Czy masz gdzie spać?

Niela nie mogła na nią spojrzeć. Poczowała z przerażeniem, że łzy zaczynają jej płynąć po policzkach. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Anna patrzyła na nią w milczeniu.

– Jeden z pracowników ochrony mi powiedział – wyjaśniła łagodnym głosem. – Widział wczoraj, jak wychodziłaś stąd bardzo wcześnie rano.

– To tylko do jutra – zapewniła Niela. Serce zaczęło jej walić jak szalone. Zaraz ją zwolnią. – Ja tylko... skończyły mi się pieniądze i...

– Czemu nic nie powiedziałaś? – spytała Anna. Położyła dłoń na jej ramieniu. – Przecież to żaden wstyd. Bywałam w gorszej sytuacji, wierz mi.

– Ty?

Sekretarka była dla niej uosobieniem wszystkiego, czego jej brakowało: mądra, dobrze ubrana, dobrze odżywiona. Sprawiała wrażenie zadowolonej i wolnej od trosk angielskiej dziewczyny, takiej jak ona sama kiedyś. Dałaby wszystko, żeby znowu nią być.

Anna popatrzyła na nią i zawahała się.

– Nie jestem taka, jak myślisz. Pochodzę z Bośni. Anna to nie jest moje prawdziwe imię. Tak naprawdę mam na imię Amra. Przyjechałam tu sześć lat temu jako uciekinierka bez grosza przy duszy. Nie miałam nic. Absolutnie nic. Wiem, jak to jest. Jutro dostajesz wypłatę z agencji, tak? – Niela przytaknęła, bojąc się odezwać. – Dobrze. A teraz zejdź ze mną do stołówki. Kupię ci lunch. Nie martw się, oddasz mi, jak będziesz mogła. I mam pewien pomysł. Spotkajmy się na zapleczu dziś o piątej. Myślę, że coś da się załatwić. – Urwała. – Nie przejmuj się. To tylko

chwilowe trudności. Jesteś naprawdę dobrą pracownicą, wszyscy to mówią. Dobrze jest mieć cię w zespole. A teraz wytrzymaj oczy i obmyj twarz. Założę się, że od dawna nie jadłaś porządnego obiadu. Pamiętam, jak to jest. – Niela patrzyła na nią bez słowa. – Chodźmy. – Anna uśmiechnęła się do niej.

Trudno było nie jeść łąpczywie pieczonych ziemniaków z tuńczykiem i słodką kukurydzą. Po tygodniu żywienia się słodką herbatą, herbatnikami i czerstwą bułką już sam zapach jedzenia przyprawił ją o mdłości. Ziemniaki zniknęły z talerza w ciągu kilku minut. Anna wykazała się taktem i nic nie powiedziała, tylko wstała, podeszła do lady i przyniosła następną porcję.

– Nie jest to bardzo pożywny posiłek – stwierdziła cierpko, stawiając talerz przed Niela. – Ale na pewno lepszy od tego, co dotąd jadłaś.

– Dzi... dziękuję – wyjąkała dziewczyna, czując, jak ślina jej cieknie na widok następnej porcji. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić. No, ale czas na mnie. Mam mnóstwo roboty do zrobienia dla Delaneya przed jego powrotem. A oto pięć funtów. Później mi oddasz. Kup sobie sok pomarańczowy. I coś słodkiego. Potrzebujesz czegoś energetycznego. Wiem, gdzie mogłabyś zamieszkać. Pójdziemy tam po pracy.

Niela patrzyła, jak Anna przeciska się między stolikami. Spojrzała na pięciofuntowy banknot i podjęła decyzję: nigdy go nie wyda. Zachowa na pamiątkę. Nie potrzebowała niczego słodkiego, by odzyskać siły, wystarczyła okazana jej dobroć. Wsunęła banknot do tylnej kieszeni spodni, po czym zmiotła do czysta resztki z talerza.

Rozglądała się wokół, zaskoczona. Mieszkanie było małe, kompletnie puste, ale nowe. Anna zapalała światła i odkręcała krany.

– Wszystko działa – oznajmiła po powrocie do pokoju. – Nie ma żadnych mebli, ale znajdziemy ci materac. Poproszę majstra, by przyniósł jeden z magazynu.

– Czy... czyje to mieszkanie? – spytała Niela, nie wierząc własnym oczom.

– Niczyje. Przynajmniej na razie. To część kompleksu przy Horseferry Road, nad którym od roku pracujemy. Ostatnia partia mieszkań zostanie ukończona dopiero latem, co daje ci jakieś pięć miesięcy. Nie denerwuj się, nikt się o tym nie dowie.

– Jak ja ci się odwdzięczę? – spytała Niela, bojąc się, że za chwilę znowu wybuchnie płaczem. – Jesteś taka dobra... Nie wiem, dlaczego.

Anna pokręciła głową.

– Gdy tu przyjechałam, pomogło mi mnóstwo ludzi. Wielu też wykorzystało – dodała z uśmiechem. – Ale staram się tego nie pamiętać. No, czas na mnie. Po drodze porozmawiam z majstrem i poproszę, żeby przyniósł materac. Tu są klucze. Ten jest od drzwi do budynku, a ten od bocznej furtki. Możesz z niej korzystać. Kierownicy budowy nawet nie wiedzą, że można tędy wejść.

– Dzi-dziękuję – wyjąkała Niela, odbierając od niej pęk kluczy. – Bardzo ci

dziękuję.

– Jutro przyniosę do biura czystą bluzkę i spódnicę. Nie możesz ciągle chodzić w tych samych ciuchach. Och, i będzie ci potrzebne prześcieradło i ręcznik. Też przyniosę. Na rogu jest pralnia, a na końcu ulicy sklep spożywczy. – Urwała. – Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. Wszystko się ułoży, zobaczysz. – Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi. – Do jutra – powiedziała i wyszła.

Niela wolno rozejrzała się po pokoju. Było to dwupokojowe mieszkanie na parterze, którego okna wychodziły na główny dziedziniec. Wszystko było nowe – wykładzina, farba na ścianach, rolety, wszystko. Otworzyła drzwi do sypialni. Żółtokremowe ściany i ciemnoszara wykładzina. Wszędzie panowała nieskazitelna czystość. Przeszła do sąsiadującej z pokojem łazienki i oślepiła ją czysta biel. Odkręciła jeden z kranów pięknej chromowanej baterii z długim, eleganckim prysznicem. W ciągu kilku sekund pojawiła się para. Zakręciła kran, podeksycytowana. Nie kąpała się prawie od dwóch tygodni. Postanowiła, że jak tylko dostanie wypłatę, pójdzie do banku, spienięży czek i kupi butelkę szamponu. Od tygodni nie myła włosów. Nagle usłyszała jakiś hałas na klatce. Zamarła. Ktoś coś ciągnął po ziemi i zatrzymał się przy drzwiach. Potem usłyszała męski kaszel i oddalające się kroki. Odczekała kilka minut i ostrożnie otworzyła drzwi. O ścianę stał oparty materac. Odetchnęła z ulgą. Wciągnęła go do środka, zamknęła drzwi i zaniósła do sypialni. Potem rozebrała się pospiesznie, odkręciła kran i weszła pod prysznic. Prawie dwadzieścia minut stała pod silnym strumieniem gorącej wody. Zabrała z biura kawałek mydła i tak długo się mydliła, że został jedynie skrawek. Wyszła spod prysznica, zostawiając na podłodze mokre plamy. Wytarła się koszulą, zrobiła małą przepierkę i rozwiesiła ją na podgrzewanym wieszaku na ręczniki. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, chcąc się upewnić, że nie śni, że naprawdę jest w nowym mieszkaniu w Londynie, niecałe dwa tygodnie od przyjazdu. Najwspanialsze było to, że będzie mogła tu zostać przez jakiś czas. Położyła się na materacu, kryjąc głowę w miękkim, ciepłym pokryciu. Jak ona się odwdzięczy Annie za jej dobroć? Czym sobie na nią zasłużyła? Leżała w ciemnościach, a w jej głowie krążyły setki pytań. Christian też jej pomógł, gdy najmniej się tego spodziewała. Zwróci te sto marek, jak tylko będzie mogła. To tylko czasowa pożyczka, żeby zdołała stanąć na nogi. Pomyślała o jego twarzy, o zmarszczkach wokół oczu, gdy się uśmiechał, i o miękkich brązowych włosach na przedramionach. Zamknęła oczy. Może świat nie jest takim okropnym miejscem, jak się czasami wydaje – pomyślała i usnęła.

Nazajutrz o trzynastej wyszła z biura i prawie przebiegła całą drogę do agencji. Czekał tam na nią czek. Wzięła go od recepcjonistki drżącymi rękoma. Rozerwała kopertę, jak tylko wyszła na zewnątrz. Suma opiewała na sto pięćdziesiąt siedem funtów i czterdzieści sześć pensów. Wypisano też listę potrąceń, łącznie z czymś, co się nazywało podatek NW, lecz niewiele ją to obeszło. Złożyła wniosek o nadanie jej numeru ubezpieczenia, ale dopóki to się nie stanie, państwo będzie zabierało więcej. Później jednak ta suma zostanie jej zwrócona. Słuchała wyjaśnień recepcjonistki jednym uchem. Jeszcze raz przyjrzała się czekowi: sto pięćdziesiąt siedem funtów i czterdzieści sześć pensów za tydzień pracy. To prawdziwa fortuna. Zaniosła czek prosto do banku, jak jej polecono, i otrzymała plik banknotów oraz plastikową torebkę z bilonem. Wracając do biura, kupiła u kwiaciarki przed dworcem bukiet żółtych tulipanów dla Anny.

– Chciałam ci to dać – powiedziała wzruszona, podchodząc do niej. – Jako formę podziękowania.

– Nie trzeba było – odparła zawstydzona dziewczyna, biorąc od niej bukiet. – Naprawdę.

Niela patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

– To nic takiego – odpowiedziała. – Gdybym mogła zrobić więcej...

– Nie bądź niemądra. Bardzo nam pomogłaś przez ten tydzień. – Anna zawahała się. – Słuchaj, jeżeli nie masz nic do roboty, to może wpadłabyś do mnie dziś wieczorem? Mieszkam z trzyletnim synkiem. Zrobiłabym jakieś spaghetti... nic wielkiego. Oczywiście, jeżeli jesteś wolna.

Twarz Nieli rozciągnęła się w uśmiechu. To był wielkoduszny gest ze strony koleżanki. „Oczywiście, jeżeli jesteś wolna”. A co innego miała do roboty?

– Mówisz poważnie? – spytała, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

Anna kiwnęła głową.

– Jak najbardziej. Rzadko miewamy z Borysem gości. Będzie zachwycony. Mieszkamy niedaleko stąd, taki duży dom przy stacji metra Pimlico. Zapiszę ci adres. Może być o siódmej? Borys idzie spać o siódmej trzydzieści, więc będziemy mogli napić się wina, jeśli zechcesz.

– Siódma mi odpowiada – odrzekła Niela, czując się niewypowiedzianie szczęśliwa. – Dzięki. Mam coś przynieść?

Anna pokręciła głową.

– Nic. Absolutnie nic. No to do zobaczenia.

Niela popatrzyła na swoje nowe spodnie za cztery funty dziewięćdziesiąt dziewięć pensów, kupione w pasażu dworcowym. Znalazła też sweter za pięć funtów, dwie pary skarpetek, trzy pary rajstop i nowy stanik za dziesięć funtów. Do tego kupiła szampon, dezodorant, dwie spinki do włosów i poczuła się nową osobą. Była nową osobą. Tydzień temu spała w publicznej toalecie i myła się w umywalce. Dzisiaj zarobiła pierwsze pieniądze i dzięki dobroci zupełnie obcej dziewczyny miała dach nad głową. W dodatku ta obca dziewczyna miała wszystkie zadatki na przyjaciółkę.

Przebiegła teraz wzrokiem numery na drzwiach mieszkań przy Formosa Court. 16, 17, 18... jest, numer 19. Wcisnęła dzwonek.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i w progu stanęła Anna. Puciołowaty chłopczyk trzymał ją za nogę i patrzył ciekawie na gościa.

– Witaj. Nie miałaś kłopotów ze znalezieniem adresu?

– Żadnych. Tak jak powiedziałaś. – Niela przykucnęła, by jej twarz znalazła się na wysokości twarzy chłopca. – A ty pewnie jesteś Borys, tak?

Kiwnął głową, zbyt onieśmielony, by mówić. Miał okrągłą buzię, jasnoczerwone policzki i ciemne, migdałowe oczy. Niela wyjęła pomarańczę i podała mu ją uroczyście. Popatrzył na matkę, jakby chciał się upewnić, czy może ją wziąć. Anna uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Lepsze to niż słodycze – powiedziała z aprobatą w głosie. – Powiedz: dziękuję.

Wziął owoc ostrożnie w pulchne rączki, jakby się bał, że go ugryzie.

– Dziękuję – szepnął speszony.

– Wejźmy do środka – powiedziała Anna. – Tu jest cieplej. – Poprowadziła gościa do małego salonu.

Niela rozejrzała się z przyjemnością po pokoju. Tak dawno nie była w domu, w prawdziwym domu, z obrazkami na ścianach, dziecięcymi zabawkami porzucanymi po podłodze, tygodnikami i niedopitym kubkiem herbaty na stoliku. Uświadomiła sobie, jak bardzo jej tego brakowało. Mieszkanie Anny było małe, ale przytulne. Jadalnia łączyła się z kuchnią, z której dochodził zapach smażonej cebuli i bazylii. Nieli zaczęło burczeć w brzuchu. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła domowy posiłek.

Podczas kolacji całą ich uwagę przyciągał Borys. Szybko pozbył się nieśmiałości i paplał wesoło, mieszając serbsko-chorwacki z angielskim, nieświadomy tego, że nieznajoma może go nie zrozumieć. Punktualnie o siódmej trzydzieści matka wzięła go na ręce, oświadczaając, że pora spać. Niela uśmiechnęła się do siebie. Pamiętała, ile kłopotów miały służące z Raagehem, gdy przychodził czas udania się na spoczynek. Z Borysem nie było żadnych kłopotów. Wdrapał się jej na kolana i dał tak wilgotnego i słodkiego buziaka, że oczy zaszyły jej łzami. Objął ją za szyję i dotknął ciekawie miękkich, kręconych włosów zebranych w koński ogon. Anna zaśmiała się i zabrała go z kolan koleżanki.

– Pewnie będzie chciał, żebyś poczytała mu bajkę – powiedziała, trącając go palcem w nosek. – Chodź, kawalerze, czas spać. Innym razem pobawisz się włosami

Nieli. Straszny z niego flirciarz. Wracam za jakieś dziesięć minut. Czuj się jak u siebie w domu.

Zniknęła w małym korytarzu z Borysem na rękach.

Niela wzięła kieliszek i podeszła do regału z książkami stojącego w drugim końcu salonu. Przebiegła wzrokiem po tytułach. Kilka z nich czytała jeszcze w szkole: Szekspir, Thomas Hardy, Wharton. Były też inne – po rosyjsku, z dziedziny ekonomii i handlu, a także kilka młodzieżowych powieści. Zdjęła z półki dwie. Widać, że Anna lubiła czytać, tak jak kiedyś ona sama. Przypomniała sobie regał z książkami w pokoju w Mogadiszu. Ciekawe, co się z nimi stało.

– Lubisz czytać? – zabrzmiał za jej plecami głos gospodyni.

Niela odwróciła się i lekko wzruszyła ramionami.

– Kiedyś lubiłam.

– Mówiłaś, że skąd pochodzisz? Z Somalii?

Przytaknęła kiwnięciem głowy.

– Wyjechaliśmy, gdy wybuchła wojna.

– Tak jak ja. – Anna uśmiechnęła się ze smutkiem. Wzięła kieliszek ze stołu, podeszła do kanapy, usiadła na niej i westchnęła ciężko. – Dobrze, że Borys szybko usypia – powiedziała i wypila łyk wina.

– Kto się nim opiekuje w ciągu dnia? – spytała Niela.

– Sąsiadka. Też z Bośni. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

– A ojciec Borysa?

Anna skrzywiła się.

– Odszedł, jak tylko się dowiedział, że jestem w ciąży.

Niela nie wiedziała, co powiedzieć.

– Musiało ci być ciężko – stwierdziła w końcu.

– Lepiej mi bez niego – wyznała szczerze Anna, wzruszając ramionami. – A ty? Nie miałaś chłopaka w Somalii?

Niela się zaczerwieniła. Przytknęła kieliszek do ust, by ukryć zmieszanie.

W końcu pokręciła głową, nie ufając własnemu głosowi.

– Taka ładna dziewczyna? – zażartowała Anna. – Niemożliwe.

– A co... co z twoją rodziną? – spytała jej rozmówczyni, pospiesznie zmieniając temat.

– Mieszkają w Mostarze. Brat... – głos jej się załamał – ...brata zastrzelono.

Rodzice nie chcieli wyjeżdżać.

Nieli znowu zabrakło słów. Popatrzyła przez stół na koleżankę, na jej napiętą twarz i zaciśnięte usta. Nie tylko mnie życie dało się we znaki – pomyślała. Innym również. Ale żeby Annie? Przypomniała sobie swój pierwszy dzień w Sarafinie. Nigdy by się nie domyśliła, że ta energiczna, biegła w swojej sztuce sekretarka, siedząca za biurkiem z groźnie wyglądającą baterią długopisów i ołówków oraz wielkim monitorem, jest taką samą uciekinierką jak ona, że ma trzyletniego synka,

którego ojciec zniknął, że zastrzelono jej brata. Tak to już bywa... Nigdy nie wiadomo, z kim ma się do czynienia. Anna nie miała pojęcia, co się dzieje z jej gościem. Nagły dreszcz przeszedł Nieli po plecach. Przypomniała sobie Hamida i noc poślubną. Zacisnęła kolana, jakby chciała zablokować przykre wspomnienia.

– Dobrze się czujesz? – spytała gospodyni z wyraźną troską w głosie.

Dziewczyna z trudem odzyskała równowagę. Tamto to już przeszłość. Ani Hamid, ani Fathia, ani jej rodzina nie mogą jej niczego zrobić.

– Przepraszam, zamyśliłam się... Mam dwóch braci... Bardzo za nimi tęsknię.

Anna kiwnęła głową ze zrozumieniem.

– Nie jest łatwo – powiedziała po chwili. – Nie zrozum mnie źle, Anglicy są bardzo mili. Przyjechałam tu kompletnie bez niczego, a oni dali mi wszystko. Papiery, zakwaterowanie, naukę języka, okazali mnóstwo życzliwości. Wiele mówi się teraz o statusie uchodźcy, ale to były najtrudniejsze lata mojego życia. A ludzie tego nie rozumieją. Mój ojciec był księgowym, a ja nie dorastałam w obozie dla uchodźców. Ale to dla nich nic nie znaczy. Słyszą słowo Bośnia i myślą, że jestem jakąś panną młodą na zamówienie.

Niela uśmiechnęła się półgębkiem.

– Nigdy bym się nie domyśliła. Wyglądasz jak rodowita Angielka.

Koleżanka się uśmiechnęła.

– Kiedy tu przyjechałam, zmieniłam dosłownie wszystko: imię, akcent, przeszłość. Tylko tak możesz coś osiągnąć. Nie wiem, jaka była twoja wojna, ale nasza była okropna. Widziałam straszne sceny, poznałam rzeczy, których nigdy nie powinnam poznać. – Urwała. – Och, ale dlaczego o tym mówimy? Chcemy o tym zapomnieć, a stale do tego powracamy. – Pokręciła głową. – To kompletna głupota.

Niela milczała. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, ale jej zdaniem Anna się myliła. To nie była głupota, lecz konieczność. Uświadomiła sobie, że dziewiętnastoletnia uczennica Niela Aden, która utraciła swoją tożsamość z chwilą ucieczki z Mogadiszu, może wreszcie zacząć tworzyć ją na nowo. Tak długo żyła w niepewności, nie wiedząc, czy wyjeżdżają, czy wracają, dokąd wyjadą, jak tam dotrą i kim będą, że stało się to czymś normalnym, tak jak czekanie czy świadomość zbliżającego się Sądu Ostatecznego. To było niebezpieczne. Wystarczyła jednak kilkuminutowa rozmowa z kimś, kto doświadczył tego samego, by zrozumiała, że i dla niej jest nadzieja. Skoro Amra mogła się zmienić i osiągnąć sukces, to ona też może. To nie była kwestia szczęścia czy warunków, lecz woli. Matka zawsze powtarzała, że dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy potrafią czekać. Myliła się. Dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy potrafią je chwycić.

CZĘŚĆ TRZECIA

JULIA

Londyn, wrzesień 1996

Julia szła ostrożnie wybrukowaną ścieżką do korporacji adwokackiej Gray's Inn, balansując niepewnie na kamieniach. Droga wiodła wzdłuż szpaleru starannie przyciętych drzew. W oddali, za murem z cegły, oddzielającym korporację od głównej drogi, majaczył długi rząd ozdobnych czerwonych krzewów. Lekki dreszczyk emocji przebiegł jej po plecach, gdy wcisnęła guzik domofonu. Dyskretna mosiężna tabliczka niewiele zdradzała. „Kancelaria Adwokacka Bernard, Bennison i Wspólnicy”. Za chwilę miała zacząć roczny staż w jednej z najbardziej prestiżowych kancelarii w kraju. Drzwi się otworzyły i Julia weszła do środka.

– Czym mogę służyć? – spytała uprzejmie recepcjonistka.

– Nazywam się Julia Burrows. Zaczynam dziś staż.

– Och. – Dziewczyna się spieszyła. – Tak, tak, oczywiście. Burrows. Mamy dla pani identyfikator. Proszę tu podpisać. – Podsunęła jej kartkę papieru.

Julia podpisała, starając się nie myśleć o tej upokarzającej biurokratycznej procedurze. Zawsze to samo. Spotkała się z tym w stowarzyszeniu Pro Bono Publico, działającym w Oksfordzie, gdzie pracowała przez ostatnie cztery lata. W odrapanych pokojach przy Turl Street było dużo takich prawników jak ona, wywodzących się z klasy pracującej, wykonujących swoją pracę z poświęceniem i oddanych w stu procentach temu, co robią. Chociaż nie żałowała ani jednego przepracowanego tam dnia, bardzo chciała zostać adwokatem, a do tego potrzebny był staż w Londynie. Po trzech rozmowach kwalifikacyjnych i trwającym miesiąc oczekiwaniu marzenie wreszcie się spełniło. Sprzedała domek po babci w Elswick i chociaż nie dostała za niego fortuny, otrzymane pieniądze pozwoliły jej na dalsze kształcenie. Podczas rocznego stażu miała otrzymywać nędzne wynagrodzenie, co było jednym z powodów, dla których dziewczęta o podobnym jej pochodzeniu rzadko zostawały adwokatami. Nie mogły sobie pozwolić na mieszkanie i pracę w Londynie za studenckie stypendium. Nie spodziewała się, że tak trudno jej będzie zerwać więzy łączące z Elswick. W dniu, w którym sprzedała domek, przeszła się ulicami swego dzieciństwa, patrząc na rzędy niemal identycznych domów i zastanawiając się, kiedy tu znowu przyjedzie. Cmentarz, na którym zostali pochowani rodzice i babcia, leżał na drugim brzegu rzeki Tyne. Położyła na ich grobach trzy bukiety kwiatów, po czym wstała, ocierając łzy. Najprawdopodobniej nigdy tu nie wróci.

Nazajutrz rano złapała pociąg do Oksfordu. Wcześniej spakowała walizki i pożegnała się z trzema osobami, z którymi przez ostatnie cztery lata dzieliła dom

w Headington. Wierny Dom odwiózł ją do Londynu. Przez dwa tygodnie mieszkała w domu państwa Barrington-Browne w Chelsea, szukając w tym czasie jakiegoś miejsca do życia. Mieszkanie, które znalazła w dawnym budynku komunalnym przy Euston Road, w niczym nie przypominało trzypiętrowego domu państwa Barrington-Browne przy Cadogan Square, ale nie miała nic przeciwko temu. „Chelsea mnie peszy” – oświadczyła Domowi, gdy poszli obejrzyć mieszkanie. Claire i Alison, dziewczyny, z którymi miała zamieszkać, wydały się dość miłe. Claire była pielęgniarką w szpitalu uniwersyteckim przy tej samej ulicy, a Alison robiła specjalizację na wydziale sztuk pięknych. Dom kręcił nosem na mały pokój i stan ogródka, ale Julii to nie przeszkadzało. Miała rozpocząć nowy etap w życiu i już nie mogła się doczekać.

– Zaprowadzę panią – powiedziała recepcjonistka, wychodząc zza biurka.

Zmierzyła Julię wzrokiem. Teczka – zbyt błyszcząca, buty – zbyt nowe, kostium – przyzwoity, ale nie markowy. W granatowej spódnicy i różowej bluzce koszulowej rozpiętej pod szyją, z imponującym sznurem pereł, dziewczyna bardziej przypominała panią adwokat niż ta nowa stażystka.

Julia szła za podskakującym blond kucykiem korytarzami wyłożonymi boazerią. Wchodząc na górę, mijały po drodze mężczyźni w garniturach i kobiety w garsonkach.

– Dzień dobry – mruzczała recepcjonistka do każdego z nich, a oni odwzajemniali się szybkim uśmiechem.

Odbiegało to od swobodnej atmosfery panującej w Pro Bono Publico. Czy będę tu pasowała? – pomyślała Julia, ale natychmiast przywołała się do porządku.

Wprowadzono ją do dużego pokoju i wyznaczono biurko pod oknem. Miała dzielić pokój z dwoma innymi adwokatami na stażu. Wymieniła z nimi uścisk dłoni. Daniel był wysokim, postawnym Nigeryjczykiem, a Christopher niskim, poważnym młodym człowiekiem, który sprawiał wrażenie zaskoczonego widokiem kobiety. Szybko wypakowała swoje rzeczy, po czym znowu wyprowadzono ją na korytarz.

– Będzie pani pracowała z Harriet Peters – poinformowała ją recepcjonistka. – Trzecie drzwi na lewo tym korytarzem. Oczekuje pani. Powodzenia – dodała uprzejmie i zniknęła.

Julia nerwowo wygładziła spódnicę i zapukała do drzwi.

– Proszę – usłyszała.

Niepewnie weszła do środka. Za wielkim lśniącym biurkiem siedziała kobieta o budzącym grozę surowym spojrzeniu. Zdjęła okulary i popatrzyła na wchodzącą.

– Harriet Peters. Jestem starszym adwokatem od prawa rodzinnego. Uznaliśmy z Geraldem, że będzie to dla pani dobre miejsce na początek. Jesteśmy nowym oddziałem w firmie. Są tacy, którzy uważają, że prawo rodzinne to kompletna strata czasu, że nie daje takich dochodów czy prestiżu jak radcostwo prawne. Ja oczywiście mam odmienne zdanie. Nie interesuje mnie pani opinia na ten temat, wymagam

jedynie, by była pani stuprocentowo wierna i oddana sprawie tak długo, jak będzie pani dla mnie pracowała. Kiedy zakończy pani staż, zakładając, że tak się stanie, będzie pani mogła wybrać sobie dziedzinę prawa. Z pani CV wynika, że przepracowała pani kilka lat w OPBP, zna więc pani zakres spraw, którymi się zajmujemy. Chciałabym, żeby zaczęła pani od...

Julia słuchała szczegółowej listy zadań na najbliższy tydzień. Na zakończenie Harriet wręczyła jej stertę akt.

– Biblioteka jest na trzecim piętrze – oznajmiła. – Proszę się zgłosić do mnie po lunchu.

Audiencja dobiegła końca. Panna Burrows pospiesznie wstała, czując, jak serce jej bije z ekscytacji i trwogi. Jednego była pewna: Harriet Peters nie zamierzała nikomu – a zwłaszcza kobiecie – pozwolić spocząć na laurach. Ukończenie studiów w Oksfordzie z pierwszą lokatą najwyraźniej nie miało dla niej znaczenia. Julia Burrows jest tu po to, by pracować.

Do końca tygodnia biegała z biura do sądu ze streszczeniami spraw i notatkami Harriet. Gdy nie proszono jej o przyniesienie lub zanieśenie czegoś, przesiadywała w bibliotece na trzecim piętrze. Widok na Fleet Street był jedynym wytchnieniem od zakurzonych tomów i oprawionych w skórę książek tak powycieranych na grzbietach, że zatarły się na nich niektóre złote litery.

Harriet nie żartowała. Pod koniec pierwszego miesiąca Julia ledwo trzymała się na nogach. Nigdy w życiu tyle nie czytała. Oprócz zbierania informacji prawnych do streszczeń spraw prowadzonych przez panią Peters sporządzała zarysy argumentacji, które niezmiennie trafiały do kosza, sprawdzała fakty i precedensy, przeglądała orzeczenia sądowe, redagowała i przepisywała dokumentacje spraw i robiła wszystko, co Harriet uznała za stosowne na nią zrzucić. W drugim tygodniu musiała nawet odebrać z pralni jej bieliznę. Patsy, jej sekretarka, uśmiechnęła się znacząco. Najwyraźniej był to dotąd jeden z jej obowiązków, którego z ochotą się pozbyła.

Były również chwile wytchnienia. W piątki wieczorem stażyści i młodszy adwokaci spotykali się w pubie Citty of Yorke przy Gray's Inn Road. Harriet nigdy tam nie przychodziła, nie uczestniczyła też w oficjalnych kolacjach. Nikt też tego od niej nie oczekiwał. Z informacji uzyskanych od innych Julia dowiedziała się, że pani Peters jest starą panną, dobiegającą pięćdziesiątki, mieszka w najbardziej eleganckiej części Chelsea i jeździ potwornie eleganckim samochodem. Raz w miesiącu wyjeżdżała do luksusowego ośrodka spa w Irlandii, ukrytego na głębokiej prowincji. Oprócz tego, że kocha konie – miała nawet dwa – można było o niej powiedzieć jedynie to, że jest znakomitym adwokatem i jedną z najbardziej wymagających osób w firmie. Tak jak większość ukończyła Cambridge i odbyła staż w jednej z londyńskich kancelarii, a potem została współpracowniczką w kancelarii B&B. Była jedyną kobietą wśród starszych współpracowników, ale nigdy tego nie wykorzystywała. Miała szczupłą sylwetkę i krótkie, starannie przycięte włosy. Czasami pozwalała

sobie na lekkie muśnięcie warg szminką i odrobinę perfum. Nie eksponowała swojej kobiecości, a już na pewno nie można jej było oskarżyć o wdzięk osobisty.

W pewien piątkowy wieczór, po wyjątkowo długim dniu w sądzie, Julia szła przez dziedziniec, uginając się pod ciężarem akt, gdy nagle idąca kilka kroków przed nią Harriet odwróciła się w jej stronę.

– Drinka? – spytała tak nieoczekiwanie, że dziewczyna omal nie upuściła teczeki.

– Drinka? – powtórzyła, marszcząc brwi. Nie bardzo wiedziała, o co Harriet chodzi.

– Tak. Masz ochotę na drinka?

Towarzysząca pani Peters osoba pożegnała się pospiesznie i zostały same. Julia wpatrywała się w swą towarzyszkę, nie wierząc własnym uszom.

– Eee... tak, pewnie – odpowiedziała. Wiedziała, że nie zabrzmiało to elegancko. – Bardzo chętnie – dodała pospiesznie. Czy jej się zdawało, czy naprawdę dostrzegła cień uśmiechu na ustach Harriet? Niepewnie weszła do baru w podziemiach sądu, zbyt zaskoczona, by patrzeć, gdzie idzie.

– Pani okrycie – zwrócił się do niej mężczyzna z obsługi. – I dokumenty.

Julia z wdzięcznością oddała mu swój balast i poszła za panią Peters do jednego z obitych tapicerką boksów. Słyszała o tym lokalu. Prawo wstępu mieli tu jedynie wyżsi rangą członkowie Izby Adwokackiej, w tym sędziowie, członkowie Izby Lordów i sędziowie sądu najwyższego, ale na pewno nie stażystki. Rozejrzała się wokół niepewnie. Rozpoznała kilka twarzy – w rogu przy oknie witrażowym siedział lord Musgrove, podżegacz laburzystowski, a przy barze z wielką szklanką whisky stał Anthony Chessington, szef stowarzyszenia Libertas. A tamten to, zdaje się, Grant Foster, sławny adwokat od spraw rozwodowych. Do rzeczywistości przywrócił ją głos Harriet:

– Na zdrowie – powiedziała, gdy kelner, napełniwszy kieliszki winem, usunął się dyskretnie, i wypła spory łyk.

Julia zrobiła to samo.

– Na zdrowie – odpowiedziała, przechylając kieliszek i trzymając go przy ustach dłużej, niż zamierzała, by ukryć zmieszanie. Siedziała z Harriet Peters w barze w podziemiach sądu i piła wino. Czy świat stanął na głowie?

– Co za dzień – stwierdziła Harriet, sięgając do eleganckiej torebki i wyjmując z niej paczkę papierosów. – Chcesz?

Julia pokręciła głową, zbyt zaskoczona, by mówić. Pani Peters pali?

– Nie, ja... ja nie palę – wyjąkała.

– Bardzo dobrze. Nie zaczynaj. To głupi nałóg.

– Mój tata palił – dodała dziewczyna nieoczekiwanie, dziwiąc się samej sobie.

– Mój też. Cholerny górnik. Zmarł na raka płuc, głupi skurwysyn.

Górnik? – pomyślała Julia. Ojciec Harriet Peters był górnikiem? Nie, chyba źle ją zrozumiała.

– Powiedziała pani, że był górnikiem? – spytała tak na wszelki wypadek.

Pani adwokat kiwnęła głową.

– Mhm. Pochodzimy ze Snaresborough, górniczego miasteczka. Wszyscy górnicy stamtąd pochodzą.

Julia była zbyt zdumiona, by coś powiedzieć. A więc Harriet też była z północy.

– Nigdy bym się nie domyśliła – powiedziała w końcu, opróżniając kieliszek jednym haustem.

– Rzeczywiście, nie domyśliłabyś się – odrzekła tamta z uśmiechem, wydmuchując chmurę dymu. – Właściwie to mamy ze sobą wiele wspólnego. Jesteśmy bardzo do siebie podobne.

– Nie mówi pani z północnym akcentem – stwierdziła Julia, nie mogąc wymyślić nic lepszego.

Harriet dała znak barmanowi, żeby ponownie napełnił kieliszki.

– Lata praktyki, moja droga – odpowiedziała z sarkazmem. – Za moich czasów było inaczej. Kiedy odbywałam staż z piętnastoma innymi osobami, byłam jedyną kobietą i jedyną stażystką o pochodzeniu robotniczym. Teraz jest trochę inaczej... Może nie tak, jak byśmy chcieli, ale to już inna historia. Robię to od tak dawna, że zapomniałam, jaka byłam kiedyś. Słabo cię znam, Julio, ale ty nie starasz się być kimś innym. To godne podziwu. Niech ludzie biorą cię taką, jaka jesteś. Ja nie miałam takiej pewności siebie w ciągu tych dwudziestu lat, ale ty masz. Nie strać jej.

Julia poczuła nagle, że zaraz się rozpłaczę. Najtrudniejsze było to, że nie miała się komu zwierzyć. Ojciec znał mnóstwo dykteryjek i anegdot, którymi sypał jak z rękawa, przekazując w tej formie różne mądrości życiowe. Stale jej powtarzał, że trzeba być dumnym ze swych korzeni, dumnym z tego, kim się jest. Tyle razy w ciągu ostatnich lat pragnęła z nim porozmawiać. I to właśnie było najokrutniejsze, że nie mogła się z nim podzielić swoimi problemami i wątpliwościami, gdy tego potrzebowała.

Mruknęła coś niewyraźnie do Harriet i uciekła do toalety. Intuicja podpowiadała jej, że pomimo szczerzej rozmowy łzy nie byłyby dobrze widziane. Miała rację. Gdy pięć minut później wróciła z zaczerwienionymi oczyma i nosem, pani Peters już nie było.

– Zostawiła to dla pani – powiedział barman, podając jej kartkę.

„Sprawa Hardy contra Matthieson jutro o dziewiątej rano”. Julia uśmiechnęła się ponuro. Oto dlaczego Harriet Peters miała taką reputację. Minie długi czas, zanim znowu się odsłoni. Córka górnika ze Snaresborough. Dziewczyna pokręciła głową z niedowierzaniem, odbierając płaszcz. Kto by pomyślał? „Ty nie starasz się zmienić, Julio. To cenna cecha”. Słowa pani adwokat brzmiały jej w uszach. Po raz pierwszy ktoś zrozumiał, jak ciężko żyć ze świadomością, że się nie pasuje. I to właśnie Peters. Mądra, inteligentna superprofesjonalistka. Julia poczuła nagły przypływ optymizmu. Skoro Harriet mogła zajść tak daleko, to ona też może.

MADDY

Nowy Jork, listopad 1996

– Maddy, możesz mnie zastąpić, kochanie? Stolik numer dwanaście. Muszę się wysiusiać.

– Nie, Carla. Mam pełne ręce roboty. Nie mogę.

Za późno. Maddy patrzyła z rozpaczą, jak koleżanka stawia tacę na ladzie i znika w korytarzu. Carla była w trzecim miesiącu ciąży, a z tym nie można dyskutować. Dziewczyna westchnęła i wzięła tacę z zamówieniem. Klienci przy jej stoliku czekali już od piętnastu minut – to całe wieki dla nowojorczyka. Nie tylko nie dostanie napiwku, ale będzie miała szczęście, jeżeli szef nie potrąci jej z pensji tego śniadania. Uniosła tacę nad głowę i przeszła przez zatłoczoną salę do stolika numer dwanaście, przy którym siedział mężczyzna z twarzą ukrytą za wielką gazetą w kolorze łososiowym.

– Dzień dobry – powiedziała wesoło, stawiając ostrożnie tacę na blacie. Przepraszam, że pan czekał. Zastępuję pańską kelnerkę. Jajka smażone z dwóch stron, bekon, opiekane pomidory i starte ziemniaki smażone z cebulą.

– Dziękuję. I... czy mógłbym prosić o ketchup?

Mężczyzna opuścił gazetę. Anglik.

– Oczywiście. Zaraz przyniosę.

Odwróciła się i poszła do baru.

– Proszę bardzo. Czy coś jeszcze, sir?

Zaczerwieniła się. Weszła w rolę angielskiej dziewczyny, nawet o tym nie myśląc.

– Jest pani Angielką?

Pokręciła głową, czując, jak płoną jej policzki.

– Przepraszam, ale nie. Ja tylko grałam.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Grała pani?

Całkiem przystojny – pomyślała, starając się na niego nie gapić. Blondyn o niebieskich oczach, kwadratowym, mocno zarysowanym podbródku, szerokich ramionach i długich, smukłych palcach. Było w nim coś dziwnie znajomego, tylko nie mogła sobie przypomnieć co. Uciekła wzrokiem w bok.

– Jestem aktorką. Kiedyś grałam angielską dziewczynę w szkolnym przedstawieniu.

– Była pani bardzo przekonująca. Musi pani być świetną aktorką.

Maddy uśmiechnęła się wbrew sobie.

– No naturalnie, dlatego pracuję jako kelnerka. Czekam właśnie na telefon od agentki.

Skąd się wziął ten nonszalancki ton? Ale w tym mężczyźnie była jakaś prostota i chłopięcy urok. Przywykła do flirtujących klientów, to była integralna część jej pracy. Pilnie ćwiczyła rolę kelnerki – żującej gumę, dowcipnej, wygadanej rudowłosej o seksownym, kołyszącym chodzie. Po prawie trzech latach znała ten repertuar na wyrywki.

– Mam nadzieję, że zadzwoni – odpowiedział.

– Dzięki.

Puściła do niego oko i wróciła do baru. Klienci czekali, a Carla najpewniej zgarnie napiwek. Nie można kłócić się z kobietą w ciąży – przypomniała sobie.

– Proszę. – Pół godziny później Carla wsunęła jej banknot dziesięciodolarowy do kieszeni fartuszka. – Od stolika numer dwanaście! – zawołała przez ramię, biegnąc do kuchni. – Tego Anglika.

Maddy się spieszyła. To był wyjątkowo sowity napiwek. Zwłaszcza że śniadanie kosztowało niewiele więcej. Poszukała go wzrokiem nad głowami klientów, ale musiał już wyjść. Wzruszyła ramionami. Szkoda, bo chciała mu podziękować. Wzięła dzbanek z kawą i precyzyjnie się między stolikami. Właściwie to go nie okłamała. Naprawdę czekała na telefon od agentki. Virginia była chyba jedyną osobą na świecie, która uważała, że Maddy może zdobyć sławę i majątek jako aktorka, nie jako kelnerka. Od przedstawienia kończącego naukę w szkole dramatycznej Tischa minęły dwa długie, trudne lata. Nawet matka przyjechała wtedy do Nowego Jorku, żeby ją zobaczyć, i siedziała na widowni oczarowana, gdy córka przeniosła ją i dwustu innych widzów w zupełnie inny świat. Najgorsze było to, że ona naprawdę dobrze zagrała. Nie pamiętała już, w ilu przesłuchaniach brała udział, ile rozmów przeprowadziła, ile dni i wieczorów przesiedziała, czekając na telefon. W ciągu dwóch lat zagrała w jednej reklamówce i odcinku pilotowym do sitcomu, z którego w końcu zrezygnowano. Uczestniczyła w miejskich i osiedlowych warsztatach teatralnych, przyklejała swoje zdjęcie, gdzie mogła, i nic. Virginia się jednak nie poddawała, choć bywały dni, gdy stukała długopisem w zęby i stwierdzała, że jest w tym coś dziwnego. Może przyczyną były ogniście rude włosy i oryginalna uroda – doszła do wniosku. Co miała na myśli, tego jednak nikt, a tym bardziej Maddy, nie wiedział. Być może chodziło jej o to, że nie było pracy dla rudowłosej aktorki o porcelanowej cerze i orzechowozielonych, zbyt szeroko rozstawionych oczach, które wyglądały trochę dziwnie przy kasztanowych włosach. Po prostu nie ten typ i już.

Maddy, podobnie jak Virginia, chociaż z innych powodów, też nie chciała się poddać. Nie mogła. Nowy Jork stał się teraz jej domem. Znalazła sobie małą kawalerkę po gorszej stronie Fort Green w Brooklynie. Mieściła się w niej jedynie rozkładana kanapa i biurko, ale miała wreszcie własny kąt. Po roku mieszkania

z tłumem innych początkujących aktorów, aktorek i najróżniejszych modelek udało jej się zaoszczędzić dość pieniędzy na zapłacenie za trzy miesiące z góry.

Sandy, jedyna koleżanka ze szkoły, z którą utrzymywała kontakt, była w podobnej sytuacji. Zbyt żydowski wygląd, zbyt etniczna, co znaczy mniej więcej to samo – stwierdzała z goryczą. „Zbyt charakterystyczna twarz” – mawiali zazwyczaj agenci od castingu. Tylko że w przeciwieństwie do Maddy ona nie była biedna i mieszkała w apartamencie w East Village, który kupił jej ojciec, czekając, aż się opamięta i wyjdzie za mąż.

– Akurat – mówiła drwiąco przy butelce wina. – A już na pewno nie za żadnego z tych miłych żydowskich chłopców, których matka stale zaprasza.

Maddy i Sandy spotykały się co tydzień, zwykle w mieszkaniu tej drugiej, gdzie piły stanowczo zbyt dużo i płakały nad swoim nędznym życiem miłosnym lub karierą, albo nad jednym i drugim. Raz na jakiś czas dzwoniła Virginia. Zaczynały się wtedy gorączkowe przygotowania do roli, wzmocnione ścisłą dietą, a następnie obżarstwem i wywoływaniem wymiotów. W końcu Maddy szła na przesłuchanie i czekała przy telefonie, by usłyszeć, że nie została przyjęta, i wszystko zaczynało się od nowa. Gdyby nie panująca w restauracji Sunshine atmosfera i radość z mieszkania w Nowym Jorku, nie wiedziałyby, co zrobić. Powrót do Iowy nie wchodził w grę. Przecież wciąż miała szansę. Zaledwie przed tygodniem wzięła udział w dwóch przesłuchaniach do tej samej roli. Dziewczyna, którą wybrali, musiała z niej zrezygnować. Pozostało niewiele czasu, ale „jeśli wszystko dobrze pójdzie – powiedziała Virginia przez telefon – w sobotę wieczorem znajdziesz się na scenie. Zagraj z Bette Midler”. Maddy musiała usiąść, żeby się nie przewrócić. Z Bette Midler?

Tego popołudnia dolewała kawy do kubków z automatycznym, nieobecnym uśmiechem, czując, że myśli i żołądek wirują jak szalone. Boże, spraw, żebym dostała tę rolę – modliła się w duchu, wyjmując bloczek zza fartuszka i ołówek zza ucha, by przyjąć następne zamówienie. Pomimo uporu i wytrwałości zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie robić coś więcej poza zapisywaniem zamówień i noszeniem tacy nad głową. Czy po to męczyła się przez cztery długie lata?

Anglik pojawił się nazajutrz rano, gdy zaczęła swoją zmianę. Tym razem siedział przy barze. Granatowy garnitur, rozpięta pod szyją koszula, błyszczące buty i lektura prasy. Gdy przechodziła, opuścił gazetę i ich oczy się spotkały. Uśmiechnęli się do siebie nieśmiało. Wyglądał na zmęczonego. Na brodzie widniał cień zarostu, a oczy były podpuchnięte z niewyspania.

– Ciężka noc? – spytała, nalewając mu kawy i otwierając bloczek.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Wstrzymała oddech i odwróciła wzrok.

– Niestety tak – odpowiedział lekko schrypniętym głosem.

– Więc... więc pewnie będzie tylko kawa? – wyjąkała. Jego urok był niepokojący. Nie przywykła do tego. Nowojorczyacy odznaczeni różnymi cechami, ale na pewno nie urokiem.

Przebiegł wzrokiem menu i pokręcił głową.

– Veisalgia – wyjaśnił. – Lekiem na to są produkty bogate w cysteinę. – Uśmiechnął się.

– Słucham? – Maddy popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Veisalgia to medyczny termin na kaca. Cysteina to aminokwas endogeny, którym wątroba neutralizuje alkohol, a jajka mają jej dużo. Dlatego po ciężkiej nocy człowiek ma ochotę na omlet. – Roześmiał się, ukazując rząd idealnie białych zębów. – Teraz ja się popisuję.

– Jest pan lekarzem? – spytała z uśmiechem.

– Przyznaję się do winy. Jestem tu na konferencji, stąd ta długa noc. Dopiero po południu wygłaszam referat, wpadłem więc na śniadanie. – Popatrzył na nią. Jego oczy miały barwę chabrów lub nieba w ciepły letni dzień. – Zadzwoiła?

– Kto? – spytała Maddy zdezorientowana.

– Agentka.

– Och, na pewno wkrótce zadzwoni. – Wzruszyła ramionami, starając się ukryć rozczarowanie.

– No to trzymam kciuki. Jak ci na imię? Będę mógł powiedzieć, że cię znałem.

– Maddy. Maddy Stiller.

– Miło mi cię poznać – powiedział z powagą, po czym wyciągnął rękę. – Jestem Rafe. Rafe Keeler.

– Bardzo mi miło, doktorze Keeler. – Jego uścisk był ciepły i mocny. Kątem oka dostrzegła, jak Carla marszczy brwi. – No to... zaraz przyniosę jajka – dodała pospiesznie. – Jakie mają być?

Popatrzył jej w oczy. Przez krótką ulotną chwilę wydało jej się, że dostrzega

w nich podziw.

– Sama zdecyduj.

Poczuła, jak drżą jej policzki.

– Zaraz wracam – wyjąkała i uciekła. Jego urok wprawiał ją w zdenerwowanie.

Skryła się w stosunkowo bezpiecznej kuchni.

– Jest słodki – oznajmiła Carla bez ogródek, stając za jej plecami.

– Kto? – spytała Maddy, siląc się na obojętny ton.

– Och, *chica*. Nie udawaj. Dobrze wiesz, kto.

– Tak myślisz?

– Nieważne, co ja myślę, kotku, lecz co ty myślisz. Hej! – wrzasnęła Carla nieoczekiwanie, wskazując na talerz, który kucharz przygotowujący szybkie dania postawił na ladzie. – Zdaje się, że zamawiałam jajecznicę. Czy twoim zdaniem to jest jajecznica?

Maddy się uśmiechnęła. Koleżanka miała w kuchni reputację ostrej, na co w pełni sobie zasłużyła. Przyczepiła więc swoje zamówienie i wyszła, nie mając ochoty stać się przedmiotem ciętych uwag czy badawczego spojrzenia Carli, a już na pewno nie dzisiaj. Z powodów, których nie potrafiła określić, Rafe Keeler wytrącał ją z równowagi. Odebrała jajecznicę i podeszła do niego.

Zerknął na nią zza gazety, gdy stawiała przed nim talerz.

– Dzięki. To powinno pomóc.

– Daj znać, jeżeli będziesz czegoś potrzebował.

– Dobrze. – Złożył gazetę i zabrał się do jedzenia.

Dwadzieścia minut później poprosił o rachunek. Podeszła, podała mu kwitek i już miała odejść, gdy odezwał się do niej:

– Słuchaj... Wiem, że to może zbyt szybko, ale pomyślałem, że... Jestem tu dwa dni i nie znam nikogo prócz kolegów po fachu, a mam już dość ich towarzystwa. Konferencja kończy się dziś po południu, może miałabyś ochotę pójść ze mną wieczorem na drinka.

– Na drinka? – Maddy była tak zaskoczona, że omal nie upuściła tacy. – Z tobą?

– Nie takiej reakcji się spodziewałem – odparł, unosząc brwi z udaną powagą. – Czy zaproponowałem coś strasznego?

– Nie, nie o to chodzi. Ja... Po prostu mnie zaskoczyłeś.

– No więc?

– Jasne. Czemu nie? – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Naprawdę? – Teraz on wyglądał na zaskoczonego.

Były w nim jakieś ciepło i szczerłość. Zwykle tak się nie zachowywała. Cztery lata w Nowym Jorku to szmat czasu, a ona pocałowała już więcej niż jedną żabę.

Czasami był to nie tylko pocałunek – pomyślała z nagłym bólem. Ale on wydawał się inny. I nie chodziło tylko o akcent.

– Dlaczego nie? – powtórzyła lekkim tonem, chociaż wcale się tak nie czuła. – Za

rogiem, na Canal Street, jest mały bar. Nazywa się U Joeya. Łatwo do niego trafić. To mniej więcej w połowie drogi.

– Świetnie. O której kończysz?

– Koło siódmej.

– W takim razie może wpół do ósmej? Chyba że chciałybyś najpierw pójść do domu...

– Nie. Może być wpół do ósmej. No to do zobaczenia.

Błysnęła uśmiechem i poszła do kuchni. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone. W torbie miała szarą flanelową bluzę i parę dżinsów – niezbyt odpowiedni strój na randkę. Na randkę? Kiedy ostatnio się z kimś umówiła? Lepiej o tym nie myśleć.

O siódmej dwadzieścia była gotowa. Po raz ostatni spojrzała w małe lustro w toalecie. Rozczesała włosy i nałożyła błyszczak na usta. Pożyczyła od Carli białą koszulę o kilka rozmiarów za dużą, ale była trochę lepsza od wyblakłej szkolnej bluzki. Wzburzyła włosy, usunęła chusteczką nadmiar błyszczaka i wzięła torbę. Na zewnątrz panował chłód, na szczęście bar znajdował się zaledwie kilka kroków od restauracji. Spojrzała na zegarek: siódma dwadzieścia dziewięć. Spóźni się kilka minut. Dziewczyna zawsze powinna przychodzić z kilkuminutowym opóźnieniem. Kolejna niezrozumiała zasada obowiązująca w Nowym Jorku.

Powitał ją niebieski neon nad wejściem. Gdy weszła po schodach i otworzyła drzwi, otoczył ją gwar rozmów i dźwięki muzyki. Anglik już siedział przy barze, bokiem do drzwi. Ruszyła w jego stronę, świadoma tego, że ją obserwuje.

Uśmiechnął się z pewną ulgą.

– Cześć – powiedział, zsuwając się ze stołka. – Nie byłem pewny, czy przyjdiesz.

– Przysunął sobie drugi stołek. – Czego się napijesz?

– Whisky – odpowiedziała, starając się elegancko wskoczyć na stołek.

– Miłośniczka whisky bez lodu, tak? Wyglądasz na osobę, która dużo wie o whisky.

Mylił się. Wiedziała o whisky mniej niż o winie, czyli nic. Ale nie musiała mu tego mówić. Przebiegła myślami postacie, w które mogłaby się wcielić na czas randki. Musiał to być ktoś zabawny i wygadany, kto znałby się na whisky, winie i na tych wszystkich wyrafinowanych rzeczach. Nora Charles z komedii kryminalnej *Pościg za cieniem*. W ciągu kilku sekund dokładnie wiedziała, co robić, łącznie z rękami. Przybrała swobodny żartobliwy ton i obserwowała jego reakcję. To był stary trick i zawsze działał.

– Na zdrowie – powiedział, gdy barman podsunął dwie szklaneczki. – Jestem ci szczerze wdzięczny. Ocaliłaś mnie przed kolejnym nudnym wieczorem z kolegami po fachu. I od samotnego siedzenia w pokoju hotelowym przed telewizorem.

– Jak poszło? – spytała, wypijając łyk whisky. Była ciepła i łagodna. Zapamiętać: whisky bez lodu. Uśmiechnęła się.

– Na konferencji? Dobrze. Udało mi się ustawić słowa we właściwym porządku

i odpowiedzieć na kilka pytań. Mało kto tego słuchał.

– O czym mówiłeś?

Popatrzył na nią.

– Tak naprawdę to nie chcesz wiedzieć.

– Chcę – odparła z uśmiechem.

– Nowe metody usuwania gwiazdziaka włoskowatokomórkowego.

– Aha.

– A nie mówiłem? – Uśmiechnął się. – No, ale dość o mnie. Dostałaś tę rolę?

Pokręciła głową ze smutkiem.

– Moja agentka nie zadzwoniła. To pewnie znaczy, że nie.

– Trudno jest tak ciągle chodzić na przesłuchania?

– Na pewno nie trudniej niż usuwać tego gwiazdziaka jakiegoś-tam. Więc jesteś chirurgiem?

Kiwnął głową.

– Neurochirurgiem. Od mózgu – dodał tonem wyjaśnienia.

– Wiem, co to jest neurochirurgia – odparła cierpko.

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia.

Uśmiechnęli się do siebie. Nagle pozbyli się skrępowania. Rafe miał poczucie humoru i chętnie opowiadał o sobie. Po półgodzinie wiedziała, że jego ojciec też jest neurochirurgiem, a matka znaną adwokatką, że ma młodszego brata Aarona, który jest prawnikiem jak matka. Dowiedziała się też, że w przyszłym roku w marcu wyjeżdża na trzy miesiące do Szwajcarii, gdzie będzie pracował pod okiem najsłynniejszego neurochirurga na świecie. Odkąd pamięta, chciał zostać właśnie neurochirurgiem.

– Gdy miałem trzynaście lat, matka zaprowadziła nas do ojca do szpitala, byśmy zobaczyli, jak operuje. Aaron zemdłał, gdy tata zrobił pierwsze cięcie.

– Nienawidzę krwi. – Po drugiej porcji whisky Maddy stała się śmielsza.

– Zabawne. Ja nie pamiętam krwi. Widziałem tylko ojca w kitlu i w masce.

Wyglądał jak bóg.

– Czy dlatego wybrałeś neurochirurgię? – spytała żartobliwym tonem. – Bo chciałeś być wszechmocny?

Wybuchnął śmiechem.

– Nie wiem. Może. Pomyślałem, że to będzie ciekawsze od bycia lekarzem rodzinnym, ginekologiem czy od innej specjalizacji. Mózg to fascynujący organ, nawet sobie nie wyobrażasz. – Urwał i zaśmiał się zażenowany. – No i znowu się popisuję.

– Wcale nie – zaprotestowała. – To ciekawe. Nie znałam dotąd żadnego neurochirurga.

– A ja nie znałam aktorki. Dość o mnie. Teraz opowiedz mi o sobie.

Wzruszyła ramionami.

– Niewiele mam do opowiedzenia – odparła, siląc się na równie swobodny ton. –

Pochodzę z Iowy. Wychowałam się na farmie. Pięć lat temu przyjechałam do Nowego Jorku na studia w szkole dramatycznej Tischa. Zaczęłam pracować w restauracji, gdy byłam na drugim roku, i czasami sobie myślę, że utknę w niej na wieki. – Uśmiechnęła się, by złagodzić ostrość tego stwierdzenia.

– Nie utkniesz.

– Skąd wiesz? – spytała.

W jego pewnym siebie barytonie było coś, co dodawało sił. Brzmiał tak – szukała właściwego słowa – szczerze. No właśnie. Jego pewność była szczerą. Mówił o jej najbliższej przyszłości, ale jednocześnie dodawał otuchy, rozpraszał wątpliwości i przywracał zaufanie.

– Masz to wypisane na twarzy – oznajmił z powagą, bez cienia pochlebstwa. – Uda ci się. Musisz tylko bardziej w siebie wierzyć.

Maddy drgnęła, jakby jej dotknął. Nie mógł o tym wiedzieć, no bo skąd? To samo mówił ojciec, zanim zniknął. „Musisz uwierzyć w siebie, Maddy”. Nie pamiętała, czy było to przed, czy po kolacji w przeddzień jego zniknięcia. A może nazajutrz podczas śniadania? Pamiętała te słowa, jakby usłyszała je wczoraj. A teraz zabrzmiały w ustach kogoś innego. „Musisz uwierzyć w siebie”. Spojrzała na Rafe’a jakby z mroków dzieciństwa. Płaski teren wokół farmy, po którym spacerowali z ojcem latem i jesienią; zagajnik na skraju, gdzie uczył ją, które grzyby zbierać, a które omijać; miękki, sprężysty sutek krowi w dłoni, gdy uczył ją doić. Zalała ją fala wspomnień, gdy patrzyła na Rafe’a, obserwując, jak zmienia się wyraz jego twarzy i odbijają się na niej jej własne uczucia. Uśmiechnęli się do siebie. On zaśmiał się nieoczekiwanie, pocierając dłonią napięte udo. Dotknęła jego ręki i poczuła, jak podniecenie, które towarzyszyło jej przez cały dzień, zaczyna zalewać ją gorącą falą. On też musiał to poczuć, bo chwycił ją za rękę. Jego dotyk był delikatny, lecz zdecydowany. Jej ciało stanęło w ogniu.

– Chodźmy stąd – mruknął jej do ucha.

Dotknął jej z wahaniem, jakby czekał na pozwolenie. Ściągnął jej koszulę przez głowę, kryjąc dłonie w gęstwinie rudych włosów. Płonęła z pożądania, lecz kątem oka dostrzegła, że drzwi do pokoju hotelowego są uchylone. Podążył za jej spojrzeniem i nie przerywając pieszczot, pchnął je mocno nogą. Maddy zachichotała. Błądził palcami po jej ciele, zatrzymując się tu i tam, wywołując w niej dawno zapomniane reakcje i potęgując napięcie. Gdy wszedł w nią wolno, oboje wciągnęli gwałtownie powietrze w płuca. To zupełnie nie w jej stylu – pomyślała, zanim zalała ją fala rozkoszy. Nie żałowała, że umówiła się z nim na drinka, chociaż zaskoczyła ją własna reakcja. Za nic by z tego nie zrezygnowała.

NIELA

Londyn, listopad 1996

Wagony metra pędziły tunelem, pokonując zakręty z ogłuszającym piskiem hamulców i zgrzytem metalu ocierającego się o metal. Niela jedną ręką trzymała się uchwytu nad głową, a w drugiej ścisnęła gazetę. Gdy dojechali do Liverpool Street, ruszyła do wyjścia wraz z tłumem ludzi. Najbardziej ze wszystkiego nie lubiła spóźniać się do pracy. Wydostała się na górę i odetchnęła z ulgą, gdy poczuła świeże powietrze. Wolą listopadową wilgoć i chłód od zatechłej duchoty metra. Mieszkała w Londynie prawie pięć lat, ale czasami czuła się tak, jakby dopiero co tu przyjechała. Bywały też dni takie jak dzisiejszy, gdy dostrzegła swoje odbicie w szybie wystawowej lub w oknie przejeżdżającego autobusu i musiała się na chwilę zatrzymać. Tyle zmian zaszło w jej życiu, ale przede wszystkim ona sama się zmieniła. Zniknęła zropaniona, naiwna uciekiniarka, posiadająca jedynie to, co miała na sobie. Z pomocą Anny znalazła stałą pracę i miejsce do życia, które mogła nazwać własnym. Trochę to trwało, ale powoli, miesiąc po miesiącu, zaczęła budować własny świat. Nadal bardzo tęskniła za rodziną, poszła więc za radą Anny i pogrzebała tę część siebie tak głęboko, jakby dawna Niela w ogóle nie istniała. Miała świadomość, że tamto się zdarzyło – małżeństwo zaaranżowane przez rodziców, wyjazd do Monachium z mężem, którego ledwie знаła i którego nienawidziła, ucieczka od niego i od wszystkiego, co było jej bliskie – ale jednocześnie wiedziała, że w tamtych warunkach nie mogłaby ułożyć sobie życia takiego jak w Londynie. Podnosiło ją to na duchu i dodawało sił.

Znalazła stałą posadę sekretarki dyrektora do spraw finansowych w jednej z konkurujących z Sarafinem firm. Sześć miesięcy później Anna namówiła ją, żeby zapisała się na wieczorowe kursy francuskiego i arabskiego. Po pół roku zdecydowała się na zaoczne studia w college'u Birkbeck. Zdumiał ją zakres pomocy oferowanej dla osób takich jak ona. Mogła się ubiegać o rządowe stypendium, ale i college dysponował setkami różnych programów, które ułatwiały naukę takim jak ona. Anna była niewyczerpanym źródłem informacji w tym względzie: z tego funduszu otrzymasz dopłatę do czesnego, tamten pokryje część opłat za czynsz, a z tego będziesz mogła kupić książki i otrzymać zwrot kosztów podróży. Spełniło się marzenie Nieli o studiowaniu, brutalnie zniweczone przez wojnę. Trwało to prawie cztery lata, ale udało się. Wolno, czasami w wielkich bólach, ale w końcu udało jej się zabezpieczyć przyszłość. Trzy miesiące po ukończeniu studiów los znowu się do niej uśmiechnął. Jeden z wykładowców w Birkbeck powiedział jej o posadzie

w Międzynarodowej Radzie do spraw Uchodźców. Szukają tłumacza ze znajomością arabskiego i francuskiego. Może Niela zastanowiłaby się nad tym. Zastanowiła się i dostała pracę. Teraz dwie połowy jej życia zaczęły się łączyć.

Przystanęła przy kiosku z kawą i kupiła sobie cappuccino. Ruszyła Bishopsgate, przeszła na drugą stronę przy Commercial Road, a potem Shoreditch High Street do Rivington Road. Rada, jak nazywali ją pracownicy, miała swoją siedzibę pod numerem 4. Pracowała tu od blisko dziewięciu miesięcy i cieszyła się każdą chwilą. Głównie tkwiła przy biurku, tłumacząc oficjalne dokumenty na francuski i arabski, a czasami nawet na somali, ale lubiła panującą w biurze atmosferę, duże, otwarte stanowiska pracy na trzecim piętrze z widokiem na lśniące wieżowce City. Koledzy też byli miłymi, wyrozumiałymi ludźmi: Duncan, wysoki Szkot o rudawych włosach, mówiący po angielsku, hiszpańsku i suahili dzięki rodzicom dyplomatom; Shaheeda, Hinduska z Durbanu o delikatnych rysach twarzy, specjalizująca się w hindi i bengalskim; Azmi z Turcji i Ludmiła, pół Rosjanka, pół Polka, która znała chyba wszystkie języki na wschód od Dunaju. Odkąd Niela zaczęła tu pracować, Duncan bez powodzenia próbował się z nią umówić, co było przedmiotem nieustannych żartów kolegów. Nie chodziło o to, że jej się nie podobał, przeciwnie, lubiła jego ironiczne poczucie humoru i inteligencję. Sęk w tym, że nie mogła nawet myśleć o bliższej znajomości z kimkolwiek, a co dopiero z kolegą z pracy. Jej uczucia w stosunku do mężczyzn były sprzeczne. Czuła panikę i niesmak na wspomnienie o Hamidzie, a wyrzuty sumienia i żal, gdy przypominał jej się Christian. Wystarczyło, że pomyślała o tych dodatkowych pieniądzach, które znalazła w kopercie, a łzy stawały jej w oczach. Zwróciła mu pieniądze, zgodnie z powziętą obietnicą, ale nie podała adresu zwrotnego. Musiała zostawić go za sobą tak jak wszystko, co dotyczyło poprzedniego życia.

– O, cześć, Niela – powitała ją recepcjonistka Jenny. – Próbowałam się z tobą skontaktować. Richard Francis cię szuka. Prosił, byś zajrzała do niego, jak przyjdiesz. Mówił, że to pilne.

Kiwnęła głową, zastanawiając się, czego, u licha, może chcieć od niej Francis. Był jednym z założycieli rady.

– Zostawię tylko swoje rzeczy – powiedziała, wciskając guzik windy. – Powiedział, o co chodzi?

Jenny wzruszyła ramionami.

– Nie. Był tu dwa razy. Aha, nie zapomnij, że w piątek Caroline robi pożegnanie.

– Nie zapomnę.

Przyjechała winda i Niela zniknęła w jej wnętrzu. Wysiadła na trzecim piętrze, wrzuciła pusty pojemnik po kawie do kosza i skierowała się w stronę swojego biurka. Duncan uniósł głowę znad ekranu komputera, gdy go mijala.

– Ładna kurtka – stwierdził, puszczając do niej oko.

Dobrze, że na jej ciemnej twarzy nie widać było rumieńca. Uśmiechnęła się do niego i ukryła za własnym ekranem. Postawiła torbę pod krzesłem, wyjęła z szuflady

notes i długopis, po czym wróciła do windy. Biuro Richarda Francisa mieściło się kilka pięter wyżej i roztaczał się z niego piękny widok.

Piętnaście minut później zupełnie zapomniała o pięknym widoku. Siedziała na wprost Francisa, zbyt zaskoczona, by wydusić z siebie chociaż słowo.

– Wiem, że twoją specjalnością jest tłumaczenie tekstów, a nie żywego słowa – powiedział, unosząc ręce, jakby chciał powstrzymać jej protesty – ale nie mamy nikogo, kto mówi po arabsku, francusku i somali. Początkowo powiedziałem „nie”, ale ktoś wspomniał o tobie. Będiesz mieszkać w Dżibuti, a obóz znajduje się za miastem, jakieś pół godziny jazdy wśród gór. Mówiono mi, że jest tam bardzo pięknie. Muszę dać im odpowiedź po południu. Bardzo się spieszą, bo codziennie przybywa tam około setki uchodźców, prawie połowa z Somalii. Idealnie nadawałabyś się do tej pracy.

Niela wpatrywała się w niego. Dżibuti? Serce mocniej jej zabiło. Minęło sześć lat od wyjazdu z Somalii i przez ten czas ani razu nie była w Afryce.

– Kiedy miałabym wyjechać? – spytała, odpowiadając tym samym na jego pytanie.

– Zuch dziewczyna! – Uniósł z aprobatą brwi. – Za jakieś dwa tygodnie, zakładając, że uda nam się załatwić wszystkie dokumenty. Będiesz pracowała z kimś, kto się nazywa Josh Keeler. Jest architektem pracującym dla Czerwonego Krzyża, odpowiedzialnym za budowę obozu. Odśwież sobie terminologię z dziedziny budownictwa, ale to nic ściśle technicznego, nie martw się. Przekształcają starą bazę Legii Cudzoziemskiej w długoterminowy obóz.

– Jak długo tam będę? – spytała, czując coraz większą ekscytację.

– Jakiś miesiąc, może pięć tygodni. To będzie zależało od postępów budowy. Spędzisz tam święta, to jedyna wada. Sue Partridge mówiła mi, że robisz zaoczne studia w Birkbeck. To dobrze się składa, bo będziesz miała wtedy przerwę świąteczną. Keeler jest tam już miesiąc, ale jego znajomość arabskiego jest niewystarczająca, a miejscowi robotnicy nie mówią po angielsku. – Westchnął z ulgą. – Brawo, Niela. Lubię osoby, które nie boją się wyzwania. Powiem Sophie, żeby przesłała ci po południu dokumenty. Na pewno spodoba ci się to nowe zadanie. Kto wie, może nawet uznasz, że wolisz pracować z ludźmi, a nie z tekstami. Brakuje mi dobrych tłumaczy żywego słowa. – Wyraz jego twarzy wskazywał na to, że już jednego znalazł.

Niela podziękowała mu i wyszła z pokoju. Myśli wirowały jej w głowie, gdy zmierzała do windy. Dżibuti! Miesiąc w Dżibuti! Co Anna na to powie?

Wkrótce się o tym przekonała.

– Dżibuti? Gdzie to jest, u diabła?

– W Afryce. Zaraz ci pokażę.

Wstała i sięgnęła po atlas stojący na drugiej półce w mieszkaniu Anny. Otworzyła

go na stronie z kontynentem afrykańskim.

– Gdzie jest Dżibuti, ciociu?

Borysa jak zwykle interesowało wszystko, co dotyczyło matki i ulubionej ciotki.

– Tutaj... Widzisz? – Niela przesunęła atlas na kolana, by mógł zobaczyć, i pokazała palcem na mapie. – Tu jest Mogadyszu, gdzie się wychowałam. A tu Dire Dawa, a tam Hargeisa, dokąd uciekliśmy, gdy wybuchła wojna. A tu jest Addis Abeba, stolica Etiopii. Widzisz?

– Jakie ładne nazwy – powiedziała Anna, podchodząc, by też popatrzeć. – Dire Dawa. Addis Abeba. Brzmi jak bajka.

Niela parsknęła.

– Zapewniam cię, że daleko im do bajki. A tu jest Dżibuti, widzisz, Borysie?

– Czy to daleko? Dalej niż do Margate?

Obie wybuchnęły śmiechem. Spędziły w Margate Wielkanoc, a dla Borysa było to jedyne znane miejsce oprócz domu.

– O wiele dalej – odpowiedziała Niela.

– Wrócisz? – spytał Borys z nagłym niepokojem.

– Oczywiście, że wrócę. Jadę tylko na miesiąc.

– Lepiej uważaj – powiedziała Anna ponurym głosem. – Nie zakochaj się w jakimś pastuchu strzegącym kóz i nie daj się sprzedać za parę wielbłądów.

Niela nie mogła powstrzymać śmiechu.

– W Dżibuti nie ma wielbłądów – odpowiedziała. – I nie wyobrażam sobie, żeby w obozie Legii Cudzoziemskiej byli jacyś pasterze kóz.

– Ja tylko uprzedzam. Lepiej wróć, bo przyjedziemy i cię stamtąd wyciągniemy, prawda, Borysie?

Chłopczyk pokiwał z powagą głową i położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Razem z Batmanem – oznajmił zdecydowanym tonem. – Przyjedziemy i cię zabierzemy.

Niela popatrzyła na niego, lecz nie mogła mówić. Takie chwile przypominały jej, że chociaż straciła prawie wszystko, gdy zdecydowała się uciec, to w ciągu tych czterech lat w Londynie otrzymała znacznie więcej, niż się spodziewała.

CZĘŚĆ CZWARTA

JOSH

Dżibuti, listopad 1996

Josh Keeler po raz ostatni uderzył młotkiem w deskę, po czym zeskoczył z rusztowania i zmierzył krytycznym wzrokiem swoje dzieło. Nie było doskonałe, ale wystarczy.

– Powinno wytrzymać – zwrócił się do dwóch młodych mężczyzn stojących obok i czekających na instrukcje. – Przynajmniej na jakiś czas. Skończcie ten rząd, dobrze? Później zajmiemy się dachem.

Kiwnęli głowami i przykucnęli, by ułożyć deski.

Wsunął młotek do pasa z narzędziami i ruszył przez podwórze, ocierając z twarzy pot i brud. Dochodziła piąta i cienie zaczęły się wydłużać. Za godzinę niebo zapłonie widowiskową feerią barw, po czym zapadnie ciemność. Spojrzał przez ramię na rząd prowizorycznych domków, które stawiali od miesiąca. Przy odrobinie szczęścia będą gotowe pod koniec tygodnia. Kolejne trzydzieści domów, w których dwieście zdesperowanych osób znajdzie tymczasowe schronienie. Pokręcił głową z gniewnym niedowierzaniem i sięgnął po papierosa. Osłonił go dłonią i zapalił, zaciągając się głęboko. Dwieście osób? Kogo oni chcą oszukać? Jeżeli wojna nadal będzie trwała, wkrótce zaczną przyjmować tysiąc osób dziennie. Strumień zmieni się w powódź. Już nieraz to widział. A wtedy do każdego z takich domów będą pakować po dziesięć, piętnaście, dwadzieścia osób, nie zważając na zalecenia kierownictwa. Mechanizm zawsze był ten sam. Jakiś młody praktykant w biurze w Nowym Jorku spisywał „zalecenia i wskazówki”, a potem rozsyłał je do wszystkich baz na świecie. Starannie wydrukowane różnymi czcionkami trzy- czterostronicowe dokumenty trafiały do obozów i baz, gdzie pracowali Josh i jego pomocnicy. Takie terminy, jak „minimalny metraż” czy „minimalne racje żywnościowe”, wyskakiwały na niego z tablicy ogłoszeń. „Uchodźcy powinni (w miarę możliwości) być przyzwoicie zakwaterowani”. Ludzie, z którymi pracował, pokonywali sześćset kilometrów, by dotrzeć do obozu ze zdziesiątkowanymi rodzinami i dobytkiem w plastikowych torbach. Jakie znaczenie miał dla nich „minimalny metraż”, „minimalna racja żywnościowa” czy „przyzwoite zakwaterowanie”? Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego pogardliwy stosunek do zaleceń z centrali był niebezpieczny. Zbyt często wdawał się w kłótnie w miejscach, w których pracował. Jemen, Kongo, Wybrzeże Kości Słoniowej, Bałkany, a teraz Dżibuti. Zawsze zaczynało się tak samo: wizyta kierownictwa lub delegacji, obchód obozu, uwaga, gest, upomnienie. Wybucho kłótnia, głosy się podnoszą, sprawy wymykają się z rąk i... są następstwa.

W zależności od sytuacji albo sam odchodził, albo go zwalniali. Prychnął pogardliwie. Tutaj jednak nawet słowo „delegacja” brzmiało mniej konfrontacyjnie. A wszystko brało się stąd, że pracowali w warunkach określanych zazwyczaj przez centralę mianem „trudnych”, które mało kto mógłby znieść, nie mówiąc już o upale, kurzu, wężach, insektach, chorobach. I nie była to tylko kwestia warunków. Pracował z ludźmi, którzy przeszli przez piekło, którzy stracili wszystko – domy, najbliższych, ziemię, dobytek i coś, co najtrudniej było znieść: szacunek i nadzieję. Jak miał się do nich odnosić? W tym tkwił największy problem, a nie w upale. Ludzie przysyłani mu do pomocy nie byli biernymi, niewymownie wdzięcznymi uchodźcami, pokazywanymi w telewizji czy opisywanymi w gazetach. Najczęściej bywali agresywni, kapryśni, irracjonalni, ale nie bierni, a już na pewno nie dozgonnie wdzięczni. Biurokraci z Genewy mówili o łagodzeniu ich bólu i rozpaczy. Czasami się zastanawiał, czy oni mają dobrze pod sufitem. Jak można złagodzić ból człowieka, który patrzył na śmierć własnego dziecka? Stawiając namiot albo mówiąc mu, żeby ograniczył liczbę ludzi, którzy w nim śpią?

– Josh!

Odwrócił się. Wołał go szef, Bo Johanssen. Zaczekał, aż Bo podejdzie tak szybko, jak pozwalał na to upał.

– Jak leci?

Johanssen miał miły sposób bycia, za którym krył się jednak wybuchowy temperament i niemal mesjanistyczne oddanie sprawie.

– Dobrze – odparł Josh, wzruszając ramionami. – Pod koniec tygodnia zbudujemy drugi rząd.

– Świetnie, świetnie – powiedział pospiesznie Bo, jakby myślał o czymś innym. Zawahał się. – Słuchaj, nie będę owijał w bawełnę. Dzwonił Meissler z Genewy. Oni... powiedzmy, że nie pochwalają tego, co zaszło w zeszłym tygodniu. Facet złożył oficjalną skargę. Wiem, wiem, zostałeś sprowokowany. – Uniósł ręce, uprzedzając ewentualny protest Josha. – Ale on był szefem tej choliernej delegacji. Przyszło polecenie. Masz wziąć dwutygodniowy urlop. Jedź do domu, do Londynu. Odpocznij przez dwa tygodnie, a potem wróć. Aha, MRU znalazło ci tłumacza, Somalijkę. Podobno jest bardzo dobra. Przyjedzie tu niedługo po twoim powrocie.

Keeler machnął ręką i rzucił papierosa na ziemię.

– Nie ma mowy. Nigdzie nie jadę. Mam tu robotę do wykonania.

– Josh... bądź rozsądny. Dałeś facetowi w twarz, więc czego się spodziewałeś? Nie proszę, byś siedział w domu przez pół roku. Mam gdzieś, dokąd pojedziesz. Ale musisz się stąd wynieść. Potrzebny ci urlop.

– Nie chcę urlopu. Nic mi nie jest. Pojadę, jak skończymy robotę.

– Ja cię nie proszę, Josh. To polecenie.

DIANA

Londyn, listopad 1996

Diana Pryce wjechała zgrabnie na podjazd małym sportowym samochodem. Spojrzała na zegarek na tablicy rozdzielczej – minęła siedemnasta. Uniosła ze zdziwieniem kształtne brwi. Nie pamiętała, kiedy ostatnio wróciła do domu przed osiemnastą. Z siedzenia obok wzięła torbę z zakupami, zamknęła auto i otworzyła furtkę do ogrodu. Męża nie było jeszcze w domu. Jakież problemy po ostatniej w tym dniu operacji. Miała już wychodzić z pracy, gdy zadzwoniła jego sekretarka i uprzedziła, że Harvey się spóźni.

Diana otworzyła drzwi wejściowe, odłożyła teczkę i płaszcz na stolik w hallu, wyjęła list, który wystawał jej z torebki, i zeszła na dół do kuchni. Gospodyni poszła już do domu, ale w powietrzu unosił się aromatyczny zapach duszonej ryby, gotującej się na wolnym ogniu. Stół był nakryty. Na kolację miał przyjść dzisiaj Rafe. Chciał jej coś powiedzieć. Zatelefonował do kancelarii po powrocie z Nowego Jorku. Sądząc po ekscytacji w jego głosie, było to coś ważniejszego niż pamiątkowe zdjęcia. Dziwny dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy położyła na stole list, który nosiła przez cały dzień. Podeszła do zlewu. Nalewając wody do czajnika, popatrzyła przez wielkie, rozsuwane szklane drzwi na ogród. Starannie przycięty trawnik sięgał aż do rozłożystych dębów, tonących w powodzi jasnożółtych i czerwonych barw, zapowiadających nadejście zimy. Uwielbiała ten ogród, czym wprawiała Harveya w rozbawienie. Ona, która nie odróżniała jednej cebulki od drugiej. Skąd się u niej wzięła ta nagła miłość do roślin?

Zimna woda zalała jej rękę, przywracając do rzeczywistości. Zakręciła kran i postawiła czajnik na kuchence. Jej ruchy były wolne i przemyślane, czego nie mogła powiedzieć o myślach. Czekała, aż woda się zagotuje, patrzyła na list leżący na stole. Pięć minut później usiadła z filiżanką herbaty, sięgnęła po niego, rozerwała kopertę i wyjęła cienkie kartki papieru. Przebiegła wzrokiem pismo Josha.

„Czasami nocą słyhać pociski padające po drugiej stronie gór tak blisko, że ma się wrażenie, jakby trafiały tutaj, w obóz. Rano uchodźcy przechodzą przez pustynię, niektórzy niosą swoich zmarłych. Smród jest nieprawdopodobny. Londyn wydaje się strasznie daleko”.

Odłożyła list i popatrzyła na ogród. Josh był w Dżibuti, gdzieś w zakątku Afryki. Musiała poszukać tego miejsca w atlasie, gdy poinformował ją, dokąd wyjeżdża. Już pogubiła się w tych wszystkich nazwach znaczących szlak jego wędrówek. Gaza, Goma, Srebrenica, Sarajewo – najniebezpieczniejsze miejsca na świecie. Wojna,

głód, konflikty, obozy, wszędzie tam, gdzie coś się działo. Ani ona, ani Harvey nie mogli tego zrozumieć. Josh był genialnym architektem, to zdanie podzielali jego profesorowie, koledzy, obcy ludzie – wszyscy. Mógł przebierać w propozycjach pracy, oferowanych mu przez znane londyńskie firmy, ale odrzucił je i zaczął pracować dla Czerwonego Krzyża. Nie mogła się otrząsnąć z zaskoczenia. Po pięciu latach nauki postanowił zostać wolontariuszem? Do tego nie potrzeba tytułu magistra. Nie uważała tego, co robił, za bezwartościowe, wprost przeciwnie. Kiedy zdecydował się pojechać do Bośni na całe lato, była z niego dumna. Czymś takim mogła się pochwalić przed znajomymi podczas kolacji. Nasz najmłodszy syn pojechał do Bośni. To odważny krok. Już jako mały chłopiec odznaczał się wrażliwością społeczną. Zawsze brał w obronę słabszych. Ale on nie wrócił do domu, pojechał do Birmy, do jakiegoś zapomnianego przez Boga obozu. Przysłał stamtąd zdjęcia ruder z fruującymi na wietrze plastikowymi płachtami, cienkimi dachami przytrzymywanymi przez kamienie i stare opony samochodowe. Tam właśnie mieszkał? Wieczorem, leżąc w łóżku, pokazała te fotografie Harveyowi. Odłożył je bez komentarza. Przycisnęła dłoń do ust, żeby się nie rozplakać. To po to go kształcili? Nigdy nie mogła zrozumieć, co dawało impuls jej najmłodszemu i – czego nigdy by głośno nie powiedziała – najzdolniejszemu synowi. Zrezygnował z wygód, które mu zapewnili (piękny dom, prywatne szkoły, pasje, sporty, wakacje w wiejskim domu w Mougins, zadatki na błyskotliwą karierę, w której mogły pomóc jej i Harveya znajomości), i wybrał miejsca, których nie można znaleźć na żadnej mapie, a jeżeli już, to napiętnowane tragedią.

– Jesteś architektem, nie jakimś cholernym świętym! – rzuciła mu w twarz w czasie jednego z jego nielicznych pobytów w domu.

Harvey ją wtedy pohamował.

– Jesteś jego matką – powiedział. – Nie wolno ci mówić takich rzeczy.

Miał rację. Wyprowadził ją wtedy tonącą we łzach. Prawda była taka, że Josh ją przerażał. Miał w sobie coś, czego się obawiała. I to coś tkwiło również w niej.

Trzasnęły frontowe drzwi, przywracając ją do rzeczywistości. To pewnie Harvey wrócił. Złożyła list i schowała go do torebki. Później pokaże mężowi. Nie będzie mu psuła radości ze spotkania z Rafe'em. Był dumny z najstarszego syna, zresztą ona też, ale czasami ogarniały ją wątpliwości. Rafe, młody chirurg, rozpaczliwie starał się dorównać ojcu, świetnemu neurochirurgowi, a Aaron, doradca prawny, który pragnął zostać adwokatem, z kolei starał się naśladować ją. W zeszłym tygodniu musiała zadzwonić do Geralda Starkeya, starszego wspólnika w kancelarii Bernard, Bennison i Wspólnicy i dawnego kolegi ze studiów. Aaron chciałby odbyć u nich staż, więc spytała, czy mógłby mu w tym pomóc. „Oczywiście. Zajmę się tym. To dla mnie przyjemność móc służyć ci pomocą”. I już. Miał zacząć po świętach Bożego Narodzenia. Jeśli chodzi o Josha, nie musiała nawet kiwać palcem. Niepokoiły ją wybory, jakich dokonywał, ale szanowała go za to. Najmłodszy syn nigdy nie przyjąłby pomocy ani od niej, ani od Harveya, ani od nikogo. Jego upór, by

robić wszystko po swojemu, bardzo ich bolał, ale i wprawiał w dumę.

– Kochanie, już jesteś? – spytał Harvey, stając w drzwiach.

Uśmiechnęła się do niego.

– Sama nie mogę w to uwierzyć.

Wstała i podeszła do męża, nadstawiając twarz do pocałunku. Przytuliła się do niego, pragnąc poczuć siłę jego opiekuńczych ramion. Wziął ją w objęcia. Pachniał szpitalem. Był to jednocześnie obcy i dobrze znany jej zapach.

– O której przychodzi Rafe? – spytał z ustami przy jej włosach.

– O ósmej. Wszystko gotowe.

– Wiesz może, o czym chce z nami porozmawiać?

Westchnęła.

– Nie powiedział, ale mogę się domyślić.

Zachichotał, wprawiając w wibracje klatkę piersiową.

– Pewnie chodzi o kobietę, kogoś, kogo niedawno poznał.

– Mhm. W Nowym Jorku.

– No cóż, dobrze, że nas o tym informuje. Zawsze wiemy, co się dzieje z naszymi dwoma synami.

Kiwnęła głową. Rzeczywiście. Rafe i Aaron byli jak otwarte księgi, w przeciwieństwie do skrytego i tajemniczego Josha. Nic nie wiedziała o jego związkach. To Aaron powiedział jej, że Josh mieszkał w Ammanie z jakąś Jordanką imieniem Randa czy Rania. Diana nie była nawet pewna, jak Aaron się o tym dowiedział. Tak czy owak zapytała o nią Josha i porządnie jej się dostało. Nigdy więcej nie odważyła się go pytać.

– Mam nadzieję, że to nie kolejna Cecily – mruknęła.

Rafe łatwo się zakochiwał. Był z natury ufnym chłopcem. Nie posądzał innych o przewrotność, bo sam nie był do niej zdolny. Wiele razy matka go podnosiła, otrząpywała i pocieszała, a potem wszystko zaczynało się od nowa. Sprawy nie ułatwiało to, że jej synowie byli przystojni urodą odziedziczoną po Harveyu – wysocy, jasnowłosi, wysportowani, silni, zdrowi młodzieńcy, którzy tak jak ojciec ładnie się zestarzeją. Josh różnił się od nich – miał czarne włosy i śniadą karnację, był podobny do niej, ale również przystojny. Dziewczęta i kobiety w różnym wieku niemal rzucały się na jej synów. Pamiętała jedną czy dwie sytuacje, gdy jej przyjaciółki zachowywały się w ich obecności jak nastolatki.

Delikatnie odsunęła się od Harveya.

– Pójdę na górę i wezmę kąpiel – powiedziała, wygładzając klapę jego marynarki.

– Przyniesiesz mi kieliszek wina?

– Dobry pomysł – odparł. – Idź i przygotuj kąpiel, a ja za chwilę przyjdę.

Wzięła torebkę.

– Aha, zapomniałam ci powiedzieć, że dostałam list od Josha. Przyjeżdża do domu.

– Josh? Josh przyjeżdża?

Patrzyła, jak twarz mu się rozjaśnia, i poczuła ostre ukłucie bólu.

– Mhm – mruknęła, odwracając się. – Pisze coś o dwutygodniowym urlopie. Powinien tu być w przyszłym tygodniu, koło piątku.

– Wspaniale.

Radość w głosie Harveya była autentyczna. Diana nie znalazła dość siły, by się odwrócić. Mruknęła coś niezrozumiale i szybko wyszła z kuchni.

JOSH

Londyn, grudzień 1996

Na Heathrow nawet o świcie panował tłok. Przepchnął się przez tłum ludzi stojących niezdecydowanie przed tablicami informacyjnymi i podszedł do stanowiska kontroli paszportowej. Wsunął dokument przez szparę w okienku, ignorując dociekliwe spojrzenie urzędnika, dziwiącego się zapewne najróżniejszym stemplom, od Bogoty po Bagdad, po czym schował go do tylnej kieszeni dżinsów. Nie miał żadnego bagażu prócz zniszczonego ciemnozielonego plecaka, który pamiętał lepsze dni. Kupił bilet, wsiadł do pociągu i rzucił plecak na siedzenie przed sobą. Czuł ogarniające go zmęczenie. Niewiele spał przez ostatnie dwa dni. Przesunął palcami po brodzie i uśmiechnął się lekko. Wyobraził sobie przerażony wzrok Diany. Na szczęście o tej porze nie będzie jej w domu. Potrzebował kilku godzin, by się zaaklimatyzować. Powrót do Anglii nigdy nie był łatwy. Pociąg wyjechał z tunelu w światło dnia. Kiedy mijali kolejowe hangary i stacje rozrządowe o ścianach z blachy falistej, niknące w mglistym zimowym słońcu, uczucie zagubienia nabrało intensywności. A gdy dotarli do stacji Paddington, ogarnął go dziwny smutek. Wracał do domu, ale czy na pewno do domu?

Okolice tonęła w ciszy i spokoju. Wsunął klucz do zamka i pchnął drzwi. Zatrzymał się w hallu i odetchnął głęboko. Owionął go zapach dzieciństwa, wyjątkowa mieszanka środka do czyszczenia mebli i dymu z cygar, które Harvey lubił palić po kolacji. Na antycznym stoliku stały świeże kwiaty, a na podłodze w korytarzu prowadzącym do gabinetu Diany leżał gruby perski dywan. Musiał być nowy, bo Josh nie pamiętał go z poprzedniej wizyty w domu. Były też inne zmiany. Ściany w gabinecie Diany zmieniły kolor z białego na kremowy, biurko stojące na wprost okna pozostało takie samo, za to skórzany fotel z wysokim oparciem zastąpiono nowszym, ze skóry i chromu. Położył plecak w hallu na jednym z krzeseł i wszedł do salonu. Do wnętrza z dwóch stron wpadało światło. Po miesiącach spędzonych w skleconych naprędce prowizorycznych barakach komfort tego pomieszczenia przyprawiał go o niepokój. Olbrzymia pięcioosobowa kanapa z błyszczącej skóry kosztowała więcej niż dziesięć prefabrykowanych chat, które postawił przed wyjazdem. Pokręcił głową. Zawsze to samo. Luksus, nawet najmniejszy, jest nieprzyzwoity. Zamknął drzwi i poszedł na górę.

W jego dawnym pokoju nic się nie zmieniło. W rogu stało kilka kartonów z książkami i płytami, przyniesionymi z mieszkania przy Marchmont Street. Resztę

zabrała dziewczyna, z którą wówczas mieszkał. Rzucił kurtkę na łóżko i usiadł, by rozwiązać buty. Na podeszwach pozostał rudawy pył z obozu. Marzył o gorącym prysznicu, kawie i papierosie, dokładnie w takiej kolejności. Zrzucił resztę ubrania i poszedł nago do łazienki. Na grzejniku wisiały świeże ręczniki, a na półce przy umywalce stały mydło, pianka do golenia i szampon. Otworzył drzwi kabiny prysznicowej, odkręcił kran i wszedł do środka. Mocny strumień gorącej wody obmył mu głowę, przylepiając włosy do czaszki, i spłynął w dół po brzuchu. Josh westchnął z ulgą, oddając się przyjemności korzystania z wygód rodzinnego domu. Wyszedł z chmury gorącej pary do chłodniejszej sypialni. Wyjął zniszczone dżinsy, poszperał w komodzie i wyciągnął z niej stary wełniany pulower. Osuszył ręcznikiem włosy, włożył skarpetki i zszedł na dół, czując, jak zmęczenie bierze nad nim górę.

W kuchni panował nieskazitelny porządek. Cicho szumiała wielka lodówka w amerykańskim stylu ze stali nierdzewnej. Otworzył drzwiczki i stał przez chwilę, lustrując w zdumieniu jej zawartość. Po miesiącach żywienia się jedzeniem z puszek i mięsem wielbłądzim ogromna różnorodność produktów wprost porażała. Jogurty, owoce, świeże warzywa, wino, sery, czekolada... Wziął butelkę z mlekiem i zamknął drzwiczki, czując mdłości od tego nadmiaru. W spiżarni znalazł płatki kukurydziane. Zjadł dwie miski, zaparzył kawę i zapalił papierosa. Otworzył skrzydło przesuwanych drzwi, żeby wpuścić świeże powietrze i zadrżał z zimna. Prawie przez rok czuł jedynie upał. Wypalił papierosa i zamknął drzwi. Najwyższy czas na drzemkę.

MADDY

Nowy Jork, grudzień 1996

Nie zadzwoni. Oczywiście, że nie zadzwoni. Dlaczego miałyby zadzwonić? Dlaczego powinien zadzwonić? To była przelotna przygoda, nic więcej. Powiedział, że zadzwoni, ale nie zadzwoni.

Myśli jak szalone wirowały jej w głowie, zagrażając eksplozją. Po wyjeździe Rafe'a zjadła całe pudełko lodów Ben&Jerry, dwie paczki chipsów o smaku salsy, resztki kotleta de volaille przyniesione z restauracji i miskę zimnego szpinaku. Kiedy kilka godzin później wszystko zwróciła, nie mogła się zdobyć na to, by zajrzeć do miski klozetowej, bo ten widok przyprawiłby ją o prawdziwe mdłości. Wypłukała usta, zebrała włosy w kucyk i podjęła przerwana rozmowę z samą sobą. Gdy już nie mogła jej znieść, zatelefonowała do Sandy.

– Co zrobiłaś? – W głosie przyjaciółki brzmiało, jak przewidywała, zdumienie.

– Wiem, wiem. Ale on jest bardzo miły, naprawdę. Jest lekarzem.

– To znaczy, że co? Że zadzwoni do ciebie? Maddy, czyś ty zwariowała? Co ty wiesz o tym facecie? Nic. Pewnie jest żonaty. Oczywiście, że jest. Przyjeżdża na weekend do Nowego Jorku, poznaje kelnerkę w barze...

– To nie było tak. No dobrze, było, ale zupełnie inaczej.

– Jak?

– Jak... jak... Nie wiem. Jest Anglikiem. Oni nie są tacy.

– Och, Maddy.

Dziewczyna przygryzła nerwowo dolną wargę. Rozmowa z Sandy miała ją podnieść na duchu, tymczasem poczuła się jeszcze gorzej.

– Poza tym minęły dopiero dwa dni. Może jutro zadzwoni...

– Tak i pewnie jego żona też.

Kilka minut później Maddy odłożyła słuchawkę kompletnie załamana. Sandy miała rację. Zupełnie zwariowała. Nie dlatego, że z nim spała – w końcu to Nowy Jork, a ona nie jest niewinną kretynką. Miewała chłopaków i przelotne przygody, chociaż wcale nie chciała, aby ta znajomość była jedynie przelotną przygodą. Poznając kogoś lub idąc z kimś do łóżka, zawsze miała nadzieję na coś trwalszego. „Skoro tak, to nie idź z nimi do łóżka” – powiedziała ze złością Sandy. Maddy nie potrafiła wyjaśnić, że po prostu brak jej odwagi, żeby im odmówić. Gdy mężczyzna się nią interesował, tak ją to zaskakiwało, że nie przyszło jej nawet na myśl, by powiedzieć: „Chwileczkę” albo: „Zaczekaj, aż się lepiej poznamy”. W głębi duszy była beznadziejną romantyczką albo romantyczną beznadzieją. Przeczytała

wystarczająco dużo poradników psychologicznych, by wiedzieć, że ma to związek z nieoczekiwanym zniknięciem ojca i odczuwanym z tego powodu strachem, że inni też odejdą. Oscylowała więc między uniesieniem a rozpaczą, robiąc sobie przerwę na nocne wyprawy do lodówki i do toalety i martwiąc się, że coś jest nie tak. I nagle poznała doktora Rafe'a Keelera, który był inny, tylko nie wiedziała, dlaczego ani jak to wytłumaczyć Sandy.

Drgnęła nerwowo, gdy telefon zadzwonił. Podniosła słuchawkę. Pewnie przyjaciółka chce się wytłumaczyć.

– Poza tym – powiedziała szybko, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać – nie dbam o to, że to tylko przelotna przygoda, bo przeżyłam najwspanialszy seks na świecie.

Po drugiej stronie zapadła cisza, a potem usłyszała kaszel, męski kaszel, i trzaski na linii międzynarodowej.

– Sandy? – wychrypiała, czując, że robi jej się słabo.

– Nie, nie Sandy. To Rafe.

– Rafe. – Zamknęła oczy.

– Maddy.

– O mało nie padłam – opowiadała swej powiernicy kilka godzin później. – Byłam pewna, że to ty.

– Więc powiedz jeszcze raz. Zaprosił cię do Londynu? Na Boże Narodzenie? I on płaci?

Maddy kiwnęła głową. Przytknęła butelkę piwa do warg, ciesząc się wyrazem niedowierzania na twarzy Sandy. Poczuła rosnące w dole brzucha podniecenie. Jedzie do Londynu! Początkowo sądziła, że źle go zrozumiała.

– Do Londynu? W Anglii?

– Nie wiem, czy jest jeszcze jakiś inny Londyn – odpowiedział Rafe głębkim barytonem, płynącym ku niej po łączach.

– Ja?

– A kto inny? Nie znam drugiej osoby, która ma na imię Maddy. A ty?

Zaczerwieniła się gwałtownie.

– Ale ja nawet nie mam paszportu. Nigdzie dotąd nie wyjeżdżałam. Nigdy nie leciałam samolotem.

– Och, samolot to żaden problem. Wyślę ci bilet, pojedziesz na lotnisko, odbierzesz go, a potem wsiądziesz do takiego dużego metalowego ptaka. On wjedzie na pas startowy, nabierze szybkości i wzbije się w powietrze. Mogę ci wyjaśnić zasady latania, jeśli chcesz, o ile je sobie przypomnę, ale...

– Rafe – zaprotestowała słabym głosem, wybuchając śmiechem. – Wiem, co to jest samolot. Po prostu nigdy jeszcze nie latałam. A co będzie, jak nie dostanę na czas paszportu?

– Chyba nie jesteś przestępczynią. Zabiłaś ostatnio kogoś lub siedziałaś

w więzieniu?

– Nie – odparła ze śmiechem i pokręciła głową, jakby ją widział. Boże, on jest wspaniały.

– Nie powinnaś więc mieć z tym problemu. Możesz się dowiedzieć i dać mi znać?

– Tak – szepnęła, czując, jak głos jej zamiera.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut i to było wszystko. Następnego dnia zadzwoniła do informacji paszportowej. Za sto sześćdziesiąt pięć dolarów mogła otrzymać paszport w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zebrała potrzebne dokumenty i dosłownie pobiegła do najbliższego biura paszportowego. Czekala za kuloodporną szybą, aż urzędniczka sprawdzi wniosek, zbyt zdenerwowana, by mówić. W końcu kobieta uniosła głowę.

– W porządku, panno Stiller. Jeżeli przyjdzie pani w środę rano, paszport już będzie na panią czekał.

Opuściła biuro oszołomiona i poszła na piechotę przez centrum miasta do Sandy. Była pora lunchu, ale ona musiała się napić. Przyjaciółka chciała znać wszystkie szczegóły, od momentu poznania Rafe'a do ostatniej z nim rozmowy. Ona też nie mogła w to uwierzyć. Przystojny angielski neurochirurg. Czy ktoś taki istnieje? Najwyraźniej tak. Maddy z radością odpowiadała na wszystkie pytania. Spędzi święta w Londynie. Nawet matka była tym podekscytowana.

– Oczywiście, że powinnaś jechać – powiedziała zdecydowanie. – Dam sobie radę. Pojadę do Steenkampsów. Ani słowa więcej.

Maddy odłożyła słuchawkę, czując, jak żołądek drży jej ze zdenerwowania. A jednak bajki się zdarzają. Nawet jej.

DIANA

Londyn, grudzień 1996

Diana spojrzała w wiszące w hallu lustro w pozłacanej ramie. Nie ufała blademu rozproszonemu światłu wnikającemu do wnętrza przez małe okno nad frontowymi drzwiami. Niwelowało mankamenty urody. Obróciła głowę w prawo i w lewo, by ocenić nową fryzurę. Fryzjerka Claire przekonała ją do zrobienia jaśniejszych refleksów. Od dwudziestu lat strzygła włosy tak samo – równe na całej długości. Odsunęła z twarzy niesforne pasemko, podniosła kołnierz marszczoną białą bluzki od Armaniego i sprawdziła, czy ciężki, srebrny naszyjnik z perłami, który dostała od Harveya na pięćdziesiąte urodziny, leży symetrycznie na smukłej szyi. Stała bokiem. Bluzka była wsunięta w granatowe wełniane spodnie o szerokich nogawkach ze śliczną lamówką. Stroju dopełniały czarne, długie szpilki z lakierowanej skóry, oczywiście od Ferragama. Zobaczyła je na wystawie w Selfridges i natychmiast kupiła. Nie były tanie, to prawda, ale będzie je nosić do końca życia. Skrzywiła się. Nienawidziła takich sformułowań, szczególnie teraz. Skończyła pięćdziesiąt cztery lata, więc ten koniec mógł nadejść wcześniej, niż się spodziewała. Matka często tak mówiła. Odwróciła się od lustra zirytowana. Dlaczego akurat teraz pomyślała o matce? Zerknęła na zegarek. Za kilka minut pojawi się Rafe z tą dziewczyną, którą poznał w Nowym Jorku w barze. Słuchała jego opowieści tego wieczoru, gdy przyszedł na kolację, w bolesnym milczeniu. A teraz chciał ją im przedstawić. Dobrze chociaż, że będą mieli okazję ją poznać przed świątecznym lunchem – powiedziała tego ranka Harveyowi. Dziewczyna miała spędzić w Londynie dwa tygodnie.

– Będzie dobrze – odpowiedział, jak zwykle starając się ją uspokoić. – Wiem, że masz wątpliwości, ale wydaje się raczej miła.

– Aktorka? – Diana nie mogła się powstrzymać.

– Po szkole dramatycznej. A to jest różnica, kochanie.

– Mam nadzieję – odparła ponurym tonem.

Za kilka minut się przekonają. Josh był na górze w swoim pokoju. Może zrobi wyjątek i zejdzie do nich. Oprócz jednego wieczoru, kiedy Rafe i Aaron przyszli na kolację tuż po jego przyjeździe, bracia nie zamienili ze sobą słowa. Westchnęła. Nigdy nie umieli się dogadać, nawet jako dzieci. Nie miała odwagi zadać sobie tego pytania, ale i tak było to dla niej bolesne. Prawie trzydzieści lat morderczej urazy. Nie da się tego zmienić ani uleczyć. Liczyła jedynie na to, że zachowają przynajmniej pozory przyzwoitości przy takiej okazji jak ta. Miała nadzieję, że Josh

nie zapomni o dobrych manierach. Przez wzgląd na wszystkich.

Omiotła wzrokiem salon – wszystko w należytym porządku. Poduszki spulchnione, obrazy wyrównane, powierzchnie wypolerowane. Ręcznie tkany perski dywan ze śmiałymi geometrycznymi wzorami przydawał salonowi ciepłego uroku. Przy kanapie w srebrnym wiaderku stała butelka szampana i taca z pikantnymi serami, które przywieźli z Mougins. Lada chwila zejdzie Harvey, nastawi jakąś spokojną, klasyczną płytę i otworzy butelkę czerwonego wina. Dotknęła palcem błyszczącej starej konsoli stojącej przy drzwiach. Była to jedna z niewielu rzeczy, które zabrała z domu rodziców po śmierci ojca. Piękny mebel, już sam jego widok działał uspokajająco. Usłyszała warkot podjeżdżającego samochodu. Poprawiła jedno z oprawnych w srebrne ramki zdjęć, strzepnęła nitkę ze spodni i podeszła do drzwi z powitalnym uśmiechem na twarzy.

MADDY

Londyn, grudzień 1996

Stwierdzenie, że Maddy było niedobrze, nawet w części nie oddawało tego, co przeżywała. To był jej trzeci wieczór w Londynie, a czwarty, jeżeli liczyć podróż samolotem. Pierwsze dwa dni przeżyła jak we śnie. Czuła się taka podekscytowana w samolocie, że nawet nie myślała o spaniu. Siedziała sztywno wyprostowana, licząc godziny do lądowania. Rafe miał czekać na nią na lotnisku Heathrow. Przeszła przez kontrolę paszportową, odebrała bagaż, a potem pognęła do najbliższej toalety, żeby wymiotować. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i omal znowu nie wymiotowała. Miała bladą, wymizerowaną twarz i worki pod oczami. Przez ostatni tydzień niewiele spała. Jak ona go rozpozna? Co będzie, jeśli ją zobaczy i poczuje się rozczarowany? Co będzie, jeśli się okaże, że nie wygląda tak, jak ją zapamiętał? Co będzie...? Wyszła przed tłum oczekujących kierowców i krewnych i natychmiast go rozpoznała. Stał z tyłu z największym bukietem kwiatów, jaki kiedykolwiek widziała, i szerokim uśmiechem na nieprawdopodobnie przystojnej twarzy. Omal nie zemdląła z poczucia ulgi. Pojechali do jego mieszkania gdzieś w centrum miasta i prawie cały dzień spędzili w łóżku. Wieczorem poszli do restauracji, gdzie oznajmił, że chce ją przedstawić rodzicom. Rodzicom? Przecież dopiero go poznała. Czy on zwariował? Ale okoliczności były wyjątkowe. Za tydzień święta, które przecież spędzi z nimi. Będzie milej, gdy ją wcześniej poznają. Tak, to zbyt szybkie tempo i nie chciał jej przestraszyć, ale co innego mógł zrobić? Za trzy miesiące wyjeżdża do Bazylei na długo oczekiwany staż i trudno będzie im się spotkać.

– Poza tym oni naprawdę są wyrozumiali. Na pewno cię polubią. Będzie dobrze.

Słuchała go z mieszaniną fascynacji i trwogi. Czy będzie się miała w co ubrać na taką okazję?

Siedząc obok niego z żołądkiem zaciśniętym w węzeł, patrzyła na eleganckie domy przesuwane się za szybą samochodu. Skręcali w lewo i w prawo, w jedną półkolistą uliczkę za drugą, aż Maddy straciła poczucie orientacji i czasu. Wreszcie Rafe zatrzymał się i wyłączył silnik.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił z uśmiechem. – To tutaj.

Popatrzyła na dom i z trudem przełknęła ślinę. Wysoki, nieskazitelny i elegancki, o kremowych ścianach, z błyszczącymi czarnymi drzwiami, z małym ogrodem od frontu i krótką, wykładaną kamieniami ścieżką prowadzącą do wejścia. Po obu stronach drzwi stały dwie gigantyczne skrzynki z jakimiś egzotycznymi krwistoczerwonymi kwiatami. Za domem rozciągał się ogród. Jej dom na farmie

w Iowa nie mógł się równać z tym. Spojrzała na swoją prostą szarą spódnicę z wełny i serce jej się ścisnęło.

– Rafe – powiedziała, czując suchość w ustach. – A... a jeśli mnie nie polubią?

– Nie bądź niemądra. – Wysiadł z samochodu, podszedł do niej, wziął za rękę i mocno ścisnął. Ruszyli po schodach do drzwi. – Jak ktoś mógłby cię nie polubić, co?

Nie mogła wydusić z siebie słowa. Usiłowała znaleźć jakąś postać, w którą spróbowałyby się wcielić, co pomogłoby jej przetrwać następne godziny, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

Drzwi się otworzyły, jak tylko do nich podeszli, i w progu stanęła drobna, ciemnowłosa kobieta. Wyciągnęła ręce w geście powitalnym i nadstawiła synowi policzek do pocałowania. Maddy miała ochotę schować się za nim. Weszli do hallu.

– Mamo. – Rafe odwrócił się w stronę swojej towarzyszki. – To jest właśnie Maddy.

Kobieta wyciągnęła rękę, a dziewczyna ją uścisnęła.

– Miło mi panią poznać, pani Keeler – powiedziała entuzjastycznie, starając się nadać głosowi tyle ciepła i życzliwości, ile mogła. Natychmiast wyczuła, że kobiecie coś się nie spodobało. O rety, pewnie zbyt dużo luzu jak na angielskie warunki.

– Och, od lat nikt się tak do mnie nie zwracał. Wszyscy mówią do mnie Diana, nawet synowie.

– Ja... och, tak, oczywiście – wyjąkała Maddy.

– Gdzie tata? – spytał Rafe, kładąc uspokajająco dłoń na jej plecach.

– Zaraz przyjdzie... Dogląda kolacji. Pomyślałam, że zjemy na dole, ale najpierw się czegoś napijemy. Kuchnia nie bardzo pasuje do szampana, prawda? – Uśmiechnęła się do gościa.

Maddy nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi. Poszła za Rafe'em i Dianą do salonu. Nigdy nie widziała tak pięknego pokoju. Szaroniebieskie ściany, lakierowana podłoga wyłożona pięknymi w swojej prostocie perskimi dywanami, w rogu stara skórzana kanapa, na której mogło się pomieścić pięć osób, lśniące antyczne meble i ogromne okno wykuszowe ozdobione popielatoróżowymi zasłonami z jedwabiu. Na stole szklany wazon z wielkimi białymi liliami, roztaczającymi intensywny zapach. Za salonem – jadalnia z długim stołem i ośmioma, może dziesięcioma krzesłami, której ściany zdobiła imponująca kolekcja obrazów i fotografii. Nad kominkiem wisiało olbrzymie lustro w połączonych ramach. Przechodząc obok, dostrzegła swoje odbicie – szeroko otwarte oczy, pełen niepokoju, zagubiony wyraz twarzy. Musi szybko coś wymyślić. Nagle spłynęło na nią olśnienie. Audrey Hepburn grająca podlotką w *Rzymskich wakacjach*. Też miała szeroko otwarte oczy, ale mnóstwo wdzięku. Wiedziała, co powiedzieć, a już na pewno nie była zdenerwowana, lecz elegancka, pewna siebie i kobieca. Maddy zaczęła przygotowywać się do wejścia w tę rolę.

Nagle do pokoju wszedł bardzo wysoki, przystojny, siwowłosy mężczyzna

z butelką wina w ręku. Uściskał serdecznie syna, po czym zwrócił się do niej:

– A ty pewnie jesteś Maddy. Czy to może skrót od Madeleine?

Pokręciła głową, usiłując uśmiechnąć się czarująco i zarazem skromnie, i już miała powiedzieć „Madison”, gdy on pochylił się i pocałował ją w oba policzki.

– Słyszałem, że pierwszy raz jesteś w Londynie – powiedział, patrząc na nią z uśmiechem.

– Tak, panie Keeler – odparła.

– Och, proszę, mów mi Harvey. Jakoś nigdy nie zwracałem sobie głowy tym panem. Spytaj mojej żony.

Maddy popatrzyła z wahaniem na Rafe’a, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, w drzwiach pojawiła się jeszcze jedna osoba – młody mężczyzna o ciemnych włosach i czarnych oczach, równie wysoki jak Rafe, ale szczuplejszy i bardziej męski. Miał śniadą cerę o pięknym odcieniu, przypominającym dojrzały w słońcu owoc. Poczwała, że stojący przy niej Rafe sztywnieje. Zupełnie jakby temperatura w pokoju spadła o kilka stopni. Skonfundowana przeniosła wzrok na niego, a potem z powrotem na nieznanego. Kto to jest, na Boga?

– Josh, kochanie, nie stój tak. Podejź do nas. – Diana położyła mu rękę na ramieniu.

– Rafe. – Czarne oczy młodego mężczyzny błysnęły, lecz nie pojawił się w nich nawet cień uśmiechu czy serdeczności.

– Josh. – Odpowiedź była równie sztywna.

– A to jest Maddy... przyjaciółka Rafe’a. Przyjechała z wizytą do Londynu – powiedział szybko Harvey, nie chcąc, by ją pominięto.

Nieznajomy popatrzył na nią, mruknął jakieś powitanie, po czym odwrócił się i wyszedł.

– Kto to był? – zapytała szeptem, gdy Diana poszła za nim.

– Mój brat – wyjaśnił krótko Rafe, biorąc butelkę szampana, i wyciągnął z wprawą korek. – Nie prawnik, ten drugi. To co, pijemy szampana?

– Świetny pomysł – powiedział Harvey. Zaczekał, aż Rafe naleje trunku, i uniósł kieliszek w jej stronę. – Witaj w Londynie, moja droga. Mam nadzieję, że miło spędzisz czas i że tu jeszcze kiedyś wrócisz.

– Na zdrowie.

Rafe uniósł kieliszek, Maddy poszła za jego przykładem. Drugi brat? Czemu nie powiedział, że jest ich trzech? Najwyraźniej nie darzyli się sympatią. Rzadko miała okazję być świadkiem tak jawnej wrogości, pomijając to, że mężczyzna spędził w pokoju zaledwie kilka minut. Jako jedynaczka nie miała pojęcia o rywalizacji między rodzeństwem. Popatrzyła niepewnie na Rafe’a. W jego oczach znowu była łagodność. Czy rzeczywiście dostrzegła w nich wrogość, gdy pojawił się brat?

Harvey poprowadził ich do kuchni. Diana stała przy blacie i przenosiła półmiski ze wspaniale pachnącą potrawą na pięknie nakryty stół. Po młodszym bracie nie było

śladu. Więcej się nie pokazał.

JOSH

Londyn/Dżibuti, grudzień 1996

Josh wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Nie zamierzał uczestniczyć w tej imprezie. Zupełnie zapomniał, że Rafe przychodzi na kolację z jakąś dziewczyną, którą poznał w Nowym Jorku tydzień czy miesiąc temu. Zapomniał, co Diana mu mówiła. Czytał książkę i musiał zasnąć. Obudziły go głosy dochodzące z hallu. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie jest. W Londynie, w domu rodziców. Odrzucił kołdrę i spojrzął z niedowierzaniem na zegarek. Dochodziła siódma trzydzieści. Spał ponad sześć godzin. Spuścił nogi na podłogę i wstał, o mało nie strącając lampki wiszącej nad łóżkiem. Otworzył drzwi i zszedł po schodach. Głosy dochodziły gdzieś z dołu. Zajrzał do salonu. Matka stała obok jakiejś kobiety. Ognistorude włosy, blada, porcelanowa cera, orzechowozielone oczy, jasne piegi na nosie, ciemnoczerwone, szerokie, wydatne usta. Automatycznie zarejestrował szczegóły jej urody. Nie była piękna, ale oryginalna. Gdy podszedł bliżej, popatrzyła na niego; jej twarz wyrażała jednocześnie szczerłość i zakłopotanie, a myśli rozpierzchły się niczym chmury na niebie.

Przymusowy urlop minął szybciej, niż się spodziewał. Wyjeżdżał z Londynu tak, jak przybył: cicho i samotnie. Rano w dniu wyjazdu leżał w łóżku, słuchając świergotu ptaków w ogrodzie. Nie pamiętał ich nazw, ale śpiew nadal brzmiał swojsko. Czekał go wczesny lot do Frankfurtu, potem trzygodzinna przerwa i w południe lot do Addis Abeby, skąd miał go zabrać kierowca. Podróż z Addis Abeby do Dżibuti zajmie im cały dzień, ale Bo nie będzie specjalnie dla niego organizował samolotu, a żadnego czarteru nie było. Wykorzystał do maksimum pobyt w Londynie – spotkał się z przyjaciółmi, obejrzał zaległe filmy i przedstawienia, odwiedził kilka restauracji. Teraz tęsknił za cichym bezmiarem pustyni i satysfakcją z wykonanej pracy.

Gdy zszedł do kuchni, zastał w niej Harveya.

– Wcześniej wstałeś – stwierdził ojciec, spoglądając na zegarek.

– Mam lot o ósmej trzydzieści. Muszę wyjść za jakieś dwadzieścia minut – odpowiedział Josh, sięgając po dzbanek z kawą.

– Podwiozę cię na stację. Jesteś tam szczęśliwy, synu? – spytał Harvey po chwili wahania.

Josh wyczuł w jego głosie ciężar niepewności. Jak zwykle usiłowali wyciągnąć z niego coś, czego nie potrafił im przekazać. Wzruszył ramionami.

- Nie narzekam. Jakoś leci. Możesz to jej przekazać.
- Nie pytam w jej imieniu – odparł Harvey łagodząco.
- Daję sobie radę, tato.
- Skoro tak mówisz, synu. – Pan Keeler wstał od stołu. – Będę gotowy za dziesięć minut. Mam dziś rano operację. Młoda dziewczyna z pękniętą czaszką. Już chciałbym być w klinice. Jesteś spakowany?
- Tak. Mam tylko plecak – odrzekł Josh.

Uśmiechnął się do siebie. Cały Harvey. Nie znał nikogo poza nim, kto tak kochałby swoją pracę, a jednocześnie życie. Czy mógł to samo powiedzieć o sobie? Zapewne, ale kierowały nim inne motywy. Spojrzał na ogród widoczny za rozsuwanymi drzwiami, tonący w wilgotnej, pokrytej mchem zieleni. Wkrótce to wszystko zniknie i będzie jedynie rudawa, monotonna pustynia i cisza głośniejsza od dźwięku.

Dwie godziny później był już w drodze. Kiedy samolot wzbił się z gracją w niebo, poczuł, że opuszcza go napięcie. Pilot przechylił maszynę w lewo. Widoczne w dole tereny na południe od lotniska przypominały ogromny patchwork utworzony z równych zielonych kwadratów żywej, uporządkowanej ziemi. Minie sporo czasu, zanim ponownie zobaczy taki krajobraz. W samolocie lecącym do Addis Abeby siedział obok kobiety z dzieckiem. Drzemał niespokojnie, gdy przelatowali nad Niemcami i nad Włochami, bo budził go płacz dziecka i uspokajające mruczenie matki. Morze Śródziemne wyglądało jak ciemnoniebieski koc, rozpięty między Europą a piaszczystym brzegiem Afryki. Krajobraz zaczął się zmieniać, zniknęła zieleń, a jej miejsce zajął obraz jak z Księżyca, z mnóstwem odcieni ochry, koloru pomarańczowego i czerwieni. Samolot wpadł w turbulencję; gorące prądy powietrza znad Sahary szarpały maszyną w jedną i w drugą stronę. Pustynia przypominała falujące morze piasku z półkolistymi figurami rozpluwającymi się w lekkiej mgiełce. W Addis Abebie wylądowali o zmierzchu, gdy oślepiające słońce straciło moc i zniknęło z pola widzenia.

Był na miejscu. Skwar zatykał usta i nos. Kierowca już na niego czekał. Josh miał spędzić noc w jednym z typowych międzynarodowych hoteli stojących przy każdym lotnisku, nawet w Afryce. *Salaam alaikum*. Przeszli wśród tłumu przylatujących i odlatujących pasażerów, kobiet w czarnych zasłonach i mężczyzn w długich galabijach i chustach, z różańcami w rękach. Wreszcie był u siebie. Kierowca podwiózł go do hotelu. To będzie ostatni posmak luksusu na dłuższy czas.

Nazajutrz o szóstej rano byli gotowi do drogi. Wrzucił plecak na tylne siedzenie i wsiadł do samochodu. Chciał jak najszybciej zostawić za sobą miasto i cywilizację. Skupiska niskich domów z gliny, przetykane minaretami lub kępami drzew, krzykliwe reklamy wabiące turystów: Coca-Cola, Daz, Sentou przesunęły się przed oczyma, gdy jechali na wschód ku przedmieściom i majaczącym w oddali górskim

szczytom. Krajobraz zmienił się w skalistą pustynię. Debre Zayit, Awash, Melka Werer. Skręcili na północ, oddalając się od granicy z Somalią, w stronę Parku Narodowego Yangudi Rassa. I znowu zmiana – zrobiło się bardziej zielono i pagórkowato. Patrzył na to wszystko zza okularów, bez których mógłby oślepnąć. Światło było ostre i żywe, w niczym nie przypominało wodnistych i delikatnych półcieni Europy. Gdy zostawili za sobą park, ich oczom ukazała się rozległa jałowa pustynia, która położyła kres domom, drogom, sklepom i billboardom. Niekończąca się przestrzeń oddzielała ich teraz od obozu dla uchodźców, który Josh nazywał domem.

JULIA

Londyn, grudzień 1996

Julia siedziała z mocno ściśniętymi kolanami, czekając, aż w końcu sali otworzą się drzwi i stanie w nich Gerald Starkey z uśmiechem lub marsem na twarzy. Pierwsze pół roku stażu dobiegało końca. Czy pozwolą jej zostać przez następne sześć miesięcy? Czuła, jak serce wali jej w piersi. Wiedziała, że zrobiła wszystko, czego od niej oczekiwano, bo w przeciwnym razie Harriet by ją uprzedziła. Ale w kancelarii adwokackiej Bernard, Bennison i Wspólnicy to nie wystarczało. Czy spełniła ich oczekiwania? Na decyzję o swoim przyszłym losie czekali również Daniel i Christopher.

Nagle drzwi się otworzyły. Uniosła wzrok. Chwila niepewności i twarz Geralda rozjaśniła się w uśmiechu. Poczła tak wielką ulgę, że była gotowa się rozpłakać.

– Brawo, Julio – powiedział, podchodząc do niej. – Miło mi oznajmić, że decyzja jest jednomyślna. Harriet chce cię zatrzymać w dziale prawa rodzinnego przez kolejne pół roku.

– Dzi-dziękuję – wyjąkała, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Nie znała Geralda Starkeya, spotykała go jedynie w przelocie.

– Nie ma za co. Zasłużyłaś sobie na to. – Starkey wybawił ją z problemu i wyciągnął rękę. – Aha, i jeszcze jedno. W przyszłym miesiącu przyjmujemy kogoś, kogo, zdaje się, znasz... Aarona Keelera. O ile wiem, studiowaliście razem w Balliol. Jest radcą prawnym, ale chce zostać adwokatem. Jego matka jest moją dobrą znajomą. Zaopiekuj się nim, dobrze? Pokaż mu, co i jak. Myślę, że przydzielimy go do spraw z zakresu prawa o przedsiębiorstwach, ale pewnie będzie mu różnie, gdy zobaczy znajomą twarz. No to chyba wszystko. Poproś tu Daniela, dobrze?

Otworzyła usta i zamrugała powiekami, czując, jak gorący rumieniec zalewa jej twarz.

– T-tak, oczywiście – udało jej się wydusić, po czym odwróciła się pośpiesznie i ruszyła do drzwi.

Aaron Keeler. O Chryste! Wróciła do swojego pokoju kompletnie załamana. Od owego incydentu na balkonie w czasie urodzinowego przyjęcia Doma starannie unikała Keelera. Prędzej umarłaby, niż się przyznała, że jej uczucia do niego radykalnie zmieniły się tamtego wieczoru. Zupełnie jakby nagle rozbłysło światło. Nie uważała już, że jest aroganckim, samolubnym i nadętym kutasem. Stał się kimś, z kim chciałyby rozmawiać, być blisko, znaleźć się w jego objęciach. Zapragnęła się dowiedzieć, co o niej myśli. Kiedy Minty upomniała się o swoje prawa, Julia

doznała tak wielkiego rozczarowania, że nie mogła wydusić z siebie słowa. Wróciła wtedy do jadalni kompletnie roztrzęsiona, z kotłowaniną sprzecznych myśli w głowie. Wtedy on i Minty zaczęli się z niej śmiać. Poczła się tak niewyobrażalnie zraniona, że postanowiła ignorować go do końca studiów. Rozmawiała z nim tylko raz, wieczorem, w dniu, w którym wywieszono wyniki końcowych egzaminów, i chlusnęła mu szampanem w twarz.

Już na samo wspomnienie tego zdarzenia serce zaczynało jej szybciej bić. Wstała wcześniej i razem z Domem wypijała kawę w kuchni w Holywell w niemal całkowitym milczeniu. Wyniki miały zostać wywieszane na tablicy informacyjnej w sali egzaminacyjnej przy Broad Street punktualnie o jedenastej. Dziesięć minut przed czasem wszyscy studenci byli już na miejscu, starannie unikając nawzajem swojego wzroku. Keelera nie było nigdzie widać. Z wybiciem jedenastej woźny otworzył wielkie drewniane drzwi i popatrzył na dwudziestu kilku delikwentów, którzy zebrali się przed wejściem. „Nieraz już to widziałem” – mówił jego wzrok. Julia zaczęła, aż Dom wraz z innymi rzucił się do listy. Serce waliło jej w piersi. Zabrzmiały okrzyki radości i rozczarowania. Stojący z przodu Dominik odwrócił ku niej głowę, wskazując w podnieceniu na listę.

– Julio, jesteś pierwsza!

Poczła, że oblewa się rumieńcem, gdy spojrzano na nią kilka par oczu.

– Burrows jest pierwsza! – krzyknął ponownie Dom.

– Brawo – powiedziała jakaś dziewczyna, przepychając się do przodu. –

Zasłużyłaś na to.

Popatrzyła za nią i oczy rozszerzyły jej się ze zdziwienia, bo rozpoznała Minty. Nadal gapiła się na jej plecy, gdy podszedł do niej Dominik i objął ramieniem.

– A nie mówiłem? – powiedział z nutą triumfu w głosie i promiennym uśmiechem. – Wiedziałem, że ci się uda.

– Ciii. – Wysunęła się niezręcznie z jego objęć. – Nie rób przedstawienia.

– Dlaczego nie? Jesteś pierwsza, kretynko, powinnaś robić przedstawienie. Gdzie pójdziemy to uczcić? Ja też zdałem. Nie mogę w to uwierzyć. Zdałem!

Pół godziny później stała w pubie ze szklanką piwa w jednej ręce i kieliszkiem szampana, który wcisnął jej Dom, w drugiej. Wreszcie zaczęło do niej docierać, że zdała, i to z pierwszą lokatą. Rozejrzała się po pubie pełnym zadowolonych, odprężonych twarzy i poczuła ciepło rozlewające się po ciele. Było tak, jak przepowiedział ojciec. „Ciężka praca, Julio. Tylko to się liczy, nie pochodzenie”. Mogła być z siebie dumna. Ale przed pychą ojciec też ją ostrzegł: „Nigdy nie bądź zbyt dumna, Julio. Pamiętaj, że duma poprzedza upadek”. Oczywiście miał rację.

Nagle drzwi się otworzyły i do pubu wszedł Aaron Keeler. Jak zwykle ściągnął ją wzrokiem. Tym razem jednak nie dostrzegła w jego spojrzeniu arogancji. Kiwnął głową, czym wprowadził ją w zakłopotanie. Zajął jedno z ostatnich miejsc. Zdał, ale z trudem. Znowu posłyszała głos ojca: „Wielkoduszność, Julio. Bądź wielkoduszna w stosunku do innych, zwłaszcza przegranych. Ludzie pamiętają nie to, co robisz lub

mówisz, ale jakie uczucia w nich wywołujesz”. Popatrzyła na kieliszek z szampanem. Udało jej się, pokazała wszystkim, że się mylili. Może nadszedł czas na okazanie wielkoduszności. Nie namyślając się, podeszła do Aarona.

– Cześć – powiedziała. – Pomyślałam, że może miałbyś ochotę się napić. Gratuluję.

Spojrzał na nią z nieukrywanym zaskoczeniem. Towarzyszący mu Peregrine miał minę, jakby patrzył na wariatkę. Aaron przyglądał jej się przez chwilę, jakby usiłował coś zrozumieć.

– To ma być żart, tak? – spytał w końcu.

– Żart? – powtórzyła.

– No taki w twoim stylu.

– Oczywiście, że nie. Pomyślałam... chciałam powiedzieć... – Urwała. – Po prostu pomyślałam, że to będzie miły gest, nic więcej. Chciałam powiedzieć: brawo.

– Brawo? Za zajęcie siedemnastego miejsca? – W jego głosie brzmiała gorycz.

Julia poczuła, że zaczyna wzbierać w niej gniew. Przecież zdał. O co mu chodzi?

– Nie ma nic złego w...

– Och, daruj sobie – przerwał jej, unosząc rękę. – Nie fatyguj się. Miałaś swoje pięć minut chwały. A teraz odczep się i zostaw mnie w spokoju.

Spojrzała na niego z wściekłością.

– Chwały? Chryste, jesteś gorszy, niż myślałam. Sądziłam, że... – Urwała, zbyt rozgniewana, by mówić.

– No co sądziłaś?

– Nic – odparła sztywno. – Nieważne.

– Dlaczego? Powiedz, Burrows, o co ci chodzi. Przyszłaś napawać się swoim sukcesem? Czego ty chcesz? Mam poklepać cię po plecach? Unieść kciuki do góry? A może... Co ty, do cholery?!

Gwałtownie wciągnął powietrze w płuca. Nawet widząc mokrą twarz Aarona, nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, co zrobiła. Przeniosła wzrok z pustego kieliszka na Keelera. Chlusnęła mu w twarz szampanem. Chwilę jeszcze stała, po czym się odwróciła, czując, jak płoną jej policzki, a serce wali w piersi, wcisnęła Domowi kieliszek w dłoń i wybiegła z pubu.

To było cztery lata temu. Od tego czasu nie miała o Keelerze żadnych wieści. Nie mogła jednak powiedzieć, że o nim zapomniała. A teraz miał tu pracować? „Jego matka jest moją dobrą znajomą”. A więc tak to się załatwia. Ona wypruwa sobie flaki, żeby dostać się do Bernarda, Bennisona i Wspólników, a jemu wystarczy poprosić matkę o telefon. No jasne. A teraz jeszcze ona ma sprawić, żeby poczuł się jak w domu. Nic, tylko usiąść i płakać.

JOSH

Dżibuti, grudzień 1996

Mały samolot nachylił się w stronę gór, ciągnąc za sobą białą smugę dymu, zszedł niżej, wyprostował się i zaczął schodzić do lądowania. Josh stał przy barze na otwartym powietrzu z kubkiem parującego espresso w jednej ręce i niezapalonym papierosem w drugiej, obserwując, jak stalowy ptak kołuje po pasie i zatrzymuje się z rykiem silnika. Przysłonił dłonią oczy i patrzył na pasażerów idących niepewnie po płycie lotniska. Było ich sześćcioro, w tym dwóch mężczyzn ubranych w niestosowne garnitury. Na czele grupy szła blondynka z dużym biustem. Wypił resztki roztopionego cukru, które osiadły na dnie kubka, wsunął papierosa za ucho i wyszedł im na spotkanie.

Blondynka wyłuskała go z tłumu, dała znać pozostałym i ruszyła w jego stronę. Mężczyzn w garniturach powitał przedstawiciel amerykańskiej armii i natychmiast zabrał ze sobą. Pozostała czwórka – dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Z informacji, które dotarły do bazy, Josh dowiedział się, że zostaną tu co najmniej przez miesiąc. Jego uwagę zwróciła młoda, bardzo piękna dziewczyna w białej bluzce na ramiączkach i podwiniętych dżinsach. Miała ciemną skórę, gęste kręcone włosy zebrane w węzeł na czubku głowy i czarne jak smoła oczy okolone kształtnymi brwiami. Zupełnie nie pasowała do tego otoczenia. Przypominała raczej turystkę szukającą słońca.

– Josh? Josh Keeler? Och, dzięki Bogu! – wykrzyknęła blondynka piskliwym głosem, gdy podeszli bliżej. – Baliśmy się, że nikt nas nie powita.

Skrzywił się.

– Tak, jestem Josh. – Przewodnik stada – pomyślał.

– Jestem Nancy Shore, doradca do spraw kultury z USAID³. – Wyrzucała swoje referencje z prędkością karabinu maszynowego.

Po kolei ścisnął im dłonie. Dwaj młodzi Francuzi byli inżynierami od urządzeń sanitarnych. W końcu przyszła kolej na turystkę.

– Niela Aden – powiedziała energicznym, oficjalnym tonem. – Jestem tłumaczką.

Popatrzył na nią przenikliwie. Tłumaczka z języka somalijskiego powinna mieć więcej rozumu.

– Może warto byłoby przykryć głowy – oznajmił chłodnym tonem, rzucając kobietom znaczące spojrzenie. – To muzułmański kraj, gdybyście nie wiedziały.

– To jest Dżibuti, nie Arabia Saudyjska – odparowała Niela Aden. – I gdybyś nie zauważył, jesteśmy w bazie armii amerykańskiej. Nie widzę tu wielu miejscowych.

Mam ze sobą dirac, ale głowy nie zakryję.

Zaskoczyła go jej ostra riposta. Już miał coś odpowiedzieć, gdy nagle odwróciła się i ruszyła w stronę toalet.

– Hej! – zawołał za nią. Reszta grupy patrzyła skonsternowana. – Hej!

Nie zareagowała. Zwrócił się ku pozostałym. Patrzyli na niego niepewnie z twarzami bladymi ze zmęczenia.

– Czy... czy mam pójść za nią? – spytała Nancy Shore.

– Nie. Włóż tylko chustkę na głowę.

Ruszył za panną Aden, czując, jak poranny spokój ustępuje miejsca zniecierpliwieniu.

Po wejściu do budynku jego wzrok stracił ostrość. Hall, jeżeli tak go można było nazwać, wypełniony był żołnierzami i robotnikami budowlanymi. Josh zerknął w stronę toalet. Nie przywykł, by go ignorowano. Gdzie ona się, u diabła, podziała? Nagle w drzwiach po lewej stronie pojawiła się kobieca postać. Zamrugał powiekami zaskoczony. Zniknęły džinsy i cienki top na ramiączkach, w których wyglądała jak turystka wybierająca się na Ibizę. Teraz miała na sobie długi jasnoniebieski dirac, luźny strój noszony w Dżibuti przez niezamężne kobiety. Wyglądała jak miejscowa, oczywiście na pierwszy rzut oka, bo nawet dirac nie zdołał ukryć jej subtelnej piękności. Nie tylko on je zauważył. Grupa francuskich żołnierzy gapiła się na nią z otwartymi ustami. Josh stłumił gest zniecierpliwienia. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w obozie Lemonier, to piękna kobieta. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z budynku lotniska. Pozostali czekali na niego niepewnie.

– Dobrze. Ruszamy. Do bazy jest jakieś pół godziny. Samochód stoi tam. Lepiej usiądź z przodu – zwrócił się do Nancy, gdy wzięli bagaże.

Była dwa razy grubsza od innych. Pięć minut później pożałował, że nie wepchnął jej do bagażnika. Usadowiła się niczym stara kwoka i cmokała, zaskoczona na widok każdej kozy, pastucha czy koczownika, których mijali w chmurze pyłu. Czuł za plecami obecność Nieli Aden. Obserwowała krajobraz, ale co jakiś czas ich oczy się spotykały we wstecznym lusterku. Jej były czarne i nieprzeniknione. Minęli skalistą pustynię otuloną ziemią i pyłem. Potem wyłoniły się góry, a za nimi sięgające aż po horyzont morze z garbami nagich brązowych wysp z jasnymi grzywami piasku. Potem wszystko znikło w mglistej ciszy.

³ Amerykańska Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego.

NIELA

Dżibuti, grudzień 1996

Widoczny przez wypukłe okno jedwabisty błękit morza zakołysał się na boki i mały samolot dotknął ziemi. Niela przyciskała twarz do szyby. Wróciła do Afryki, która była jej domem. Nad horyzontem zamajaczyły poszarpane szczyty gór w kolorze sepii, po czym zniknęły we mgle. Z głośnika popłynął krótki komunikat po arabsku, francusku oraz angielsku i maszyna się zatrzymała. Po otwarciu drzwi do wnętrza wpadło gorące popołudniowe powietrze. Niela odpięła pas i wstała. Na pokładzie samolotu, który przyleciał z Addis Abeby, było sześć osób. Trzy reprezentowały różne urzędy i departamenty, biorące udział w tym samym projekcie. Oprócz nich byli jeszcze dwaj mężczyźni w garniturach. Co sprowadzało do Afryki mężczyznę ubranego w garnitur? – zastanawiała się, ściągając z półki plecak.

Wysiadła z innymi z samolotu, chwytając się gorącej metalowej rączki dla utrzymania równowagi. To była długa podróż – dwie i pół godziny z Londynu do Rzymu, sześć godzin czekania na lotnisku Fiumicino i ośmiogodzinny lot do Addis Abeby. Na koniec przesiadka do małego samolotu lecącego do Dżibuti. Nogi się pod nią ugięły, gdy dotknęła stopami twardej ziemi. Przeszli po rozpalonej płycie lotniska do grupy małych budynków, z trudem oddychając w upale.

– O rany – powiedziała wysoka, otyła blondynka, która przedstawiła się jako Nancy. – Facet jak z reklamy Marlboro.

Niela podążyła za jej wzrokiem. W cieniu rzucanym przez podartą trzepoczącą markizę stał wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany w dżinsy i wyblakły podkoszulek. W jednej ręce trzymał mały kubek espresso, a w drugiej niezapalonego papierosa. Gdy zbliżyli się do niego, a Nancy wysunęła się naprzód, mężczyzna wsunął papierosa za ucho gestem, który przypominał jej mężczyzn z rodzinnych stron. Umysł, wciąż zdolny do rejestrowania takich szczegółów, zauważył ciemną i dziką urodę mężczyzny. Miał oliwkową cerę i żywe spojrzenie, które przesunęło się po nich i na koniec spoczęło na niej z błyskiem zniecierpliwienia. Przyjrzała mu się uważniej i dostrzegła cieniutkie orzechowe odpryski w tęczęwkach. Wprost emanował światłem, jakby wydobywało się z niego wszystkimi porami skóry. Uciekła wzrokiem w bok. Pierwszy raz widziała kogoś takiego. Wyrzucił z siebie kilka urywanych, oschłych słów. Niecierpliwość, którą dostrzegła w twarzy, pojawiła się teraz w jego głosie.

– To muzułmański kraj – powiedział ostrym tonem – gdybyście tego nie

zauważyły.

Krew się w niej zagotowała. Czy on uważa ją za głupią? Odwróciła się i odeszła, nie chcąc robić sceny. Kiedy wróciła ubrana w dirac, zauważyła, że jeszcze bardziej go tym rozgniewała. Sprawilo jej to satysfakcję, chociaż nie mogła zrozumieć, dlaczego. Dopiero co poznała człowieka, a już czuła do niego niechęć. Usiadła z tyłu, pozwalając, by Nancy zajęła miejsce z przodu, obok niego. Utkwiła wzrok w krajobrazie, jednak co jakiś czas ich oczy się spotykały, a wówczas przez jej ciało przepływała jakby elektryczna iskra. Gdy dojechali do obozu, poczuła się kompletnie wytrącona z równowagi.

Sam obóz był skromny – kilka pobielonych domków parterowych stojących frontem do morza, trochę większy jednopiętrowy budynek, w którym mieściło się biuro, i rząd baraków z tyłu, gdzie kiedyś mieszkała służba. Na podwórzu między dwiema tyczkami rozwieszono sznur do suszenia upranych rzeczy, a obok zainstalowano zlew. Josh poprowadził ich do jednego z bungalowów.

– Będziecie mieszkać tutaj – oznajmił, otwierając drzwi.

Do wnętrza prowadził wąski korytarz, z którego wchodziło się do rzędu pokoiów znajdujących się po jednej stronie. Drzwi wejściowe z siatką uderzały rytmicznie o framugę pod wpływem podmuchów wiatru.

– Każę to naprawić – powiedział, sprawdzając zawiasy. – Wszystkie pokoje są jednakowe, standard obozowy. Toalety i prysznice są tam. – Pchnął jakieś drzwi, by im pokazać. – W końcu korytarza jest mała kuchnia, ale posiłki przygotowuje się w głównym budynku. Znajdziecie tam lodówkę i czajnik, nic więcej. Dajcie znać, jeżeli będziecie czegoś potrzebować.

Niela rozejrzała się po pokoju, który jej wskazał. Był mały, z pojedynczym łóżkiem zasłoniętym moskitierą umocowaną wokół stelaża. W rogu stało niewielkie biurko i stare krzesło z podartym obiciem. Postawiła plecak na podłodze i podeszła do okna. Przez uchylone drzwi słyszała narzekania Nancy.

– Nie ma lampki przy łóżku? Gdzie mogę dostać grubsze zasłony? Mamy wspólną łazienkę? Nie ma mowy!

Była ciekawa, co odpowie Josh, lecz się nie doczekała. Jakoś jej to nie zdziwiło.

Nie pojawił się na kolacji. Niela siedziała z innymi, słuchając jednym uchem chaotycznej mieszanki narzekań i dykteryjek kolegów, i chłonęła atmosferę wieczoru. Z oddali dochodziło ciche trzeszczenie cykad, wysokie piski świerszcza i pohukiwanie sowy. Raz czy dwa zaszczekał pies. Czarny aksamit nieba zdawał się otulać ich jak kocem. Podciągnęła rękawy sukni, delektując się dotykiem ciepłego powietrza na gołej skórze rąk. Jest to wrażenie typowe dla tropików, gdy temperatura powietrza dorównuje temperaturze ciała, a granica między otaczającym światem a człowiekiem przestaje istnieć. Kobieta, która przygotowywała posiłki, była Afarką, przedstawicielką jednego z plemion koczowniczych. Nawet jeżeli zaskoczył ją widok ciemnoskórej Somalijki, to zupełnie tego nie okazała. Przy

pierwszej nadarżającej się okazji Niela przeprosiła towarzystwo i poszła słabo oświetlonym korytarzem do swojego pokoju. Rozebrała się, zgasiła światło i położyła do łóżka. Na suficie leniwie obracał się wentylator, owiewając ciało odrobinę chłodniejszym powiewem. Po chwili spała głęboko, pomimo uczucia niepokoju, jakie towarzyszyło jej od chwili przyjazdu.

Rano obudził ją ostry promień słońca, świecący prosto w oczy. W małym pokoiku było duszno. Prześcieradło przykleiło jej się do ciała. Sięgnęła po zegarek – wpół do siódmej. Odrzuciła prześcieradło, owinęła się kiko⁴, wzięła kosmetyczkę z przyborami toaletowymi i otworzyła drzwi. Korytarz stał cichy i pusty. Przeszła boso do łazienki, wzięła szybki prysznic, ubrała się i poszła do jadalni.

Josh Keeler siedział na tarasie przy jednym ze stolików i czytał gazetę. Poza nim nie było nikogo. Uniósł wzrok na jej widok, kiwnął głową, lecz nic nie powiedział. Nalała sobie filiżankę kawy, zajęła miejsce przy innym stoliku i spojrzała ponad płaskimi, jałowymi równinami w stronę morza. Znajdowali się na wzniesieniu, skąd mieli widok na otaczający ich krajobraz. Po chwili do jadalni zaczęli się schodzić pozostali mieszkańcy bungalowu. Wyglądali jeszcze gorzej niż wczoraj.

– Ale upał – mruknęła Nancy, osuwając się na krzesło i wycierając bezskutecznie czoło. – Nie przypuszczałam, że będzie tak cholernie gorąco.

Niela dostrzegła nieufne spojrzenie Josha i pospiesznie odwróciła wzrok. Nie chciała, by znowu przeszył ją dreszcz, gdy spojrzy mu w oczy. Postanowiła trzymać się z dala od tego człowieka. Wyczuwała w nim niecierpliwy, podskórny gniew, który w każdej chwili mógł trysnąć jak ropa spod ziemi. Nie chciała mieć z nim do czynienia. Będzie robiła tylko to, co do niej należy, i nic poza tym.

Zirytowała go w chwili poznania, ale po dwóch dniach wspólnej pracy musiał przyznać, że w Nieli Aden kryje się coś więcej. Dawała sobie radę naprawdę świetnie. Był w niej jakiś spokój, który rozładowywał napięcie, jeszcze zanim powstało. Dzięki niej negocjacje w sprawie naboru murarzy i cieśli potrzebnych do pierwszego etapu prac zakończyły się pomyślnie, bo zdobyła sympatię nawet nieprzystępnych członków starszyny plemiennej, mimo że, jak tylko podeszła, popatrzyli na nią z wyraźną podejrzliwością. Kobieta? W dodatku młoda i piękna? Doskonale wiedziała, jak sobie z nimi poradzić: z jednej strony okazywała im szacunek, a z drugiej dałby głowę, że flirtowała. Trochę z nich podkpiwała, kiedy trzeba, wtrącała pochlebstwo, a gdy uznała to za słuszne, twardo obstawała przy swoim. Patrzył na to wszystko zaskoczony. Przywykł do wydawania poleceń, a ci ludzie nie chcieli go słuchać. Okazywali mu uprzejmą obojętność i nie patrzyli w oczy, gdy im coś tłumaczył, a potem robili po swojemu. Był w Dżibuti od dwóch miesięcy i niewiele zdziałał. Nie mógł tego zrozumieć. Nie udało mu się nawet zorganizować tych ludzi w zespoły. Niczego nie mógł załatwić bez zgody niekończącej się rzeszy osób: wuja, teścia, kuzyna, naczelnika wioski, starszyny,

klanu. Pracował w Bośni z najróżniejszego autoramentu mafiosami – Czeczenami, Bośniakami, Rosjanami, Mołdawianami – i jakoś sobie radził. Natomiast w Dżibuti nic mu nie wychodziło. Nie umiał rozwiązać najprostszego problemu. Wszystko zmieniło się po przyjeździe Nieli Aden. Poruszała się wśród nich ze swobodą, jakby mieszkała tu przez całe życie. W pewnym sensie tak było. Kiedy obserwował ją przy pracy, zdumiewała go bezsensowność granic ustanawianych w tej części świata. Somali Francuskie zmieniło się w Terytorium Afarów i Issów, które z kolei przyjęło nazwę Republika Dżibuti. Ludzie jednak pozostali ci sami. Nic dziwnego, że czuła się jak u siebie w domu. Po prostu była w domu.

W piątek, pod koniec pierwszego tygodnia ich wspólnej pracy, wracał właśnie do swojej kwatery, gdy zobaczył, że siedzi, zapatrzona w morze, na niskim murku przed pustym bungalowem. Zauważył, że czasami przychodziła tu pod koniec dnia. Wiedziony impulsem, ruszył w jej kierunku. Niebo straciło piekącą biel i skalista pustynia przybrała różową barwę. Woda w zatoce Tadjoura przypominała mocno naciągniętą tkaninę, umocowaną kołkami wysp. Grupa robotników przerwała nagle pracę, rozwinęła maty i uklękła na nich, skłaniając głowy w stronę Mekki. Przystanął na chwilę, by popatrzeć, jak biją pokłony, z zadartymi brudnymi stopami, wznosząc chóralne modły, których słowa niósł wiatr.

Obejrzała się, gdy podszedł do niej, lecz nic nie powiedziała. Znowu wyczuł tę dziwną mieszaninę spokoju i energii, emanującą z niej, gdy był w pobliżu.

– Jak długo się tym zajmujesz? – spytał nieoczekiwanie. Zauważył, że zaczęła, aż mężczyźni skończą się modlić.

– Niedługo – odparła z nikłym uśmiechem. – Właściwie to jest moje pierwsze zadanie.

– Jesteś w tym bardzo dobra. – Słowa wypłynęły mu z ust, zanim zdążył pomyśleć. Nic nie powiedziała, jedynie zmierzyła go pytającym spojrzeniem, jakby nie do końca mu uwierzyła. – Naprawdę. Wiesz, jak rozmawiać z tymi ludźmi. Niewielu tłumaczy to potrafi.

Wzruszyła ramionami.

– To są moi rodacy – odpowiedziała. – Rozumiemy się.

– Masz tu jeszcze rodzinę?

– Nie – padła krótka odpowiedź.

Odwróciła głowę i utkwiała wzrok w morzu. Domyślił się, że za tym jednym słowem kryje się więcej, niż chciała ujawnić. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że chciałby się dowiedzieć, co. Powiedział „dobranoc” i odszedł wolno do swojej kwatery, marszcząc brwi w zamyśleniu. Muszę na nią uważać – pomyślał. Dziwne, ale wcale go to nie zirytowało. Zrobiła na nim wrażenie, tylko nie wiedział, dlaczego.

Patrzyła, jak Josh odchodzi i znika w budynku, gdzie był jego pokój. Szedł

wolnym, pewnym siebie krokiem, wysoki i szczupły, pełen gracji i spokoju. Coraz bardziej ją intrygował. Po tygodniu przebywania w jego towarzystwie pod powłoką niecierpliwości zaczęła wyczuwać w nim zrozumienie i współczucie, które kłóciło się z jego szorstkim sposobem bycia. Był świetny w tym, co robił, dlatego robotnicy odnosili się do niego z szacunkiem. Ten szacunek dostrzegła w ich wzroku i postawie, z jaką go słuchali. Za dzień lub dwa poradzi sobie nawet bez znajomości języka. Dostrzegał dzielące ich różnice i starał się to jakoś rekompensować. Miał prowokacyjny sposób zadawania pytań, co bardzo im się podobało, zwłaszcza starszyźnie plemiennej. Dotąd tylko na nich krzyczano, a on ich szanował, dlatego rewanzowali mu się, okazując podobne względy. I chociaż tego szacunku nie dostrzegała w stosunku do siebie, znajdowała swoisty urok w pracy z tym oschłym, wybuchowym mężczyzną. Słyszała raz czy dwa, jak żartuje z kimś, kto znał angielski lub francuski. Był obdarzony błyskotliwym poczuciem humoru, a gdy się uśmiechał, cała jego twarz się rozjaśniała. Trójkątny dekolt podkoszulka odsłaniał ciemny, rdzawobrązowy odcień skóry, który rozświetlał szyję i twarz. Na wysokości bicepsów, w miejscu, gdzie nie dotarło słońce, ręka miała jaśniejszy kolor. Od czasu do czasu Niela dostrzegała też fragment torsu, gdy po coś sięgał lub wskakiwał na rusztowanie, a wiatr unosił podkoszulek, odsłaniając niemal kobiecą biel ciała.

Po tej krótkiej, trwającej zaledwie minutę czy dwie, wymianie zdań dostrzegła w nim jakąś zmianę, której nie bardzo mogła rozgryźć. Wyczuwała intuicyjnie, że zbliżenie się do Josha Keelera będzie jak podejście blisko ognia. Miał w sobie ciepło, ale kontakt z nim groził poparzeniem. Lepiej więc zrobi, jeżeli zachowa dystans. Tak będzie bezpieczniej.

^[4] Barwna tkanina wiązana na ramieniu.

Nazajutrz jadła samotnie lunch na tarasie z widokiem na zatokę. Słońce roztaczało oślepiający blask. Wszechobecną biel jałowego krajobrazu łamał błękit morza. Właśnie nalała sobie drugą filiżankę kawy, gdy z sąsiedniego budynku wyszedł Josh i ruszył przez podwórze w jej stronę.

– Wybieram się do miasta po kilka rzeczy – oznajmił bez wstępów. – Chcesz jechać ze mną?

Popatrzyła na niego, pospiesznie przełknęła łyk kawy i kiwnęła głową.

– Wyjeżdżam za pięć minut. Będziesz gotowa?

Ponownie skinęła głową.

– Jasne. Wezmę tylko torbę – odparła, wstając z krzesła.

Teraz on przytaknął, po czym odwrócił się na pięcie.

W czasie jazdy nie odzywał się, ale nie przeszkadzało jej to. Obserwowała przesuwały się za oknem krajobraz. Wyjeżdżała z obozu po raz pierwszy od dnia przybycia. Horyzont był pusty i nieruchomy, wyglądał jak rysa na tablicy rozdzielczej. Okoliczne wzgórza, upstrzone połyskującymi w słońcu otoczkami o ostrych krawędziach, w miarę zbliżania się zmieniały kształty i wygląd. W przeciwnym kierunku nie jechał żaden samochód. Oprócz samotnie idącego pasterza kóz, który popatrzył z ciekawością na przejeżdżający samochód, nie spotkali nikogo. Niela zerknęła na dłonie Josha obejmujące kierownicę. Były silne i zręczne. Omiotła wzrokiem przedramię pokryte delikatnymi, jedwabistymi włosami w kolorze brązowym. Miał karnację barwy dojrzałego owocu o oliwkowym odcieniu i nie wyglądał na Anglika. Nadgarstek zdobiła wytarta pleciona bransoletka, podobna do tej, jaką nosiła w czasach szkolnych i jaką ofiarowuje się najlepszej przyjaciółce w liceum. Kolory zdążyły już zblaknąć. Ciekawe, od kogo ją dostał – pomyślała. Samochód podskoczył na wystających kamieniach, przypominając im o niegościnnym terenie.

– Na tylnym siedzeniu jest woda – powiedział nagle Josh. – Jeżeli chce ci się pić.

– Dzięki.

Ponownie odwróciła głowę w stronę okna. Krajobraz był niemal księżycowy: czarne wulkaniczne skały, posępne górskie zbocza, ani jednego drzewa. W dole lśniło błękitne morze z białymi grzywami fal. Siedząc w klimatyzowanym samochodzie, trudno było sobie wyobrazić, że na zewnątrz panuje upał.

– Co musisz kupić? – spytała.

– Materiały budowlane. Gwoździe, śruby, sznurek. Skończyliśmy budować szamba, ale chcę jeszcze postawić dodatkowy zbiornik na wodę, zanim zaczniemy

z barakami.

– Jak długo potrwa budowa całego obozu?

– To zależy. Jeżeli praca pójdzie sprawnie, jakieś dwa miesiące. W przyszłym tygodniu zaczyna się ramadan, tempo prac staje się wówczas wolniejsze. Będę się cieszył, gdy dobiegnie końca. Trudno pościć w takim upale.

– Ty pościsz? – spytała zaskoczona.

– Oczywiście.

– Od lat nie pościłam – powiedziała po chwili milczenia. – Nie wiem, dlaczego.

Chyba zapomniałam.

– Łatwo jest zapomnieć o ramadanie w Londynie. Tu nie.

– Przedtem byłeś w Maroku, tak? Rozpoznałam twój akcent. Słyszałam, jak mówiłeś po arabsku.

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

– To najdłuższe zdanie, jakie wypowiedziałas – oznajmił, uśmiechając się lekko.

– Ty też niewiele mówisz – odparła łagodnym tonem. – Gdzie w Maroku?

– W Smarze, blisko zachodniej granicy Sahary.

– A przedtem?

– W Bośni.

– Dlaczego? – Podciągnęła nogi pod siebie.

– Dlaczego co?

– Dlaczego w takich miejscach? Przecież jesteś architektem. Po co tam jeździsz?

Zaśmiał się krótko.

– Architekci nie powinni pracować w takich miejscach?

– W każdym razie ja takich nie znam.

– Wielka szkoda – odparł oschle. – Obozy to ludzkie osiedla. Do tego nas szkolono. Nie można ich zostawiać biurokratom. Na przykład takim jak nasza znajoma Nancy.

Skinęła wolno głową.

– Chyba masz rację. Przywykliśmy traktować obozy jako coś przejściowego, zapominając, że niektóre istnieją dłużej niż wiele miast.

Poczuła, jak na nią patrzy.

– Właśnie. Gdzie teraz mieszkasz?

– W Londynie. Już cztery lata.

– A twoja rodzina? Pytałem cię o to, ale nie odpowiedziałas.

– Mieszkają w Wiedniu – odparła po chwili wahania. – Miałam tam stryja.

Przyjechaliśmy do niego, gdy wybuchła wojna.

– Dlaczego wyjechałaś do Londynu?

Odwróciła twarz w stronę okna. W oddali zamajaczyła kobieca postać w kolorowym stroju. Niela źle oceniła odległość i zanim się zorientowała, już się z nią zrównali. Kobieta pędziła stadko kóz i uniosła kij, gdy ją mijali, trudno powiedzieć – w proteście czy na powitanie. Niela ponownie spojrzała na Josha.

Czekał cierpliwie i to jej się w nim podobało. Wzięła głęboki oddech. Tylko jednej osobie opowiedziała o Hamidzie – Annie. Dlaczego miałaby wyjawić swój sekret obcemu mężczyźnie, którego więcej nie zobaczy po zakończeniu pracy? A jednak czuła, że może mu się zwierzyć.

– Z powodu małżeństwa – odpowiedziała. – Zaaranżowanego przez rodziców.

– Aha i uciekłaś przed nim?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Nic nadzwyczajnego. Wiesz, jak to jest.

– Nie, nie wiem. Co się stało? – W jego głosie brzmiała łagodność.

Poczuła ku swemu przerażeniu, że łzy napływają jej do oczu. Starła się zapanować nad smutkiem. Znowu czekał cierpliwie, dając jej tyle czasu, ile potrzebowała. Znowu wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że głos jej nie drży.

– Nie byłam na to przygotowana. Nie tak mnie wychowano. Mój ojciec jest... – zająknęła się – ...był nowoczesny. My... Chodziłam do szkoły międzynarodowej, miałam iść na uniwersytet, ale wojna wszystko zmieniła. Zostaliśmy z niczym. – Zamilkła, bo przypomniała sobie słowa matki. Nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała, by Josh źle myślał o rodzicach. – Pewnie uważali, że to najlepsze, co mogą dla mnie zrobić.

– Ale ty tak nie uważałaś.

Pokręciła głową.

– Nie. On... on był znacznie starszy. Daleki krewny.

– Uciekłaś więc.

– Tak. Do Londynu.

– Do tego trzeba odwagi. A teraz jeździsz po Dżibuti samochodem terenowym z obcym mężczyzną.

– Nie jesteś obcy. Może tylko trochę nieprzystępny i chłodny – wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć. Z zaskoczeniem stwierdziła, że zareagowała na jakąś nutę w jego głosie, której nie umiała rozszyfrować. Charakter ich rozmowy się zmienił. Czyżby flirtowali ze sobą? Nie, on nie był typem flirtiarza. To coś silniejszego. Ogarnął ją niepokój.

Roześmiał się.

– Nieprzystępny i chłodny. Nie jesteś pierwszą osobą, która mnie o to oskarża.

– Ja cię nie oskarżam – odpowiedziała ostrym tonem, pragnąc ukryć zmieszanie. – To mi nie przeszkadza. Nie obchodzi mnie, co... Nie, nie to miałam na myśli...

– Wiem, co miałaś na myśli – odparł cicho.

Popatrzyła na niego niepewnie. Poruszyła ją ta cicha odpowiedź, ale zanim zdążyła zareagować, Josh wcisnął hamulec. Dojeżdżali do posterunku, pierwszego z kilku przed wjazdem do miasta.

– *Salaam alaikum.*

Josh trzymał dłoń na ręczce do zmiany biegów, a drugą podał przez okno

dokumenty wyraźnie znużonemu żołnierzowi. Ten popatrzył na nich ciekawie.

– Żona?

– *Aiwa* – potwierdził. Tak było prościej.

– W porządku.

Oddał im paszporty i klepnął w dach samochodu. Ruszyli, zachowując ostrożne milczenie.

W mieście panował duży ruch. W ostatnią sobotę przed ramadanem sklepy były pełne kupujących. Josh krążył po wąskich, wyboistych uliczkach, aż w końcu zatrzymał się przed długim rzędem arkad, na wprost sklepu z jasnozielonym szyldem „*Ali Hassan i Synowie. Skład budowlany*”. Niela siedziała wyprostowana, rozglądając się wokół ciekawie. Jasnoróżowy dirac miała podciągnięty do kolan i stopami opierała się o tablicę rozdzielczą. Uwagę Josha przykuł ciemnoczerwony lakier na jej paznokciach. Seksowny. Skóra na gołych nogach była ciemna i idealnie gładka. Przerwał gwałtownie te rozmyślenia.

– Idziesz? – spytał.

Kiwnęła głową i otworzyła drzwi samochodu.

– *Ahlan!* – zawołał, wchodząc pod zacienione arkady i kierując się do sklepu.

– *Joshua! Alhamdulillah!*

Z zaplecza wyszedł Ali, wycierając dłonie. Wymienili tradycyjne pozdrowienie i usiedli. Josh dostrzegł pełen aprobaty wzrok Nieli, gdy przy powitaniu położył lewą rękę na prawym przedramieniu i przyjął właściwą pozycję na podłodze. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego sprawiło mu to przyjemność. Właściwie czemu miałby się tym przejmować? Przecież za dwa tygodnie już jej tu nie będzie.

Pojawiła się żona Alego, niosąc herbatę na tacy. Zgodnie ze zwyczajem podała ją najpierw Joshowi, bo był męskim gościem w ich domu. Starał się na nią nie patrzeć – w końcu była czyjąś żoną – i opróżnił czarkę dwoma łykami, by mogła ją przepłukać i podać następnym. Podobały mu się tutejsze zwyczaje, ich wolny rytm i ceremonialność. Poufale poklepywanie po plecach Europejczyków było jedynie nic nieznaczącym gestem. Niela cicho gawędziła z żoną Alego w ich języku. Właściciela wyraźnie krępowała jej obecność. Josh jednak nie miał czasu na wyjaśnienia. Musiał zrobić zakupy i wrócić do bazy przed zachodem słońca.

Prawie godzinę zajęło im zebranie potrzebnych materiałów i załadowanie ich do samochodu. Potem uścisk dłoni, potok pożegnalnych formułek i w końcu odjechali. Po ulicy kręcili się amerykańscy żołnierze – jedni w charakterystycznych mundurach maskujących i lustrzanych ray banach, a inni w szortach khaki i wykrochmalonych koszulach.

– Kim oni są? – spytała Niela, wskazując na grupę mężczyzn stojących na poboczu drogi.

– Francuska Legia Cudzoziemska. Stacjonują tu od lat sześćdziesiątych.

– Wiele wiesz o Dżibuti.

– Warto wiedzieć, w co się pakujesz.

Włączył się do ruchu. Dochodziła szesnasta i na ulicach przybywało samochodów.

– Muszę pojechać w jeszcze jedno miejsce – powiedział, skręcając w boczną ulicę. – Ali nie miał linki stalowej. To potrwa tylko chwilę.

Droga była wąska i bardziej wyboista od poprzedniej. Samochód zakołysał się niebezpiecznie na boki, gdy Josh skręcił gwałtownie kierownicą, usiłując ominąć dziurę wielkości człowieka. Pod wpływem tego ruchu Niela oparła się o niego i przez jej ciało przeszedł dreszcz. Cofnęła się instynktownie.

– Przepraszam, główniana droga – mruknął.

Nic nie powiedziała, ale dotknęła ramienia w miejscu, w którym ich ciała się zetknęły.

Samochody przed nimi zaczęły zwalniać. Josh wcisnął pedał hamulca, odkręcił okno i wyrzwał przez nie. Gdzieś z tyłu rozległo się niskie dudnienie.

– Co się dzieje?

Cofnął się do wnętrza samochodu.

– Trudno powiedzieć. Chyba z przodu jest jakaś blokada na drodze. – Za nimi utworzył się już spory korek. – Oby jak najszybciej ją usunięto. Jeżeli nie zdążę kupić dziś drutu...

Jego głos utonął w potężnym huku, który odbił się od otaczających murów. Popatrzyli na siebie niepewnie. Zapadła ogłuszająca cisza, którą przerwało dudnienie, jakby coś młóciło powietrze. Spojrzeli na siebie zaskoczeni. Ze stojących przed nimi samochodów zaczęli wysiadać ludzie. Niektórzy wskazywali na niebo. W górę poszybowała gęsta chmura czarnego dymu. Jego źródło musiało znajdować się gdzieś z przodu.

– Co u...? – mruknął Josh.

Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Powietrze rozdarł ogłuszający łomot. Ludzie zaczęli biec, oddalając się od przerażającego odgłosu. Dudnienie zmieniło się teraz w przenikliwe, rytmiczne wibracje i dochodziło gdzieś z góry.

– To helikopter! – zawołał, przekrzykując hałas i wskazując na niebo.

Powietrze rozdarła kolejna eksplozja i jeszcze jedna. Ludzie krzyczeli, przepychali się i rozbiegali w różnych kierunkach. Josh, nie namyślając się, otworzył drzwi od strony pasażera i złapał Nielę za rękę. Tuż nad ich głowami rozległo się ogłuszające dudnienie i na ulicy zapanował totalny chaos.

Ludzie popychali ją i szturchali beładnie, usiłując uciec przed tym czymś na niebie. Josh biegł w przeciwnym kierunku niż tłum, torując sobie drogę wśród setek rąk i tułowi, walcząc z napierającą na nich falą. Trzymał rękę Nieli w mocnym uścisku. Niebem wstrząsnęła seria podmuchów, na co ludzie zareagowali krzykami przerażenia. Serce Nieli waliło jak szalone. Wszystkie jej emocje skupiły się na miejscu, gdzie palce Josha obejmowały jej rękę. Biegła za nim na oślep. W oddali usłyszała charakterystyczny terkot karabinu maszynowego. Minęła ich krzycząca

kobieta z dzieckiem przyciśniętym do piersi, ukrytym w fałdach szaty. Dotarli do jakiegoś skrzyżowania. Między sklepami biegła wąska alejka.

– Tędy! – krzyknął Josh i dał nura w zaułek, by po chwili skręcić w uliczkę, potem w drugą, jakby miał przed sobą jakiś cel.

Nieli zaczęło brakować powietrza w płucach. Miała wrażenie, że za chwilę eksploduje. Zbiegli po jakichś schodach. Mężczyzna ciągnął ją tak mocno, że omal nie wyrwał jej ręki ze stawu. Przeskoczyli przez rów, z którego unosił się ostry zapach moczu i rozlanego piwa, po czym skręcili w jeszcze jeden zaułek. Tu Josh przystanął i rozejrzał się na boki. Czuła w dłoni jego puls.

Nagle usłyszeli za plecami piskliwy dźwięk syreny policyjnego wozu. Bez wahania wspięli się na pobliski mur i zeskoczyli na podwórko, gdzie powitał ich histerycznym warczeniem chudy, brązowy pies. Niela stłumiła krzyk. Josh kopnięciem otworzył jakieś drzwi, wciągnął ją do środka, prędko zatrzęsł ją za sobą i oparł się o nie, ciężko dysząc. Wewnątrz panował półmrok. Wpadający przez świetlik w suficie promień słońca wydobył z ciemności stopy worków. To chyba ryż – pomyślała dziewczyna, usiłując odzyskać oddech. Trafili do jakiegoś magazynu. Josh puścił jej rękę, pozostawiając na niej białe ślady palców. Sięgnęła tam mimowolnie. W pomieszczeniu panowała cisza, przerywana jedynie ich urywanymi oddechami. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Stali między workami ryżu i skrzyniami z napojami, próbując dojść do siebie po szalonym biegu.

– Jak myślisz, co tam się stało? – spytała szeptem, który brzmiał nienaturalnie głośno w otaczającym ich mroku.

Popatrzył na nią, a potem na zegarek. Dochodziła piąta. Tkwili tu od trzydziestu minut. Było gorąco, duszno i strasznie mu się chciało zapalić.

– Nie wiem – odpowiedział. – Chyba jakaś demonstracja poszła nie tak. To były amerykańskie helikoptery.

– Strzelali do tłumu? – W jej głosie brzmiało niedowierzenie.

– Nie pierwszy raz i nie ostatni – odparł z goryczą w głosie.

Usiadła ciężko na jednym z worków i podciągnęła kolana pod brodę.

– W Mogadiszu też się to zdarzyło. Ale demonstranci zniszczyli helikopter i zabili... – Urwała, nie chcąc lub nie mogąc mówić dalej. W jej głosie brzmiał strach.

Odwrócił się do niej. Miała szeroko otwarte oczy, jakby bała się rozpłakać. Poczuł, że coś w nim pęka i górę biorą emocje, których nie mógł powstrzymać. Ukląkł przed nią i dotknął ramienia w miejscu, gdzie przedtem ją trzymał.

– Przepraszam – powiedział chrypliwie. – Sprawilem ci ból?

Pokręciła głową, ale kurczowo zacisnęła palce na jego dłoni. Przysunął się bliżej, otoczył ramieniem i przyciągnął jej głowę do piersi. Poddała się bez oporu. Mruknął uspokajająco, jak to czynił setki razy. Niela cała się trzęsa i szczękała zębami pomimo panującego w magazynie upału. Wtulił usta w jej włosy.

– Ciii – szepnął. – Już dobrze. Jesteśmy tu bezpieczni.

Kiwnęła głową i przytuliła się do niego. Wciągnął w nozdrza zapach jej włosów i wsunął palce w gęste sploty. Ku swojemu zaskoczeniu poczuł przypływ pożądania. Opuścił dłoń ku jej szyi, chwycił za brodę i odwrócił jej twarz ku sobie. Nie zaprotestowała. Zaskoczony własną śmiałością i absurdalnością sytuacji, przyciągnął Nielę do siebie i pocałował. Miała miękkie, ciepłe wargi, na których pozostał smak herbaty pitej u Alego. Przerwał pocałunek i spojrzał na nią. W ostatnich promieniach światła błysnęły oczy i zęby. Zalała go fala pożądania, jakiego nie czuł od lat. Oczyma wyobraźni zobaczył gładką, czekoladową skórę nóg, czerwone paznokcie, małe zagłębienie u nasady szyi i kropelki potu nad górną wargą, zapewne słone przy zetknięciu z językiem. Wszystkie te szczegóły jego umysł bezwiednie rejestrował przez ostatnie dwa tygodnie jej pobytu. Uświadomił sobie, że myśli o niej od pierwszego dnia, gdy tak nieoczekiwanie odwróciła się i poszła do budynku lotniska.

Przesunął wolno dłonią wzdłuż jej ramienia i zatrzymał się przy brzegu różowego diraka, jakby pytał o pozwolenie. Kiwnęła głową, a wówczas położył rękę na jej kolanie i zatoczył krąg, chcąc poczuć miękką, ciepłą skórę. Uniósł się nieco, by ich twarze znalazły się na tej samej wysokości, i odsunął dirac w górę ud, jakby znowu pytał o pozwolenie. W odpowiedzi uniosła ręce, a on ściągnął jej szatę przez głowę. W magazynie było zbyt ciemno, ale dłonie powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć. Miała gładkie, wilgotne ciało i miękkie, pełne piersi. Gdy objął je palcami, gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca, czym rozpałała go do białości. Pieścił ją delikatnie, wyczuwając nieśmiałość, wynikającą z niedoświadczenia i uwarunkowań kulturowych, w jakich wzrastała. Okazywany przez nią spokój, do jakiego przywykł podczas ich wspólnej pracy, podziałał teraz na niego silniej niż jakiegokolwiek emocje. Wszedł w nią wolno, przypominając sobie, że powinien ją zapytać, czy wszystko w porządku. W odpowiedzi wygięła ciało w łuk. Jęknął cicho i ukrył twarz w jej włosach, poddając się odwiecznemu rytmowi. Z ust Nieli wydobywały się stłumione jęki rozkoszy, które brzmiały mu w uszach jak najśłodsza muzyka.

Usłyszała trzask zapalanej zapałki i ciemność rozświetlił żarzący się na czerwono papieros. Otaczała ich gęsta, mroczna cisza. Josh wstał i wyjął nie wiadomo skąd małą latarkę. Omiótł magazyn smugą świetlną, jakby czegoś szukał. Zobaczyła, że jest nagi, i odwróciła wzrok. Niepotrzebnie, bo podszedł do drzwi, nie okazując wstydu, ciągnąc za sobą worki ryżu.

– Nikt tu nie wejdzie – oznajmił, po czym dopalił papierosa i kucnął przy niej. – Zostaniemy tu do świtu. Rano poszukam samochodu. – Przesunął palcem po jej brzuchu. – Dasz radę się zdrzemnąć?

Kiwnęła głową, zbyt zawstydzona, by coś powiedzieć. Chciała się okryć dirakiem, ale było za gorąco. Nie bardzo wiedziała, czy ma się odsunąć od niego i przewrócić

na drugi bok. On najwyraźniej nie miał takich wątpliwości. Położył jej dłoń na brzuchu. Obserwowała go spod rzęs: silne, umięśnione ramiona, opalona skóra, czarne kępki włosów pod pachami. Czuła gorące łzy pod powiekami na myśl o tym, co przed chwilą zrobili.

Obudziło ich poranne wezwanie do modlitwy. Josh poruszył się, wymamrotał coś z ustami w jej włosach, po czym usiadł. Patrzyła, jak w świetle wstającego dnia jego silne, piękne ciało znika pod dżinsami i wygniecionym podkoszulkiem. Zebrała bieliznę, odwróciła się tyłem, zapięła stanik i włożyła dirac przez głowę. Już ubrana spojrzała na niego. Pochylił się i przesunął wierzchem dłoni wzdłuż jej policzka i linii ust. Zalała ją mieszanina pożądania i wstydu, bo na jego rękach pozostał zapach jej ciała. Siedziała nieruchomo, poddając się pieścizocie jego dłoni. Nagle wstał, podszedł do worków z ryżem, odsunął je i ostrożnie otworzył drzwi. Do wnętrza wpadł podmuch świeżego powietrza. Gdy dał jej znak, podniosła się. Żadne z nich nie odezwało się słowem, ale widać było wyraźnie, że Josh zamknął się w sobie. Niela czekała na niego z wyrazem zakłopotania na twarzy, które dostrzegła również w jego oczach.

Ktoś zdobył karton mandarynek, prawdziwy luksus w tych warunkach.

– Satsuma, japońska odmiana – oznajmiła Nancy, po czym podała dwie Nieli. – Proszę, weź. Kiedy ostatnio jedliśmy owoce niepochodzące z puszek? Zanieś mu kilka – dodała, wskazując głową na Josha. Nie było sekretem, że niewiele czasu i uwagi poświęcał pozostałej trójce. – Tylko z tobą jedną rozmawia. – Popatrzyła znacząco na Niellę, która poczuła, że się czerwieni.

– Dzięki – odpowiedziała, chwytając za brzeg podkoszulka i wkładając do niego sześć mandarynek.

Josh tkwił w kucki przy stawianej przez murarzy ścianie i wskazywał jednemu z nich popełnione błędy. Przerwał rozmowę, gdy podeszła, i popatrzył na nią, mrużąc oczy.

– Proszę – powiedziała, podając mu dwie mandarynki. – Koledzy pomyśleli, że może miałbyś ochotę.

Ofiarowała jedną staremu murarzowi, który spojrzał na nią, marszcząc brwi, po czym wziął delikatnie owoc w pobrudzone ziemią palce.

– *Shukran* – powiedział i schował mandarynkę w fałdy szaty.

– *Shukran* – powtórzył Josh, uśmiechając się lekko.

Twarz mu pojaśniała, a Nieli zabrakło powietrza w płucach. Wstał i rozerwał skórkę zębami, uwalniając ostry aromat. Żeby ukryć zmieszanie, sięgnęła po mandarynkę. Stary murarz wstał i oddalił się, zrozumiałwszy, że czas na przerwę w pracy. Niela usiadła na murku twarzą do Josha, nagle uświadamiając sobie, że dżinsy podkreślają kształt jej nóg.

– Dzięki za wczoraj – odezwał się po chwili milczenia.

Poprosił ją o pomoc w przekonaniu elektryka, by rozerwał jeden z obwodów, które instalowali. Często zmuszał pracowników do poprawiania czegoś dwa lub trzy razy, dopóki nie uznał, że jest dobrze. Główny elektryk narzekał, ale z humorem.

Niela uśmiechnęła się.

– Nie jestem pewna, czy dobrze przetłumaczyłam. Pewnie zainstalowali zlewki zamiast wyłączników.

– Wątpię. Hamzeh zna się na rzeczy. Próbuje tylko ukreślić coś na boku. Ja też bym tak robił.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Oczywiście. Wiesz, ile on ma osób na utrzymaniu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dwie? – zasugerowała.

– Trzyście. Żony, ich krewni, dalecy krewni. – Tym razem on pokręcił głową

i popatrzył na północ. – Ma dziewięcioro dzieci, wyobrażasz sobie? W takim miejscu jak to. Jak można wyżywić tu dziewięcioro dzieci?

– To nie kwestia liczby, ale asekuracji – odparła. – Jedno z tych dziewięciorga dzieci zaopiekuje się nim i jego żonami na starość. Co najmniej jedno.

– Problem w tym, że się nie zaopiekują, bo wszystkie wyjechały. Ani jedno dziecko przy nim nie zostało. Wyjechały do miasta, za granicę, Bóg wie gdzie jeszcze.

Popatrzyła na niego niepewnie.

– Ale tak było zawsze – odrzekła. – Nie możesz oczekiwać, że to się nagle zmieni.

– Nie nagle. Jeżeli to się jednak nie zmieni, to jakie wyjście pozostaje? Hamzeh ma szczęście, bo znalazł pracę. A ilu tutejszych może się tym pochwalić? To jest właśnie tragedia tych wojen, Nielo. Nie obozy, nie ginący ludzie czy bezsens pracy, jaką tu wykonujemy.

Zaskoczyło ją, że zwrócił się do niej po imieniu.

– Po co więc robić coś, co jest bezsensowne? – spytała, czując, że za jego słowami kryje się coś jeszcze, czego nie powiedział.

– A dlaczego nie? Ktoś musi to robić.

– Niekoniecznie ty.

– A kto?

Spojrzał jej w oczy, a ona poczuła, że wzbiera w niej gniew.

– Sami potrafimy sobie radzić – odpowiedziała oschle. – Robimy to już od jakiegoś czasu.

– Daj spokój. Wy? Wiesz równie dobrze jak ja... Hej, dokąd idziesz? Hej!

Poderwała się na równe nogi. Znowu to samo. Gniew wziął nad nią górę. W takiej sytuacji lepiej odejść. Tym razem jednak poszedł za nią.

– Niela, daj spokój, nie to miałem na myśli.

– Zostaw mnie – mruknęła, zbyt wściekła, by mówić.

– Nie.

Dogonił ją i złapał za rękę. Kątem oka dostrzegła, że koledzy im się przyglądają i z pewnością snują domysły. Zmusił ją, by się zatrzymała, i odwrócił twarzą ku sobie.

– Przepraszam. Ie to wyszło.

– A jak miało wyjść? Współczująco, litościwie?

– Chodziło mi o...

– Dobrze wiem, o co ci chodziło. Myślisz, że jestem głupia?

– Nie, oczywiście że nie. Nie to chciałem powiedzieć.

– A co?

Mierzyli się wzrokiem. Twarz mu pociemniała od emocji, których nie potrafiła rozpoznać. Dostrzegła na niej gniew, ale i coś jeszcze. Oczy jej się rozszerzyły. Nadal trzymał ją za rękę, lecz nagle puścił, ale zanim zdążyła coś zrobić lub powiedzieć, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Próbowwała się wyrwać, lecz nie

puszczał. Odurzył ją zapach mydła i wody po goleniu, które przypomniały jej ojca, gdy siadał do śniadania. Ukryła twarz na piersi Josha. Zwolnił ucisk, a drugą rękę wsunął we włosy i objął ją za kark. Przestała się opierać, myślała jedynie o tym, jak bardzo go pragnie.

– Chodź – szepnęła jej do ucha.

Ruszyli. Josh nadal trzymał rękę w jej włosach. Za plecami szemrały podekscytowane głosy kolegów.

W pokoju było chłodno i ciemno, spuszczone żaluzje chroniły przed słońcem. Kopnięciem zamknął za sobą drzwi i poprowadził ją do łóżka. Usiadł na brzegu i przyciągnął Nielę do siebie. Stała, nieruchoma i drżąca, czekając na jego dotyk. Uniósł brzeg podkoszulka i ukrył twarz w zagłębieniu jej brzucha, całując i drażniąc językiem twardy pępek. Spojrzał jej w oczy. Zrozumiała jego gest i kolana się pod nią ugięły. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wilgoć pod powiekami odpowiadała wilgoci, jaką czuła w miejscu, w którym ją pieścił. Fala rozkoszy zalała ją, gdy sięgnął dłońmi pod cienki materiał bluzki, delikatnie muskając wzniesienia piersi. Wszedł w nią wolno, nie spuszczać z niej wzroku. Miała wrażenie, że spada, tonie w głębinach, traci oddech, ale nie były to bolesne doznania.

Po wszystkim zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wolno wypuścił dym, obserwując ją spod przymkniętych powiek i muskając palcami w miejscu, gdzie pieścił ją językiem. Leżała bez ruchu, czując, jak drżą jej mięśnie pod wpływem jego dotyku. W końcu zgasił papierosa, podparł się na łokciu i spojrzał na nią. Sięgnął pod prześcieradło i objął ramieniem jej talię. Trzymał ją tak przez chwilę, po czym położył dłoń na biodrze, jakby chciał powiedzieć: „Zostań”. Nie wiedziała, co powiedzieć i jak zareagować. Za dwa tygodnie wyjedzie i więcej się nie zobaczą. Przelotna znajomość – tak to się chyba nazywało. Wkrótce o niej zapomni. Ale ona na zawsze go zapamięta i nigdy nie będzie mogła wyrzucić go z myśli. Przez jedną krótką, upojną chwilę, gdy trzymała go w ramionach, miała wrażenie, że otworzył się całkowicie i odsłonił głęboko ukryte i strzeżone miejsca. Oszłomiło ją to, ale jednocześnie pozostawiło niedosyt.

JULIA

Londyn, styczeń 1997

– Proszę, proszę, czy to nie mała Julia Burrows? – posłyszała za sobą męski głos.
– Mówiono mi, że tu jesteś.

Zatrzymała się w pół kroku, czując, jak zalewa ją fala niechęci. „Mała Julia Burrows”. Też coś! Tylko Aaron Keeler mógł coś takiego powiedzieć. Odwróciła się wolno, przyciskając do piersi stos książek.

– A, to ty. Słyszałam, że matka załatwiła ci tu pracę. – Zauważyła, że się skulił, a więc trafiła w czuły punkt. – A teraz, jeżeli pozwolisz, wrócę do swoich obowiązków – powiedziała lodowatym tonem. Starła się go ominąć, ale sterta lektur zasłaniała jej pole widzenia.

– Ależ proszę bardzo, nie zatrzymuję cię – odparł równie lodowatym głosem.

– I bardzo dobrze – rzuciła przez ramię i ruszyła dalej korytarzem, walcząc z chęcią rzucenia w niego książką. Wcisnęła guzik windy, czując, jak wszystko się w niej gotuje. Czas nie zmniejszył napięcia między nimi. Oby nie musiała z nim pracować. Ponownie wcisnęła guzik windy, wyobrażając sobie, że to głowa Keelera albo jego oko. Wszystko jedno.

Wyglądało na to, że jej życzenie się spełniło, bo w następnych dniach spotykała go jedynie przelotnie na korytarzu. Odetchnęła z ulgą. Pod koniec tygodnia mogła wreszcie otworzyć drzwi kancelarii, nie zastanawiając się, czy wpadnie na niego, czy nie.

Zaczynała się już odprężyć, gdy w poniedziałek rano Harriet Peters zelektryzowała ją nowiną. Wpadła porozmawiać o środowym zebraniu, na którym mieli omawiać jedną ze spraw. Chociaż to ona ją prowadziła, po raz pierwszy pozwoliła Julii przedstawić sposób obrony i własną argumentację. Poinformowała ją też, że do dyskusji zaproszono Aarona Keelera, Geralda Starkeya i dwóch innych starszych współpracowników. Będzie to dobra okazja, by zrobić na nich wrażenie.

– Aarona Keelera? A po co? – spytała Julia, uświadamiając sobie, że podnosi głos. Harriet spojrzała na nią zaskoczona.

– Taki jest zwyczaj – odparła, marszcząc brwi. – Ty też będziesz uczestniczyć w podobnych posiedzeniach. Zapraszamy wszystkich młodszych adwokatów, by brali udział w omawianiu spraw innych członków zespołu. Poza tym Keeler jest wykwalifikowanym doradcą prawnym. Warto posłuchać jego punktu widzenia.

Na myśl o tym, że będzie siedzieć naprzeciwko Aarona i przedstawiać swoją

argumentację, zrobiło jej się niedobrze.

– Rozumiem – mruknęła najuprzejmiej, jak mogła.

Peters uniosła w górę brwi, lecz nic nie powiedziała. Julia pochyliła się nad papierami, czując, jak płoną jej policzki.

Gdy tylko weszła do sali konferencyjnej i zobaczyła tę jego znudzoną minę zadowolonego z siebie faceta, wiedziała, że nie będzie łatwo. Zająła miejsce przy końcu stołu, czując, jak serce jej wali, a dłonie lepią się od potu. Nie denerwowała się tak od studiów w Balliol. Harriet naświetliła główne aspekty sprawy, po czym oddała głos młodszej koleżance. Julia starała się nie patrzeć na Aarona w czasie swojego wystąpienia. Uświadomiła sobie, że uczestniczy w czymś w rodzaju przedstawienia. Keeler pasował do odgrywanej w nim roli, świetnie się w niej czuł. Miał wszystkie potrzebne atrybuty: przystojny, dość inteligentny i z doskonałymi koneksjami. To wystarczało, niczego więcej nie potrzebował. Tym, co ich różniło, była pewność siebie. On miał jej za dużo, ona za mało.

– Julio? – Harriet popatrzyła na nią wyczekująco.

Drgnęła i oblała się rumieńcem.

– T-to wszystko – wyjąkała, tracąc wątek.

Usiadła, przeklinając siebie w duchu. Nadszedł czas, by inni zabrali głos.

– Dziękuję, Aaronie. To było interesujące. Co o tym myślisz, Julio? – spytał Gerald Starkey, odchylając się na oparcie, gdy Keeler skończył mówić.

Musiała ugryźć się w język. Gdy była zła, jej głos zmieniał się w pisk, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zmienić się w zrzędliwą jędzę. Wzięła głęboki oddech. Aaron się mylił. Co z tego, że córka ich klientki jest w to emocjonalnie zaangażowana? To matka jest oskarżona o zabicie męża, nie córka. To nie ma żadnego związku ze sprawą. Wygląda na to, że ten człowiek zmienił życie córki w piekło, dlatego była idealnym świadkiem.

– Myślę, że Aaron się myli – powiedziała ostrożnie. – Mandy Taylor jest uczuciowa, to prawda, ale nie należy zapominać, przez co przeszła. Gary Manning znęcał się nie tylko nad żoną. Mandy przeżyła piekło. Myślę, że będzie doskonałym świadkiem.

– Zgadzam się z twoją opinią, Julio – odezwał się jeden z adwokatów. – Sądzę, że możemy zaryzykować. – Popatrzył na kolegów.

Keeler wzruszył ramionami i uśmiechnął się z afektacją do Julii.

– *Res ipsa loquitur*. Rzecz mówi sama za siebie.

– *Qui habet aures audiendi, audiat*. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słuca – odparowała bez mrugnięcia okiem.

– Czy mamy jeszcze coś do omówienia? – spytał pospiesznie Michael Parks. – Nie? W takim razie kończymy przegląd spraw na ten tydzień.

Julia opuściła salę, nie patrząc na Aarona. Dupek. Za kogo on się uważa?

Zmierzała do budynku sądu, głośno stukając obcasami po brukowanym dziedzińcu. Miała wrażenie, że żołądek zawiązał jej się w supeł. To miało być jej pierwsze wystąpienie przed sądem. Szykowała się do niego trzy dni: ćwiczyła swoją mowę przed lustrem, przed współlokatorkami, kolegami z pracy i przyjaciółmi. Wszyscy byli już tym znudzeni. Zatrzymała się przed wejściem do sądu i spojrzała na napis na fryzie: „Mądre prawo jest źródłem życia”. Wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Zaczął się dobrze. Kiedy uznała, że jest gotowa wezwać Amandę Taylor, czuła się na tyle pewnie, że uśmiechnęła się do sędziego. Gdy zobaczyła jednak minę głównego świadka, zaczęła mieć wątpliwości. Dziewczyna weszła na salę ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jakby bała się spojrzeć w prawo czy w lewo. Julia popatrzyła na nią niepewnie. Powinna nawiązać kontakt wzrokowy z matką lub z adwokatami. W zaciśniętych ustach Amandy dostrzegła upór, którego przedtem nie zauważyła. Na próżno usiłowała ściągnąć ją wzrokiem.

– Panno Taylor – zwrócił się do niej sędzia Holmes, patrząc na nią z powagą ze swojego stanowiska, po czym rozpoczął rutynową formułkę: – Czy przysięga pani...

Głos Amandy brzmiał sucho i beznamiętnie. Patrzyła przed siebie, unikając zaniepokojonego wzroku matki. Julia poczuła w żołądku pierwsze oznaki paniki.

– Co się z nią dzieje? – szepnął Chris Barnes, jeden z obrońców.

– Nie wiem – odszepnęła, rozglądając się po sali. – Ale coś jest nie tak.

– Wygląda, jakby była na haju.

– Cholera, tylko tego brakowało – mruknęła Julia.

Zerknęła na ławę zajmowaną przez oskarżyciela. Doug Rattery, jej szanowny oponent, wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. Uczucie paniki coraz wyraźniej dawało o sobie znać. Wiedziała, że za chwilę coś się zdarzy. Wzięła notatki i podeszła do miejsca dla świadków. W tym momencie Amanda spojrzała na matkę i Julia zrozumiała, co się stało. Amanda Taylor oszukała ją, oszukała ich wszystkich. W jej wzroku dostrzegła bowiem wyraz triumfu, nie rozpaczy.

*

– Nie rozumiem – powiedziała, gdy było po wszystkim. Chwyciła torbę, teczkę z aktami i ruszyła biegiem do drzwi. Na zewnątrz czekali pewnie dziennikarze. Nie miała ochoty się z nimi spotkać. – Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

– Kiedy rozmawiałaś z nią ostatni raz? – spytał Chris, biegnąc za nią i ciężko dysząc.

– W piątek. Nic się nie działo.

Myśli wirowały jej w głowie. Zeznanie Amandy, które miało być podstawą obrony, praktycznie przypieczerowało los jej klientki. Przecież to jej własna matka. Julia nie mogła w to uwierzyć. Odpowiedzi świadka na pytania, które tak starannie przygotowywały, były zaskakujące. Nie, nigdy nie widziała, żeby ojczym bił matkę. Nie, nie było przemocy w rodzinie. Matka kłamie, zawsze kłamała. Ojczyma też oszukiwała. Miała przyjaciela. To pewnie on ją bił. Julia słuchała tych wszystkich kłamstw z niedowierzaniem i irytacją. To były bzdury, kompletne bzdury. Ale dlaczego? Dlaczego właśnie teraz? Dlaczego tego nie przewidziała? Stała jej przed oczyma twarz Aarona Keelera podczas porannego spotkania w kancelarii. „Nie chcę wyjść na snoba – powiedział, wskazując na akta, które Julia położyła przed nimi – ale takie typy... Jeden Bóg wie, co się działo w tamtym domu. Dałbym głowę, że między ojczymem a Amandą Taylor było coś więcej”. Poczowała mdłości, idąc przez dziedziniec w stronę wyjścia dla adwokatów. Dziennikarze pewnie czekali przed głównym wejściem. Aaron miał rację. Ale skąd wiedział? I czemu jej to umknęło?

Kilka godzin później, siedząc samotnie w kancelarii, nadal nie mogła tego pojąć. Odrzuciła propozycję pójścia z innymi do pubu mieszczącego się po drugiej stronie ulicy, na wprost sądu Old Bailey, i wróciła do biura. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, walcząc ze łzami. Trzy tygodnie pracy poszły na marne przez głupią, niedojrzałą dziewczynę, która zadurzyła się w ojczymie albo jeszcze gorzej. Prawda w końcu wyjdzie na jaw, nie miała co do tego wątpliwości, lecz w tej chwili nie miała dość siły, by się zastanawiać nad przyczynami nieoczekiwanej zmiany zachowania Amandy Taylor. Zrzuciła żakiet i buty, po czym sięgnęła za biurko po butelkę chateau faugères, ofiarowaną jej przez Doma podczas ostatniej wizyty, i wyjęła kieliszek. Klapnęła na krzesło i utkwiała wzrok w fotografii rodziców stojącej po lewej stronie blatu.

Właśnie miała wypić pierwszy łyk, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Odstawiła kieliszek i zmarszczyła brwi. Co znowu? To pewnie Chris przyszedł ją namawiać, by poszła do pubu. Wstała, przeszła bosą przez pokój i otworzyła drzwi. W progu stał Aaron Keeler.

– Słuchaj – zaczął bez wstępów, unosząc ręce w żartobliwym geście poddania, a Julii krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Pewnie przyszedł się z niej naśmiewać. – Wiem, że jest późno...

– Czego chcesz, u diabła? – warknęła, zła na siebie, że nie włożyła pantofli i teraz musi jeszcze bardziej zadzierać głowę.

– Niczego. Chciałem tylko sprawdzić, jak się miewasz. Wpadłem na innych w pubie i Chris powiedział mi, że tu jesteś.

Nie wyglądał, jakby chciał z niej żartować, wprost przeciwnie, w jego głosie brzmiała szczerłość.

– Dobrze – odparła krótko, wskazując na kieliszek stojący na biurku. – Doskonale. Wino, krakersy i ser w lodówce. Urządziłam sobie przyjęcie. Możesz więc wrócić do pubu i zdać raport.

Mierzyli się wzrokiem w milczeniu.

– Jezu, dlaczego jesteś taka napastliwa? – spytał nieoczekiwanie.

– Napastliwa? Ja?

– Tak, ty. Mówisz tak, jakbyś chciała dźgnąć mnie nożem.

– Ja... wcale nie.

– Dobrze wiesz, że tak. Jeżeli chodzi ci o tę sprawę z Oksfordu...

– Wcale nie – powtórzyła.

Nie podobał jej się temat rozmowy i nie podobało jej się to, że stoi boso i patrzy na jego doskonale przystojną twarz. Mogłaby skopać się za takie myśli, ale nie dało się temu zaprzeczyć. Kiedy nie marszczył brwi i nie nadymał się, jego twarz nabierała zmysłowego, niemal kobiecego uroku. Nagle uświadomiła sobie, że patrzy na jasne włosy na jego przedramionach i nieco ciemniejsze, widoczne w rozchyleniu koszuli. Rozluźnił krawat, podwinął rękawy i stał z jedną ręką opartą o framugę drzwi. Było w nim coś tak cudownie męskiego, że zapragnęła nagle znaleźć się w jego ramionach. Odwróciła się i podeszła do biurka. Tak, był przystojny, ale był też dupkiem.

– Wiesz, o czym mówię. – Ku jej konsternacji wszedł za nią do pokoju. – Nie przejmuj się, już o tym zapomniałem.

– Ja mam się nie przejmować? – Zaniemówiła. Co za arogant!

– To było wieki temu. Zawsze będziesz się na mnie wściekać?

Oniemiała, słysząc dziwnie płaczącą nutę w jego głosie. Spojrzała mu w oczy, czując, jak pulsuje jej krew w żyłach i serce wali w piersi. Coś się zmieniło, w powietrzu pojawiło się nowe napięcie. Aaron wprowadził zamęt w przestrzeni między nimi. Musi przerwać tę ciszę, i to natychmiast.

– Nie chodzi o Oksford – powiedziała szybko, wsuwając stopy w pantofle leżące pod biurkiem.

– A więc o co? Wiem, że mnie nie znosisz. Cholera, Julio, wszyscy o tym wiedzą. Nie robisz z tego sekretu.

– Ja... – Głos jej się załamał. Teraz, gdy mogła wreszcie wyjaśnić, dlaczego na jego widok zgrzyta zębami, nagle zabrakło jej odwagi. Ona, która niczego się nie bała. – Chodzi o to, że... – Urwała.

Wpatrywał się w nią tymi ciemnoniebieskimi, niemal fioletowymi oczyma.

– Że co? – ponaglił łagodnie.

Ku swemu przerażeniu poczuła słony smak łez w gardle i wilgoć pod powiekami. Dotknęła ręką twarzy, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Ja – spróbowała, po czym się odwróciła. Nie mogła przecież rozplakać się w jego obecności.

Było jednak za późno na te obawy, bo nagle podszedł do niej i dotknął jej

ramienia. Zapragnęła nagle ukryć twarz na jego piersi.

– Hej – powiedział miękko. – Co z tego, że przegrałaś sprawę? To nie ostatni raz, nawet dla kogoś takiego jak ty.

Pokręciła głową.

– Nie chodzi o sprawę – wydusiła z trudem, nienawidząc siebie za tę chwilę słabości.

– O co więc? – Powoli obrócił ją twarzą ku sobie. – O co chodzi, Julio? – powtórzył tuż nad jej uchem.

Jak miała to wytłumaczyć? Że nikt nie położył jej ręki na ramieniu od śmierci ojca? Że brakowało jej rodziców bardziej, niż mogła to wyrazić? Że to wszystko – biuro, praca, sprawa, dobre imię – było właśnie dla nich? Cichy jęk wyrwał jej się z gardła. Poczuli, że nie może oddychać. Odwróciła się zawstydzona.

Cofnął rękę, pozostawiając nieznośny ból.

– Przepraszam – powiedział, również się odwracając. – Nie chciałem się narzucać.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała, starając się zapanować nad głosem. – Masz rację. To przez tę sprawę. Żeby tak ją przegrać!

– Zdarza się.

Popatrzyła za nim. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi. Nagle znalazła się poza zasięgiem jego uroku. Kiwnęła głową, starając się odzyskać równowagę. Obudził w niej wszystkie rodzaje tęsknot i pragnień, a ona nie miała pojęcia, jak nad nimi zapanować. To było zupełnie nieznanne terytorium. Tym razem to ona nie była przygotowana.

– Ja... nic mi nie jest – wyjąkała.

– Skoro tak mówisz – odparł obojętnym tonem. Znowu stał się sobą. Otworzył drzwi, rzucił jej zagadkowe spojrzenie, po czym zniknął.

Dotknęła ręką twarzy. Była rozpalona i wilgotna. Otarła się o coś, czego nie potrafiła nawet nazwać. Chwyciła kieliszek i opróżniła go jednym haustem.

CZEŚĆ PIĄTA

JULIA

Londyn, luty 1997

W dniach i tygodniach po dziwnej chwili intymności z Aaronem Keelerem Julia znowu miała mętlik w głowie. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Przecież nic takiego się nie stało, a mimo to miała wrażenie, że wszystko się zmieniło. Czuła jego obecność na każdym kroku, co wytrącało ją z równowagi. Wystarczyło, że mignął jej na korytarzu czy usłyszała jego głos na zebraniu, a miała wrażenie, że powietrze wokół niej się zmienia, jakby nagle spadło ciśnienie lub znacznie obniżyła się temperatura. Aaron oczywiście nie miał o tym pojęcia. Nic nie wskazywało na to, że dostrzegł jakąś zmianę. A ona czuła się tak, jakby ofiarowano jej coś rzadkiego i cennego i zaraz odebrano, zanim zdążyła tego dotknąć.

– To straszne – wyznała Domowi przez telefon. Musiała się komuś zwierzyć. Dłużej by tego nie zniosła. – Nie wiem, co mnie napadło. Jestem głupia, ale nic na to nie poradzę.

– Przecież go nienawidzisz – zdziwił się.

– Wiem, ale już nie tak jak...

– Och, daj spokój. Nie cierpisz go.

– Chyba tak.

– Chyba? Co się z tobą dzieje, Burrows? Zaraz, nie mów... Czy ty... czy wy...?

– Nie bądź głupi. Oczywiście, że nie. On tylko... my tylko rozmawialiśmy tego dnia, gdy przegrałam sprawę Taylor. Wpadł do mojego pokoju i pogawędziliśmy chwilę, to wszystko.

– Burrows, co ty przede mną ukrywasz? – spytał Dominik zdecydowanym głosem.

– Niczego nie ukrywam, przysięgam. Chodzi o to, że on był jakiś inny. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– O Boże! Kobiety! To niewiarygodne. Wszystkie jesteście takie same.

– Och, Dom – powiedziała Julia słabym głosem, czując, że zaraz się rozpłacze. – To nie tak, jak myślisz. – Sięgnęła po chusteczkę. Nienawidziła siebie za to, że mu o tym powiedziała. Przecież odkąd pamięta, durzył się jak szalony w Aaronie. Ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałem. Słuchaj, muszę kończyć. Jeden z pracowników chce się ze mną widzieć w sprawie tych przeklętych ogrodów. Kiedy przyjedziesz?

Nagle zatęskniła za przestrzenią i spokojem Hayden Hall.

– Czy... czy mogłabym w ten weekend? – spytała, wycierając nos.

– Kiedy tylko chcesz, kochana – odpowiedział nieoczekiwanie łagodnym głosem.

– Przyjechać po ciebie na stację?

– Tak. Jeśli możesz.

– Załatwione. Przyjeżdż wcześniejszym pociągami, będziemy mieli całą sobotę.

– Dzi-dziękuję, Dom.

– Uważaj na siebie, Burrows. Zstępujesz do Hadesu, wiesz o tym?

– Tak – odparła słabym głosem.

– W takim razie warto się do tego przygotować. Do zobaczenia w sobotę.

– Ależ tu pięknie! – powiedziała tydzień później, gdy wysiedli z samochodu. Otuliła się ramionami i zwróciła twarzą do ogrodów. – Powtarzam to za każdym razem, gdy tu przyjeżdżam, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to uczucie być właścicielem tego wszystkiego.

– Cholernie upierdliwe – odpowiedział Dom, wyjmując jej torbę podróżną z tylnego siedzenia. – Chodź. Matka pełni honory domu, bo ojciec wyjechał na weekend do Londynu. Cały tydzień czekała na twój przyjazd.

– Droga Julio, jak miło cię widzieć – powiedziała lady Barrington-Browne, wstając z kanapy, jak tylko weszli do salonu. Wyciągnęła do Julii obie ręce. – Dominik zbyt późno mi powiedział, że przyjeżdżasz. Bardzo brzydko z jego strony. Coś bym zorganizowała, proszoną kolację lub chociaż lunch.

– Mamo, to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje ta beznadziejnie zakochana dziewczyna – odparł, patrząc na nią z czułością. – I chociaż pozwoliłem jej z tobą porozmawiać, zamierzam zagarnąć ją na cały weekend. Masz godzinę, nie więcej, dobrze? – Popatrzył na zegarek. – Wpadnę teraz na wieś. Muszę się zobaczyć z panem McFaydenem w sprawie ekipy filmowej, która ma się tu zjawić.

– Ekipy filmowej? – Julia spojrzała na niego pytająco.

– Och, to takie straszne, że nie da się tego wyrazić – wtrąciła lady Barrington-Browne, przewracając oczyma. – Dominik uważa, że to warte zachodu, przynajmniej finansowo. Ja zaś myślę, że to tylko kłopot. Spędzą tu kilka tygodni. Pamiętasz Amerykanów, którzy byli tu latem? Dobry Boże!

– Mamo. – Dom rzucił jej miążdzące spojrzenie. – Przestań narzekać. Oni płacą rachunki, i to całkiem spore. No, muszę uciekać. Wracam po nią za godzinę. Korzystaj, póki czas.

Mrugnął do Julii i zniknął za niebywale wysokimi drzwiami.

Lady Barrington-Browne spojrzała czule na swojego gościa.

– Usiądź przy mnie, moja droga, i opowiedz mi o życiu w Londynie. Czy jest bardzo ekscytujące?

Julia się uśmiechnęła. Matka Dominika należała do pokolenia, które uważało Londyn za niezbędne, ale kłopotliwe miejsce. Co prawda mieli tam okazały dom, jak większość ich arystokratycznych sąsiadów, ale ona nie znosiła pośpiechu i hałasu wielkiego miasta. Na wsi czuła się znacznie szczęśliwsza. „Tutejszy świat jest bardziej cywilizowany, nie sądzisz?” Julia nie bardzo wiedziała, co na to

odpowiedzieć. Nigdy nie była na wsi, dopóki Dom nie zaczął jej zapraszać do Hayden Hall. Dla niej wieś kojarzyła się ze spacerami po wzgórzach otaczających Newcastle lub wyprawą na plażę. Życie na wsi było jej równie obce jak Newcastle dla lady Barrington-Browne.

– Nie bardzo – odparła przepaszająco.

– Nie? Jaka szkoda! Tak się cieszyłam na ploteczki. Jak wiesz, nie znoszę miasta, ale chętnie słucham różnych nowinek.

– Przeważnie pracuję – powiedziała Julia. – Na nic innego nie mam czasu.

– Och, wy młodzi. Wszyscy teraz tak mówią. Nic, tylko praca i praca. Za moich czasów było inaczej. Napijemy się herbaty? Poproszę, żeby nam przyniesiono. I parę kanapek. Coś mizernie wyglądasz. Pięknie jak zawsze, ale mizernie. Ojej, co się stało?

Julia poczuła, że nie może wydusić z siebie słowa. Miała kompletnie ściśnięte gardło. Ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głową.

– N-nic – wyszeptała zawstydzona.

– Nic? Nie sądzę. Opowiedz mi o wszystkim, kochanie. Chodzi o mężczyznę, prawda? Ojej, tak myślałam.

Trudno było oprzeć się pokusie porozmawiania z kobietą o sprawach sercowych. Julia miała piętnaście lat, gdy straciła matkę. Był to okres kształtowania się nowych relacji z najbliższą jej osobą, ale śmierć brutalnie to przerwała. Teraz jako dorosła kobieta niewyobrażalnie za nią tęskniła. Nie miała do kogo zwrócić się o radę czy pomoc, nie miała komu zwierzyć się z problemów związanych z wiekiem dorastania, nie miała z kim porozmawiać ani nikogo, kto by ją wysłuchał. Na szczęście lady Barrington-Browne była mądrą, doświadczoną kobietą i pozwoliła jej się wygadać.

– Wygląda na to, że się zakochałaś – stwierdziła, gdy Julia skończyła mówić. – Och, nie mówię, że go kochasz, przecież ledwie go znasz. Ale jesteś pod jego urokiem.

– To niemożliwe – wyjąkała dziewczyna. – Odkąd pamiętam, zawsze go nienawidziłam.

– Bzdura. Miłość i nienawiść to praktycznie to samo. Często się mylą. Nie, ty po prostu spotkałaś godnego siebie przeciwnika. To bardzo niebezpieczne, zwłaszcza dla kobiety. Jeżeli chcesz mieć łatwe życie, wybierzesz kogoś słabszego od siebie, jeżeli nie, to zupełnie inna sprawa. – Uniosła ręce w geście bezradności.

– Nie rozumiem.

– Mężczyźni to proste istoty, Julio. Będą cię przekonywać, że jest wprost przeciwnie, ale to ludzie, którzy mają swoje nawyki i wrodzone skłonności. Problem tkwi w nas. To my wszystko komplikujemy. Zwłaszcza twoje pokolenie. Macie takie wymagania. – Dotknęła ręką szyi. – Niemożliwe do spełnienia.

– Ja-jakie wymagania? – spytała Julia szczerze zdumiona.

– Och, pragniecie, by byli opiekuńczy i silni, umieli słuchać i mówić. Wiem to z pism, które czytam. Ale nie możesz mieć dwóch rzeczy naraz, bo oni albo umieją

mówić, albo słuchać. Rzadko zdarza się mężczyzna, który potrafi jedno i drugie. A twój, jak on ma na imię – Aaron, tak? – to klasyczny produkt nieprzeciętnych rodziców. Biedny chłopak stara się sprostać ich oczekiwaniom i żyje w ciągłym napięciu. Ale daj mu czas, kochanie, wkrótce się opamięta. Wystarczy, że będziesz cierpliwie czekała.

– Czekala? Na co?

– Aż zrobi następny ruch, oczywiście – wyjaśniła lady Barrington-Browne, wyraźnie zdziwiona jej pytaniem. – Musisz dać mu czas, żeby sam do tego doszedł. Doskonale wiesz, co się między wami dzieje. Jesteś mądrą dziewczyną. Ale nie bądź zbyt mądra, przecież nie chcesz go wystraszyć.

– Ale ja nie staram się go złapać – zaprotestowała Julia.

– Oczywiście, że nie. Co za straszna myśl! Ale z tego, co mówisz, mężczyźni tacy jak Aaron nie zdarzają się często, prawda? Po prostu bądź konsekwentna, moja droga. A teraz mogę zadzwonić po herbatę?

Julia ze śmiechem relacjonowała Domowi tę rozmowę, ale czuła się po niej znacznie spokojniejsza.

– Twoja matka jest bardzo spostrzegawcza – powiedziała, gdy późnym popołudniem szli w stronę jeziora leżącego u stóp wzgórza. Szara kamienna fasada pałacu rozplywała się we mgle, a zmierzch kładł się cieniem na błękitnej tafli wody. W powietrzu czuło się chłód. Julia otuliła szyję szalikiem i wsunęła Domowi rękę pod ramię. – Wciąż mnie zaskakuje.

– To fakt – przyznał. – O mnie też chyba wiedziała, jeszcze zanim ja sam to sobie uświadomiłem. Oczywiście nawet słowem o tym nie wspomniała.

– Czy ma coś przeciwko temu?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparł po chwili wahania. – Pewnie chciałyby, żebym osiadł tu z jakąś porządną dziewczyną i spłodził setki dziedziców, ale zawsze też pragnęła mojego szczęścia.

– A twoi rodzice są szczęśliwi?

– Och, dogadują się. Pewnie mama odpowiedziałyby, że to niestosowne pytanie. Uwielbia Hayden Hall i to ją uszczęśliwia.

– To chyba jest im łatwiej.

– O, nie. Zapewniam cię, że mają swoje problemy. Ale szczęście nie jest chyba dla nich priorytetem. Liczy się jeszcze obowiązek i odpowiedzialność. Jak myślisz, dlaczego zrezygnowałem z kariery prawnika? Czy administrowanie Hayden Hall daje mi szczęście? Niespecjalnie. Ale to mój obowiązek, a pomijając ten górnołotny ton, mogę powiedzieć, że znajduję w tym jakąś satysfakcję.

Julia milczała. Jak zwykle, gdy przyjeżdżała do Doma, miała wrażenie, że pałac ze swoją historią daje jej poczucie bezpieczeństwa i wsparcie psychiczne. Popatrzyła na drzewa rosnące po drugiej stronie jeziora. Poczowała się dziwnie onieśmielona łączącą ich przyjaźnią. Od ostatniego spotkania z Aaronem Keelerem cały jej świat

wywrócił się do góry nogami, a przyjazd do Hayden Hall sprawił, że znowu odzyskała równowagę i pewność siebie. W przyływie uczucia chwyciła Doma za rękę.

– Chodź, ścigajmy się do jeziora.

NIELA

Londyn, luty 1997

– Uważaj na siebie, kochana. – Właścicielka sklepu uśmiechnęła się do niej i podała zakupione produkty. – Ciągłe pada, co?

Niela kiwnęła głową.

– Od samego rana – odparła, krzywiąc się. – I wcale nie zamierza przestać.

– Och, przestanie. Gdy stwierdzisz, że już zapomniałaś, jak wygląda słońce, nagle wyjrzy zza chmur, zobaczysz.

– Mam nadzieję – odrzekła dziewczyna.

Zapłaciła za zakupy i wyszła ze sklepu. Na zewnątrz otworzyła parasol i ruszyła spieszenie ulicą. Właścicielka sklepu przynajmniej w jednym miała rację – rzeczywiście Niela zapomniała już, jak wygląda słońce. Od powrotu z Dżibuti minęło sześć tygodni, a Josh nie dał znaku życia. Jakby zapadł się pod ziemię. Żadnego telefonu, żadnego listu, nic, jakby w ogóle się nie spotkali. Może tak właśnie było. Pomyślała o trzech wspólnie spędzonych nocach z mieszaniną zakłopotania i niedowierzania. Dlaczego sądziła, że miały dla niego jakieś znaczenie? Było mu przyjemnie, to na pewno, sądząc po reakcji jego ciała, bo w słowach był oszczędny. Ale żeby pozostawiły niezatarte wspomnienia? To nie jego wina, że nie miała doświadczenia w tych sprawach, że obudził w niej zmysłową kobietę i że teraz nie może o tym zapomnieć.

– Radzę ci, zapomnij – powiedziała Anna, gdy stało się jasne, że nie będzie dalszego ciągu. – To potrafi zjeść cię żywcem. Wiem coś o tym. Dlatego wyrzuc go z pamięci.

Niela popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Niby jak miała to zrobić? Kiedy jednak dni zmieniły się w tygodnie i Josh nadal się nie odzywał, nie pozostało jej nic innego, jak przyznać Annie rację. Musi o tym zapomnieć. Wyrzucić z pamięci Dżibuti i jego.

Otworzyła drzwi do mieszkania. W powietrzu unosił się zapach wczorajszej kolacji. Zniosła zakupy do kuchni i otworzyła okno. Było jasno pomimo grubej pokrywy deszczowych chmur. Jeszcze trzy miesiące długich nocy i krótkich dni. Wilgotne, chłodne powietrze wirowało wokół szyby okiennej. Wyjęła z torby mleko, chleb, jogurt i włożyła do małej lodówki. W mieszkaniu panowała cisza; nawet sąsiedzi, których hałaśliwe kłótnie przenikały przez ściany, umilkli. Starannie złożyła plastikową torbę i położyła ją pod zlewem. Spojrzała na wiszący na ścianie

zegar. Dochodziła dwudziesta. W Dżibuti prawie północ. Ciekawe, co w tej chwili robi Josh? Czy nadal jest w obozie? Niewiele mówił o sobie. Nie wiedziała, kiedy wróci i gdzie mieszka. Wiedziała tylko, że jego rodzice mieszkają w Londynie, ale nie miała pojęcia, gdzie. Po Dżibuti pewnie podejmie kolejną pracę gdzieś w Afryce albo na Środkowym Wschodzie. I to wszystko. Kiedy stamtąd wyjedzie, nic już ich nie będzie łączyło.

Weszła do małego salonu i włączyła telewizor. Musiała czymś zająć myśli. To śmieszne. Znała go, jeżeli można tak powiedzieć, zaledwie miesiąc. Czemu miało ją obchodzić, gdzie był, co robił i z kim to robił? Skrzywiła się mimowolnie. Może teraz jest z kimś. Zagryzła mocno dolną wargę, by o tym nie myśleć. Nie mogła sobie na to pozwolić. Telewizor migotał w rogu. Pokój wypełnił głos prezentera wiadomości. Gdzieś we Francji wykoleił się pociąg. Skupiła uwagę na głosie lektora. Za chwilę wstanie i zrobi sobie coś do jedzenia. Od śniadania nie miała nic w ustach, ale nie czuła się głodna. Przypomniało jej się zdanie, które gdzieś kiedyś przeczytała. „Jeść bez uczucia głodu, kochać się bez pożądania”. To właśnie ona. Nie miała na nic apetytu, a najmniej na jedzenie. Nie, to zdanie nie całkiem odpowiadało prawdzie – pomyślała, patrząc na obrazy migające na małym ekranie. Ona płonęła z pożądania. Zdarzały się ranki, gdy nie mogła nad nim zapanować. Dość tego – postanowiła na wpół z gniewem, na wpół z rozpaczą. To tylko trzy noce, nic więcej. Czy on powiedział lub zrobił coś, co pozwalało sądzić, że będzie dalszy ciąg?

– Ze zniszczonego wagonu wyciągnięto trzy ciała – informował spiker. – Istnieją jednak obawy, że może być ich więcej.

To właśnie ona – pomyślała. Ciało wyciągnięte z jakiegoś wraku.

JULIA

Londyn, marzec 1997

Doroczna wiosenna kolacja Izby Adwokackiej odbywała się w auli w Gray's Inn. Julia szła wysypaną żwirem ścieżką, ciesząc się, że ma szal na ramionach. Marcowy chłód porządnie dawał się we znaki. Denerwowała się. Minął miesiąc od rozmowy z lady Barrington-Browne i nie dość, że lodowate relacje z Aaronem Keelerem nie uległy ociepleniu, to czuła się coraz bardziej niezręcznie w jego obecności. Jeżeli czegoś nienawidziła, to kobiet, które robiły z siebie idiotki, gdy w grę wchodzili mężczyźni, a wyglądało na to, że jej grozi to samo. Mocniej otuliła się szalem, jakby miał ją ochronić nie tylko przed chłodem.

Weszła do auli przyciągającej wzrok belkowanym sklepieniem, wypełnionej gwarem rozmów setek adwokatów, sędziów i profesorów oraz towarzyszących im osób. Żałowała, że nie ma przy niej Doma. Zaprosiła go, ale wyjechał po kryjomu z kimś, kogo poznał w londyńskim nocnym klubie.

– Nie mów mi – powiedziała ze śmiechem pomimo rozczarowania. – Nie chcę o niczym wiedzieć.

Lady Barrington-Browne myślała pewnie, że syn jest z Julią.

Wzięła kieliszek szampana podany jej przez kelnera i podeszła do stojących w rogu kolegów, którzy obgadywali wchodzących gości.

– O rety! Ale szałowo wyglądasz – powiedział James Harriman, unosząc kieliszek.

– Śliczna suknia – dodała Katie Fitzsimmons.

– Dzięki – odparła Julia, oblewając się lekkim rumieńcem. Nie lubiła być w centrum uwagi. – Niezłe przyjęcie – dodała, rozglądając się.

– Nie patrz, ale tam stoi żona Banville'a – powiedział James, wskazując kieliszkiem drzwi. – Widzisz ją? To ta z betonem na głowie.

Julia zachichotała. Lubiła Jamesa Harrimana, bo przypominał jej trochę Doma. Gawędzili przez chwilę o różnych przedstawicielach palestry, dopóki donośny gong nie zaanonsował kolacji.

– Gdzie masz miejsce? – spytała Katie, gdy ruszyli w stronę stołów wyznaczonych dla kancelarii Bernard, Bennison i Wspólnicy.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że posadzą mnie obok kogoś, z kim będę mogła porozmawiać. Gdzie siedzi Daniel?

– Nie wiem. Powiedziałam Liz, żeby dopilnowała, abym siedziała obok Jamesa. Julia się skrzywiła. Nie pomyślała o tym.

– Oby to nie był John Doyle, bo nigdy nie wiem, o czym z nim rozmawiać.

– Nie przejmuj się, nikt nie wie.

Nagle Julia dostrzegła zmierzającego w ich stronę Aarona Keelera. Nie mogła oderwać od niego oczu. Nie widziała go w smokingu od owego pamiętnego dnia w Balliol.

– Nie studiowaliście razem w Oksfordzie? – spytała nagle Katie, jakby czytała w jej myślach.

– Tak. Ale nie przepadaliśmy za sobą. Właściwie to nie znosiliśmy się.

– A tak, ktoś mi mówił, że chlunęłaś na niego butelką szampana czy czymś tam.

– To był kieliszek – mruknęła Julia, czerwieniąc się. – I zasłużył sobie na to.

– Na pewno. Jest piekielnie seksowny, ale potrafi być też upierdliwy. Uważaj, idzie tu. I to sam. – Spojrzała na karteczki z nazwiskami. – Boże! On siedzi obok ciebie.

– Dobry wieczór paniom – rzucił Aaron gładko, zajmując miejsce obok Julii. – Co za pech, Burrows. Będziesz musiała mnie znosić przez cały wieczór.

Nie potrafiła wymyślić żadnej ciętej riposty. Wzruszyła więc ramionami i popatrzyła tęsknie na plecy Katie. Z jednej strony Keeler, a z drugiej Graham Harvey. Zapowiadał się długi wieczór.

Aaron przez całą kolację czuł w nozdrzach nikły, ale rozkosznie zmysłowy zapach perfum Julii. Właściwie to ją lubię – pomyślał, usiłując bez powodzenia nawiązać rozmowę z żoną starszego adwokata siedzącą po jego lewej stronie. W końcu sali, przy ustawionym na podwyższeniu stole, zobaczył Dianę w towarzystwie sędziów Sądu Najwyższego i innych ważnych osobistości. Ich spojrzenia się spotkały. Uniosła kieliszek w toaście i uśmiechnęła się. Pewnego dnia – zdawała się mówić – ty też możesz zasiąść wśród najtęższych prawniczych umysłów Anglii. Ta myśl sprawiła mu przyjemność. Nagle przyszło mu do głowy, że już siedzi obok osoby, której umysł podziwia, chociaż prędejm dałby sobie odciąć język, niż się do tego przyznał. Julia rozmawiała z Harveyem. Jakoś nigdy nie potrafił znaleźć z nim wspólnych tematów. Z dochodzących do jego uszu oderwanych zdań wynikało, że Grahamowi niedawno zmarła żona. Z zaskoczeniem słuchał, jak koleżanka życzliwie z nim rozmawia. Najwyraźniej pod tą kłującą powierzchownością i ciętym językiem kryły się pokłady współczucia. Jej ojciec był, zdaje się, działaczem związkowym, a do tego potrzebna jest empatia dla zwykłego człowieka.

– Skończyłeś? – wyrwał go z rozmyślań cichy głos Julii.

– Słucham?

– Gapisz się na mnie od pięciu minut. Przykro mi, że miałeś pecha, jak to ująłeś, i musisz siedzieć koło mnie przez cały cholerny wieczór, ale nie musisz się tak gapić. To niegrzeczne – syknęła.

Tak go to zaskoczyło, że wybuchnął śmiechem.

– Chryste, Burrows, czy ty nigdy nie odpuszczasz?

– Ja? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – To ty...

– Słuchaj – przerwał jej i odsunął krzesło. – Drugie danie dobiegło końca. Wyjdź ze mną na papierosa.

Na jej twarzy pojawiło się zmieszanie. Właściwie to jest całkiem ładna – pomyślał i zaraz tego pożałował.

– Dokąd? – spytała po chwili.

– Na taras. Nic ci nie grozi.

Ku jego zaskoczeniu odsunęła krzesło i wstała.

– Dobrze, chodźmy – powiedziała i odeszła energicznym krokiem.

Ruszył za nią. Zaproszenie do wyjścia było jego pomysłem, a teraz musiał za nią biec. Jak zwykle, cholera.

Na zewnątrz było chłodno. Julia otuliła się ramionami, wychodząc na taras z widokiem na eleganckie ogrody Gray's Inn. Nie mogła uwierzyć, że się tu znalazła. Oparła się o kamienny słupek balustrady i wzięła papierosa.

– Rzadko palę – powiedziała, kaszląc lekko, gdy dym trafił do płuc. – Zwykle po kieliszku czy dwóch.

– Ja również. Chociaż kiedyś paliłem. W Balliol wydawało się to czymś naturalnym.

– Zawsze idziesz za stadem?

Uśmiechnął się. Dostrzegła w półmroku błysk jego zębów. Nieco dalej od nich jakaś para się całowała. Mężczyzna przesunął dłonią wzdłuż pleców kobiety.

– Kiedyś tak – odpowiedział z rozbawieniem w głosie. – Teraz już nie. A ty? Zawsze biegniesz w przeciwnym kierunku?

Tym razem to ona się uśmiechnęła.

– Zawsze.

– No tak, nie wyglądasz mi na osobę, która robi to, co inni.

Kręciło jej się w głowie. Za dużo wypita – pomyślała. Cały wieczór nabrał nagle dziwnego, surrealistycznego charakteru. Nie tylko rozmawiali ze sobą, ale śmiali się i żartowali. Nagle poczuła tęsknotę, której doświadczyła przy ich poprzednim spotkaniu. Wyciągnęła rękę dla utrzymania równowagi i dotknęła ramienia Aarona. Czy to ona ją tam położyła? Zalała ją fala gorąca. Cofnęła rękę, by dotknąć twarzy, lecz on zatrzymał ją w pół drogi i zamiast puścić przyciągnął do siebie. Tak jak poprzednio przebiegł ją dreszcz nieznośnego pożądania i strachu. Dystans, jaki zachowywał w jej obecności, zniknął nieoczekiwanie. Uścisk Aarona był jednocześnie delikatny i silny. Jego bliskość pozbawiła ją sił. Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca, jakby chciała odzyskać równowagę, zanim upadnie. Tak, to był upadek, kiedy usta Aarona spoczęły na jej wargach, szalony, gwałtowny, odurzający upadek. Poczuła, jak obejmuje Keelera za szyję i przytula się do niego, spragniona bliskości męskiego ciała. „Wstępujesz do Hadesu, Burrows” – zabrzmiały jej w uszach słowa Doma. A potem już o niczym nie mogła myśleć.

MADDY

Nowy Jork/Iowa, marzec 1997

Gwar rozmów w zatłoczonej restauracji zniknął gdzieś w tle. Maddy wpatrywała się w małe czarne pudełko. Siedzący naprzeciwko niej Rafe patrzył na nią z wyrazem napięcia i wyczekiwania na przystojnej twarzy. Przełknęła ślinę. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone. Minęło sześć miesięcy, odkąd wkroczył w jej życie. Kochała go, to oczywiste, kto by nie kochał. Był najmilszą osobą, jaką знаła – solidny, godny zaufania, przystojny, czarujący, utalentowany. Chwilami musiała się uszczypnąć dla pewności, że to nie sen. Rafe Keeler ją kochał, wybrał właśnie ją i zawsze będzie przy niej, nie zrobi tego, co ojciec. Myśl, że mógłby zniknąć, wydawała się absurdalna. On nigdy jej nie zostawi. Mówiły to jego oczy, słowa, czyny, a także rodzina. Nigdy nie znała tak kochającej się rodziny, pomimo napięcia, jakie prowokował najmłodszy brat Josh. Była w Londynie jeszcze dwukrotnie i chociaż nie udało jej się zaprzyjaźnić z jego matką, szczerze polubiła Harveya i Aarona. Oni też chyba ją polubili. Rafe ofiarował jej coś, czego zawsze jej brakowało – rodzinę, miejsce na ziemi, dom. Z nim mogła stworzyć własną rodzinę. Na myśl o tym czuła dziwny dreszcz podniecenia. Może właśnie tak postanowił Bóg czy ktoś, kto podejmował takie decyzje. Może nie była jej pisana wielka kariera aktorska. Miała tego świadomość, wiedziała o tym jej agentka, jedynie Rafe w nią wierzył. Był zafascynowany tym, co ona robi, co myśli, zaangażowaniem w sztukę, a przede wszystkim tym, co nazywał jej talentem. Podczas ostatniego pobytu w Nowym Jorku poszedł zobaczyć ją na deskach małego teatru na off-Broadwayu i nie mógł przestać o tym mówić.

– To byłaś ty, ale jakaś inna. Kompletnie się zmieniłaś. Nie wiem, jak to zrobiłaś. Nawet twoja twarz się zmieniła.

Kuliła się wewnątrz, słysząc te pochwały. Tak bardzo się starała, tak ciężko pracowała, a jednak to nie wystarczało. Czy do końca życia będzie pracować jako kelnerka w Sunshine's? Nie była głupia, wiedziała, że z każdym rokiem maleją jej szanse na sukces. Teraz pojawił się Rafe z nową propozycją na życie – małżeństwo, rodzina, macierzyństwo – dając jej szansę na coś, czego nigdy nie miała. Przełknęła ślinę. A teraz siedzieli we francuskim bistro przy Park Avenue, które wybrał na spotkanie, a między nimi leżało czarne pudełeczko. Spojrzała na niego. Miał potargane włosy. Ogarnęła ją fala czułości.

– Włosy ci się źle ułożyły – powiedziała drżącym głosem, trzymając rękę na pudełku. – Musiałeś je sobie przygnieść podczas snu.

– Nie otworzysz? – spytał, ignorując jej uwagę.

Ponownie przełknęła ślinę i podniosła wieczko. Na czarnym aksamicie błyszczał brylant oprawiony w białe złoto. Poczowała ucisk w żołądku.

– Wiem, że to zbyt nagle... Powinienem coś powiedzieć, uprzedzić cię, ale nie mogę znieść myśli, że wrócę do Londynu bez ciebie. Po prostu nie mogę.

– Rafe... – zaczęła, próbując coś powiedzieć.

– Zgadzasz się?

Wyjęła pierścionek z pudełka, przytrzymała w palcach, po czym przytknęła do policzka. Był zimny i twardy. Na twarzy Rafe'a malowały się sprzeczne emocje – nadzieja, niepokój, obawa, a nawet strach. Nie wiedziała, czy ma się rozpłakać ze szczęścia, czy śmiać.

– Wyjdiesz za mnie? – powtórzył, sięgając przez stół po jej rękę.

Poczowała zimny powiew przyszłości i tysiące pytań cisnęło się jej do głowy. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wszystkie emocje skoncentrowały się na środkowym palcu lewej ręki. Małżeństwo. Oświadczył się jej. Utkwiła wzrok w pierścionku.

– Tak – wyszeptała niemal bezgłośnie. – Tak, wyjdę za ciebie.

– Do Londynu? – powiedziała z niedowierzaniem Martha, sięgając dłonią do gardła. Popatrzyła na pierścionek córki z lekkim zażenowaniem. – Przeprowadzasz się do Londynu?

Maddy ogarnęły wyrzuty sumienia.

– Wiem, że to może być dla ciebie szok – zaczęła z wahaniem. – Powinniśmy cię uprzedzić, przepraszam. Ale ja nie wiedziałam, że on chce się oświadczyć. To wszystko stało się tak nagle.

– Tak nagle? – powtórzyła Martha.

Maddy popatrzyła na nią z niepokojem. Matka miała rumieńce na twarzy podobnie jak ona sama, gdy była czymś podenerwowana. Minął tydzień od oświadczyn Rafe'a. Prawie natychmiast wrócił do Londynu, a ona miała przyjechać do niego za niecały miesiąc. Sięgnęła przez stół do ramienia matki.

– Wiem, dość krótko się znamy, ale czuję, że będzie dobrze. Nie potrafię tego wyjaśnić. Oczywiście to daleko, ale tam jest cała jego rodzina, tam ma pracę. Mnie łatwiej jest się przenieść. On nie może. Mamo, proszę, powiedz, że się cieszysz.

Martha patrzyła na nią przez chwilę, po czym uśmiechnęła się z trudem.

– Och, Maddy, to dobra wiadomość i cieszę się, naprawdę. Tylko to tak daleko. A co będzie z twoją karierą? Tak ciężko pracowałaś, nie możesz przecież teraz z tego wszystkiego zrezygnować.

– Znajdę tam coś. Londyn to teatralna stolica świata. Poszukam sobie agenta, rozejrzę się. Tu nie ma dla mnie żadnych propozycji. Minęły trzy lata, a ja nie zagrałam nawet w reklamie. W Nowym Jorku jest za duża konkurencja.

– A w Londynie nie?

– Przyjedziesz do mnie, mamo. – Maddy szybko zmieniła temat. – Ja też będę często przyjeżdżała. Londyn wcale nie jest tak daleko od Nowego Jorku. Jakoś to będzie. – Jej głos brzmiał żałośnie nawet w jej własnych uszach.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Martha wolno pokręciła głową. – Nie mogę w to uwierzyć – powtórzyła.

Tego wieczoru po kolacji Maddy poszła w stronę obór. Uświadomiła sobie, że ostatni raz była tu, gdy na ziemi leżał śnieg. Rzadko przyjeżdżała do domu. Farma działała na nią przygnębiająco, bo nic tu się nie zmieniało. Teraz, gdy stała wśród porzuconych wiader na mleko, wiedziała, że będzie za nią tęsknić. Nie mogła wymazać jej z pamięci. To był jej dom, może nie taki jak ten na Brooklynie, ale jednak dom. Wychowała się wśród tych kolorów i krajobrazu. A teraz miała zamienić jasne pola pszenicy i płytki staw z mieniącą się srebrzyście powierzchnią

wody na szare, zachmurzone miasto, w którym prawie nigdy nie świeciło słońce.

Westchnęła, odwróciła się tyłem do obór, otworzyła bramkę oddzielającą krowy od byków, zamknęła ją za sobą i ruszyła przez pola do małego zagajnika przy granicy farmy. Wsunęła dłonie w kieszenie, czując ciężar pierścionka na palcu lewej ręki. Podmuch wiatru smagnął ją po twarzy. Słońce zaszło za horyzont i zrobiło się chłodniej. W lesie czuć było wilgoć. Z ziemi unosił się ostry zapach mchu. Rozejrzała się na boki, szukając czegoś, i wreszcie znalazła ostatnie drzewo przy płocie. Podeszła do niego i objęła dłońmi pień, jak robiła to tysiące razy. Kora była twarda i łuszczyła się w miejscach, gdzie chwycił mróz. Wyjęła z kieszeni mały scyzoryk, który przyniosła ze sobą. Przesunęła opuszkami palców po wyrytym napisie: 21 lipca 1982, po czym zaczęła skrobać dzisiejszą datę. Zdmuchnęła jasne strużyny i schowała scyzoryk do kieszeni. Dostała go od ojca, był to jeden z ostatnich prezentów od niego. Popatrzyła na napis. Za kilka miesięcy litery się wygładzą i zmatowieją, a napis stanie się częścią pnia, jak stwardniała skórka na poczerńiałej powierzchni.

Ruszyła w stronę domu. Na małym wzniesieniu odwróciła głowę, spoglądając na drogę, którą przebyła, prawdopodobnie ostatni raz.

DIANA

Londyn, kwiecień 1997

Diana przerwała krojenie cebuli. Stojący za nią Rafe i Maddy czekali w napięciu na jej odpowiedź. Rozmyślnie się z nią wstrzymywała, aby zapanować nad głosem i móc mówić wyraźnie i naturalnie.

– Ślub cywilny? – powiedziała w końcu. – W urzędzie stanu cywilnego?

– Mamo, rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że nie chcemy całego tego przedstawienia, prawda, kochanie? – zwrócił się Rafe do Maddy, która miała dość rozsądku, by milczeć.

Rozmawialiśmy o tym? – powtórzyła w myślach Diana. Jacy my? Ręce jej się trzęsły. Odsunęła na bok starannie pokrojone jarzyny i odwróciła się wolno w ich stronę.

– No cóż – powiedziała lekkim tonem. – To wasza decyzja. Mnie nie przyszłoby do głowy... Nie przypuszczałam...

– Przecież zawsze możemy... Jeszcze niczego nie przesądziliśmy... Rozumiem, że nie tak to sobie wyobrażałaś...

To oczywiście była Maddy: pragnąca się przypodobać, gadająca jak najęta, niezdecydowana, niezdolna do zajęcia stanowiska i nieznośnie irytująca.

– Nie, skoro tak postanowiliście, Rafe, to nie mam prawa zmieniać waszych planów.

Diana miała świadomość, że jej głos brzmi lodowato, ale czuła się tak, jakby wymierzono jej policzek. Już było źle, gdy wróciła wieczorem do domu i odczytała wiadomość na automatycznej sekretarce.

– Mamo, to ja. Jestem w Nowym Jorku. Mam dla ciebie nowinę... Chcemy ci coś powiedzieć. Pobieramy się. Wracam w sobotę wieczorem. Nie mogę się doczekać, by ci o wszystkim opowiedzieć. Ale Maddy się zgodziła. Pobieramy się. Kocham cię.

Odsłuchiwała tę wiadomość kilkanaście razy. Kto to widział, żeby przekazywać tak ważną informację przez automatyczną sekretarkę? Skasowała ją, zanim Harvey wrócił do domu. A teraz stali przed nią jak para dzieciaków i opowiadali, że wszystko zaplanowali. Rafe, jej najstarszy syn, miał wziąć ślub w urzędzie stanu cywilnego. Nie, do cholery, nie tak to sobie wyobrażała.

– No i co o tym wszystkim myślisz? – spytała wieczorem Harveya, gdy narzeczeni wyszli i w domu znów zapanował spokój. Starła się zachować neutralny ton głosu.

Skończyła szcztokować włosy i odwróciła się do męża.

– Wydaje się miła – odpowiedział łagodnie. Zbyt dobrze znał Dianę, by nabrać się na tę pozorną obojętność.

– Miła?

Odłożył czasopismo, które przeglądał, i popatrzył na żonę.

– Nie znamy jej – powiedział. – Przynajmniej na razie.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – Czuła, jak rośnie w niej napięcie.

– Co? Że stało się to tak szybko? – dokończył za nią pytanie. – No cóż, zawsze twierdził, że tę kwestię pozostawimy do ich decyzji – odpowiedział po chwili. – Że nie będziemy się wtrącać.

– To wszystko jest dziwne. Przecież on w ogóle jej nie zna. Ile razy się spotkali? Cztery? Pięć?

– Kochanie, Rafe wygląda na bardzo szczęśliwego. Zostawmy im te sprawy, dobrze?

Nic nie powiedziała. Zgarbiła się, drzenie przebiegło jej po plecach, a skóra zmarszczyła się jak powierzchnia wody pod wpływem wiatru.

MADDY

Londyn, kwiecień 1997

– Jedną chwileczkę... już... skończone – oznajmiła Claire, fryzjerka zamówiona przez Dianę, po czym odsunęła się, by podziwiać własne dzieło. – Wygląda uroczo, prawda? – zwróciła się do pani Pryce, oczekując potwierdzenia.

– Tak – odparła Diana, kiwając głową. – Wszystko gotowe? Zejdę na dół, by sprawdzić, jak idą przygotowania. Harvey cię zawiezie.

Maddy kiwnęła głową, nie ufając własnemu głosowi. To był dzień jej ślubu, a ona nie miała przy sobie nikogo bliskiego. Sandy, jedyna przyjaciółka z Nowego Jorku, którą stać było na przyjazd do Londynu, bawiła na Karaibach, a matka nie mogła zostawić krów w okresie cielenia się. To wyłącznie ich wina, bo postanowili pobrać się tak szybko.

– Później urządzimy drugie przyjęcie – obiecał Rafe. – A potem sprowadzimy twoją matkę na co najmniej dwa tygodnie. Zabierzemy ją do Paryża, oczywiście, jeżeli będzie chciała przyjechać.

Maddy kiwnęła jedynie głową. Wciąż miała wrażenie, że w tym nie uczestniczy. Nie umiała podjąć żadnej samodzielnej decyzji w jakiegokolwiek sprawie, nie mówiąc już o weselu. Na szczęście Diana, gdy otrząsnęła się z szoku, przejęła dowodzenie. Zadecydowała o wszystkim, poczynając od win i kwiatów w urządzeniu stanu cywilnego, po zatrudnienie organizatorów przyjęcia, którzy w tej chwili ustawiali stoły w ogrodzie. Załatwiła nawet pogodę. Wczoraj lało jak z cebra, a dzisiaj wstał jasny i słoneczny dzień bez jednej chmurki na niebie.

Dziewczyna podniosła się ostrożnie z krzesła. Włosy opadały jej na ramiona i plecy kaskadą pięknych loczków. Claire przez większą część ranka myła je i układała. Ślubna suknia była elegancka i prosta w kroju – długa do samej ziemi, jedwabna, w kolorze kości słoniowej, z podwyższoną talią i mocno dopasowaną górą. Do tego bukiet kremowych róż i piękna jedwabna torebka, prezent od matki. Po raz ostatni spojrzała w lustro i wyszła za Dianą z pokoju.

Dochodziła jedenasta. Połączone klany Keelerów i Pryce'ów czekały w pobliskim ratuszu. Po krótkiej ceremonii wszyscy mieli wrócić do domu, gdzie przygotowano przyjęcie. Maddy popatrzyła przez okno na ogród. Wyglądał jak z bajki, z wykrochmalonymi białymi obrusami, kryształową zastawą, bukietami białych róż i mocno pachnących lilii. Zatrzymała się na chwilę na podeście. W domu panowała cisza. Na poddaszu były trzy pokoje – gościnny, w którym spała tej nocy, gabinet Harveya i pokój Josha, do którego nikt nie zaglądał. Kiedyś Aaron powiedział jej, że

najmłodszy brat zawsze spał piętro wyżej od innych. Popatrzyła na zamknięte drzwi do pokoju. Pod wpływem impulsu nacisnęła klamkę. Otworzyły się cicho i weszła do środka.

Pokój był duży, pośrodku łóżko, na jednej ścianie plakat z podobizną Che Guevary, pod drugą ścianą tekturowe pudełka. Wewnętrzne drzwi prowadziły do małej łazienki. W rogu piętrzyły się walizki. Spojrzała z ciekawością na pudełka. Każde było starannie opisane: Bośnia, Smara, Gaza, rzeczy osobiste, dokumenty, sprawozdania. Jedno można było powiedzieć o Joshu, że był dobrze zorganizowany. Nigdy nie widziała równie starannego pisma. Już miała się odwrócić i wyjść z pokoju, gdy jej uwagę zwróciła fotografia przyklejona do drzwi. Przedstawiała Josha obejmującego ramieniem dziewczynę z częściowo zasłoniętą twarzą i długim pasmem kasztanowych włosów, które wysunęło się spod chusty i opadało w błyszczącym nieładzie na jego ramię. Dziewczyna się śmiała, on nie. Kim ona jest? – zaciekawiła się. Pewnie jego ukochaną. Za plecami mieli jakieś niedokończone budynki, powiewające na wietrze plastikowe płachty, płaty blachy falistej i anteny telewizyjne przymocowane do bambusowych tyczek. Pewnie jakiś obóz. Ciekawe, gdzie zrobiono to zdjęcie.

– Maddy! – zabrzmiał z dołu głos Harveya.

Drgnęła gwałtownie.

– Idę! – zawołała, po czym szybko zamknęła drzwi i skierowała się ku schodom.

Pan Keeler czekał na nią u ich stóp.

– Wyglądasz ślicznie, moja droga – powiedział. – Po prostu ślicznie.

– Dzi-dziękuję – wyjąkała.

Czasami bywał chłodny i nieprzystępny, ale miał w sobie wiele życzliwości.

Poczuła słony smak łez w gardle.

– Dasz sobie radę – powiedział, uśmiechając się do niej.

Kiwnęła głową, wzięła głęboki oddech i zeszła do niego. Podał jej ramię, a gdy wsunęła pod nie rękę, przykrył ją swoją dłonią.

– Dam sobie radę – powtórzyła za nim.

– Na pewno.

Podczas krótkiej ceremonii czuła rękę Rafe'a na swojej i słyszała nikły, ale wyraźny szum pojazdów na Upper Street, dobiegający przez otwarte okno urzędu stanu cywilnego, gdzie oboje złożyli podpisy w oprawionej w skórę księdze. Wszystko odbyło się szybko i bez zbędnej zwłoki. Gdy składała podpis, ręka tylko nieznacznie jej drżała. Potem przyszła kolej na Rafe'a. Jego pismo było takie jak on – silne, wyraźne i pewne. Pocałowała go. Zgromadzeni na uroczystości przyjaciele i członkowie rodziny wzniesli toast za zdrowie młodej pary i było po wszystkim. Przeszli korytarzem do głównych schodów, gdzie czekali kolejni przyjaciele, krewni i kuzyni. Podchodzili do niej, jedna osoba za drugą, lecz ona nie zapamiętała ani jednego imienia. Kiedy towarzystwo opuściło wreszcie ratusz i przeszło wolno

Northampton Park Road do domu, ręka jej zdrętwiała, a policzki bolały od uśmiechania się.

W domu weszła na górę, aby się przebrać. I znowu Diana przyszła jej z pomocą. Druga suknia była równie elegancka i prosta, uszyta z miękkiego płótna w kolorze różowym, do tego piękny, kremowy rozpinany sweter z jedwabiu i kaszmiru oraz proste czarne pantofle bez pięt. Wyjęła z włosów spinki i przypięła nad uchem czarną jedwabną różę, kupioną poprzedniego dnia. Brylant na palcu błysnął w promieniach słońca. Popatrzyła na siebie w lustrze. Pani Keeler. Dotknęła róży drżącymi palcami, po czym odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi.

W ogrodzie kelnerki o długich włosach, ubrane w czarne spódnice i białe wykrochmalone bluzki roznosiły szampana. Z salonu dochodziły dźwięki muzyki. Otaczał ją śmiech i gwar rozmów. Wszystko było tak, jak trzeba. Dostrzegł ją Rafe i natychmiast podszedł. Delikatnie założył jej kosmyk włosów za ucho, uśmiechnął się i podał smukły kieliszek, po czym ktoś go od niej odciągnął. Zobaczyła Dianę krążącą dostojnie pośród gości, odbierającą gratulacje w imieniu szczęśliwej pary. Dlaczego ludzie gratulują rodzicom państwa młodych? – zastanawiała się, sącząc szampana i ciesząc się chwilą samotności.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się zbyt przytłoczona tym wszystkim – usłyszała za plecami czyjś głos. – Jesteśmy sporym klanem.

Drgnęła i odwróciła się. Stojący przed nią mężczyzna był wysoki i silnie zbudowany, miał czarne, posiwiałe na skroniach włosy i czarne oczy z ciężkimi powiekami.

– Słucham? – wyjąkała.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się onieśmielona tym całym tłumem gapiącym się na ciebie. Widzę, że świetnie sobie radzisz.

– Oni są... jesteście bardzo mili.

– Wyglądasz wspaniale. Rafe to szczęściarz.

Zarumieniła się. Było w nim coś dziwnie znajomego, kogoś jej przypominał.

– Czy my się znamy? – spytała.

– Och, przepraszam. – Wyciągnął rękę. – Jestem Rufus, brat Harveya i stryj Rafe'a. A teraz pewnie i twój.

– Och!

Uścisnęła podaną rękę. Słyszała już to imię. Zdaje się, że nie bardzo dogadywali się z Dianą. Podśledzała, jak Rafe i Aaron sprzeczną się, gdzie go posadzić na weselu. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, pojawił się pan młody.

– Stryj Rufus – powiedział z uśmiechem. – Kiedy przyjechałeś?

– Pół godziny temu. Omal się nie spóźniłem. – Kiwnął głową w stronę Maddy. – Jest urocza. Szczęściarz z ciebie.

Dziewczyna poczuła, że czerwieni się pod jego spojrzeniem.

– Miło cię poznać – powiedziała, dotykając ramienia mężczyzny.

Popatrzył na jej rękę, lecz nic nie powiedział. Cofnęła ją szybko. Żle się zachowała? Znowu? Na szczęście nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo podszedł do nich kolejny gość.

– Ciocia Hermiona – pospieszył Rafe z informacją i Maddy znalazła się w kolejnych miękkich objęciach pachnących perfumami. Kiedy udało jej się wyswobodzić, stryja Rufusa już nie było.

– Rufus! – Diana usłyszała zaskoczony okrzyk Harveya i omal nie upuściła kieliszka. Poczła dreszcz strachu przebiegający wzdłuż pleców. Chwilę stała, by zapanować nad wyrazem twarzy, po czym wolno się odwróciła.

– Kochanie, spójrz, kto przyjechał. – W głębokim głosie Harveya brzmiała radość.

– Rufus. – Zmusiła się do uśmiechu. – Co za niespodzianka. Nie wiedzieliśmy, że przyjedziesz.

– Nie planowałem tego. Jestem w drodze do Stanów, ale udało mi się dotrzeć na czas. – Pochylił się i pocałował ją w oba policzki. – Jak się miewasz?

– Dobrze – mruknęła, chociaż miała ochotę się odwrócić. Skóra paliła ją w miejscu, gdzie jej dotknął.

– Wysłaliśmy ci zaproszenie – powiedział Harvey, obejmując brata ramieniem. Rufus się uśmiechnął.

– Dostałem je, ale nie byłem pewny, gdzie będę. Jest urocza. – Wskazał głową na Maddy.

– Prawda? Ma chłopak szczęście. No to czego się napijesz? Nie mów... Krwawej mary. – Harvey uśmiechnął się do niego. – Nie zapomniałem.

– Oczywiście. Podwójną, jeśli można.

Gospodarz odszedł w poszukiwaniu drinka i Diana została sama z Rufusem. Pochyliła głowę, udając, że zdejmuje jakiś pyłek z sukienki.

– Gdzie on jest? – spytał tuż przy jej uchu.

Nie podniosła głowy, lecz wiedziała, o kogo chodzi.

– W Dżibuti. Wyjechał przed Bożym Narodzeniem.

– Jak się miewa?

– Dobrze – mruknęła. Odwracała głowę, bojąc się spojrzeć mu w oczy. – Nie teraz. Nie możemy teraz rozmawiać.

JULIA

Londyn, kwiecień 1997

Dwa tygodnie po kolacji, która kompletnie wytrąciła ją z równowagi, Julia stała przed lustrem w sklepie, do którego normalnie by nie weszła, i niezdecydowanie muskała palcami długą jedwabną suknię bez ramiączek. Była piękna, chociaż nie w jej stylu, w kolorze śliwki przechodzącej u dołu w czerń. Miała dopasowaną górę i układała się wokół nóg w cudownie miękkie fałdy. Cena też robiła wrażenie. Usiłowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała w tym stroju, gdy pojawiła się ekspedientka. Pięć minut później Julia patrzyła z niepokojem na swoje odbicie w długim, trzyskrzydłowym lustrze w przebieralni.

– Jest śliczna – westchnęła sprzedawczyni z przesadnym zachwytem w głosie. – Po prostu śliczna.

– Nie jest zbyt ciasna? – spytała klientka z niepokojem, obracając się na boki.

– Skądże znowu. Ma pani wspaniałą figurę. Mamy też piękne szale do kompletu. Zaraz pani przyniosę.

Zniknęła, zanim Julia zdążyła zaprotestować.

Pół godziny później wyszła z butiku z sukienką, szalem, parą butów i naszyjnikami zapakowanymi w jedną z tych wielkich, świadczących o randze sklepu toreb i starała się nie myśleć o tym, że wydała na to fortunę. Było warto – przekonywała siebie w duchu. Ta suknia będzie jej długo służyła, to inwestycja, nie zbytek. Ruszyła spiesznie Fleet Street, uderzając torbą o nogi. Całą przerwę na lunch spędziła w przymierzalni pachnącej perfumami innych kobiet, w większości niepodobnymi do tych, których sama używała.

Weszła do biura i ukryła torbę pod biurkiem. Włączyła komputer i usiłowała nie myśleć o kimś, kto nie dawał jej spokoju od prawie dwóch tygodni – o Aaronie Keelerze.

– Julio? – Do pokoju zajrzała Katie Fitzsimmons. – Doyle prosi, żebyś wzięła udział w spotkaniu z Aimée Sinclair. Zaraz zaczynają.

Raptownie wróciła na ziemię.

– Muszę? – spytała z irytacją w głosie.

– Bez dwóch zdań. Jak Doyle czegoś chce, nie masz nic do gadania. Powodzenia. Powiesz nam, jakie operacje plastyczne sobie zrobiła.

Julia westchnęła i wstała.

– Gdzie oni są? – spytała.

– Na pierwszym piętrze, duża sala konferencyjna w końcu korytarza. Wzięła notatnik i wyszła za Katie z pokoju.

– O, Julia. Dziękuję, że do nas dołączyłaś. – John Doyle uniósł wzrok, gdy weszła. Pospiesznie wsunęła się na najbliższe krzesło. Spotkanie musiało być ważne, bo uczestniczyło w nim trzech starszych wspólników, dwóch szefów działów i dwóch młodszych adwokatów – sama śmietanka. Skupiła się na trwającej dyskusji. Słyszała o Aimée Sinclair, kto by nie słyszał. Ta kiepska aktoreczka kilka lat temu poślubiła bajecznie bogatego producenta wideoklipów i szybko urodziła mu dwoje dzieci, z którymi wszędzie się pokazywała. A teraz używała ich jako kart przetargowych w zbliżającym się procesie rozwodowym. Zapowiadała się ostra i bezpardonowa walka między małżonkami. Członkowie rady byli za tym, żeby podjąć się tej sprawy – rozgłos i wynagrodzenie przyniosłyby korzyść firmie i pomogły w dofinansowaniu mniej dochodowych działów kancelarii. Julia słuchała tych argumentów jednym uchem. Procesy rozwodowe bogatych par śmiertelnie ją nudziły, nie po to kończyła prawo. Nie miała zielonego pojęcia, po co ją wezwano na to zebranie. Miała nadzieję, że nikt nie poprosi jej o opinię. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wybrano właśnie ją, a nie Aarona, Katie czy Daniela.

– Co o tym sądzisz, Julio? – zapytał nagle Doyle, odwracając się w jej stronę. – Z pewnością decyzja pani Sinclair, by spędzić trochę czasu na południu Francji, będzie miała duży wpływ na przebieg sprawy o opiekę nad dziećmi.

Julia zamrugnęła powiekami. Pytanie ją zaskoczyło, podobnie jak wzbierający w niej gniew. Otworzyła usta, wiedząc, że prawdopodobnie gorzko tego pożałuje, lecz było za późno. Słowa wypłynęły, zanim zdążyła je powstrzymać.

– Wszyscy wiemy, że dzieci, których rodzice się rozwodzą, przeżywają ciężkie chwile, bez względu na to, jak tę sprawę im przedstawimy. Większość ich spędza potem połowę życia, jeżdżąc od jednego domu do drugiego, zamiast odrabiać lekcje, bawić się z kolegami, tworzyć własne związki, które przy odrobinie szczęścia mogłyby przetrwać do końca ich dni. Jeżeli chodzi o te dzieci, wygląda na to, że całe dzieciństwo spędzą w samolotach i pociągach. Dlaczego? – Odwróciła się i popatrzyła na Aimée Sinclair, która otworzyła usta ze zdziwienia. – Bo potrzebna pani ciemniejsza opalenizna?

W drugim końcu stołu ktoś gwałtownie wciągnął powietrze w płuca. Doyle wpatrywał się w Julię z przerażeniem. Chrząknął, jakby chciał jej przeszkodzić, lecz ona była w swoim żywiole.

– Wszyscy sądzą, że dzieci łatwo się dostosowują. W ten sposób zapewniamy sobie dobre samopoczucie, czyż nie? – Popatrzyła wyzywająco po uczestnikach zebrania. – Ale najnowsze badania temu przeczą. Pani dzieci do końca życia będą cierpiały z powodu tej żalosnej ugody. Nie mówię, że rozwód to coś złego. Wszyscy byliśmy kiedyś w sytuacjach, z których chcieliśmy się wydobyć. Ale tu w grę wchodzi dzieci i jeżeli chce pani zerwać związek małżeński tylko dlatego, że się

pani znudziło, to proponuję, żeby znalazła sobie pani jakieś hobby, i to takie, za które nie musiałyby płacić dzieci, najlepsza rzecz, jaka się pani przydarzyła. – Wstała, świadoma śmiertelnej ciszy, jaka zapadła, wzięła notatnik i wyszła.

Po wyprowadzeniu łkającej Aimée Sinclair z budynku Doyle wrócił na salę. Wszyscy nadal byli w szoku.

– Co ją napadło? – spytał oszołomiony. – Straciliśmy przez nią prawdopodobnie najbardziej lukratywną klientkę.

– Zuch dziewczyna – oznajmił nagle Mike Banville, jeden ze starszych wspólników. – Może nie była to najlepsza pora, ale czas, by ktoś to powiedział. Moim zdaniem wszyscy ci sławni klienci są po prostu śmieszni. Tylko przeszkadzają prowadzić naprawdę ważne sprawy.

– Tak, ale to właśnie oni płacą za te, jak to ująłeś, naprawdę ważne sprawy – zauważył oschle Nathaniel Peterson, szef działu sporów sądowych. – Dzięki nim stać nas na prowadzenie mniej dochodowych spraw. Klienci tacy jak Aimée Sinclair opłacają adwokatów takich jak Burrows.

– Masz rację. Ona zajmuje się dyskusyjnymi, niemożliwymi do wygrania sprawami, które pochłaniają Bóg wie ile czasu. Robi to praktycznie pro publico bono.

– Ale jest w tym cholernie dobra. Zgoda, to nie są powszechnie znane sprawy, ale Julia pracuje z wielką pasją i wnosi pewną... uczciwość do tego zawodu. Uczciwość, która, powiedziałbym...

– Dobrze już, dobrze, Ken, daj spokój. Zgadza się, jest trochę samowolna i nieprzewidywalna, ale takie osoby mogą stać się naszymi największymi atutami. Pamiętam, jak...

– Na litość boską, daj spokój tym wspominkom – jęknął Alistair Kennedy – bo nigdy stąd nie wyjdziemy. Właściwie o czym my tu dyskutujemy? Czy zamierzamy ją wylać? Nie. Mógłby ktoś udzielić jej przestrogi? Dobry pomysł. Czy w przyszłości będzie robić nieprzewidywalne rzeczy? Prawdopodobnie będzie. Niech więc tak zostanie.

Aaron słuchał krążących z ust do ust plotek z lekką irytacją. Co Julia Burrows miała w sobie, że wywołała takie burzliwe dyskusje? W Balliol było podobnie. Nikt nie potrafił wzbudzać takich emocji jak ona. Włączył komputer i rozłożył dokumenty. Nagle uświadomił sobie, że nie tylko go to irytuje, ale i niepokoii. Dlaczego on nie potrafił wywołać czegoś więcej poza poklepaniem po plecach czy kiwnięciem z aprobatą głową? Dlaczego nie intrygował ludzi tak jak Julia Burrows? Palców obu rąk nie wystarczało, by policzyć, ile razy jej cholerne nazwisko pojawiała się w rozmowach. Każdy miał jakieś zdanie na jej temat, ale nikt nie potrafił niczego powiedzieć o nim, poza tym, że jest chlubą kancelarii. Miał dość bycia chlubą. Twarda, żarliwa, uparta, nieprzewidywalna – lista przymiotników

określających Julię Burrows rosła z każdym dniem odwrotnie proporcjonalnie do tego, co mówiono o nim. On nie pokrzyżował komuś planów, nie wydał opinii czy nie wywołał reakcji innej niż ta, jakiej się po nim spodziewano. Dla wszystkich poza nim było to zrozumiałe. Dostosowywał się do oczekiwań, nie wiedząc nawet, jakie one są. Dlaczego więc ona tego nie robiła? I dlaczego było to takie ważne? Nie mógł przestać o niej myśleć od tej przekłętej kolacji. Nie dlatego, że się z nią całował. Chryste, kilka kieliszków wina, bezbrzeżnie nudna sąsiadka i gotów był pocałować każdego. No, prawie. Chociaż... Przestał pisać i spojrzął w okno zamyślony. Tego wieczoru była jakaś inna. Może z powodu sukienki? Usiłował przypomnieć sobie, jak była ubrana. Może włosy... Inaczej je uczesała? Przecież nie była w jego typie. Lubił kobiety, które wyglądały i zachowywały się jak kobiety. Ciepłe, zmysłowe, chętne. Nie lubił uszczypliwości i kanciastości Julii. Chociaż... Przechylił głowę na bok. Właściwie to nie była wcale kanciasta. Miała szczupłą, niemal chłopięcą sylwetkę i dużo uroku. Podobały mu się jej włosy – kasztanowe, błyszczące. Lubił też jej zapach i sposób wysławiania się. Oczywiście, jeżeli człowiek przyzwyczaił się do jej akcentu. Miała specyficzny sposób formułowania myśli, była bystra i inteligentna. Popatrzył na ekran komputera. Ostatnie słowo napisał jedenaście minut temu. Jedenaście minut. Przez cały ten czas myślał o Julii Burrows. Co się z nim działo, u diabła?

Piętro wyżej w damskiej toalecie przylegającej do biblioteki Julia obmywała rozpaloną twarz zimną wodą, marząc o tym, żeby ziemia się pod nią zapadła. Co ona najlepszego zrobiła? Od tej kolacji nie była sobą. Przecież tylko się z Aaronem całowała. Pragnęła więcej, ale on się wycofał, jak zawsze. Popatrzył na nią w ciemności bez słowa, a potem niezwykle czule pocałował w czubek nosa i odprowadził na miejsce. „Zanim zrobię coś, czego oboje będziemy żałowali” – powiedział. Była zbyt rozczarowana, by mu odpowiedzieć. Żałował? Czemu miałby tego żałować? Uświadomiła sobie, że nic o nim nie wie. Czy miał kogoś? Może żonę? Spojrzała w lustro. Oczy, zwykle przejrzyste i jasne, były matowe i smutne. Wyglądała jak jedno wielkie nieszczęście, z którym nie potrafiła sobie poradzić. W ciągu dwóch tygodni, jakie upłynęły od pocałunku, widziała Aarona dwukrotnie i za każdym razem wydawał się taki sam: powściągliwy, nieprzystępny, daleki. Jakby nic między nimi nie zaszło. Uśmiechnęła się smutno. Czy możliwe, żeby po tych wszystkich latach ona i Dom znaleźli się w tej samej sytuacji? Oboje beznadziejnie zakochani w Aaronie Keelerze? Westchnęła ciężko. Tak, przyznaj to wreszcie, miej odwagę powiedzieć to głośno. Poruszając jedynie wargami, wypowiedziała te słowa do milczącego lustra. Była zakochana w mężczyźnie, który nie zwracał na nią uwagi.

JOSH

Londyn, maj 1997

Recepcjonistka popatrzyła na niego.

– Niela Aden? – Kiwnął głową. – Sprawdzę, czy jest. Pańskie nazwisko?

– Josh Keeler.

Patrzył, jak wykręca numer wewnętrzny palcem o długim polakierowanym paznokciu. Czekał niecierpliwie, czując, jak serce mu bije pod wełnianym swetrem.

– Przykro mi, ale nie odbiera. Spróbuję jeszcze w sali konferencyjnej.

Uczucie zawodu odpowiadało pustce, jaka go ogarnęła w ciągu tygodni i miesięcy po jej wyjeździe. Nie był na nią przygotowany. Nie doświadczył czegoś podobnego od chwili rozstania z Ranią i przysiągł sobie, że nigdy więcej nie chce przez to przechodzić. Nigdy nikomu nie pozwoli zbliżyć się do siebie. Niespodziewanie Nieli Aden to się jednak udało, chociaż kompletnie nie był na to przygotowany. Bronił się przed tym w jedyny znany mu sposób – próbował wyrzucić ją z pamięci, ukryć głęboko te krótkie spędzone z nią chwile. Rzucił się jak szalony w wir pracy, stawiał baraki jeden za drugim, zmuszał ludzi do wysiłku ponad możliwości, byle szybciej, byle prędzej. Mieli skończyć w czerwcu, a skończyli przed terminem i zmieścili się w budżecie, co dotąd się nie zdarzało. Prawdziwy cud. Jak zwykle dostał dwa tygodnie urlopu, nowy kontrakt i zanim się zorientował, rezerwował bilet na lot do Londynu.

Teraz stał przy stanowisku recepcyjnym w biurze, w którym pracowała Niela, z sercem walącym jak u nastolatka, usiłując stłumić bolesne uczucie rozczarowania dręczące go od chwili, gdy okazało się, że jej nie ma.

– Nie wiem, gdzie może być – powiedziała recepcjonistka. – Zwykle jest w biurze o tej porze. Chciałby pan zostawić wiadomość?

Pokręcił głową.

– Dziękuję. Spróbuję później.

– Proszę bardzo.

Wyszedł z budynku i ruszył Rivington Road. Okolica się zmieniła, odkąd był tu ostatni raz. Prawie na każdym rogu były nowe sklepy: winiarnie, małe butiki, księgarnia specjalistyczna i sklep ze zdrową żywnością. Jako student często bywał tu na imprezach, które odbywały się w olbrzymich, nieogrzewanych loftach przy Charlotte Road. Wtedy była to opuszczona dzielnica. Pamiętał jedną taką imprezę... Zatrzymał się nagle, bo ktoś po drugiej stronie ulicy przyglądał mu się z uwagą. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, kto to jest. Przez twarz przemknął mu

wyraz niedowierzania. Pospiesznie przeszedł na drugą stronę.

– Niela.

– Josh? – Przystanęła i popatrzyła na niego zaskoczona. – Co... co ty tu robisz? Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Ja... nie jestem pewien. Poszedłem do twojego biura, ale cię nie było.

Szukał na jej twarzy oznak miłego zaskoczenia lub radości, jednak ich nie dostrzegł. Była taka, jaką ją zapamiętał: opanowana, spokojna, wyczekująca. Poruszyło go to ponad wszelkie wyobrażenie.

– Kiedy przyjechałeś? – spytała w końcu.

– Wczoraj rano. Pojechałem do domu rodziców. Przyjechałbym od razu do ciebie, ale nie wiedziałem, nie wiem, gdzie mieszkasz. – Urwał, zaskoczony własnymi słowami. Zupełnie siebie nie poznawał, był niepewny, zdenerwowany, i to z powodu kobiety.

Nadal patrzyła na niego z tą mieszaniną podejrzliwości i niedowierzania, która jednocześnie ekscytowała go i przerażała.

– Dlaczego? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Chciałem cię zobaczyć. – Nie było sensu tego ukrywać.

– Po tak długim czasie?

Pokręcił wolno głową.

– Nie wiem, co powiedzieć. Ja... nie chciałem... To... – Urwał. – Może moglibyśmy gdzieś porozmawiać. Głupio się czuję, stojąc tak na ulicy. Poza tym jest zimno. Nie jest ci zimno? Pewnie tak. – Nie miała na sobie płaszcza.

Popatrzyła mu w oczy. Czuł wolne, miarowe bicie serca i radość ze spotkania. Nie mógł uwierzyć, że znowu ją widzi. Rysy twarzy, które miał przed oczyma przez prawie trzy miesiące, były wyraźniejsze i piękniejsze, niż zapamiętał, ale również bardziej obce. Wstrzymał oddech. Nagle świat wokół niego zwolnił i wszystko jakby znieruchomiło. Wtedy się uśmiechnęła. Ulga spłynęła na niego szeroką falą.

– Może spotkamy się po pracy. Na końcu ulicy jest kawiarnia. Spotkajmy się tam koło piątej.

Kiwnął głową.

– Będę – odpowiedział. – Dziękuję – dodał po chwili wahania.

Miał wrażenie, że zrozumiała jego słowa. Uśmiechnęła się lekko i ruszyła w swoją stronę. Chwilę patrzył za nią, po czym wsunął ręce w kieszenie i poszedł w przeciwnym kierunku. Piąta. Dwie godziny do zabicia.

– Niela! – zawołała za nią recepcjonistka Jenny. – Jakiś facet cię szukał. Nie zostawił wiadomości. Powiedział chyba, że nazywa się Josh Keeler.

– Dzięki – odparła szybko i poszła do windy, zanim tamta zdążyła coś powiedzieć.

Pomimo chłodu policzki ją paliły. Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Josh jest w Londynie. Wcisnęła przycisk z numerem piętra i poczuła, jak żołądek podchodzi

jej do gardła. Wysiadając, uświadomiła sobie, że cała się trzęsie. Poszła korytarzem do pokoju, w którym pracowali tłumacze. Machnęła ręką Shaheedzie i Ludmile, po czym usiadła przed ekranem komputera. Czuła w brzuchu mocno zaciśnięty węzeł. Wróciła do tłumaczenia broszury. „Pewne usługi i pomoc są dostępne dla każdego, inne zaś zależą od waszego dochodu. W przypadku gdy...” – zaczęła wystukiwać arabskie słowa, biegając palcami po klawiaturze, jakby chciała ukryć własne myśli w urzędniczym żargonie. Dochodziła trzecia. Do wyjścia pozostały dwie godziny. Josh w Londynie. Po co on przyjechał?

*

Gdy weszła do kawiarni, siedział w jednym z boksów przy oknie. Podniósł wzrok i dostrzegła w nim to samo wahanie, które towarzyszyło im przy każdym spotkaniu na pustyni. Wstał na powitanie. Zdjął kurtkę, ale pozostawił szalik na szyi. Ubrany był w ciemnozielony golf, włosy mu urosły od czasu, gdy po raz ostatni go widziała. Wśród gości o bladych i matowych po zimie cerach wyróżniał się ciemną opalenizną. I ta żywiołowa energia, która emanowała z niego, jakby właśnie był w trakcie jakiegoś treningu i ciało miał rozgrzane po wysiłku. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś, kto tak jak on byłby świadomy swojego ciała i jego nieograniczonych możliwości. Na jego wspomnienie dostawała wypieków na twarzy.

Stała przy stoliku, nie bardzo wiedząc, czy ma podać rękę, czy policzek. Pochylił się i po krótkim wahaniu wziął ją w objęcia. Poczowała twarde mięśnie pod wełnianym swetrem. Opuściła ręce, zaskoczona reakcją własnego ciała, jakby te trzy miesiące w ogóle nie istniały.

– Dziękuję, że przyszłaś – powiedział tuż przy jej uchu. – Nie byłem pewny, czy się zjawisz.

– Dlaczego miałabym nie przyjść? – Sięgnęła ręką do twarzy, jakby ją paliła.

– Zawsze jesteś taka? – spytał z nikłym uśmiechem w kącikach ust.

– Jaka? – Odwinęła szalik i odsunęła krzesło.

– Nie wiem... Taka bezpośrednia. Nie, nie odpowiadaj. Jesteś.

Było inaczej niż w Dżibuti. Tam ona czuła się niepewna i czekała na wskazówki od niego. Obserwowała, jak przesuwa ręką po włosach i po zaroście widocznym na oliwkowej twarzy. Przypomniła sobie, jak dotykała tych włosów. Usiadła, odsuwając od siebie te wspomnienia.

– Dlaczego przyjechałeś? – spytała po prostu.

Zajął miejsce na krześle, nie spuszczał z niej wzroku. Położył dłonie na blacie stolika.

– Nie wiem – odparł po chwili, kręcąc głową, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

– Skończyliśmy prace przed terminem, dostałem urlop i... i po prostu chciałem cię zobaczyć.

Popatrzyła na niego z uwagą. Zdawał się walczyć z jakąś głębszą, trudniejszą do wypowiedzenia prawdą. Mur, jakim się otaczał, dystans, jaki starał się utrzymać, jednocześnie przyciągały ją ku niemu i odpychały. Wydawał się coś ukrywać, uczucie lub doświadczenie, którym nie umiał się podzielić. Wyczuwała w nim mrok, który ją przerażał, ale rozumiała go, bo w niej też był ten mrok, tyle że nie wynikał z charakteru, lecz raczej ze zdarzeń z przeszłości. Raz czy dwa coś mu się wymknęło, tak jak teraz. Pojawienie się w Londynie po tylu miesiącach milczenia nie było przypadkowe, chociaż starał się to zbagatelizować. Pragnął czegoś, potrzebował, ale nie umiał tego wyrazić. Jego obecność była dla niej wystarczającym dowodem, przynajmniej na razie.

– Chodź – powiedziała, dopijając kawę i podnosząc się z krzesła. – Wyjdźmy stąd.

Leżała obok niego i drzemała. Świecące na żółto wskazówki zegarka ustawiły się na godzinie 1.49. Uliczny ruch w końcu ustał. Jej małe mieszkanie mieściło się niedaleko Goldhawk Road i płynący nieprzerwanie strumień samochodów ciężarowych zaczął słabnąć dopiero po północy. Tak się przyzwyczył do ciszy Islington, że zapomniał już, co się dzieje na innych ulicach Londynu. Trzymał dłoń w jej włosach. Delikatnie poruszył palcami, delektując się ich gęstością i miękkością. Lampka przy łóżku płonąca ciepłym żółtym blaskiem oświetlała jej ciemną skórę jakby od środka. Przesunął wzrokiem wzdłuż linii jej ciała. Spała z jedną nogą wysuniętą spod kołdry i rękami przy klatce piersiowej. Jedna pełna krągła pierś spoczywała na drugiej. Jasność, jaką emanowała jej skóra, sprawiała, że miał ochotę przesunąć po niej ustami i poczuć językiem jej słony smak. Patrzył na łagodnie poruszające się mięśnie brzucha, gładki, czysty kontur jej ciała, mały pępek i rozkoszne zagłębienie w miejscu, gdzie zaczynały się uda. Była idealna pod każdym względem. Przytulił ją do siebie. Teraz, gdy ją odnalazł, nie pozwoli jej odejść.

MADDY

Londyn, maj 1997

Minęły dokładnie dwa tygodnie od ślubu. Słyszała, jak Rafe mówi do kogoś przez telefon: „Tak, to już dwa tygodnie. Wprost trudno uwierzyć”. Zastanawiała się, z kim rozmawia. Czasami jej mówił: Och, to był taki-to-a-taki. Miał mnóstwo przyjaciół, którzy dzwonili do niego i chcieli dowiedzieć się czegoś o Maddy. Cóż z tego, skoro ona ich nie znała. Była tu sama jak palec. Nie mieli miesiąca miodowego, bo Rafe był zbyt zajęty pracą. Zamierzali wyjechać na wakacje po wielkim przyjęciu, które planowali wydać z okazji przyjazdu matki i Sandy. Na ślub wziął tylko dwa dni wolnego, bo tylko na tyle mógł sobie pozwolić.

Kiedy wychodził do pracy, leżała w łóżku, wsłuchując się w odległy szum pobliskiej Euston Road. Lubiła dzielnicę, w której mieszkali. Nazywała się Fitzrovia i jak wyjaśnił Rafe, swoją nazwę zawdzięczała inwestorowi Fitzroyowi, którego dom stał przy jednej z ulic po drugiej stronie placu. Najwyższym punktem była wieża poczty wyglądająca jak gruby palec ze stali i szkła, oświetlony nocą kolorowymi reflektorami. Studenci, turyści, urzędnicy i mieszkańcy tej szykownej, choć zaniedbanej dzielnicy przychodzili w porze lunchu na plac Fitzroya. Z wysokich okien salonu na pierwszym piętrze Maddy widziała, jak siedzą po dwóch lub trzech i karmią gołębie. Mieszkanie Rafe’a zajmowało dwa piętra eleganckiej kamienicy przy Cleveland Street, niedaleko placu. „To również jest twoje mieszkanie, skarbie” – powiedział któregoś dnia. Nie rozumiała tego. Najdroższą rzeczą, jaką dotąd miała, była ciemnobrązowa skórzana kurtka, którą czasami wkładała, gdy szła na spacer do Regent’s Park. Mieszkanie było ładne, ale brakowało mu ciepła. Wszędzie czuło się rękę Diany, poczynając od skórzanej sofy w salonie, trochę mniejszej od tej, która stała u niej, po jasnoniebieską pościel i białe ręczniki kąpielowe z czarnymi brzegami. W jadalni wisiała nawet rycina, która była kopią tej z salonu Diany.

Maddy przesunęła palcami po wzorze na kołdrze. Była dopiero dziewiąta. Miała przed sobą cały dzień. Rafe późno wróci do domu. Czekają go dziś dwie czy trzy operacje. Przewróciła się na plecy, zastanawiając się, co on robi w tej chwili. Czasami tłumaczył jej różne terminy – przednia szyjna dyscektomia, laminektomia, biopsja stereotaktyczna. Był to dla niej kompletnie obcy język, ale powoli się z nim oswajała. Uwielbiała patrzeć, jak jego dłonie odtwarzają z precyzją każdy ruch wykonany podczas operacji – nacięcie, włożenie sondy; była w nich delikatność i lekkość, która stała w sprzeczności z fizyczną siłą.

Odrzuciła niecierpliwie kołdrę i spuściła nogi na podłogę. Trzeba wstać. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Powinna wypełnić dzień czymś pożytecznym, nadać mu jakiś sens. Nie może wiecznie tkwić w mieszkaniu, musi znaleźć sobie jakieś zajęcie. Logicznie byłoby robić to, na czym się znała. Powinna więc zacząć od teatru, rozejrzeć się, co się gra i kto gra, znaleźć agenta, ruszyć z miejsca. Powiedziała coś takiego Harveyowi w czasie niedzielnego lunchu.

– Mogłabym spróbować znaleźć agenta – oznajmiła z nadzieją, że nie poczytają jej tego za zarozumiałstwo.

Jak zwykle odezwała się Diana.

– Po co?

Zaczerwieniła się.

– Gdybym... gdybym chciała znaleźć pracę – wyjąkała.

– Pracę? – Pani Pryce powiedziała to tak, jakby to było kompletnie niemożliwe.

Maddy poczuła, że musi się usprawiedliwić.

– Och, wiem, że to mało prawdopodobne. Macie tu tylu wspaniałych aktorów, takie tradycje teatralne, Szekspir i w ogóle. Pewnie nie będę miała szans, ale nigdy nie wiadomo...

Mówiła zbyt szybko i zbyt dużo, ale nie mogła się powstrzymać. Przy Dianie czuła się jak mała dziewczynka, rozpaczliwie szukająca akceptacji. Na szczęście Rafe przyszedł jej z pomocą. Już na samo wspomnienie czuła, jak robi jej się gorąco. Musi jakoś dogadać się z jego matką. Wszystko robiła nie tak. Choćby sprawa z tą przekłętą fotografią. Zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Stała przy szafce w salonie, zastanawiając się, co zrobić z rękami. Nagle dostrzegła fotografię w srebrnej ramce i oczywiście musiała ją wziąć. Przedstawiała grupę nastolatków przy wodospadzie. Słońce odbijało się w kroplach wody spadającej im do stóp. Natychmiast rozpoznała Dianę. Śmiała się do obiektywu. Trzymała za rękę ciemnowłosego, opalonego na brąz chłopaka.

– Kto to jest? – spytała, marszcząc czoło. Wyglądał znajomo.

– Gdzie? – zaciekawił się Rafe.

– Tu – wskazała palcem.

– Och, to stryj Rufus.

Maddy przyjrzała się fotografii. Tak, rzeczywiście, choć był tu znacznie młodszy i ciemniejszy. Nagle przyszło jej do głowy, że jest trochę podobny do Josha. Chociaż widziała go tylko raz, podobieństwo było wyraźne. Nic dziwnego, w końcu to jego bratanek.

– Co oglądacie? – spytała Diana, stając obok nich z kieliszkiem wina w ręku.

– Stare fotografie. To wy na Krecie, prawda?

– Ach, o tę chodzi.

– Wyglądasz tu bardzo młodo – ośmieliła się wtrącić Maddy.

– Mhm. Miałam wtedy siedemnaście lat. Nasi rodzice każdego lata wynajmowali tu willę. – Wskazała głową na Harveya.

- Znałaś Harveya, gdy miałaś siedemnaście lat? – zdziwiła się dziewczyna.
- Znam go całe życie – odparła Diana ze śmiechem. – Byliśmy sąsiadami. Miałam cztery lata, gdy wprowadzili się do domu obok. Chłopak z sąsiedztwa.
- To... to takie romantyczne – powiedziała Maddy, oblewając się rumieńcem.
- Prawda? – mruknęła teściowa, zatrzymując na niej wzrok.
- To zabawne. Twój brat Josh jest bardziej podobny do stryja Rufusa niż do ojca – zauważyła Maddy, patrząc na Rafe'a.

Diana odebrała jej fotografię i odstawiła na miejsce. Najwyraźniej musiała poczuć się czymś urażona, bo zacisnęła usta. Synowa popatrzyła na nią niepewnie. Co takiego powiedziała? Pani Pryce odwróciła się od szafki, wzięła Rafe'a pod rękę i odciągnęła od niej, dając tym do zrozumienia, że rozmowa skończona. Maddy została przy drzwiach. Znowu popełniła gafę, powiedziała coś, czego nie powinna. Powróciło dawne uczucie ucisku w dole brzucha. Nasilało się przy każdym spotkaniu z Dianą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego.

Wyglądziła kołdrę, przykryła łóżko narzutą i spulchniła poduszki. Potem zebrała porozrzucane ubrania i uporządkowała pokój. Nie zajęło to dużo czasu. Wyjechała ze Stanów z dwiema ogromnymi walizkami, w których mieścił się cały jej dobytek. Z tymi samymi walizkami przyjechała przed laty do Nowego Jorku. Niepotrzebne rzeczy porozdawała: kilka garnków, talerzy, dwa krzesła. Dziwnie się czuła. Wystarczył niecały dzień, by wyrwała siebie z korzeniami, wsiadła do samolotu i tak po prostu zniknęła. Nic nie pozostanie po niej w Nowym Jorku i równie niewiele na farmie. Tym sposobem poszła w ślady ojca. Kto by pomyślał. Jednego dnia była, drugiego zniknęła bez śladu. Oprócz matki, do której telefonowała co tydzień, i Sandy, z którą rozmawiała dwa razy, nikt nie będzie za nią tęsknił, nikt nawet nie zauważy, że wyjechała.

Wyszła z pokoju i zeszła po schodach prowadzących do kuchni i salonu. Zaparzyła kawę i zaniósła ją do pokoju. Tu też panował porządek i cisza. Ruszyła w stronę okna, z roztargnieniem dotykając przedmiotów zdobiących wnętrze: drewnianej misy z Suazi, podarowanej Rafe'owi przez przyjaciela, srebrnej patery na owoce bez owoców, telewizora na ścianie, książek na stoliku do kawy. Niewiele tego było. Musi kupić parę rzeczy, wypełnić nimi mieszkanie, odcisnąć swój ślad. To był teraz jej dom. Piła wolno kawę, obserwując toczące się na ulicy życie. Nie ma pośpiechu – pomyślała. Ma teraz mnóstwo czasu, więcej niż kiedykolwiek. Można powiedzieć, że w tej chwili miała tylko czas i nic, czym można by go wypełnić.

JULIA

Londyn, czerwiec 1997

Szła spiesznie Upper Street, czując, jak żołądek kurczy jej się ze zdenerwowania. Była spóźniona piętnaście minut. Nie cierpiała się spóźnić. Zwłaszcza dziś wieczór na spotkanie z Aaronem. Po prawie dwóch tygodniach czekania w mękach niepewności w środowe popołudnie podszedł do niej w bibliotece i wymruczał jej coś do ucha.

– Moglibyśmy się spotkać, tak poza pracą?

Ulga, jaka na nią spłynęła, była tak przesywająca, że wycisnęła jej łzy z oczu. Ty idiotko – zbeształa siebie w duchu. Zachowujesz się jak te kobiety, którymi gardzisz. Mogła sobą pogardzać, ale pędziła teraz ulicą do restauracji, którą wybrał, myśląc jedynie o tym, że jest spóźniona i że w ciągu ostatnich dwóch tygodni zamieniła z Aaronem zaledwie kilka słów. Tak, zachowywała się jak każda zakochana kobieta, ale co mogła na to poradzić? Wyglądało na to, że jej uczucia z dnia na dzień uległy zmianie i niechęć, którą czuła do niego od pierwszego wejrzenia, była równie silna jak teraz pociąg do niego.

Siedział z boku i wpatrywał się w nią, gdy weszła. Starła się zwolnić i zachować spokój. Jak zawsze trudno było wyczytać coś z jego twarzy.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, kręcąc głową. – Katie zatrzymała mnie w ostatniej chwili.

Uśmiechnął się wolno.

– Nic nie szkodzi. Z przyjemnością czekałem na ciebie i patrzyłem, jak wchodzisz. Lubię patrzeć, jak chodzisz.

Wstrzymała oddech. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Klapnęła na krzesło, czując, że oblewa się rumieńcem.

– Chodzę jak kaczką – stwierdziła, nie bardzo wiedząc, po co to powiedziała. Przecież to nieprawda.

– Śliczna kaczką – odpowiedział ciepłym głosem. – Na pewno nie taka z Regent's Park.

Roześmiała się.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałam – stwierdziła, zdejmując płaszcz. – Pewnie z nerwów.

– Jesteś zdenerwowana?

– A ty nie?

– Zawsze przy tobie się denerwuję. Mogłabyś chlusnąć na mnie z butelki.

– To był kieliszek – sprostowała z uśmiechem. – Nie butelka. Nie wiem, dlaczego wszyscy mówią o butelce.

– Wszyscy? – powtórzył, unosząc brew.

– N-nie, nie wszyscy – zaprzeczyła, czerwieniąc się. – Tylko ci, którzy o tym mówią.

– A kto tak mówi? – spytał żartobliwym tonem.

Jej rumieniec się pogłębił. Jeszcze pomyśli, że ona ciągle o nim rozmawia.

– Och, nikt – odparła, siląc się na lekki ton. – Eee... co pijesz?

– Whisky z wodą. – Uniósł szklankę. – Na nerwy.

Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś cały w nerwach, Keeler – odrzekła, sięgając po kartę dań i udając, że ją przegląda.

– Cały?

Poczuła ciężar jego wzroku na sobie.

– Cholera – powiedziała spokojnym tonem, po czym odłożyła kartę, sięgnęła po jego szklankę i opróżniła ją jednym haustem. – I nie udawaj, że o tym nie wiesz.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie. Roześmiał się i dotknął jej ręki. Popatrzyła na jego przedramię z delikatnym ciemnobrązowym owłosieniem, na szerokie dłonie z napiętą mocno skórą, piegowaną i opaloną, i na nieco jaśniejszą, widoczną nad szerokim skórzanym paskiem od zegarka. Poczuła motylki w żołądku.

Podszedł kelner, przyjął zamówienie, na stole pojawiła się butelka wina, kawa, ser. Jadła i piła mechanicznie, całą uwagę skupiając na mężczyźnie siedzącym naprzeciwko, którego tak długo nienawidziła. Lady Barrington-Browne miała rację. Miłość i nienawiść to praktycznie to samo. Słowa te zabrzmiały jej w uszach, jakby wypowiedziała je na głos. Absurd. Miłość? Jak mogła kochać Aarona Keelera? Przecież ledwo go znała. Nagle bardzo zapragnęła poznać go bliżej.

Wsunęła mu rękę pod ramię, gdy wyszli z restauracji i skierowali się do jego mieszkania. Był czerwiec, lecz pogoda na to nie wskazywała. Błękitne niebo z końca tygodnia ustąpiło miejsca grubej warstwie szarych chmur. Przynajmniej nie pada – pomyślał, gdy skręcili z Upper Street w Napier Terrace. Trochę niezręcznie się czuł, otwierając drzwi i cofając się, by przepuścić ją przed sobą. Popatrzył na tył jej głowy, gdy pokonywała kilka schodów. Włosy, które zwykle odsuwała z twarzy, rozsypały się i kołysały na boki. Naprawdę lubił patrzeć, jak Julia się porusza. Właściwie to w ogóle lubił na nią patrzeć. Czasami się zastanawiał, co kryje się pod tymi eleganckimi kostiumami, które nosiła do pracy. Zdążył już wcześniej zauważyć, że ma ładne nogi. Była wysoka i szczupła, a pod jedwabną bluzką odznaczały się miękkie wzniesienia piersi. Jest piękna – pomyślał – ale w sposób powściągliwy i kontrolowany. Nie miała zmysłowej urody ani tej miękkości, która pociągała go w kobietach. Nie, ona wabiła czymś innym: sposobem wysławiania się, postawą, wyraźnym twardym akcentem, co inna osoba starałaby się za wszelką cenę

ukryć. Ale nie ona. Bierzcie mnie taką, jaka jestem. Jej duma wynikała nie tylko z tego, kim była, ale również z tego, że nie była kimś innym, czego nie mógł powiedzieć o większości ludzi, z którymi się stykał. Miała w sobie więcej uczciwości i prawości – tak, to właściwe słowa – niż inni znani mu ludzie. Imponowała mu, w ogóle się o to nie starając.

– Ładne mieszkanie – stwierdziła, gdy weszli do salonu. – Ale nie tego się spodziewałam.

– A czego? – spytał, biorąc od niej płaszcz. Nagle uświadomił sobie, że bardzo chce wiedzieć, co ona myśli.

– Och, nie wiem... czegoś bardziej tradycyjnego. Na przykład perkalowej kanapy.

– Perkalowej? – Uśmiechnął się lekko. – U mnie?

– Mhm. – Dotknęła skórzanego fotela. – Takiej w kwiaty. Kto to? – spytała, biorąc do ręki jedną z fotografii stojących na obramowaniu kominka. – Rozpoznaję twoją mamę... A to reszta rodziny?

– Tak, to Rafe, a to Harvey, mój tata.

– A to kto? – spytała, wskazując palcem.

– Josh. – Miał nadzieję, że jego głos brzmi normalnie.

– Kim jest Josh?

– Moim młodszym bratem.

– Twoim bratem? – powtórzyła zaskoczona. – W ogóle nie jest do was podobny. Wy dwaj jesteście podobni do ojca, ale on nie.

– Przeważnie jest za granicą. – Wyjął jej z ręki fotografię. – Dość o mojej rodzinie. Napijesz się czegoś?

Pokręciła głową.

– Dziękuję, mam dość – odparła, uśmiechając się wolno. – Dwa kieliszki wina to dla mnie sporo.

– Myślałem, że wy z północy potraficie pić – powiedział, po czym wstrzymał oddech, by sprawdzić, jak przyjmie ten żart.

Uśmiechnęła się wolno i zmysłowo, od czego serce mocniej mu zabiło.

– Nie ja – mruknęła.

Popatrzyli na siebie, a potem już nie pamiętał, kto zrobił pierwszy ruch. Miała miękkie i cudownie gorące wargi. Powoli docierało do niego, że to tylko początek czegoś, na co czekał. Instynktownie sięgnął do rozpięcia jedwabnej bluzki i wsunął dłoń do środka, czując, jak jej ciało reaguje drżeniem. Zaskoczyła go własna śmiałość, bo Julia Burrows nie należała do osób, które można popędząć. Wiedział o tym od chwili, gdy ją zobaczył, chociaż sobie tego nie uświadamiał. Ale ona była równie niecierpliwa. Przywarła do niego namiętnie i rozchyliła usta. Kontrast między rezerwą, jaką okazywała przez minione pięć lat, a namiętnością, jaką w niej rozpałił, przyprawił go o zawrót głowy.

– Julio – wyszeptał z ustami w jej włosach. – Nie chcę...

Nie dokończył, bo sięgnęła do jego paska, zsunęła mu spodnie i delikatnie

skierowała w stronę fotela. Mógł myśleć jedynie o wszechogarniającym pragnieniu, by wniknąć w nią głęboko. A potem już o niczym.

DIANA

Londyn, sierpień 1997

Popatrzyła na Aarona, jakby nie rozumiejąc, co do niej mówi. Chciał przyjechać z kimś do Mougins na rodzinne wakacje. Z kobietą.

– Z jaką kobietą? – spytała słabym głosem.

Miał na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

– Ma na imię Julia. Ja... Pracujemy razem.

– Jest adwokatem? – Odetchnęła z ulgą.

– Tak. Kończy właśnie roczny staż.

– Jak długo się znacie? – spytała najdelikatniej, jak mogła. Miała ochotę go uderzyć. Co się dzieje z jej synami? Dlaczego zawsze dowiaduje się ostatnia o tych... o tych kobietach? Dlaczego stawiają ją przed faktem dokonanym?

– Jakiś czas. Właściwie to razem studiowaliśmy w Balliol.

– W Balliol? To dlaczego nic o niej nie mówiłeś?

Zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– Bo to niezupełnie tak. My... my nie zgadzaliśmy się ze sobą. Właściwie to się nienawidziliśmy.

– Ach, rozumiem. W każdym razie tak sędzę. Ma przyjechać też Rafe... z Maddy.

Starła się nie okazywać rozczarowania. Właściwie to dobrze – pomyślała, bo nie wiedziałyby, co robić z żoną Rafe'a przez całe dwa tygodnie. A teraz przynajmniej będzie miała kogoś, kogo da się tolerować, a może nawet polubić. Adwokatka to coś lepszego niż aktorka, której się nie powiodło.

– Zgadzasz się? – spytał Aaron przeproszającym tonem.

– Oczywiście. – Okazała wspaniałomyślność. – Na pewno jej się tam spodoba.

Obserwowała, jak twarz Aarona rozjaśnia się w uśmiechu. Miała ochotę go spoliczkować. Nienawidziła takich niespodzianek. Najpierw Rafe z tym swoim nieoczekiwanym ślubem, a teraz on. Jak ta dziewczyna miała na imię? Julia. Julia Burrows? Ciekawe, jaka ona jest, jaką szkołę kończyła? Przynajmniej miała za sobą studia na Oksfordzie. To dobry znak, takie lubiła. Boże, co znowu ją czeka? Poczula nagły przypływ paniki. Został tylko Josh. Jeden Bóg wie, czym ją zaskoczy.

– Dobrze by było, gdybyś przyprowadził ją do nas na lunch w przyszłym tygodniu. Moglibyśmy ją poznać, zanim spędzimy razem dwa tygodnie. Przyprowadź ją w niedzielę. Pozna też Rafe'a.

– I Maddy – dodał szybko Aaron.

– Tak – odparła oschłym tonem. – I Maddy.

– Mougins? Gdzie to, u diabła, jest? – spytała Julia następnego wieczoru.
– We Francji. Na południu Francji. Mamy tam dom. Jest piękny. Na pewno ci się spodoba – powtórzył słowa matki.

– Dwa tygodnie z twoją rodziną?

– Nie bylibyśmy z nimi przez cały czas. To duży wiejski dom. Mamy go, odkąd sięgam pamięcią. Jeździmy tam dwa, trzy razy do roku.

Julia milczała. Ona i Aaron byli ze sobą – stary, wytarty eufemizm – prawie dwa miesiące i codziennie ją czymś zaskakiwał. Jak teraz tym zaproszeniem na wakacje z jego rodziną. Dwa tygodnie w słońcu na południu Francji. Nigdy nie wyjeżdżała na wakacje.

– To bardzo uprzejme z ich strony – zaczęła z wahaniem. – Ale ja ich nie znam. Czy to nie będzie dziwne...

– Jesteś zaproszona na lunch w następną niedzielę – wszedł jej w słowo. – To pomysł matki, nie mój – dodał pospiesznie. – Chciałaby cię poznać.

– Mnie? – Julia aż otworzyła usta ze zdumienia. Diana Pryce chciała ją poznać. Przełknęła nerwowo ślinę. – Będzie mi bardzo miło – powiedziała pewnym siebie głosem, chociaż wcale nie czuła się pewnie. Myśli wirowały w jej głowie jak szalone. Niedzielny lunch u Diany. W co, u licha, ma się ubrać?

Dom rodzinny Aarona w północnym Londynie był przepiękny jak stare monety – pomyślała Julia, gdy zatrzymali się przed wejściem. Wysoki, elegancki, świeżo pomalowany, ale nie krzykliwy, z pionowo otwieranymi oknami, skrzynkami na kwiaty i schludnym, dobrze utrzymanym trawnikiem od frontu. Miał kamienne schody prowadzące do sutereny. Ogródek skalny, kilka kaktusów i kwitnące krzewy wskazywały drogę do wejścia i cieszyły oko. Popatrzyła z podziwem na drzwi frontowe w czarnym kolorze z błyszczącą mosiężną kołatką. Rejestrowała te szczegóły ze ściśniętym sercem. Jej rodzinny dom nie dorównywał temu. Trzymała Aarona za rękę, gdy prowadził ją po schodach do drzwi, które otworzył własnym kluczem. Wewnątrz panował chłód i unosiły się zapachy gotowania.

– Mamo! – zawołał w stronę prowadzących na dół schodów. Nikt się nie odezwał, ale z góry dochodziły dźwięki muzyki. Popatrzył na Julię. – Zejdziemy na dół. Pewnie są w ogrodzie.

Kuchnia zajmowała taką powierzchnię jak parter jej domu w Elswick. Blaty ze stali nierdzewnej, zimna paleta kolorów i faktur, obrazy, afrykańskie maski, długi rząd książek kucharskich i kilka otwartych butelek wina na stole. Z trudem przełknęła ślinę. Popatrzyła na swoją sukienkę. Laura Ashely to nie był dobry wybór.

– Aaron! – zabrzmiał kobiecy głos. Julia odwróciła głowę w stronę przesuwanych szklanych drzwi. Zdjęła okulary. Postać stała się wyraźniejsza. To była Diana Pryce. – Kochanie, wreszcie jesteś. – Weszła do kuchni, wyciągnęła ręce do syna i podała policzek do pocałowania.

– Przepraszam za spóźnienie.

– To moja wina – wtrąciła pośpiesznie Julia. – Za późno do niego przyjechałam.

Diana spojrzała na nią i jej oczy lekko się rozszerzyły. Dobry Boże – zdawały się mówić – co my tu mamy? Po krótkim wahaniu wyciągnęła rękę, a dziewczyna ją ujęła. Miękki, krótki uścisk, nikły uśmiech i wzrok lustrujący ją z góry na dół, oceniający ubiór, włosy, buty. Jej los został przypieczętowany. Została oceniona jako osoba z klasy pracującej. O Boże.

– Chodź, poznasz Rafe'a – powiedział Aaron, kładąc jej rękę na plecach. – Gdzie tata?

– Na górze. Poszedł po jakąś płytę, którą chciał puścić Maddy.

Diana odwróciła się i ruszyła do ogrodu, nie odezwawszy się do Julii. W cieniu dębu siedziała szczupła rudowłosa kobieta, cała w uśmiechach, i mężczyzna, który uniósł wzrok, gdy weszli. Julia otworzyła szeroko oczy. Niesamowite, jak bracia byli do siebie podobni. Zupełnie jakby patrzyła na Aarona. Odróżniały ich jedynie

szczegóły: Rafe miał pieprzyk w lewym kąciku ust, ciemniejszy o ton błękit oczu i krótsze, bardziej niesforne włosy. Cofnęła się, gdy bracia się objęli, lecz w tym momencie towarzysząca Rafe'owi kobieta odwróciła ku niej głowę i wstała. Julia nie wiedziała, czy podać rękę, czy policzek do pocałowania. Rudowłosa wybawiła ją z problemu.

– Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać – powiedziała i ucałowała ją w oba policzki. – Tyle o tobie słyszałam.

Julia wiedziała, że Aaron nikomu o niej nie mówił, a na pewno nie tej hałaśliwej, rudowłosej Amerykance, zbyt mocno szczerzącej zęby. Poczwała jego rękę na plecach. Podeszli do brata. Przywitanie z Rafe'em było bardziej stonowane.

– Witaj – powiedział, wyciągając rękę. – Jestem Rafe. Miło cię poznać.

– Mnie również – odparła nieśmiało.

– Proszę bardzo, siadaj – ustąpił jej miejsca. – Zaraz przyniosę drugie krzesło.

Usiadła, chowając gołe nogi pod siebie. W kwiecistej letniej sukience i tenisówkach czuła się dziecinnie i nie na miejscu. Diana miała na sobie białe lniane spodnie i jasnoniebieską tunikę. Prosta, skromna elegancja. Zawsze pragnęła tak się ubierać, ale nie całkiem jej się udawało. Nawet żona Rafe'a wyglądała ciekawie – duże złote koła w uszach i długa, marszczona cygańska spódnica. Julia przyjęła kieliszek podany jej przez Aarona i popijała w milczeniu, kiwając uprzejmie głową, gdy ktoś coś mówił.

Lunch jedli w domu. Był wyborny.

– *Bouillabaisse*⁵ – powiedziała Diana najczystszą francuszczyzną – z okazji naszych zbliżających się wakacji.

Julia siedziała obok Aarona, odpowiadając na kierowane do niej pytania. Od pierwszej chwili polubiła Harveya, jego ojca. Odznaczał się staroświeckim urokiem i emanował życzliwością. Tak formułował pytania, że ku własnemu zaskoczeniu ujawniała więcej informacji niż zazwyczaj. Zapytał ją o rodziców, czy nadal mieszkali w Newcastle? Poczwała, że Aaron sztywnieje, ale odpowiedź przyszła jej bez trudu.

– Nie, oboje nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym.

– Ojej, bardzo mi przykro. Kiedy to się stało, chyba nie ostatnio? – spytał Harvey, patrząc na nią ciepło błękitnymi oczyma.

Pokręciła głową.

– Nie, gdy miałam piętnaście lat.

– Twoi rodzice nie żyją? – wtrąciła nagle Maddy piskliwym głosem. – Oboje?

O Boże!

Zapytana skuliła się, jakby ją uderzono. To ja straciłam rodziców, nie ty – miała ochotę odpowiedzieć. Kiwnęła chłodno głową, ale to nie powstrzymało potoku słów Maddy.

– Jak sobie z tym dałaś radę? Piętnaście lat? Biedaczka. To musiało być straszne.

Julia zaniemówiła. Odstawiła kieliszek z winem, powiedziała przepraszam i pospiesznie wstała od stołu. W jej oczach błyszczały łzy, ale nie smutku, lecz gniewu. Jak ona śmiała? To, co stało się z jej rodzicami, nie jest tematem jakiejś sztuki, to życie, jej życie, a nie Maddy. Nie ma prawa wykorzystywać tego do odgrywania przedstawienia. Spędziła piętnaście minut w toalecie, żeby się uspokoić. Kiedy wróciła do stołu, żona Rafe’a sprawiała wrażenie ujarzmionej. Najwyraźniej zrozumiała, że posunęła się za daleko.

Trzy godziny później ciężka próba dobiegła końca. Julia i Aaron szli Northumberland Park Road, trzymając się za ręce. Pogoda sprzyjała spacerom, ale ona nie była w nastroju do podziwiania słonecznej aury. Jej myśli krążyły wokół minionego lunchu. Nie podobała jej się Maddy. Działała jej na nerwy. Za bardzo się starała, za bardzo chciała wszystkich zadowolić. Śmiała się z żartów, które nie były śmieszne, i sprowadzała empatię do absurdu. Ale w końcu miała dość rozumu, by się zamknąć po tym głupim wyskoku na temat jej rodziców.

Nie tak sobie wyobrażała Dianę. Była chłodna, opanowana i władcza. Siedziała u szczytu stołu, z chłopcami po bokach, jakby byli jej giermkami, a Julia i żona Rafe’a wyraźnie jej przeszkadzały. Znała ten typ kobiet. Była władczynią, która kocha synów, a ich żony lub dziewczyny traktuje jak potencjalne zagrożenie. Zadrzała pomimo ciepłego popołudnia. Nie, nie tak wyobrażała sobie Dianę, ale jej to nie dziwiło. Odcisnęła piętno na synach. Była w nich jakaś miękkość i jednocześnie słabość, która nakazywała im żyć zgodnie z oczekiwaniami matki i stosownie do jej żądań.

– I co myślisz o Dianie? – spytał nagle Aaron, jakby czytał w jej myślach.

– Jest... bardzo miła – skłamała. – Wyjątkowa. Ale... ale chyba nie polubiła mnie – dodała po chwili wahania.

– Och, na pewno cię polubi – zapewnił gorąco. – Trzeba tylko dać jej czas.

Mnie też – pomyślała. Na razie musiało jej wystarczyć zapewnienie Aarona. Zaczęła się zastanawiać, co weźmie do Mougins. Czuła się podekscytowana pomimo zastrzeżeń w stosunku do Diany i Maddy. Właściwie to już nie mogła się doczekać tego wyjazdu. Dwutygodniowe wakacje na południu Francji.

– Nigdy nie byłam za granicą – powiedziała podczas lunchu.

Gospodyni uniosła kształtną brew.

– Nigdy?

– Nigdy – odparła Julia, kręcąc głową. – Jeżeli nie liczyć wycieczki do Szkocji. Ale tam pojechaliśmy samochodem.

– Nigdy nie leciałaś samolotem? – Aaron nie mógł ukryć zdziwienia.

Znowu pokręciła głową, zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się Maddy.

– Ja do niedawna też nie – odparła wesoło. – Pierwszy raz leciałam do Londynu. Byłam taka podekscytowana, że nie mogłam spać. Pamiętam każdą chwilę tego lotu.

Julia zerknęła na Dianę. Wyglądało na to, że nie jedna, lecz dwie kobiety nie pasują do tego domu. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Pani Pryce mruknęła coś niewyraźnie.

I oto teraz będzie musiała spędzić z nimi dwa tygodnie. Dwie kobiety, które nigdy nie były za granicą, nie chodziły do prywatnych szkół, nie uczyły się jeździć konno i nie umiały grać na pianinie, pewnie pływać też nie. Nie znały się na winach i wątpliwe, czy umiały wymówić słowo *bouillabaisse* tak, żeby nie trzeba się było skrzywić. Diana najwyraźniej musiała mieć wszystko pod kontrolą i wszystko planowała do ostatniego szczegółu. Odpowiednie szkoły, odpowiednie mieszkania, odpowiednie zawody, a gdy wydawało się, że może wreszcie odetchnąć z ulgą, chłopcy znowu coś wymyślili: jeden amerykańską aktorkę bez pracy, a drugi dziewczynę z północy. Nie można było się nie roześmiać. Julia uśmiechnęła się mimowolnie.

Znowu to zrobiłam – pomyślała z rozpaczą Maddy, gdy za Aaronem i jego dziewczyną zamknęły się drzwi. Przesadziłam. Byłam zbyt głośna, zbyt bezpośrednia, zbyt amerykańska. Wyczuła rezerwę Julii, gdy tylko otworzyła usta. Czy ona nigdy nie znajdzie właściwych proporcji? W obecności Diany była zbyt powściągliwa, podenerwowana i zbyt piskliwa. W stosunku do Julii – zbyt przyjazna i wylewna. Nie pasowała do chłodnego, naturalnego uroku Diany i była przekonana, że Harvey uważa ją za nudną. Nawet Aaron zdawał się o niej zapominać, jak tylko się odwrócił. Nie umiała przykuć niczyjej uwagi, co zakrawało na ironię, bo była przecież aktorką. Obserwowała dyskretnie Julię. Lśniące czarne włosy do ramion, proste gęste brwi, blada, nieskazitelna cera. Była atrakcyjną, a nawet piękną kobietą, jednak zbyt szorstką i napastliwą. Mówiła inaczej niż Rafe i Aaron, jej akcent był silny i trudniejszy do zrozumienia. Niewiele się odzywała i od czasu do czasu jej wzrok zatrzymywał się na Maddy. Co ten Rafe robi z kimś takim jak ty? – zdawało się mówić jej spojrzenie. Maddy nie miała w sobie pewności siebie i wytworności, jakimi odznaczały się znane jej Angielki. Kwiecista sukienka i białe tenisówki Julii były dla niej uosobieniem europejskiej elegancji. Marszczona, zszywana z różnokolorowych kawałków spódnica, bluzka w wiejskim stylu z dekoltem obszytym haftem i frędzlami oraz złote koła w uszach wydały jej się nagle tanie i głupie. Wcisnęła się głębiej w krzesło i nagle poczuła strach przed Julią, chociaż ta prawie się nie odzywała. Była przecież panią mecenas, skończyła Oksford, innymi słowy była młodszą, bardziej powściągliwą wersją Diany. Świetnie tu pasuje – pomyślała z zazdrością. Ona sama nigdy nie będzie tu pasowała. Nigdy.

^[5] Prowansalska zupa rybna.

JULIA

Mougins, sierpień 1997

Samochód jechał wśród sosnowych i oliwkowych gajów, pokonując coraz ostrzejsze zakręty. Droga pięła się na szczyty wzgórz otaczających Cannes. Mieli z Aaronem być na miejscu pierwsi.

– Już dojeżdżamy – powiedział, kładąc rękę na udzie Julii. – Spodoba ci się, zobaczysz.

Siedziała obok niego, nie mogąc oderwać wzroku od otaczającego ich krajobrazu. Kilometry gęstego, ciemnozielonego poszycia, z wystrzelającym od czasu do czasu w górę cyprysem lub wieżą kościoła. Wśród wzgórz migały ukryte w cieniu i przed oczyma ciekawskich domy i wille o kamiennych ścianach. Na szczycie wzgórza, gdzie droga się rozwidła, Aaron skręcił w wąski, poprzecinany koleinami trakt.

– To tam w dole. Spójrz, tam rośnie dąb, na którym się huściliśmy, gdy byliśmy mali. Należy do sąsiada, starego Cassoux. Tata zbudował na nim któregoś roku platformę do spania, a gdy przyjechaliśmy rok później, okazało się, że jej nie ma, bo sąsiad ściągnął ją zaraz po naszym wyjeździe. Nie mógł nas znieść. Zawsze tak było.

– Od jak dawna tu przyjeżdżacie? – spytała, wyciągając szyję, by coś zobaczyć. Nigdy nie widziała równie spokojnego miejsca.

– Od zawsze. Chyba odkąd skończyłem dwa lata. Dziadkowie mieli tu kiedyś willę, a rodzice przyjeżdżali jako dzieci. Mama stale coś dobudowywała... nowe łazienki, kuchnię. Uwielbia to robić.

– Tu jest cudownie – powiedziała Julia, wychylając się z okna i wciągając w płuca zapach sosen i gajów cytrusowych. – Mogłabym tu zostać na zawsze. Och, czy to ten dom z białą bramą?! – wykrzyknęła nagle.

– Tak.

Miała ochotę zaklaskać w dłonie jak podekscytowana dziewczynka. Gdy Aaron zatrzymał samochód, otworzyła drzwi i wysiadła. Biała brama tkwiła w grubym kamiennym murze pomalowanym na żółto. Za nią rosły olbrzymie kępy różowych oleandrów, rząd jasnozielonych drzew oliwkowych i stary sękaty cedr. Julia otworzyła bramę i weszła do środka. Ścieżka prowadziła do wiejskiego domu w kolorze ochry z jasnoniebieskimi okiennicami. Z jednej strony był porośnięty bluszczem i jakąś kwitnącą na żółto rośliną. Ogród tonął w kwiatach. Podeszła do drzwi. Przyjechali pierwsi, więc w nocy będą sami. Diana i Harvey mieli się zjawić jutro po południu, a Rafe i Maddy przylatywali do Cannes wieczorem. Zatrzymała się przed drzwiami, czując nagle onieśmienie. Szkoda, że mama nie może tego

zobaczyć.

W hallu panowały chłód i mrok. Zamknięte okiennice nie przepuszczały promieni słonecznych późnego popołudnia. Drzwi z lewej strony były lekko uchylone. Julia pchnęła je i znalazła się w ogromnej kuchni, w której dominował wielki drewniany stół z wiszącymi nad nim garnkami i naczyniami kuchennymi. Na środku stał wazon ze świeżo ściętymi bzem i różami, roztaczając wokół słodką woń. Rozejrzała się oszołomiona. Sceneria jak z okładki jakiegoś pisma – pomyślała, po czym wróciła do hallu. Kamienną podłogę przykrywał żółtokremowy dywan o wymyślnym kontrastującym wzorze. Wszędzie wyczuwało się rękę Diany – ciekawe obrazy na ścianach, śliczne wyroby ceramiczne, małe rzeźby. Z lewej strony pyszniła się afrykańska maska z głębokimi żłobieniami. Była piękna. Zresztą tak jak wszystko tutaj.

– Mamy pokój na górze – powiedział Aaron, ciągnąc za sobą walizki. – Wniosę je. To szczytowy pokój na drugiej kondygnacji.

Ruszyła przodem, minęła pierwszy podest, po czym wspięła się po wąskich schodach na poddasze. Na górze były jedne drzwi. Otworzyła je wolno i zatrzymała się w progu. Jej oczom ukazał się duży pokój z oknami po obu stronach. Światło odbijało się od sufitu i tańczyło na gładkich białych ścianach. Na szerokim, niskim łóżku, przykrytym białą haftowaną narzutą, leżał stos kolorowych poduszek. Na toaletce stała miska z intensywnie pachnącymi brzoskwiniami. Ogarnęło ją uczucie zadowolenia. Odwróciła się do Aarona i dotknęła jego ramienia.

– Jest cudowny, wprost idealny.

Upuścił niesioną torbę, która upadła na podłogę z głuchym pacnięciem, po czym pochylił się i pocałował Julię.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Bardzo.

Położyła mu rękę na piersi i oparła głowę na ramieniu. Pocałował ją mocno i przytulił do siebie. Czowała pod palcami, jak bije mu serce, gdy zaczął jej rozpinąć bluzkę. Usiedli na brzegu łóżka i popatrzyli na siebie. Przez zasłonę z rzęs dostrzegła na jego twarzy wyraz sennego rozmarzenia, gdy przesunął dłonią po jej brzuchu, wprawiając w drżenie jej ciało. Zatrzymywał się od czasu do czasu, jakby chciał sprawdzić jej reakcję, po czym sięgnął palcami do rozkosznie wilgotnego wnętrza. Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

– Aaron – szepnęła. – Ja...

– Ciii.

Wszedł w nią wolno i splótł jej palce ze swoimi. Trzymał je w mocnym uścisku i zwiększał tempo, aż w końcu osiągnął spełnienie, wydając stłumiony okrzyk:

– Julia!

Jego ciało zaczęło się rozluźniać, stało się ciężkie, a potem posłyszała równy, spokojny oddech.

Obudził ją śpiew ptaków. Leżała obok Aarona, słuchając cichego kukania kukułki, której odpowiadał śpiewnie jakiś inny ptak. Gdzieś od strony wzgórza dochodziły odgłosy budowy – warkot mechanicznego świdra i jęk maszyny – lecz nawet one nie zakłóciły ciszy i spokoju, w jakich zatopiony był dom. Wstała i rozejrzała się po pokoju. Wszędzie leżały ich porozrzucane ubrania – dżinsy Aarona zwisały śmiesznie z łóżka, jedna z nogawek zaczepiła mu się o kostkę widoczną spod prześcieradła. Ostrożnie je wyciągnęła i pozbierała pozostałe części garderoby. Włożyła spodnie i rozpiętą od góry bluzkę koszulową. Deski zatrzeszczały, gdy podeszła do drzwi, ale to go nie obudziło.

Zeszła na dół do kuchni, kuląc palce na zimnej kamiennej podłodze. Ktoś musiał być rano w domu, bo na blacie stał koszyk przykryty serwetką w biało-czerwonej kratce. Uniosła ją. W środku było sześć jajek, pojemnik z masłem i torba z brązowego papieru z pomidorami. Na stole dostrzegła dzbanek ze świeżym mlekiem i dwie cienkie bagietki. Nagle poczuła się głodna. Ułamała kawałek bułki, rozglądając się za jakimś naczyniem do zagotowania wody na kawę. Znalazła je w kredensie – srebrny dzbanek ze stali nierdzewnej, podobny do tego z domu Diany w Londynie. Odkręciła gaz, chwilę regulowała płomień, po czym postawiła naczynie na palniku i podeszła do okna. Ogród był bujny i dziki, przyciągał wzrok feerią barw oraz faktur i w niczym nie przypominał wypielęgnowanego trawnika z Islington. Stado ptaków, chyba jaskółek, przeleciało jej przed oczyma i zniknęło w oddali za niebieskoszarą linią wzgórz. Wyłączyła gaz i naląła wody do szklanki. Piła wolno, myśląc o śpiącym na górze Aaronie. Na dużym wiejskim kredensie przy drzwiach zauważyła kolekcję fotografii w srebrnych ramkach. Podeszła i wzięła jedną do ręki. Widziała zdjęcia w podobnych ramkach w londyńskim domu Keelerów, ale nie miała wtedy odwagi do nich podejść. Na tym, które trzymała w ręku, rozpoznała Dianę, Harveya i ich trzech synów. Wciąż nie mogła się nadziwić, jak bardzo Josh różnił się od braci. Spoglądał groźnie w obiektyw, stojąc bokiem do pozostałych, jakby się od nich dystansował. Drgnęła, słysząc szmer za plecami, i omal nie upuściła fotografii.

– Co robisz? Obudziłem się, a ciebie nie było – powiedział Aaron z cieniem urazy w głosie.

– Nic. Zeszłam na dół zaparzyć kawę. Chcesz? – Odstawiła ostrożnie zdjęcie na miejsce.

– Co oglądałaś?

– Fotografię. Właśnie myślałam o tym, jak bardzo się różnicie... no wiesz, od niego. – Wskazała na zdjęcie. – Od Josha. Czy... czy coś zaszło między wami? – spytała delikatnie. – Nigdy o nim nie mówisz.

– Nie – odparł kategorycznym tonem. – Jest za granicą.

– Nigdy o nim nie wspominasz.

– Dajmy temu spokój, dobrze? Nie mam zamiaru psuć sobie pierwszego dnia urlopu rozmową o nim.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Nigdy dotąd nie widziała na jego twarzy takiego wyrazu napięcia i niechęci.

– Oczywiście – mruknęła, po czym podeszła do kuchenki. – Kawy? – spytała, siląc się na lekki ton.

Kiwnął głową. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz, lecz po chwili zniknął. Aaron podszedł do niej i zanurzył twarz w jej włosach. Sięgnęła ręką do jego policzka. Stali tak przez jakiś czas, oddychając głęboko. Było to ich pierwsze nieporozumienie, odkąd zostali parą. W końcu Julia poczuła, że jego ciało zaczyna się rozluźniać. Coś jest nie tak – pomyślała, gładząc go po twarzy, ale nie miała pojęcia, co. Jakaś kłótnia, głęboko skrywany uraz, niezabliźniona rana. Ale przecież takie rzeczy zdarzają się w rodzinach. Dziecinne sprzeczki, o których trudno zapomnieć. Jako jedynaczka nic nie wiedziała o relacjach między braćmi czy siostrami, mogła więc jedynie przytulić Aarona.

DIANA

Mougins, sierpień 1997

Harvey wcisnął pedał hamulca i samochód stanął. Diana drzemała. Obudziła ją cisza, gdy mąż wyłączył silnik i wysiadł. Parę minut później wsunął kilka owiniętych w bibułkę bagietek przez tylne okno i wnętrzu auta wypełnił zapach świeżego pieczywa. Zaburczało jej w brzuchu, bo od lunchu nie miała nic w ustach. Sięgnęła za siebie po obsypaną mąką bułkę. Skórka chrupnęła pod naciskiem dłoni. Podsunęła ją pod nos, po czym ostrożnie przełamała. Podała kawałek Harveyowi, następnie odłamała drugi dla siebie i gryzła wolno, patrząc przez okno. Ulicą szły dzieci w biało-czerwonych fartuszkach w kratkę, ciągnięte za ręce przez młode matki w minispódniczkach i pantoflach na niemożliwie wysokich obcasach na mocno opalonych nogach. Harvey zmienił pas i przyspieszył. Przed oczyma mignęły jej stoliki ustawione na wolnym powietrzu, otoczone starszymi mężczyznami w podkoszulkach, którzy trzymali w rękach szklanki z bladożółtym pastisem, czyli anyżówką.

Promienie słońca przenikały przez gałęzie drzew rosnących wzdłuż autostrady za miastem. Las gęstniał, gdy jechali drogą wśród wzgórz, aż w końcu stworzył nad ich głowami zielone sklepienie. Mijali jeden zakręt za drugim i kępy kwiatów rosnące na poboczach, niektóre szare od kurzu. Wspięli się na szczyt wzgórza i ich oczom ukazała się skąpana we mgle błękitnolawendowa dolina.

– Robi wrażenie, prawda, kochanie? – mruknęła do Harveya. – Bez względu na to, jak często tu przyjeżdżamy, zawsze zaskakuje mnie piękno okolicy.

Bez słowa położył rękę na jej udzie. Często w ten sposób odpowiadał na pytanie.

Opony zatrzeszczały na żwirze, gdy wjechali na ścieżkę prowadzącą do domu. Diana wysiadła przy bramie, czując ciepło promieni słonecznych na twarzy i korzystając z okazji, że wreszcie może rozprostować nogi. Harvey wjechał do środka. Zamknęła za nim bramę i ruszyła wolno podjazdem, splatając ręce na piersi. W cieniu stał biały samochód. Aaron i ta jego dziewczyna byli już na miejscu. Rafe i Maddy mieli przyjechać wieczorem. Weszła do kuchni. Madame Poulenc musiała tu być dziś rano. Wszędzie panował idealny porządek i czekała na nich pełna lodówka. Na kuchence bulgotało coś w dużym garnku, roztaczając smakowitą woń. Wzięła czajnik i zniosła go do zlewu. Najpierw filiżanka herbaty. Czekając, aż woda się zagotuje, wyjęła z kredensu dwa kubki.

– Napijesz się herbaty? – spytała Harveya, który wszedł właśnie do kuchni.

Głową prawie sięga niskiego sufitu – pomyślała z rozbawieniem. Podobnie było z chłopcami. Przypomniała sobie, jak któregoś lata Rafe bardzo urósł i przez całe wakacje ciągle trzymał się za głowę, bo wymiary wszystkich przedmiotów jakby nieoczekiwanie uległy zmianie. Rok później przyszła kolej na Aarona, a dwa lata później na Josha. Jakże się bała, że najmłodszy syn nie dorówna im wzrostem. Głupie obawy, był teraz dwa lub trzy centymetry wyższy od Harveya.

Mąż objął ją ramieniem, czekając, aż woda się zagotuje. Dom spowijała taka cisza, że słycać było jedynie ich oddechy. Po chwili skrzypnęła furtka i dobiegły ich ciężkie kroki madame Poulenc na żwirze. Zawsze przychodziła przywitać się z nimi. Diana wysunęła się z objęć Harveya i odwróciła w stronę drzwi. W progu stanęła oczekiwana kobieta z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Dopełnił się rytuał, który powtarzał się niezmiennie od dwudziestu lat.

Harvey brał prysznic. Głębokim barytonem nucił fragment utworu Chopina, którego słuchali w czasie drogi. Na łóżku przy oknie leżały dwie otwarte walizki. Z wieszakami w rękach Diana chodziła tam i z powrotem do małej garderoby, przenosząc do niej ubrania, by opróżnić walizki i schować je na strychu. Odwiesiła ostatnią partię i już miała zasunąć drzwi, gdy jej wzrok padł na kufer stojący w głębi pod półkami. Sięgnęła palcami do cienkiego złotego łańcuszka, który nosiła na szyi od ponad trzydziestu lat. Klucz do kufra był jednym z czterech umocowanych na nim wisiorków. Dotknęła go lekko, jakby przypominała sobie o jego istnieniu. Od kilku lat nie zaglądała do wnętrza. Nagle zapragnęła otworzyć kufer, ale cofnęła się, słysząc, że mąż zakręca wodę i otwiera drzwi. Kiedyś zapytał ją, co w nim jest.

– Och, takie dziecinne pamiątki... listy, świecidełka, pocztówki.

Kochany Harvey, oczywiście uwierzył jej na słowo i nigdy więcej o to nie zapytał. Miała duplikat oryginalnego mosiężnego kluczyka, który dorobiła sobie kilka miesięcy po kupieniu kufra, i od tego czasu nigdy się z nim nie rozstała. Nawet wtedy, gdy wylądowała w szpitalu z pękniętym wyrostkiem robaczkowym. Zrobiła taką awanturę, gdy chcieli zdjąć jej biżuterię, że mąż poprosił, aby ją zostawili. Chirurg był jego przyjacielem.

Nie musiała jednak zachowywać się tak paranoicznie. Ani Harveyowi, ani madame Poulenc, jedynym dwóm osobom, które wiedziały o istnieniu kufra, nie przyszłoby do głowy, by do niego zaglądać. Jej rzeczy były bezpieczne i tylko ona wiedziała, co jest w środku.

MADDY

Mougins, sierpień 1997

Rozsuwając gęste gałęzie o wybujałych liściach i kwiatach w cukierkowych barwach, Maddy szła zarośniętą ścieżką w stronę basenu. Była tu już trzeci dzień, ale dopiero dziś mogła cieszyć się ciszą i spokojem. Westchnęła z zachwytem. Cały dzień wolny od żądań innych, złośliwych uwag Diany i cierpkiego języka Julii, nareszcie sama ze swoimi myślami. Odchyliła ostatnią gałąź i stanęła nad basenem, gwałtownie wciągając powietrze w płuca. Wypełniała go mieniąca się w słońcu turkusowa woda, falująca pod wpływem lekkiego wiatru. Ktoś – zapewne Diana – polecił rozstawić leżaki. Maddy położyła na ziemi dużą torbę z książką, kremem do opalania i schłodzoną butelką białego wina. Usiadła na leżaku, włożyła okulary przeciwsłoneczne i wystawiła twarz do słońca. Poczwała, jak napięcie ostatnich trzech dni powoli opuszcza jej ciało. Wzięła do ręki książkę, otworzyła na stronie z zakładką i zaczęła czytać. Słońce przyjemnie grzało, muskając jej skórę ciepłymi promieniami. Poddała się urokowi chwili. Leniwie odegnała owady, które usiadły na kartce. Założyła za ucho pukiel włosów. W powietrze wzbił się stłumiony warkot motocykla, lecz po minucie czy dwóch odplynał w niebyt. Ośloniła oczy dłonią, lecz litery zaczęły skakać i rozmywać się, a myśli uleciały. Zasnęła.

Obudził ją dotyk czyjejś ręki na kolanie, wolno sunącej w stronę uda. Wyprostowała się gwałtownie. W tym chwilowym zawieszeniu między snem a jawą usiłowała sobie przypomnieć, gdzie jest, kim jest i kim jest mężczyzna siedzący na brzegu leżaka, trzymający dłoń na jej nagiej nodze.

– Rafe – jęknęła z ulgą, wracając do rzeczywistości. Jestem Maddy – uświadomiła sobie. Spędzam wakacje w Mougins, a to jest mój mąż. – Przestraszyłeś mnie.

– Dlaczego? – Jego ręka nie zatrzymała się na udzie, lecz przesunęła wyżej, pod materiał kostiumu.

– My-myślałam, że poszedłeś do miasta z innymi.

– Poszedłem, ale wróciłem wcześniej. Nie, nie ruszaj się.

Zaczęła ciężko oddychać, gdy palce Rafe’a zatańczyły na jej ciele. Spuściła wzrok i zobaczyła, że drżą jej mięśnie brzucha.

– Rafe – zaprotestowała słabo. – Ktoś może zobaczyć.

– Tak? A kto? Nikogo tu nie ma.

Wsunął palec głębiej. Z trudem się powstrzymała, by nie unieść kolan i nie przyciągnąć go do siebie.

– Ciii.

Miała wrażenie, że rozpływa się pod wpływem jego pieśczozy. Patrzyła zafascynowana, jak delikatnie, ale zdecydowanie zaczyna doprowadzać ją do orgazmu. Całkowicie panował nad jej ciałem. Poczła rytmiczne drzenie w dole brzucha, sutki jej stwardniały, naciskając skąpy materiał biustonosza. Westchnęła głęboko raz i drugi i nagle fala obezwładniającego uczucia rozkoszy wprawiła ją w drzenie i rozpłynęła się po ciele. Zamknęła oczy w upojeniu. Jego palce wywoływały magiczne doznania, prowadził ją na szczyt, po czym w ostatniej chwili wstrzymywał się i zaczynał od nowa. Drażnił się z nią wolno i niespiesznie. Otworzyła oczy. Patrzył na nią z uśmiechem błakającym się w kącikach warg. Zapragnęła mu się oprzeć, pokazać, że nie zawsze poddaje się jego kontroli.

– Dlaczego nigdy nie mówicie o Joshu? – spytała nagle. To pytanie dręczyło ją od wielu dni.

Cofnął gwałtownie rękę, jakby go odepchnęła. Wstał i odsunął się. Twarz mu spochmurniała. Popatrzył na Maddy, jakby chciał coś powiedzieć, następnie odwrócił się i odszedł.

– Rafe! – zawołała za nim. – Rafe!

Zniknął w gęstwinie krzewów równie szybko, jak się pojawił. Chwilę leżała zaskoczona, a potem zobaczyła, że jedna pierś wysunęła się ze skąpego staniczka, a dół kostiumu jest rozwiązany. Usiadła i drżącymi palcami umocowała tasiemki i ramiączka tak szybko, jak tylko mogła. Czuła się naga i straszliwie samotna. Znowu to zrobiłam – pomyślała, czując łzę spływającą po policzku. Powiedziałam coś nie tak, zrobiłam niewłaściwą uwagę, wyrwałam się jak filip z konopi. Ale skąd mogła wiedzieć, co mówić i kiedy, skoro nie rozumiała istoty problemu? Zapytała o Josha – czy coś w tym złego? Co zaszło w tej rodzinie, co wywoływało taki ból?

NIELA

Londyn/Paryż, sierpień 1997

Niela obudziła się pierwsza, czując czyjaś obecność w łóżku. Odwróciła głowę i zobaczyła obok siebie Josha pogrążonego w głębokim śnie. Omiotła wzrokiem pokój. Na podłodze leżały jej dzinsy, dalej jeden but, sweter, a z poręczy krzesła zwisała zwinięta w kłębek koszula. Z takim pośpiechem ściągał z niej wczoraj ubranie, tak bardzo jej pragnął, że poczuła ucisk w gardle. Jeżeli to zauważył, nie dał po sobie poznać. Wyczuwała w nim nieustannie buzujące napięcie, jak ciśnienie ropy pod ziemią. Dostrzegała to częściej, niż miała odwagę przyznać. Ale była w nim też druga natura, którą starał się kryć i tłumić, z ogromnymi pokładami życzliwości, niefrasobliwości i uroku. Gdy inni próbowali się do niej odwoływać, początkowo wychodził im naprzeciw, lecz zaraz się cofał, jak dziecko, które tyle razy się sparzyło, że wołało nie ryzykować. Nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on. Coś musiało się zdarzyć, co zmieniło beztroskiego, swobodnego, życzliwego ludziom człowieka w osobę ostrożną i zamkniętą w sobie. Odślaniał swoje wnętrze przeraźliwie wolno, warstwa po warstwie, zdarzenie po zdarzeniu, fakt po fakcie. Musi minąć trochę czasu, zanim ona poskłada te wszystkie kawałki i dotrze do jego wnętrza. Te błyskawiczne zmiany nastrojów, napady gniewu, nieoczekiwane wybuchy wesołości, olbrzymie poczucie humoru i zamykanie się w sobie były jego tajną bronią, za pomocą której trzymał świat na dystans. Czuła, że podobnie jak ona Josh skrywa jakąś tajemnicę, ale nie wiedziała, jaką. Leżąc obok niego w świetle rodzącego się dnia, słuchając spokojnego miarowego oddechu, czując pod ramieniem wznoszenie się i opadanie klatki piersiowej, powoli uświadamiała sobie, że uzdrawiając go, uzdrowi także siebie.

Dwie godziny później szykowała śniadanie, z wprawą rozbijając jajka i roztrzepując je z zamiarem usmażenia omletu, gdy posłyszała, jak Josh wchodzi do kuchni i staje za nią. Objął ją ramionami i ukrył twarz we włosach. Tego właśnie będzie jej brakowało – pomyślała ze ściśniętym gardłem. Wkrótce on wyjedzie do Jemenu i nie będzie go prawie trzy miesiące. Starła się nie myśleć o tym, co to oznaczało. Wyjedzie, ale czy wróci? Rzadko rozmawiali o przyszłości, jakby uważali, że lepiej nie ryzykować.

Josh wzmacnił uścisk ramion. Uśmiechnęła się.

– Usiłuję robić śniadanie – mruknęła, wskazując łyżką na palący się gaz. – Mówiłeś, że jesteś głodny. – Poczowała jego wargi we włosach. Powiedział coś

niewyraźnie. – Co mówiłeś? – spytała, zmniejszając płomień.

– Mówiłem, że to działa. – W jego głosie brzmiało zaskoczenie.

– Co? – Zgasiła gaz i obróciła się w jego ramionach.

– No to, że tu jesteśmy.

Machnął głową, jakby chodziło nie o ich obecność w pokoju, ale o coś więcej.

– Chyba tak – odparła z wahaniem. Szybkie zmiany nastroju Josha często poprzedzało pytanie.

– Czyżbyś miała wątpliwości? – Odsunął się od niej. – Żałujesz? – Popatrzył jej w oczy. Nie potrafiła nic z nich wyczytać. Mówił lekkim tonem, ale wiedziała, że to tylko pozory.

– Nie, nie żałuję.

– A więc... – Urwał i delikatnie odsunął jej kosmyk włosów z policzka. – Co byś na to powiedziała?

– Na co?

– Żebyśmy zrobili to jak należy.

Popatrzyła na niego i wstrzymała oddech. O co mu chodziło? Studiowała przez chwilę jego piękny profil z długim, prostym nosem, zakończonym pięknie wyprofilowanymi nozdrzami, wyraźnie zarysowaną linią warg i mocną jak ze stali szczęką z widocznym ruchem mięśni, które reagowały na skrywane emocje. Tak dobrze już go знаła, twarz i całe ciało – każdy cień, każde zagłębienie, każdy zakamarek. Jeszcze z nikim nie była tak blisko.

– Ale co?

– No to, co jest między nami.

Zaśmiała się krótko, wyraźnie skrepowana.

– O czym ty mówisz, Josh? – Nastąpiła chwila ciszy. – Chyba ty nie... Czy ty mi się oświadczasz? – spytała z niedowierzaniem.

Spojrzała w te czarne jak węgiel oczy, starając się wniknąć w ich głębię. Na jego twarzy malował się wyraz obojętności, ale czuła, że cały jest spięty. Poruszył wargami, uśmiechnął się krzywo, po czym przeczesał ręką gęste, zmierzwione włosy.

– Chryste – mruknął, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Chyba tak.

– Czy ma pani zapięty pas? – spytała stewardesa, przechodząc od jednego fotela do drugiego. Jasny koński ogon kiwał się na boki, gdy wykonywała swoje rutynowe czynności na chwilę przed lądowaniem.

Nieła siedziała obok Josha, czując jego rękę na udzie. Zaciskał od czasu do czasu palce, odpowiadając na jakieś wewnętrzne pytanie, błędząc gdzieś myślami. Spojrzała przez okno. Pod nimi Paryż wyłaniał się z chmur – ciasno ułożone kręgi dzielnic, z bulwarami i plastrami zieleni, sięgały daleko, aż po horyzont. Poczowała ucisk w żołądku, i to nie z powodu turbulencji. Dłonie jej się pociły pomimo klimatyzowanego wnętrza samolotu. Minął tydzień od oświadczyn Josha, które

zaskoczyły ich oboje. Za siedem dni wyjeżdżał do Jemenu. Stary przyjaciel ze studiów odstąpił im swoje mieszkanie w Paryżu. To był pomysł Josha. „Pobierzmy się w Paryżu, nie tutaj”. Powinna była wtedy powiedzieć: „Nie mogę, Josh. Nie mogę wyjść za ciebie ani tu, ani w Paryżu, bo już jestem mężatką”. Nie zrobiła tego. Milczała i słowa, których nikomu nie wyjawiała, pozostały tam, gdzie były – zamknięte, ukryte przed wszystkimi, nawet przed nią. Jej milczenie uznał za zgodę i zanim się zorientowała, wziął sprawy w swoje ręce.

I oto teraz schodzili do lądowania przy szarym, wietrznym niebie otulonym gęstą warstwą kłębiących się chmur, które w miarę zniżania się ustąpiły miejsca przebłyskom słońca. Seria uderzeń wprawiających w drżenie stalowego ptaka, szarpnięcie na bok i znowu byli na ziemi. Za kilka godzin weźmie ślub. Po raz drugi. Wyszła za Joshem z budynku lotniska z mieszaniną strachu i oczekiwania. Ostatni raz, gdy była w Paryżu, uciekała od przyszłości, której nie chciała. Teraz czekała ją przyszłość, której bardzo pragnęła. Ale kłębiący się w jej żyłach strach nie pozwalał o sobie zapomnieć. W końcu prawda wyjdzie na jaw, trafią gdzieś na odpowiedni dokument, ktoś się o tym dowie. Wystarczy list, jeden telefon i jej szczęście się skończy. Ktoś oznajmi, że panna Niela Aden nie może zostać żoną pana Josha Keelera, bo jest żoną pana Hamida Osmana. „Proszę spojrzeć, oto heiratsurkunde, świadectwo zawarcia związku małżeńskiego. Oto data, miejsce, czas. Podpisała je”. Serce tłukło jej się w piersi, gdy czekała z Joshem na bagaże. W każdej chwili mogła zostać zdemaskowana. W każdej chwili.

Białe, krągłe kopuły bazyliki Sacré-Coeur dominowały nad okolicą. Niela, Josh oraz Antonio i jego dziewczyna Jeanne, którzy byli świadkami, weszli do ratusza w osiemnastej dzielnicy. Cała trójka się śmiała, Niela nie. Każda sekunda wydawała się wiecznością, czekała, aż ktoś kaszlnie, przerwie formalności, rzuci jej szybkie, zdziwione spojrzenie i wszystko nagle się zatrzyma. Ale ta chwila jeszcze nie nadeszła. Lista dokumentów nie miała końca – *la justification de domicile, l'attestation d'hébergement sur l'honneur, l'extrait d'acte de naissance*. Patrzyła zdumiona na Josha, jak podaje potrzebne dokumenty. Kiedy on znalazł na to czas? Trzymał jej rękę na ramieniu pewnym, uspokajającym gestem. Przechodzili od jednego gabinetu do drugiego. Dokumenty zostały wydane, podstemplowane i podpisane. Nikt nawet na nią nie spojrział. W końcu stanęli przed panią burmistrz, wysoką, elegancką kobietą, która w ciągu kilku minut przeprowadziła prostą ceremonię. Nikt Nieli o nic nie pytał. Uroczystość, która odbyła się wcześniej w Wiedniu, poszła w zapomnienie, została ukryta pod stosem papierów i rejestrów komputerowych, których nikt nigdy nie znajdzie i nie zobaczy. Po raz drugi w życiu wyciągnęła rękę. Josh nie miał nawet czasu na kupienie pierścionka zaręczynowego. Prosta srebrna obrączka musiała wystarczyć. Stało się. Byli mężem i żoną.

Jeanne знаła pewną restaurację o kilka przecznic od ratusza. Ruszyli spieszenie

ulicą, bo zbierało się na letnią burzę. Niela pociła się, ale z ulgi. W dusznym, ciężkim powietrzu czuło się wilgoć. Cała czwórka weszła do klimatyzowanej restauracji. Antonio krzyknął, by podano im szampana. Właściciel, niski łysiejący Algierczyk, był zachwycony.

– *Un mariage? Très bon!*

Po chwili na stole stanęły cztery smukłe kieliszki. Wzniesli toast, gdy pierwsze grube krople deszczu zaczęły bębnić o chodnik. Napięcie rosnące w Nieli przez cały tydzień sięgnęło zenitu, a teraz zaczęło spadać. Pod wpływem odurzającego działania szampana powoli się rozluźniała. Pomogło jej, że obie ceremonie ślubne zasadniczo się od siebie różniły, jakby były dwiema odrębnymi sprawami. Niewiele pamiętała z tej pierwszej, która odbyła się w Meidling, jedynie migawki – morze twarzy, nikkah, drapiący, sztywny materiał jasnofioletowej szaty, jednej z trzech, jakie dostała. Popatrzyła na jasnoniebieską lnianą sukienkę, którą Anna pomogła jej kupić w minioną sobotę. Była bardzo prosta, z koronką wokół szyi.

– W stylu Sharon Stone – stwierdziła. – Jak w filmie *Kasyno* – dodała tonem wyjaśnienia.

Niestety, Nieli nic to nie mówiło.

– Trochę w stylu lat pięćdziesiątych – dodała Anna. – Ale bardzo ładna.

Trudno powiedzieć, która z nich była bardziej zdziwiona ślubem. Przyjaciółka tylko raz widziała Josha. Niela zwróciła się do niej o radę po powrocie z Dżibuti. Anna miała ogromne wątpliwości.

– Rozumiem, dlaczego ci się podoba – oznajmiła przez telefon następnego ranka. – Jest niesamowity. Przypomina mi trochę mojego brata. Ale proszę, bądź ostrożna. Taki mężczyzna jak on nikogo nie potrzebuje, a najmniej ciebie.

Myliła się, bo nie znała go tak jak Niela. Zresztą niewiele osób go znało. Teraz, w obecności Antonia, był ożywiony i wylewny. Kłócili się zażarcie, ale również śmiali. Antonio był pierwszą osobą z owianej tajemnicą przeszłości Josha, którą miała okazję poznać. Razem studiowali architekturę. Obaj oparli się powszechnej tendencji i zdecydowali się budować obozy zamiast luksusowych domów, podróżując do miejsc, których większość ludzi wolała nie oglądać, prowadząc tryb życia daleki od wygód, jakie zapewniałoby im pochodzenie. Zabawne – pomyślała z krzywym uśmieszkiem – Anna często powtarzała, że Niela jest zagadką, której nikt nie zdoła rozwikłać. Teraz przyszło jej do głowy, że poślubiła człowieka jeszcze bardziej zagadkowego.

CZĘŚĆ SZÓSTA

JULIA

Hayden Hall, listopad 1997

W małej kaplicy w Hayden Hall unosił się zapach lilii. Florystki kończyły dekorowanie wnętrza kwiatami. Lady Barrington-Browne w towarzystwie dwóch asystentów sprawdzała, czy wszystko jest w idealnym porządku. Po drugiej stronie dziedzińca, w pokoju, w którym spędziła noc, Julia rozsunęła zasłony i wyjrzała przez okno. Poranna mgła opadła i odsłoniła rząd dębów skąpanych w złocie i czerwieni, a na niebie pojawiły się przebłęski błękitu. Daleko na horyzoncie piętrzyła się gruba warstwa szarych chmur. Matka Dominika, która nic nie zostawiała przypadkowi, przez cały tydzień słuchała prognozy pogody. „Tylko trzydzieści procent szans na deszcz” – oznajmiła wesoło poprzedniego wieczoru, jednak na wszelki wypadek w hallu przygotowano dla gości parasole. Wszyscy się zastanawiali, jak i gdzie zdołała zdobyć ich aż sto pięćdziesiąt, ale w Hayden Hall tak załatwiało się sprawy.

Julia odwróciła się od okna i popatrzyła na swoją suknię. Dotknęła palcami delikatnych róż w pasie. Wciąż miała wrażenie, że to sen. Nie przypuszczała, że będzie brała ślub w takim miejscu, że w ogóle wyjdzie za mąż, a już na pewno nie za Aarona. Wróciła myślami do rozmowy z lady Barrington-Browne, która miała miejsce prawie rok temu. „Miłość i nienawiść to praktycznie to samo. Często się mylą”. Czy miała rację? Julia usiłowała sobie przypomnieć, co w nim zobaczyła tego wieczoru, gdy nieoczekiwanie zajrzał do jej pokoju w kancelarii. Od tego dnia delikatna linia łącząca miłość i nienawiść zaczęła się powoli rozmywać. Większość kobiet dostrzegała w Aaronie jedynie cechy zewnętrzne – metr osiemdziesiąt pięć szorstkiego blond przystojniaka. Ona też to widziała, ale tak naprawdę pociągało ją wewnątrz. Pod tą pewną siebie, arogancką powierzchownością krył się spokojny, zwykły facet i za to go kochała. Czasami zastanawiała się, co on w niej widzi. Często powtarzał, że ją podziwia. Gdy dobre jedzenie i alkohol rozwiązywały mu język, przyznawał, że uważa ją za mądrzejszą od siebie, że zaszła dalej, niż on kiedykolwiek zdoła, że to ona była ta błyskotliwa, nie on. Słuchała go i pomimo zażenowania, jakie czuła, gdy ktoś chwalił ją zbyt głośno lub zbyt długo, pęczniała z dumy. Tylko z nim mogła się dzielić swoimi osiągnięciami, nawet tymi najmniejszymi. Prócz niego nie miała nikogo. Poczowała ucisk w gardle i pokój rozpląnął się za zasłoną łez. Harvey poprowadzi ją do ołtarza. I ty, tato – dodała w myślach. I mama. Nie, musi się opanować. To dzień jej ślubu, nie czas teraz na płacz.

– Julio? – rozległ się głos Diany. Zapukała i weszła, nie czekając na odpowiedź. – A, tu jesteś. Harvey się zastanawiał, dokąd poszłaś. Jadłaś coś?

Pokręciła głową.

– Nie... nie jestem głodna.

– Co się stało? – spytała pani Pryce, patrząc na nią z niepokojem.

Julia potrząsnęła niezdarnie głową.

– Ni-nic – odparła, unosząc twarz, by łzy nie spłynęły po policzkach i nie rozmazały makijażu, nad którym godzinę pracowała fryzjerka Diany. Jeszcze tego brakowało, żeby weszła do kaplicy z czerwonymi nosem i oczami.

– Dasz sobie radę – powiedziała pospiesznie przyszła teściowa. Zapadła niezręczna cisza. – Zostawię cię samą na kilka minut, dobrze? – dodała, odwracając się do drzwi. – Przyślę kogoś po ciebie. Wszyscy już się schodzą. – Zawahała się. – Wyglądasz ślicznie, Julio – dodała łagodnie, po czym zniknęła, zanim dziewczyna zdążyła zareagować.

*

W kaplicy było chłodno. Gdy szła wolno środkiem nawy, jak przez mgłę słyszała stłumiony gwar rozmów i szelest wstających z miejsc gości. Ramię Harveya dawało jej pewność i poczucie bezpieczeństwa. Stojący przed ołtarzem Aaron odwracał się co chwila nerwowo. Zobaczyła Doma, który się do niej uśmiechnął. Zabrzmiała muzyka i rozmowy ucichły. Poczua, jak Harvey przekazuje ją Aaronowi. Ciszę przerwał dźwięczny baryton kapłana. Rozpoczęła się ceremonia. Julia niewiele z niej zapamiętała.

– Możesz pocałować pannę młodą – powiedział ksiądz z pobłażliwym uśmiechem na twarzy.

Poczua usta Aarona na swoich wargach i głośny aplauz, gdy oboje się odwrócili. Przez podwójną zasłonę z łez i welonu dostrzegła kilka szkolnych przyjaciółek, ocierających oczy. Siedzący w pierwszym rzędzie Dom uśmiechał się od ucha do ucha. Jego matka olśniewała wspaniałym kapeluszem, który usuwał wszystko w cień. Aaron poprowadził Julię do rodziców. Diana pocałowała ją w oba policzki, a Harvey serdecznie uściskał.

Potem otoczył ich tłum ludzi. Było z tuzin osób z kancelarii, różne ciotki i wujkowie oraz kilka osób, których imion panna młoda nie pamiętała. Jedna z maleńkich druhen potknęła się o tren i wyprowadzono ją płaczącą z kaplicy. Trzy inne podbiegły, by dotknąć jej sukni ślubnej, a reszta onieśmielona kryła się za plecami matek. Fotograf, młoda kobieta z gumą do żucia w ustach, co chwila błyskała fleszem. Julia patrzyła na Aarona, który wciąż odbierał gratulacje. Byli też Rafe i Maddy. Jasna głowa Rafe'a górowała nad innymi. Wszystko to działo się jak we śnie, jakby to nie ona w tym uczestniczyła.

W końcu przeszli z kaplicy do pałacu na weselny lunch. Idąc przez dziedziniec,

Julia kurczowo ścisnęła Aaronowi rękę.

– Ani śladu deszczu – dobiegł ją głos lady Barrington-Browne.

Ogrody lśniły w porannych promieniach słońca. Miała wrażenie, że tylko ona dostrzega piękno jesiennego światła, jasnozłote liście i zieloną trawę, która powoli bladła. Przeszła wraz z innymi przez bramę pachnącą wilgotnym mchem i znowu otoczył ją blask. Złoto, srebro i jasność – tak zapamięta ten najważniejszy dzień w życiu.

*

Stojąc w okazałym foyer, wśród gości raczących się aperitifem, Maddy obserwowała, jak Julię prowadzą od jednej grupy krewnych do drugiej, tak jak ją przed kilkoma miesiącami. Ten ślub był jednak zupełnie inny. Julia wyglądała ślicznie – pomyślała z zazdrością. W obcisłej sukni w kolorze kości słoniowej i eleganckich pantoflach na obcasach. Ciemne, lśniące włosy miała zebrane w kok. Na zwykle chłodnej, pełnej rezerwy twarzy malowało się ożywienie. Tak, wyglądała prześlicznie, ona zaś, Maddy, okropnie. Trzymała w ręku szklanekę wody gazowanej. Była w czwartym miesiącu ciąży i czuła się jak wieloryb.

– Jestem gruba, prawda? – spytała Rafe’a tego ranka, zmagając się z suwakiem przy sukni.

– Nieprawda – odpowiedział jak zwykle, nie podnosząc wzroku znak czytanej gazety.

– Jestem – syknęła, zirytowana jego brakiem zainteresowania. Zachowywała się dziecinnie, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Szampana? – spytała kelnerka, przerywając jej rozmyślenia.

Maddy popatrzyła na drobniutką dziewczynę i poczuła przypływ paniki. Kiedyś też była taka szczupła. Pokręciła przecząco głową.

– Bardzo chętnie, skarbie, ale nie mogę.

Dziewczyna spojrzała na nią zaskoczona i podeszła do następnego gościa. Maddy rozejrzała się po sali. Rafe rozmawiał z Aaronem i dwoma starszymi, dystyngowanymi mężczyznami, zapewne kolegami z pracy. Zauważyła, jak Julia i Aaron wymieniają pełne miłości spojrzenia. Na nią nikt nie zwracał uwagi. Poczowała się nagle zbędna i nie na miejscu. Poszukała wzrokiem toalety i dostrzegła ją w drugim końcu sali. Odstawiła szklanekę i ruszyła w tym kierunku, mijając po drodze Rafe’a.

– Cześć, kochanie – powiedział, wyciągając rękę z roztargnieniem. – Dokąd idziesz?

– Donikąd. To znaczy do toalety.

Przeszła pospiesznie przez salę, stukając obcasami po drewnianej podłodze. Otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą. Toaleta mrugnęła do niej – błyszczący biały sedes, lśniące baterie, grube białe ręczniki. Założyła włosy za uszy i uklękła. Udało

się po kilku próbach. Uniosła głowę, czując lekki zawrót głowy. Oczy ją piekły i dzwoniło w uszach, ale czuła się lżejsza i wolna od nerwowego niepokoju, który zaczął ją dręczyć. Wstała, wypłukała usta i naciskając spłuczkę, usunęła dowody swojej frustracji. Świat znowu był miły i spokojny, a ona panowała nad wszystkim. Na razie.

Takie reakcje nie leżały w naturze Diany, jednak rozglądając się po imponującym wnętrzu Hayden Hall, musiała przyznać, że jest pod wrażeniem. Julia jej zaimponowała. Wróciła myślami do rozmowy, jaka miała miejsce latem, po powrocie z Mougins. Nie powinna być zaskoczona, mimo to, gdy Aaron oznajmił, że zaręczył się z Julią, zamurowało ją. Zanim zdążyła odzyskać oddech, dziewczyna dodała, że zamierzają wziąć ślub w Hayden Hall w listopadzie.

– W Hayden Hall? Jesteś pewna? – spytała Diana zaskoczona. Wiedziała o jej przyjaźni z Dominikiem Barrington-Browne'em, ale do tego stopnia?

– Oczywiście, że jestem pewna – odparła Julia zdecydowanie. – Dom jest moim najlepszym przyjacielem. To był jego pomysł.

Oczy pani Pryce się zwęziły.

– Och. No cóż, to piękne miejsce. To bardzo uprzejmie z ich strony.

– Bardzo – potwierdziła Julia, unosząc lekko brodę.

Chwilę patrzyły na siebie, lecz to Diana pierwsza uciekła spojrzeniem w bok. Musiała przyznać, że ta dziewczyna ma coś więcej niż twardy akcent. Potrafiła rzucić się na człowieka z zjadłością wściekłego psa, a jednocześnie bacznie obserwowała otaczający ją świat. Matka Aarona nie do końca rozumiała, co takiego syn w niej widzi, ale teraz dotarło do niej, że pod spokojną powierzchownością Julii kryje się twardy charakter. Na pewno nie była głupia. Inaczej nie dostałaby się do Oksfordu, a na pewno nie z jej pochodzeniem. Nie zawdzięczała tego starannemu wychowaniu, jakie otrzymali jej synowie. Była skryta i nie pozwoliła zajrzeć w głąb swojej duszy i sprawdzić, co się kryje za tą obronną postawą. Teraz Diana zaczęła się zastanawiać, czy to nie był podstęp z jej strony. Julia okazała się sprytniejsza i bardziej ambitna, niż można było przypuszczać.

A teraz została żoną jej syna Aarona. Pani Pryce pokręciła głową z niedowierzaniem. Wciąż nie mogła się nadziwić, jak szybko to wszystko poszło. W ciągu zaledwie kilku miesięcy jej dwaj synowie założyli własne rodziny. Najgorsze, że nie miała nawet możliwości lepiej poznać ich wybranek. W przypadku Maddy postawili ją przed faktem dokonanym. A teraz Julia. Został jej tylko Josh. Poczula ostry ucisk w żołądku. Rozejrzała się wokół ukradkiem. Nie, nie przyjechał również i na ten ślub. Dzięki Bogu Rufus też nie. Ponad dziesięć lat nie widziała ich razem. Nie była pewna, czy zdołałaby to znieść.

DIANA

Londyn, Boże Narodzenie 1997

Diana obeszła stół, nadając nakryciom ostateczny szlif, po czym odsunęła się, by podziwiać swoje dzieło. Stół wyglądał pięknie: gałązki ostrokrzewu przy każdym talerzu, ogromny wieniec z białych, czerwonych i zielonych kwiatów pośrodku, kryształowe kieliszki do wina i szampana, mieniące się tysiącem kolorów, wykrochmalone białe serwetki i pięknie haftowany obrus, który dostała od matki w prezencie ślubnym prawie trzydzieści pięć lat temu. Otuliła się ramionami i przesunęła dłońmi w górę i w dół, wspominając dawne czasy. Co matka wówczas powiedziała? Coś o prezentach, które potrafią przeżyć obdarowanych lub okazje, z powodu których je kupiono. Zawsze potrafiła wyskoczyć z czymś dziwnym i nie z tej planety. Diana pokręciła lekko głową. Dlaczego właśnie dziś przyszło jej to do głowy? Rzadko myślała o matce, a już na pewno nie w Boże Narodzenie. To było jedno z jej małych zwyczajów, które pozwoliło przegnać duchy przeszłości. Boże Narodzenie należało bowiem do najsmutniejszych chwil w domu Pryce'ów, pełnych łez i napięć. Zapewne to ta wymuszona radość grudniowych świąt wydobywała z rodziców i z niej najgorsze cechy. Gdyby nie Harvey i Rufus, nie wiedziałyby, co robić.

Szczególnie jedno Boże Narodzenie, chyba najgorsze ze wszystkich, pozostało jej w pamięci. Matka siedziała na górze w swoim pokoju i upijała się do nieprzytomności, a ojciec przyjmował ostatnich pacjentów w gabinecie przy końcu ulicy, odwołując moment powrotu do domu, do pijanej żony i zapłakanej córki. Przy pierwszej nadarzącej się okazji Diana pobiegła do Keelerów jedynie w koszuli nocnej, by pochwalić się prezentem, który kupiła jej matka. Drzwi otworzyła Dot, matka Harveya i Rufusa. Jeżeli uważała za dziwne, że dziewczynka z sąsiedztwa spędza więcej czasu u nich w domu niż w swoim, to nigdy tego nie powiedziała. Traktowała ją jak członka rodziny.

– Wejdz, kochanie – powiedziała, biorąc ją w objęcia. Do dziś pozostało jej w pamięci ciepło ramion Dot, lekko pachnących perfumami, lepiej jej znanych niż uścisk matki. – Chłopcy są na górze – dodała. – Kakao czy mleko? – Ten rytuał powtarzał się w każde święta.

– Poproszę kakao – odpowiedziała, po czym pobiegła na górę i zapukała do pokoju Rufusa. Bardzo chciała otworzyć prezent w jego obecności. Z nich dwóch Harvey był miłszy, ale to na aprobatę Rufusa pragnęła zasłużyć, to jego darzyła uwielbieniem, nie Harveya.

– Idź sobie – warknął, a ona wstrzymała oddech. – Jestem zajęty.

– To ja, Diana – szepnęła w dziurkę od klucza.

Harvey jeszcze spał w pokoju po drugiej stronie korytarza. Miała wtedy dziesięć lat, Harvey jedenaście, a Rufus trzynaście. Wydawał się jej taki dorosły, powściągliwy i nieprzystępny. Nie zawsze jednak był taki. Znała obu braci od drugiego roku życia. Mieszkali w Londynie, w sąsiadujących ze sobą domach. Później Dot i Jim Keelerowie kupili starą willę w Mougins, na południu Francji, niedaleko domu letniskowego jej rodziców. Podziwiała ich i darzyła uwielbieniem. Dot uchodziła w jej oczach za idealną matkę, Jim za idealnego ojca, a Rufusa i Harveya traktowała jak braci, których nie miała. Czasami jednak ogarniały ją wątpliwości, czy to, co do nich czuje, a zwłaszcza do starszego z nich, jest właściwe. Nie myślała o nim jako o bracie, w każdym razie nie tak jak koleżanki ze szkoły o swoich braciach, odnosząc się do nich z nienawiścią lub co najwyżej z niechętną wyrozumiałością. Diana kochała Rufusa. Pędziła ze szkoły do domu jak na skrzydłach, by opowiedzieć mu, co przez cały dzień robiła i jak spędziła samotne godziny z dala od niego. Z początku to akceptował, pochlebiało mu jej oddanie. Nie wiadomo kiedy to się jednak zmieniło – stał się okrutny, obojętny, bardziej wymagający. Najpierw poczuła się zaskoczona, a potem zrozpaczona. Bywało, że wracała do domu ze łzami w oczach. Odrzucenie przez Rufusa traktowała jako coś najgorszego, co ją spotkało. Nie pomagały tłumaczenia Dot czy Harveya. Przychodziła każdego dnia i błagała, aby z nią porozmawiał. Odmawiał, ignorował ją, czasami nawet z niej drwił. A gdy wydawało się, że już nigdy się do niej nie odezwie, nieoczekiwanie zmieniał taktykę. Zaczął ją dostrzegać i świat znowu stawał się piękny.

Tego ranka przytknęła usta do dziurki od klucza, czując swe mocno bijące serce. Nie zniosłaby odepchnięcia w Boże Narodzenie.

– To ja – szepnęła. – Mogę wejść?

Nastąpiła chwila dręczącej ciszy.

– No dobrze – odpowiedział niechętnie. – Ale szybko, bo jestem zajęty.

Otworzyła drzwi. Rufus leżał w łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę i coś czytał. Pewnie komiks.

– Co... co czytasz? – spytała, wchodząc do pokoju z prezentem w ręku.

Opuścił komiks i popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Chodź tutaj – powiedział łagodnie. – Popatrz.

Przysiadła na brzegu łóżka. Jedną rękę miał schowaną pod kołdrę, a drugą przytrzymał pismo. Posłusznie spojrzała i z trudem przełknęła ślinę. To wcale nie był komiks. Uświadomiła sobie, że widzi nagie kobiety z piersiami sterczącymi pod różnymi dziwnymi kątami, z szeroko otwartymi ustami i nieobecny, szklisty wzrokiem. Były tam też inne rzeczy, o których wiedziała, że istnieją, ale nie miała okazji zobaczyć. Poczuła ucisk w dole brzucha, gdy Rufus jedną ręką przewrócił kartkę, a drugą poruszał w górę i w dół pod kołdrę. On też miał dziwny, szklisty

wzrok i oddychał urywanie. Siedziała nieruchomo, nie bardzo wiedząc, co robić lub mówić. Powoli, nie spuszczając z niej czarnych jak węgiel oczu, odchylił kołdrę i...

– Diano? – Jakiś głos przedarł się przez mgłę wspomnień. Omal nie wyskoczyła ze skóry. Za jej plecami stał Harvey. – Wszystko gotowe? – Pochylił się i musnął wargami jej szyję. Miała ochotę uchylić się przed pieśczętą. – Ślicznie pachniesz – szepnął jej do ucha. – Nowe perfumy? – Pokręciła przecząco głową, nie ufając własnemu głosowi. – Powinni zaraz się zjawić. – Przytulił ją lekko. – Masz ochotę na kieliszek wina?

Kiwnęła głową. Wino, szampan, cokolwiek, byleby pozbyć się wspomnienia. Niech go szlag – pomyślała wściekle, biorąc do ręki kieliszek.

Maddy odwróciła wzrok od miseczek z zakąskami i talerzy z malutkimi, przepysznyimi kanapkami i skupiła uwagę na toczącej się wokół rozmowie. Lepiej nie kusić losu. Była w szóstym miesiącu ciąży. Nie powinna się opychać, a potem zaraz pędzić do łazienki. Nie wiadomo, czy nie szkodziło to dziecku, które w sobie nosiła, ale nic nie mogła na to poradzić. Cięża jej nie służyła, fizycznie i emocjonalnie. Była gruba jak wieloryb, hipopotam albo krowa, zbierało jej się na płacz pod byle pretekstem i wszystko ją denerwowało. Bała się tego świątecznego obiadu, poczynając od jedzenia, a kończąc na rozmowie. Wyglądało jednak na to, że nie jest tak źle. Udało jej się ograniczyć jedzenie do trójkącika żytniego chleba z grubą warstwą kawioru, który podzieliła na trzy kęsy i przeżuła wolno, koncentrując się na smaku i fakturze. Oparła się pokusie wepchnięcia całego do ust i sięgnięcia po następny, i jeszcze jeden. Całkiem nieźle. Nie wzięła też kieliszka szampana. Też dobrze. I wreszcie zdołała pożartować chwilę z Aaronem, z czym zawsze miała trudności. W sumie był to dobry, bezpieczny początek.

Rozejrzała się po pokoju. Byli tu wszyscy – Diana, Harvey, Aaron, Julia i Rafe – Boże Narodzenie w rodzinnym gronie. Wszystko starannie zaplanowane, łącznie z prezentami. Najpierw obiad, potem przemówienie królowej Diany, na koniec wszyscy przejdą do salonu z pięknie udekorowaną choinką, Harvey przyniesie wino, porto oraz sery i po kolejnej godzinie rozmowy przyjdzie czas na prezenty. Ona zwykle przed świtem schodziła po cichu na dół, oczywiście nie w tym domu. Podobno Diana przez kilka tygodni szykowała świąteczny obiad. Dziewczyna pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Właściwie to gospośnia szykowała potrawy, nie pani Pryce, która nie miała czasu, bo występowała w telewizji. Gdy na ekranie pojawiła się jej twarz, Maddy robiła właśnie coś nudnego i bezmyślnego – prasowała czy składała ręczniki. Z trudem się powstrzymała, by nie cisnąć butem w telewizor.

– Widziałam cię w telewizji – powiedziała do Diany, gdy ta wstała, by otworzyć butelkę czerwonego wina. – Byłam pod wrażeniem. Jak ci się udało zachować spokój wobec tych wszystkich mikrofonów podtykanych pod nos?

Pani Pryce zmrużyła oczy i popatrzyła na nią podejrzliwie, jakby się zastanawiała,

czy synowa żartuje, czy mówi poważnie.

– Można się do tego przyzwyczaić – odparła krótko.

– Ja bym nie mogła – stwierdziła z uśmiechem Maddy. – Tu nie wystarczy ładnie się uśmiechać, trzeba jeszcze wyrazić swoją opinię. Pewnie przygotowałaś się wcześniej do tego wystąpienia, ale wyszło to bardzo naturalnie.

Diana się zawahała. Sprawiała wrażenie, jakby nie do końca wierzyła w szczerość słów Maddy, a jednocześnie czuła się mile połączona jej słowami. Synowa to dostrzegła i ucieszyła się.

– No cóż – odparła Diana po chwili. – To wcale nie jest takie trudne. Zwykle wiesz, o co będą pytać. Prawdę mówiąc, to taki rodzaj gry.

To chyba najdłuższe zdanie, jakie do mnie powiedziała – pomyślała Maddy z rosnącym zdumieniem. Zerknęła na Rafe'a. Uśmiechnął się zachęcająco. Ogarnęła ją uczucie satysfakcji. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Pochlebstwem wiele zyskasz, jak powiedział ktoś sławny. A jeżeli ktoś potrafił zagrać szczere pochlebstwo, to na pewno ona.

– Tak czy owak świetnie sobie poradziłaś – powiedziała, wchodząc w rolę.

– Dziękuję, Maddy. – Diana wzięła butelkę, po którą poszła. – To bardzo miłe z twojej strony. Czy dasz się skusić na jeden mały kieliszek? Wiem, że nie powinnaś, ale ja... myślę, że... – Urwała i zaczerwieniła się. Chciała coś powiedzieć, zmieniła jednak zdanie. – Napijesz się? – spytała nienaturalnie głośno.

Dziewczyna pospiesznie wyciągnęła kieliszek.

– Jeden nie zaszkodzi – odpowiedziała z uśmiechem.

Kątem oka dostrzegła szyderczy grymas Julii. Przejrzałam cię na wylot – zdawała się mówić. Och, odpieprz się – pomyślała Maddy buntowniczo. Kogo obchodzi, co ty myślisz?

W tym momencie zabrzmiał dzwonek. Diana zmarszczyła brwi. Dochodziła czwarta i za chwilę mieli zasiaść do obiadu.

– Kto to może być? – Odłożyła serwetkę i wstała. – Przecież to Boże Narodzenie. Zaczekajcie, sprawdzę, kto to.

NIELA

Londyn, Boże Narodzenie 1997

Gdy skręcili w Northumberland Road i zaczęli mijać kolejne domy, Niela poczuła przypływ paniki i chwyciła Josha za rękę.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł? – spytała z niepokojem.

– Wpadniemy tylko na chwilę. To przecież Boże Narodzenie.

– Ale nic im nie powiedziałaś. Nie wiedzą, że... Nie spodziewają się nas. A na pewno nie mnie.

– Nielo, przestań się zamartwiać. Wszystko będzie dobrze. – W jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta, którą nauczyła się rozpoznawać.

Westchnęła, ale nadal trzymała go za rękę. Serce biło jej mocno w piersi.

– Który to dom? – spytała.

Wszystkie wyglądały podobnie. Były wysokie, eleganckie, bogate. W dzielnicy Shepherd's Bush, gdzie mieszkała, takie domy podzielono na mniejsze mieszkania. Tu było odwrotnie.

– Jesteśmy na miejscu. – Zatrzymał się przed jednym z takich domów. – Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Nie odpowiedziała. Lepiej byłoby, gdyby przedstawił ją rodzinie, zanim się pobrali, a nie po fakcie. Nieważne, co powiedział ani czego nie powiedział o ich napiętych stosunkach. Poszła za nim krótką ścieżką do frontowych drzwi, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła ze zdenerwowania. Josh wcisnął dzwonek i spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Klamka się poruszyła i drzwi stanęły otworem. Niela zamrugała powiekami. W ciepłym świetle płynącym z wnętrza domu ujrzała znajomą postać. Była to Diana Pryce, którą widziała wiele razy w telewizji. Co oni robią w jej domu?

– Josh? – Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zaskoczenia i niedowierzania. – Co... co ty tu robisz? Kiedy przyjechałeś?

– Cześć, mamó. – Pochylił się i ucałował ją w oba policzki. – Kilka dni temu. Pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę. Gdzie tata?

– W salonie. Jest też Rafe, Aaron i... wszyscy. – Spojrzała ponad jego ramieniem na Nielę. – A kto to jest?

Dziewczyna miała ochotę odwrócić się i uciec. W głowie wirowały jej tysiące myśli. Josh nazwał Dianę Pryce matką. Usiłowała sobie przypomnieć, co mówił o rodzicach. Tak, wspominał, że matka jest adwokatem, ale nic poza tym.

– Ja... ja... – wyjąkała, patrząc na niego nerwowo.

Przyciągnął ją do siebie. Zapadła pełna napięcia cisza. Diana patrzyła na syna wyczekująco. Niela dostrzegła kątem oka małego czarnego kota, który przeszedł po grubym dywanie i usiadł przy poręczu, przyglądając się im.

– Powinienem cię uprzedzić, wiem – powiedział szybko Josh. Chwycił swą towarzyszkę za rękę, otoczył ramieniem i przytulił lekko. – Mamo, to jest Niela, moja żona.

*

Wszyscy unieśli wzrok, słysząc kroki na schodach i męski głos, niski i dźwięczny. Harvey przestał kroić mięso, odłożył nóż i spojrzał na drzwi jadalni. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Josh?! – zawołał, zanim pojawił się właściciel imienia.

– Josh? Co on tu robi, do cholery? – wyrwało się Aaronowi.

– Aaron! – Ojciec popatrzył na niego, marszcząc czoło. – Josh! Co za niespodzianka. Co... Kiedy przyjechałeś? – spytał ze śmiechem, obejmując syna za szyję. – Cóż za wspaniała niespodzianka! – Na twarzy stojącej za Joshem Diany malowała się autentyczna radość.

Julia spojrzała na przybysza i wstrzymała oddech. Czowała gniew siedzącego obok niej Aarona. Reakcja Rafe'a była podobna. Maddy sprawiała wrażenie osłupiałej. Julia ponownie przeniosła wzrok na stojącego w drzwiach mężczyznę. A więc to był Josh. Przeszedł ją tajemniczy dreszcz. Niesforny, kłopotliwy brat. Buntownik. Odszczepieniec. Omal się nie uśmiechnęła. Te biblijne określenia wydawały się śmieszne i nie na miejscu. Nie był wyższy czy potężniejszy od innych, ale emanował niebywałą życiową energią. Diana odchrząknęła, jakby zamierzała coś powiedzieć, i wrażenie prysło. Jej twarz przybrała starannie wystudiowany wyraz dumy i pewności siebie.

– Muszę wam kogoś przedstawić – oznajmiła, po czym odwróciła się do stojącej za nią osoby i wprowadziła ją do jadalni. – To jest Niela – powiedziała wolno, spoglądając na młodą kobietę, jakby dla potwierdzenia swoich słów. – Żona Josha.

Zacisnęła usta tak mocno, że aż zbielała jej górna warga. Julia popatrzyła na nią zdumiona. Diana płakała. Dotknęła dłonią policzka, jakby z niedowierzaniem, że jest mokry od łez, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju. Zapadła niezręczna cisza. Aaron i Rafe popatrzyli na siebie niepewnie, po czym przenieśli wzrok na gospodarza domu, oczekując od niego jakiejś reakcji. Harvey wstał, wymruczał słowa przeprosin i wyszedł.

Niela siedziała ze ściśniętymi kolanami, świadoma tego, że wszyscy się na nią gapią. Ktoś podał jej kieliszek wina, który trzymała teraz w ręku, nie bardzo wiedząc, czy ma pić, czy nie. Josh zajął miejsce na wprost niej i jego uwagę natychmiast przyciągnęła rudowłosa kobieta imieniem Mary, czy może Marie? Nie

pamiętał. Była, zdaje się, żoną Rafe'a, starszego brata. Obok niej siedziała druga kobieta, która wstała, żeby zrobić miejsce dla nowo przybyłych. Chyba miała na imię Julia. Była żoną Aarona, siedzącego po jej lewej stronie. Cała czwórka milczała. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Na stole stały do połowy opróżnione półmiski z jedzeniem. Najwyraźniej goście zjawili się w samym środku świątecznego obiadu. Dziwne, że go przerwali; w Mogadiszu wszyscy nadal by jedli. Nie miało znaczenia, kto przychodził i kiedy, każdy przybysz był mile widziany. W Anglii nikt się nie zjawiał bez zaproszenia, gospodarze musieli przygotować się na wizytę gości. Nieoczekiwane pojawienie się było po prostu niegrzeczne. Niela przytknęła kieliszek do ust i zerknęła przez stół na Josha, popijającego w milczeniu swoje wino. Rudowłosa sąsiadka najwidoczniej zrezygnowała z próby wciągnięcia go do rozmowy.

– Przepraszam, skąd powiedziałaś, że pochodzisz? – spytał nagle starszy brat.

– Z Somalii.

– Z Somalii? – Julia spojrzała na nią zaskoczona. – Jesteś daleko od domu.

Niela napotkała jej wzrok. Kobieta była ciemnowłosa i odznaczała się chłodną urodą. Miała niebieskie zimne oczy, porcelanową cerę i ostry głos, który nie pasował do jej wyglądu.

– Tak – odpowiedziała, nie dając się wciągnąć w dyskusję.

– Nie tęsknisz za domem? – spytała rudowłosa. Była Amerykanką. Niela poznała to po akcencie.

– Tak. A ty nie?

Blady rumieniec wskazywał na to, że trafiła w czuły punkt. Ona też była z dala od domu.

– Często jeździsz tam z wizytą? – spytał Rafe.

– Gdybyś nie wiedział, to tam trwa wojna – wtrącił Josh napiętym tonem.

– Gdzie się poznaliście? – spytał nagle drugi brat.

– Nie twoja sprawa – odparł młodszy. W jego oczach zapalił się dziwny błysk.

Zapadła kolejna kłopotliwa cisza. – No dobrze. – Josh wstał nagle. – Na nas już czas. Pożegnajcie od nas matkę.

Niela odstawiła kieliszek i podniosła się z krzesła. Byli w tym domu raptem dziesięć minut. To po to przyjechali na drugi koniec miasta? Poszła za mężem, czując w piersi narastający gniew. Nic dziwnego, że nie chciał mieć z nimi do czynienia. Co to za rodzina?

Diana stała w oknie sypialni, patrząc na ogród. Ale nie ogród widziała, lecz Josha. Malutkiego Josha w kocyku, w którym przywiozła go ze szpitala. Urodził się w czerwcu. Było wówczas bardzo ciepło. Drugiego lub trzeciego dnia po powrocie do domu wyniosła dziecko do ogrodu i ułożyła na trawie. Rafe i Aaron kręcili się w pobliżu, zachwyceni ślicznym braciszkiem. Nie mogli oderwać od niego oczu i ciągle zaglądali do łóżeczka, w którym sami niegdyś leżeli. Już wtedy można było

dostrzec różnice między nimi. Josh miał oliwkową cerę, czarne włosy i oczy, oni zaś byli blondynami. Nie pamiętała już, kiedy ich fascynacja zmieniła się w irytację. Josh bowiem ciągle płakał. Cichł jedynie przy karmieniu, lecz gdy kładła go do łóżeczka, znowu zaczynał. Trawił go dziwny gniew, którego źródła nikt nie rozumiał. Nieustanny lament zaczął się dawać we znaki całej rodzinie. Harvey wracał do domu po ciężkim dniu w szpitalu i od progu witał go wrzask niemowlęcia. Chłopcy też mieli tego dosyć. „Dlaczego on ciągle płacze? – nieustannie pytał Rafe. – Co myśmy mu zrobili?” Nie umiała na to odpowiedzieć. Próbowwała wszystkich sposobów. Między nią a Harveyem wybuchały kłótnie. Według niego była nadopiekuńcza albo za mało troskliwa. Cackała się z małym i zaniedbywała starszych synów. Przedkładała potrzeby Josha nad potrzeby innych, nic więc dziwnego, że stał się nieznośny. Powinna być bardziej stanowcza. „Nie zwracaj na niego uwagi, to przestanie płakać”. Nie przestał. W końcu nie mogła już tego znieść. Po kolejnej kłótni z mężem zabrała dziecko i pojechała do Mougins. Podróż była długa i koszmarowa, a po niej nastąpił przerażający kalejdoskop zdarzeń. Jej myśli zbliżyły się niebezpiecznie do obszaru, którego starannie unikała. Odetchnęła kilka razy głęboko. Musiała użyć całej siły woli, by powstrzymać się przed wkroczeniem do mrocznej jaskini wspomnień. To przez tę dziewczynę, żonę Josha. Gdy otworzyła drzwi i zobaczyła ją stojącą za plecami syna, pomyślała mimowolnie, że on nie ma jednak takiej ciemnej karnacji. W porównaniu z jej czarną skórą jego śniada cera wyglądała na bladą. Dość tego. Zaciśnęła palce na materiale sukienki, jakby chciała w ten sposób odepchnąć od siebie tę myśl. Na dole czekała rodzina i świąteczny obiad. Musi tam zejść. Z toalety dobiegł szum spuszczonej wody. Lada chwila drzwi łazienki się otworzą i stanie w nich Harvey. Podejdzie do niej i otoczy ramionami, jak zwykle, gdy miewała te swoje „mroczne nastroje”.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytał, stając za nią. – To był dla ciebie szok.

Wtuliła się w niego, jakby mógł ją obronić przed nią samą. Tak niewiele brakowało, żeby ich życie legło w gruzach. Niewłaściwe słowo, gest i wszystko by się zawaliło. Przypomniała sobie ostatnie spotkanie z Rufusem. „Nie możemy teraz o tym mówić”. Nie, nie możemy.

MADDY

Londyn, Boże Narodzenie 1997

Świąteczny obiad okazał się kompletną porażką. Jedynym plusem tego koszmarnego popołudnia był nikły uśmiech na twarzy Julii, gdy Diana zesłała w końcu na dół i spytała, gdzie są wszyscy. Maddy nie mogła się powstrzymać, słowa same popłynęły jej z ust:

– Poszli sobie w cholerę. Szczerze mówiąc, wcale im się nie dziwię. Nie czuli się tu mile widziani.

Dostrzegła zaskoczenie na twarzy teściowej i zrozumiała, że przesadziła, i to znacznie. Diana nic nie powiedziała, jedynie gniewnie zacisnęła usta, co było aż nadto wymowne. Rafe popatrzył na Maddy, jakby ta nagle straciła rozum. Ona zaś zerknęła na Julię. Czy sobie to wyobraziła, czy naprawdę dostrzegła cień uśmiechu, nikły znak solidarności? Poczowała się dziwnie wzruszona.

– Harvey, czy mógłbyś przynieść indyka? – poprosiła gospodyni lodowatym tonem. Spojrzała chłodno na Maddy, po czym odwróciła wzrok. – Mam nadzieję, że nie wysechł – dodała, uznając tym samym sprawę za zamkniętą.

Dalsza część obiadu przebiegła bez zakłóceń, chociaż w napiętej atmosferze.

W drodze powrotnej do domu, siedząc obok dziwnie milczącego Rafe'a, Maddy przypomniała sobie spojrzenie, które rzuciła jej Julia. Co ono oznaczało? Brawo? Gratuluję? Nie miała pewności, ale ciepło, jakie wówczas poczuła, towarzyszyło jej przez całe popołudnie. Miała ochotę spytać Julię, czy nie umówiłaby się z nią na kawę, ale się rozmyśliła. Zrobiłaby tylko z siebie jeszcze większą idiotkę. Czuła się samotna i przyjemnie byłoby pogadać z kimś oprócz Rafe'a czy sprzedawców w sklepie, ale wątpiła, czy Julia też tego chce. Prawdę mówiąc, to oprócz Diany nie znała nikogo równie niezależnego. Żona Aarona nie potrzebowała niczyjego wsparcia, a już na pewno nie zdesperowanej, zbyt przyjacielskiej Amerykanki z zaburzeniami w odżywianiu. Maddy natychmiast przywołała się do porządku. Miała niebezpieczną skłonność, by pozwalać myślom wymykać się spod kontroli. Wszystko przez to, że nie miała z kim pogadać. Tak naprawdę nie miała żadnych zaburzeń. Może drobne kłopoty z jedzeniem od czasu do czasu, ale na pewno nie zaburzenia.

– Wszystko w porządku? – spytała Rafe'a, by o tym nie myśleć.

– Mhm – mruknął z roztargnieniem.

– Co o niej myślisz?

– O kim?

– O żonie Josha.

Skrzywił się.

– Z Joshem nigdy nic nie wiadomo.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Czy coś zaszło między wami?

– Nic – odparł. – On jest... kłopotliwy, to wszystko.

– Daj spokój. Na pewno chodzi o coś więcej.

Pokręcił głową.

– Nie. Zostawmy to, dobrze? Nie mam ochoty o nim rozmawiać.

– Ty nigdy nie chcesz o nim mówić. Jestem tylko ciekawa...

– Maddy, proszę, daj spokój, dobrze?

Westchnęła i odwróciła głowę w stronę okna. Poczowała przyływ dawnej paniki. Jak mogła cokolwiek zrozumieć, skoro nikt nie chciał nic powiedzieć? Pomyślała o Nieli, pięknej, spokojnej i opanowanej, której twarz nie zdradzała żadnych uczuć. I o Joshu. Dostrzegła w nim coś dziwnego, gdy pierwszy raz go zobaczyła. Sprawiał wrażenie silnego i pewnego siebie, ale jednocześnie czujnego, jakby się bał, że zostanie zraniony. Dziś też to dostrzegła, gdy pojawił się w jadalni i zobaczył niechęć na twarzach wszystkich obecnych. Patrząc mu w oczy, miała wrażenie, że widzi maskę. Tak głęboko schował swoje uczucia, że już nie wiedział, co chciał ukryć. Ona również przybierała taki wyraz twarzy, gdy stawała na scenie. Nagle uświadomiła sobie, że grał jakąś rolę. Tylko jaką?

Aaron i Julia wyszli zaraz po Maddy i Rafie. Diana przez całe popołudnie była cicha i milcząca. Ku zaskoczeniu synowej ucałowała oboje i machała im na pożegnanie, dopóki taksówka nie zniknęła jej z oczu.

– Boże, ale przyjęcie! – mruknęła Julia, pochylając się ku Aaronowi, gdy samochód nabrał szybkości. Zbyt dużo wypita po wyjściu Josha i Nieli i bolała ją głowa. – Współczuję jej.

– Tak. Biedna mama. Josh potrafi wszystko zepsuć.

– Nie mówiłam o twojej matce – odparła niecierpliwie – lecz o Nieli. To musiało być dla niej trudne.

– Co? – spytał Aaron z nutą pogardy w głosie.

– No wiesz... zostać w ten sposób przedstawioną rodzinie. A tak na marginesie, to co jest między wami? – Nie odpowiedział. Ziewnął i odwrócił twarz do okna. – Pytam poważnie – nie ustępowała Julia. – Co zaszło między wami a Joshem? Dlaczego tak wrogo go traktujecie?

– Czy choć raz możemy o nim nie mówić? – odparł z rozdrażnieniem.

Poczwała rosnący w niej gniew.

– Co znaczy „choć raz”? Nigdy o nim nie rozmawiamy. W ogóle o nim nie mówisz. Nie rozumiem, dlaczego...

– Julio, daj spokój. To był długi dzień i jestem zmęczony. Josh zepsuł nam obiad, nie chcę, żeby zepsuł także wieczór.

– Ale...

– Daj spokój, dobrze? – powtórzył Aaron podniesionym głosem.

Julia zacisnęła usta.

– Dobrze – mruknęła, odwracając głowę. – Skoro tego sobie życzysz...

– Tak.

Więcej się nie odezwał. W milczeniu dojechali do domu i w milczeniu weszli po schodach.

Ale święta! – pomyślała Julia z irytacją, zdejmując jedwabną bluzkę i spodnie. Odwiesiła je do szafy, potem poszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Chrzanić Aarona. Chrzanić ich wszystkich. Czy oni nie rozumieją, jakimi są szczęśliwcami, że mają siebie? Nigdy nie spotkała rodziny, która tak lekceważyłaby uczucia innych. Żadne z nich nie miało pojęcia, jak to jest być sierotą. Poczowała znajomy ucisk w gardle, odkręciła kran i zaczęła myć zęby. Nagle stanęła jej przed oczyma Maddy. Mało brakowało, a roześmiałyby się w głos podczas obiadu. Nie przypuszczała, że ta dziewczyna jest zdolna do tak ostrej reakcji. „Poszli sobie w cholerę. Szczerze mówiąc, wcale im się nie dziwię. Nie czuli się tu mile widziani”. Uśmiechnęła się pomimo łez. Nie miała odwagi spojrzeć Dianie w oczy, ale ona oczywiście tego nie zauważyła. Julia wydmuchała nos, zaskoczona sympatią, jaką poczuła do Maddy. Może źle ją oceniła. Nie – pomyślała – to niemożliwe.

NIELA/JOSH

Londyn, Boże Narodzenie 1997

Josh milczał przez cały wieczór. Gdy wrócili, włączył telewizor, usiadł na kanapie i zaczął oglądać wiadomości. Niela wiedziała, że nie powinna domagać się wyjaśnień na temat tego, co zaszło. Zajął się składaniem bielizny i rozstawiła deskę do prasowania. Zauważyła jednak, że Josh wcale nie ogląda telewizji, lecz błądzi gdzieś myślami. Wkrótce poczuła, że atmosfera między nimi zaczyna się zmieniać. Zerknął na nią raz czy dwa, ale ona nie podniosła wzroku, skupiając uwagę na cichym syku żelazka sunącego po gładkim, pachnącym świeżością prześcieradle. Bardzo dobrze rozumiała Josha, bardziej, niż sobie to uświadamiał. On zaś czekał, aż kipiący w nim gniew opadnie. Milczał, dopóki nie pozbiarał kłębiących się w nim myśli i nie doszedł ze sobą do porozumienia. Zrozumiała to jeszcze w Dżibuti, a w Londynie było podobnie.

– Przepraszam za to wszystko – powiedział w końcu tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Nie ma za co – odparła miękko.

– Jest. Nie wiem, po co w ogóle tam pojechałem.

– A po co pojechałeś? – Obróciła ciężką narzutę na drugą stronę. Żelazko wypuściło kłęb pary.

Wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w telewizorze.

– Nie wiem... Obiecałem Dianie, że wpadnę na święta, jeżeli będę w Londynie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, kim ona jest?

– Szczerze mówiąc, uznałem, że to nieistotne – odparł po krótkim wahaniu. – Sam nie wiem... W Dżibuti wszystko wydawało się prostsze. Byliśmy tylko ty i ja.

– Co zaszło między wami, Josh? Między tobą a braćmi.

Wzruszył nonszalancko ramionami, ale dostrzegła w tym ruchu napięcie.

– Dziecinada. To było dawno temu.

– Jaka dziecinada?

Nie odpowiedział od razu. Zmagał się z czymś, czego nie mógł wypowiedzieć na głos. Czują emanującą z niego energię w postaci ciepła gromadzącego się w pokoju. Sunęła wolno żelazkiem po narzucie i cierpliwie czekała. To, co go nurtowało, musiało się najpierw wypalić. W końcu zaczął mówić.

Nie umiał powiedzieć, kiedy zdał sobie z tego sprawę. Chyba zawsze o tym wiedział. Nie chodziło tylko o to, że inaczej wyglądał, po prostu był inny. Pod

każdym względem, nie tylko fizycznym. Rafe i Aaron byli tacy jak Harvey – prostolinijni, nieskomplikowani. Wiedzieli, co lubią i dlaczego. Nie mieli w sobie tej nieuchwytej mroczności, którą on odziedziczył. Jego sny obfitowały w tajemnice i sekrety. Nie rozumiał ich znaczenia, mógł się jedynie domyślać. Budził się rano zmęczony i zastanawiał się, co zostało mu przekazane podczas nocnych godzin po tym, jak matka zgasła światło. Rano świat był tak odmienny od tego, w którym przebywał podczas snu, że czasami miał kłopoty z odróżnieniem rzeczywistości od sennego marzenia. Diana to rozumiała. Czekala, aż syn się obudzi, gotowa, by wyjść do kancelarii, gdzie spędzała niemal cały dzień. Witaa go specjalnym uśmiechem, przeznaczonym tylko dla niego, świadczącym o tym, że rozumie. Nie Harvey, nie bracia, jedynie ona.

– Opowiedz mi swój sen – prosiła w niedzielne poranki, gdy bracia szli na trening rugby lub bawili się w ogrodzie, który był ich drugim domem. – Ten, który miałeś we wtorek.

Robiło mu się ciepło wokół serca na myśl, że pamiętała, co i kiedy mu się śniło. Ona wszystko rozumiała.

– Zdumiewające – mawiała, słuchając jego opowieści. – I to wszystko powstało w tej małej główce. Masz nadzwyczajną wyobraźnię.

Często przytulała go i mierzwiła krótkie, gęste czarne kędziory, podobne do jej własnych, ale inne niż braci. „Dobry Boże, skąd on się wziął?” – pytali ludzie, widząc całą trójkę razem. Nienawidził tego i jednocześnie uwielbiał. To znaczyło, że jest inny, wyjątkowy, jak Diana szeptała mu do ucha. „Jesteś wyjątkowy, bo jesteś mój”. Inni też to czuli. Czy wiedział o tym, bo zwrócili mu na to uwagę? Nie potrafił powiedzieć. Jednakże, gdy sobie to uświadomił, wcale się nie zdziwił. Patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę i myślał: tak właśnie jest i tak zawsze było. Dlatego.

– Co dlatego? – spytała Niela cicho. Siedziała na wprost niego, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Byli w Mougins, najpiękniejszym miejscu na świecie. Miał wtedy dziesięć lat. Wówczas wakacje przebiegały według ustalonego wzorca. Kancelaria Diany zamykała podwoje tego samego dnia, w którym kończył się rok szkolny. Rafe i Aaron uczyli się w szkole z internatem, Josh przebywał jeszcze w domu. W przyszłym roku miał wyjechać do Eton, ponurej, pełnej przeciągów szkoły, uwielbianej przez braci. Bał się tego wyjazdu. Nie dlatego, że był tchórzem – dorównywał wzrostem starszemu o cztery lata Aaronowi, był szczupły i dobrze zbudowany, wiedział, że nikomu nie pozwoli się terroryzować. Potrafił zadbać o siebie. Nie obawiał się kolegów, lecz tego, że będzie daleko od Diany. Tego lata, ostatniego przed czekającym go samotnym życiem w szkole, pojechali we czwórkę z matką do Mougins. Harvey miał dołączyć do nich za dwa tygodnie.

Wyruszyli z Londynu rodzinnym volvo, z Busterem, który szczekał przez całą

drogę. Przeprowa promem była jak podróż z bajki. Wiatr pędził po niebie białe obłoki nieustannie zmieniające kształty. Stał na górnym pokładzie, wpatrując się jak zahipnotyzowany w kłęby piany, pozostawiane przez silniki promu sunącego po ciemnozielonym morzu. W Calais matka zaprowadziła ich do kawiarni, gdzie dostali *café au lait* i rogaliki z czekoladowo-migdałowym nadzieniem.

Na noc zatrzymali się jak zawsze w małym pensjonacie w Lyonie. Właściciele, monsieur i madame Santos, powitali ich wylewnie okrzykami, chwając chłopców, że tak wyrosli, że tak dobrze mówią po francusku, a Dianę, że wspaniale wygląda, i zarzucili ją pytaniami o monsieur Keelera. Ach, pracuje. Ratowanie ludzkiego życia to ważna praca. Ucieszyło to Rafe'a. On też chciał zostać chirurgiem jak tata. Aaron chciał być prawnikiem, jak *maman*. A ty? Madame Santos spojrzała na Josha z zaciekawieniem. Poczł, że końcówki uszu robią mu się czerwone. Chcę być kucharzem – odpowiedział. Nie, szefem kuchni. Ryk śmiechu wystraszył okoliczne gołębice.

– Kochanie, co masz właściwie na myśli? – Diana pogłaskała go czule po karku, targając miękkie, przydługie loki opadające na kołnierzyk.

– Szef kuchni? – Rafe i Aaron popatrzyli na niego z ukosa, a w ich oczach błysnęła satysfakcja.

Co złego w tym, że chciał być szefem kuchni? Przecież madame Santos jest szefem kuchni. On też bardzo lubi gotować.

– Oczywiście, że lubisz, kochanie – mruknęła Diana, uciszając synów znaczącym spojrzeniem.

– Oferma – szepnął Aaron tak cicho, by nikt tego nie usłyszał. – Maminsynek. – To był jego ulubiony epitet tamtego roku.

Dom pozostał taki, jak go zapamiętał. Wielki dąb tonął w zieleni, a oleandry, róże i hiacynty, które Diana przywiozła z Londynu, zachwycaly feerią barw. Gdy zajechali na miejsce, cienie zaczęły się wydłużać i słońce chyliło się ku zachodowi. Pobiegł z Busterem otworzyć bramę. Na podjeździe stał samochód. Zatrzymał się zdezorientowany, po czym odwrócił głowę i spojrział pytająco na Dianę.

– Mamo, ktoś tu jest! – zawołał.

– Wiem, kochanie. Wszystko w porządku. To tylko stryj Rufus.

Josh spojrział niepewnie w głąb ogrodu. Stryj Rufus, jedyny brat taty, był dziwny. Pojawiał się nieoczekiwanie i znikał. Czasami zatrzymywał się w Londynie na parę tygodni. Wówczas była uroczysta kolacja i prezenty. Jadł z nimi śniadanie i obiad, a potem znowu długo się nie pojawiał. W tym czasie nie pisał, nie przysyłał nawet kartek z tych wszystkich egzotycznych miejsc, do których jeździł. Ameryka Południowa, Azja, Japonia, Afryka. Chłopiec nie wiedział, co dokładnie robi stryj Rufus, ale miało to coś wspólnego z dziwnym słowem „inwestycja”. Przywoził do Islington opowieści o spotkaniach z prezydentami i oszustami, o strzelaninach w miejscach o trudnych do wymówienia nazwach i ucieczkach zawsze pod ostrzałem

i w bagażniku samochodu. Josh nie umiał wytłumaczyć, dlaczego nie lubi Rufusa. Nie chodziło o to, że jego historie były nieprawdopodobne. Wystarczyło na niego spojrzeć, by uwierzyć, że są prawdziwe. Był wysoki jak tata, lecz mocniej zbudowany, miał gęste ciemnobrązowe włosy, ciemnobrązowe oczy, kształtny rzymski nos (musał spytać mamy, co to znaczy) i głęboki, grzmiący śmiech. Stanowił zupełne przeciwieństwo Harveya, tak jak on Aarona czy Rafe'a. Ale Diana go lubiła. Zmieniała się w jego obecności, ożywiała, stawała się bardziej swobodna i wylewna. Nie lubił jej takiej. Wolał, gdy była opanowana i mniej skupiona na mężczyźnie, który co prawda czasowo, ale zajmował miejsce ojca.

– Stryj Rufus zostanie z nami kilka dni – wyjaśniła, wjeżdżając samochodem na podjazd. – Do czasu, jak przyjedzie tata.

Josh stanął przed drzwiami, nie mając ochoty wchodzić do środka. Z wnętrza dochodziła muzyka, której dźwięki rozpływały się po całym domu, zalewały drzwi i okna, wnikały do każdego pokoju. Nie podobała mu się. Tata nigdy tak głośno nie słucał muzyki.

– Nareszcie jesteście. – Z salonu w końcu korytarza wyłonił się Rufus i stanął, obserwując przybyłych z rękami w kieszeniach. – Myślałem, że nigdy nie dojedziecie.

– Przepraszam – powiedziała Diana, trzymając w jednej ręce Bustera, a w drugiej wielką walizkę. – Trochę zmitrężyliśmy rano. Kiedy przyjechałeś?

– Wczoraj wieczorem.

Josh zauważył, że Rufus nawet się nie ruszył, by jej pomóc. Tata nigdy nie pozwoliłby mamie nieść walizki.

– Mamo, daj, ja ją wezmę.

Odebrał jej walizkę i rzucił stryjowi najbardziej mordercze ze spojrzeń. On jednak nawet tego nie zauważył. Chłopiec pomaszerował więc z walizką na górę. Nawet nie była taka ciężka. Wcześniejszy dobry nastrój zniknął bezpowrotnie. A przecież pierwszy dzień wakacji jeszcze się na dobre nie zaczął.

Zdarzyło się to wieczorem trzeciego dnia. Siedzieli wszyscy w salonie po kolacji, każdy zajęty czymś innym. Aaron i Rafe grali w karty, Diana przeglądała stos dokumentów, stryj Rufus słucał muzyki przez słuchawki, a Josh leżał na brzuchu z zamkniętymi oczyma, wspominając wydarzenia minionego dnia – posiłek, pływanie, znowu posiłek, znowu pływanie – i zastanawiał się nad tym, jak opowie kolegom w szkole, co robił podczas wakacji. Nagle stryj wstał, zdjął słuchawki i ogłosił, że czas na zabawę w chowanego. Aaron i Rafe poderwali się z entuzjazmem. Uwielbiali takie awanturnicze zabawy. Diana uniosła wzrok i spojrzała na Rufusa z wyrazem pobłażliwości i rozbawienia na twarzy.

– Naprawdę chcesz się bawić w chowanego? Jesteś równie okropny jak ta trójka. Josh nie miał ochoty na zabawę. Nie był podobny do stryja czy braci.

– No chodźcie... Kto będzie szukał? – spytał Rufus wesoło. – Rafe? Jesteś

najstarszy. Policz do stu, a potem zacznij szukaj. No dalej, zmykamy.

Wszyscy, łącznie z Joshem, wybiegli z salonu. Nawet Diana przyłączyła się do zabawy. Rafe stał w kącie, twarzą do ściany, i liczył głośno i wyraźnie.

– Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem...

Aaron otworzył cicho drzwi wejściowe i wymknął się na dwór. Josh ruszył na górę za matką i stryjem. Przystanął na chwilę z ręką na poręczy, zastanawiając się nad miejscem, do którego Rafe nie zajrzy. Po chwili się uśmiechnął. Jak dobrze pójdzie, to może przesiedzieć tam cały wieczór, z dala od innych i ich głupich gier. Może nawet do rana.

Wbiegł na schody prowadzące na strych, który ciągnął się przez całą długość domu i służył za skład rupieci przeniesionych tu po śmierci ojca Diany z pobliskiego domu letniskowego jej rodziców. Nie chciała żadnej z odziedziczonych po nich rzeczy. Pamiętał, jak któregoś lata pracownicy z firmy zajmującej się przeprowadzkami wnieśli na strych wielkie, brzydkie meble. Od tej pory nikt ich nie ruszał.

Macając rękami w ciemności, ominął zagradzające mu przejście przedmioty, pamiętając, by nie stanąć na skrzypiących deskach w podłodze. Nie był tu od roku, ale znał każdy zakamarek. Przez całe popołudnie wiał lekki wiatr, drzewa w ogrodzie szeptały do siebie, a ptaki odpowiadały im szczebiotem. Dotarł do leżącego na podłodze materaca i położył się na nim. Przez szpary w deskach przeświecało światło. Usłyszał kroki w pomieszczeniu na dole i zobaczył matkę. Znajdował się dokładnie nad pokojem gościnnym, do którego prowadziły drzwi w końcu korytarza. Otworzyła je, a podmuch powietrza wybrzuszył zasłony. Smuga światła się poszerzyła. Przysunął bliżej twarz do szczeliny. W drzwiach pojawiła się druga postać. Był to stryj Rufus. Zasłona w oknie znowu się podniosła i opadła niczym welon. Diana spoglądała na tonący w atramentowej czerni ogród. Stryj zamknął drzwi i przekręcił klucz. Josh poczuł nagły ucisk w piersi, jakby wiedział, co za chwilę nastąpi. W pewnym sensie wiedział, bo często o tym śnił. Z ust matki wyrwało się ciche westchnienie. Nie chciał na to patrzeć, ale nie mógł odwrócić wzroku. Rufus stanął za nią i dotknął czubkami palców jej twarzy. Josh poczuł mrowienie na skórze, obserwując scenę, której nie powinien oglądać. Tkwiał tam z twarzą przyciśniętą do podłogi, gdy zasłony w oknie unosiły się i opadały w rytm unoszenia się i opadania pleców stryja leżącego na matce, która spazmatycznie chwytiała powietrze w płuca, jakby brakło jej tchu. Tylko że wydobywające się z ich ust odgłosy nie sugerowały końca życia, lecz wprost przeciwnie – początek, coś nowego, coś, czego nikt nie powinien oglądać, a zwłaszcza on.

Nie pamiętał, jak długo tak leżał i jak to się skończyło. Pamiętał jedynie, że wstał, przeszedł przez strych na palcach, nie chcąc, by ktoś go usłyszał. Najpierw postanowił ukryć się w swoim pokoju. Nie uświadamiał sobie, że przyciska dłonie do uszu. Zobaczył to dopiero w lustrze wiszącym na półpiętrze. Nie pamięta, jak długo siedział na brzegu łóżka. W końcu wstał i zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła

mu do głowy: zszedł na dół, by powiedzieć o wszystkim braciom. Chciał, żeby Rafe kazał stryjowi wyjechać. Był przecież najstarszy, więc mógł to zrobić. Chłopcy leżeli przed pustym kominkiem i grali w jakąś głupią grę w karty, której nie chcieli go nauczyć.

– Rafe – powiedział Josh poprzez łyzy. Czuł, jak drży mu warga, chociaż rozpaczliwie pragnął, żeby przestała.

Bracia unieśli wzrok. Aaron pierwszy zaczął się śmiać.

– Beksa... Przestraszyłeś się? Byłeś sam, w ciemności? Spójrz na niego. Boże, ale z ciebie dzieciuch!

Słowa same popłynęły z ust Josha.

– Każ mu przestać – zwrócił się do Rafe'a błagalnym tonem. – On jej robi krzywdę. Każ mu stąd wyjechać.

Nie wiedział, który pierwszy go uderzył, pamiętał jedynie smak krwi w ustach i dudnienie w uszach. Na zmianę popychali go, szturchali i bili. Kłamca. Podstępny, wstrętny mały kłamczuch. Mazgaj. Jak on mógł wymyślić coś tak okropnego? Jeżeli się nie zamknie i nie odszczeka tych ohydnych kłamstw, to zamienią jego życie w piekło. Nie posłuchał. I to był początek ich wzajemnej animozji, trwającej prawie dwadzieścia lat. Ale nie koniec na tym, bo nie pozostał im dłużny i zemścił się.

– Jak? – spytała szeptem Niela, chociaż się domyśliła.

Wzruszył ramionami, nie mogąc spojrzeć jej w oczy. Wyrósł na nieobliczalnego czarusia, którego nikt nie potrafił ujarzmić. To miało swój urok, o czym szybko się przekonał. Zabierał braciom wszystko, co się dało i kiedy tylko mógł. Najczęściej dziewczyny. Kobiety. Nie pamiętał, ile razy uwiódł ich przyjaciółki, a potem je rzucał. Z początku traktował to jak zabawę i próbę sił, nic nieznaczącą szybką zemstę, a potem weszło mu to w krew. Im bardziej go odpychali, z tym większą zjadłością gonił za tym, co kochali. Ostatnią zdobyczą była narzeczona Rafe'a, głupia, wdzięcząca się dziewczyna imieniem Amy. Tego wieczoru, gdy ogłosili zaręczyny, pocałował ją w łazience na górze. Dwa dni później zaciągnął ją do łóżka. Powiedziała o tym Rafe'owi. Po kilku dniach zaręczyny zostały zerwane, a Josh wyjechał do Birmy. Była to jego ostatnia zdobycz, bo zabawa przestała mu sprawiać przyjemność. Tak naprawdę nigdy nie sprawiała. A teraz, chociaż chciał, nie wiedział, jak poprawić ich wzajemne stosunki.

Kiedy skończył mówić, w pokoju zapadła cisza. Siedział nieruchomo, zapatrzony w przestrzeń. Jeszcze przed nikim tak się nie odsłonił. Uważał to za zbyt ryzykowne, ale z Niela było inaczej. Jej mógł zaufać. Wziął ją za rękę, początkowo delikatnie, potem pogłębił uścisk. Odpowiedziała gestem, do którego zdążył się przyzwyczaić, chociaż nigdy o tym nie pomyślał. Wolną ręką pogładziła go po głowie, lekko muskając włosy. Odchyliła głowę, żeby na niego spojrzeć, odsłaniając piękną długą szyję, jakby oddawała się temu, kto chciał na nią patrzeć. Poczł dziwny ucisk w gardle. Zniknął gniew i palący ból, który czuł, gdy opowiadał tę historię. Niela

wpatrywała się w niego tym swoim jasnym, szczerym wzrokiem, usiłując odkryć, co kryje się pod jego powściągliwością. Patrzył na jej gładką ciemną twarz, piękne, kształtne brwi, czarne oczy i zrozumiał, że ona również skrywa tajemnicę. Jeżeli chciałby ją odkryć, będzie musiał robić to, co ona, dochodzić do tego małymi kroczkami.

CZEŚĆ SIÓDMA

MADDY

Londyn, kwiecień 2000

– Czy musimy iść? – Maddy obróciła się przed lustrem, by sprawdzić, czy z tyłu wszystko w porządku. – Dobrze wyglądam? – spytała z niepokojem.

Rafe popatrzył na nią, jakby się zastanawiał, na które pytanie najpierw dać odpowiedź.

– Tak i tak – odpowiedział, zawiązując Darcy kokardę na głowie. – Gotowe, kochanie.

– Może poszedłbyś z Darcy – mruknęła. – Diana na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli nie przyjdę.

– Maddy, przestań komplikować sprawę. Idziemy razem. Dawno nigdzie nie wychodziliśmy.

Miała na końcu języka, że obiad u teściowej to żadne wyjście, ale się powstrzymała.

– W porządku, niech ci będzie. Na pewno dobrze wyglądam? Nie jest zbyt opięta?

– Nie – odpowiedział Rafe, nie patrząc. Córeczka po raz piąty czy szósty ściągnęła wstążkę z włosów i zażądała ponownego zawiązania.

– Darcy, przestań wreszcie! – wybuchnęła Maddy, nie mogąc się powstrzymać. – Albo chcesz mieć tę kokardę, albo nie. Wybieraj.

Dziewczynka rzuciła jej wyzywające spojrzenie. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. To śmieszne – pomyślała jej matka. Przecież ona ma zaledwie trzy lata. Jak można rywalizować z trzyletnim dzieckiem? Małej zaczęła drzeć broda. Maddy wzniosła oczy do nieba i odwróciła się. Nie mogła znieść tego, co miało nastąpić. Łzy. Niedobra mamusia. Biedna Darcy. Niemal słyszała myśli Rafe'a. Doskonale wiedziała, skąd się biorą skłonności aktorskie córki. Mała zaczęła płakać. Ojciec pokręcił głową z irytacją i pochylił się, by pocieszyć córkę, a Maddy wyszła z pokoju.

Usiadła na brzegu łóżka. Ręce jej się trzęsły. Dlaczego to się zawsze tak kończyło? Gdzie popełniła błąd? Słyszała uspokajający głos Rafe'a i Darcy po kilku sekundach przestała płakać. Przy niej zachowywała się zupełnie inaczej. Gdy widziała, że nie ma taty, zaczynały się napady złego humoru, wrzaski i krzyki. Dwanaście długich godzin jego nieobecności w domu było prawdziwą torturą. Dla nich obu. Maddy wiedziała, że coś jest nie w porządku, jak tylko Darcy się urodziła. W chwilach rozpaczki zastanawiała się, czy to miało coś wspólnego z awanturą

w sprawie jej imienia. Diana chciała ją nazwać Elizabeth. Maddy popatrzyła na Rafe'a ze szpitalnego łóżka.

– Chyba żartujesz? – powiedziała, przytulając dziecko do siebie.

– Nie. Tak miała na imię moja babcia. To ładne imię. – Rafe przesunął dłonią po włosach. Robił tak, gdy był wzburzony. Przebiegł ją dreszcz strachu. – Można skrócić je do Liz – zaproponował z nadzieją w głosie.

– Nie ma mowy.

– Maddy! – Utkwił w niej wzrok. – To imię mojej babci.

– Ale to moja córka.

Mierzyli się wzrokiem, zaskoczeni tą nieoczekiwaną reakcją. W tym momencie dziecko się rozplakało i już nie przestawało łkać.

– Maddy? – Rafe zapukał do drzwi. – Jesteś gotowa?

– Za chwilę – odpowiedziała, pospiesznie odwracając głowę. Nie chciała, żeby zobaczył jej zaczerwienione oczy i nos. – Pójdę tylko do łazienki.

Spojrzała w lustro. Wyglądała dobrze. Miała duże błyszczące oczy, na szczęście makijaż się nie rozmazał. Pokręciła głową na boki, oceniając profil, i szybko upięła włosy. Trochę perfum, muśnięcie warg szminką i była gotowa. Wyprostowała plecy. Darcy będą się dziś opiekować trzy najukochańsze osoby. Jak dobrze pójdzie, córeczka uśnie zaraz po obiedzie, a ona będzie mogła spokojnie porozmawiać, albo i nie.

– Będziemy tylko my? – spytała Rafe'a, gdy ruszyli sprzed domu. Nie zniosłaby wszystkich Keelerów.

– Chyba tak. Aaron i Julia wyjechali.

Minęły trzy lata, odkąd Julia weszła przez małżeństwo do rodziny, ale Maddy wciąż nie mogła się do niej przekonać. Chciała ją polubić, lecz tamta najwyraźniej nie odczuwała takiego pragnienia. Stale była zajęta. To odbierało jej szwagierce odwagę. Spotykały się na niedzielnych obiadach u Diany i w czasie pobytów w Mougins, odnosiły do siebie uprzejmie, ale nie ulegało wątpliwości, że Julia uważa ją za kompletną idiotkę, a Maddy z kolei się jej bała. Podczas ostatniego spotkania na obiedzie u Diany wszyscy trochę za dużo wypili – inaczej nie dałoby się wytrzymać. Powiedziała wówczas, że nudzi się w Londynie. Nie skarżyła się, po prostu stwierdzała fakt. I Julia niespodziewanie na nią napadła.

– Dlaczego nie znajdziesz jakiejś pracy? – spytała.

– Pracy? – Maddy poczuła, że się czerwieni, i dostrzegła, że Rafe dziwnie na nią patrzy.

– Tak, pracy. Jak my wszyscy.

– Jestem aktorką – odparła z wahaniem. – To nie takie proste. Nie oferują tu zbyt wielu ról.

– To zajmij się czymś innym. Działalnością charytatywną, czymkolwiek.

Julia utkwiła w Maddy chłodne, niebieskoszare oczy, w których błysnęła pogarda.

Natychmiast pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

– Ktoś ma ochotę na deser? Kieliszek wina? – Spokojny głos Diany zakończył sprawę.

Maddy przeprosiła, wstała od stołu i poszła do łazienki, żeby zwymiotować. Kolejny udany obiad u teściowej.

No cóż, raz na wozie, raz pod wozem. Ludzie zawsze oskarżają Amerykanów o to, że są zbyt przyjacielscy, zbyt bezpośredni. Co złego w byciu przyjaznym? – pomyślała. Komu szkodzi odrobina kokieterii?

Odwróciła się i popatrzyła na Darcy, która spała w foteliku. Poczowała nieoczekiwaną falę czułości. Dziecko wyglądało jak aniołek. Było bardzo podobne do Rafe'a, ale jasnorude włosy odziedziczyło po niej. Temperament również, chociaż nikt by się tego nie domyślił. Gdy ojciec Maddy zniknął, nie było sensu się złościć czy ulegać napadom złego humoru, jakie przedtem miewała. Wyraz rozpaczony na twarzy matki tłumił najmniejszy nawet przypływ złości. Nauczyła się trzymać emocje na wodzy – ujawniała je tylko wtedy, gdy grała lub podczas robienia tego, co od czasu do czasu jej się zdarzało. Poczwała, że się czerwieni. Znowu zaczęła wymiotować. Oczywiście nie codziennie, ale przynajmniej raz w tygodniu. Wszystko przez Darcy. Pewnego razu mała weszła do łazienki i przyłapała ją na tym. To śmieszne – pomyślała Maddy. Jak trzyletnie dziecko mogło ją na czymś przyłapać? Mała stanęła w drzwiach cichutko jak myszka, dlatego jej nie zauważyła. Dostrzegła ją dopiero, gdy sięgnęła po chusteczkę, by wytrzeć usta i płynące z oczu łzy. Darcy ssała kciuk, wpatrując się w nią niebieskozielonymi oczyma. Malowało się w nich oskarżenie.

– Mama źle się czuje – wydyszała Maddy. Ogarnął ją wstyd. – Idź do pokoju, skarbie. Zaraz przyjdę. Poczytam ci bajkę, dobrze?

Dziecko odwróciło się bez słowa i wybiegło z łazienki, zostawiając matkę ze smakiem goryczy w ustach i poczuciem winy.

Na szczęście okazało się, że obiad zjedzą w małym gronie. Aaron i Julia wyjechali gdzieś, aby uczcić jej awans na młodszego współpracownika kancelarii, w której pracowała. Z powściągliwych komentarzy teściowej Maddy wywnioskowała, że kariera Julii nabiera tempa, a Aarona nie. Był starszy i bardziej doświadczony. Pracował jako radca prawny, zanim został adwokatem, powinien więc szybciej awansować. Tak się nie stało i tym razem matka nie mogła mu pomóc. Dziwne – pomyślała Maddy. Stale słyszała o tym, jacy zdolni są jej synowie, tymczasem okazało się, że nie jest tak różowo. Dianę najwyraźniej denerwowało, że muszą rozmawiać o Julii, nie o Aaronie. Jeśli chodzi o drugą szwagierkę, to Maddy nie widziała jej od ponad roku. Josh pracował gdzieś na Dalekim Wschodzie, a Niela trochę bliżej Europy, w Jordanii lub Syrii, czy może jeszcze gdzieś indziej, w jakimś nieznanym, dziwnym miejscu. Trudno było sobie wyobrazić, że można tak żyć. Niela była teraz pełnoetatową tłumaczką i podróżowała po całym świecie. Maddy lubiła ją na tyle, na

ile można polubić kogoś, kogo się widziało dwa razy.

Wina jak zwykle były wyborne. Popijała białe ze smukłego kieliszka, przyglądając się, jak Diana karmi Darcy. Harvey wprowadził synową w dobry humor, opowiadając anegdoty z pracy. Starła się dostosować do sytuacji i grać rolę osoby niezbyt głośnej, lekko rozbawionej i stonowanej. Tylko tak mogła wykorzystywać swój talent aktorski. Darcy przez jakieś trzydzieści minut skupiała na sobie uwagę wszystkich, po czym, podając jedną rękę Rafe'owi, a drugą Dianie, pozwoliła się poprowadzić na górę do pokoju, który babcia urządziła specjalnie dla niej. Maddy nie cierpiała jego pastelowych ścian z nieznanymi jej postaciami z książek dla dzieci i okien z zasłonami z różowego jedwabiu. Różowy jedwab dla trzylatki? Oczywiście Darcy bardzo się podobał. Nazywała go bajkowym pokojem czy jakoś tak.

– No to co ostatnio robiłaś? – spytał Harvey, wyjmując z piekarnika wielki garnek. Postawił go ostrożnie na płycie i podniósł przykrywkę. Kuchnię wypełnił wspaniały zapach ryby z ziołami. – Ładnie pachnie, prawda? – dodał, przykrywając garnek.

– Och, nic szczególnego – odparła Maddy, sadowiąc się na stołku obrotowym przy blacie i patrząc, jak teść nakrywa do stołu. Jego ruchy były staranne i precyzyjne, tak jak syna i zapewne wszystkich chirurgów. Przypomniała sobie pierwszą rozmowę z Rafe'em w Nowym Jorku. Zafascynowały ją jego pełne wyrazu dłonie. Harveya były takie same. Wypiła łyk wina. – Dni upływają jeden za drugim – rzuciła lekko, starając się dopasować do jego tonu.

Uniósł wzrok.

– Czy odezwała się ta agentka, z którą miałaś się spotkać, gdy byłaś u nas ostatnim razem?

Pokręciła wolno głową.

– Nie. Nawet nie oddzwoniła. Nie sądziłam, że będzie tak trudno.

– Nie wolno ci się poddawać.

Popatrzyła na niego. Jak zwykle w jego słowach był głęboki sens. Bardzo lubiła Harveya za życzliwy stosunek do ludzi, który kojarzył się jej z angielskimi aktorami starej generacji. Miał zwyczaj patrzeć rozmówcy prosto w oczy i słuchać uważnie, przechylając głowę na bok, jakby ten był najważniejszą osobą.

– Wiem – odparła niepewnie.

– Co takiego? – zabrzmiał tuż obok głos Rafe'a.

Drgnęła nerwowo, jakby ją na czymś przyłapano.

– Nie można się poddawać – wyjaśnił Harvey, podając synowi kieliszek wina. – Czekamy, by zobaczyć cię na scenie, moja droga. A gdzie matka? Możemy już siadać do stołu.

– Zaraz zejdzie. Usypia Darcy – odrzekł Rafe.

Maddy poczuła jego dłoń na karku. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Harvey patrzył na nią z wyrazem twarzy, którego wolałaby nie widzieć. Przez chwilę, gdy byli tylko we dwoje, emanujące z niego ciepło rozbroiło ją. Nie chciała tego zniszczyć.

Przytknęła kieliszek do ust i wyczuła, że uwaga mężczyzn skupia się na czymś innym. Odetchnęła z ulgą.

JULIA

Londyn, maj 2000

Julia wstała z łóżka, starając się nie obudzić Aarona, i poszła do łazienki. Zamknęła cicho drzwi, przekręciła zasuwkę i otworzyła apteczkę. Chwilę grzebała w kosmetyczce, aż znalazła mały biały kartonik. Wyjęła go i przyjrzała mu się z bijącym sercem. Miał się zabarwić na niebiesko. Wynik za niecałą minutę.

Usiadła na sedesie, rozerwała opakowanie i podstawiła kartonik pod strumień moczu. Zgodnie z instrukcją zaczęła minutę, wstrzymując oddech, potem wolno go wyciągnęła. Wzięła głęboki oddech i spojrzała. Małe okienko pozostało białe. Nie pojawiła się w nim niebieska linia. Poczuła, jak zalewa ją fala rozczarowania. Otuliła się ramionami, usiłując powstrzymać wzbierające łzy. Po chwili wstała, spuściła wodę i wrzuciła pasek do pojemnika na śmieci. Trzeci raz robiła test i wynik za każdym razem był ten sam – negatywny. Nie mówiła o tym nikomu – ani przyjaciółom, ani Domowi, ani oczywiście Aaronowi. Nie była pewna, jak zareaguje. Po powrocie z Mougins, gdzie spędzili święta Bożego Narodzenia, opanował ją dziwny strach. Do tej pory czuła się szczęśliwa i zadowolona. Po raz pierwszy od lat, budząc się, czuła satysfakcję, a nawet radość. Od tak dawna ich nie doświadczała. Wystarczyły drobne gesty: naga stopa Aarona muskająca jej stopę, jego ramię obejmujące ją podczas snu, ręka szukająca kontaktu, jakby nie chciał jej puścić, to, jak ją wołał, gdy wracała do domu. „Jula?” Ojciec tak ją nazywał. Aaron nie mógł o tym wiedzieć, bo i skąd? Gdy pierwszy raz tak ją nazwał, zamarła i dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Tata tak mnie nazywał – powiedziała cicho, odwracając się do niego.

– Pasuje do ciebie. – Uśmiechnął się, nieświadomy wrażenia, jakie na niej wywarł. – Chodź do mnie. – Wyciągnął rękę. Drobnym gestem powtarzającym każdego dnia. Nic specjalnego, ale w jego prostocie było rozgrzeszenie. Towarzyszący jej od lat ból zaczął ustępować.

Po krótkim okresie błogości znowu pojawił się strach, co prawda innego rodzaju, ale równie przerażający, że to wszystko zniknie, że Aaron znajdzie sobie kogoś innego, że ona straci pracę. Były to niekończące się, bezpodstawne obawy, których nie potrafiła powstrzymać. Postanowiła znaleźć jakiś sposób mocniej wiążący ją z obecnym życiem, czyli z mężem. Dotąd nie musiała na nikim polegać, a zwłaszcza na mężczyźnie. Zawsze była samotnicą, miała jedną lub dwie przyjaciółki i nigdy nie chciała być duszą towarzystwa. Nienawidziła tej części siebie, która kazała jej czekać, aż mąż wróci do domu po wieczorze spędzonym z kolegami. Nie dość, że

pracowali w tej samej kancelarii, to jeszcze zaproponowała, żeby jadaliby razem lunch albo czekali na siebie po pracy. Przez kilka tygodni walczyła ze sprzecznymi pragnieniami, aż pewnego ranka znalazła rozwiązanie. Dziecko. Dziecko zasypie dzielące ich przepaści, ukoji ból, jaki spowodowałyby utrata choćby części nowo odnalezionego szczęścia. Kochała Aarona, a on ją. To był najlepszy sposób na uciszenie dręczącego ją strachu.

Nic z tego jednak nie wychodziło. To dopiero trzy miesiące – przekonywała siebie w duchu, ochlapując twarz zimną wodą. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Miała zaczerwieniony nos. Sięgnęła po ręcznik i przyłożyła do rozpalonych policzków. Wkrótce to się stanie. Na pewno. Zgasiła światło i otworzyła drzwi. Aaron nadal mocno spał. Była niedziela, za oknem chłód i deszcz. Rano zadzwoniła Diana z pretensjami, że od wieków nie byli u niej na obiedzie. W zeszłym miesiącu wyjechali, więc może dziś po południu. Julia nie miała pewności, czy zdoła znieść tę wizytę. Może uda jej się jakoś przekonać Aarona, żeby odmówił. Będzie Maddy z Rafe'em i Darcy. Tworzyli wzór rodziny, o jakiej marzyła. Czy musiała to być ta pusta, starająca się wszystkim przypodobać Amerykanka i lekko pompatyczny brat męża? Położyła się obok niego i wróciła myślami do poprzedniego niedzielnego obiadu. Maddy zaczęła wtedy narzekać, że nudzi się w Londynie.

– Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejś pracy? – spytała Julia, nie mogąc się powstrzymać.

Rafe uniósł nagle głowę, jakby powiedziała coś niestosownego.

– Pracy? – powtórzyła szwagierka, zaskoczona.

– Tak, jakiegoś zajęcia.

– Jestem aktorką – odpowiedziała Maddy z wahaniem. – To nie takie proste. Nie ma zbyt wielu ról dla... – Urwała i popatrzyła na Rafe'a.

– To spróbuj czegoś innego. Jest mnóstwo rzeczy, którymi mogłabyś się zająć.

– Julio – wtrącił się Aaron z ostrzegawczym błyskiem w oczach.

– Kto ma ochotę na deser albo na kieliszek wina? – spytała nagle Diana, kończąc temat.

– Musiałaś? – spytał Aaron, gdy wracali do domu.

Natychmiast poczerwieniała na twarzy.

– Przepraszam – mruknęła. – Nie chciałam. Ale ona działa mi na nerwy.

– Wiem. Ale nie musiałaś tak na nią napadać. Poza tym co cię to obchodzi?

– Wcale na nią nie napadłam. Spytałam tylko, czy nie zamierza poszukać sobie jakiejś pracy.

– Julia...

– Dobrze już, dobrze – rzuciła gniewnie. – Wiem, mam niewyparzoną gębę.

– Nie przejmuj się tak, nie wszyscy są takimi geniuszami jak ty.

Strzał był celny. Julia oblała się rumieńcem. Odkąd została współpracowniczką w kancelarii, we wszystkim, co Aaron mówił lub robił, wyczuwała ukryte napięcie. Wiedziała, co je wywołuje – straszna, dręcząca mieszanina zazdrości i strachu, że

nie jest dość dobry, a co gorsza, że jego żona jest lepsza. Dostrzegała to w jego oczach i w głosie, jednak nie umiała mu pomóc. To nie była jej wina, że zespół prawa rodzinnego pod kierownictwem Harriet rósł w siłę albo że jej odmowa, by przejść do zespołu prawa o przedsiębiorstwach, przyniosła takie korzyści, i to w tak krótkim czasie. Podjęła tę decyzję, bo prawo o przedsiębiorstwach śmiertelnie ją nudziło. Nie robiła tego dla sławy. Nie po to przez trzy lata pracowała w suterenie, dźwigając akta Harriet i biorąc sprawy, których nikt nie chciał. Miała szczęście, że trafiły im się jeden czy dwa głośne procesy, kamera zarejestrowała jej wystąpienie i dzięki temu została zauważona. Była młoda, elokwentna, oddana sprawie... dziewczyna z klasy robotniczej, której się powiodło. Nie była głupia, po raz pierwszy w jej zawodowym życiu pochodzenie społeczne na coś się przydało. Znalazła się we właściwym czasie na właściwym miejscu. Aaron też będzie miał swoją szansę. Na razie wolałaby, żeby zajął się prawem podatkowym, które wybrał sobie na specjalizację, i zostawił ją w spokoju.

Nazajutrz w pracy wciąż nie mogła zapomnieć o jego złośliwej uwadze. Popatrzyła na stos dokumentów piętrzących się na biurku od piątku. Całe popołudnie spędziła na ich porządkowaniu. A to co znowu? Odłożyła na bok teczkę i sięgnęła po odręczną notatkę leżącą na stosie papierów. „Proszę, poświęć temu cały swój czas. Przyjdź do mnie, jak skończysz. Pozdrawiam, Harriet”. Zmarszczyła brwi. Miała tydzień wypełniony po brzegi spotkaniami z klientami, wizytami w sądzie i gromadzeniem materiałów procesowych. Dlaczego, na Boga, Harriet podrzuciła jej jeszcze to? Przyciągnęła do siebie z irytacją plik papierów.

Półtorej godziny później nadal nie wiedziała, czemu szefowa jej to przysłała. Materiały były interesujące – dotyczyły konferencji poświęconej prawom kobiet, która odbyła się przed kilku laty w Pekinie. Słyszała o niej, kto by nie słyszał, ale co ona ma z tym wspólnego?

Kilka minut później Julia wpatrywała się w Harriet, nie wierząc własnym uszom.

– Ja? – spytała zaskoczona. – Chcesz, żebym to ja pojechała?

– Dlaczego nie?

Usiłowała znaleźć jakąś odpowiedź.

– Bo nigdy czegoś takiego nie robiłam – odparła w końcu.

– A od kiedy to jest dla ciebie przeszkodą? Należałoby raczej zapytać, czy chcesz jechać. Nie ma sensu o tym dyskutować, jeżeli nie jesteś zainteresowana.

– Nie, nie... jestem zainteresowana, nawet bardzo, tylko trochę mnie zaskoczyłaś. Co miałabym tam robić?

– Wygłosić referat, oczywiście. Ale to najmniejszy problem. Konferencja ma być kontynuacją tej z Pekinu. Nas najbardziej interesowałoby to, żeby przedstawić tam naszą kancelarię jako tę, która zajmuje się nie tylko sprawami z zakresu prawa o przedsiębiorstwach i prawa podatkowego, ale również tym, co my obie robimy.

Chociaż zespół prawa rodzinnego jest nowy, mamy już w dorobku sporo interesujących spraw. Krótko mówiąc, to świetna okazja do zareklamowania naszej firmy. A ty jesteś w tym dobra.

– Ale dlaczego ty nie chcesz tam jechać? – spytała Julia. Przecież to ty stworzyłaś ten dział.

– Nie lubię latać samolotami – wyjaśniła Harriet. Zapadła cisza. – Pomyślałam, że lepiej się do tego nadajesz – dodała po chwili. – Nie chcę przez to powiedzieć, że nie jesteś dobrą adwokatką. Zostaw jednak sprawy przyziemne takim ludziom jak twój mąż. Polityka to twój żywioł. Nie trać takiej okazji.

Po tych słowach pochyliła się nad papierami, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Julia wstała.

– Dziękuję – powiedziała i ruszyła w stronę drzwi. – Nie zawiodę cię.

– Mam nadzieję. – Harriet uniosła wzrok, gdy jej współpracownica zamykała drzwi.

Dziwna z niej osoba – myślała Julia, wracając do swojego pokoju. Pod tym oschłym, profesjonalnym wizerunkiem kryła się życzliwa osoba. Oczywiście nie okazała tego, ale prosząc ją, żeby pojechała na konferencję, dowiodła, że w nią wierzy. Dawno nikt dla niej czegoś takiego nie zrobił.

– Czego chciała ta stara hetera? – spytał jeden z kolegów, z którym dzieliła pokój.

– Porozmawiać o pewnej konferencji.

– Konferencji? – zainteresował się drugi o imieniu Martin.

Julia poczuła, że się czerwieni.

– Tak. Organizowanej pod patronatem ONZ, poświęconej prawom kobiet. Ma się odbyć w przyszłym miesiącu. Pytała, czy chcę na nią pojechać.

– A dlaczego ty? – spytał George z lekką pretensją w głosie.

Martin prychnął w odpowiedzi.

– To proste – wyjaśnił. – Przecież nosi teraz nazwisko Keeler. Zapomniałeś?

Rumieniec na twarzy Julii stał się ciemniejszy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała, odwracając się gwałtownie. – To nie ma nic wspólnego z Aaronem.

– No jasne – mruknął Martin.

– Czy coś sugerujesz? – rzuciła gniewnie. Czuła, jak rośnie w niej złość. Nie przepadała ani za George'em Forresterem, ani za Martinem Griffithsem, ale starała się utrzymywać z nimi poprawne stosunki. Koniec z tym.

– Nie – mruknął George, patrząc z ukosa na Martina.

– To dobrze, bo jeżeli tak, to miej przynajmniej odwagę powiedzieć mi to prosto w oczy.

Zapadła niezręczna cisza. Potem George mruknął, że musi iść do biblioteki, i wyszedł. Kilka minut później Martin zrobił to samo.

Julia została sama. Patrzyła na ich wygaszacz ekranu, kipiąc wewnętrznym

gniewem. Jak oni śmieli? Czy wszyscy w firmie myślą podobnie? Że ma specjalne fory, bo wyszła za męża za Aarona? Przełknęła ślinę, starając się zapanować nad emocjami. Nic bardziej jej nie denerwowało niż niesprawiedliwość. Właśnie się przekonała, że jeszcze trudniej ją znieść, gdy doświadcza się jej na własnej skórze.

Jeżeli oczekiwała współczucia ze strony Aarona, to srodze się zawiodła.

– No i co z tego? – spytał tego wieczoru podczas rozmowy w domu.

Julia stała w kuchni i gapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Co z tego? – powtórzyła, podnosząc głos.

– Kogo obchodzi, co myśli George Forrester? To dupek.

– Mnie.

– Dlaczego?

– Bo to nieprawda! – wybuchnęła. – Nigdy nie wykorzystywałam twoich... moich... naszych znajomości, by coś załatwić. Poza tym jakie my mamy znajomości?

– Daj spokój. – Aaron przewrócił oczyma. – Diana przecież brała udział w tej konferencji w Pekinie. Była jedną z głównych mówczyń. To nie jest przypadek.

– To nie ma nic wspólnego z twoją matką – odparła gniewnie Julia, nie mogąc się opanować. – Nie wszystko kręci się wokół ciebie i twojej cholernej rodziny...

Opamiętała się w ostatniej chwili. Przez kilka minut piorunowali się wzrokiem, po czym Julia obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. Gdy Aaron przybierał ten pompatyczny ton, co zdarzało się dość często, stawał się nie do zniesienia. Nie miała ochoty na kłótnie. Nie dziś wieczór. Zbyt często ostatnio dochodziło między nimi do spięć. O drobnostki, nic poważnego. Kończyło się to zwykle jednodniowym lekkim ochłodzeniem stosunków, po czym wszystko wracało do normy. Aaron nie należał do osób, które krzyczą lub wywalają kawę na ławę. Zamykał się w sobie, co doprowadzało jego żonę do furii, ale nic nie mogła na to poradzić. Jak na kogoś, kto w życiu zawodowym łagodził konflikty, Diana źle wychowała synów.

Julia poszła do sypialni, usiadła na brzegu łóżka, zrzuciła buty i położyła się na wznak, przesuwając palcem wzdłuż wzoru na kołdrze. W piersi czuła ucisk, który nie chciał ustąpić. Pod wściekłością na Aarona i kolegów rosło jednak podekscytowanie na myśl o czymś nowym, co mogło zmienić jej życie. Od dawna nie czuła takiego przyływu energii. Piąta międzynarodowa konferencja poświęcona prawom kobiet. Już sama nazwa wywoływała w niej szybsze bicie serca. Pokój powoli spowijał mrok, a Julia wsłuchiwała się w dochodzące przez ścianę odgłosy z telewizora i myślała o nowych wyzwaniach, które nieoczekiwanie pojawiły się na jej drodze.

DIANA

Londyn, maj 2000

Diana odłożyła słuchawkę i mocno zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć. Spojrzała w lustro. Miała gniewnie zmarszczone brwi i pionową linię na czole. Był to rezultat pięciominutowej rozmowy telefonicznej, którą przed chwilą odbyła. Sięgnęła palcem do czoła, próbując wygładzić powstałą zmarszczkę. Poczuła zbliżający się ból głowy. Zaśmiała się cicho. Przecież to absurd. Aaron zadzwonił po odrobinę wsparcia i współczucia, a ona zbyła go pod byle pretekstem, sama czując się zraniona. Julia jedzie do Maputo na piątą międzynarodową konferencję poświęconą prawom kobiet, a ona, Diana Pryce, członkini palestry, uhonorowana tytułem Queen's Counsel, założycielka partii Libertas, zasiadająca w zarządach wielu prestiżowych organizacji dobroczynnych, jedna z głównych mówczyń na czwartej konferencji w Pekinie, nie? „Ma pani zbyt wysokie wymagania” – usłyszała od młodej kobiety z UNIFEM. Zbyt wysokie wymagania? Zrezygnowała z honorarium za wygłoszenie referatu, ale jeżeli sądzili, że będzie leciała do Mozambiku klasą ekonomiczną i zatrzyma się w jakimś nędznym małym hoteliku przy lotnisku, to powinni się zastanowić. Najwyraźniej to zrobili i w rezultacie pojedzie Julia Burrows, jej synowa. Nie mogła w to uwierzyć.

– Czy... czy będzie zabierać głos? – wydusiła z trudem.

– Tak... na jednej z sesji plenarnych. Będzie mówiła o tym, czym zajmują się w zespole prawa rodzinnego. Czemu ty nie jedziesz?

– Bo... bo jestem zbyt zajęta. Mam w tej chwili mnóstwo pracy. Nie mogę sobie pozwolić na przerwę.

– Przecież to tylko pięć dni. Wylatuje w poniedziałek rano, a wraca w sobotę.

– Mam teraz co innego na głowie – warknęła. – A te konferencje to kompletna strata czasu.

– Nie mówiłaś tego o Pekinie – wtrącił Aaron. – Powiedziałaś...

– Pamiętam, co powiedziałam – przerwała mu. – To było wtedy. Kochanie, muszę kończyć. Ktoś na mnie czeka.

– Ale chciałem z tobą porozmawiać o...

– Może innym razem. – Odłożyła słuchawkę.

Odwróciła się od lustra, poszła na górę do swojego gabinetu, zamknęła drzwi i oparła się o nie, ciężko oddychając. Gdzieś głęboko w niej pojawił się irytujący niepokój. Czyżby...? Zawahała się, nie chcąc nawet o tym myśleć. Nie, musi zadać to pytanie. Czy jest zbyt stara? Czy wypadła z obiegu? Ma pięćdziesiąt cztery lata, na

litość boską, nie sześćdziesiąt cztery. Jest u szczytu kariery i swoich możliwości. Tyle już zrobiła, ale nadal jest pełna energii. Jest najmłodszą posiadaczką tytułu Queen's Counsel. Douglas Haller-Lane przekroczył osiemdziesiątkę i wciąż jest w świetnej formie. Tylko kilka kobiet w Anglii osiągnęło to, co ona, i zdobyło pozycję, z którą należy się liczyć, którą należy szanować, a często nawet się jej obawiać. Jak organizatorzy konferencji UNIFEM śmieli skreślić ją z listy? Przeszła po dywanie do biurka, usiadła w fotelu i przesunęła dłońmi po błyszczącym, gładkim blacie. Tyle godzin spędziła przy tym biurku, przygotowując się do procesów, które przyniosły jej sławę. Rozejrzała się po gabinecie, omiatając wzrokiem rzędy książek, obrazy i piękne przedmioty przywiezione z różnych miejsc – wszystko starannie i ze smakiem wyeksponowane. Dotknęła palcami policzków, z zaskoczeniem stwierdzając, że są mokre. Wytarła je pospiesznie. Harvey był na dole w kuchni i nie chciała, by zauważył, że płakała. Otworzyła szufladę i wyjęła notatnik. Za kilka tygodni przypadały jego pięćdziesiąte piąte urodziny. Spojrzała przez okno na ogród. Wiosna w tym roku przyszła późno i drzewa dopiero niedawno okryły swą nagość i obudziły się do życia. W Mougins, gdzie odbędzie się przyjęcie, było już lato. Mougins w czerwcu. Przełknęła ślinę. Nie była tam o tej porze od ponad trzydziestu lat.

Skoncentrowała myśli na przyjęciu urodzinowym. Czy Josh na nie przyjedzie? Jego urodziny przypadają w tym samym czasie. Bardzo na to liczyła. Od lat nie byli tam razem. Ich rodzina liczyła teraz dziewięć osób. Ładna, okrągła cyfra. Odłożyła pióro i spojrzała na listę imion. Brakowało na niej jednej osoby. Kiedy ostatni raz go widziała? No tak, na weselu Rafe'a. Pojawił się niespodziewanie, jak zwykle. A wcześniej kiedy? Dotknęła palcami policzka i poczuła, że jest rozpalony – jak zawsze, gdy o nim myślała. Starła się skupić na czymś innym, lecz na próżno. Mougins w czerwcu. Tylko jedno wspomnienie kojarzyło się jej z tym miejscem i z tym czasem. Znowu przyszło lato, a ona skończyła szesnaście lat.

Był pierwszym mężczyzną, którego zobaczyła nago, i nawet po tylu latach ten widok odbierał jej dech w piersi. Rufus miał w sobie coś z leniwego, beztroskiego kota, jego ciało było niezwykle proporcjonalnie zbudowane. Leżała przy nim tego ranka, w ciszy opustoszałego domu, i rysowała palcem swoje imię na jego piersi. Nie czuła strachu, wprost przeciwnie. Rufus prowadził ją, tak jak zawsze to robił: ostrożnie i z uwagą. Najpierw rozebrał ją powoli, aż została jedynie w cienkich bawełnianych figach. Musnął palcami jej talię, wywołując tym słodkie dreszcze, od których jej ciało stanęło w ogniu, i miała wrażenie, że wiruje niczym lekkie, puste muszelki w przejrzystej wodzie na plażach w Cannes i Juan-les-Pins. Potem zsunął majteczki i sięgnął niżej, dotykając najpierw delikatnie, przygotowując ją do czegoś, o czym wiedziała, ale dotąd nie doświadczyła. Odczuwane wrażenia nabrały intensywności, aż wydało się jej, że zaraz umrze z rozkoszy. Zaczęła spazmatycznie oddychać, a wtedy on wsunął się na nią. Ze zdumieniem stwierdziła, że jej ciało

wygina się w łuk, by wyjść mu na spotkanie. Miała szeroko otwarte oczy, nie chcąc przegapić ani sekundy z tego, co się działo. Zapamiętała ostry ból, gdy w nią wszedł, wyraz skupienia na jego twarzy i bezdenną czerń oczu, na wpół przymkniętych i zamglonych. Rufus, który unosił się nad nią, zupełnie nie przypominał tego, którego dotąd znała. Coś się w niej zmieniło. Odtąd należała do niego. Teraz i na zawsze.

NIELA

Londyn, maj 2000

Na podłodze leżał stos korespondencji. Niela weszła do mieszkania, ciągnąc za sobą małą walizkę, odsunęła listy na bok i zamknęła drzwi. Chwilę stała nieruchomo, opierając się o nie. Minęła ósma rano. Przyleciała o świcie, a czuła się tak, jakby dzień dobiegał końca. Spędziła trzy tygodnie w Ammanie i cieszyła się, że znowu jest w domu. Dom. Uśmiechnęła się ze smutkiem. Z dwunastu miesięcy minionego roku jedynie dwa spędzili razem w małym mieszkaniu przy Goldhawk Road. Josh był teraz gdzieś na południu Afryki i kończył budowę obozu, który powinien być gotowy trzy miesiące temu, lecz na przeszkodzie stanęły padające deszcze. Co powiedział tego wieczoru, gdy udało mu się do niej dodzwonić? Że już nie pamięta, jak to jest być suchym. Zostawiła walizkę w korytarzu i przeszła do saloniku. Pozostał taki, jakim go zostawiła prawie miesiąc temu – czysty i schludny, krzesła dosunięte do stołu, podłogi wyczyszczone. Stół pokryła cienka warstwa kurzu. Przesunęła po nim palcem. Za godzinę się rozpakuje, najpierw jednak kawa i prysznic, chociaż nie w tej kolejności.

*

Do południa zdążyła rozpakować rzeczy, rozdzieliła te do prania na mokro i na sucho i zrobiła sobie sałatkę na lunch. Wzięła talerz, przeszła z nim do kanapy i usiadła, przeglądając pobieżnie pocztę w trakcie jedzenia. Wśród rachunków i ulotek reklamowych znajdowało się zaproszenie. Wsunęła palec pod brzeg koperty. List był od Diany. Za kilka tygodni przypadały urodziny Harveya i z tej okazji serdecznie zapraszała ją i Josha do Mougins, do domu przy Chemin du Fassum 11, na uroczystość, która miała się odbyć czternastego czerwca. Niela uniosła brwi. Nigdy nie była w Mougins. Odwróciła grubą, ciężką kartkę. Ciekawe, czy Josh pojedzie. Niedługo potem i on będzie miał swoje urodziny – czy będzie chciał je spędzić z rodziną? Rozumiała jego awersję do tego miejsca, ale bardzo chciała je zobaczyć. Nie przepadała za Dianą, lecz Harveya bardzo polubiła podczas tych kilku okazji do spotkań. To były jego urodziny i grzeczność nakazywała przyjąć zaproszenie. Zanotowała sobie w pamięci, że to właśnie powinna powiedzieć Joshowi. Przekonanie go zajmie trochę czasu. Skończyła jeść sałatkę i włączyła telewizor. Potrzebowała kilku godzin, żeby zaaklimatyzować się po powrocie. Kiedyś było to domeną Josha, a teraz również i jej.

MADDY

Londyn, maj 2000

Ręka Maddy zawisała nad telefonem. Dwa razy wystukiwała numer i dwa razy odkładała słuchawkę, zanim usłyszała pierwszy sygnał wywoławczy. Dłonie jej się pociły. Śmieszne doprawdy. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego nagle postanowiła zadzwonić do Julii. Chyba miało to coś wspólnego ze słowami Rafe'a, które wypowiedział tamtego wieczoru: „Nic nie robisz w tym kierunku. Trudno jej się dziwić”. Zabolą ją ta opinia, potem jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie ma w niej źdźbła prawdy. Julia wzbudzała w niej strach, ale raz czy dwa dostrzegła w oczach szwagierki poza zwykłym wyrazem znudzenia błysk, który kazał jej się zastanowić. Rafe miał rację. Niewiele robiła poza wspólnymi spotkaniami u Diany w niedziele. Może czas to zmienić.

Zebrała się w sobie i zaczęła, aż ktoś podniesie słuchawkę. Potem było już za późno.

– Julia? Cześć, tu Maddy. Cześć... Mam... mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. To dobrze. Zastanawiałam się, czy jesteś bardzo zajęta i czy... – Przełknęła nerwowo ślinę i nagle słowa same popłynęły. – Miałabyś może ochotę wybrać się na drinka albo na lunch? A może chociaż na kawę, jeżeli nie masz czasu. Albo zjadłybyśmy razem kolację, a może wolisz... – Urwała. Julia coś powiedziała. Maddy była przekonana, że spotka się z odmową, i nawet nie słuchała. – Co mówiłaś? Naprawdę? To wspaniale. Bardzo się cieszę. To... – urwała tym razem w odpowiednim czasie – ...kiedy byś mogła? W sobotę? W tę sobotę? Lunch? Doskonale. Zadzwonię do ciebie rano. Mogłybyśmy umówić się gdzieś koło ciebie, jeśli chcesz. Nie? Dobrze, to pomyślę o innym miejscu. W takim razie do zobaczenia w sobotę. – Odłożyła słuchawkę i nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

W domu panowała cisza. Przeszła do salonu. Darcy była w przedszkolu, w którym spędzała trzy dni w tygodniu. Z początku Maddy nie chciała o tym słyszeć. Nie pracowała, cały dzień przebywała w domu, po co więc oddawać dziecko obcym pod opiekę? Ale Rafe się uparł, a ona nie miała dość siły, by się przeciwstawić. Pewnie Diana maczała w tym palce. W głębi duszy Maddy czuła ulgę. To nie z Darcy był problem, lecz z nią. Po trzech latach spędzonych w Londynie wciąż brakowało jej przyjaciół, z którymi mogłaby szczerze porozmawiać. Poza kilkoma żonami kolegów Rafe'a, fryzjerką Marie, do której chodziła od dwóch lat, jedną czy dwiema

matkami, z którymi co tydzień spotykała się na kawie, nie miała prawdziwej przyjaciółki, takiej jak kiedyś Sandy. Bardzo za nią tęskniła. Dlatego sięgnęła dziś rano po słuchawkę. To był akt desperacji. Wydawało jej się, że podczas ostatniego spotkania u Diany dostrzegła w oczach Julii cieplejszy błysk. A może tylko jej się zdawało. Mogła to sprawdzić tylko w jeden sposób. Rafe uznał całą sprawę za głupstwo.

– Zadzwoń do niej – poradził tamtego wieczoru, okazując przesadną cierpliwość.

– W końcu, co gorszego może cię spotkać? Najwyżej odmówi i tyle.

No cóż, nie odmówiła. Powiedziała „tak” i zaproponowała lunch. Maddy poczuła nieoczekiwany przypływ radości. Głupie, co? Miała ochotę krzyczeć jak nastolatka. Mignęła jej przed oczyma scena z przeszłości, gdy jako czternastolatka podpiera ścianę na świątecznym balu, zastanawiając się, dlaczego nikt nie prosi jej do tańca. W rogu sali stały Lindy Myerson i Andrea Halgren i śmiały się z niej. Lindy odrzuciła na plecy długie blond włosy, przewróciła jasnoniebieskimi oczyma i pokręciła głową, patrząc wymownie na buty, sukienkę albo na włosy Maddy. Nie miało jednak znaczenia, co na siebie włoży, jak się uczesze czy ile kanapek zwróci, bo nie należała do szkolnej elity. Jej koleżanki nie były tak jak ona dziwaczkami, artystycznymi typami, co w Iowa oznaczało kompletnego dziwoląga. W Nowym Jorku miała szczęście, bo zupełnie nie wyróżniała się wśród kilkuset dziwolągów studiujących w szkole aktorskiej, i to pomimo włosów i środkowozachodniego akcentu, który szybko nauczyła się kontrolować. Jednak tu, w Londynie, znowu zaczęła czuć się jak odmieniec. Nie rozwijała się, nie miała tłumu znajomych tak jak w Nowym Jorku. Co prawda jedna czy dwie osoby nie tworzą jeszcze tłumu, lecz stały się częścią mitu, który stworzyła, świadomie lub nieświadomie, gdy poznała Rafe’a. Teraz nie mogła już tego odkręcić. Jeżeli tęsknił za wesołą, beztroską nowojorkanką, to nigdy tego nie okazał. Po prostu zaakceptował zachodzące w niej zmiany, podobnie jak wiele innych rzeczy dotyczących jej osoby. Bolało ją to – przyznała w duchu, wzruszając lekko ramionami. Bycie sobą, jak zdążyła się zorientować po przyjeździe do Londynu, oznacza nie tylko to, jak ktoś sam siebie postrzega, ale jak inni go postrzegają. Bez przyjaciół traci się własną osobowość. Nie pomagało również to, że obraz siebie, jaki stworzyła, gdy poznała Rafe’a, nie w pełni odpowiadał prawdzie. Nie był fałszywy, ale też nie zawierał całej prawdy. Teraz już nie wiedziała, jaka jest ta prawda. Kim była? Żoną Rafe’a? Matką Darcy? Czy – nie miała odwagi powiedzieć tego głośno – przyjaciółką Julii?

Czekała, aż zagotuje się woda w czajniku, nie mogąc zrozumieć, dlaczego sprawia jej przyjemność już sama myśl o tym, że może być czyjaś przyjaciółką. Co stało się z dawną Maddy, która nic nikomu nie mówiąc, wsiadła do autobusu i pojechała do Chicago, by występować na scenie przed obcymi? Która swoją rolę w przedstawieniu dyplomowym zwróciła na siebie uwagę Julie McMahon? „Tylko Madison Stiller wybija się ponad przeciętność w tej sztuce – napisała. – Nie dlatego, że ma lepszy tekst, ale przekazuje go z niezwykłą pasją”. Każde słowo z tej recenzji

znała na pamięć. Gdzie jest to wszystko – wycinki prasowe z przedstawień, e-maile i listy od agentki, bilety, które kupiła Rafe’owi, by mógł ją zobaczyć na scenie? Nie chodziło o to, że schowała te rzeczy do pudełka i wcisnęła w kąt, ale o to, że odsunęła je daleko od siebie. Czas przywrócić im należne miejsce, czas stać się tym, kim była naprawdę, nawet jeżeli nie będzie to łatwe.

Maddy już siedziała przy stoliku, gdy Julia przekroczyła próg restauracji. Natychmiast zauważyła szwagierkę i niepewnie uniosła rękę w górę. Nie sposób było nie zauważyć jej włosów. Dziś zaczesła je do tyłu, ale wciąż opadały gęstą falą na ramiona i plecy. Właściwie to nigdy się jej dokładnie nie przyjrzałam – pomyślała Julia. Maddy należała do osób nieodznaczających się niczym szczególnym. Teatralny, szeroki uśmiech, ukazujący rząd idealnie równych zębów, jakie mogli mieć tylko Amerykanie, i przesadna gestykulacja raczej odsuwały od niej uwagę, niż przyciągały. Teraz była wyraźnie zdenerwowana.

– Cześć – powiedziała. – Odpowiada ci przy oknie? Nie byłam pewna. Możemy zmienić stolik, jeśli chcesz. Nie wiedziałam...

– Tu jest dobrze, naprawdę – zapewniła Julia, wsuwając się na krzesło naprzeciwko niej. – Lubię siedzieć przy oknie i obserwować przechodzących ludzi.

– Tak? Ja też. – Maddy popatrzyła na nią, jakby ta powiedziała coś niezwykłego.

– Co w tym dziwnego? – spytała Julia z uśmiechem.

– Nie wiem... Wydało mi się to zabawne. Nie wyglądasz na kogoś, kto przesiaduje w restauracji i obserwuje... – Urwała, jakby za dużo powiedziała. – Nie chodzi o to, że ja to robię – dodała pospiesznie. – Tak tylko się mówi.

Julia popatrzyła na nią, uświadamiając sobie, że za jej słowami kryje się coś więcej.

– Napijemy się czegoś? – zaproponowała, dochodząc do wniosku, że łatwiej im będzie rozmawiać przy kieliszku wina. – Maddy energicznie przytaknęła ruchem głowy. – Białe wino? Jest taki słoneczny dzień.

– Bardzo chętnie.

– Na zdrowie – powiedziała Julia, gdy napełniono im kieliszki. Zawahała się, po czym dodała: – Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Maddy oblała się rumieńcem.

– Nie byłam pewna, czy powinnam – odrzekła, wypijając spory łyk wina. – Dawno chciałam to zrobić, ale... zawsze wydawałaś się taka zajęta. Ty i Aaron.

Julia zaśmiała się mimowolnie.

– Chcesz powiedzieć: pracą. Zawsze tak było. A ja uważałam, że twoje życie jest bardziej ekscytujące. Ci wszyscy zwariowani ludzie teatru i cały ten artystyczny świat.

– Ludzie teatru? Jacy ludzie teatru?

– No ci, z którymi się spotykasz... Twoi przyjaciele.

– Ja... ja nie mam przyjaciół – odparła wolno Maddy. Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Miałam kiedyś, w Nowym Jorku. Właściwie to dwoje. Ale nie tu.

Julia przytknęła kieliszek do ust. Znowu odniosła wrażenie, że za tym oświadczeniem kryje się coś więcej. Przyjrzała się szwagierce z uwagą i ze zdumieniem stwierdziła, że czyta w jej twarzy jak w otwartej księdze. W tej chwili malowała się na niej subtelna mieszanina samotności i nadziei, która głęboko ją poruszyła. Zbyt dobrze знаła ten wyraz twarzy, bo towarzyszył jej prawie przez cały okres studiów w Balliol. Miała wtedy wrażenie, że nie pasuje do tego miejsca. Nie do końca się go pozbyła. Teraz z zaskoczeniem rozpoznała go u Maddy, siedzącej na wprost niej w restauracji przy Upper Street, wyglądającej w swej ciemnogrnatowej wełnianej sukience i długich kozaczkach ze skóry, jakby doskonale tu pasowała. Popatrzyła na swój strój i pożałowała, że nie ubrała się z większą starannością. Miała na sobie to, co zwykle – czarne dżinsy, sweter z golfem, apaszkę na szyi i wygodne sportowe buty. Przy Maddy czuła się zaniedbana i niechlujna.

– Odpowiada ci życie w Londynie? – spytała niepewnie.

Nie od razu padła odpowiedź. Maddy spojrzała w okno, a gdy odwróciła twarz, w jej oczach błyszczały łzy.

– Czasami go nienawidzę – odparła stłumionym głosem. – To znaczy mam Rafe’a i Darcy, ale jest mi trudno. Nie jest łatwo, gdy nikogo nie znasz i nikt nie pali się do tego, by zawrzeć z tobą znajomość. Wiem, że źle się zachowuję, jestem zbyt głośna, zbyt obcesowa, zbyt amerykańska, ale nie umiem inaczej. Bardzo chciałabym być taka jak ty czy Diana, czy w ogóle Anglicy, ale nie potrafię.

Julia nie mogła oderwać od niej wzroku. W głosie dziewczyny brzmiało autentyczne cierpienie. Nie sądziła, że aż tyle uczuć się kryje pod tą maską przyjaznej wylewności.

– Czy między tobą a Rafe’em dobrze się układa? – spytała ostrożnie.

Maddy kiwnęła głową.

– Tu nie chodzi o Rafe’a, lecz o mnie. To ja jestem problemem. Miałas wtedy rację.

Julia oblała się rumieńcem.

– Przesadziłam – przyznała, krzywiąc się. – Przepraszam. Mam niewyparzoną gębę.

– Nie przepraszaj. Należało mi się. I rzeczywiście muszę zacząć coś robić.

– Czy nie to właśnie radzi Nike? – spytała Julia z uśmiechem. – Po prostu zrób to. Maddy się uśmiechnęła.

– Bój się, ale zrób to – powtórzyła.

– Dlaczego więc tego nie zrobisz?

– W tym roku to zrobię – odparła Maddy, unosząc kieliszek. – Nie wiem jak, ale zrobię. Nie mogę znieść myśli o kolejnym świątecznym obiedzie i spojrzeniu Diany. Ona uważa mnie za kompletną kretynkę.

– Ona myśli tak o każdym, nie tylko o tobie – odparła sucho Julia.

- Dostałaś zaproszenie?
- Na urodziny Harveya? Tak. Jedziesz?
- Oczywiście. Nie możemy nie pojechać. Ale boję się.
- Myślisz, że on przyjedzie? – spytała nagle Julia.
- Kto?
- Josh.

Maddy rzuciła jej ukradkowe spojrzenie.

- Choćby dlatego warto tam pojechać – odparła, chichocząc.

Julia uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Jest zabójczo przystojny, nie sądzisz? – spytała, zniżając głos.

Jej rozmówczyni kiwnęła głową.

- Jego żona też jest piękna.

- Jak myślisz, co się stało? – spytała Julia. – Między nimi oczywiście.

- Nie wiem – odparła Maddy, kręcąc głową. – Rafe nie chce o tym mówić.

- Aaron też. Kiedy tylko poruszam tę sprawę, natychmiast zmienia temat.

- To samo Rafe. Ale jestem ciekawa.

- Daj znać, gdybyś się czegoś dowiedziała – powiedziała Julia ze znaczącym uśmiechem.

Maddy się roześmiała.

- Miejmy nadzieję, że przyjadą. Nie wiem, jak zdołałabym wytrzymać cały tydzień z Dianą.

- Przecież my też tam będziemy.

Szwagierka sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Julia poczuła wyrzuty sumienia. Dlaczego wcześniej nie dostrzegła tego wyrazu samotności na twarzy Maddy? W poniedziałek leci do Mozambiku, ale po powrocie musi się tym zająć. Uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że polubiła tę dziewczynę. Trzeba mieć odwagę, żeby tak się odsłonić. Przez całe życie starała się skrywać swoje uczucia pod maską pewności siebie, chociaż w rzeczywistości daleko jej było do tego. To, co brała u Maddy za głupotę i gorliwość, miało daleko głębsze podłoże. Za zagubieniem i samotnością kryło się coś, czego sama szukała – odwaga.

JOSH

Maputo, maj 2000

Tropikalny upał oblepiał wilgocią usta i ciało. Josh wyszedł z gwarnej hali przylotów i stwierdził z ulgą, że firma kogoś po niego przysłała. Dostrzegł swoje nazwisko wypisane niestarannie na kawałku tektury, noszącej jeszcze ślady nazwiska poprzedniej osoby. Uniósł w górę rękę, na co otrzymał podobną odpowiedź. Kierowca – niski, krępy mężczyzna o czarnej, niemal ciemnogrnatowej skórze – wziął jego bagaż, nie słuchając protestów. Wyszli na oślepiające słońce. Josh pomimo męczącej podróży i dziwnego nastroju czuł ulgę, że jest daleko od Londynu i zamieszania, jakie wywołała jego ostatnia wizyta. Po dotarciu do hotelu, gdzie miał spędzić noc przed wyruszeniem na północ kraju, zadzwoni do Nieli. Na myśl o niej ogarnęła go tęsknota, co przyjął ze zdziwieniem, bo od lat za nikim nie tęsknił, a zwłaszcza za kobietą.

Wsiadł do pikapa obok kierowcy, który rozpoczął mozolną jazdę, usiłując wydostać się z chaosu panującego na parkingu. Lotnisko, podobnie jak większa część miasta, było w budowie i wszędzie wznosiły się wysokie dźwigi. Na drogach dojazdowych również trwał remont, o czym świadczyły stojące na poboczach wielkie betoniarki i kopce czerwonej ziemi. Josh wiedział z doświadczenia, że to dobry znak. Międzynarodowi inwestorzy nie byli głupi, ciągnęli tam, gdzie wyczuli zysk. Mozambik najwyraźniej przeżywał rozkwit. Jego zadanie nie było takie proste. Przez cztery najbliższe tygodnie będzie patrzył na ludzką niedolę. Wieloletnia wojna domowa dobiegła końca i do Mozambiku wróciło z sąsiednich krajów około miliona siedmiuset tysięcy uchodźców. Miał zapewnić im dach nad głową. Jednak obóz w Cabo Delgado na północy, przy granicy z Tanzanią, mógł przyjąć najwyżej dwieście tysięcy ludzi. Wszędzie powtarzała się ta sama historia. Daj schronienie tym, którym możesz, a o pozostałych zapomnij.

W drodze do hotelu słońce świeciło mu prosto w oczy. Dochodziła piąta po południu. Długi lot z Lizbony był męczący, a mimo to nie mógł spać. Jechali przez centrum miasta zapchane samochodami, ulicznymi, prowizorycznymi straganami z kolorowymi towarami, które spotykał na całym kontynencie. W zachowaniu i spojrzeniach przechodniów sunących chodnikiem dostrzegł radość. Nastał czas pokoju, znowu można było handlować, targi pękały w szwach. Wysoko ponad budynkami przepływały strzępki białych i szarych chmur. Jak zwykle w tropikach po wyjątkowo upalnym dniu w powietrzu wisiała groźba ulewy. Niebo było intensywnie błękitne pomimo szybko zapadającego wieczoru. Josh poddał się kołysaniu

samochodu, gdy kierowca João z wprawą omijał wyboje, psy i walczących o miejsce handlarzy.

Hotel nie odbiegał standardem od innych pięciogwiazdkowych hoteli na świecie. Josh zadzwonił do Nieli, a potem wziął prysznic, korzystając z wygód, jakich wkrótce będzie mu brakowało. Uderzyła go ironia przeprowadzki z międzynarodowego hotelu do obozu w Muedzie. Wysuszył włosy ręcznikiem, włożył czysty podkoszulek i dzinsy, po czym przeszedł klimatyzowanym korytarzem do restauracji, gdzie pewnie zje ostatni przyzwoity posiłek. Wśród wdzięcznie kołyszących się palm i cichych dźwięków fortepianu dostrzegł pulchne, spoczone, pełne zachłannej chciwości twarze zagranicznych biznesmenów, ich miejscowych współpracowników i notabli. Po kilkunastogodzinnej podróży na północ będzie oglądał zupełnie inne twarze. Skrzyżował ramiona i odetchnął głęboko, przygotowując się na gwałtowną, szokującą zmianę.

JULIA

Maputo, maj 2000

W Johannesburgu wylądowali w chłodny, mglisty poranek, bo na półkuli południowej była teraz jesień. Julia weszła na teren lotniska z podpuchniętymi ze zmęczenia oczyma, ale podekscytowana, rozglądając się ciekawie po jasno oświetlonych kawiarenkach i eleganckich sklepach, które dopiero zaczynały budzić się do życia. Wystawione towary niczym nie różniły się od sprzedawanych w innych strefach wolnocłowych na całym świecie. Jeśli szukała czegoś afrykańskiego, to Johannesburg ją zawiódł. Przez wielkie matowe okna mogła zobaczyć jedynie zabudowania lotniska. Niskie, szare chmury, dźwigi, płaska, pokryta kurzem równina. Zupełnie jak na Heathrow, które opuściła dwanaście godzin temu.

O 11.05 zapowiedziano odlot samolotu do Maputo. Wśród pasażerów znalazły się dwie kobiety, które leciały razem z nią z Londynu. Uśmiechnęły się do siebie nieśmiało i dokonały prezentacji. Susan i Jean były Amerykankami i specjalistkami z sekcji rozwoju. Wzięły swoje torby oraz laptopy i poszły za małą grupką turystów do samolotu. Julia była zbyt podekscytowana, by odczuwać zmęczenie. Zdąży się przespać, bo sesję inauguracyjną zaplanowano na wieczór, a po niej kolację. Miała ochotę samą siebie uściskać, gdy zajęła miejsce w małym samolocie. Nagle Londyn, Aaron i wszystkie tamtejsze sprawy wydały się bardzo odległe.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła w Maputo, był długi piaszczysty pas plaży oddzielający miasto od południowych przedmieść. Samolot przechylił się z gracją na bok i jej oczom ukazały się domy kryte czerwonymi dachówkami, błękitne plamy basenów oraz duże połacie zieleni, zapewne parki. Rzędy domów stłoczonych jeden przy drugim przecinały czarne języki dróg. Wszystko jednak po chwili zniknęło pod cienką warstwą chmur wiszących nad miastem. Była pora deszczowa. Uprzedzono ją, że w ciągu dnia będzie gorąco i wilgotno, za to wieczorem upał złagodzi chłodniejszy wiatr. Konferencję zaplanowano na trzy dni. Czwartego dnia uczestników czekało jeszcze zwiedzanie miasta, a późnym popołudniem mieli odlecieć do Johannesburga, przespać noc w hotelu i wczesnym rankiem wsiąść na pokład samolotu lecącego do Londynu.

Zeszła za Susan i Jean po chwiejnych schodkach na płytę lotniska. Po ocienionym wnętrzu samolotu ostro świecące słońce niemal oślepiało. Powiał wiatr, poruszając gałęziami palm. Julia poczuła w nozdrzach zapach palonego drewna, spalin, a z oddali dobiegł dźwięk klaksonów samochodowych. Wrażenia atakowały ją jedno za

drugim. Personel lotniska poprowadził ich spiesznie do klimatyzowanej hali przylotów, gdzie znowu wszystko znikło w typowej dla lotnisk bezosobowej atmosferze. Tu czekał na nich młody mężczyzna w zaskakująco białej koszuli i starannie wyprasowanych spodniach khaki, który trzymał w ręku tabliczkę z błędnie wypisanymi nazwiskami. Kiwnęły mu z uśmiechem głowami.

– *Bom día* – powiedział, błyskając olśniewającym uśmiechem. – Witamy w Maputo.

Blask wody i nieba – te dwa elementy dominowały, gdziekolwiek człowiek się obrócił. Ostatniego dnia konferencji Julia zrezygnowała z zaproszenia na autokarowe zwiedzanie miasta z przewodnikiem i wybrała się z Susan i Jean na wybrzeże. Gdy wyszły z klimatyzowanego hallu na ulicę, natychmiast oblepiło je gorące, parne powietrze. Śmiejąc się i gawędząc, podekscytowane wsiadły do wynajętej taksówki. Zajmując miejsce na tylnym siedzeniu, Julia poczuła strumyki potu spływające jej wzdłuż kręgosłupa i wilgoć pod pachami. Kierowca jechał wolno wzdłuż Avenida 25 de Setembro, opowiadając o ciekawszych budynkach łamaną angielszczyzną. Posterunek policji. Dworzec autobusowy. Szkoła międzynarodowa. Jeszcze jeden posterunek policji. Słuchała go jednym uchem, obserwując horyzont, który zmienił się teraz w białą niewyraźną linię oddzielającą wodę od nieba. Była trzecia po południu i panował nieznośny upał. Zrobiły rundę wokół półwyspu i znalazły się na Avenida Julius Nyerere. Następnie przejechały aleją Mao Tse-tunga, Kennetha Kaundy i Włodzimierza Lenina. Z każdego kąta wyzierały duchy socjalistycznej przeszłości. Ojciec byłby zachwycony – pomyślała nagle Julia.

Na skrzyżowaniu zatłoczonym samochodami osobowymi, furgonetkami i pieszymi Jean dostrzegła targ i zawołała do kierowcy, żeby się zatrzymał. Wsiadły i natychmiast wchłonął je wolno sunący tłum ludzi. Julia kupiła sok z arbuza z kawałkami lodu u ulicznego sprzedawcy, patrząc z podziwem na turystyczną lodówkę przymocowaną do roweru, z której wyjął plastikowy kubek z jasnoczerwonym sokiem. Zimny, słodki napój przyniósł ulgę w wilgotnym upale. Wypiła go jednym haustem i poprosiła o następny.

Przeszły przez targ, zatrzymując się tu i tam, by kupić prezenty dla najbliższych, kilka pocztówek i małego pieczonego banana z garścią orzeszków ziemnych. Targując się o cenę srebrnych spinek z drzewem hebanowym, które postanowiła kupić Aaronowi, Julia doszła do wniosku, że to tu znajduje się prawdziwy cel kończącej się konferencji, wśród tych handlujących kobiet, w imieniu których występowały. Patrząc, jak gestykują i uśmiechają się w sposób charakterystyczny dla osób nieznających języka, trudno było uwierzyć w ponure statystyki, jakimi przez trzy dni bombardowano uczestniczki konferencji – średnia długość życia kobiet wynosi czterdzieści cztery lata; umieralność dzieci to dwieście osiemdziesiąt dziewięć na tysiąc urodzeń; pięćdziesiąt cztery procent kobiet posiada podstawowe wykształcenie. Siedząc wraz z setkami innych w klimatyzowanych salach, słuchała

tych informacji z rosnącym smutkiem.

Na tym tętniącym życiem targu pod chmurką nie wyczuwało się jednak smutku. Kobiety wyglądały oszalamiająco w kolorowych szatach, w turbanach na głowach lub z warkoczykami sięgającymi do pasa i opadającymi na twarz, gdy chowały zakupy do torby czy odliczały resztę. Kontrast między poważnymi, boleśnie poprawnymi politycznie naukowcami i politykami a tryskającymi energią kobietami na targu, które śmiały się i żartowały z klientami, był zaskakujący. W sali konferencyjnej afrykańskie kobiety przedstawiano jako uległe, bierne ofiary okoliczności, na które nie mają wpływu. Tu, w mieście i w prawdziwym życiu, wydawało się, że jest wprost odwrotnie. Nie było bierności w tych pewnych siebie, roześmianych kobietach. Nie znając języka, pytały o dzieci, mężów, warunki życia, znały się na towarach, cenach, zarabianiu pieniędzy, rodzeniu dzieci, małżeństwie i śmierci. Wiedziały tyle samo co inne kobiety na świecie. Julia odwróciła się zakłopotana i zderzyła z jedną z handlujących. Poczowała na twarzy dotknięcie wilgotnego, spoconego policzka. Rozległ się chóralny śmiech i okrzyki: *Desculpé, desculpé!* Wszyscy wokół zaczęli przeproszać za coś, co było jej winą. W londyńskim sklepie spotkałaby się z irytującym cmoknięciem, gdyby przypadkiem na kogoś wpadła. Zebrała pocztówki i prezenty, uśmiechnęła się, pomachała na pożegnanie i dołączyła do koleżanek.

– Pomyślałyśmy, że może wstąpimy napić się czegoś mocniejszego do jednego z przydrożnych barów – powiedziała Susan, gdy Julia zrównała się z nimi. – Jean i ja nie mamy ochoty na żadne spotkania z uczestnikami konferencji, zwłaszcza ostatniego wieczoru. Szczerze mówiąc, jestem już nimi zmęczona.

Julia uśmiechnęła się z ulgą. Jakie to szczęście, że je spotkała.

– Ja też – odpowiedziała. – Jestem za.

– Wspaniale. Nasza krew.

Zaczęły torować sobie drogę wśród tłumu. Przydrożnych barów w Maputo nie brakowało. Można je było spotkać na każdym kroku. Susan ruszyła śmiało do jednego z nich, usytuowanego między czymś, co wyglądało na dwa prowizoryczne przystanki autobusowe. Czekał tu wolny stolik przykryty ceratą w czerwono-zieloną kratę. Mały chłopiec przyniósł im natychmiast dwa dodatkowe plastikowe krzesła. Usiadły na nich z ulgą, a chwilę później na stoliku pojawiły się trzy oszronione butelki zimnego piwa.

– Na zdrowie – powiedziała Susan, unosząc swoją. Stuknęły się butelkami.

– Na zdrowie – mruknęła Julia. – Witajcie w prawdziwym Maputo.

– Co zrobiłaś? – W głosie Aarona brzmiało tyle oburzenia, ile można było pomieścić w jednym słowie przesłanym na drugą półkulę w trakcie połączenia telefonicznego.

Julia przewróciła oczyma, stojąc przed lustrem.

– To nic takiego. Byłam tam z Susan i Jean.

– A kim, u licha, są Susan i Jean?

– Opowiadałam ci o nich. To uczestniczki konferencji, z którymi się trzymam. Amerykanki. Są bardzo miłe. Susan jest ekonomistką, a Jean historyczką.

– Guzik mnie obchodzi, czym się zajmują. Zaprowadziły cię do jakiejś speluny w slumsach?

Musiła się uśmiechnąć.

– To nie była żadna speluna i na pewno nie w slumsach, tylko na głównym targu.

– To wcale nie jest śmieszne – powiedział z powagą. – Miałas nie opuszczać hotelu. Tak było napisane w biuletynie informacyjnym.

– Och, Aaronie! Tu jest całkiem bezpiecznie. Ludzie są bardzo sympatyczni i...

– Nie bądź naiwna, Julio. Na litość boską, jesteś w Afryce. Trwa wojna. Wszystko może się zdarzyć. Powinnaś bardziej uważać. Nie możesz chodzić, gdzie chcesz. Mogli cię napaść albo coś gorszego.

– Przecież jestem w Mozambiku, nie w Sierra Leone. Tu nie ma wojny. Nie bądź śmieszny.

– Ja jestem śmieszny? – spytał Aaron podniesionym głosem.

Westchnęła.

– Nie kłóćmy się. Ta rozmowa będzie kosztowała mnie fortunę. Zadzwoń jutro z Johannesburga, dobrze?

– Dobrze – odparł nadąsanym głosem.

Wypowiedziała kilka pojednawczych zdań i odłożyła słuchawkę, zanim zdążył ją bardziej zirytować. Ogarnął ją dziwny niepokój na myśl o powrocie do Londynu. Nie było jej prawie tydzień, powinna się cieszyć, że wraca do domu i do Aarona. Ale wcale się nie cieszyła i nie umiała powiedzieć, dlaczego.

JOSH

Johannesburg, maj 2000

Przemierzył niecierpliwym krokiem halę przylotów. Po siedmiu tygodniach spędzonych w buszu zapach kawy dochodzący z małej *café e vida* w połowie korytarza drażnił mu nozdrza. Miał przed sobą noc w hotelu Intercontinental stojącym po drugiej stronie ulicy, a potem długi, jedenastogodzinny lot do Londynu – i do Nieli. Na myśl o niej serce zaczęło mu szybciej bić. Nie było go prawie dwa miesiące. Tam w buszu, wilgotnym i gorącym, trudno było uwierzyć, że ona naprawdę istnieje, że znowu znajdzie się w jej małym, schludnym mieszkanku w Londynie. Kończył się maj. Wczoraj z wiadomości dowiedział się, że w stolicy nadal jest chłodno. To też wydawało się niepojęte, chociaż temperatura w Johannesburgu była znacznie niższa niż w Cabo Delgado.

Podszedł spieszenie do okienka odprawy paszportowej, a dziesięć minut później podążał korytarzem wyłożonym grubym dywanem za młodym mężczyzną w liberii, niosącym jego plecak do pokoju hotelowego.

– To tutaj, proszę pana – powiedział boy, wsuwając plastikową kartę w szczelinę. Otworzył drzwi i pokazał, gdzie co jest. Minibarek, telewizor, łazienka, drzwi na balkon... Josh przerabiał to już setki razy. – Czy życzy pan sobie coś jeszcze? – spytał na zakończenie.

– Nie, dziękuję – odpowiedział gość, wręczając mu banknot dziesięciorandowy. Młody człowiek podziękował uśmiechem i cicho wyszedł z pokoju.

Josh podszedł do okna i rozsunał zasłony. Materiał był przyjemnie miękki w dotyku. Przez dwa miesiące czuł pod palcami jedynie nylonowe liny i szorstką pościel nieustannie wilgotną od potu. Tak, noc spędzona w luksusowych warunkach to przyjemna odmiana. Poszedł do łazienki, ściągnął zakurzone, zniszczone ubranie i stanął pod prysznicem.

Pół godziny później, przesuwając palcem po świeżo ogolonej brodzie, przeszedł przez hall do hotelowego baru. Zza rosnących w donicach palm i parawanu w stylu japońskim dochodziły dźwięki fortepianu. Neutralne, nowoczesne wnętrze tonęło w miękkim świetle. Odsunął jeden z krytych skórą wysokich stołków i usiadł przy barze.

– Dżin z tonikiem – poprosił barmana. – Podwójny.

– Bardzo proszę. Z lodem i cytryną?

Kiwnął głową. Kilka chwil później na marmurowym blacie stanął starannie

wymieszany drink. Josh wypił łyk, czując przyjemne pieczenie w gardle. Przy barze siedziało jeszcze kilku panów. Jedni wpatrywali się w stojące przed nimi szklanki, inni w drzwi. Znał te spojrzenia mężczyzn, które świadczyły o tym, że albo widzieli zbyt dużo, albo zbyt mało. Potrafili skupić uwagę jedynie na swoich drinkach lub na młodych prostytutkach z długimi, sztucznymi włosami i w skąpych strojach opinających wydatne pośladki. Dziewczyny wchodziły lub wychodziły z hotelu, obserwowane bacznie przez obsługę. Siedzący obok niego mężczyzna nie spuszczał wzroku z jednej z nich, wdzięczając się do klienta przy barze. Miała ozdobioną cekinami spódnicę z rozcięciem na udzie. Zaskakująco jędrne ciało w kolorze ciemnego granatu połyskiwało w ciepłym świetle niczym śliski, gładki marmur. Klient trzymał na nim tłustą rękę, niczym właściciel broniący swej własności, gotów odgryźć głowę każdemu, kto na nie spojrzy. Josh odwrócił wzrok ze znużeniem. Widział to wiele razy. Jutro dziewczyna będzie towarzyszyła innemu mężczyźnie. Za cenę torebki, telefonu komórkowego lub zapasu blachy falistej na pokrycie dachu gotowa była spełnić wszystkie życzenia.

– Josh?

Ktoś wymówił jego imię, przerywając rozmyślenia. Odwrócił głowę. Po jego lewej stronie stała młoda kobieta z oczami rozszerzonymi ze zdziwienia. Skądś znał tę twarz, lecz nie mógł sobie przypomnieć, skąd.

– Josh Keeler?

Kiwnął głową, zastanawiając się, gdzie, u diabła, ją widział. Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

– Julia. Żona Aarona – przypomniała mu.

Tak go to zaskoczyło, że omal nie wypuścił szklanki z ręki. Żona Aarona? Co ona robi w Johannesburgu?

– Nie mogę w to uwierzyć – ciągnęła. – Co za zbieg okoliczności. Wprost niebywały. – Odwróciła się do swoich towarzyszek, które stały za nią. – To jest mój szwagier – wyjaśniła. – Trudno uwierzyć. Co ty tutaj robisz?

Obie strony dokonały prezentacji. Susan, Jean, Alison, Khadija. Uścisnął im dłonie. Julia wyjaśniła, że wracają z konferencji. Ta jest szefową jakiegoś programu w banku światowym, ta dyrektorką czegoś tam, a ta z kolei... Kiwał głową, marząc, żeby wreszcie zostawiły go samego. Miał ochotę zapytać Julię, co robi w tym towarzystwie, lecz byłoby to niegrzeczne, a poza tym wcale go to nie interesowało. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to rozmowa z żoną brata. A szczególnie z tą. Co takiego Diana o niej powiedziała? „Ten jej akcent. Atakuje cię jak wściekły pies”. Cień uśmiechu przemknął mu po twarzy, lecz w porę go stłumił. Ale nie akcent go raził – wprost przeciwnie, uważał go za coś ożywczego w przeciwieństwie do jej chłodnego, nienagannego wyglądu. Nie, chodziło mu raczej o sposób, w jaki patrzyła na Nieję tego dnia, gdy się poznali. Te zimne niebieskie oczy osądziły ją, chociaż ta kobieta nic nie wiedziała o życiu jego żony i nie miała pojęcia, przez co ta przeszła. Zsunął się ze stołka.

– Panie wybaczą, ale miałem ciężki dzień.
Odwrócił się i odszedł bez słowa pożegnania.

Julia poczuła, że płoną jej policzki, gdy patrzyła, jak Josh znika za drzwiami.

– Przepraszam – mruknęła, unosząc szklanę, by ukryć twarz. – Spotkałam go tylko raz. Okazał wówczas więcej taktu, chociaż daleko mu było do ideału. Nic dziwnego, że trudno się z nim dogadać.

– Nie był zbyt zachwycony naszym towarzystwem – odparła Susan dyplomatycznie. – Może faktycznie miał ciężki dzień. No to co pijemy?

– Cholernie przystojny z niego gość – stwierdziła Jean. – Ja poproszę dużą whisky.

Zaniosły swoje drinki do stolika pod palmami.

– Papierosa? – spytała Susan, wyciągając paczkę.

Julia pokręciła głową, jednak po chwili zmieniła zdanie.

– A zresztą zapalę. Ten facet strasznie mnie wkurzył.

Z przyjemnością zaciągnęła się papierosem. Od lat nie paliła i wcale za tym nie tęskniła, bywały jednak chwile takie jak ta, gdy nie mogła oprzeć się pokusie.

– Olej go. Uczestniczyliśmy w konferencji, nawiązałyśmy nowe znajomości... Po prostu nie myśl o nim – powiedziała z uśmiechem Jean.

Julia kiwnęła głową. Koleżanka miała rację. Zaciągnęła się po raz ostatni, zdusiła niedopałek i wyrzuciła Josha Keelera z pamięci.

O dwudziestej drugiej w restauracji było prawie pusto. Julia siedziała sama od kilku minut, bo jej koleżanki poszły już do swoich pokoi. Bawiła się szklaneczką z resztką niedopitego drinka. Czuła zmęczenie, ale nie chciało jej się jeszcze iść na górę. Pragnęła wykorzystać ostatnie minuty najbardziej interesującego tygodnia w życiu. Miała wrażenie, jakby wróciły burzliwe czasy, gdy pracowała jako adwokat z urzędu w Oksfordzie. Tyle się wówczas działo. Dziwne, ale konferencja i toczące się wokół niej rozmowy przywiodły jej na myśl teściową. O takim właśnie życiu marzyła, gdy jako mała dziewczynka oglądała Dianę w telewizji i rozmyślała o sile i szlachetności prawa. Nie mogła uwierzyć, że w ciągu sześciu i pół dnia tyle się w jej życiu zmieniło. Uświadomiła sobie, że poza wąskimi ramami prawa istnieje cały świat. Te sześć dni w towarzystwie pełnych pasji, elokwentnych i piekielnie inteligentnych kobiet pozwoliły spojrzeć na siebie z innej perspektywy. Była jedną z najmłodszych mówczyń w Maputo, ale ku jej zaskoczeniu nie miało to żadnego znaczenia. W kancelarii Bernard, Bennison i Partnerzy pogodziła się z ograniczeniami, jakie niosły ze sobą młody wiek i płeć, a tu okazało się, że nie mają one żadnego znaczenia. Był to dla niej wielki szok. Przekonała się, że jest mnóstwo sposobów na to, by spełniać się jako kobieta. Spotkała podczas konferencji panie w typie Diany – energiczne, szorstkie, szczupłe i eleganckie, a także domatorki i matki dzieciom, ubrane w tradycyjne stroje, oraz poważne

intelektualistki z Princeton czy Oksfordu, z krótko obciętymi włosami i preferujące czerń. Były również kobiety z odległego Bangladeszu czy Bahrajnu w długich, czarnych szatach, o klasycznych rysach twarzy, częściowo ukrytych za kwefem. Jednego dnia jadła lunch z Nigeryjkami, pełniącymi jednocześnie role żon, matek, kobiet interesu i aktywistek. Patrzyła z podziwem na ich złożone i bogate życie. Miała też okazję spotkać się z prawniczkami i uderzyło ją to, jak wykorzystywały prawo do walki na rzecz i w imieniu kobiet na całym świecie. Ona, żeby zostać wziętym adwokatem, musiała pracować dwa razy ciężiej i dłużej niż inni. Była świadoma tego, że akcent i pochodzenie jej nie sprzyjają, a małżeństwo z Aaronem Keelerem jest powodem do zazdrości, chociaż Diana nie ruszyłaby palcem, by jej pomóc czy służyć radą...

Jej rozmyślania przerwało pojawienie się mężczyzny. Do baru podszedł Josh. Poczula, że robi jej się gorąco. Złożył właśnie zamówienie i w każdej chwili mógł się odwrócić i ją zobaczyć. Powinna wstać i wyjść, zanim będzie za późno. Nie chciała mieć z nim więcej do czynienia. Powinna wstać, ale nie wstała. Josh odwrócił się wolno ze szklaneczką w ręku i oczywiście natychmiast ją zauważył. Przez twarz przemknął mu wyraz zakłopotania, zaraz jednak uniósł szklaneczkę w geście powitalnym. Zawahała się i uniosła swoją. Ruszył w jej stronę. Uświadomiła sobie, że czuje do niego to samo, co przed laty do Aarona. Pomimo oczywistych różnic mieli ze sobą wiele wspólnego. Może źle go oceniła, tak jak kiedyś jego brata.

– Cześć – powiedział, postawił drink na stole i odsunął krzesło.

Czyżby zamierzał się do niej przysiąść?

– Cześć – mruknęła, nie chcąc okazać się nieuprzejma, ale nie podobała jej się perspektywa spędzania czasu z takim mrukiem.

– Wygląda na pustą – stwierdził, wskazując na jej szklaneczkę. – Co pijesz?

Zawahała się.

– Whisky z wodą.

Sprawał wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Mam propozycję – powiedział nagle. – Co powiesz na porządnego drinka we właściwym miejscu? Nie takim jak to – dodał z lekceważącym machnięciem ręki.

– To znaczy? – spytała zaskoczona.

– Widziałaś Johannesburg?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie. Dopiero drugi raz jestem za granicą – stwierdziła z żalem, oczekując, że Josh się roześmieje.

Myliła się.

– Jest taki bar w Braamfontein, gdzie byłem kilka razy. – Spojrzał na zegarek. – Za piętnaście jedenasta... powinni zaraz otworzyć. Chodź. Złapiemy taksówkę. – Opróżnił szklaneczkę, odstawił na stół i podniósł się z krzesła. – Idziesz? – spytał, patrząc na nią.

Wstała niezdarnie. Nie spodziewała się tego, ale w Joshu było coś ekscytującego i zniewalającego. Nie wyobrażała sobie, żeby Aaron mógł zrobić coś takiego. Wyszła za nim do hallu i czekała, aż zamówi taksówkę. Jej mąż prędzej by umarł, niż wyszedł o północy z hotelu do miasta, którego nie znał. Wsiadając za Joshem do taksówki, uświadomiła sobie, że ona też by tego nie zrobiła. Kiedy ostatni raz zdobyła się na podobny wyczyn? Nigdy – odparł wewnętrzny głos. Nigdy.

Ulice świeciły pustkami, gdy jechali w miejsce wskazane kierowcy.

– Jest pan pewny? – spytał taksówkarz, gdy usłyszał nazwę ulicy. – Był pan już tam? – Josh kiwnął głową. – Skoro jest pan pewny... – Mężczyzna wzruszył ramionami.

Julia przygryzła dolną wargę. Nagle przypomniała sobie wszystko, co słyszała o Johannesburgu.

– Czy to bezpieczne? – spytała szeptem swego towarzysza, gdy mijali jedną wyludnioną ulicę za drugą.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma bezpiecznych miejsc – odparł tajemniczo.

Poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. Co ona robi? Nagle samochód stanął.

– To tutaj, proszę pana – powiedział kierowca, odwracając głowę i patrząc z niedowierzaniem na pasażerów.

Josh spojrział w okno.

– Tak, to tutaj. Dziękuję. – Wyjął banknot, podał przez szybę, po czym wysiadł i spojrział na Julię po raz drugi tego wieczoru.

Wygramoliła się z samochodu i stanęła obok niego, patrząc, jak taksówkarz odjeżdża dziwnie szybko. Uniosła wzrok i spostrzegła, że stoją przed wysokim, prawie ciemnym domem. Jedynie gdzieniegdzie przebłyskiwało światło, jakby w tych miejscach ciemność się wytarła. Przy wejściu był dzwonek. Josh wcisnął go i po chwili drzwi się otworzyły, ukazując ciemny korytarz i jakieś pomieszczenie w głębi, z którego dochodziły śmiech i dźwięki muzyki. Mężczyzna, który uchylił drzwi, sądząc po postawie, był chyba uzbrojony. Julia nerwowo przełknęła ślinę.

– Cześć – powiedział Josh, nie ruszając się z miejsca. – Jestem przyjacielem Tumiego.

Nieznajomy zmierzył ich uważnym spojrzeniem, po czym skinął głową i usunął się na bok, wpuszczając ich do środka. Julia podążyła za swym przewodnikiem niczym Alicja za Białym Królikiem. Trzy lub cztery stopnie prowadziły w dół do sali oświetlonej mnóstwem świeczek, w której panowały gwar i muzyka. W przeciwieństwie do chłodu na dworze było tu bardzo ciepło. Owionął ich zapach alkoholu, perfum, dymu papierosowego i palonego przez kogoś skręta. W rogu sali grał zespół. Josh odwrócił się, wziął ją za rękę i poprowadził do baru.

– Czego się napijesz?! – spytał, przekrzykując hałas.

– Rumu z colą! – odkrzyknęła.

Powoli zaczęła się odprężyć. Spojrzała na Josha. Stał bokiem do niej i rozmawiał z barmanem. Twarz błyszczała mu w łagodnym świetle lamp. Przyłapała się na tym, że nie może oderwać od niego wzroku. Wieczór wydał jej się nagle baśniowy i nierealny. Podał jej szklaneczkę ponad głową młodej kobiety stojącej między nimi, która uśmiechnęła się słodko i zalotnie, gdy drink wędrował nad nią. Julia poczuła, że coś się w niej zmienia. Uśmiechnęła się i przytknęła szklaneczkę do ust. Mocny alkohol rozpląnął się po ciele. Zespół znowu zaczął grać. Nigdy nie słyszała takiej muzyki o mocnym i jednocześnie łagodnym brzmieniu, lirycznej, a zarazem o pulsującym i porywającym rytmie. Wokalistka, prześliczna dziewczyna z burzą czarnych włosów w stylu afro, wyszła na scenę witana gromkimi oklaskami. Julia sączyła drinka i rozglądała się z ciekawością po sali. Towarzystwo było kompletnie przemieszane: czarni, biali, Hindusi, studenci, młodzi urzędnicy, robotnicy. Nie przypominało klienteli nielicznych barów czy klubów, w których bywała. Wypiła kolejny łyk rumu. Jakiś mężczyzna poprosił ją do tańca. Pokręciła głową ze śmiechem. Nie, nie... Uśmiechnął się z żalem i namówił kogoś innego.

*

Dochodziła trzecia w nocy, gdy zdecydowali się wrócić do hotelu, ale Julii się wydawało, że minęło zaledwie kilka minut. Tańczyła, rozmawiała, piła, śmiała się. Jej towarzysz zupełnie nie przypominał gburowatego, zamkniętego w sobie mężczyzny, którego znała. Wyszła za nim na dwór. Drzwi otworzył im ten sam bramkarz. Z czarnogranatowego nieba lały się na ziemię strugi wody.

– Letnia burza – powiedział Josh, patrząc w górę. – Zawsze pada o tej porze.

Uniosła nad głowę żakiet i pobiegli do czekającej taksówki. Ostry powiew wiatru cisnął w nich lawiną liści w chwili, gdy mężczyzna otwierał drzwi. Wsiadli do środka przemoczeni, zaśmiewając się do rozpuku, i samochód ruszył z miejsca. Josh podał taksówkarzowi adres.

– No i jak, podobało ci się? – spytał, patrząc na Julię.

Kiwnęła z ożywieniem głową. W ciemnym wnętrzu taksówki zrobiło się jakoś dziwnie przytulnie. Miarowe uderzenia deszczu o dach przeszły w cichy szum. Nagle poczuła udo Josha przy swoim. Zadrżała i odsunęła się na bezpieczną odległość. Zaledwie go znała i już czuła, jaki może być niebezpieczny. Przypominał Aarona i jednocześnie bardzo się od niego różnił. Była w nim jakaś poufałość i nieznaną erotyczną siłą o wielkiej mocy. Odwróciła twarz w stronę okna, spoglądając niewidzącym wzrokiem na ciemne ulice. Przyłożyła dłoń do policzka. Był rozpalony strachem i pożądaniem. Wyczuła w Joshu ten sam dystans, jaki irytował ją w Aaronie, a potem zaczął intrygować. Coś się kryło pod skorupą, tylko należało się przez nią przebić. Poczuła łyzy pod powiekami. Była zmęczona, pijana i rozemocjonowana. Znajdowała się w obcym kraju, a w głowie wirowały dziwne, niezgłębione myśli. Nagle zatęskniła za domem i bezpiecznym ciepłem ramion

Aarona.

MADDY

Londyn, czerwiec 2000

Maddy strząsnęła krople wody z parasola i oparła go o ścianę. W mieszkaniu panowała cudowna cisza, bo Darcy była w przedszkolu. Zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i weszła do salonu. Wczoraj była sprzątaczką i wszędzie panował nieskazitelny porządek. Ten widok działał na nią uspokajająco. Zrzuciła buty i podeszła do kanapy. Aż się nie chciało rujnować jej puszystej, gładkiej powierzchni. Usiadła, wzięła notatnik i długopis, leżące równo na stoliku do kawy, i otworzyła na stronie, na której wczoraj pisała.

Powiodła palcem wzdłuż listy z boku strony. Zawierała nazwiska wszystkich możliwych agentów ułożone w porządku alfabetycznym. Obok nich spisała nazwy małych zespołów teatralnych. Czasami, ale tylko czasami, zatrudniały one aktorów na podstawie kasety lub rozmowy kwalifikacyjnej. To był strzał w ciemno, ale wart ryzyka. Na końcu znajdowała się lista mniejszych grup teatralnych, liczących od dwóch do dwudziestu aktorów, pracujących i czasami mieszkających razem, wystawiających swoje przedstawienia i prowadzących własną działalność gospodarczą. Postanowiła spróbować wszędzie. Nie mogła sobie pozwolić na żadne grymasy, bo zmarnowała już cztery lata. Jeżeli Julia mogła pojechać na drugi koniec świata z odczytem, to ona mogła przyjąć nawet najmniejszą rolę. Musi przegnać tę czarną chmurę beznadziei, która nieustannie nad nią wisiała. Ani Rafe, ani szwagierka nie zrobią tego za nią. Sama musi o to zadbać. Czując w sobie przypływ determinacji, uzbrojona w długą listę numerów, sięgnęła po telefon i zaczęła dzwonić.

Dwie godziny później obdzwoniła już wszystkich agentów oraz połowę teatrów i wciąż słyszała tę samą odpowiedź: „Przepraszamy, ale nie przyjmujemy teraz nikogo nowego. Proszę przesłać nam kasetę i CV. Skontaktujemy się z panią”. A ona pragnęła jedynie, by dano jej szansę porozmawiania z kimś w cztery oczy – z agentem, szefem castingu, producentem, łowcą talentów, z kimkolwiek. Jak mogła ich przekonać, że jest dobra, skoro nie chcieli się z nią spotkać? Jak stara kasetka z przedstawieniem, o którym nikt tu nie słyszał, wyreżyserowanym przez nieznanego młodego Amerykanina, z recenzją amerykańskiego krytyka, którego nikt tu nie znał, zdoła przekonać kogoś na tej półkuli, że warto ją zatrudnić? Musi zrobić to osobiście, wykorzystując siłę swej osobowości i talentu. Tylko jak ktoś może się na niej poznać przez telefon?

Zrezygnowana, wystukała kolejny numer z listy. London Theatre Company był małym teatrem znanym z eksperymentalnych, nowatorskich przedstawień. Wysłała im kasetę, gdy pierwszy raz przyjechała do Londynu. Przygotowała się na kolejną odmowę, ale ku swemu zaskoczeniu usłyszała po drugiej stronie ciepły głos:

– Madison Stiller, pamiętam to nazwisko. Zdaje się, że przysłała nam pani kiedyś kasetę?

– Tak. Jakieś cztery lata temu. Nie mogę uwierzyć, że pani mnie jeszcze pamięta

– wyjąkała Maddy, oblewając się rumieńcem. Dobrze, że ta kobieta jej nie widziała.

– Pamiętam pani nazwisko. Może wpadłaby pani do mnie.

Omiał nie upuściła słuchawki.

– Kiedy? Teraz? To znaczy jaki termin odpowiadałby pani? – Słowa płynęły z jej ust coraz szybciej.

Stephanie Whyte zachichotała.

– Może w przyszłym tygodniu. W tej chwili wystawiamy *Hedde Gabler*. Dziś jest ostatnie przedstawienie. Proszę przyjść, spodoba się pani.

Maddy aż wstała z wrażenia.

– Och, z przyjemnością bym przyszła, ale mam małą córeczkę... Nie, dobrze, przyjdę. Dziękuję pani.

Udało jej się przerwać w odpowiednim momencie. Jej problemy z opieką nad dzieckiem nie interesowały dyrektora London Theatre Company. Wyduсила z siebie kolejne podziękowania, po czym z bijącym sercem odłożyła słuchawkę. Komu mogłaby powierzyć Darcy na cztery godziny? Tylko jednej osobie. I nawet jeśli będzie ją to drogo kosztowało, nie miała innego wyjścia niż poprosić Dianę o pomoc. Nie mogła opuścić tego przedstawienia.

*

Radość byłaby zbyt łagodnym słowem na określenie burzy emocji, jaka się w niej rozpętała w trakcie trwania spektaklu. Czuła, że otwiera się przed nią otchłań i przez następne dziewięćdziesiąt minut nic dla niej nie istniało poza rozgrywającym się na jej oczach przedstawieniem i ponadczasowym, poetyckim przesłaniem Ibsena, że klucz do przyszłości leży w zaakceptowaniu przeszłości, nie jej odrzuceniu. Zupełnie jakby mówił do niej, jakby to ona była adresatką słów wypowiedzianych przez aktorów.

– Uprzedzam, że to bardzo mała rola, ale zawsze coś na początek.

Tydzień po jej wizycie w teatrze Maddy zaproszono na przesłuchanie do jednej z ról. Siedziała teraz przed Stef Whyte zbyt oszołomiona, by wydobyć z siebie głos. Dyrektorka popatrzyła na nią znad brzegu kolorowej szklanki.

– Jesteśmy w tej chwili zalewani przez Amerykanów. I co gorsza, zaczynają być sławni. Tak to wygląda. W twoim wypadku... powiedzmy, że będziesz zaczynać

jakby z drugiego końca.

Maddy kiwnęła energicznie głową. Nie dbała o to, z którego końca będzie zaczynać. Już to, że w ogóle zaczynała, było nadzwyczajne. Spojrzała na trzymany w ręku scenopis i poczuła, jak palce u nóg zaciskają się jej z podniecenia. Wstępny opis sprawił, że zjeżyły jej się włosy na karku. „Płomienie przeświecają przez lód. Mishima uważał, że ten element występuje w klasycznej poezji japońskiej i w dramatach *no*, gdzie namiętność kryje się pod błyszczącą powierzchnią”.

– Dzi-dziękuję – powiedziała z zachwytem. – Bardzo dziękuję.

– Nie dziękuj – odrzekła Stef ze śmiechem. – Jeszcze nie dostałaś tej roli.

Praktycznie przebiegła całą Upper Street, przyciskając scenopis do piersi, i wsiadła do autobusu przy Newington Green. Usiadła z tyłu, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niej dzieje. Autobus minął Angel, King’s Cross oraz Euston i jechał wolno Oxford Street, gdy Maddy się zorientowała, że przegapiła swój przystanek. Wysiadła i przebiegła całą drogę do domu. Nie mogła się doczekać, by przeczytać całość.

*

Nadal trwała w radosnym podnieceniu, gdy wieczorem zjawił się Rafe.

– Zaraz, zaraz, pozwól mi zdjąć płaszcz – zaprotestował, gdy usiłowała opowiedzieć mu sztukę. – A więc co to za rola?

– Och, niewielka, tylko trzy linijki, oczywiście, jeżeli ją dostanę. Ale zgadnij, kto gra główną postać.

– Kto? – spytał, zdejmując szalik.

Uśmiechnęła się.

– Judi Dench. I Maggie Smith. To sztuka japońskiego dramaturga Yukio Mishimy – ciągnęła. – Historia markiza de Sade widziana oczami kobiet. Jest fantastyczna, Rafe. Musisz ją przeczytać. – Z trudem stłumiła uśmiech. Rafe nie czytał niczego poza literaturą medyczną. – Albo ja ci przeczytam. Chcesz posłuchać mojej roli?

Skrzywił się.

– Moglibyśmy to przełożyć? Wieczorem jest mecz krykieta i miałem dzisiaj ciężki dzień.

Maddy popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Poczuła, jak powoli ulatnia się z niej cały entuzjazm. Mecz krykieta?

– Nie, idź sam. Ja muszę jeszcze zmyć naczynia.

Odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni, czując pieczenie pod powiekami. Mecz krykieta?

NIELA/JULIA/MADDY

Londyn, czerwiec 2000

– Nie możemy nie jechać – powiedziała spokojnie Niela, zbierając naczynia ze stołu i niosąc je do kuchni. – To są urodziny twojego ojca. To byłoby niegrzeczne.

– Chryste, Niela... ale cały tydzień?

– Nie musimy spędzić tam całego tygodnia – odpowiedziała, wracając do salonu.

– Możemy przyjechać na przyjęcie, zostać dzień lub dwa i wrócić.

Westchnął, ale już wiedziała, że wygrała tę rundę. Odetchnęła z ulgą. Minął tydzień od jego powrotu z Mozambiku i chociaż nie posiadała się z radości, że on znowu jest w domu, wciąż wyczuwała w nim dystans, jaki zwykle towarzyszył mu po przyjeździe. Niewiele powiedział ponad zdawkowe komentarze dotyczące tego, co zrobił lub czego nie udało mu się wykonać. Pod koniec czerwca Niela miała wyjechać na dwa tygodnie do Jemenu, on zaś nie dostał jeszcze przydziału. Przynajmniej spędzą trochę czasu razem w Mougins. Była ciekawa tego miejsca. Miała wrażenie, że jest ono kluczem do zrozumienia, kim jest Josh i kim się stał. Zaczęła myśleć o przyjęciu i onieśmielającej perspektywie spędzenia tygodnia z osobami, które kochał i jednocześnie nimi pogardzał.

Po wyjściu z gabinetu lekarskiego przy Harley Street Julia poszła Marylebone Road do Baker Street. Padał drobny deszcz, lecz nawet tego nie zauważyła. Wciąż brzmiały jej w uszach słowa doktora:

– Mam dla pani dobrą nowinę: jest pani absolutnie zdrowa. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie mogłaby pani zajść w ciążę. Wszystkie testy wypadły pomyślnie. Z medycznego punktu widzenia nie ma żadnych przeciwwskazań.

Popatrzyła na niego, bojąc się zadać następne pytanie, ale musiała to zrobić.

– Jeżeli ze mną wszystko w porządku – zaczęła z wahaniem – to problem może leżeć po stronie męża, tak?

– Możliwe. Powinien przyjść do nas i zrobić badania. Proszę ustalić termin wizyty z moją sekretarką. Jestem pewny, że możemy go szybko przyjąć.

Julia poczuła, jak serce jej się ściska. Tylko raz rozmawiała o tym z Aaronem, bo potem nie miała już odwagi.

– Jestem zupełnie zdrowy – powiedział chłodno, odkładając dokument i patrząc na nią z taką wrogością, że pożałowała, iż w ogóle poruszyła ten temat.

– Oczywiście, że jesteś – zapewniła pospiesznie. – Ale to może mieć związek ze mną. Zawsze lepiej sprawdzić takie rzeczy. To może być jakieś głupstwo.

– Skoro chcesz, by ktoś kłął cię w środku, to proszę bardzo. Ja nie. I nie chcę o tym więcej rozmawiać.

I tyle. Drugi raz nie ośmieliła się poruszyć tego tematu.

– Czy coś panią martwi? – spytał lekarz, dostrzegając jej milczenie.

– Chodzi o to, że... mój mąż jest, jak by tu powiedzieć, niechętny badaniom.

Popatrzył na nią z uwagą.

– Bezpłodność to dla wielu mężczyzn drażliwa sprawa. Ciężko im się z tym pogodzić. Ludzie, a szczególnie mężczyźni, sądzą, że to przede wszystkim problem kobiet, co jest oczywiście błędne. Postąpiła pani słusznie, decydując się na testy. Teraz mąż powinien zrobić to samo. Wówczas będziemy mogli znaleźć źródło problemu i zastanowić się, jak temu zaradzić. Najpierw jednak musimy się dowiedzieć, co jest nie w porządku.

Julia podejrzewała, że to będzie trudniejsze, niż sądziła.

– Spróbuję – odpowiedziała, schodząc z fotela. – Ale on jest temu przeciwny.

– Gdy się dowie, że z panią wszystko w porządku, zmieni zdanie. Zapewniam panią, widziałem to już setki razy.

– Mam nadzieję – odparła, wkładając płaszcz. – Bardzo chciałabym w to wierzyć.

W drodze do metra znowu opanowały ją wątpliwości. Może powinna poczekać, aż wróci z urlopu. Aaron będzie wtedy spokojniejszy. Ostatnio żył w wielkim napięciu. Jego zespół prawa korporacyjnego przegrał kilka spraw. Nie był za to osobiście odpowiedzialny, ale i tak się denerwował. Nie po raz pierwszy cieszyła się, że w jej zespole panuje względna anonimowość. Po powrocie z konferencji długo się zastanawiała nad swoją przyszłością – czy dalej chce robić to, co teraz, czy ma dość odwagi, by odejść. Uznała w końcu, że pora nie jest odpowiednia, by porozmawiać o swoich zawodowych planach z Aaronem. I jeszcze ta sprawa z Joshem w Johannesburgu. Nie wspomniała słowem o ich spotkaniu. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego, ale uznała, że nie jest to właściwy moment. Poza tym nic się przecież nie zdarzyło. Zależy, jak na to spojrzeć – pomyślała z goryczą. Nie, prawie ze sobą nie rozmawiali, nawet jej nie dotknął, ona też nie. Gdyby nie dziwne zaproszenie do Braamfontein, można by uznać, że w ogóle się nie spotkali. W takim razie czemu nie powiedziała o tym Aaronowi? I dlaczego czuła się winna, skoro nic się nie stało?

– Julio! – dobiegł z dołu głos Aarona. – Zejdz wreszcie. Gdzie ty, u diabła, jesteś?

– Idę! – odkrzyknęła. Rozejrzała się po pokoju, wzięła małą walizkę i zamknęła drzwi do sypialni. – Przepraszam – powiedziała, schodząc po schodach. Walizka obijała jej się o nogi. – Zapomniałam o czymś.

– Chryste! Można by pomyśleć, że wyjeżdżamy na miesiąc – burknął Aaron, zamykając drzwi wejściowe. – Spóźnimy się.

– Nie. Mamy mnóstwo czasu. Pociąg odjeżdża dopiero o pierwszej.

– Wiesz, że nie lubię się spóźniać. – Włożył walizki do bagażnika wynajętego samochodu.

Julia westchnęła, ale nic nie powiedziała. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była kłótnia na początku podróży do Mougins. Czekwała na ten wyjazd z niecierpliwością. Czy Josh też przyjedzie? Nie miała odwagi spytać o to Diany, a Maddy nie wiedziała i nic ją to nie obchodziło. Z powodu przyjęcia urodzinowego musiała zrezygnować z przesłuchania do roli. Gdy tydzień temu rozmawiały ze sobą, nie mogła powstrzymać łez. Rafe nie chciał nawet słyszeć o odwołaniu przez nią wyjazdu, musiała więc zrezygnować z roli. Biedna Maddy. Julia nie potrafiła wówczas znaleźć odpowiednich słów, by ją pocieszyć. Myśl o tym, że kobieta nie mogła robić tego, co chce, kiedy chce i jak, była czymś tak niepojętym, że nawet nie wiedziała, jak zacząć. Co mogła powiedzieć? Nic. Życie Maddy tak bardzo różniło się od jej własnego, że nawet nie umiała sobie wyobrazić, co ona czuje.

Siedząc sztywno obok Rafe'a w drodze do Mougins, Maddy nie czuła już łez, lecz wściekłość. Stef spojrzła na nią beznamiętnym wzrokiem, gdy ta wydusiła z siebie, że nie będzie mogła przyjść na przesłuchanie.

– Nie będziesz mogła? To naprawdę dobra rola, Maddy. Spodobałabyś się Chrisowi Meyersonowi.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Wyjeżdżam na dwa tygodnie. Czy... czy byłaby szansa na przesłuchanie na początku następnego tygodnia? A może pod koniec?

Stef pokręciła głową.

– On przylatuje z Nowego Jorku w piątek, a przesłuchania zaczynają się w sobotę rano. Pokażę mu twoją kasetę, ale... wiesz, jak to jest. Setki aktorek będą chciały się z nim zobaczyć. Szkoda... To wspaniały reżyser i miałabyś fantastyczną okazję, żeby go poznać, nawet gdybyś nie dostała tej roli. Na pewno nie możesz zmienić planów urlopowych?

Maddy pokręciła głową z ponurą miną. Strasznie się o to z Rafe'em pokłócili.

– Nie – odparła ze smutkiem. – Nie mogę.

Opuściła teatr ze łzami w oczach. Kilka godzin później Stef zadzwoniła do niej z informacją, że ktoś inny dostał tę rolę. Teraz siedziała w samochodzie obok męża, do którego nie odzywała się od ponad dwóch godzin. Prawie cały dzień zajęła im podróż do Lyonu, a przed sobą mieli jeszcze drugie tyle. Darcy na szczęście mocno spała w foteliku na tylnym siedzeniu. Maddy odwróciła głowę w stronę okna, za którym jak w kalejdoskopie przesuwały się zielone i żółte pola, smukłe rzędy dumnych topoli, kremowe murowane domy i wąskie drogi, charakterystyczne dla wiejskiego krajobrazu Francji, ale widziała jedynie czarną otchłań przed sobą. I to wtedy, gdy sprawy zaczęły się wreszcie układać. Co za ironia losu! Jak mogła rozwijać swoją karierę, skoro pierwszeństwo miały obowiązki wobec rodziny Keelerów?

Josh i Niela wyruszyli o świcie. Mieli spędzić noc w Paryżu u Antonia, a potem bez zatrzymywania się dojechać do Cannes. Niela milczała w czasie drogi, z zadowoleniem obserwując przesuwały się za oknem krajobraz. Im dalej na południe, tym słońce mocniej grzało, a pejzaż stawał się bardziej śródziemnomorski. Lyon, Montelimar, Aix-en-Provence, Vidauban i wreszcie Cannes. Na drodze wylotowej z miasta panował duży ruch. Gdy zatrzymali się na światłach, przez otwarte okno dobiegły ją strzępy rozmów z sąsiednich samochodów. Kątem oka widziała palmy kołyszące się na wietrze, reklamy na sklepach, czuła przenikający przez spalinę zapach piekarni i słyszała warkot skuterów mknących po ulicy. Ocienione wzgórza tonęły w ciemnej zieleni. Powietrze stało się chłodniejsze, bardziej świeże. Mougins leżało na wzgórzu, otoczone widocznymi z oddali średniowiecznymi murami. Mijali zakręt za zakrętem, aż w końcu dojechali do małego skrzyżowania. Josh skręcił w prawo, w stronę gajów oliwnych, w wąską, wysypaną żwirem drogę i zatrzymał się przed białą bramą.

– To tu – powiedział, odwracając się do niej z krzywym uśmiechem na twarzy. – Jesteśmy w domu.

DIANA

Mougins, czerwiec 2000

Diana patrzyła, jak mały biały samochód sunie wolno wysypaną żwirem ścieżką. Jej twarz rozjaśnił uśmiech, gdy zobaczyła wysiadającą Nielę. Josh przyjechał. Nareszcie. To już ostatni członkowie rodziny. Oparła dłonie na parapecie i wychyliła się przez otwarte okno, walcząc z pokusą, by zawołać Josha. Ale z niego przystojny mężczyzna! – pomyślała, przyglądając się, jak wyjmuje walizki z bagażnika i zamyka drzwi. Przystojny i uprzejmy. Wziął od Nieli walizkę, kręcąc lekko głową, gdy chciała po nią sięgnąć. Powiedział coś do niej i oboje się roześmiali. Zachowywali się ze swobodą, której wcześniej nie dostrzegła. Niby jak, skoro tak rzadko ich widywała i z pewnością nie razem. W ostatnich latach przyjeżdżała na kolację, kiedy był w Londynie, a tylko dwa, może trzy razy gościła oboje na lunchu. Tak niewiele wiedziała o tej dziewczynie. Z kilku odbytych z nią rozmów zdążyła się zorientować, że Niela nie jest zwyczajnym uchodźcą. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz ją zobaczyła – w Boże Narodzenie, trzy i pół roku temu. Nie mogła znieść myśli, że najmłodszy z jej synów podjął najważniejszą decyzję w życiu, nie informując jej o tym, nie uprzedzając. Po prostu pojawił się z żoną na progu domu. „Mamo, to jest Niela. Moja żona”. Te słowa nadal bolały, jakby usłyszała je zaledwie wczoraj. Tak się o niego bała. Kim była ta dziewczyna? Czym różniła się od innych, które poznał w czasie swoich podróży? Co sobą reprezentowała? Diana musiała przyznać, że pomyliła się co do niej. Synowa nie była taka, jak sądziła. Wprost przeciwnie. Nadal jednak niewiele o niej wiedziała. Jedynie to, że jest tłumaczką, że ukończyła zaocznie jeden z londyńskich college’ów, że mówi trzema czy czterema językami. Uciekła z Somalii z rodziną, z którą nie miała kontaktu. Poza tym stanowiła kompletną tajemnicę. Najbardziej drażniło ją opanowanie Nieli. W czasie tych kilku okazji, gdy mogła ją gościć w swoim domu, stało się jasne, że oręż, jakim dysponowała Diana – gustowny dom, dobre jedzenie, markowe wina, rodzinne fotografie i anegdoty – nie robi na tej dziewczynie żadnego wrażenia. Miała zwyczaj przechylania głowy na bok, nie w sposób arogancki – była na to zbyt dobrze wychowana – ale tak, by Diana zrozumiała, że nie wypadła sroce spod ogona. W jej domu też podawano dobre jedzenie, stół przykrywano pięknym obrusem, a na ścianach wisiały obrazy. Dobrze, że zostaną tu tydzień – pomyślała pani Pryce, zamykając okno i szykując się do zejścia na dół. Może teraz uda jej się dowiedzieć czegoś więcej o dziewczynie, która zdobyła serce Josha.

NIELA/JULIA/MADDY

Mougins, czerwiec 2000

Diana powitała ich z wyciągniętymi ramionami. Była ubrana na biało, w długą tunikę z lekkiego materiału i spodnie z szerokimi nogawkami. Całości dopełniały pomalowane na ciemnoczerwono paznokcie u nóg i miękki słomkowy kapelusz, który osłaniał bladą twarz podkreśloną lekkim makijażem. Pocałowała Josha, a potem podeszła do Nieli. Lekkie muśnięcie w oba policzki, nikły zapach perfum, uprzejmy uśmiech na ustach. A potem kilka pytań. Jak minęła im podróż? Czy jedli coś w Paryżu? Może mają ochotę na kieliszek wina lub pasztecik.

– Przygotowałam twój dawny pokój na samej górze! – zawołała za nimi, gdy ruszyli w stronę schodów. – Aarona z Julią ulokowałam na pierwszym piętrze. Zanieście bagaże i przyjdźcie do nas. Tata jest na tarasie. A... inni są przy basenie.

Niela podążyła za Joshem na drugie piętro. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Znalazła się w pięknym pokoju z niskim sufitem i drewnianymi belkami, lakierowaną podłogą i dywanami o bogatych wzorach. Łóżko było szerokie, przykryte ładną koronkową kapą. Na komodzie stał wazon ze świeżymi kwiatami, których zapach unosił się w powietrzu. Niela miała wrażenie, że śni. W pokoju panował przyjemny chłód. Okiennice były otwarte, z okien roztaczał się rozległy widok na dolinę i rosnący za nią las. Westchnęła z zachwytem.

– Jak tu ładnie! – powiedziała, podchodząc do łóżka i siadając na brzegu. – Nie mówiłeś, że jest tu tak pięknie.

Josh znieruchomiał nad walizką. Na jego twarzy pojawił się wyraz nieufności. Natychmiast uświadomiła sobie, co powiedziała i czego on nie powiedział. Wstała, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Trwali tak przez chwilę, nie odzywając się słowem. Potem on dotknął jej policzka i wyszedł z pokoju. Potrzebował czegoś więcej niż pieszczoty, by odzyskać równowagę, ale nawet gdyby mu się to nie udało, sam fakt, że tu przyjechał, miał wielkie znaczenie. Oby był to dobry znak!

Podeszła do okna i wychyliła się. Ogród tonął w barwach, piękne róże pięły się po kamiennej ścianie domu, eksplodując tysiącem różowych kwiatów na szczycie, ciemne drzewa oliwne kusiły twardymi owocami dojrzewającymi w słońcu, a błękitne niebo bez jednej chmurki powoli bladło w nadchodzącym zmierzchu. Ktoś szedł ścieżką przy domu. Wychyliła się mocniej i zobaczyła Maddy z rudymi włosami, które kołysały się na boki. Za nią pojawił się Rafe, trzymający małą dziewczynkę za rękę, potem Aaron i na końcu Julia. Przeszli przez podwórze

w stronę domu, a ich kroki chrzęściły głośno na żwirze. Sprawiali wrażenie szczęśliwych. Julia miała zaróżowioną twarz; ubrana była w ładną jasnoniebieską sukienkę i klapki. Maddy miała na sobie górę od opalacza i sarong zawiązany w talii. Gdy przechodziła pod oknem, Niela zauważyła z zaskoczeniem, że jest strasznie chuda. Czy zawsze taka była? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Cofnęła się do pokoju i zamknęła okno. Ciekawe, dokąd poszedł Josh. Z dołu dobiegły głosy. Czas zejść i dołączyć do towarzystwa.

Ona jest cudowna – pomyślała Maddy, gdy Niela weszła do kuchni, ubrana w ciemnozieloną letnią sukienkę zakrywającą kolana. Ciemna skóra o pięknym odcieniu lśniła w promieniach słońca, a czarne rozpuszczone włosy opadały miękkimi falami aż do pasa. Maddy uświadomiła sobie, że nie widziała jej prawie dwa lata. Coś się w niej zmieniło – zniknęła gdzieś nieufność i obronna postawa, jaką dostrzegła, gdy pierwszy raz ją zobaczyła. Młoda kobieta, całująca ich na powitanie, była opanowana, pewna siebie i otwarta. Maddy żałowała, że sama nie jest taka. Niela wyglądała, jakby nic nie mogło jej dotknąć, a już najmniej kąśliwe docinki Diany. Rozejrzała się ukradkiem po tarasie. Po raz pierwszy od dawna rodzina była w komplecie. Aaron i Rafe stali w rogu pokoju, trzymając kieliszki w rękach. Gospodyni krążyła między kuchnią a tarasem, przynosząc wino, pyszne przekąski przygotowane przez kucharkę i szklanek soku dla Darcy, która wyjątkowo spokojnie siedziała obok Harveya, machając nogami. Niela i Josh trzymali się razem. Maddy obserwowała ich z nad brzegu kieliszka. Tworzyli wyjątkową parę – pomimo oczywistych różnic byli bardzo do siebie podobni. Mieli w sobie coś z dzikich kotów – tę samą gładkość, sprężystość w ruchach i czujność. Uśmiechnęła się mimowolnie, lecz natychmiast spoważniała, czując na sobie pytający wzrok Rafe'a. Ale tamtych dwoje naprawdę wyglądało jak dwie piękne pantery. Nie namyślając się, podeszła do Nieli i ignorując pytający wzrok Josha, uśmiechnęła się do niej. Została nagrodzona szczerym, przyjacielskim uśmiechem.

– Mieliście dobrą podróż? – spytała ośmielona.

Niela kiwnęła głową.

– Nocowaliśmy w Paryżu, ale to była długa droga. A ty?

Maddy popatrzyła na Darcy, która opowiadała coś Harveyowi, i wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jak to jest, gdy podróżuje się z trzylatką – zaczęła, po czym urwała.

Niby skąd Niela miałyby to wiedzieć? Przecież nie mieli z Joshem dzieci. Ku zaskoczeniu Maddy przyznała jej jednak rację i zaczęła opowiadać o swych młodszych braciach i długich podróżach, jakie odbywali w Somalii. Szwagierka była zaskoczona. Spodziewała się, że rozmowa będzie trudna, tymczasem okazało się, że Niela ma wspaniałe poczucie humoru i mnóstwo życzliwości. Tak bardzo różniła się od dziewczyny spotykanej kilkakrotnie wcześniej. Czyżby Maddy źle ją oceniła? Po kilku minutach podeszła do nich Julia. Josh zostawił je same, wezwany przez Dianę,

mogły więc swobodnie gawędzić. Nad doliną pojawiły się błyski. Nadciągała letnia burza. Rozbłysły wielkie latarnie stojące w rogach tarasu. Żłociste, ciepłe światło migotało w powiewach wiatru. Nagle gdzieś z głębi ogrodu dobiegł ptasi trel.

– Słuchajcie – powiedział Harvey, unosząc rękę. – To słowiki.

Wysoki, słodki szczebiot przybrał na sile. Wszyscy umilkli i utkwili wzrok w ciemniejącym ogrodzie.

– Słowiki? – spytała Maddy z nutą zdumienia w głosie. – Nigdy nie słyszałam śpiewu słowika.

– Co roku latem, raz czy dwa, śpiewają przez całą noc. To coś cudownego. Słuchajcie, słuchajcie. – Harvey przekrzywił głowę.

Trele przybrały na intensywności. Wznosiły się coraz wyżej, rozchodząc falami, z trudnego do określenia miejsca. Wszyscy słuchali ich w kompletnym milczeniu. Wznosiły się, wibrowały, coraz wyżej i wyżej. Potem wolno zaczęły cichnąć, gdy ptaki odleciały, i w ogrodzie zmieniającym barwę z purpurowej na czarną zapadła cisza.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Maddy miała ochotę się rozpłakać. Mougins miało w sobie coś niezwykłego. Nie chodziło tylko o otaczające ich piękno, lecz również o atmosferę potęgującą intensywność wrażeń, która wabiła, uwodziła i jednocześnie przerażała. Maddy przysunęła się do Nieli, jakby siłą, którą w niej wyczuła, mogła i jej się udzielić. Spojrzała w kierunku Diany i Josha. Rozmawiali cicho. Ciemna głowa kobiety skłaniała się ku głowie syna. Słuchała tego, co mówił, marszcząc w skupieniu brwi. Nagle popatrzyła na nią i oczy dwóch kobiet się spotkały. W tym momencie Maddy przypomniała sobie zasłyszane kiedyś słowa: „Na jego twarzy malował się wyraz udręki”. To właśnie wyrażała twarz Diany, chociaż udręka nie była aż tak wyraźna. Trwało to sekundę czy dwie. Zniknęło, gdy pani Pryce odwróciła wzrok. Dziewczyna skierowała uwagę na Julię i Nielę. Ta pierwsza robiła plany na jutrzejsze popołudnie.

– Wybierzmy się gdzieś razem – powiedziała. – Chyba możesz zostawić Darcy z Rafe’em?

Myśli Maddy wciąż krążyły wokół śpiewu słowika.

– A o co chodzi? – spytała, starając się skoncentrować.

– Idziemy jutro na lunch. Tylko my trzy. Mogłybyśmy pójść do L’Amandine na wzgórzu, niedaleko merostwa. Byliśmy tam z Aaronem podczas ostatniego pobytu. Uroczy lokal.

– Czemu nie – odparła Maddy z roztargnieniem.

Zerknęła na Rafe’a. Wciąż panowało między nimi napięcie. Miała świadomość, że uraza powoli ustępuje miejsca rezygnacji. Ze wszystkich kobiet w rodzinie Keelerów tylko ona pełniła jedynie rolę żony i matki i nie miała przyjaciół. Poczwała, że uraza znowu bierze w niej górę. Dopłała spieszenie wino i odwróciła się z zamiarem odejścia. Musi iść do toalety. Musi uciec.

Mougins, czerwiec 2000

Restauracja mieściła się pod ładnymi markizami w żółto-białe paski, rozciągniętymi nad kamiennym tarasem, i kilkoma mniejszymi, opadającymi ku drodze. W rogach niczym wartownicy stały doniczki z krwistoczerwonym geranium. Stół, do którego zaprowadził ich kelner, wyglądał jak zielona półka upstrzona słonecznymi cętkami, jakie tworzyły promienie światła przenikające przez rosnące w doniczkach drzewka oliwne.

– *C'est bon?* – spytał, pragnąc się przypodobać trzem młodym kobietom, przyciągającym spojrzenia innych gości.

– *Oui* – odpowiedziała Niela, patrząc pytająco na towarzyszki. – *Merci*.

– Chciałabym znać jakiś obcy język – powiedziała Maddy z zazdrością w głosie, gdy usiadły. – Moje umiejętności ograniczają się do dziesięciu słów po hiszpańsku.

– Iloma językami mówisz? – spytała Julia Nielę.

– Dwoma – odparła dziewczyna zakłopotana.

– Dwoma? A ja słyszałam coś innego. Josh mówił, że posługujesz się sześcioro – wypaliła Julia i natychmiast spłonęła rumieńcem. Powiedział jej o tym w Johannesburgu. Jak to teraz wytłumaczy? Ale Niela nie zwróciła na to uwagi.

Podszedł kelner, by przyjąć zamówienia, zrobiło się zamieszanie, i okazja, by coś powiedzieć, przepadła.

Jedzenie było proste, ale wyśmienite – długie, grube języki słodkiej papryki pieczonej na ruszcie, jeszcze gorące, skropione oliwą z oliwek, karczochy wielkości małych główek kapusty w ostrej zalewie solnej, pulchne, lśniące czarne oliwki i grube plastry cudownie chrupiącego chleba, które moczyły w miseczkach z ostrą w smaku oliwą z oliwek i słodkawym, balsamicznym sosem winegret. Rozmowę ułatwiała butelka orzeźwiającego białego wina. Na tarasie pod nimi słońce rzucało długie cienie, informując o upływie czasu. Kelnerzy krążyli między stolikami w powolnym tańcu. Niela czuła, jak ogarnia ją cudownie ciężkie znużenie. Rozmawiały o wszystkim i o niczym. Od czasu do czasu wybuchały śmiechem, czym zwracały na siebie uwagę innych gości, którzy uśmiechali się tajemniczo i pobłażliwie.

Były w trakcie opróżniania drugiej butelki wina, gdy nagle kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku pochyliła się ku nim, wyciągając pomarszczoną, opaloną dłoń.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała po angielsku z niemal absurdalnym akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer. – Ale przypadkiem usłyszałam, że pani wymienia imię Rafe.

Maddy popatrzyła na nią zaskoczona.

– Tak, Rafe Keeler. Jestem jego żoną.

– Jest pani żoną Rafe’a Keelera? – W głosie kobiety zabrzmiało radosne zdziwienie. Miała niewiele ponad siedemdziesiąt lat i była typową Angielką, ubraną w letnią sukienkę pasującą do kogoś o dwadzieścia lat młodszego, ale z szyfonowym szalem i rękawiczkami jak z minionej epoki. – O mój Boże, George! Słyszałeś? – zwróciła się do milczącego mężczyzny siedzącego obok niej. – Pani jest żoną Rafe’a Keelera. Co za miła niespodzianka! Jak oni się miewają?

– Dobrze – odpowiedziała Maddy z niepewnym uśmiechem.

– Kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Jakieś trzydzieści lat temu, prawda, George? Mieszkaliśmy u stóp wzgórza, kilka domów niżej. Spędzaliśmy tu każde lato. Co u nich słychać? U Aarona i u małego... Joshuy?

– Proszę je o to spytać – odpowiedziała Maddy ze śmiechem, wskazując na Nielę i Julię. – Są ich żonami.

– No coś takiego! Słyszałeś, George? Są żonami Keelerów. Cała trójka. To wprost niebywałe. Czy wiecie, że nie byliśmy tu od trzydziestu lat i oto nagle trafiamy na was. Która jest czyją żoną? Nie, nie, nie mówcie. Pozwólcie mi zgadnąć – powiedziała starsza kobieta z zachwytem w głosie. Wskazała na Julię, zaciskając wargi i przekrzywiając głowę, jakby się zastanawiała. – Żona Aarona, mam rację? – Rozjaśniła się, gdy wskazana kiwnęła głową. – Tak myślałam. Proszę nie pytać, dlaczego. Jest pani w jego typie. Z tego, co pamiętam, był takim poważnym chłopcem. A więc pani musi być żoną Joshuy – dodała, patrząc na Nielę. To niebywałe – powtórzyła. – Prawda, George?

Jej towarzysz chrząknął w odpowiedzi.

– Joshua? – spytała Maddy z uśmiechem. – My znamy go jako Josha.

– Od tego czasu minęło trzydzieści lat. Widziałam go tylko raz. Musiał mieć wtedy kilka miesięcy. O ile pamiętam, był ciemnowłosy, nie blondyn jak pozostali dwaj. Bardziej podobny do Diany. A co u niej? I u Harveya? Trzydzieści lat! Bardzo zaszkoziła nam ta nieprzyjemna sprawa z ogrodnikiem. Musimy powiedzieć dzieciom, prawda, George?

Mężczyzna znowu chrząknął. Bardziej interesowało go opróżnianie kieliszka niż wspomnienia o Keelerach.

– A co to za sprawa? – spytała Julia, nie mogąc się powstrzymać.

– Och, to było straszne. – Głos kobiety obniżył się o oktawę. – Nie będę ukrywać, że zaszkoziła wielu mieszkającym tu ekspatriantom.

– Leonoro, pań na pewno to nie interesuje – powiedział łagodnym tonem George, jednocześnie dając znak kelnerowi, by przyniósł następną butelkę.

– Och, dlaczego nie? To było okropne. Okropne. Tylko Diana stanęła w jego obronie. Walczyła jak lew. A on nagle zniknął. Tak po prostu. Nigdy go nie złapali.

– Kogo? – Wszystkie trzy młode kobiety wpatrywały się w nią.

Leonora popatrzyła na nie, po czym rozejrzała się na boki. Na tarasie siedziała

poza nimi tylko jedna para. Byli młodzi, zakochani i widzieli tylko siebie.

– Ogrodnika Mohammeda. To było oczywiste. Moim zdaniem on ją zabił. Bo jak inaczej to wytłumaczyć? Jak mogli oboje tak nagle zniknąć? Matka i dziecko. To nie miało sensu. On twierdził, że wrócili do Algierii, czy skąd tam pochodzili, ale policja mu nie uwierzyła. Widzicie, wtedy często zdarzały się takie historie. Jak oni to nazywali? Honorowym zabójstwem. Ale gdzie tu honor, jeśli zabija się własną córkę? Pamiętasz, George, tę potworną sprawę z Valbonne? A zatem oni go podejrzewali. A gdy zniknął, dostarczył im potrzebnego dowodu. Tylko że nigdy go nie znaleźli, prawda?

– Leonoro – powiedział George, tym razem bardziej dobitnie. – Dość tego.

– Kiedy to się stało?

– Trzydzieści lat temu, prawie co do miesiąca – odpowiedziała starsza pani z nutą triumfu w głosie. – Było to latem sześćdziesiątego dziewiątego. Wtedy ostatni raz tu byliśmy, prawda George?

– To było dawno temu – odrzekł ze znużeniem w głosie, jak ktoś, kto wiele razy słyszał tę historię. – Bardzo dawno temu.

– Dobrze, że Diana stanęła w jego obronie – wtrąciła Julia nieśmiało.

– Niektórzy ekspatrianci mówili co innego – zachichotała Leonora.

Popatrzyły na nią zaskoczone. Niela usłyszała w jej głosie coś, co obudziło starannie ukryte wspomnienia z pierwszych miesięcy pobytu w Wiedniu. Poczwała, jak rośnie w niej niepokój. Słyszała już kiedyś ten ton. Tymczasem staruszka nachyliła się ku nim.

– Byli tacy, którzy mówili, że...

– Dość, Leonoro. – George nagle wyrwał się z odrętwienia.

W tym momencie Niela podniosła się z krzesła. Pozostali spojrzeli na nią.

– Ja... ja muszę już iść – wydukała. – Właśnie przypomniałam sobie, że zostawiłam coś w domu...

Odsunęła krzesło, chwyciła torbę i pospiesznie przeszła między stolikami do wyjścia. Oddychała urywanie, czując, jak krew pulsuje w jej żyłach. Słowa kobiety i ton głosu coś w niej poruszyły. Musiała znaleźć jakieś spokojne miejsce, aby pomyśleć. Znowu poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach. Coś było nie w porządku.

Dom wyglądał na opustoszały. Otworzyła ostrożnie drzwi, spodziewając się, że za chwilę zobaczy Dianę, lecz nie było nikogo. Słyszała jedynie szum lodówki dochodzący z kuchni i świergot ptaków, który chyba nigdy nie ustawał. Chwilę stała w korytarzu. Po upale i gwarze w restauracji dom wydawał się przyjemnie chłodny i cichy. Sięgnęła ręką do twarzy. Była rozpalona. Coś ją zaniepokoiło, wprawiając w drżenie nogi i ręce. Jakby nagle obudziła się ze złego snu. Czasami, gdy wyciągała rękę, pragnąc pochwycić to coś lub odepchnąć, trafiała na pustkę. Opowiadanie Josha zszokowało ją, lecz jednocześnie pojęła jego sens, jeszcze zanim

wypowiedział kolejne słowa. Wyobraziła sobie dziesięcioletniego chłopca, jak patrzy na coś, czego nie powinien oglądać, i serce jej się ścisnęło. Wiedziała, że odkrył wówczas, co znaczy mieć nad kimś władzę. Można ją było dostrzec w relacjach łączących go z matką. Diana schlebiała mu, on się opierał – była to śmiertelna gra w odpychanie i przyciąganie między dwojgiem ludzi związanych tajemnicą. Niela też miała swoją tajemnicę – małżeństwo i ucieczkę od męża, dlatego potrafiła to rozpoznać. Ale kryło się za tym coś jeszcze, co kazało jej się cofnąć do czasów dzieciństwa, do domu jej babki pod Mogadiszu. Była matką ojca i drugą żoną dziadka. Urodziła mu trójkę dzieci, a potem rozwiodła się z nim z powodów, o których nikt nigdy nie mówił. Mieszkała samotnie we własnym domu, otoczona sześciorgiem służących, którzy spełniali wszystkie jej zachcianki. Uchodziła za trudną osobę. Niela przez całe dzieciństwo słuchała opowieści o *umm Hassan*, jak wszyscy ją nazywali, i o jej „praktykach”. Matka powiedziała kiedyś, że ona rozmawia ze zmarłymi, i zaraz dotknęła amuletu zawieszonoego na szyi, jakby obawiała się tych słów. *Umm Hassan* wierzyła w dżiny, istoty pozaziemskie, które żyły w świecie równoległym do ziemskiego. Niela nie rozumiała znaczenia tych opowieści, bo była zbyt młoda, a babcia zmarła, gdy dziewczynka miała dwanaście lat. Niewiele pamiętała z tamtych czasów, jedynie zapach domu, będący mieszaniną woni kardamonu i kawy, pachnące kadzidłem pokoje wokół wewnętrznego dziedzińca i dreszcz strachu, taki jak teraz, który wywołał te wspomnienia. Trudno to nazwać przecuciem, było raczej wrażeniem, że znajduje się w miejscu, gdzie zdarzyło się coś, co nie powinno. Nagle uświadomiła sobie ze zdumieniem, że ostatnio doświadczyła go w obecności Diany, tego dnia, gdy się poznały. Pokręciła głową zaskoczona i zdenerwowana. Cokolwiek to było, musiało mieć związek z panią Pryce.

RUFUS

Londyn, czerwiec 2000

Zatrzymał się przed białym domem na Northumberland Park Road i wyłączył silnik. Budynek tonął w ciemnościach. Otworzył drzwi samochodu, wysiadł i przeciągnął się. To była bardzo długa podróż – w czwartek wieczorem przyleciał z Los Angeles do Nowego Jorku, spędził tam cały dzień i następnego ranka wyleciał z lotniska JFK do Londynu. Na Heathrow wylądował o dwudziestej pierwszej. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie pojechać do hotelu, który zarezerwował mu jego asystent, ale zrezygnował z tego pomysłu. W sobotę wypadały urodziny Harveya; robi mu miłą niespodziankę. Pewnie dla Diany nie będzie ona tak miła – jego obecność zawsze wprawiała ją w zdenerwowanie – ale Harvey był przecież jego bratem.

Wyjął walizkę z bagażnika i wszedł po schodkach na ganek. Wcisnął dzwonek, tak na wszelki wypadek, odczekał, po czym wybrał właściwy klucz z pęku innych i otworzył drzwi. Wyłączył alarm i stał przez chwilę w ciemnym hallu, chłonąc dziwnie znajomy zapach domu brata. Dawno tu nie był, chyba ze dwa lata, od ślubu Rafe'a. Odstawił walizkę i odszukał po omacku włącznik światła. Po chwili w hallu zrobiło się jasno. Na małym stoliku leżał plik listów. Wziął dwa pierwsze i spojrzał na datę: były tu od kilku dni. Musiała je położyć gospoia. A więc gospodarze wyjechali. Westchnął z irytacją, bo nie spodziewał się tego. Prawdopodobnie pojechali do Mougins. Zszedł na dół do kuchni, zastanawiając się, co robić. Lodówka była jak zwykle pełna – wino, dobry ser, kawałki mięsa, domowej roboty sos chutney. W spiżarni znalazł paczkę owsianych herbatników i przygotował sobie kolację. Włączył radio – było ustawione na ulubiony program Diany nadający muzykę klasyczną. Podeszedł do stołu i odsunął krzesło. Z głośnika popłynęły dźwięki *Mesjasza* Haendla. Zjadł szybko i postanowił, że nie będzie dzwonił do Mougins. Rano zatelefonuje z gabinetu Diany. Był czwartek – może jego asystentowi uda się zarezerwować samolot do Cannes na sobotę rano, a tam wynajmie samochód. Z lotniska to zaledwie godzina drogi, zdąży więc na przyjęcie. Ciekawe, czy spotka tam bratanków. Rafe'a, Aarona, może nawet Josha. Harvey pisał, że Josh ożenił się z jakąś somalijską czy sudańską uciekinierką. Rufus zaśmiał się, czytając list. Uciekinierka. Diana musiała być wściekła. Nie lubiła grać drugoplanowych ról.

Wziął kieliszek wina, poszedł na górę do salonu i ułożył się na jednej z wygodnych, miękkich kanap. Przyjemnie było wsłuchać się w ciszę po

dwutygodniowym pobycie w Los Angeles. Ostatnio nieustannie przenosił się z jednego lotniska na drugie, z samolotu do samolotu, z jednego pokoju hotelowego do drugiego, ale wcale tego nie żałował. Spokojne rodzinne życie, jakie wybrał Harvey, to nie dla niego. Odpowiadało mu życie bez stałego adresu. Co prawda miał mieszkanie w Paryżu, ale rzadko do niego zaglądał, bo stale był w rozjazdach. Ułatwiała mu to kariera zawodowa. Był niezwykle wziętym prelegentem, zapraszany na najróżniejsze konferencje, nie miało więc sensu osiedlać się gdziekolwiek. Ta krótka przerwa, którą udało mu się zorganizować, będzie musiała mu wystarczyć na jakiś czas. W przyszłym tygodniu czekał go dwutygodniowy pobyt w Pekinie, potem tydzień w Sajgonie i prawie miesiąc w Tokio. Uwielbiał być ciągle w ruchu, odwiedzać nowe miejsca, poznawać nowych ludzi, realizować nowe pomysły, zdobywać nowe doświadczenia. Uśmiechnął się krzywo. Dla większości mężczyzn około sześćdziesiątki słowo „nowe” nie było tym, czego szukali. A może tylko bali się do tego przyznać. Jego koledzy, będąc z dala od domów, po kilku drinkach popadali w szaleństwo, które zawsze go zadziwiało. I to ci, po których najmniej się tego spodziewał. Zapamiętał jeden taki szalony wieczór w Bangkoku kilka miesięcy temu, spędzony w towarzystwie dwóch dyrektorów finansowych wielkich międzynarodowych instytucji, nie pamiętał już, jakich. Ich apetyty zadziwiły nawet jego. Kobiety, alkohol, narkotyki... byli wprost nienasycony. On wiedział, gdzie leży granica, ale może dlatego, że nigdy się nie oszukiwał – małżeństwo, dzieci, dom na przedmieściach to nie dla niego. Zawsze był w stosunku do siebie uczciwy i to go różniło od większości znanych mu osób. Oczywiście, jak wszędzie, i tu zdarzały się wyjątki i do nich należał jego brat. Harvey padłby pewnie trupem, gdyby się dowiedział, że jego żona się do nich nie zalicza. Uśmiechnął się. Diana. Jak długo to już trwało? Czterdzieści lat, jeżeli dodać te ich głupie dziecięce gry. W kowbojów i Indian, w chowanego, w lekarzy i pielęgniarki. Myśl o Dianie wywoływała u niego natychmiastową erekcję. Co ona takiego w sobie miała? Z pewnością była piękna i w miarę upływu lat, a zwłaszcza po ślubie z Harveyem, jej uroda nabrała chłodnej rezerwy, która tak go pociągała. Im większe odnosiła sukcesy, tym większą przyjemność sprawiało mu demaskowanie jej. Nie potrafił policzyć, w ilu hotelach się spotkali, gdzie chłodna, opanowana pani adwokat zmieniała się w rozpustną, jęczącą, rozpaloną sukę. Poruszył się, bo naprężony członek napierał na udo. Zaśmiał się ponuro. W tym domu na pewno nie znajdzie pism pornograficznych, które pozwoliłyby mu rozładować napięcie. I za późno na telefon do panienki. A może nie? Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Czy sąsiedzi by zauważyli? Nie przeszkadzałoby mu, gdyby powiedzieli Dianie, ale nie chciał się tłumaczyć przed Harveyem. Cholera, czuł się zmęczony. Czekala go długa podróż. Na litość boską, miał prawie sześćdziesiąt lat. Przyda mu się odpoczynek.

DIANA

Mougins, czerwiec 2000

Zielona jedwabna sukienka leżała na niej idealnie, niczym lśniąca druga skóra. Diana siedziała przed lustrem w garderobie, słuchając dobiegających z dołu odgłosów przygotowań. Czuła radosne podniecenie na myśl o pięknie zastawionym stole, potrawach, winach i rodzinie, którą udało jej się zebrać. Poprosiła jedną z dziewcząt z hotelu La Mas Candille na wzgórzu, by pomogła madame Poulenc przy przygotowaniach i podawaniu do stołu. W ogrodzie rozwieszono papierowe lampiony i rozstawiono wielkie cytronowe świece na bambusowych słupkach dla odstraszenia owadów. Paliły się również lampy sztormowe, które kupili z Harveyem w małym sklepie w Antibes podczas jednego z czterech pobytów w mieście. Rzucali teraz piękne wzory na patio. Salon zamieniono w jadalnię z dwoma długimi stołami przykrytymi lnianymi obrusami. Na kredensie stało wino w ciężkich kryształowych karafkach. W lodówce chłodził się szampan. Ustawione we wszystkich pokojach wazon z różami, a w hallu olbrzymie białe lilie, które tak lubił Harvey, rozsiewały delikatny zapach w całym domu. Tak, wszystko było pod kontrolą. Zapowiadało się wspaniałe przyjęcie, które tylko ona potrafiła zorganizować. To pięćdziesiąte piąte urodziny Harveya, więc musiały być wyjątkowe. Zalała ją fala czułości na myśl o mężu. Nie знаła nikogo równie uczciwego, prawego i życzliwego. Do świętych nie należał, miewał napady złego humoru, bywał zrzędlivy i niecierplivy tak jak ona. Nie znośił głupców. Potwierdzała to rosnąca lista młodszych lekarzy i pielęgniarek. Odznaczał się jednak wyjątkowym poczuciem sprawiedliwości, czym wzbudzał w niej respekt i pokorę. Mogła jedynie kręcić na to głową. Żaden ze znanych jej ludzi nie miał takiego wewnętrznego moralnego kompasu. Co za ironia losu! Ona, pani adwokat, która powinna stać na straży prawa, była zepsuta do szpiku kości. Spojrzała na rękę. Trzęsły się lekko. Nie mogła zrozumieć, co tym razem wywołało w niej tę potrzebę samokrytyki. Może to przez te urodziny. A może przez to, że byli tu wszyscy, co od lat się nie zdarzało. Przyczyną mogło być też pojawienie się tej wścibskiej starej krowy Leonory Simmonds, która przyjechała nie wiadomo skąd i zaczęła zadawać różne pytania. Niech to szlag! – pomyślała Diana, patrząc w lustro. Miała pół godziny na przygotowanie się i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była żałosna autoanaliza i użalenie się nad sobą. Wzięła do ręki pędzelek i zaczęła nakładać róż na policzki zdecydowanymi, równomiernymi pociągnięciami.

W pokoju nad garderobą Diany Niela też szykowała się do uroczystej kolacji. Podeszła do szafy. Po wewnętrznej stronie drzwi znajdowało się duże lustro. Spojrzała na swoje odbicie. Długa biała suknia wieczorowa, którą zobaczyła na wystawie sklepu firmowego Next na Oxford Street, okazała się dobrym zakupem. Z początku uważała, że jest zbyt prosta, lecz Anna jak zwykle podeszła do tego praktycznie.

– Nigdy nie będziesz mogła wydać tyle pieniędzy co oni – powiedziała. – Prosta sukienka najlepiej się więc sprawdzi.

Niela nadal stała przed lustrem, gdy z łazienki wyszedł Josh owinięty ręcznikiem w pasie i jeszcze mokry po kąpieli. Zerknęła na niego w lustrze. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do widoku jego nagiego ciała pomimo rosnącej między nimi zażyłości. Ona nigdy nie ośmieliłaby się tak przed nim paradować. Josh oczywiście nic sobie z tego nie robił. Czuł się równie dobrze nago, jak i w ubraniu.

– Szkoła z internatem – powiedział jej kiedyś z uśmiechem. – Przyzwyczaisz się. Nie, nigdy się nie przyzwyczai.

Stanął za nią, wciąż wilgotny po kąpieli. Poczwała, jak jej ciało zaczyna płonąć mieszaniną pożądania i wstydu, jaki zawsze wywoływał w niej widok męża. Uśmiechnął się i oparł jej dłonie na ramionach.

– Lepiej się ubierz – powiedziała, wysuwając się z jego objęć. – Za dziesięć minut musimy być na dole.

Przewrócił oczyma.

– Szkoda. Miałem nadzieję... – Przyciągnął ją do siebie.

– Josh! Nie! Pognieciesz mi sukienkę – pisnęła. – I jesteś mokry. Nie! Uważaj! Pochlapałeś mnie.

– Zdejmij ją – szepnął jej do ucha – bo naprawdę się pogniecie.

– Josh... nie...

Na nic się zdały jej protesty. Rozpiął suknię, pozwalając jej opaść na podłogę, po czym pochylił się i wciąż obejmując Niełę, podniósł strój i powiesił na poręczu łóżka.

– Czy drzwi są zamknięte? – spytała szeptem, gdy odwrócił się do niej i zaczął obsypywać pocałunkami szyję i łopatki. Pokręcił głową, nie przerywając pieśczot.

– Mam je zamknąć? – zapytał. – Nikt tu nie wejdzie – mruknął po chwili. – Przestań się przejmować. Mamy dziesięć minut. Będę szybki i wiem, że ty też.

Stłumiła uśmiech. Wystarczyło, żeby jej dotknął, a natychmiast była gotowa. Łatwość, z jaką potrafił ją rozpalić, zaskakiwała nie tylko ją. Stała twarzą do niego. Wystarczyła niecała sekunda, żeby z wprawą pozbawił ją biustonosza, a ona zsunęła majtki. Pchnął ją delikatnie na łóżko. Całe jej ciało zapłonęło pożądaniem. Splótł jej palce ze swoimi i przycisnął rękę do poduszki nad głową, a drugą zaczął pieścić brzuch i odnalazł ciepłą wilgoć między nogami. Przez chwilę leżał obok niej, po czym przewrócił się na plecy, unosząc ją nad sobą. Wiedział, że zawstydzą ją ta pozycja, ale jej nieśmiałość sprawiała mu przyjemność. Pokręciła głową w słabym

proteście, lecz on był stanowczy. Z łatwością przyjęła go w siebie. Zamknął oczy, a widok jego twarzy omal nie doprowadził jej na szczyt. Zaczął poruszać się wolno, nie rozluźniając uścisku. Pochyliła się i musnęła sutkami jego brzuch.

– Niela... – jęknął gardłowo.

Jego głos zawisł w powietrzu, ustępując miejsca spazmatycznym oddechom. Pchnął raz, drugi, trzeci... Poczowała podmuch powietrza na plecach, gdy osiągał spełnienie, lecz nie otworzyła oczu. Gdy oprzytomniała, chłód zniknął.

Julia zamknęła drzwi najciszej, jak mogła, mocno zaciskając powieki. Serce waliło jej jak szalone. Wycofała się, bojąc się odwrócić w obawie, że zostanie zauważona. Ktoś wchodził po schodach. Znieruchomiała, ogarnięta strachem i wstydem, czekając, aż się uspokoi. Chciała uciec od tego, co przed chwilą zobaczyła. Poszła do Nieli sprawdzić, czy jest gotowa i czy czegoś nie potrzebuje. Nie, to była tylko półprawda. Przyszła zobaczyć jej reakcję i porównać ją ze swoją. Aaron zszedł na dół, by pomóc Dianie, pobiegła więc bosą na górę, mając nadzieję, że zobaczy sukienkę szwagierki. Otworzyła drzwi i dopiero po chwili zorientowała się, na jaki moment trafiła. Josh patrzył przed siebie ponad ramieniem Nieli. Julia zobaczyła gładką, ciemną płaszczyznę jej pleców, kształtne pośladki i zrozumiała – zbyt późno – że uprawiają seks. Wycofała się tak szybko i cicho, że Josh nawet jej nie zauważył. Taką przynajmniej miała nadzieję. Ale widok jego przystojnej twarzy zastygłej w pożądaniu wystarczył, aby jej ciało stanęło w ogniu. Dlatego tak szybko się wycofała, dlatego jej serce biło jak szalone, a dłonie zwilgotniały. Josh... Jęknęła cicho i zbiegła szybko po schodach. Ku jej przerażeniu Aaron akurat wchodził na górę.

– Co się stało? – spytał, gdy dotarł do podestu.

– N-nic. Potrzebna mi była agrałka – skłamała. – Poszłam do Nieli spytać, czy... czy może ją ma.

– Aha. Wyglądasz na rozpaloną – stwierdził Aaron, patrząc na nią z ciekawością.

– Biegłaś czy co? Jesteś czerwona na twarzy.

– To pewnie przez prysznic. Był za gorący. – Nienawidziła kłamstwa, ale co miała robić? – Zaraz wracam. – Zanim Aaron zdążył zadać kolejne pytanie, minęła go i pobiegła do łazienki tak szybko, jak pozwalała jej na to sukienka.

Diana szła do kuchni sprawdzić, czy Eloise przygotowała srebrne tace z kanapkami, gdy usłyszała zaskoczony okrzyk Harveya:

– Rufus!

Omam nie upuściła butelek wina, które niosła. W porę się jednak opanowała, postawiła je na kredensie i dosłownie pognęła do drzwi frontowych. Nie, to niemożliwe. Rufus? Co on, u diabła, tu robi? Szedł właśnie w stronę domu z małą torbą w jednej ręce i butelką szampana w drugiej. Harvey stał w drzwiach, wyciągając do niego ramiona. Patrzyła z przerażeniem, jak bracia się obejmują.

Miała ochotę odwrócić się i uciec, ale Rufus już ją zobaczył.

– Diana. – Puścił Harveya i wyciągnął ku niej rękę. – Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjeżdżacie tu na jego urodziny? Musiałem was szukać.

– Rufus – mruknęła, siląc się na obojętny ton głosu i czując znajome pożądanie i gniew, jakie jego obecność wywołały. – Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś.

– Nie mogę uwierzyć, że przyjechałeś. – W głosie Harveya brzmiała radość. – To fantastyczna niespodzianka.

– Za nic nie przepuściłbym takiej okazji – odpowiedział gładko Rufus, uwalniając Dianę z uścisku. – Niestety, nie miałem czasu kupić ci prezentu, staruszk.

– Och, daj spokój. Cudownie, że przyjechałeś. Wejdz, wejdz... Chłopcy będą zachwyceni. Są wszyscy.

– Nawet Josh?

– Tak, nawet Josh, wyobrażasz sobie? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byli tu razem. I jak dotąd tylko jedno nieporozumienie.

– Jak dotąd – powtórzył Rufus, uśmiechając się. – Cały wieczór przed nami.

– Mam nadzieję, że nic się nie zdarzy – odparł z uśmiechem Harvey. – Chodź, napijesz się. Zaniosę twoją torbę na górę. Zdaje się, że mały pokój w końcu korytarza jest wolny.

Bracia poszli przodem, obejmując się ramionami. Diana weszła za nimi do hallu. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone i czuła się chora. Jak zdoła przetrwać wieczór z Harveyem z jednej strony i Rufusem z drugiej? Wpadła do kuchni i wydała kilka poleceń – jeszcze jedno nakrycie i czysta pościel oraz ręczniki do wolnego pokoju. Niech go diabli, niech go diabli, niech go diabli!

Dla Nieli cały wieczór był dziwnie nierealny. W miękkim, ciepłym świetle świec uczestnicy przyjęcia wyglądali jak aktorzy grający w jakimś pięknym filmie. Pojawienie się Rufusa wyprowadziło Dianę z równowagi. Nic dziwnego. Trudno powiedzieć, czy to, co widział Josh, zdarzyło się tylko raz, czy było jedynie częścią długiego romansu. Tak czy owak Rufus nadal ma nad nią władzę. Niela przyłapała się na tym, że obserwuje go z uwagą, szukając jakichś wskazówek. Na próżno. Z niczym się nie zdradził. Harvey, siedzący z drugiej strony zdenerwowanej Diany, był jak zwykle czarujący. Trudno było go nie lubić. Błyskotliwy i uprzejmy, z poczuciem humoru, które nie miało w sobie wyrachowania Diany ani posępnosci Aarona czy Josha. Czy on wiedział, co zaszło między jego żoną a bratem? Nie, niemożliwe. W przeciwnym razie nie siedziałyby obok dwojga ludzi, którzy powinni być jego najbliższymi sojusznikami, myśląc o tym, że został przez nich zdradzony przynajmniej raz, jeżeli nie wielokrotnie. Nikt nie znalazłby w sobie tyle zrozumienia, nie mówiąc już o wybaczeniu, nawet Harvey. Obserwując ich, Niela poczuła rosnący ucisk w gardle. Przywykła do tego, że skrywana głęboko tajemnica nieoczekiwanie przypominała jej o sobie, ale tym razem było inaczej. Sięgnęła po kieliszek, próbując przełknąć gromadzące się łzy. To myśl o wybaczeniu wywołała w niej taką reakcję. Przyszło jej nagle do głowy, że właśnie Harveyowi mogłaby się zwierzyć ze swojego sekretu. Dawno nie czuła takiej potrzeby rozmowy, powiedzenia głośno tego, co dotąd pozostawało głęboko ukryte. Dlaczego właśnie teraz i tutaj? Wiedziała, dlaczego. Siedziała przy stole w otoczeniu przybranej rodziny, przysłuchując się ich rozmowom, snutym opowieściom, obserwując, jak się popisują przed pozostałymi gośćmi i robią to, co wszystkie rodziny na całym świecie. Spotkania rodzinne w Mogadiszu wyglądały zupełnie inaczej. Rodzice rzadko rozmawiali z dziećmi i vice versa i nie przekomarzali się między sobą na użytek gości, co wszystkich najwyraźniej bawiło. Nikt nie pił alkoholu, a matka nie ośmieliłaby się usiąść między ojcem a stryjem Raagehem. To poczucie przynależności do ludzi o wspólnym pochodzeniu i historii dawno zniknęło z życia Nieli. Wyrzuciła z serca ból i stratę, gdy od nich uciekła, uznając, że nie ma do nich powrotu. Teraz, siedząc w otoczeniu nowej rodziny i czując, jak trucizna powoli niszczy miłość, zaczęła żałować tego, co straciła, i bać się, że ich też może stracić, jeżeli prawda wyjdzie na jaw.

Siedzący obok niej Josh milczał. Zauważyła, że jego pozycja w rodzinie jest niepewna. Wyczuwała również, że on ma tego świadomość i pomimo kipiącego w nim gniewu boleje nad tym. Za każdym razem, gdy ktoś kierował w jego stronę żart lub dykteryjkę, dostrzegała w nim wielkoduszność, która sprawiała, że coś

w nim pękało i wyciągał rękę, zaraz jednak ją cofał. Wzruszało ją to i nieustannie łamało serce.

Maddy za dużo wypija. Czują, jak słowa płaczą jej się w ustach, jakby nad nimi nie panowała. Zbyt często też patrzyła na Nielę i Josha siedzących na wprost niej. Opuściła rękę pod stół i położyła ją prowokacyjnie na udzie Rafe'a, lecz on cofnął nogę z irytacją. Opowiadał właśnie o jakiejś skomplikowanej operacji, próbując zrobić wrażenie na Harveyu, i ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, były pieśczoty żony. Cofnęła dłoń jak skarcona dziewczynka. Wypiła kolejny łyk wina. Niebezpieczne. Alkohol dodawał jej odwagi, rozluźniał język i potęgował emocje. Kto wie, co w tym stanie mogło jej wpaść do głowy i wymknąć się z ust. Spróbowała skoncentrować się na opowiadaniu Rafe'a.

– Gdy zobaczyliśmy krew, sądziliśmy, że coś sknocił... Zacisk był za słaby... Wiesz, jak to jest, tato, gdy otwiera się tętnice... Nie potrafisz przewidzieć, prawda? Na szczęście Martins podał jej potrójną dawkę nembutalu...

Tak bardzo starasz się przypodobać ojcu – miała ochotę szepnąć mu do ucha. Zrobić na nim wrażenie. Przestań wreszcie. Po prostu bądź sobą. Dostrzegła wzrok Nielę na sobie i pospiesznie uciekła spojrzeniem w bok. Czy miała wypisaną na twarzy niecierpliwość? Sięgnęła po kieliszek. Piła zbyt szybko, ale nie mogła się powstrzymać. Poczwała, że ktoś ją obserwuje. Rufus, stryj Rafe'a. Był bardzo spostrzegawczy. Po sposobie, w jaki na nią patrzył, domyśliła się, że ją rozszyfrował. Siedział niedaleko Harveya. Bracia byli bardzo do siebie podobni, tylko jeden miał czarne, a drugi jasne włosy. Zupełnie jakby widziała lustrzane odbicia, lecz niezbyt ostre. Te same rysy, tylko odcień inny. Poruszyła się niespokojnie na krześle. Coś było nie tak z tym wieczorem. Niby przyjęcie urodzinowe, wielka uroczystość, a jednocześnie nie. Miało specyficzny klimat i ukrytą treść. Ciarki przebiegły jej po plecach. Zadrżała mimowolnie, chociaż nie z zimna.

Siedząca naprzeciwko, między Aaronem a Harveyem, Julia również starała się zapanować nad myślami. Też za dużo wypija, ale podczas gdy uwaga Maddy koncentrowała się na towarzystwie przy stole, ona była daleko stąd. Nie mogła przestać myśleć o Afryce, o spotkaniu z Joshem w Johannesburgu i o emocjach, jakie ta podróż w niej obudziła. Czwała w sobie rosnący niepokój. Zdała sobie sprawę z tego, że cel wyznaczony przez kancelarię Bernard, Bennison i Partnerzy przestaje jej wystarczać. Tymczasem Aaronowi ta praca najwyraźniej odpowiadała, co przyjmowała z rosnącą irytacją. Podróż całkowicie ją odmieniła. To, co dotąd leżało uśpione, nagle obudziło się do życia. Uświadomiła sobie, że oto odnalazła coś, co zawsze chciała robić. Aaron zdawał się nie dostrzegać jej nastroju, co kładło się cieniem na ich wzajemnych stosunkach. W dziwny i niezbyt przyjemny sposób cofał się i wracał do punktu wyjścia. Gdy go bliżej poznała, wydawało się, że porzucił

arogancję, cechującą go podczas studiów w Balliol, co sprawiło, że się w nim zakochała. Tego wieczoru, gdy przegrała swoją pierwszą sprawę, usłyszała w jego głosie nutę niepewności, która zmieniła jej opinię o nim. Pamiętała każdy szczegół tego spotkania – to, jak opierał się o framugę drzwi, podwinięte rękawy koszuli, pragnienie, by znaleźć się w jego ramionach... wszystko. Ale w miarę upływu czasu, gdy z coraz większym przekonaniem grał rolę nakreśloną mu przez innych, ten Aaron, w którym się zakochała, zaczął powoli blednąć. Teraz stał się znowu tym, kim był od samego początku. Konwencjonalny do szpiku kości. I tu się różnili. Dla niej, zwłaszcza po konferencji w Maputo, prawo nie było jedynie środkiem zapewniającym określony poziom życia. Niosło ze sobą pewne zasady moralne. Ku jej rozpaczy okazało się, że podobnie jak w wielu innych aspektach ona i Aaron żyli na osobnych planetach. W porównaniu z Joshem wypadali blado, bo byli do siebie podobni jak dzień do nocy – powiedziałyby jej ojciec. Pod pewnymi względami Josh bardzo przypominał Harveya i jego brata Rufusa – uświadomiła sobie nagle. Zerknęła w ich stronę. Rozmawiali ze sobą, pochylając ku sobie głowy. Rufus miał ciemniejsze włosy przyprószone siwizną, a Harvey tak jasne, że niemal srebrne. Siedząca między nimi Diana była dziwnie spięta. Jej oczy biegały niespokojnie z jednego miejsca w drugie. Zdawała się oceniać wieczór według jakichś własnych kryteriów. Coś kryło się pod śmiechem, dykteryjkami, dobrym winem i jedzeniem, lecz Julia nie miała bladego pojęcia, co.

W domu panowała śmiertelna cisza. Ucichł gwar towarzyszący wieczornej uroczystości, gdy goście rozeszli się na spoczynek. Diana leżała obok Harveya, nie mogąc zasnąć. Ta cisza wytrąciła ją z równowagi. Przez cały wieczór prawie nie tknęła alkoholu. Była zbyt zdenerwowana. Przyjęcie ciągnęło się w nieskończoność. Marzyła jedynie o tym, by dobiegło końca, by Rufus wyjechał i wszystko wróciło do normy. Wydała z siebie stłumiony jęk. Do normy? Nic już nigdy nie będzie normalne. Obok niej Harvey pochrapywał cicho. Przynajmniej dla niego wieczór był wielkim sukcesem. Jeżeli nawet zauważył, że jest dziwnie milcząca, to nic nie powiedział. Od czasu do czasu w trakcie przyjęcia dotykał lekko jej ręki, dając znak, że jest przy niej, jak lubił mawiać. Był specjalistą od takich drobnych, troskliwych gestów. Tym różnił się od Rufusa. Przez prawie pięćdziesiąt lat zastanawiała się, dlaczego.

Przewróciła się wolno na bok, nie chcąc przeszkadzać mężowi. Próbowwała się uspokoić, oddychać równo i głęboko w nadziei, że w końcu usnie, ale na próżno. Sen, którego tak pragnęła, nie przychodził. Odrzuciła kołdrę i ostrożnie wysunęła się z łóżka. Podłoga zaskrzypiała, gdy przeszła boso przez pokój, lecz Harvey się nie obudził. Włożyła jedwabny szlafrok i wyszła na korytarz. Wszystkie drzwi na piętrze były zamknięte. Cała rodzina smacznie spała. Zeszła na dół, mocniej otulając się szlafrokiem, i skierowała się do kuchni. Panowała w niej cisza, jedynie stojąca w kącie lodówka lekko szumiała. Diana podeszła do zlewu i otworzyła okno. Owionął ją słodki zapach nocy, mieszanina sosny i lawendy charakterystyczna dla Mougins. Popatrzyła na podjazd, skąpany w srebrzystym świetle księżyca. Wszystko tonęło w niezmaconej ciszy. Odkręciła kran i nalała sobie szklanek wody. Wypiła ją, nie spuszczać wzroku z miejsca, w którym stała przed trzydziestu laty. Drzwi do kuchni zaskrzypiały nagle i zamknęły się z cichym stuknięciem. Posłyszała kroki za plecami. Nie musiała się odwracać, wiedziała, kto to jest.

– Czy myślisz o tym czasami? – spytała cicho, przyciskając szklanek z zimną wodą do rozpalonej twarzy.

– Nie. – Rufus chwycił ją za ramię i obrócił twarzą do siebie. – Nigdy.

– Nigdy? Nawet wtedy, gdy... – Urwała, nie mogąc dokończyć zdania.

W ciemności nie dostrzegała rysów jego twarzy. Czy marszczył brwi?

– Twój syn śpi na górze z żoną. To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Ale...

– Przestań, Diano. To nie ma sensu. Sprawa jest zakończona i pogrzebana...

– Pogrzebana? – Zaśmiała się krótko. – Tak. Rzeczywiście, można tak powiedzieć,

ale...

– Przestań. – Zaciśnął palce na jej ramieniu. – To do ciebie niepodobne. Co się dzieje?

Milczała, usiłując zapanować nad głosem.

– Nie wiem – wyszeptała. – Nie mogę przestać o tym myśleć. O nim.

– To nie myśl. Josh jest bezpieczny. On żyje. Tylko to jest ważne.

– Ale...

– Przestań. – Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Nie – szepnęła. – Nie tutaj. Proszę.

Trzymał ją przez chwilę, przesuwając dłoń na pośladki. Poczowała znajomy przypływ pożądania. Musiała użyć całej siły woli, żeby go odepchnąć.

– Nie – powtórzyła z nadzieją, że głos jej nie drży.

Westchnął i uniósł ręce w żartobliwym geście poddania.

– Dobrze. Wyjeżdżam z samego rana. – W jego głosie zabrzmiał udany żal. – Wygrałaś. – Dotknął jej policzka i zniknął w ciemności.

Posłyszała, jak drzwi się za nim zamykają. Znowu mogła oddychać. Odwróciła się do okna i zapatrzyła w ciemność. Tym razem nic nie zdołało powstrzymać fali bolesnych wspomnień, które popłynęły wartkim strumieniem.

DIANA

Londyn/Mougins, czerwiec 1969

Obudziła się z uczuciem, jakby dopiero zamknęła oczy. Usiadła na szpitalnym łóżku i rozejrzała wokół, przypominając sobie, gdzie się znajduje. W pokoju nie było nikogo. Harvey nie mógł zostać, uprzedził ją o tym wczoraj – miał szczerze wypełniony grafik na ten dzień, ale obiecał, że wpadnie, gdy tylko będzie mógł. Obok w małym łóżeczku leżał jej nowo narodzony syn, trzeci z kolei. Josh. Joshua Alexander Keeler. Pochyliła się, by na niego popatrzeć. Spał. Na jego drobnej twarzyczce malował się spokój. Poczowała ten sam przypływ emocji jak po narodzinach starszych synów. Był taki śliczny, wprost idealny. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Jego bracia mieli blond włosy jak Harvey. Josh miał zaledwie kilka dni, ale jego włosy już były ciemniejsze i ciemniały z każdym dniem. Powstrzymała chęć wsunięcia palca w malutką rączkę. Nie chciała go zbudzić, bo był prawdziwym krzykaczem. „Ma potężne płuca – skomentowała jedna z pielęgniarek. – Jak już zaczniesz...” Uśmiechnęła się z życzliwością do Diany, która była zbyt zmęczona, by odpowiedzieć.

Spuściła nogi na podłogę i wstała ostrożnie. Dolną część ciała nadal miała odrętwiałą po środku znieczulającym. Trochę potrwa, zanim wróci do siebie. Wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku po ciężkim porodzie. Pierwsze dwa przebiegły bez komplikacji. Rafe’a urodziła zaledwie po kilku godzinach, tak niecierpliwie pchał się na świat. O mały włos, a stałoby się to w samochodzie, w drodze do szpitala.

Z Aaronem też nie miała kłopotów, wyszła ze szpitala tego samego dnia. Z Joshem było inaczej. Skurcze trwały prawie dobę, potem cztery godziny potwornych bólów partych i gdy już myślała, że dłużej tego nie znieś, wreszcie się pojawił, kopiąc i wrzeszcząc wniebogłosy, i już nie przestał. Była zbyt zmęczona, by przyjrzeć mu się dokładniej, ale od razu wiedziała, że będzie wyjątkowy.

Musieli naciąć jej krocze i założyć kilka szwów. Wymagało to pozostania w szpitalu przez kilka dni. Chociaż Harvey codziennie przyprowadzał chłopców, by zobaczyli nowego braciszka, czuła się dziwnie, wracając do domu prawie po tygodniu. Z jakiegoś powodu nie potrafiła trzymać się rozkładu zajęć, który tak starannie przestrzegała przy Rafie i Aaronie. Płacz Josha rozbrzmiewał w dzień i w nocy. Jak tylko kładła go do łóżeczka, zaczynał krzyczeć. Nic go nie uspokajało. Starsi synowie czuli się urażeni – przez cztery lata mieli matkę tylko dla siebie. Łączyły ich bardzo bliskie więzi, na co wszyscy patrzyli z zadowoleniem. W ogóle nie sprawiali kłopotów. Rafe bronił Aarona niczym lew, a ten uwielbiał starszego brata. Przybycie wrzeszczącego dziecka wywróciło dom do góry nogami. „Dlaczego on ciągle płacze?” – pytał Rafe po sto razy w ciągu dnia. Diana była zmęczona i poirytowana – powinna okazać mu więcej cierpliwości, lecz nie umiała. Harvey bardzo się starał, ale pracował jako młodszy chirurg w jednym z najbardziej obleganych londyńskich szpitali i nie mógł sobie pozwolić na nieprzesypianie kolejnych nocy.

To on wyszedł z propozycją. Najpierw przeniosła się z Joshem na strych z nadzieją, że to pozwoli wszystkim odetchnąć, ale nic to nie dało. Płacz dziecka przenikał przez ściany. Rano trzeciego dnia Harvey zszedł na śniadanie z przekrwionymi oczyma i poirytowany.

– Może pojechałabyś z nim do Mougins na dwa tygodnie – zaproponował, unosząc ramiona w geście bezradności. – Spędzilibyście trochę czasu tylko we dwoje. Pani Pitcher i ja zajmujemy się chłopcami. Nie wiem, czy dam radę tak dłużej żyć, Dianko.

Popatrzyła na niego z troską i skinęła głową. Nie przyznałaby się do tego, ale myśl o wyjeździe z Joshem bardzo jej się spodobała. Nie chciała jednak okazywać zbyt dużego entuzjazmu.

– Nie, nie mogłabym – odpowiedziała wolno, oswajając się z tą myślą.

– Dlaczego nie? Rufus tam jest. Mamy lato, pogoda dopisuje. Mój brat przyjechałby po ciebie na lotnisko i pomógł przez kilka dni. Szczerze mówiąc, to był jego pomysł. W tej chwili ma urlop i powiedział, że to dla niego żaden kłopot.

Poczuła ogień w dole brzucha, który powoli obejmował całe ciało. W tym samym momencie, dwa piętra nad nimi, Josh znowu zaczął swój koncert i po kilku sekundach jego płacz przybrał na sile.

– To załatwi sprawę – oznajmił Harvey, wznosząc oczy do sufitu. – Pojedziesz tam, nawet gdybym miał cię sam zawieźć.

– Nie, nie... dobrze. Masz rację. Pojadę z Joshem.

– Tylko na dwa tygodnie – powtórzył z wyraźną ulgą w głosie. – Zadzwońię dziś do Rufusa. Ucieszy się. Od dwóch tygodni siedzi tam sam, do towarzystwa ma jedynie Mohammeda i Chadidzę.

Kiwnęła wolno głową, po czym odwróciła się i pobiegła na górę, czując, jak wzbierają w niej dobrze znane emocje – ulga, wyrzuty sumienia, radość i strach.

Lot do Nicei był koszmarem. Josh płakał niemal przez całą drogę. Gdy wysiadła z samolotu i powitało ją błękitne niebo i popołudniowe słońce, omal nie rozpląkała się z ulgi. Szwagier już na nich czekał. Dostrzegła jego ciemną głowę i ramiona górujące nad tłumem oczekujących matek, ojców, kochanków i dziadków.

– Rufus – mruknęła nieśmiało, pozwalając, by ją objął. Ku jej zaskoczeniu niemowlę nie płakało.

– Więc to jest ten mały szczeniak, który sprawia tyle kłopotów – powiedział, prowadząc ich z hali przylotów w stronę parkingu.

Dzieci nie były jego mocną stroną – mawiał. Ułożyła śpiącego Josha w foteliku, modląc się, żeby się nie obudził. Wyjechali z lotniska i włączyli się do ruchu, zmierzając na zachód w stronę Cannes. Była zbyt zmęczona, żeby rozmawiać. Podkuliła nogi pod siebie i obserwowała w milczeniu przesuwaną się za oknem letni krajobraz.

Minęła osiemnasta, gdy skręcili na drogę prowadzącą do domu. Obudziła się. Usnęła i teraz czuła, że twarz zeszywniała jej ze zmęczenia.

Rufus zaciągnął hamulec i wysiadł. Otworzył bramę i wrócił do samochodu.

– Mohammed poszedł już do domu. Chadidza niedawno urodziła dziecko. Chłopca, podobnego do Josha.

– Chadidza? Mała Chadidza? – Diana momentalnie oprzytomniała. Dziewczyna była jedyną córką Mohammeda. Jego żona Doha zmarła, gdy Chadidza była mała. Świata poza nią nie widział. – Ile ona ma lat?

Rufus wzruszył ramionami.

– Szesnaście, siedemnaście... jakoś tak.

– Niemożliwe. Dopiero poszła do liceum. Nie może mieć więcej niż piętnaście.

Ponownie wzruszył ramionami. Zatrzymał samochód przed domem, a Diana rozejrzała się wokół z zachwytem. Ten widok zawsze działał na nią kojąco. Wysiadła z auta i stała chwilę na podjeździe, wędrując spojrzeniem po żółtych ceglach, gałązkach bluszczu oplatającego mur i kwitnących pomimo późnego lata różach. Jakież były piękne! Odwróciła się i otworzyła tylne drzwi, starając się nie obudzić Josha, po czym wniosła go do domu. W nozdrza uderzył ją zapach świeżo upieczonego chleba i kawy. Te dwa zapachy zawsze kojarzyły się jej z Mougins.

– Pójdę z nim do salonu – szepnęła do Rufusa, który niósł bagaże. – Pewnie wkrótce się obudzi i będzie głodny.

Nie odpowiedział. Ruszył do schodów, by zanieść walizki na górę. Usłyszała, jak

deski podłogi skrzypią pod jego ciężarem.

Karmiła Josha, gdy zszedł na dół pół godziny później. Siedziała przy oknie w fotelu. Przez drzwi balkonowe sączyło się do wnętrza światło zachodzącego słońca. W mlecznej smudze migotały drobinki kurzu. Leżący przy piersi Josh pochrapywał cichutko. Po raz pierwszy od dziesięciu dni sprawiał wrażenie spokojnego i zadowolonego. Czowała się zmęczona, lecz tym razem był to inny rodzaj zmęczenia. Patrzyła, jak plamy światła skaczą po ścianach i suficie, nie myśląc o tym, że powinna się okryć, lecz delektując się ciepłem promieni na nagiej skórze. Letnie słońce potrafiło dać się we znaki, ale tutaj, w dolinie, na stoku wzgórza, panował zawsze przyjemny chłód. Odwróciła się do Rufusa, gdy wszedł do pokoju, i położyła palec na ustach.

– Podoba mu się tu – szepnęła.

Popatrzył na nią w milczeniu. Na kredensie stała butelka wina. Napełnił dwa kieliszki, mniejszy dla Diany, większy dla siebie, po czym podał jej, ignorując protesty.

– Dobrze ci zrobi – rzucił opryskliwie.

Położyła śpiącego Josha do wiklinowego łóżeczka, przykrywając go kocykiem aż po szyję. Spał dalej spokojnie. Zamierzała poprawić bluzkę, gdy Rufus ją powstrzymał. Chwycił palcami wciąż wilgotny i przekrwiony sutek i zaczął go masować. Omal nie rozlała wina. Przeszył ją tak silny dreszcz pożądania, że musiała zamknąć oczy. Zawsze tak było – wystarczyło, by jej dotknął, i natychmiast niemal omdlewała.

– Nie – zaprotestowała. – Nie mogę... Nie teraz. Jeszcze za wcześnie.

– Ciii.

Odstawił kieliszek na podłogę, rozchylił bluzkę i rozpiął niezgrabny biustonosz. Jej piersi były teraz dwa razy większe. Wziął w usta najpierw jeden, potem drugi sutek, z wprawą pieszcząc językiem twardniejące wzgórki. Zaciśnęła pięści, by nie krzyknąć głośno. Jej nowo narodzony syn spał tuż obok w łóżeczku, a brat męża umiejętnie rozpałał w niej rozkosz, która gorącymi falami rozlewała się po całym ciele, tłumiąc wyrzuty sumienia.

Następne dni popłynęły utartym torem. Rufus zawsze spał długo. Diana wstawała wcześniej i zabierała Josha nad basen, by posiedzieć na ciepłych od słońca płytkach, popatrzeć, jak światło tańczy na powierzchni wody, posłuchać dźwięków dochodzących z ogrodu i doliny. Miała rację, czyste powietrze działało na niemowlę uspokajająco. Ranki były cudownie ciepłe i słoneczne. W porze lunchu brała koszyk i wracała do domu, by przygotować posiłek. Od czasu do czasu szła z Joshem na spacer do miasteczka, na targ, i wędrowała wolno wśród straganów, chłonąc delikatny zapach kwiatów i owoców oraz ostry – serów i ryb. Pokazywała synka przekupkom na targu. Odchylały biały szal ochraniający mu buzię przed słońcem

i przemawiały piśszcztliwie, wypowiadając pełne zachwyty komentarze. Czasami siadała z nim w małej kawiarence w pobliżu i zjadała kawałek tarty ze szpinakiem lub z jabłkami.

Pewnego ranka, jakieś trzy dni po przyjeździe, wygrzewała się w promieniach słońca na leżaku przy basenie. Obróciła leniwie głowę w stronę Josha, który leżał obok w wiklinowym koszu. Patrzył na nią z takim skupieniem, że musiała się głośno roześmiać.

– *Ça va?* – spytała piśszcztliwie. – *Ça va?*

Pochyliła się i wsunęła mu palec wskazujący w rączkę. Ścisnął go mocno. Jego buzia wyrażała jakąś myśl. Był jeszcze zbyt mały, żeby się uśmiechnąć, ale sprawiał wrażenie tak zadowolonego, że leży na słońcu, iż uśmiechnęła się mimowolnie. Wypuściła z ręki książkę i pozwalając, by Josh nadal trzymał ją za palec, wystawiła twarz do słońca. Poczwała, jak ogarnia ją senność, i po chwili zapadła w ciemność.

Obudziła ją nagła zmiana temperatury. Chmura zasłoniła słońce i zrobiło się chłodniej. Nagle zobaczyła, że ktoś idzie ścieżką, pchając taczki z narzędziami. Ogrodnik Mohammed.

– Ach, to ty, Mohammedzie! – zawołała, osłaniając ręką oczy. – *Ça va? Tout va bien?* – Ktoś mu towarzyszył, ale zasłaniały go taczki. Jego córka. – *Chadidza? C'est toi?* – powitała ją z uśmiechem.

– *Oui, madame.* – Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało. Trzymała przy piersi białe zawiniątko. Dziecko! No tak, Rufus wspomniał o nim tego dnia, gdy przyjechali.

– *Ah, c'est ton bébé, Chadidza. Félicitations!*

Czy to właściwe słowa? Nie miała pojęcia. Córka ogrodnika była przecież nastolatką. Diana wstała i wyciągnęła ręce po dziecko. W tym momencie Mohammed uniósł wzrok. Trudno było wyczytać z jego twarzy, co o tym wszystkim myśli. Czy powinna zapytać o ojca? Chadidza ostrożnie podała jej dziecko, jakby nie chciała się z nim rozstawać nawet na sekundę. Diana odchyliła szal i popatrzyła na śpiące maleństwo. Gdy uświadomiła sobie, do kogo jest podobne, doznała szoku. Wykapany Rufus i Harvey, i co dziwniejsze, także Josh. Spojrzała na Chadidzę i Mohammeda. Wyraz ich twarzy wystarczył za wyjaśnienia. Zapadła ogłuszająca cisza, podczas której wszyscy troje rozważali to, czego nie mogli wyrazić słowami.

– Jak mogłeś?! – Diana podniosła głos do krzyku. – To jeszcze dziecko. Cholerne dziecko!

– Nie bądź śmieszna. Jest takim samym dzieckiem jak ty.

– Kompletnie straciłeś rozum?

– Zamknij się, dobrze?

Stali w sypialni, mierząc się wzrokiem. Twarz Rufusa pociemniała z gniewu. Diana cała się trzęsała. Nie chodziło o to, że on spał z kimś innym... Chryste, gdyby

o to chodziło, nie miałyby chwili spokoju. Najgorsze było jednak to, że przespał się z córką Mohammeda. Była oczkiem w głowie i dumą ojca. Dobrze się uczyła, marzyła o studiach. Co ten Rufus narobił?

– Ona jest dzieckiem – powtórzyła urywanym głosem. – A ty zrobiłeś jej brzuch. Co ona teraz pocznie?

– Och, do jasnej cholery... Ty i ta twoja moralność. Sama tego chciała, ty idiotko. Czemu wy, kobiety, zawsze musicie robić tyle zamieszania?

– My, kobiety? – powtórzyła Diana zaskoczona. – Kogo masz na myśli?

– Ciebie... To ona chciała mieć tego przekłętego bachora, nie ja.

– Oczywiście, że chciała. To zupełnie inna kultura. Nie rozumiesz, że ona nie miała wyboru?

Rufus powoli zaciskał i rozwierał pięści, z trudem panując nad sobą.

– Nie będę o tym dyskutował. To nie ma sensu. Urodziła dziecko, stało się. Nic nie można na to poradzić.

– Zamierzasz na nie łożyć? Mam na myśli twoje dziecko.

– Oczywiście, że tak. Chryste, za kogo ty mnie masz?

Zaniemówiła. Nie mogła odpowiedzieć. Doskonale wiedziała, jakim on jest człowiekiem, bo była taka sama. Machnęła ręką z rezygnacją.

– Nieważne – odparła. – Faktem jest, że zrujnowałeś tej dziewczynie życie, bez względu na to, czy będziesz płacił na dziecko, czy nie.

Rufus rzucił jej piorunujące spojrzenie, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

Josh zapłakał krótko. Leżał spokojnie, słuchając ich kłótni, a gdy zapadła cisza, groził, że ją wypełni. Pospiesznie wzięła go na ręce i przytuliła do piersi. Nie mogła przestać myśleć o dziecku Chadidży – nawet nie знаła jego imienia – podobnym do Josha jak dwie krople wody. Było bardziej śniade – w końcu miało w sobie północnoafrykańską krew matki – ale rysy identyczne. Dały o sobie znać geny Keelerów. Chociaż Josh odziedziczył po niej ciemne włosy, był podobny do Harveya, nie do niej. Spojrzała na drobną twarzyczkę synka – delikatne nozdrza, usta i miękki ciemnobrązowy meszek na głowie, który już urósł od dnia narodzin. Jest wyjątkowo ślicznym dzieckiem – pomyślała z dumą. Rafe i Aaron mieli tak jasną karnację, że ich rysy się zacierały. U Josha wszystko było wyraziste i precyzyjne. Popatrzyła mu w oczy – ciemne, niemal fioletowe, z powłoką, która odbijała światło, tak jak czasami w płamie oleju odbija się tęcza. Co on widzi? – zastanawiała się, gdy wyraz jego twarzyczki uległ zmianie. Dotknęła palcem policzka. Odwrócił główkę w jej stronę i uśmiechnął się lekko, ale trwało to tak krótko, że zaczęła się zastanawiać, czy jej się nie przywidziało. Serce mocniej jej zabiło. Niemożliwe. Przecież on ma dopiero dwanaście dni. Jego bracia byli dwa razy starsi od niego, gdy pierwszy raz się uśmiechnęli. Przytuliła go do piersi, myśląc o tym, co może mu ofiarować. Najlepsze szkoły, najlepsze domy, wakacje na całym świecie, braci, którzy będą się nim opiekować... Biedna Chadidża. Biedny Mohammed. Ale

najbardziej niebezpieczne jest to dziecko – pomyślała, rozpinając bluzkę, by nakarmić Josha. Czy kiedykolwiek dowie się, kto jest jego ojcem? Wątpiła. Znała Rufusa całe swoje życie, nawet jeżeli nie potrafiła powiedzieć, kim on naprawdę jest.

Pojawił się dopiero w porze kolacji z butelką wina w jednej ręce i skrzydełkami w drugiej. Miał lekko przekrwione oczy.

– Chcesz się sztachnąć? – spytał.

– Nie bądź śmieszny – odparła gniewnie. – Przecież karmię.

– Jak chcesz – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– Jadłeś? – spytała z przyzwyczajenia.

Pokręcił głową.

– Nie jestem głodny.

Zagryzła wargę. Wciąż się dąsał. Wiedziała, jak będzie wyglądać reszta wieczoru. On nadal będzie się dąsał, a ona zacznie mu schlebiać. W końcu przy odpowiedniej sile perswazji z jej strony humor mu się poprawi, wypiją po kieliszku wina, a potem on zaprowadzi ją na górę do dużego, miękkiego łóżka, które dzieliła z Harveyem, gdy wspólnie spędzali wakacje. Nie mogła się jeszcze kochać – było na to zbyt wcześnie – lecz to najwyraźniej nie przeszkadzało Rufusowi. Czerpał i dawał rozkosz na inne sposoby i wciąż sprawiało mu to przyjemność. Już na samą myśl zaląła ją fala pożądania. Nienawidziła siebie za to, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Zjedz trochę – powiedziała, nakładając na talerz sporą porcję gulaszu, który ugotowała po południu. Patrzył na niego przez chwilę, a potem przysunął do siebie.

Oddechnęła z ulgą. Kiedy się dąsał, nic do niego nie docierało. Potrafił być nieznośny. Podsunęła mu sól i pieprz, a on zaczął jeść. Gdy skończył, całe napięcie zniknęło. Pili razem we względnie przyjaznej ciszy. Gdzieś w tle cicho grało radio. Josh spał głęboko, a ona przestała się martwić tym, że wypila kieliszek wina. Znowu do domu wrócił spokój.

Okryła właśnie Josha białym koczykiem, gdy do pokoju wszedł Rufus. Palił kolejnego skręta. Czowała jego ostry, kwaśny zapach. Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Rufus, nie tutaj. Nie przy dziecku.

– Chryste, Diana, wyluzuj. On śpi i nic nie czuje. Co z tobą? Już nie potrafisz się bawić?

– Nie sądzę, żeby to było dobre dla niego – odpowiedziała z wahaniem. Popatrzyła na Josha. Spał głęboko.

– Prześpi całą noc. Piłeś wino na kolację. To go zamroczyło. No masz, zapal sobie. Musisz się wyluzować. Nie cierpię, gdy jesteś taka. To do ciebie niepodobne.

– Och, Rufus... – mruknęła.

Uśmiechnął się do niej tym swoim niebezpiecznym, kuszącym uśmiechem.

– Bądź grzeczną dziewczynką, a właściwie to nie. Wiesz, że nie lubię grzecznych

dziewczynek. – Uśmiechnął się szerzej, gdy zaciągnęła się skrętem. – Tak. I jeszcze raz. Chcę, żebyś się odprężyła jak należy.

Złapał ją za ramię, przyciągnął do siebie i przywarł do jej ust. Miał gorący język. Objął go za szyję, kryjąc mu twarz na ramieniu. Jedną ręką przytrzymał ją w talii, a drugą przesunął po brzuchu i dotknął ciężkich piersi. Pchnął ją na łóżko i położył się przy niej. Przylgnęła do niego, byle dalej od śpiącego Josha. Sięgnęła po skręta raz i drugi ku aprobachie Rufusa. Znowu zaczął ją całować, przesuwając dłońmi po ciele i pieszcząc najwrażliwsze miejsca – zagłębienie u nasady szyi, delikatną skórę pod piersiami, ciężkimi teraz od pokarmu, wewnętrzną stronę rąk. Drżała z chłodu i pożądania. Puls przyspieszył, oddech stał się urywany. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje, gdy przesunął palcami w dół brzucha ku wewnętrznej stronie ud, dotykając tak delikatnie, że prawie tego nie czuła. Wziął jej rękę i zacisnął na swoim członku, przesuwając w górę i w dół, aż w końcu osiągnął spełnienie. Po chwili jego penis znowu był nabrzmiąły. Wciąż ją zaskakiwało to jego nienasylenie. Pchnął ją na plecy, przytrzymał ręce nad głową, zaciągnął się skrętem i wsunął go jej w usta. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, a zmysły wirują, pobudzone mieszaniną trawki i pożądania. Oczy zaszyły jej mgłą. To, co palili, musiało być mocne. Poczwała, że język staje się gruby i sztywny. Rufus rozsunął jej nogi i gwałtownym ruchem wtargnął w nią głęboko. Zaczęła się poddawać, ale miała wrażenie, że to ktoś inny, a ona patrzy na wszystko z boku. Poruszał się w niej coraz szybciej, pchając to w jedną, to w drugą stronę, a ona wbijała mu palce w plecy. Spłynęła na nią gęsta, ciemna mgła, mącąc zmysły i sprawiając, że nogi zrobiły jej się ciężkie niczym kłody. Mignęła jej przed oczyma twarz Rufusa z obnażonymi zębami. Nie wiadomo dlaczego ten widok ją przeraził. Sięgnęła ręką do zawiniątka leżącego obok. Josh. Dzięki Bogu śpi spokojnie – pomyślała, zanim zapadła w narkotyczny sen.

Później doszła do wniosku, że wiedziała, co się stało, jeszcze zanim otworzyła oczy. Sięgnęła ręką i dotknęła czegoś. Nie kogoś, nie ciepłego, śpiącego maleństwa, ale czegoś zimnego i sztywnego. Zaczęła się trząść. Dreszcz strachu przebiegł jej po plecach. Usiadła i starała się podnieść synka, ale był ciężki, znacznie cięższy niż zwykle. I sztywny. Posłyszała głośnie bicie własnego serca. Musiała krzyknąć, bo Rufus nagle się obudził. Nie pamięta, co się stało potem, jedynie to, że klęczał przy niej i brał z jej rąk pozbawione życia zawiniątko.

– Cholera... Jezu Chryste... Przestań krzyczeć. Zrobię mu sztuczne oddychanie. Przytrzymaj go.

Patrzyła w panice, jak Rufus otwiera szeroko usta i pochyla twarz nad nieruchomą twarzą Josha. Nie mogła mówić. Nie była w stanie myśleć. Głowa w górę, wdech, głowa w dół, wydech, głowa w górę, wdech, głowa w górę, wydech. Powtarzał to bez końca. Czas jakby zwolnił i jednocześnie pędził z zawrotną prędkością. Przycisnęła dłonie do twarzy i pochyliła nisko głowę. Mdlący strach przeniknął jej ciało. W oczach Rufusa malowało się przerażenie. Nigdy go takim nie widziała. Nagle

dotarło do niej, że udusiła własne dziecko. Gdzieś z głębi jej gardła wydobył się krzyk i już nic nie mogło go powstrzymać.

– Wypij to. – Podał jej szklaneczkę z jasnozłotym płynem. – Do dna. – W jego głosie brzmiało zdecydowanie.

Wzięła ją, ale nie mogła utrzymać w trzęsących się rękach. W końcu Rufus przytknął jej szkło do ust i zmusił do wypicia całej zawartości. Żołądek podszedł jej do gardła, gdy poczuła w ustach smak brandy.

– R-Rufus – wyjąkała, czując, jak cały organizm protestuje. – N-nie mogę...

– Owszem, możesz. – Ponownie przytknął jej szklanekę do ust.

Dostała mdłości, ale jakoś udało jej się przełknąć.

– C-co my teraz zrobimy? – wyszeptała, patrząc, jak nalewa drugą porcję. – C-co ja powiem H-Harveyowi? – Krótki, urywany oddech zmienił się w łkanie. – C-co ja mu powiem?

– Nic. Na razie nic. Daj mi czas do namysłu. Nic nie rób. Nikomu nic nie mów, słyszysz?

– A-ale ja m-muszę zadzwonić do H-Harveya – odpowiedziała, szcękając zębami.

– Nie dzwoń. Wróć za pół godziny.

– N-nie zostawiaj mnie – powiedziała błagalnie. – P-proszę cię, nie zostawiaj.

– Spójrz na mnie. – Rufus chwycił ją pod brodę i zmusił do patrzenia w oczy.

Miał zimny, beznamiętny wzrok. – Nic nie rób, rozumiesz? To był wypadek... to nie twoja wina. To był wypadek. – Zacieśnił uchwyt. – Ale może być nieprzyjemnie, jeżeli policja się w to włączy. Wypij więc to i połóż się. Wróć za pół godziny.

– G-gdzie on jest? G-gdzie jest Josh?

– Nie przejmuj się tym teraz. Wypij do dna. – Wyprostował się. – Wróć najszybciej, jak będę mógł. – I już go nie było.

Mougins, czerwiec 2000

– Miałaś zły sen, kochanie? – głos Harveya wyrwał ją z koszmaru.

Usiłowała dojść do siebie i powstrzymać falę wspomnień.

– Która godzina? – spytała schrypniętym głosem.

Odrzucił kołdrę i sięgnął po zegarek.

– Minęła dziewiąta. Chyba słyszałem Darcy kilka minut temu. Jęczałaś we śnie. Od dawna tego nie robiłaś. Czy to był zły sen?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Tak, zły sen, potworniejszy, niż można sobie wyobrazić. Tylko że to nie był sen, uświadomiła sobie z przerażeniem. Poczuła kojący dotyk ręki Harveya na ramieniu. Jego spokojny, miarowy oddech pozwolił jej dojść do siebie.

– Tak – wyszeptała, odwracając głowę i kryjąc twarz w poduszce. – Ale już nie

pamiętam, co mi się śniło.

– Biedactwo. To pewnie przez wino. I stres. Przyjęcie było wspaniałe. Dziękuję, kochanie. – Pochylił się i pocałował ją w czoło. – Co powiesz na filiżankę kawy? W tej twojej ulubionej czarce?

Kiwnęła głową, nie ufając własnemu głosowi. Pocałował ją w czubek głowy i wstał. Patrzyła, jak wkłada szlafrok. Przez czterdzieści lat prawie się nie zmienił. Włosy mu posiwiały, przybyło zmarszczek od wieczornego czytania i pogłębiła się bruzda między brwiami, ale obwód w talii – podobnie jak jej – niewiele się zmienił. Wiedziała, bo co roku mierzyła gumkę w jego ulubionych spodniach od piżamy. Otworzył drzwi i zamknął je cicho za sobą. Została sama. Zacisnęła i rozwarła pięści pod kołdrą. To przez Rufusa, to jego obecność wywołała wspomnienia. Od lat tak się nie zdenerwowała. Pokręciła głową, starając się odzyskać równowagę. Do końca pobytu zostało jeszcze kilka dni, nie mogła sobie pozwolić na kolejną taką noc. Dzięki Bogu, że on wyjeżdża. Po raz pierwszy była z nim w Mougins od tamtego zdarzenia. Pierwszy i ostatni. Nie wytrzyma kolejnej takiej nocy. Nie ma na to siły.

W hallu merostwa było chłodno i cicho. Niela podeszła do stanowiska recepcyjnego, stukając głośno obcasami po wyłożonej terakotą podłodze. Siedząca za biurkiem kobieta uniosła głowę.

– *Oui?* – zapytał względnie uprzejmie. – *Vous cherchez?*

Niela wyjaśniła, czego szuka.

– Aha, to musi pani sprawdzić w miejskich archiwach. Mówiła pani, że kiedy to było?

– Chyba latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego – odpowiedziała. – W lipcu albo w sierpniu.

– Te informacje znajdzie pani na mikrofilmach. Pobieramy opłaty za korzystanie z czytnika. Jeżeli szuka pani gazet z tego okresu, w których zwykle jest więcej informacji, to, niestety, będzie pani musiała pojechać do Cannes. Nie trzymamy tu wycinków prasowych. Jeżeli sprawa była znana, to pewnie pisały o niej miejscowe gazety.

Niela się zawahała.

– Właściwie nie wiem, czy to była znana sprawa. Chyba kogoś aresztowano... zdaje się, że ogrodnika. Pracował dla kilku angielskich rodzin, które mieszkały tu w tym czasie.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Ach, pewnie chodzi pani o sprawę Bena Ahmeda. Nazywał się Mohammed Ben Ahmed. Byłam nastolatką, gdy to się stało. Tak, to znana sprawa. Jej akta znajdują się w archiwach. Mówiła pani, że kim jest?

– Dziennikarką – skłamała Niela. – Piszę artykuł o honorowych zabójstwach i ktoś wspomniał o tej sprawie. Pomyślałam, że przyjdę i poszukam coś na ten temat.

– To było dawno. Nie pamiętam szczegółów, jedynie to, że sprawa nie trafiła do sądu, bo sprawca zniknął, podobnie jak jego córka i dziecko. Archiwum jest na dole. Proszę zejść tymi schodami. – Recepcjonistka wskazała na przejście w końcu korytarza. – Opłata wynosi sześć euro za trzy godziny... Nie, może pani zapłacić na dole. Otrzyma pani pokwitowanie. Powodzenia. Mam nadzieję, że znajdzie pani to, czego szuka.

Dziesięć minut później Niela siedziała przed ekranem czytnika z małym pudełkiem przezroczystych błon filmowych, starannie opisanych i ułożonych w porządku chronologicznym. Życzliwa pracownica archiwum pokazała jej, jak obsługiwać czytnik, wręczyła pokwitowanie i zostawiła samą.

Niela ostrożnie wsunęła pierwszy film w metalową ramkę. Czuła, jak serce jej

wali. Popatrzyła na ekran i zaczęła czytać. Siedziała bez ruchu, przesuając jeden film za drugim prawie przez trzy godziny. Gdy skończyła, zabrała torbę, wróciła do hallu i wyszła na zalaną słońcem ulicę, mając oczy pełne łez.

Była w połowie drogi do domu, gdy zobaczyła przed sobą znajomą postać. Josh. Zatrzymał się przed nią. Nadal płakała, lecz nie mogła tego ukryć, bo już ją zobaczył.

– Co się stało? – spytał, patrząc na nią z troską.

– N-nic – wyjąkała.

– Płaczesz. Czy coś się stało?

Uciekła spojrzeniem w bok. Nawet nie wiedziała, jak zacząć. Milczenie się przedłużało. Czuła na sobie jego wzrok.

– Byłam... byłam w merostwie – wyjaśniła w końcu. – W archiwum.

Poczuła, że Josh zeszywniał.

– Nie rozumiem. Co tam robiłaś?

Zawahalała się.

– Ja... czułam, że muszę.

– Co musisz? – W jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

– Ja... szukałam czegoś... w starych kronikach.

– Dlaczego?

Spostrzegła, że rośnie w nim napięcie. Znowu spojrzała w bok.

– Chciałam dowiedzieć się czegoś o pewnej sprawie, o której od kogoś usłyszałam.

– Od kogo?

– Pamiętasz Leonorę? Leonorę Simmonds?

Oczy mu się zwęziły.

– Niela, co ty robiłaś? Czego szukałaś? – spytał lodowatym tonem.

Zadrżała pomimo panującego upału.

– Mówiła coś o ogrodniku... Mohammedzie Ben Ahmedzie.

– Co takiego?

Skuliła się.

– Wiesz coś o nim? – spytała. – O tym, co stało się z jego córką? – Czuła emanującą z niego wrogość. Powinna się zatrzymać, ale coś pchało ją do przodu. – Jak myślisz? – spytała, rozkładając ręce. – Czy on naprawdę to zrobił? Zabił własną córkę i wnuka?

Na twarzy Josha pojawił się taki ból i gniew, że cofnęła się instynktownie.

– Daj temu spokój, Niela – powiedział niskim, napiętym głosem. – Nie mieszaj się do tego.

– Nie rozumiem.

– To nie twoja sprawa – rzucił gniewnie. – Zostaw ją w spokoju.

– Ale...

Chwycił ją za ramię.

– Ostrzegam cię, Nielo. Trzymaj się z dala od tego. Nie mieszaj się w sprawy, które ciebie nie dotyczą.

– Ależ dotyczą! – wybuchnęła, zaskoczona jego reakcją. – Jestem twoją żoną.

– Ostrzegam cię, Nielo. Zostaw to, słyszysz? – warknął, zaciskając palce na jej ramieniu.

Spróbowała się wyrwać.

– To boli – zaprotestowała. – Puść mnie.

– Jeśli obiecasz, że przestaniesz się tym zajmować. To jest moje życie, nie twoje.

– Wiem, że twoje. Staram się tylko pomóc.

– Nie potrzebuję twojej cholernej pomocy. Prosiłem cię o nią? – W jego głosie brzmiał gniew. – Trzymaj się z dala od mojego życia.

Puścił gwałtownie jej ramię. Cofnęła się, zaczepiając piętą o kamień, i omal nie upadła na ziemię. Wyciągnęła rękę, żeby utrzymać równowagę. Kiedy się wyprostowała, Josh odchodził. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale jego sztywne plecy i ramiona powiedziały jej, że nie będzie jej słuchał. Roztarła obolałe ramię i rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy ktoś był świadkiem ich kłótni, lecz nie zauważyła nikogo. Ścieżka prowadząca do głównej drogi była pusta. Nad głową przeleciał z krzykiem ptak – jedyny świadek sceny. Trzęsącymi się rękoma zebrała włosy w węzeł. Dzięki Bogu, że nikt ich nie widział. Na co ona natrafiła, na miłość boską?

Josh maszerował w stronę miasteczka, dysząc gniewnie. Cały się trząsał i nie mógł nad tym zapanować. Nie chciał krzyczeć na Niełę, ale ogarnęło go tak silne poczucie zdrady, jak tylko zaczęła opowiadać o tym, gdzie była cały ranek, że nie mógł myśleć o niczym innym. Grzebała w przeszłości – dlaczego? Co zamierzała zrobić z tymi informacjami? Uraza i strach zatamowały mu oddech. Poczł, że za chwilę się udusi, jeżeli nie odejdzie.

Pchnął drzwi piwiarni w końcu rynku, na wprost merostwa, i ruszył prosto do baru. Zamówił koniak i jednym haustem opróżnił zawartość kieliszka. Jeżeli właściciel pomyślał, że to dziwne, nie odezwał się słowem, po prostu ponownie napełnił kieliszek. Jedną z rzeczy, które lubił u Francuzów, była dyskrecja. W Londynie zaraz zaczęliby zadawać pytania i wymuszać odpowiedzi, a tu nikt nie udawał, że kogoś to obchodzi. Jeżeli gość chciał pić na umór, to niech sobie pije. To jego decyzja i jego sprawa. Wziął kieliszek, podziękował i wypił tym razem wolniej. Wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. To też lubił we Francji. Mógł palić, gdzie mu się podobało. Wziął kieliszek, rozejrzał się i znalazł pusty boks w kącie sali. Musiał pobyć sam i pomyśleć.

L'Aubrevoir de Mougins. Julia spojrzała na szyld i zawahała się. Czy powinna wejść? Czy się ośmieli? Szła do miasteczka kilkaset metrów za Joshem, gdy nagle

przystanął. Zobaczyła, że z przeciwnej strony nadchodzi Niela. Julia też się zatrzymała i mimowolnie podsłuchiwała początek rozmowy, który sprawił, że rozejrzała się za jakąś kryjówką. W końcu schowała się za jednym z dębów rosnących wzdłuż ścieżki. Po kilku minutach zobaczyła, że Josh odchodzi wyraźnie zdenerwowany, a po chwili Niela przeszła obok niej z twarzą zalaną łzami. Julia odczekała dziesięć minut, zanim zdecydowała się iść dalej, choć nie bardzo wiedziała, dokąd.

Sięgnęła ręką do klamki i w tym momencie drzwi się otworzyły.

– *Merde, pardon, excusez-moi.*

Wychodzący mężczyzna omal na nią nie wpadł.

– *Excusez-moi* – przeprosił ponownie i ruszył w stronę rynku.

Julia rozejrzała się po zadymionym wnętrzu. Przy barze stało kilku mężczyzn, lecz nie zauważyła Josha. W końcu dostrzegła go siedzącego samotnie w kącie sali. Przełknęła nerwowo ślinę. Co ona, u diabła, robi? Ruszyła w jego stronę, ignorując ostrzegawczy wewnętrzny głos.

– Cześć. – Stała przy jego stoliku. Podniósł wzrok. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. – Widziałam, jak tu wszedłeś – powiedziała w końcu. –

I pomyślałam, że...

– Co? – spytał spokojnym głosem.

Nie mogła się powstrzymać.

– Pomyślałam, że może potrzebujesz towarzystwa – odpowiedziała, siadając bez zaproszenia na wprost niego.

– Rób, jak chcesz – odrzekł, wzruszając ramionami. – Nie jestem w nastroju do rozmowy.

– Ty chyba w ogóle nie jesteś rozmowny – odparowała, zaskakując samą siebie. Skąd się wziął ten żartobliwy ton? – Już zapomniałeś, że spędziliśmy razem wieczór w barze?

– Tak, spędziliśmy.

– No to co pijesz?

– Koniak. Ten jest trzeci.

– Chętnie się napiję. Masz ochotę na jeszcze jeden?

– Jasne. Czemu nie?

Koniak był mocny. Przyjemnie palił w gardle i rozgrzewał żołądek. Nic nie jadła. Dochodziło południe i poranne wydarzenia wydały się nagle snem. Siedzieli naprzeciwko siebie. Julia bezskutecznie starała się nie gapić na niego, na ciemnobrązową skórę przedramienia, zahartowaną i opaloną. Nosił srebrną bransoletkę – prostą, bez żadnych ozdób, ale nie miał obrączki. Jeśli o to chodzi, to jego żona też nie. Poczula się nagle nieswojo. Przed oczyma stanęły jej plecy Nieli, rytmicznie wznoszące się i opadające. Mignęła jej również twarz Josha. Ten obraz wolałaby wyrzucić z pamięci. Przełknęła łyk alkoholu, zastanawiając się, kiedy on

raczy się odezwać. Targały nim jakieś emocje, ale nie miała odwagi o nie spytać. Siedzieli i sączyli koniak w kompletnym milczeniu. Powoli zaczęło do niej docierać, że to też jest forma komunikacji, ale nie taka, jakiej pragnęła.

Co, u diabła, ona tu robi? Josh siedział na wprost Julii, obserwując ją spod półprzymkniętych powiek. Gniew, który w nim zapłonął, powoli rozlewał się po całym ciele wraz z mocnym koniakiem. Nigdy nie był rozmowny, wolał bezpieczne towarzystwo własnych myśli. Niela to wszystko zmieniła – jej własne milczenie było silniejsze i głębsze niż jego i w rezultacie czuł się zmuszony wypowiedzieć to, co ukrywał, nawet wbrew własnej woli. Właśnie to najbardziej go gniewało – pomyślał, przełykając kolejną porcję koniaku. Zaufał jej bardziej niż sobie. Jego gniew wznosił się i opadał jak oddech, aż w końcu nie mógł już tego znieść.

– Chodź – powiedział nagle, po czym wstał, nie bardzo uświadamiając sobie, co robi. Julia popatrzyła na niego. Nigdy nie uważał jej za ładną, była zbyt zimna i powściągliwa, teraz jednak, patrząc na jej nieufny wyraz twarzy, doszedł do wniosku, że zmienił zdanie. Nagle dały o sobie znać stare nawyki. – Chodź – powtórzył, dopijając koniak i odstawiając ostrożnie kieliszek na stół.

Wstała bez słowa i poszła za nim.

Wyszedł na skąpany w słońcu rynek, przyzwyczajając wzrok do zmiany oświetlenia, i bez słowa ruszył w dół wzgórza. W dolinie skręcił w lewo zamiast w prawo, wybierając ścieżkę porośniętą chwastami. Była to boczna droga prowadząca do domu, która po kilku minutach skończyła się przy murze na tyłach posiadłości. Przedarł się przez zarośla i znalazł małą kłamkę. Była zardzewiała, ale w końcu ustąpiła. Pchnął drewnianą furtkę, przeszedł przez nią, po czym odwrócił się do Julii i podał jej rękę. Miała zimne palce. Drzwi do domku przy basenie były jak zwykle otwarte. Trzymając się za ręce, weszli do chłodnego, pachnącego wilgocią wnętrza pełnego nieużywanych narzędzi i mebli. W rogu stała stara kanapa. Nagle czas jakby się cofnął i Josh zobaczył siebie, jak siada na tej kanapie i bierze w ramiona kobietę, którą tu przyprowadził. Nie pamiętał już, ile razy przychodził tu jako nastolatek z dziewczyną lub sam. Czasami uciekał tu od podskórnych prądów krążących po domu i tego, co się tam zdarzyło i co nadal trwało. Na myśl o tym wpadał w gniew. Czemu właśnie on musiał być świadkiem tego, co robiła Diana? Dlaczego nie Rafe albo Aaron? Nie zadrećzaliby się tak jak on, bo mieli siebie. On nikogo.

Objął Julię w talii, rozpoczynając dobrze mu znaną grę. Błądził myślami daleko stąd, gdy wsuwał ręce pod jej bluzkę, zatrzymując się tu i tam, dotykając i drażniąc. Była chętna i reagowała szybko. W ciągu kilku sekund, tak mu się zdawało, leżała na kanapie, a on przykrywał ją swoim ciałem. Przyzwyczał się do gęstych włosów Nieli; Julii były inne, takie jak Ranii, opadały na ramiona w miękkich, śliskich pasmach. Wsunął w nie palce, ale nie mógł ich przytrzymać, nie mógł zanurzyć się

w ich gęstwinie jak we włosach Nieli. Przyciągnął ją do siebie, chwytając za uda i nogi, ale to wściekłość kierowała jego ruchami. Wiedział, że może jej sprawiać ból, lecz nie dbał o to. Jakby go tu wcale nie było. Wszedł w nią gwałtownie, nie myśląc o tym, czy jest gotowa, czy nie. Musiała tego chcieć. W przeciwnym razie po co szłaby za nim? Koniak, gniew i ból wirowały mu w głowie jak szalone. Przed oczyma mignęła mu twarz Nieli, gdy na nią krzyknął tego ranka. Potem stracił kontrolę nad swoim ciałem i zobaczył twarze Diany i stryja zastygłe w niepohamowanej, wścieklej żądz. Nagle, znacznie wcześniej, niż oczekiwał, wstrząsnął nim potężny prąd i nie mógł już myśleć o niczym innym.

Serce Julii biło gwałtownie, nogi jej się trzęsły. Josh leżał z zamkniętymi oczyma i głową odwróconą w drugą stronę. Czuła, jak powoli się rozluźnia i wycofuje. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Co ona zrobiła? Spróbowała się podnieść, lecz on nadal przyciskał ją swoim ciałem. Język miała ciężki jak ołów i suchość w ustach.

– Przepraszam – wyjąkała, usiłując się wyswobodzić.

Przesunął się lekko i wtedy udało jej się wyciągnąć najpierw jedną, potem drugą nogę. Spódnicę miała podciągniętą do pasa i rozpiętą bluzkę. Twarz i szyję zalała jej fala wstydu. Wstała niezdarnie. Josh nadal leżał z zamkniętymi oczami. Opuściła spódnicę i zaczęła szukać majtek, lecz nie mogła ich dostrzec w panujących w domku ciemnościach. Włożyła pantofle i poprawiła włosy. Nie musiała się tym przejmować, bo Josh wciąż nie otwierał oczu. Chciała coś powiedzieć, lecz żadne słowo nie przeszło jej przez gardło. Spojrzała na niego po raz ostatni. Leżał na starej sofie w rozchełstany ubraniu i wyglądał, jakby miał się nigdy nie obudzić. Otworzyła drzwi i wymknęła się na dwór, czując, jak rozpacz wznosi się i opada w jej piersi niczym oddech. Co ona najlepszego zrobiła?

CZEŚĆ ÓSMA

JULIA

Londyn, sierpień 2000

W łazience panowała głucha cisza. W kuchni mieszczącej się gdzieś w połowie korytarza krzątał się Aaron. zaproponował, że przygotuje kolację. Trzeci raz w tym tygodniu nie czuła się dobrze i bardzo się o nią martwił.

– Ja zrobię kolację – powiedział, gdy wrócił wieczorem do domu i zastał ją w łóżku, bladą na twarzy i wymizerowaną. – Co byś chciała?

Popatrzyła na niego zdezorientowana. Jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej myślała.

– Cokolwiek. Prawdę powiedziawszy, nie jestem głodna.

– No dobrze, coś wymyślę, a ty sobie leż.

Po tych słowach zniknął w kuchni. Wstała powoli, czując, jak serce podchodzi jej do gardła, i poszła do łazienki. Nie mogła dłużej tego odkładać.

Drżącymi palcami otworzyła opakowanie, które nosiła przez cały dzień, i przeczytała instrukcję. Wynik pewny na dziewięćdziesiąt dziewięć i osiemdziesiąt siedem setnych procent – informował producent. Oderwała resztę opakowania i wrzuciła do kosza na śmiecie. Usiadła na sedesie i utkwiała wzrok w suficie. Dostrzegła małą pajęczynę, której szczotka sprzątaczkii nie zdołała dosięgnąć. Chwilę później wyjęła biały plastikowy pasek, lecz nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć. Minęła jedna minuta, potem druga. No dalej, Julio – ponagliła siebie. Przełknęła ślinę i spojrzała. Na pasku widniały dwie cienkie niebieskie linie, niewyraźne na brzegach, ale bez wątpienia niebieskie. Wynik dodatni, jak napisano na opakowaniu. Wpatrywała się w pasek, czując skurcz żołądka, a pod powiekami gromadzące się palące łzy. Nagle rozległ się dźwięk klaksonu, a zaraz potem ostry kobiecy śmiech. Odwróciła głowę w stronę okna. Był letni wieczór, ulicą przechodzili ludzie zajęci swoimi sprawami, zupełnie nieświadomi dramatu rozgrywającego się kilka pięter wyżej. Owinęła tester w papier toaletowy i włożyła do torebki. Potem wstała i umyła ręce. Musi z kimś porozmawiać – pomyślała. Nie może dłużej utrzymywać tej wiadomości w sekrecie.

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Słyszała, jak Aaron nakrywa do stołu, wysuwa i zamyka szuflady, otwiera butelkę wina. Życie toczyło się utartym torem. Pogawędzą o prowadzonych sprawach, plotkach biurowych. Ona pogrzebie widelcem w talerzu, odmówi picia wina... takie tam zwykłe, codzienne czynności. Tylko że nie będzie jak zwykle, jest przecież w ciąży. Nosi w łonie dziecko brata swojego męża. To nie miało sensu. Teraz wszystko straciło sens. Miała ochotę

odwrócić się do ściany i rozpłakać.

Trzy dni później siedziała na wprost Doma w salonie na górze w Hayden Hall, z którego rozciągał się widok na miejsce, gdzie brała ślub z Aaronem. Nie mogła się zdobyć na to, by spojrzeć w okno, więc skupiła wzrok na przyjacielu. Wyraz jego twarzy można by uznać za komiczny, tylko jej wcale nie było do śmiechu.

– Co zrobiłaś? – spytał słabym głosem, przesuwając dłonią po twarzy.

Utkwiła spojrzenie w dłoniach.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu stało się.

– Takie rzeczy nie dzieją się tak po prostu. Jak do tego doszło? I od kiedy to trwa?

– W tym sęk, że wcale nie trwa. Ledwie ze sobą rozmawialiśmy. Spotkałam go w Johannesburgu i...

– W Johannesburgu? – powtórzył Dom jeszcze bardziej zaskoczony. – Julio, co się dzieje?

Oblała się rumieńcem.

– Nic się nie dzieje. Kompletnie nic. Chodzi o to, że... Cholera, Dom, co ja narobiłam?

– Co ty narobiłaś? Nie chcę mówić oczywistości, ale do tego trzeba dwojga.

– Wiem – wyszeptała. – Nie umiem tego wytłumaczyć. Zobaczyłam go z Nielą... Pokłócili się i on odszedł. Poszłam za nim, żeby porozmawiać, i wtedy to się stało. To był tylko ten jeden raz. Musisz mi uwierzyć, Dom. Nigdy więcej tego nie zrobię. Nigdy.

Dominik zagwizdał cicho, wolno wypuszczając powietrze z policzków.

– Wszystko to pięknie, Burrows, ale co z dzieckiem?

Poczuła, że żołądek jej się ściska.

– Nie wiem, co robić – powiedziała, wykręcając nerwowo ręce. – Chodzi o to, że... próbowaliśmy z Aaronem od jakiegoś czasu. Ze mną wszystko w porządku – dodała, zniżając głos niemal do szeptu. – Przynajmniej tak twierdził lekarz. Wygląda na to, że miał rację. Ale Aaron nawet nie chciał słyszeć o zrobieniu badań. Chyba nie zniósłby myśli, że coś może być z nim nie w porządku.

– Nic dziwnego. Większość mężczyzn tak by zareagowała. – Dom dopił herbatę i wcisnął dzwonek. – Przydałoby się coś mocniejszego, nie sądzisz?

Julia pokręciła głową.

– Nie mogę. Zresztą i tak bym nie mogła.

– Wybacz, zapomniałem. Przepraszam cię, kochanie, ale ja muszę się napić. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, poproszę o dżin z tonikiem. – Pokręciła głową. Chwilę później pojawiła się ubrana w mundurek służąca i przyjęła zamówienie. – Co zatem zamierzasz zrobić? – spytał, gdy wyszła.

Julia przez chwilę milczała.

– Nie wiem – odparła, rozwierając ramiona w geście bezradności. – Po prostu nie wiem.

– Czy Aaron wie?

– Oczywiście, że nie. – Popatrzyła na niego zszokowana. – Nie mogę mu powiedzieć. Po prostu nie mogę.

– No cóż, pewnie znasz go lepiej. Tylko zrób wszystko, żeby nigdy się nie dowiedział o aborcji.

Julia wolno podniosła wzrok.

– W tym właśnie sęk, Dom – zaczęła z wahaniem. – Nie jestem pewna, czy chcę to zrobić. To znaczy usunąć.

– O czym ty mówisz? Nie... Chyba nie myślisz o tym, żeby je urodzić? – Na twarzy Dominika znowu pojawił się komiczny wyraz. – Mówisz poważnie? Chcesz je urodzić i nie przyznać się, że to nie jego dziecko? Jak zamierzasz to zrobić?

– Nie wiem. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

– A niech to. O, dziękuję, Mary. – Służąca przyniosła dżin z tonikiem. – Na pewno nie chcesz łyka?

Julia pokręciła głową i odwróciła się do okna. Daleko, aż po horyzont, ciągnęły się starannie przystrzyżone trawniki, które już zaczynały żółknąć. Rosnące za nimi rzędy dębów przyciągały wzrok ku okolicznym wzgórzom otaczającym jezioro. Liście wiekowych drzew straciły już letnią świeżość. Według własnych obliczeń była mniej więcej w szóstym tygodniu ciąży. W ciągu najbliższych dwóch powinna podjąć decyzję. To prawie jak wiek.

– Nie wiem, co robić, Dom – powiedziała, odwracając się do niego z twarzą mokrą od łez. – Po prostu nie wiem.

Milczał przez chwilę, po czym jednym haustem opróżnił szklanę. Julia patrzyła na niego, czekając na reprimendę. Nie doczekała się.

– Jeżeli chcesz je urodzić – zaczął – musisz zrobić wszystko, żeby Aaron nigdy się nie dowiedział. Taki sekret może rozbić rodzinę. Jesteś na to gotowa, żeby do końca życia utrzymać to w tajemnicy?

Nie umiała na to odpowiedzieć i nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Liz, mogłabyś odbierać do mnie telefony? – Julia włożyła płaszcz i wzięła parasolkę. – Powinnam wrócić za godzinę.

– Jasne. – Dziewczyna uśmiechnęła się do niej. – Popilnuję gospodarstwa.

Julia otworzyła ciężkie drewniane drzwi prowadzące na dziedziniec i rozłożyła parasol. Znowu padało. Minął tydzień od wizyty w Hayden Hall i dłużej nie mogła tego odkładać. Przeszła przez dziedziniec w stronę bramy wychodzącej na Gray's Inn Road. Zegar na wieży kościelnej wybił godzinę szesnastą trzydzieści.

Przyspieszyła kroku. Umówiła się z Joshem na tę godzinę. Na ulicy jak zwykle panował duży ruch. Przeszła na drugą stronę i dotarła do kawiarni. Pchnęła drzwi i rozejrzała się po sali. Już tam był, siedział tyłem do okna. Złożyła parasol, odstawiła na bok, po czym podeszła do stolika.

– Josh. – Popatrzyła na niego niepewnie.

Unióś głowę. Trudno było wyczytać coś z jego twarzy. Nie stracił jeszcze opalenizny z Mougins. W ponurym, mokrym Londynie wyglądał jak okaz zdrowia i energii. Poczła nieoczekiwany przypływ podniecenia, który zdziwił ją i zaskoczył. Serce waliło jej w piersi.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała pospiesznie, siadając przy stoliku. – Wiem, że jesteś zajęty, więc będę się streszczać. – Słyszała od Diany, że on wkrótce wyjeżdża. Musiała z nim porozmawiać, bo nie wiedziała, jak długo go nie będzie. – Napijesz się czegoś? – spytała, patrząc na niego niepewnie. Pokręcił głową i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Diana mówiła, że wkrótce wyjeżdżasz. – Teraz, gdy siedziała na wprost niego, nagle zabrakło jej odwagi.

– Tak. – Zapalił papierosa, ale nie podjął tematu.

Wzięła głęboki oddech. Gwar rozmów jakby się oddalił.

– Nie ma innego sposobu, by to powiedzieć. Jestem w ciąży, Josh. To prawie siódmy tydzień. – Złożyła dłonie na kolanach, by powstrzymać ich drzenie, i starała się nie patrzeć na niego.

– Kiedy się o tym dowiedziałas? – spytał po chwili, gasząc papierosa.

– Dwa tygodnie temu. – Przełknęła ślinę. – Zrobiłam w domu test.

– Skąd wiesz, że to moje dziecko?

Poczła ostre ukłucie bólu. Zawahała się.

– Nie spałam z Aaronem od... od Mougins. Staraliśmy się o dziecko od jakiegoś czasu. Nie chcę o tym mówić, nie musisz wiedzieć. I nie byłoby to uczciwe w stosunku do niego. Ale nie wiem, co robić i...

– Nie możesz go urodzić – powiedział beznamiętnym głosem.

Popatrzyła na niego.

– O tym ja zadecyduję, nie ty – odparła ostrym tonem, urażona wrogością brzmiącą w jego głosie.

– Nie możesz go urodzić – powtórzył.

– To ja podejmę decyzję.

Wziął paczkę papierosów leżącą na stole i wstał.

– Nie możesz go urodzić, Julio. To... to zniszczyłoby wszystko i wszystkich. Wiem, co mówię. – Przeczesał ręką włosy. W jego oczach pojawił się wyraz dziwnego zaszczucia. – Ja... muszę już iść.

Była zbyt zaskoczona, by mu odpowiedzieć. Patrzyła, jak Josh wkłada skórzaną kurtkę i podchodzi do drzwi. Zamknęły się ze stuknięciem i nagle została sama.

Wyszedł z kawiarni prosto w deszcz. Wiał porywisty wiatr, który wywracał parasole, podrywał kobietom spódnice i szarpał za nogi, lecz on w ogóle tego nie dostrzegając. Podniósł kołnierz kurtki i ruszył Gray's Inn Road, nie mając pojęcia, dokąd idzie. „Jestem w ciąży”. Słowa Julii dźwięczały mu w uszach. „Jestem w ciąży”.

Nadjechał autobus. Wsiadł do niego, nie wiedząc, w jakim kierunku jedzie. Zajął miejsce z tyłu, między dwiema słusznymi rozmiarów Turczynkami obładowanymi zakupami. Kobiety rozmawiały ze sobą ponad jego głową, jakby w ogóle nie istniał. Był im wdzięczny za to, że nie zwracają na niego uwagi. Myśli wirowały mu w głowie jak szalone i nie mógł ich pozbierać. Spróbował odtworzyć przebieg wydarzeń dnia. Był sam w domu, leżał na kanapie i oglądał telewizję, gdy zadzwonił telefon. Usłyszał w słuchawce głos Julii.

– Niela jest w pracy – powiedział, skacząc po kanałach i zastanawiając się, czego ona, u diabła, chce. Miał jeszcze tydzień przymusowych wakacji przed następnym zadaniem. Nie mógł się już doczekać wyjazdu.

– Nie chcę rozmawiać z Nielą. Właściwie to... to mam sprawę do ciebie.

– Do mnie? O co chodzi? – Był zdziwiony i zirytowany. Chciał wyrzucić z pamięci epizod w Mougins.

– Czy moglibyśmy się spotkać? Wolałabym nie mówić tego przez telefon.

Poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

– Kiedy?

– Może dziś po południu. Koło wpół do piątej.

– Dobrze. Gdzie?

Podła nazwę kawiarni na Gray's Inn Road. Odłożył słuchawkę, uświadamiając sobie, że wszystko, co próbował zepchnąć w czeluść niepamięci przez ostatnie dwa miesiące, powoli wypływa na powierzchnię.

A teraz siedział w autobusie jadącym nie wiadomo dokąd, wciśnięty między dwie kobiety, które gadały jak najęte w nieznanym mu języku, obmywającym go niczym deszcz. Jak to się stało? Pokręcił z irytacją głową. Głupie pytanie. Dobrze wiedział, jak. Należałoby raczej zapytać: dlaczego? Rozumiał teraz, co znaczy „chwilowa

niepoczytalność”. Miał wrażenie, jakby tamtego dnia ogarnęło go na moment szaleństwo. Ponownie pokręcił głową, tym razem bardziej energicznie. Kogo on oszukuje? Co Rania mu powiedziała? Przypomniawszy sobie ostatnie spędzone z nią miesiące, gdy oboje robili wszystko, by siebie zranić. „Jeśli raz coś zrobiłeś, zrobisz ponownie”. Miała rację. Oszukiwał ją tak jak ona jego. Zawsze tak postępował, a wówczas wydawało się, że to jedyny sposób. Wet za wet, oko za oko, krzywda za krzywdę. Wiedział, że ma spalone poczucie sprawiedliwości, i wiedział, dlaczego, ale w niczym to nie pomagało. Kiedy dowiedział się, co Rania zrobiła, uznał, że jedynym sposobem jest odpłacić pięknym za nadobne. I zrobił to. Nie raz, nie dwa, ale wiele razy, aż w końcu nie mogła tego znieść, podobnie jak on. Wtedy spakował swoje rzeczy i wyprowadził się z mieszkania, które zajmowali w Ammanie. Był to jego ostatni dom, aż do teraz, do Nieli. No i sytuacja się powtórzyła. Tylko że tym razem osoba, z którą to zrobił, nie była jakąś młodą pracownicą organizacji pozarządowej, którą mógł przelecieć i rzucić. Tym razem było inaczej. Julia spodziewała się dziecka. Uwierzył, że to jego. W jej twarzy było coś czystego i szczerego, a w oczach ani cienia kokieterii czy przebiegłości. Nie, kłamstwa żonie Aarona nie mógł zarzucić. No i co, u diabła, miał teraz zrobić? Wzburzony, przeczesał ręką włosy. Chryste, ale się porobiło! Historia lubi się powtarzać. Kury wracają do kurnika na grzędę. Jabłka i jabłonie. Mógł sypać podobnymi truizmami jak z rękawa.

NIELA

Londyn, sierpień 2000

Niela utkwiała wzrok w dłoniach. Anna patrzyła na nią wyczekująco.

– Ja... sama nie wiem – powiedziała w końcu. – Próbowałam porozmawiać o tym z Joshem tego samego dnia, gdy poszłam do miejskich archiwów. Ale on wpadł w gniew i po prostu odszedł. – Urwała, jakby sobie uświadomiła, że i tak za dużo powiedziała. Zawahała się, wyraźnie rozdarta. – Chodzi o to... – Znowu urwała. Nie powinna mówić Annie, co Josh powiedział jej o Dianie i Rufusie, ale musiała się komuś zwierzyć. Wzięła głęboki oddech. – Diana miała romans – powiedziała wolno. – Podejrzewam, że nadal ma. Z Rufusem, bratem Harveya, stryjem Josha.

Oczy Anny zrobiły się okrągłe.

– No i? – zniżyła głos do szeptu.

– Jest jeszcze coś.

– Co?

– Chodzi o ogrodnika. Ma... miał na imię Mohammed. Zniknął jakieś trzydzieści lat temu. Znalazłam opis tej sprawy w archiwach.

Opowiedziała całą historię.

Anna milczała dłuższy czas, gdy opowieść dobiegła końca. Niela patrzyła na nią bez słowa. Czuła ogromną ulgę, że wreszcie to z siebie wyrzuciła, że ubrała w słowa to, o czym bała się nawet myśleć.

– No i co o tym sądzisz? – spytała, nie mogąc dłużej znieść ciszy. – Uważasz, że zwariowałam?

Anna uniosła filiżankę z kawą, wypila łyk i pokręciła głową.

– Nie, nie zwariowałaś. Ale w tej rodzinie jest zbyt dużo tajemnic. Nie możesz tak dalej żyć. Musisz powiedzieć Joshowi to, co mnie powiedziałaś. Musisz mu pomóc dowiedzieć się, kim jest naprawdę.

Niela skinęła wolno głową. Anna miała rację. Czas przerwać ten cykl milczenia. Josh wyjeżdża za kilka dni. Musi zrobić to teraz.

– Dziękuję – powiedziała Annie, po czym wstała i włożyła płaszcz. – Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

– Powodzenia – odpowiedziała przyjaciółka, ściskając ją. – Dzwon, jeżeli będziesz potrzebowała. Pamiętaj, że możesz na mnie liczyć.

Niela uśmiechnęła się blado.

– Jak mogłabym zapomnieć? Zawsze byłaś dla mnie wsparciem.

Wzięła parasol i opuściła mieszkanie Anny. Zamierzała iść do metra, lecz zmieniła zdanie i wsiadła do autobusu. Był piątek. Wzięła dwa dni wolne, żeby spędzić je z Joshem. Dochodziła siedemnasta, o tej porze w metrze panował straszny tłok.

Zobaczyła go, jak autobus wyjechał zza zakrętu. Wyszedł z kawiarni i ruszył przed siebie. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to on. Nie wspominał, że wybiera się po południu na West End. Wyglądał, jakby się spieszył. Autobus dojechał do miejsca, gdzie była kawiarnia. Może powinna teraz wysiąść. Wstała i wówczas zobaczyła Julię, jak wychodzi z tego samego lokalu, co przed chwilą Josh. Śledziła ją zaskoczona. Żona Aarona podążyła w przeciwnym kierunku, otulając się szczelnie płaszczem. Serce Nieli zabiło gwałtownie. Coś było nie w porządku. W tym momencie autobus zahamował, a ona klapnęła na siedzenie. Poczowała dziwny ucisk w dole brzucha. Mocniej ścisnęła parasolkę, czując, jak powoli wzbiera w niej strach.

Dochodziła ósma wieczorem, gdy Josh pojawił się wreszcie w domu. Niela była w kuchni i szykowała kolację. Od chwili, gdy ich zobaczyła, dręczyło ją pytanie: dlaczego Josh spotkał się z Julią? Co mogło ich łączyć? Czy jej niepokój jest uzasadniony? Pokroiła cebulę, wrzuciła pomidory do garnka z gotującą się wodą, postawiła na kuchence patelnię. Wszystkie te czynności wykonywała automatycznie, nie bardzo nawet wiedząc, co gotuje. Może nic się nie stało, może spotkali się, aby porozmawiać o Aaronie. Julia wspominała, że mają problemy, ale nie powiedziała, jakie. Może chodziło po prostu o braterską radę. Popatrzyła na smażącą się cebulę i nagle obraz się zamazał. Teraz już miała pewność, że kryje się za tym coś więcej.

Gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, nie mogła myśleć jasno. Rosnący w niej strach rozplątał się po całym ciele. Bała się tego, co Josh może powiedzieć i czego nie powie.

– Cześć. – Stał w drzwiach kuchni. Wyglądał, jakby szykował się do wyznania.

– Cześć. – Czekala, wstrzymując oddech.

– Co tam w pracy? – spytał. W jego głosie było napięcie. Oparł się rękami o framugę drzwi.

Niela popatrzyła na niego.

– Byłam u koleżanki – odpowiedziała wolno. – Miałam dziś wolny dzień.

– No tak, racja, zapomniałem.

Opuścił ręce, podszedł do niej i dotknął jej twarzy. Drgnęła. Chwycił palcami niesforny kosmyk włosów i założył go delikatnie za ucho. Ten gest ją rozbroił. Poczowała lży pod powiekami. Odwróciła się pospiesznie, chcąc je ukryć, i pochyliła się nad patelnię. Żadne z nich nie mogło wypowiedzieć słowa.

Leżał bezsennie, odmierzając czas miarowym oddechem śpiącej Nieli. Za kilka dni miał lecieć do Tanzanii. Podpisał kontrakt na trzy miesiące. Gdy wróci, wszystko się zmieni. Julia będzie w piątym miesiącu. Nie da się już tego ukryć. Obrócił się twarzą do ściany. Leżał w ciemnościach, wpatrując się w długi, ciągnący się w nieskończoność tunel, i zastanawiał się, jak ma przez niego przejść. Nie chodziło tylko o to, że zrobił coś karygodnego i zdradził Nielę. Lepiej od innych wiedział, jakie szkody może spowodować tajemnica. Tajemnice były jak trucizny, sączyły się cicho i niepostrzeżenie, plugawiąc wszystko na swojej drodze, aż w końcu nic już nie było prawdziwe i czyste. To właśnie pociągało go w Nielę – jej czystość. Wydawała się taka otwarta, szczerą, jasną i silną. A on skaził ją swoją mrocznością. Tylko do tego był zdolny. Zamknął oczy, próbując jednocześnie odgradzić się od bólu.

DIANA

Londyn, sierpień 2000

Doktor Geoffrey Laing przestał mówić. Jego głos rozplynął się w ciszy. Za oknem, do którego dostępu broniła niebieskoszara żaluzja, padał deszcz. Był koniec sierpnia, a miało się wrażenie, jakby taka pogoda trwała od miesięcy. Diana wzięła głęboki oddech i spróbowała się skupić.

– Ile mam czasu? – spytała.

Zabrzmiało to nienaturalnie głośno. Sięgnęła do twarzy i przesunęła palcem wzdłuż linii ust. Zachciało jej się papierosa, chociaż nie paliła od trzydziestu lat. Musiała coś zrobić z rękoma. Zegar na ścianie wybił godzinę jedenastą. Cały ranek wydawał się nierzeczywisty. Od chwili, gdy sekretarka odebrała telefon wzywający ją na wizytę, wiedziała, że nie usłyszy dobrych wieści. Dziwne, ale od dawna się tego spodziewała.

– Trudno powiedzieć, Diano. – Geoffrey był kolegą i przyjacielem Harveya. Wyniki, z powodu których wezwał ją do siebie dziś rano, nie pozostawiły wątpliwości, dlatego ta rozmowa była trudna dla nich obojga. W jego głosie brzmiał ledwo skrywany smutek. – Jest taka nowa eksperymentalna metoda, którą możemy zastosować w twoim przypadku. Nie przeprowadziliśmy jeszcze wszystkich prób klinicznych, ale wszystko wskazuje na to, że...

– Ile mam czasu? – powtórzyła, przerywając jego wywód. Spojrzała mu prosto w oczy.

Uniósł ramiona i pozwolił im opaść.

– Sześć miesięcy, rok, trudno przewidzieć.

– A jeżeli się nie zgodzę? Na tę nową metodę?

Pokręcił wolno głową.

– To znacznie skróci ten czas.

– Do tygodni? Miesiący?

– Najwyżej do kilku miesięcy. To wyjątkowo agresywna postać, Diano. Od dawna nie spotkałem się z takim przypadkiem.

– Czy Harvey wie?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Ależ skąd. Nie mógłbym... Nie, wiemy tylko my dwoje. Od ciebie zależy, kiedy i co mu powiesz. Oczywiście jestem do waszej dyspozycji.

– Dziękuję, Geoffrey.

Zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to bardzo oficjalnie. Znała Geoffreya od lat.

On i Harvey razem studiowali medycynę. Kiedy dwa tygodnie po powrocie z Mougins odkryła mały guzek pod lewym ramieniem, w miejscu, gdzie pierś łączy się z mięśniem, nie miała wątpliwości, że pójdzie właśnie do niego. Nikomu o tym nie powiedziała, nawet Harveyowi. Wizytę umówiła Judith, jej sekretarka. Gabinet Geoffreya mieścił się przy Harley Street. Wszedł do poczekalni, jak tylko zobaczył jej nazwisko. Dał znak ręką i natychmiast zaprosił ją do środka. Nie ma potrzeby, żeby czekała. Kilka par brwi uniosło się w górę, gdy ruszyła korytarzem do jego sanktuarium. Ucałował ją w oba policzki. Poczowała znajomy zapach wody po goleniu. Poprowadził ją w stronę fotela i poprosił, by usiadła. Ostatni raz spotkali się na jakimś oficjalnym przyjęciu, na które chodzili kiedyś z Harveyem, gdy byli młodszy i mieli więcej czasu. Teraz rzadko bywała na przyjęciach organizowanych przez Towarzystwo Lekarskie lub imprezach charytatywnych, zwłaszcza tych mających na celu zbiórkę funduszy na badania nad rakiem. Cóż za ironia losu!

A teraz, po dziesięciu dniach od pierwszej wizyty, nadeszła chwila prawdy. Chwila prawdy. Uderzył ją biblijny ton tego określenia. Ile takich chwil przeżyła już w swoim życiu? Siedząc w wygodnym fotelu w gabinecie Geoffreya, uświadomiła sobie nagle, że ta chwila prawdy będzie jej ostatnią i przyćmi wszystko, co zdarzyło się wcześniej.

– Dziękuję – powiedziała. Wstała, wzięła torbę i odwróciła się do niego. – Chciałabym to jeszcze przemyśleć. Wkrótce się odezwę. Byłabym wdzięczna, gdybyś nic nie mówił Harveyowi. Na razie.

– Oczywiście, Dianu. – Zawahał się, po czym dodał już nie jako lekarz. – Strasznie mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć. Właśnie ciebie musiało to spotkać. To po prostu niesprawiedliwe.

– Dziękuję, Geoffrey. – Kiwnęła głową z powagą. – A co jest sprawiedliwe? – Dotknęła lekko jego ręki, po czym wyszła, zanim któreś z nich zdążyło powiedzieć następne słowo.

Przed budynkiem czekała na nią taksówka. Judith ją zamówiła.

– Primrose Hill – zwróciła się do taksówkarza.

Nie czuła się na siłach wracać do kancelarii. Przypomniała sobie o herbaciarni przy Chalcott Crescent, w której dawno nie była. Takiego właśnie miejsca potrzebowała. Musiała pobyć sama i przemyśleć pewne sprawy.

– Proszę bardzo. – Uśmiechnięta kelnerka postawiła przed nią filiżankę herbaty i kawałek ciasta domowej roboty. – Czy życzy sobie pani coś jeszcze?

Pokręciła głową. Popatrzyła na piękną filiżankę w różowe i czerwone róże i uśmiechnęła się lekko. Matka byłaby zachwycona. Lubiła takie porcelanowe, ręcznie malowane, delikatne filiżanki w starym angielskim stylu. Diana uniosła ją teraz do ust. Dawno nie myślała o matce. Zupełnie jakby od jej śmierci minęły całe wieki, a nie dwadzieścia kilka lat. Zawsze tak było. Wspomnienia nawiedzały ją w najmniej spodziewanych momentach. Przez większość życia prawie jej nie

dostrzegając, a gdy matka umarła, miała wrażenie, jakby już dawno ją pogrzebała. Niewiele pozostało po niej wspomnień; w domu zawsze dominował ojciec. Trzęsła się jej ręka, gdy odstawiała filiżankę. To dziwne, że Diana zapamiętała nie to, co matka mówiła czy robiła, ale takie drobne, mało znaczące szczegóły. Porcelanowe filiżanki, kolor zastół w salonie, ulubione kwiaty – blade i piękne, nic krzykliwego czy godnego zapamiętania, jak ona sama. Nagle poczuła, że nie może przełknąć herbaty. Nie pamiętała nawet okoliczności śmierci matki. Co było przyczyną? Demencja, tak w każdym razie wszyscy mówili. Ale ile ona miała lat? Sześćdziesiąt? Sześćdziesiąt pięć? Czy demencja może być przyczyną śmierci? Bardziej prawdopodobna była jakaś choroba spowodowana nadużywaniem alkoholu. Co to mogło być? Chyba coś z wątrobą. Dotknęła twarzy. Miała mokre policzki. Dlaczego tak niewiele wspomnień pozostało jej po rodzicach? Ojca się bała. Zawsze kojarzył się jej ze strachem i obawą przed tym, że ją uderzy. Nie przyznałaby się do tego, ale to dzięki temu nauczyła się ukrywać rodzinne sekrety. Za fasadą pozornie sympatycznej i kochającej się rodziny działały się rzeczy, o których nikt nie powinien wiedzieć, a już najmniej dziecko. Ojciec był lekarzem, dobrze wiedział, jak bić. Matka rzadko, jeżeli w ogóle, pokazywała siniaki. Cathy Pryce doświadczyła wszystkiego – bicia, napadów wściekłości, niekontrolowanych zmian nastrojów, psychicznego znęcania się, a potrafiła jedynie nadstawić drugi policzek. Diana nauczyła się od niej, jak nie być kobietą. Pogardzała nią, nienawidziła jej wymówek, bierności, wybaczenia ojcu wszystkiego, nawet bicia do nieprzytomności. Czasami, gdy słyszała, jak ją bije, najpierw lekko, potem z rosnącą wściekłością, stawała w drzwiach jadalni i zatykała uszy. To nic nie pomagało, bo jego głos i ciosy przenikały przez ściany. Później, znacznie później, słyszała, jak matka go pociesza, opatruje siniaki na jego rękach lub drobne rozcięcia na palcach, jakby to ona była sprawcą. Diana zrobiłaby wszystko, żeby tego nie słyszeć. Słabość matki doprowadzała ją do wściekłości. W tych przerażających chwilach, gdy na siebie krzyczeli i walczyli ze sobą, była gotowa popełnić morderstwo. Pewnego dnia zabije go – myślała. Pewnego dnia. Już niedługo. To Rufus jako pierwszy wypowiedział te słowa. Uciekła do sąsiadów jak zwykle, gdy rodzice się kłócili, ale tym razem z siniakiem na piegopatym policzku. Znalazła się na linii jego ciosu, gdy ojciec zamachnął się przez stół. Poczowała ostry ból, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu, dopóki nie kazał jej wyjść. Wiedziała, co to oznacza: będzie bił mocniej i dotkliwiej, aby zagłuszyć wyrzuty sumienia, że uderzył córkę, chociaż nieumyślnie. Taką miał zasadę – bił zawsze matkę, nigdy córkę.

– Uderzył cię? – spytał Rufus niskim, zimnym głosem.

Pokręciła głową.

– Nie. To był wypadek. Weszłam mu w drogę.

– To dobrze. Bo gdyby cię uderzył, to chybabym go zabił.

Powiedział to z taką pewnością siebie. Tego właśnie dnia zakochała się w nim.

Będzie ją chronił jak nikt inny na świecie. Myliła się. Rufus nie potrafił nikogo

ochronić, a już najmniej siebie. To Harvey, dobry, łagodny Harvey był do tego zdolny. Patrzył na wszystko w milczeniu, nie odzywał się słowem, nie wygłaszał dramatycznych zapewnień jak jego brat. Zachowywał spokojną czujność. Kiedy nadszedł czas i naprawdę potrzebowała ochrony, to Harvey się za nią ujął, nie Rufus. To jednak niczego nie zmieniło, gdyż to Rufus miał nad nią władzę, nie Harvey, pomimo że wyszła za niego za męża.

Wzięła w palce filiżankę i opróżniła ją do dna. Potem sięgnęła do aktówki i wyjęła telefon komórkowy. Patrzyła przez chwilę na ekran, a potem wybrała numer.

- Gdzie jesteś?
- W rosyjskiej herbaciarni. Na Chalcott Crescent, przy...
- Wiem, gdzie to jest. Daj mi pół godziny. I, Diano...
- Tak?
- Nie ucieknij tym razem.

Gdy w końcu przyjechał, w lokalu zrobiło się pusto. Piła już trzecią filiżankę herbaty. Ciasta nie ruszyła. Nie mogła.

– Diano. – Uniosła wzrok. Stał przed nią i jak zwykle wypełniał sobą cały świat. Poczowała łyzy pod powiekami. – Przepraszam, to przez te korki – powiedział, siadając na wprost niej. – Dziwne, że wciąż na mnie czekasz. Miałem wątpliwości, czy cię jeszcze zastanę.

Zamrugnęła powiekami, tłumiąc łyzy, i westchnęła głęboko.

– Nie mam dokąd uciec – odpowiedziała wolno.

– Co się stało?

Nie potrafiła niczego przed nim ukryć. Zawsze tak było. Wzięła głęboki oddech.

– Coś – odpowiedziała. – Muszę z tobą porozmawiać. – Dała znak kelnerce.

Popatrzył na nią obojętnie ciemnobrązowymi oczyma.

– Mogę zapalić? – spytał.

– Proszę bardzo – odpowiedziała. Zaczekała, aż kelnerka przyniesie dzbanuszek z herbatą i filiżankę, po czym znowu odetchnęła. – Nie będę owijać w bawełnę. Nie ma po co. Byłam dziś u Geoffreya Lainga.

– Tego przyjaciela Harveya? Onkologa?

Kiwnęła głową.

– Tak, tego onkologa.

– Chodzi o Harveya?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Popatrzyła, jak Rufus zapala papierosa i wolno odkłada zapalnik.

– A więc chodzi o ciebie – powiedział. – Czy to rak?

– Tak, chodzi o mnie. To rak.

– Gdzie? – spytał zwięźle.

– W piersi.

– Czy da się go usunąć?

Zawahala się i zagryzła dolną wargę.

– Geoffrey wspomniał o jakiejś nowej metodzie. Jest bardziej radykalna i bardziej inwazyjna, ale trudno powiedzieć, czy skuteczna. Chce, bym się jej poddała.

– Co na to Harvey? – spytał.

– Jeszcze mu nie powiedziałam. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, co będzie. Pewnie omówimy wszystkie za i przeciw, ale nie chcę zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę. I nie chcę zostawiać spraw niezakończonych. Tak na wszelki wypadek.

– O czym ty mówisz? Nie bądź głupia. Wyzdrowiejesz. Będziesz miała najlepszą opiekę. Już Harvey się o to postara.

– Nie chodzi mi o opiekę, ale o to, co zrobimy, jeżeli ta metoda nie przyniesie rezultatów. Albo jeżeli nie zdecyduję się na nią.

– Na pewno się uda i na pewno się na nią zdecydujesz. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Diana milczała. Kelnerka przyniosła dzbanuszek z herbatą i napełniła dwie filiżanki.

– Nic nie mogę zrobić w tej sprawie – odezwała się, gdy dziewczyna odeszła. – Nie jestem religijna, jak wiesz, ale jest coś... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. – Położyła dłonie płasko na stoliku i zaśmiała się gorzko. – Mam wrażenie, że sama to na siebie sprowadziłam.

– Przestań. – Rufus potrząsnął głową. – To absurd.

– Czyżby? Pomyśl, co zrobiliśmy. Co ja zrobiłam. Nie mogę przestać o tym myśleć.

– I będzie ci lżej, gdy uwierzysz, że to kara boska, tak? – spytał szyderczo.

Wzdrygnęła się.

– Możesz się śmiać do woli – odparła oschłym tonem. – Nie dbam o to. Zależy mi jedynie na tym, żebyśmy zrobili, co trzeba.

– Co takiego?

– Musimy wyznać całą prawdę. Musimy powiedzieć Joshowi.

– Dlaczego? Co mu to da?

– On musi wiedzieć. Ma prawo wiedzieć. Nie mogę... A jeśli coś mi się stanie? Jeżeli leczenie nie poskutkuje i okaże się, że... – zająknęła się – ...że nie zostało mi dużo czasu? Nie mogę tak zostawić tej sprawy. To byłoby nieuczciwe.

– A jeżeli Josh powie Harveyowi?

– Nie powie.

– Skąd wiesz, że nie powie? Jak możesz być taka pewna?

– Znam Josha. Przecież jest moim synem.

– Nie zapominaj, że najpierw był moim.

MADDY

Londyn, wrzesień 2000

Maddy odłożyła słuchawkę i miała ochotę krzyknąć. Z radości. Ze szczęścia. Patrzyła na telefon, nie mogąc przestać się uśmiechać. Bogowie byli po jej stronie, uśmiechnęli się do niej, wysłuchali jej modlitw. Straciła jedną rolę, ale jakimś cudem, wbrew wszelkim przeciwnościom, pojawiła się druga szansa. Zapisała adres, pod którym w następny piątek miały się odbyć przesłuchania. Rola nie była duża – właściwie bardzo mała, jak uprzedziła ją Stef – ale to dopiero początek. Trzęsącymi się z podekscytowania rękoma zapisała nazwę sztuki, *Fedra*, i pobiegła na górę do gabinetu. Włączyła komputer, by zebrać jak najwięcej informacji o tym dziejącym się w Grecji dramacie. Ponownie spojrzała na adres. Studio przy Goodge Street, tuż przy Tottenham Court Road, dziesięć minut drogi stąd. Przesłuchania zaczynały się o dziewiątej. Na wszelki wypadek przyjdzie pół godziny przed czasem. Odprowadzi Darcy do przedszkola i odbierze ją w porze lunchu, być może z uśmiechem szczęścia na twarzy.

Wydrukowała listę książek, które powinna kupić i przeczytać przez tydzień, żeby w piątek stawić się zwarta i gotowa. Ponownie sięgnęła po słuchawkę. Musi opowiedzieć o wszystkim Julii. Zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie nagle, że nie rozmawiała z nią od prawie dwóch tygodni, a tak naprawdę od miesiąca, czyli od powrotu z Mougins. Julia stale była czymś zajęta: a to konferencją – Maddy nie pamiętała już, gdzie – a to przygotowaniami do jakiegoś ważnego procesu. Potem przez tydzień chorowała – przeziębienie czy rozstrój żołądka. Planowały umówić się na wspólną kolację i zaprosić także Nielę, ale wciąż coś stawało im na przeszkodzie. Przed dwoma tygodniami Diana zaprosiła wszystkich na niedzielny lunch, ale potem go odwołała. Dziwne. Dziwne było również to, że Maddy nawet nie zauważyła, jak szybko płynie czas.

Wystukała numer Julii. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Zostawiła wiadomość na sekretarce i odłożyła słuchawkę. Chyba wszystko z Julią w porządku. Tęskniła za wspólnymi z nią pogawędkami. Jeśli się nad tym zastanowić, szwagierka dziwnie się zachowywała pod koniec pobytu w Mougins. Ostatniego dnia nawet się nie pożegnały. Każda z par wyjeżdżała w innym terminie. Pierwsi wyruszyli Niela i Josh. Ona z Darcy i Rafe'em rano następnego dnia pojechali do Cannes, skąd mieli samolot do Londynu. Julia i Aaron wracali samochodem, więc wyjechali jako ostatni.

Maddy ponownie spojrzała na telefon. Może zadzwoni do Nieli i podzieli się z nią

dobrą nowiną. Polubiła żonę Josha, ale wyczuwała w niej jakąś dziwną rezerwę, która trzymała ją na dystans. Czemu nie miałyby jednak spróbować? Tak właśnie było z Julią i udało się. Podniosła słuchawkę, lecz po zastanowieniu odłożyła ją. Lepiej zaczeka. Niech od czasu do czasu inni do niej zadzwonią, nie odwrotnie. Powinna być bardziej wstrzemięźliwa w kontaktach z ludźmi. Nauczyły ją tego cztery lata spędzone w Anglii. Była nadgorliwą, impulsywną i niecierpliwą Amerykanką, ale przecież mogła to zmienić. Sięgnęła po listę książek i zaczęła ją przeglądać, czując, jak wraca podekscytowanie, gdy zastanawiała się, które z nich kupić.

Rola była niewielka, ale Maddy nie dbała o to. Myśl o tym, że znowu znajdzie się na scenie, znowu spotka się z aktorami, reżyserem, agentami i producentami, była dla niej jak uderzenie pioruna. Reżyser, niski, żywy, energiczny mężczyzna imieniem Jack, zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głowy, przywołał do siebie i poprosił, żeby przeczytała kilka zadań ze scenopisu, który wręczył jej w gabinecie. Maddy popatrzyła na niego nerwowo, odchrząknęła i zaczęła czytać.

– Nie, nie, jesteś w Anglii. Musisz się pozbyć amerykańskiego akcentu – przerwał jej prawie natychmiast.

Urwała. Zimny dreszcz strachu przebiegł jej po plecach. Odkasznęła i zaczęła od nowa. Czuła, jak się poci pod pachami. Nie było Stef, tylko ona i Jack w małym, zakurczonym gabinecie. Popatrzyła na niego, oczekując, że znowu jej przerwie, ale on kiwnął kilka razy głową i uśmiechnął się.

– Tak, dobrze. Mieliśmy rację. Dasz sobie radę.

Maddy prawie przestała oddychać.

– Naprawdę?

– Tak. Masz tę rolę. Twój akcent jest prawie idealny. Podobają mi się też twoje włosy.

I tyle. Wyszła z gabinetu na miękkich nogach, przyciskając scenopis do piersi.

Stef ucieszyła się, ale nie wyglądała na zaskoczoną.

– Mówiłam ci, że podobała mu się twoja kasetka. To tylko mała rola, Maddy, kilka linijek, ale ty i Carys Douglas uzupełniacie się nawzajem. Bardzo dobrze. Gratuluję. Widzimy się w poniedziałek.

– Gram służącą Fedry – oznajmiła tego wieczoru Rafe'owi. – To tylko kilka linijek, ale pojawiaam się prawie w każdej scenie. Carys Douglas gra Fedrę. Pamiętasz ją? Grała w tej adaptacji powieści Dickensa, którą oglądaliśmy. Taka czarnowłosa kobieta z... – Urwała, widząc, że Rafe wcale jej nie słucha, lecz błędzi myślami gdzie indziej. – Czy ja cię nudzę? – spytała oschłym tonem.

– Co? Nie, nie... Tylko trochę się zamyśliłem. Jestem zmęczony. Mieliśmy dziś bardzo napięty grafik. Dwa przypadki malformacji tętniczo-żylnych i plastykę czaszki. Zajęło nam to prawie całe popołudnie. Powiedziałem Giddensowi, że może wykonać pierwsze cięcie, ale był dziwnie nerwowy. Stale zapominam, że dopiero przed rokiem zrobił specjalizację. Musi minąć trochę czasu, żeby...

Maddy przestała go słuchać. Bez względu na to, jak bardzo starała się zainteresować Rafe'a sprawami spoza jego świata, rozmowa zawsze wracała do kwestii medycznych. Nie odezwała się więcej, ale on nawet tego nie zauważył. Poinformował ją, że ma jeszcze trochę papierkowej roboty, po czym wstał od stołu, jak tylko skończyli kolację.

Gdy weszła na górę do sypialni, leżał już w łóżku i spał, trzymając w ręce tekst notatki służbowej. Przyjrzała się jej z uwagą. Był to okólnik oddziałowy: „Do wszystkich szefów oddziałów chirurgicznych”. Westchnęła. Czasami ich światy tak bardzo różniły się od siebie, że miała wątpliwości, czy kiedykolwiek się spotkają. Na początku uważała te różnice za fascynujące. Praca Rafe'a i jej tajemniczość urzekały ją. Teraz... Zawahała się, nie mając odwagi tego powiedzieć. Teraz była po prostu nudna. Przestały ją interesować szczegóły jego zawodowego życia i operacji. Plastyka czaszki znaczyła dla niej to samo co endarterektomia. Kiedyś pracowicie zapisywała wszystkie terminy, starając się je zrozumieć. Teraz nie pamiętała nawet jednej trzeciej ich. Nie widziała w tym sensu. Rafe pewnie nie potrafiłby powiedzieć, jak ma na imię grana przez nią postać i jaki jest tytuł sztuki. Pewnie nawet nie wiedział, kiedy jest premiera. Położyła się obok niego, czując głęboką urazę. Zamykając oczy, uświadomiła sobie, że Julia nadal się nie odzywa, i zanotowała sobie w myślach, żeby jutro do niej zadzwonić. Coś chyba musiało się stać – pomyślała, zapadając w sen. Takie zachowanie do niej nie pasowało.

JULIA

Londyn, wrzesień 2000

Julia budziła się codziennie rano, myśląc o tym, że dziś będzie ten dzień. Dziś powie o wszystkim Aaronowi. Musi i powinna mu powiedzieć. Ale co właściwie mu powie? Wkrótce będzie za późno i pozostanie tylko jedno. Musiała nieustannie sobie powtarzać, że to coś, jak o tym myślała, jest dzieckiem, jej i Josha, które w miarę upływu czasu stawało się jej dzieckiem, nie jego. Jeżeli miała je wychować wspólnie z Aaronem, to widocznie tak musiało być. A jakie było inne wyjście? Od miesiący próbowali i nic. To byłoby kłamstwo, ale czy naprawdę takie straszne?

Zagotowała wodę w czajniku i naląła sobie filiżankę herbaty. Aaron był w łazience. Dochodziły stamtąd znajome dźwięki: płynącej z kranu wody, kapiącego kurka, który trzeba było mocno dokręcić, ale potem musiała wołać Aarona do pomocy, żeby go znowu odkręcił, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwiczek apteczki – składały się na rytm codziennego życia. Teraz miało się ono zmienić.

Piła herbatę, gdy Aaron wszedł do kuchni. Zdziwił się, widząc, że wciąż jest w szlafroku.

– Jeszcze w proszku? Nie idziesz do pracy?

– Idę, zastanawiałam się tylko nad czymś.

– Nad czym?

Ukroił kromkę chleba i włożył ją do tosterka.

Popatrzyła na niego. Jasne włosy wciąż miał wilgotne po kąpieli i był świeżo ogolony. Poczwała, jak zalewa ją fala wyrzutów sumienia i miłości, wprawiając jej ciało w drżenie.

– Nad niczym szczególnym – odparła, płucząc filiżankę. – To już tak późno? – Popatrzyła na zegar wiszący na ścianie. – Muszę pędzić.

– Zaczekać na ciebie?

Pokręciła głową.

– Nie, idź. Ja... wezmę tylko prysznic. Zadzwoń do Liz i powiem, że się spóźnię.

– Nigdy się nie spóźniasz. Na pewno wszystko w porządku? – Przyjrzał się jej uważniej.

Ku swojemu przerażeniu poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– T-tak – wyjąkała. – Dobrze.

Aaron odłożył nóż i przyciągnął ją do siebie.

– Chodź tutaj – powiedział miękko, gładząc ją po karku. – Coś się dzieje? Od tygodni nie jesteś sobą.

Zamknęła oczy. To było ponad jej siły. Słowa same wypłynęły jej z ust.

– Ja... muszę ci coś powiedzieć. Jestem... jestem w ciąży.

Zapadła cisza, a pieszcząca ją ręka znieruchomiła. Ulga, która na nią spłynęła, była tak wielka, iż nie zwróciła uwagi na to, że nie odezwał się słowem ani że przestał ją gładzić po karku. W głowie dźwięczała jej jedna myśl – wreszcie to powiedziała, wreszcie przestanie się zadreczać i żyć w niepewności. Niech się dzieje, co chce, urodzi to dziecko. Będzie miała dziecko i tylko to się liczyło.

AARON

Londyn, wrzesień 2000

„Niedobór plemników może być wynikiem różnych czynników, takich jak wada wrodzona, choroba, substancje chemiczne i tryb życia”.

Aaron odłożył opis badania, czując lekkie pulsowanie w lewej skroni. Zaczął masować miejsce, gdzie ból był najbardziej dokuczliwy. Nie mógł tego zrozumieć. A więc to on miał problem. Azoospermia – brak plemników w ejakulacie. Czy mogli się pomylić? Rozpaczliwie chciał w to wierzyć. Od prawie trzech tygodni trzymał w szufladzie biurka wynik badania, czekając na właściwy moment, by się nim zająć. Ten moment właśnie nadszedł, ale on nie miał pojęcia, co z tym zrobić ani jak się do tego ustosunkować. Była tylko jedna osoba, do której mógł się zwrócić o radę – Rafe. On z pewnością będzie wiedział. Aaron jeszcze raz przebiegł wzrokiem opis, wydał policzki i podniósł słuchawkę.

Udało mu się złapać brata po dziesięciu minutach.

– Pomyłka? Co masz na myśli? – Rafe wyraźnie się spieszył.

– Czy to możliwe, żeby się pomylili?

– Mało prawdopodobne. Chyba że pomylili wyniki. To mogło się zdarzyć. Czy twój klient robił te badania prywatnie?

– Nie wiem – odparł Aaron, czując, jak serce mu zamiera.

– Tak czy owak radziłbym mu, żeby powtórzył badania, może w jakiejś innej klinice. Jeżeli to oligospermia, to wyniki mogą się z czasem zmienić. Liczba plemników zmienia się z różnych przyczyn, ale to raczej niemożliwe, żeby ktoś, u kogo zdiagnozowano azoospermię, zaczął nagle produkować zdrowe plemniki. Niech powtórzy badanie. Jeżeli wynik będzie pozytywny, co oznacza, że się pomylili, może wystąpić na drogę sądową. Pewnie o to ci chodzi?

– Tak... o to.

– No dobra, muszę lecieć, staruszku. Zobaczymy się w niedzielę... Nie, cholera. Maddy ma tę swoją próbę w niedzielę. To może za tydzień.

– Tak, za tydzień – powtórzył Aaron słabym głosem, po czym odłożył słuchawkę, czując, jak strużka potu spływa mu po plecach.

Pozostało mu więc jeszcze jedno wyjście. Ponownie sięgnął po słuchawkę. Pół godziny później kłamka zapadła. Umówił się na jutro rano na wizytę w klinice przy Harley Street, gdzie miał przejść tę samą upokarzającą procedurę. Spróbował zapanować nad bólem głowy. Ostatni raz taki ból dopadł go w szkole, podczas meczu rugby. Nie pamiętał już, jak znalazł się w młynie, ale upadł i omal się nie

udusił pod ciężarem przygniatających go chłopców. Oczywiście spanikował i nie chcąc, by ktoś to zauważył, zemdlał. Potem przez dwa dni bolała go głowa. Dwa dni straszliwych cierpień. Teraz czuł coś podobnego. Dziwne, ale powodem było to samo dojmujące uczucie wstydu. Co ta Julia zrobiła? Na myśl o tym poczuł mdłości. Wstał zza biurka i wybiegł na korytarz. W ostatniej chwili udało mu się dobiec do toalety. Zwrócił wszystko – śniadanie, sałatkę, którą zjadł na lunch, dwie filiżanki kawy. Oparł się o ścianę wyczerpany, starając się zapanować nad słabością i zdusić w sobie przyprawiający o mdłości wstyd.

DIANA

Londyn, wrzesień 2000

Wstała i spojrzała na siebie w wysokim lustrze. Lniana sukienka w kremowym kolorze od Stefanela kończyła się tuż za kolanami. Miała zaledwie rok, ale już wyglądała zupełnie inaczej – wisiała na niej. Sięgnęła po pleciony skórzany pasek i umocowała go w talii. Straciła na wadze. Zwykle zapinała się na inną dziurkę. Odrzuciła włosy z twarzy, wzięła szminkę i nałożyła na usta drugą warstwę. Miała ściągniętą, zmęczoną twarz. Minęły dwa tygodnie od wizyty u Geoffreya, a ona nie wyjawiała swojej tajemnicy nikomu oprócz Rufusa. Nawet Harveyowi. Co noc kładła się obok niego, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Nie wiedziała nawet, jak zacząć. Byłam u Goeffreya? Jestem chora? Umieram, kochanie? Każde zdanie brzmiało bezsensownie. Już słyszała, jak Harvey mówi. „Oczywiście, że nie umierasz. Nie bądź śmieszna”. Jego bronią staną się gniew i negacja. Był zdolny pokonać najstraszniejsze choroby, ale nie tę. Tyle wiedziała.

Zabrział dzwonek u drzwi. Drgnęła i spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Lunch był prawie gotowy, w całym domu unosił się zapach pieczeni. Zrobiło jej się niedobrze. Dziś przychodzi tylko Niel. Maddy miała próbę, a Rafe musiał zostać z Darcy. Obiecał wpaść później, jeżeli uda mu się wyrwać. W ostatniej chwili, tuż po śniadaniu, zadzwonił Aaron z informacją, że Julia źle się czuje. Jego głos też nie brzmiał najlepiej. Ciekawe, co było przyczyną, może zarazili się czymś. Bardzo dawno ich nie widziała. Pospiesznie spryskała się odrobiną perfum za uszami, musnęła nadgarstki i zeszła na dół.

– Witaj, Nielu. Cieszę się, że przyszedłeś. Zapraszam do środka. – Usunęła się na bok, żeby ją przepuścić. – Napijesz się czegoś?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. – Zatrzymała się w hallu. – Może w czymś pomóc? – zaproponowała uprzejmie.

– Nie, wszystko gotowe – odparła Diana, zamykając za nią drzwi. – Niestety, będziemy tylko my troje. Julia źle się czuje, a Maddy ma próbę. Rano zadzwonił Aaron i odwołał ich przyjscie. Ale możesz zejść na dół, jeśli chcesz. Zostało mi jeszcze kilka drobiazgów do zrobienia. Dotrzymasz mi towarzystwa – dodała niespodziewanie dla samej siebie.

Nielę też zaskoczyło to zaproszenie. Rzadko miała okazję zostać sama z panią Pryce. Zawsze ktoś przy niej był, przeważnie Josh.

– Miałaś jakieś wiadomości od Josha? – spytała po chwili Diana. – Dotarł już na

miejsce?

– Tak. Jest w Dar es-Salaam. Jutro wyruszają do obozu.

– A kiedy wróci? Za dwa miesiące?

– Chyba tak. Czasami trwa to trochę dłużej.

Diana przyjrzała się Nieli z uwagą. W jej głosie brzmiał smutek, którego wcześniej nie słyszała. Dziwne, przecież Josh często wyjeżdżał i rzadko bywał w domu. Pokręciła niecierpliwie głową. Po raz pierwszy zaciekawiło ją, co wiąże tych dwoje ze sobą. Czemu właśnie teraz o tym pomyślała? Zanim jednak zaczęła się nad tym zastanawiać, usłyszała zgrzyt klucza w zamku i niski głos Harveya. Odetchnęła z ulgą. Nie przywykła do empatii, jaką Niela nieświadomie w niej wzbudziła.

– Jesteśmy na dole! – zawołała, pochylona nad pieczeniem.

Prostując się, dostrzegła, że twarz Nieli również wyraża ulgę. Harvey zszedł do kuchni i uśmiechnął się szeroko. Bardzo lubił żonę Josha. Lubiał zresztą wszystkie synowe, także Maddy i Julię. Po raz pierwszy Diana uświadomiła sobie, że nie dopuszczała do siebie tego uczucia. Nie chciała lubić żon swoich synów, zwłaszcza teraz. Poczula szczypiące łzy pod powiekami i odwróciła się. Co się dzieje? – pomyślała. Dotąd potrafiła nad sobą panować.

Niela nie mogła się skupić przez cały lunch. Wciąż myślała o tym, co zobaczyła przez okno autobusu. Josh i Julia. Julia i Josh. Julia źle się czuła. Co to oznaczało? Jednym uchem słuchała tego, co mówili Diana i Harvey, rzadko włączając się do rozmowy. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy jest z nimi sama. Dotąd zawsze był jeszcze ktoś, zwykle Josh. Temat Josha i Julii nie dawał jej spokoju. Po co oni się spotkali? I dlaczego w kawiarni, dlaczego nie tutaj, w domu Diany? Poczula, jak rośnie w niej napięcie i emocje, których nie mogła powstrzymać. Zawsze tak się dzieje, gdy nie można czegoś powiedzieć. Gromadzą się wówczas pokłady smutku, które raz uwolnione, nie dają się zatrzymać. Powodem zbierających się w gardle łez byli nie tylko Josh i Julia i to, co między nimi zaszło, ale również jej rodzice, bracia, Christian, ona sama i wszystko, przez co przeszła, ale przede wszystkim głębokie milczenie towarzyszące jej życiu. Anna miała rację, czas ujawnić tajemnicę, powiedzieć całą prawdę. Myśl o przeżyciu kolejnego dnia wśród sekretów wydała jej się nagle nie do zniesienia. Niela wstała od stołu, udając, że nie dostrzega zaniepokojonego wzroku Diany. Musiała być sama i spojrzeć sobie w twarz. Uciekła z kuchni, zanim padło następne zdanie.

– Mogę pomóc przy zmywaniu? – cichy głos Nieli wyrwał Dianę z zamyślenia. Odwróciła się.

– Och nie, nie trzeba. Jest przecież zmywarka – odpowiedziała. – Ale możesz mi pomóc ustawić pierwszą partię naczyń – dodała, wzruszona jej propozycją.

Po nieoczekiwanej ucieczce z kuchni Niela była dziwnie milcząca. Co się, u diabła, dzieje? – pomyślała Diana. Niepokoił ją smutek w jej oczach, ale nie miała odwagi spytać.

– Gdzie je postawić? – spytała dziewczyna, trzymając w ręku dwa kieliszki.

– Na górze. Tak, tu... druga półka. A te tam... tak, na tej półce.

Pracowały przez kilka minut w milczeniu, przerywanym jedynie pytającym wzrokiem Nieli, gdy unosiła w górę miskę lub półmisek. Harvey nastawił płytę z muzyką poważną. Jej dźwięki niesły się po schodach i przenikały do kuchni. Strawiński koił nerwy i działał na nie uspokajająco.

– Julia znowu źle się czuje, mówiłam ci? – powiedziała nagle Diana. – Wiesz może, co jej jest?

Popatrzyła na Niellę, która trzymała w ręku ciężką szklaną misę. Nagle gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca i wypuściła naczynie z rąk. Misa z hukiem uderzyła o podłogę, rozbijając się na tysiące kawałków, które rozsypały się po całej kuchni. Niela krzyknęła i popatrzyła z przerażeniem na podłogę.

– Och, bardzo przepraszam. Nie wiem, jak to się stało... Wysunęła mi się z rąk. Bardzo cię przepraszam.

– Nie przejmuj się – odparła pospiesznie Diana. – Nie ruszaj się, pójdę po szufelkę. Zostań tam, gdzie jesteś.

Poszła do spiżarni po szczotkę i szufelkę.

– Wszystko w porządku tam na dole?! – usłyszała głos Harveya ze szczytu schodów.

– W porządku! – odkrzyknęła. – Spadło nam coś. Nie ma się czym przejmować.

– Diano, przepraszam. Odkupię tę misę – wyjąkała Niela, pochylając się i zbierając większe kawałki. – Nie wiem, jak to się stało. Po prostu wysunęła mi się z rąk.

– Daj spokój, to nic takiego. To tylko miska. Mam ich mnóstwo. Uważaj na ten kawałek. – Diana starannie zamiotła całą podłogę. – Zaparzę herbatę, dobrze? – usłyszała swój głos. – Dobrą, mocną herbatę. I napijemy się wina. Nie przejmuj się głupią miską, proszę.

Niela pokiwała wolno głową i wyprostowała się. Diana stwierdziła z przerażeniem, że w oczach synowej błyszczą łzy. Sama też była bliska płaczu. Jeszcze tego brakowało, żeby tamta zauważyła jej łzy. Odwróciła się i zajęła imbrykiem.

Dziesięć minut później siedziały przy stole. Diana popijała herbatę, zastanawiając się, jak zagaic rozmowę. Domyśliła się, że upuszczenie miski miało coś wspólnego z jej pytaniem. Uświadomiła sobie nie po raz pierwszy, że niewiele wie o kobietach, z którymi ożenili się jej synowie. Czy Julia była w ciąży? Na ironię zakrawał fakt, że dowie się tego od Nieli, ale to nie wyjaśniało, dlaczego synowa tak się zdenerwowała.

– Julia jest w ciąży – oznajmiła nagle Niela, przerywając ciszę i uwalniając się od dręczącego ją ciężaru.

Twarz Diany się rozjaśniła.

– To... to wspaniała wiadomość, prawda?

Niela nie patrzyła na nią. Dochodziła piąta i wrześnie słońce rzucało długie cienie. Słyszała stłumiony świergot ptaków w ogrodzie. Z kuchennego okna widać było aksamitne jasnoczerwone i pomarańczowe dalia, które ogrodnik zasadził wczesnym latem. Wyglądały niezwykle okazale. Nagle dziewczyna coś powiedziała, ale tak cicho, że Diana w pierwszej chwili sądziła, iż się przesłyszała.

– Co takiego? – spytała. – O czym ty mówisz?

– To Josh jest ojcem dziecka – powtórzyła Niela, kładąc dłonie na stole.

– Josh? Nie rozumiem.

Niela nie podnosiła wzroku. Obejrzała każdy palec z osobna i powoli odwróciła dłoń.

– On i Julia... – Urwała i spojrzała na teściową. W jej oczach błyszczała mieszanina ulgi i bólu, jakiej Diana nigdy dotąd nie widziała. Oczy jej się rozszerzyły. A więc kryło się za tym coś jeszcze. – Myślę, że oni spali ze sobą – dokończyła, unosząc ramiona. – Nawet wiem, kiedy.

– To niemożliwe. Na pewno coś ci się przywidziało. – Diana poczuła, jak ogarnia ją rozpacz.

– Nic mi się nie przywidziało – odparła cicho Niela. – Nie jestem głupia. Wiem, że mało mówię, ale to nie znaczy, że nie widzę, co się wokół mnie dzieje.

– Pytałaś Josha?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Próbowałam przed wyjazdem, ale on tylko się rozgniewał. Może brzmi to absurdalnie, ale po prostu wiem.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Niela dotknęła rękami twarzy.

– Wiem, jak to jest żyć z tajemnicą, bo od czterech lat z nią żyję, i wiem, co ona robi z człowiekiem. Widzę ją w Joshu, widzę, przez co przechodzi.

– O jakiej tajemnicy mówisz? – spytała Diana. Miała wrażenie, że jej głos dobiega z bardzo daleka.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

– Jestem mężatką, Diana – wyjaśniła, patrząc jej w oczy.

– Oczywiście, że jesteś – odparła pani Pryce, marszcząc czoło. – Przecież wyszłaś za Josha.

Niela wolno pokręciła głową.

– Nie chodzi o niego. Ja już wcześniej byłam mężatką i nigdy się nie rozwiodłam.

Diana patrzyła na synową oniemiała. Czuła, że z nią jest coś nie tak, gdy Josh przyprowadził ją do nich tak niespodziewanie. Poczuła przypływ paniki. Chciała kontynuować tę rozmowę i jednocześnie pragnęła uwolnić się od tego ciężaru. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego.

– Co to znaczy, że jesteś nadal mężatką?

– To było małżeństwo zaaranżowane przez rodziców – odpowiedziała stłumionym

głosem Niela. – Z krewnym mojego ojca. Wzięliśmy ślub w Wiedniu osiem lat temu. Nigdy się nie rozwiodłam. Po prostu uciekłam.

Diana wciąż się w nią wpatrywała.

– To... to jak poślubiłaś Josha? – spytała w końcu, chociaż dobrze znała odpowiedź.

Niela wzruszyła ramionami.

– Po prostu nic nie powiedziałam. Nikt mnie o to nie pytał, jedynie o paszport. Josh wszystko załatwił.

Diana kiwnęła głową. Prowadziła mnóstwo takich spraw w początkach swojej kariery zawodowej. Doskonale wiedziała, jak łatwo jest ominąć prawo.

– Och, Nielo – odparła wolno. – Dlaczego nic nie powiedziałaś? Mogliśmy coś z tym zrobić. Ja mogłam coś z tym zrobić.

Dziewczyna popatrzyła na swoje dłonie i pokręciła głową.

– Nie wiem. Na początku chciałam powiedzieć, ale nigdy jakoś nie było okazji, a potem wszystko potoczyło się tak szybko. Nie chciałam, aby Josh sądził, że nie jestem, no wiesz, przyzwoitą osobą, kimś, komu można zaufać. A potem poznałam was i pomyślałam, że nie mogłabym się do tego przyznać. Byliśmy już małżeństwem i nie miało sensu wyciąganie tego na światło dzienne. Stałam się inną osobą, żoną Josha, a nie... – urwała i z trudem przełknęła ślinę – ...żoną Hamida. Hamida Osmana. Tak się nazywał. Uciekłam od niego jakiś miesiąc po ślubie. Tak się bałam, że mnie znajdą i sprowadzą z powrotem. Mieszkaliśmy z jego siostrą w Monachium. – Otarła policzek wierzchem dłoni. – Nienawidziłam jej. Nienawidziłam ich obojga. Przyłapał mnie kiedyś, jak wyszłam sama z domu. Zbił mnie za to, a jego siostra trzymała mnie pod kluczem. Uciekłam któregoś dnia, gdy przyszedł inkasent sprawdzić licznik. Przyjechałam do Londynu, bo nikogo tu nie znałam i nikt mnie nie znał. Przepraszam, Diano, nie mogłam dłużej trzymać tego w sekrecie.

Coś poruszyło się w pani Pryce na te słowa. Przytknęła dłoń do ust.

– Biedactwo – powiedziała urywanym głosem, po czym wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła przedramienia Nieli. – Muszę ci coś powiedzieć. Może to zabrzmie dziwnie, bo niby dlaczego miałabym ci o tym mówić? Nikomu nie powiedziałam. Ale teraz muszę. Czas wyjawic prawdę. Nie mogę dłużej milczeć.

Diana mówiła prawie przez dwie godziny. Synowa ani razu jej nie przerwała. Nie ośmieliła się. Z początku w głosie kobiety brzmiało wahanie, jakby szukała właściwych słów. Niela nie mogła wyjść ze zdumienia. Dianie brakowało słów? Niemożliwe. Powoli jednak pozbywała się ciężaru, który nosiła przez całe życie, i jej głos stawał się coraz pewniejszy. W pewnej chwili Harvey zajrzał do kuchni, zobaczył, że są pogrążone w rozmowie, i wycofał się z Rafe'em i Darcy. Diana nawet tego nie zauważyła. Dochodziła siódma, gdy skończyła.

– Ile z tego wie Josh? – spytała cicho.

Niela była zbyt oszołomiona, by się odezwać, i pokręciła wolno głową.

– Niewiele, a właściwie to nic. Wie za to o Rufusie.

– O Rufusie? – Diana zamknęła oczy. – Skąd?

– Widział was. Miał wówczas dziewięć albo dziesięć lat – wyjaśniła Niela. –

Schował się na strychu i zobaczył was. Nie wiem, czy on uważa, że zdarzyło się to tylko raz. Nie powiedział mi.

Diana z trudem przełknęła ślinę i wypła spory łyk wina.

– Widział nas. Chryste, ale bigos. Co za cholerny bigos!

Niela się skrzywiła. Teściowa nigdy nie przeklinała. Popatrzyła na nią z uwagą. Siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami, ściskając kurczowo kieliszek w dłoniach, jakby od tego miało zależeć jej życie. Nagle uświadomiła sobie, że Diana bardzo schudła. Zawsze starannie umalowana i praktycznie pozbawiona zmarszczek twarz wyglądała teraz na starą i zmęczoną.

– Ta... ta sprawa z Rufusem, czy... czy wiesz, dlaczego to ciągnęłaś? Dlaczego nie mogłaś się od tego uwolnić? – spytała Niela po chwili milczenia, zastanawiając się, czy aby nie posunęła się zbyt daleko.

– Dlaczego? – Diana drgnęła lekko, po czym pokręciła głową i westchnęła. – Nie wiem. Zawsze tak było. Zawsze. Nawet nie potrafię powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Wiem tylko, że zawsze go kochałam, i chociaż nie umiem wyjaśnić, dlaczego, zawsze będę kochała. Nie zrozum mnie źle... Kocham Harveya i wyszłam za niego z miłości, a nie dlatego, że nie mogłam mieć Rufusa. Ja go nie chciałam. On... Jest w nim jakaś skaza i nie wiem, dlaczego. Razem się wychowali, rodzice jednakowo ich kochali i troszczyli się o nich. Nie znałam drugiej takiej matki jak ich. Gdyby nie Dot, nie wiem, co by się ze mną stało. – Urwała i wypła kolejny łyk wina. Spojrzała na Nielę i twarz jej złagodniała. – Czy to nie dziwne? Przez całe swoje życie starałam się być we wszystkim perfekcyjna, a zawiodłam jako żona i matka. Nie umiałam zadbać o rodzinę. A ty swoją straciłaś. Mimo to założę się o wszystko, że ty będziesz doskonałą żoną. Na pewno świetnie sobie poradzisz.

Niela pokręciła wolno głową. Łzy spływały jej po policzkach.

– To nie zależy ode mnie. To jest również decyzja Josha, a on już jedną podjął.

– Potrafisz mu wybaczyć?

– Nie wiem. Już nic nie wiem – odpowiedziała. – Nie wiem nawet, co o tym myśleć.

– Zaczekaj trochę – powiedziała Diana, opróżniając kieliszek. – Nie podejmuję teraz decyzji. Pozwól mu wrócić, pozbierać się, wtedy porozmawiajcie. Ja też muszę z nim porozmawiać. Muszę pomówić ze wszystkimi moimi synami, zanim będzie za późno. – Wstała raptownie. – Przygotuję ci pościel i kołdrę – oznajmiła. Znowu stała się dawną energiczną Dianą. – Zanocuj w pokoju Josha. Jest za późno, żebyś wracała do domu. Możesz zadzwonić do pracy i powiedzieć, że przyjdiesz jutro później?

Niela przytaknęła. Kręciło jej się w głowie nie tylko z powodu tego, co usłyszała, lecz również z nadmiaru kipiących w niej emocji – smutku, ulgi, gniewu i strachu.

Nagle dało o sobie znać odległe wspomnienie tęsknoty i potrzebowała chwili, żeby je umiejscowić. Ayanna. Przypomniała sobie więź łączącą kuzynkę z jej matką. Ona, Niela, nigdy nie była tak blisko ze swoją. Dzieliła je przepaść, a to, co się później stało z jej życiem, tylko ją powiększyło, uniemożliwiając porozumienie. Teraz było już na nie za późno. Gdy myślała o Sairze, czuła gniew, nie miłość czy tęsknotę. Wychowano ją w przekonaniu, że uniknie losu, jaki zgotowała jej matka. Pani Pryce nie była typem matki, o jakiej Niela marzyła czy chciałaby mieć, ale bardzo ją wzruszyła swoim wyznaniem.

Poszła za nią na górę do pokoju, który kiedyś zajmował Josh. Tu Diana szybko i sprawnie pościeliła łóżko, a potem odwróciła się do niej ze smutnym uśmiechem na twarzy.

– Dobranoc, Nielu. Spróbuj zasnąć. Wiem, że to dla ciebie trudne. To trudne dla nas wszystkich. Ale będzie dobrze, zobaczysz. Musisz... musisz w to wierzyć. Tak, nam wszystkim przydałoby się trochę wiary.

I zanim synowa zdążyła się odezwać, wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Po chwili jej kroki się oddaliły. Niela leżała w ciemnościach, słuchając, jak dom skrzypi i trzeszczy, i czekając na nadejście świtu.

Harvey spał głęboko. Diana wsunęła się do sypialni, rozebrała i zdjęła biżuterię. Nie musiała się obawiać, że go obudzi. Nic nie zdołałoby go wyrwać ze snu. Spał snem niewinnego. Zawsze tak było. W pierwszych strasznych miesiącach po tamtym wydarzeniu w ogóle nie mogła spać. Leżała obok męża, czując, jak przepełnia ją rozpacz i strach, który krążył w jej żyłach i tak samo jak teraz podchodził do gardła. Nie chodziło tylko o to, co rozwijało się w jej ciele, blokowało umysł i sprawiało, że myśli ciążyły od niewypowiedzianych słów, lecz również o to, co zrobiła ze swoim życiem. Zawsze przesadnie dbała o porządek, każda rzecz miała swoje miejsce, a teraz czuła, że wszystko wymyka się jej spod kontroli. Nawet ciało było przeciwko niej. Leżała obok Harveya, czując dziwną lekkość, gdy wyobraźnia zaczęła jej podsuwać różne myśli i obrazy. Słyszała uderzenia skrzydeł potwora, który nadlatywał, aby ją zabrać. Przekręciła się na bok i przycisnęła twarz do poduszki, wstydząc się chwilowej ulgi, gdy wyobraziła sobie, że znika niepostrzeżenie. Nie bądź śmieszna – upomniała siebie w duchu, dotykając nogi Harveya. Musiała się upewnić, że jest przy niej, bo czuła się przy nim bezpieczna. Jej wzrok powoli wyławiał z ciemności znajome kształty: zabytkową toaletkę pod otwartym oknem, ciężkie adamaszkowe zasłony i lżejsze firanki falujące lekko pod wpływem wiatru. Harvey lubił spać przy otwartym oknie. Ona również, chociaż ostatnio zaczęła odczuwać strach przed czającą się na zewnątrz ciemnością. To głupie i śmieszne. Ulega urojeniom, przed czym ostrzegała ją matka, gdy była jeszcze w stanie kierować się rozumem.

Myśli płynęły szeroką falą. Diana była zbyt zmęczona, by je powstrzymać. Pierwszy raz od lat pozwoliła im swobodnie wędrować. Mohammed. Chadidza. Co

się z nimi stało? Już zapomniała, jak nazywała się wieś, z której pochodzili. Dżemma? Dżemba? Nie, Dżemmora. Tak, mała wieś w górach Atlasu. Wciąż pamiętała dreszcz strachu, który przebiegł jej po plecach, gdy Josh powiedział, że jedzie budować obóz w Algierii. Popatrzyła na niego, czując, jak puls jej przyspiesza.

– Do Algierii? – mruknęła, odwracając się, by nie dostrzegł rumieńca rozlewającego się po jej policzkach. – Dobry Boże, kochanie, dlaczego chcesz tam jechać?

Proszę, nie mów – pomyślała. Czekwała, czując, że nerwy ma napięte do ostatnich granic, że za chwilę posłyszysz nazwę Dżemmora. Nie usłyszała i nie był nawet w pobliżu tego miejsca. Dotarł jedynie do Smary leżącej przy granicy, ale po przeciwnej stronie. Nie wiedziała, ile Rufus zapłacił wszystkim za milczenie, nie powiedział jej. Na pewno sporo. Nigdy nie zapytała, skąd wziął pieniądze. Keelerowie byli bogaci, ale nie aż tak. Ile kosztuje dziecko? Poczula, jak wyrzuty sumienia znowu dają o sobie znać. Pomyślała o Joshu i Julii, i o dziecku, które miało przyjść na świat. Ujrzała w ciemnej, gniewnej twarzy Josha zagubione, nieszczęśliwe dziecko, które usiłuje znaleźć jakieś wyjście i szuka psoty czy niegodziwości, za którą ktoś inny zapłaci. Od trzydziestu lat płaciła za jego życiowe decyzje, ciągłą nieobecność i miłość, która przybrała postać żąrtowej rywalizacji między nimi. Teraz przyszła kolej na kogoś innego. Na Julię? Aarona? Nielę? Kto tym razem zapłaci najwyższą cenę za to, co zrobiła? Stłumiła szloch. Jak mogła tak beznadziejnie zagmatwać sobie życie?

JOSH

Dar es-Salaam, październik 2000

Deszcz zacinał gęstymi strugami, przesuając się na horyzoncie nad wzburzonym morzem. Za ledwie kilkaset metrów od hotelu niekończące się rzędy fal bezgłośnie wznosiły się i opadały ku brzegowi. Josh chodził po pokoju, zbierając rzeczy i wpychając je do plecaka w kolorze khaki. Wkrótce nie będzie tu po nim śladu. Za jakąś godzinę przyjedzie po niego kierowca i zawiezie na lotnisko. Za kilka godzin wróci tam, skąd przybył. W Tanzanii miał za zadanie naprawić błędy swojego poprzednika przy małym projekcie w Buguruni, jednej z wielu dzielnic biedoty. Teraz wracał, by naprawić własne. Nie miał pojęcia, co robić. Przez te dwa miesiące nieobecności rozmawiał z Nielą za ledwie kilka razy. Były to krótkie, nerwowe wymiany zdań o niczym ważnym. Teraz nadszedł czas, by wrócić do domu i wypić piwo, którego nawarzył. Bał się tego. Wpychał rzeczy do plecaka z gwałtownością, która zdradzała ten strach. Chciał zdusić kipiące w nim emocje, zanim one zaduszą jego.

Krótki, piskliwy dźwięk klaksonu ogłosił przybycie kierowcy. Josh po raz ostatni omiół wzrokiem pokój, po czym wziął plecak i zarzucił go sobie na ramię. Zamknął za sobą drzwi i wyszedł w upalną pogodę. Ruszyli po kilku minutach. Obserwował przesuające się za oknem miasto, zbiorowisko dachów z blachy falistej, drapaczy chmur i spleśniałego cementu, poprzecinane plamami kwitnących bugenwilli, wyrastających ponad sypiące się ściany i płoty stojące wzdłuż drogi. W niespełna pół godziny dotarli na lotnisko. Zgłosił się do odprawy, odprowadził wzrokiem plecak znikający na długiej czarnej taśmie transportowej, a potem poszedł na górę i zamówił whisky w barze. Alkohol spłynął gorącym strumieniem do żołądka i natychmiast go uspokoił. Czekał go dziesięciogodzinny lot do Londynu. Miał nadzieję, że w trakcie podróży znajdzie jakieś rozwiązanie. A może i nie.

DIANA

Londyn, październik 2000

Samochód Harveya stał już na podjeździe, gdy wróciła wieczorem do domu. Zaparkowała małe sportowe autko obok jego, nie bardzo wiedząc, czy ma się cieszyć, czy nie. To był długi dzień, lecz ona błędziła myślami daleko od kancelarii, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niej dzieje. Gdy inni rozmawiali, ona zastanawiała się nad tym, co powie Harveyowi – jakich użyje słów i, co ważniejsze, co przemilczy. Tylko jedna osoba powinna poznać całą prawdę – Josh. Co się stanie potem, zależało wyłącznie od niego, nie od niej. A Harvey? Gdzie kończyła się jego wyrozumiałość? Ostatnio nie była w stanie kontrolować swoich myśli, powstrzymać ich przed obraniem niebezpiecznego kierunku. Jeden zły ruch i cały świat może się zawalić.

Wzięła torbę stojącą na miejscu dla pasażera i otworzyła drzwi. Nie po raz pierwszy zauważyła, że wysiadanie z samochodu czy podnoszenie torby jedną ręką sprawia jej coraz więcej trudności. Posłuszne dotąd ciało nagle zaczęło ją zawodzić, nie słuchało jej poleceń. Oparła się o samochód, z trudem chwytając powietrze w płuca. Nie spodziewała się tych nagłych, przerażających chwil słabości. Co prawda nie zdarzały się często i nie trwały długo. Nieoczekiwanie traciła oddech, a potem wszystko wracało do normy. Dlatego tym trudniej było to zaakceptować. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się, po czym ruszyła do domu. Wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Dopiero po chwili zobaczyła, że Harvey stoi w korytarzu, a na jego spokojnej zwykle twarzy maluje się wzburzenie. Przeszedł ją dreszcz strachu.

– Kochanie – zaczęła, odstawiając torbę i odwracając się do niego. – Wcześniej wróciłeś.

– Jestem tu od pierwszej. Odwołałem zabiegi. Diano... dlaczego mi nie powiedziałaś?

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy i nogi robią się miękkie. Skąd on wie?

– Ja... ja chciałam – zaczęła, opierając się ręką o kredens. – Wiem, że powinnam ci powiedzieć. Jak się dowiedziałeś?

– Wpadłem dziś po południu na Geoffreya. Nie, nie podał mi szczegółów. O co chodzi, Diano? Powiedz mi, co się stało.

– Harvey... – Urwała. Nagle nie była w stanie tego powiedzieć. Teraz, gdy nadszedł ten moment, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Chodź tutaj. Nie wiem, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem. Głupiec ze mnie. Czułem, że coś jest nie tak. Co się dzieje, Diano? Powiedz mi. Na litość boską, powiedz, o co chodzi.

Tylko raz widziała go płaczącego. Było to wczesnym rankiem dwadzieścia lat temu. Wtedy pierwszy raz pacjentka umarła mu na stole operacyjnym – wyznał w końcu schrypniętym od łez głosem. Młoda dziewczyna, chora na nowotwór mózgu. Na ich oczach wykrwawiła się na śmierć i nic już nie mogli zrobić. Trzymała go w objęciach przez resztę nocy, czując, jak napięcie powoli opuszcza ciało tego wielkiego, niezwykle zdolnego człowieka. Rano wszystko wróciło do normy. To był pierwszy i jedyny raz. Do dzisiaj. Płakał cicho, jego silne ramiona drżały lekko, gdy usiłował odzyskać oddech. To ona miała suche oczy, to ona okazała siłę i współczucie. Poklepała go po dłoni, jak kiedyś klepała swoich synów. Nie miała w sobie łez, przynajmniej na razie.

Wstał od stołu, ocierając łzy wierzchem dłoni. Był to dla niej nowy, nieznanym jej gest. Wiedziała, że kocha ją bez zastrzeżeń, co było probierzem ich wspólnego życia. Dla niego nie istniał i nie będzie istnieć nikt inny. Rozumiała to i nie ośmieliłaby się zakwestionować. A więc stało się – pomyślała, czując bolesny ucisk w gardle. Powiedziała mu. Nie ma już odwrotu. Harvey wie. Uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Dziwne, ale teraz, gdy prawda wyszła na jaw, przestała się bać.

RAFE/MADDY

Londyn, październik 2000

Rafe cofnął się, by jego asystent mógł zszyć ranę, lecz nie spuszczał z niego oka. Był to młody, utalentowany chirurg, przygotowujący się do specjalizacji, któremu jednak brakowało pewności siebie. On sam też był taki na początku. Słyszał, jak tamten oddycha równo i spokojnie przez maskę, przykładając sączek, by odciągnąć nadmiar płynu i krwi. Popatrzył na szefa. Dobrze? Rafe kiwnął głową, pozwalając, by asystent założył szwy, po czym opuścił salę operacyjną, stukając chodakami po lśniącej podłodze. Wahadłowe drzwi zamknęły się za nim. Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Jeszcze jeden przypadek i koniec na ten tydzień. Niecierpliwie pchnął drzwi do drugiej sali. Pacjentką była młoda dziewczyna stopniowo tracąca wzrok. Wyniki badań wykazały obecność guza w mózgu za tylną komorą, który uciskał mięsień oczny. Była to precyzyjna operacja z serii tych, które lubił. Założył maskę i rękawiczki i podszedł do stołu operacyjnego, gdzie czekał już zespół. Wszystko było przygotowane. Czaszka pacjentki została otwarta, dzięki czemu bez przeszkód mógł zajrzeć do środka. Miał przed sobą mózg w całej okazałości, niczym delikatny, piękny kwiat. Zamiast skupić się na cięciu i zaplanować następne ruchy pomyślał o Maddy i miękkiem, zmysłowym miejscu prowadzącym do jej wnętrza. Na szczęście w porę oprzytomniał, czując, jak zalewa go fala pożądania i wstydu. Przez następne trzydzieści minut skupił się na wycinaniu guza, starając się nie uszkodzić sąsiednich tkanek. W końcu było po wszystkim. Pozostawił drugiemu chirurgowi zamknięcie czaszki i ponownie skierował się do drzwi. Zdjął fartuch i maskę i wrzucił je do zsypu. Potem zjechał na dół do garażu, nieustannie myśląc o Maddy. Obraz, który podsunęła mu wyobraźnia, nie dawał mu spokoju. Od dawna się z nią nie kochał. Właściwie od miesięcy. Coś się działo, ale nie potrafił rozgryźć, co. Zmieniała się i straciła na wadze. Gdy rano wychodził do pracy, ona szykowała się do próby generalnej i sięgała właśnie po szlafrok. Podniósł wzrok, żeby jej coś powiedzieć – już nie pamiętał, co – i znieruchomiał na widok pleców z mocno odcinającymi się żebrami. Popatrzył na nią z uwagą, lecz nic nie powiedział. Może była na diecie. Usiłował sobie przypomnieć, co jedli na kolację – chyba makaron z kurczakiem. Pamiętał, że wzięła sobie dokładkę. I to on zrezygnował z sera, nie ona. Potem dwa kieliszki wina... Nie słyszał o takiej diecie. Od dawna nie narzekała, że jest gruba. Poczł dziwny niepokój – przypuszczał, co się dzieje, tylko nie potrafił tego dostrzec.

Popatrzyła na niego, jakby nie mogła uwierzyć w to, co właśnie powiedział.

– Za chuda? – powtórzyła. – Ja?

Wzruszył ramionami.

– Tak. Jesteś chudsza niż kiedyś. Dziś rano widziałem, jak sterczą ci żebra i... – Umilkł.

Brzydki rumieniec zalał jej twarz i szyję. Zaczął żałować, że poruszył ten temat.

– Nieprawda. Ważę tyle co kiedyś. To przez te próby. Nie zawsze mam czas zjeść lunch. – Odwróciła się w stronę zlewu i zajęła myciem naczyń.

Nie ruszył się z miejsca, nie bardzo wiedząc, co robić. Czy miał dalej drążyć temat? Zauważył, że Maddy zeszywniała. Musiał trafić w czuły punkt. Ale co to było? Spróbował ponownie i natychmiast tego pożałował.

– Ale, Maddy...

– Daj spokój, Rafe – powiedziała niskim, napiętym głosem.

– Ale...

– Rafe. – Odwróciła się. Na policzkach wykwitły dwie czerwone plamy gniewu, a w oczach błysnęły łzy. Cała się trzęsła. Zdjęła fartuch i odłożyła go ostrożnie na blat. – Zostaw to, dobrze? – syknęła.

– Maddy...

Wyszła z kuchni sztywnym krokiem. Usłyszał, jak wchodzi na górę i zamyka drzwi do sypialni. Stał pośrodku pomieszczenia, czując się jak kompletny idiota, i zastanawiał się, co takiego zrobił i dlaczego tak zareagowała. O co tu chodziło? Czyżby coś mu umknęło? Był lekarzem, a mimo to nie mógł nic zrobić, by jej pomóc. Jak mógłby, skoro nie wiedział, co się dzieje?

Jeszcze raz i jeszcze. Wymiotowała niemal w kompletnej ciszy, pozbywając się resztek rozmowy z ciała i myśli. Nacisnęła spłuczkę i patrzyła z ulgą, jak znikają w gniewnym wirze. Nareszcie. Nie pozostał żaden ślad. Wstała, czując lekki zawrót głowy. Wsunęła rękę pod pulower i wyczuła pod palcami sterczące żebra. Czy to prawda? Rzeczywiście schudła? Uniosła sweter i spojrzała w lustro. Serce waliło jej w piersi. Nie, nic się nie zmieniło. Biała, alabastrowa skóra, obsypana tu i tam piegami, pępek, taki sam gruby brzuch, gdy stanęła bokiem. Rafe się myli. Jest gruba, nie chuda. Co go napadło? Obciągnęła sweter i zaczęła szcزتkować zęby. Wkrótce gorzki smak w ustach ustąpił miejsca słodkiej mięcie. Wypłukała je, poprawiła włosy i otworzyła drzwi. W mieszkaniu panowała cisza. Na szczęście ich cicha wymiana zdań w kuchni nie obudziła Darcy. Odetchnęła głęboko, skrzyżowała ramiona i zeszła na dół do salonu.

Spojrzał na nią, gdy weszła. Na widok jego zatroskanej twarzy poczuła, jakby zadano jej cios nożem. Podeszła do kanapy, usiadła przy nim, wzięła go za rękę i wolno ją obróciła. Gdy go poznała, najbardziej zafascynowały ją dłonie Rafe'a. Nie mogła oderwać od nich wzroku, wyobrażając sobie, co on może nimi robić. „Twoje ręce ratują ludziom życie” – powiedziała, przytulając jego dłoń do policzka. Roześmiał się zawstydzony, ale to była prawda. Czowała respekt na myśl o tym, do czego są zdolne. Przesunęła palcem wzdłuż linii ścięgien, a potem splótła jego palce

ze swoimi. Poczula z ulga, jak odpowiada na uścisk. Odwróciła ku niemu głowę i pocałowała go.

– Przepraszam – mruknęła, przytulając się do niego.

– Za co? – spytał, obejmując ją.

– Za wszystko. Za to, że na ciebie warknęłam, że nie opiekuję się lepiej Darcy, że nie jestem miłsza dla Diany, za wszystko.

– Czy... wszystko w porządku, Mads? – użył jej przezwiska.

– Oczywiście. Tylko... – Nie dokończyła, bo w tym momencie zadzwonił telefon.

Rafe sięgnął po słuchawkę jedną ręką, a drugą nadal obejmował Maddy. Przytuliła się do niego z wdzięcznością.

– Halo? – Słuchał przez kilka minut rozmówcy po drugiej stronie. Poczula, jak jego ciało sztywnieje. – Zaraz będę.

– Kto to był? – spytała, patrząc mu w oczy. Dostrzegła w nich straszliwy zamęt, którego nigdy przedtem nie widziała. – Kto to był? – powtórzyła, czując nagły strach. Darcy spała na górze, była bezpieczna. Kto więc znalazł się w niebezpieczeństwie?

– To Harvey. Tata. Muszę jechać. – Wyrzucał z siebie słowa, jakby brakło mu tchu.

– Co się stało? – Wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, lecz on już wstał i ruszył biegiem do drzwi.

– Chodzi o Dianę. Coś się stało. Później do ciebie zadzwonię – powiedział przez ramię, chwytając marynarkę.

Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych. Oparła się o poduszki kanapy, czując zamęt w głowie. Coś się stało? Dianie? Co, na Boga, mogło się jej stać? Dotknęła warg. Były suche i szorstkie. Wiedziała, dlaczego. To jeszcze jeden z efektów ubocznych jej problemu. Do premiery *Fedry* pozostały dwa dni, a jej panika nie wiedzieć czemu rosła. Nie mogła pojąć, dlaczego. Miała do powiedzenia zaledwie osiem linijek, poza tym znała na pamięć prawie cały tekst sztuki, przeczytała wszystkie dostępne opracowania, zapoznała się ze starszymi wykonaniami, dostroiła swoje osiem linijek tak, by brzmiały idealnie. Wszystko na pewno pójdzie dobrze. Przygotowała bilety dla całej rodziny, zorganizowała opiekunkę dla Darcy, w lodówce chłodziło się kilka butelek szampana dla niej i dla Rafe'a, gdy wrócą do domu. Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach na myśl o tym, że rodzina zobaczy ją na scenie w zupełnie innej roli, nie jako żonę Rafe'a, matkę Darcy i synową. Po raz pierwszy od przyjazdu do Londynu będzie tym, kim naprawdę była – zawodową aktorką z talentem wartym zaprezentowania. Jednym słowem sobą. Zawsze chciała, by tak ją postrzegano. Ukryła twarz w dłoniach, czując ogromną wdzięczność i ulgę. Od tej chwili wszystko się zmieni. Nie będzie musiała już żyć w strachu lub wydobywać się z otchłani. Będzie nosiła wysoko głowę, tak jak oni wszyscy, tak jak Diana. Najbardziej pragnęła zyskać szacunek

teściowej. Przestała przejmować się tym, czy ona ją lubi, czy nie. Na to nie miała wpływu. Ale szacunek to co innego. To mogła kontrolować. Nawiązując znajomość ze Stef, uczestnicząc w przesłuchaniu i zdobywając rolę, odzyskała pewność siebie. Skoro potrafiła to zrobić, to mogła jeszcze więcej. Spojrzała na swoje dłonie. Też były suche, o przezroczystej, cienkiej jak papier skórze. Najwyższy czas przerwać tamto, zanim będzie za późno.

AARON

Londyn, październik 2000

Aaron wpatrywał się w młodego lekarza, który przyszedł przekazać mu wyniki. Zrozumiał, co tamten powiedział, ale odezwał się w nim adwokat, nakazujący wyjaśnić wątpliwości.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że wszystko jest możliwe. Jakim cudem?

Lekarz był protekcyjnie cierpliwy.

– Medycyna nie jest nauką ścisłą w przeciwieństwie do powszechnej opinii, panie Keeler. Wiem, że to trudno zrozumieć, ale w pańskim przypadku po prostu nie wiemy. Tak, zdiagnozowano u pana azoospermie, to znaczy niską liczbę plemników w nasieniu, ale żeby sprawę bardziej skomplikować, wykryliśmy również plemniki pozostające w stanie uśpienia, ale nie permanentnym. Innymi słowy, tak, może mieć pan trudności z zapłodnieniem komórki jajowej, istnieje jednak szansa, że to kiedyś nastąpi, tylko nie mamy pojęcia, kiedy i dlaczego.

Aaron pokręcił wolno głową, czując, jak spływa na niego ulga. A zatem to jednak możliwe, żeby dziecko było jego. Oczywiście, że było jego. A czyje miałyby być? Wziął kopertę z wynikami i wsunął ją do teczki.

Dziesięć minut później, po uregulowaniu należności za wizytę, szedł Harley Street do Great Portland Street. Serce znowu biło mu miarowym rytmem, a pogmatwane przez ostatnie tygodnie myśli wróciły na swoje miejsce. Więcej nie będzie do tego wracał. Uzyskał drugą opinię zgodnie z radą Rafe'a i otrzymał satysfakcjonującą odpowiedź. Dziecko jest jego. Jego i Julii. Cień wątpliwości jednak pozostał. Jakaś jego część wciąż nie mogła w to uwierzyć. Znał siebie i wiedział, że zepchnie tę wątpliwość na dno duszy, tak by nie mógł jej osiągnąć. Ale ona tam pozostanie i będzie go niepokoić, gdy nadarzy się okazja. Będzie musiał z tym żyć, tak jak żył z pytaniami, które dręczyły go przez ostatnie tygodnie. Nie miał innego wyjścia. Mógł wyciągnąć z Julii prawdę, tylko czy zdoła stawić jej czoło? Niejednoznaczny wynik badania dawał mu dwie możliwości: albo zaakceptuje proponowaną wersję zdarzeń, albo nie. Albo przyjmie za pewnik, że Julia mówi prawdę, albo nie. Nie był to wybór, o jakim marzył.

Wszedł do swojego gabinetu i usiadł przy biurku. Telefon wściekle sygnalizował, że czeka na niego mnóstwo wiadomości – trzy od Julii, dwie od Rafe'a i jedna od Harveya. Odsłuchał ostatnią i poczuł, jak rośnie w nim strach, gdy ucichł głos ojca. Odłożył słuchawkę i wszystkie myśli o Julii, dziecku, badaniu i prawdzie wyparowały mu z głowy. Diana. Diana była chora. Wstał, chwycił kurtkę, którą

przed chwilą powiesił na oparciu krzesła, i wybiegł z pokoju.

JOSH

Londyn, październik 2000

Nieli nie było w domu. Otworzył niecierpliwie drzwi i wszedł do mieszkania. Minęła ósma rano. Zajrzał do sypialni. Płaszcz Nieli zniknął. Musieli się minąć zaledwie o kilka minut. Rzucił plecak na łóżko, ściągnął ubranie i poszedł pod prysznic. Miał wrażenie, jakby podróż trwała kilka tygodni. Stał pod gorącym strumieniem wody, czując, jak opuszcza go zmęczenie i szok spowodowany zmianą temperatury. Do samolotu wsiadał w upale, a Anglia powitała go chłodem i wilgocią. Postać pod prysznicem dłużej, niż było to konieczne. Gdy w końcu wyłonił się z oparów i mgły, skórę na opuszkach palców miał pomarszczoną. Wytarł ręcznikiem włosy i przebrał się w czyste ubranie. Salon tonął w ciszy. Usiadł z kubkiem kawy, delektując się łagodnym światłem i zapachem chłodu. Popatrzył na telefon. Powinien zadzwonić do Diany. Nie rozmawiał z nią od wyjazdu.

Kilka minut później odłożył słuchawkę, czując, jak strach ściska mu serce. Diany nie było w pracy od tygodnia. Sekretarka powiedziała mu, że pani Pryce jest chora i przez ostatnie dwa tygodnie zaglądała do kancelarii jedynie sporadycznie. Sięgnął ponownie po słuchawkę i przytknął na chwilę do ust, zanim wystukał numer. Matka odebrała po trzecim sygnale. Poznał po głosie, że coś jest nie tak.

– Co się stało? – spytał.

– Josh – w głosie Diany brzmiała ulga. – Jesteś nareszcie. Kiedy wróciłeś?

– Dziś rano. Co się dzieje? Zadzwoniłem do kancelarii, a tam powiedzieli, że jesteś chora.

– To nic takiego – odparła, jak zwykle zbywając jego niepokój.

– Nieprawda – przerwał jej pospiesznie. – Słyszę to w twoim głosie. O co chodzi?

– Och, Josh.

Ku swojemu przerażeniu zorientował się, że Diana płacze. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek płakała. Wstał zdenerwowany.

– Zaraz przyjadę – oznajmił, idąc do drzwi. Pod drogą sięgnął po kurtkę. – Będę za pół godziny. – Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła się odezwać.

Jego pierwszą reakcją była ulga. Matka nie wyglądała na obłożnie chorą. Może trochę schudła, ale przywykł do tego, że zrzucała od czasu do czasu kilka kilogramów, gdy chciała kupić sobie jakąś sukienkę lub gdy trafiła na swoje dawne zdjęcie, na którym jej zdaniem wyglądała znacznie szczuplej. Siedziała na kanapie w salonie na górze, otulona lekkim kaszmirowym szalem, chociaż nie było zimno. Zmizerniała – zauważył, gdy całował ją na powitanie. Poczł też chemiczny zapach,

którego przedtem nie było, a który mieszał się z zapachem jej perfum. Uczucie ulgi zaczęło się powoli ulatniać.

– Mamo, co się stało? – zapytał, prostując się. – O co chodzi?

Poklepała miejsce obok siebie. Wzięła go za rękę i przyglądała się przez chwilę jego opalonej dłoni. Żołądek zacisnął mu się w węzeł, jakby ktoś przykręcił śrubę.

– Josh – powiedziała wolno. – Cieszę, że tu jesteś. – Popatrzyła na niego.

Wyraźnie zbierała się w sobie. Siedzieli tak przez chwilę, on zdenerwowany, ona już spokojniejsza. – Żałuję, że nie znam lepszego sposobu, by ci to powiedzieć, kochanie – odezwała się, wysuwając rękę z jego uścisku i sięgając do twarzy.

– Co powiedzieć?

– Jestem chora, Josh. Ja... powiem wprost, mam raka. Niestety, to zaawansowane stadium.

Poczuł, jakby ugodzono go nożem. Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech.

Rak. Podniósł rękę, jakby chciał się obronić przed tym słowem, lecz Diana chwyciła ją mocno.

– Masz raka? – powtórzył, zanim zdołał ugryźć się w język.

Kiwnęła głową.

– Raka piersi. Dowiedziałam się o tym ponad miesiąc temu, po twoim wyjeździe. Nie mogłam ci tego powiedzieć przez telefon, zwłaszcza że byłeś tak daleko.

– Jakie są rokowania? – spytał, z łatwością przechodząc na terminologię medyczną, którą słyszał tyle razy przy stole.

Puściła jego rękę.

– Niezbyt pomysłne – odparła, spuszczając wzrok na swoje paznokcie.

– To znaczy?

Wzięła głęboki oddech.

– Jest niezwykle agresywny. Szybko postępuje i wbrew temu, co wszyscy mówią, rokowania nie są optymistyczne.

– A co mówi tata?

Rozłożyła ręce.

– Znasz ojca. Łatwo się nie podda. Ale patrzy na to jak chirurg.

– To znaczy?

– Trzeba go wyciąć, oczyścić wszystko na jego drodze... Tak ich uczono.

Geoffrey... pamiętasz go... doktor Laing... uważa, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Sama operacja nie wystarczy. Statystyki są niskie, poniżej dziesięciu procent.

– To tylko liczby – odparł Josh odruchowo. – Czy nie tak zawsze mówiłaś?

Uśmiechnęła się.

– Tak, ale tym razem... nie wiem. Po prostu nie wiem.

– Przejdziesz przez to, mamo, zobaczysz. Już tata się postara, żeby zapewniono ci najlepsze metody leczenia. Wyzdrowiejesz.

– Chciałabym mieć twoją pewność, kochanie – odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

– Ale nie mam. Nie chodzi o to, że nie wierzę, iż wszyscy poruszą niebo i ziemię w mojej sprawie. Chodzi o coś jeszcze. Ja... ostatnio często rozmawiałam z Nielą... Nie, pozwól mi dokończyć. Muszę przyznać, że była dla mnie wielkim wsparciem. Powiedziała mi coś, co sprawiło, że uznałam, iż muszę najpierw porozmawiać z tobą, zanim poinformuję innych. Twój bracia jeszcze nie wiedzą, tylko tata i stryj Rufus.

Twarz Diany zaczęła się powoli zmieniać. Czarne oczy, takie jak jego, unikały wzroku syna. Napięta dotąd skóra pod oczami obwisła, a policzki się zapadły. Znał te rysy od dzieciństwa. Na jej twarzy pojawiło się napięcie, a z ust popłynęły słowa. Poczł, że się kuli, gdy dotarł do niego znaczenie tego, co właśnie usłyszał. Miał wrażenie, jakby całe ciało wywracało się na drugą stronę. Starł się skupić na jej słowach. Chadidza. Mohammed. Dzemmora. To nie miało sensu. Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale Diana tego nie dostrzegła. Snuła wątek opowieści o czymś, co wiedział od dawna. On tu nie pasował. To nie było dla niego niespodzianką. Nie przypuszczał jednak, że jest zdolna tak daleko się posunąć.

DIANA

Mougins, czerwiec 1969

Leżała, tak jak przykazał Rufus. Żołądek podchodził jej do gardła ze strachu i od brandy, którą w nią wmusił. Słońce wzeszło, oświetlając jasnozłote płyty na tarasie. Krwistoczerwone geranium w glinianych donicach wolno rozwijało płatki pod wpływem ciepłych promieni. Świat budził się do życia wraz z nadejściem świtu. Szczękała zębami, chociaż w pokoju było ciepło. Dokąd poszedł Rufus? Z jej gardła wyrwało się łkanie. Gdzie jest Josh? Co on z nim zrobił, z jego drobnym ciałkiem? Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach. Z okolicznych gospodarstw dochodziły znajome dźwięki: zduszony warkot motocykla starego Cassoux, ich sąsiada, pojękiwanie traktora od strony willi stojącej u stóp wzgórza, gdzie wciąż uprawiano ziemię, muzyka nad basenem po drugiej stronie drogi, a od czasu do czasu kobiecy głos i szczekanie psa. Leżała na dywanie przed zimnym kamiennym kominkiem, zeszywniała ze strachu, czekając na powrót Rufusa.

Miała wrażenie, że minęło kilka godzin, gdy w końcu usłyszała chrzęst opon na żwirze. Usiadła, pragnąc, by to wszystko okazało się jedynie złym snem. Czekwała w napięciu na moment, gdy Rufus stanie w drzwiach z uśmiechniętym, gaworzącym Joshem na rękach. Kiedy wszedł, miała szeroko otwarte oczy. Skrzywiła się, widząc, że jest sam.

– Gdzie byłeś? – spytała.

Podszedł do niej bez słowa i przykucnął, by ich oczy zrównały się ze sobą. Chwycił ją za przedramiona, wbijając boleśnie palce w ciało.

– Słuchaj, mam pomysł. Właśnie wracam od Chadidży. Załatwimy tę sprawę. Wszystko będzie dobrze.

– O czym ty mówisz? – spytała piskliwym głosem. – Josh nie żyje. Zabiłam go.

– Przestań. Załatwimy tę sprawę. Nie ma sensu siebie oskarżać. To był wypadek. To mogło się zdarzyć każdemu.

– Ale zdarzyło się mnie. To moja wina.

– Ciii. – Zwolnił uścisk, wziął ją w ramiona i pogładził po włosach. – Ciii. Wszystko będzie dobrze. Uspokój się. Musisz wziąć się w garść. Oto co zrobimy.

Słuchała go z rosnącym niedowierzaniem. Za pewną sumę pieniędzy, której nie ujawnił, Chadidża odda dziecko. Zaczął przekonywać Dianę. Jest w tym samym wieku co Josh, są niemal identyczni. Przecież sama to mówiła. Ma nawet te same geny. Chadidża wróci do Algierii i skończy naukę, nie martwiąc się o dziecko, którego nawet nie chciała. Diana zabierze je do Londynu jako swoje i wszystko

będzie jak dawniej, jakby nic się nie zdarzyło. Mohammed się zgadza, był załamany ciężą córki. Wszystko da się załatwić, wystarczy, że powie: tak.

– To się nie uda – powiedziała beznamiętnym tonem. – Harvey nigdy w to nie uwierzy. To po prostu się nie uda.

– Diano, posłuchaj mnie. Twój mąż uwierzy we wszystko, co mu powiesz. Zawsze był głupcem, jeśli chodzi o ciebie. Przecież wiesz. Jeżeli powiesz, że wszystko w porządku, uwierzy w to. Chryste, uwierzyłby nawet, gdyby zobaczył to na własne oczy. Teraz wszystko zależy od ciebie, Diano.

Milczała. W głębi duszy wiedziała, że to prawda. Harvey wielbił ziemię, po której stąpała. Uważał, że nie jest zdolna do kłamstwa. Rufus miał rację. Wszystko zależało od niej. Jeżeli zgodzi się na jego propozycję, problem zniknie. Wystarczy, że powie: tak. Wydała z siebie drżące westchnienie. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Tak – wydyszała, jakby brakowało jej powietrza. – Tak.

– Grzeczna dziewczynka. Dokończ to – powiedział, wskazując na opróżniony w połowie kieliszek, stojący na kamiennym obramowaniu kominka. – A potem idź na górę.

– Nie. – Pokręciła głową, nie mogąc opanować drżenia. – Nie mogę. Nie pójdę tam. Nie zmuszaj mnie do tego, proszę.

– Dobrze już, dobrze. Musisz odpocząć. Chodź, połóż się na kanapie. O tak. Zamknij oczy. Jestem tu. Wszystko będzie dobrze, rozumiesz? Wszystko będzie dobrze.

I było. Trzy dni później, gdy zapadł wieczór, przyjechali dwaj mężczyźni i uprzątnęli ciałko, które Rufus ukrył Bóg wie gdzie. Nie mogła się powstrzymać i poszła tam. Stała i patrzyła, jak kopia płytki grób. Pochowali Josha pod kamiennymi płytami podjazdu. Harveyowi wyjaśniła, że po prostu trzeba je zmienić, a Rufus pomoże jej przypilnować robotników. Kiedy przyjadą tu wszyscy we wrześniu, nowy podjazd będzie gotowy. Harvey natychmiast się zgodził.

– Czy to nie będzie zbyt obciążające dla ciebie, kochanie? W końcu musisz się opiekować Joshem.

– N-nie, dam sobie radę. Twój brat mi pomoże.

– Skoro tak mówisz...

Wkrótce było po wszystkim. Pochowali go, a ziemię w tym miejscu wyrównali i ubili. Mężczyźni odeszli, a Rufus opłacił ich milczeniem. Nazajutrz rano przyjechali robotnicy z nowymi płytami chodnikowymi. Pracowali cały ranek. Gdy nadeszła pora lunchu, wszystko było gotowe. Nikt nic nie widział i nigdy się nie dowie.

Gdy słońce zaczęło zachodzić za horyzont, a w powietrzu słychać było brzęczenie owadów, przyjechał Rufus. Wsiadł z samochodu, trzymając w rękach białe zawiniątko. Wszedł do kuchni. Przez długą, przerażającą chwilę patrzyli na siebie,

złączeni straszną tajemnicą. Potem Diana przeniosła spojrzenie na śliczne śpiące niemowlę i świadomość tego, co zrobili, powoli się ulotniła, odpłynęła jak nadmorskie fale na plaży w Antibes, gdzie czasami jeździli popływać. Nie mogła uwierzyć, jak łatwo wszystko poszło. Popatrzyła na gładką, drobną twarzyczkę owiniętą w prześcieradło i serce mocno jej zabiło. Mały był tak podobny do Josha, może trochę ciemniejszy, ale to można było wytłumaczyć słońcem. Miał takie same czarne oczy, czarne brwi, gęste czarne włosy, dokładnie takie jak jej i jak Rufusa. Wzięła chłopczyka na ręce i poczuła, jak spływa na nią ulga, a strach i poczucie winy znikają. On nie był podobny do Josha, on był Joshem. Przytuliła go do piersi, a z jej oczu popłynęły gorące łzy. Rufus patrzył w milczeniu, jak Diana trzyma dziecko. W panującej ciszy słychać było jedynie trzy miarowe oddechy.

JOSH

Londyn, październik 2000

Zbiegł chwiejnie po schodach, uciekając od ujawnionej przed chwilą tajemnicy. Nie mógł jasno myśleć. Nie uświadamiając sobie tego, przeszedł Northumberland Park Road, skręcił w prawo w Ball's Pond Road, doszedł do Highbury i stacji metra. Wśród skrzypienia kół, kołysania i krzyków dochodzących gdzieś z głębi wagonu wróciły do niego fragmenty opowieści Diany, spychając na dalszy plan odgłosy zewnętrznego świata. Zaakceptował fakty, trudno, stało się, takie były konsekwencje jej decyzji, ale nie mógł się pogodzić z ich nieodwołalnością. Wywróciły cały jego świat do góry nogami i teraz nie miał się na czym oprzeć, czego uchwycić. Słuchał jej relacji, jak ktoś obdarzony intuicją, kto znał tę historię, jeszcze zanim została opowiedziana. Rozpacz mieszała się w nim z poczuciem nieuchronności. W wagonie na wprost niego siedział starszy pan zatopiony w lekturze gazety. Josh bezmyślnie podążał za jego wzrokiem przesuwanym się z lewa na prawo. Był jak w transie. Wysiadł na stacji Shepherd's Bush i nie rozglądając się, przeszedł na drugą stronę jezdnii. Jeden Bóg wie, jak udało mu się nie wpaść pod samochód.

Mieszkanie stało puste. Popatrzył na zegar stojący na kominku. Dochodziła czwarta. Niela powinna wrócić do domu za jakąś godzinę. Tęsknota za nią omal nie zwała go z nóg. Rzucił kurtkę na stół w jadalni i wszedł do kuchni. Musiał się czegoś napić – czegokolwiek. W szafce przy kuchence znalazł butelkę whisky. Otworzył ją, napełnił szklanekę i rozejrzał się wokół siebie z niepokojem. Zupełnie jakby znalazł się w obcym mieszkaniu. Jego plecak leżał na podłodze w saloniku, ale oprócz niego i kilku przyborów toaletowych w łazience było to mieszkanie Nieli, do którego czasami się wprowadzał razem ze swoim dziwnym wędrownym życiem. Przełknął porcję whisky. Czy w tym właśnie tkwił problem? W jego niemożności przywiązania się do czegokolwiek, do kogokolwiek? Czy o to Rania miała do niego pretensje? „Nie kochasz mnie! – krzyknęła pewnego razu. – Ty nie umiesz kochać. Nie jesteś zdolny do miłości, bo nie potrafisz pokochać siebie”. Zareagował wówczas gniewem, zarzucając jej, że naczytała się jakichś głupich magazynów albo usłyszała to od kogoś, że to typowe babskie gadanie, które nie ma związku z rzeczywistością. Dzisiaj, słuchając Diany, doznał potwornego *déjà vu*. Jakby nagle usłyszał Ranię i Nielę, chociaż komentarze jego żony nigdy nie były takie ostre. Wyciągnął rękę, by odzyskać równowagę. Nie mógł się już doczekać Nieli, by z nią porozmawiać, wyjaśnić. Ona go zrozumie, bo ona wszystko rozumiała. Dlatego ją kochał. Diana umiera, on nie jest synem własnego ojca, a jego bracia nie są jego

braćmi. Położył się na kanapie, czując, że kręci mu się w głowie. Nic nie było jak przedtem, nic nie wydawało się takie jak przedtem. Niela. Wszystko będzie dobrze, jak tylko ją zobaczy. Zawsze tak było, od samego początku.

Leżał na kanapie, gdy otworzyła drzwi. Spał głęboko, z jedną ręką odsuniętą od siebie, jakby się przed czymś bronił, nawet we śnie. Zamknęła cicho drzwi, powiesiła torbę i kurtkę na oparciu krzesła, a potem podeszła do kanapy. Miał zatroskaną twarz, pionową zmarszczkę między brwiami, i zaciskał mięśnie szczęki przez sen. Coś go trapiło. Ciekawe, czy widział się z Dianą. Już chciała się odwrócić i pójść do łazienki, gdy nagle się obudził.

– Niela.

Zatrzymała się i odwróciła.

– Nie chciałam cię budzić – powiedziała z wahaniem. – Tak mocno spałeś.

– Niela – powtórzył. W jego głosie był niepokój, którego przedtem nie słyszała.

– Co się stało? – Usiadł i przesunął ręką po włosach. Był wyraźnie zdenerwowany.

– Co się stało? – powtórzyła.

– Ja... muszę... muszę ci coś powiedzieć. – Popatrzył na nią. – Chodzi o Dianę.

– O Dianę? – powtórzyła zaskoczona. Spodziewała się czegoś innego, imienia kogoś innego. – Co się stało z Dianą?

Nie mógł od razu odpowiedzieć.

– Ona... ona nie czuje się dobrze – wyrzucił z siebie. – Jest chora.

– Nie rozumiem. Na co chora?

Zawahał się.

– Lepiej usiądź – powiedział, poklepując kanapę. Popatrzyła na niego bez słowa, po czym podeszła i usiadła niepewnie obok. Wziął ją za rękę. – Byłem u niej prawie cały dzień. Wróciłem do Londynu dziś rano. Ty wyszłaś już do pracy, więc zadzwoniłem do niej do biura. Powiedzieli, że jej nie ma. Pojechałem do domu i wtedy mi powiedziała.

– Co takiego?

– Niela, to rak. Rak piersi. – W jego głosie brzmiało napięcie. Puścił jej rękę, a jego własna zwisała bezwładnie. – Rozmawialiśmy przez cały dzień.

Wstał nieoczekiwanie, podszedł do okna i sięgnął po kurtkę, szukając w niej papierosów. Zapalił jednego. Zauważyła, że drżą mu ręce. Odchyliła się na oparcie kanapy, zaskoczona nowiną. Rak? Nie mogła w to uwierzyć. Widziała się niedawno z Dianą. Wyglądała na zmęczoną, trochę wymizerowaną, ale Niela sądziła, że to z powodu tego, o czym rozmawiały. Rak? Poczwała, jak przebiega ją zimny dreszcz strachu.

– Czy to... uleczalne?

Josh odwrócił się od okna.

– Mówi, że nie. Nie wiem... Muszę porozmawiać z tatą... z Rafe'em... – Urwał i przełknął ślinę. – Rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Ja... ja nie wiem, co ci

powiedziała. Mówiła, że stałyście się sobie bliskie. – Pokręcił głową. – Zmieniła się, jest jakaś inna.

– Polubiłam ją – powiedziała wolno Niela, z nutą zaskoczenia w głosie. – Nigdy nie przypuszczałam, że ją polubię albo że ona polubi mnie. Zawsze się jej bałam. Ale ona nie jest taka, jak myślałam. Jest... jest wspaniała.

– Niela.

Popatrzyła na niego. W jego głosie brzmiała rozpacz, a na twarzy malował się ból. Czekwała na dalszy ciąg. Zgasił papierosa, podszedł do niej, wziął w ramiona i ukrył twarz w jej włosach. Poczwała jego wargi na szyi.

– Ciii – szepnęła, czując, jak cały sztywnieje. – Ciii.

– Niela. – Przyciskał ją do siebie tak mocno, że nie mogła oddychać. – Ona powiedziała mi coś jeszcze. O mnie.

– Ciii – powtórzyła, gładząc go po głowie i karku. – Nie teraz. Nie myśl o tym. Diana wyzdrowieje. Tylko to jest ważne. Wszystko inne z czasem się ułoży.

Odchylił lekko głowę i spojrzał na nią. Jego oczy przypominały czarną toń, w której widziała swoje odbicie.

– Wszystko inne?

Pytanie zawisło między nimi. Nie uszedł jej uwagi lekki nacisk na słowo „wszystko”. Natychmiast zrozumiała, o co on pyta. Zamknęła oczy na jedną krótką chwilę. Gdy znowu je otworzyła, on nadal na nią patrzył. Pytanie wciąż czekało na odpowiedź. Zacisnął palce na jej ramieniu.

– Wszystko – powtórzyła cicho i zdecydowanie. – Wszystko.

MADDY

Londyn, październik 2000

Maddy popatrzyła na Rafe'a z niedowierzaniem. Nie mogła wymówić tego słowa. Rak? Diana ma raka?

– Nie – powiedziała odruchowo. – To niemożliwe. To jakaś bzdura.

Rafe miał spuszczone powieki. Wyglądał na zmęczonego, kompletnie wyczerpanego. Ostatnie kilka godzin spędził z ojcem i Geoffreyem Laingiem. Nie dość, że był najstarszym synem, to jeszcze lekarzem, dlatego trudno mu było o tym mówić.

– To nie jest żadna bzdura, Maddy – odpowiedział cicho. – To poważna sprawa. To się dzieje naprawdę.

– Ale to niemożliwe – wyrzuciła z siebie. – Ona nie może być chora.

Pomimo braku pewności siebie i zagubienia, jakie Diana w niej wywoływała, Maddy uświadomiła sobie nagle, jaka silna była ta kobieta. To dzięki niej rodzina Keelerów trzymała się razem, nie dzięki Harveyowi. Wszędzie można było dostrzec jej rękę. To ona organizowała niedzielne lunche i kolacje, ona pamiętała o urodzinach i rocznicach, i innych ważnych wydarzeniach. Nie tak dawno Maddy dostała od niej kartkę z dopiskiem: „Złam nogę”, czego się zwykle życzy aktorom. Była to piękna, ręcznie malowana kartka z jednej z kolekcji muzealnych, którą tylko ona mogła wybrać. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Diana wiele wymagała od innych: albo sprostasz wyzwaniu, albo się pod nim ugniesz. Maddy ugięła się w obawie, że nie sprosta jej oczekiwaniom. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Diana pokazała jednak swoją drugą stronę. Nie chodziło tylko o jej wspaniałomyślność czy wielkoduszność, tę prezentowała bowiem na każdym kroku, tydzień po tygodniu, na każdym rodzinnym spotkaniu. Któregoś wieczoru w Mougins zaczęły rozmawiać o teatrze przy kieliszku wina i okazało się, że Diana dużo na ten temat wie. Mimo to dała Maddy szansę na zabłyśnięcie, na zaprezentowanie swoich poglądów. Drobnym gest – nie pamiętała już, o czym lub o kim rozmawiały – ale jaki ważny. Po tej rozmowie dziewczyna odzyskała wiarę w siebie. Uraza do Rafe'a i innych za to, że musiała wybierać między przesłuchaniem a urodzinowym przyjęciem Harveya, nagle zniknęła. Wiedziała, w czym jest dobra, a po tym wieczorze przekonała się, że Diana też wie. Mały triumf, ale jaki znaczący. A teraz Rafe mówi coś, w co trudno jej uwierzyć. Jego matka jest umierająca. Nie, to niemożliwe. Nie ona. Znowu dał o sobie znać ukryty głęboko, zepchnięty w najdalsze zakamarki umysłu strach. Maddy miała stracić kolejne źródło siły. Odwróciła się do Rafe'a i chwyciła go za

rękę.

– Nie, to niemożliwe. Nie ona.

Milczał. Nadal miał zamknięte oczy. Czuła, jak wszystkimi porami emanuje z niego strach przed tym, czego nie mieli odwagi powiedzieć głośno. Nie tylko Maddy potrzebowała psychicznego wsparcia. Puściła jego ramię i splotła jego palce ze swoimi. Nieruchomi i milczący siedzieli w zapadającym zmroku, trzymając się za ręce, dodając sobie otuchy i wspierając się nawzajem.

JULIA

Londyn, październik 2000

O pewnych sprawach nie mogła myśleć. W każdym razie nie teraz, gdy szkoda już się stała. Siedziała samotnie przy kuchennym stole, gładząc się bezwiednie po brzuchu, jakby chciała ochronić to, co w sobie nosiła. Aaron uwierzył jej, bo nie miał wyboru. Za to ona miała. Tylko ona znała prawdę i... Josh. Ale przekonała się, że czasami prawda nie wystarcza lub, ściślej rzecz ujmując, prawda to zbyt dużo. Co dobrego przyniosłoby ujawnienie prawdy? Zniszczyłaby dwa małżeństwa i pewnie całą rodzinę. Diana była chora; Aaron pojechał do niej. Nie bardzo mogła zrozumieć, o co chodzi z niejasnych wiadomości, które jej zostawił, ale nie wyglądało to dobrze. Nie, nie był to najlepszy czas na ujawnianie tajemnicy i pewnie nigdy nie będzie.

Wstała i podeszła do zlewu. Za oknem powoli zapadał zmierzch. Październik był w tym roku wyjątkowo ciepły. Popatrzyła na ogród w dole. Po trawniku skakał rudzik, stukając rytmicznie dziobkiem w ziemię, by wydobyć robaka lub gąsienicę, którą tylko on dostrzegał. Stała tak kilka minut, zagubiona we wspomnieniach, wsłuchując się w głos ojca, jakby stał tuż obok i czekał, co ona zrobi lub powie. Miał bzika na punkcie prawdy. Tylko ona się liczyła. To od niego Julia się nauczyła, co znaczy prawość, charakter i zdecydowanie, które to cechy, jak sądziła, posiada. Lekcje matki były delikatniejsze, dzięki niej nauczyła się współczucia dla drugiego człowieka i poznała wagę uczuć. Mike był przeciwnikiem emocji, uważał, że wpędzają w kłopoty. Lepiej trzymać się faktów i konkretnych pojęć, takich jak sprawiedliwość i prawda. Skrzywiła się. Tak bardzo starała się sprostać jego oczekiwaniom, całe jej życie sprowadzało się do tego – Oksford, prawo, zawód adwokata... Nawet ten ostatni, nieoczekiwany zwrot w karierze był podyktowany myślą o nim. Wystarczyło, że zbczyła z tego kursu, i proszę, co się stało.

Popatrzyła na swój brzuch. Co za ironia, przecież to dziecko będzie jej największym osiągnięciem, jeżeli ona i Aaron nie będą mogli mieć drugiego. Tylko ono się liczyło, reszta nie miała znaczenia. Wystarczyło spojrzeć na Dianę, by uświadomić sobie, jaka nie chciałaby być. Trzech synów, lecz żaden nie był tak naprawdę jej. Nigdy nie mogła zrozumieć, gdzie w tej rodzinie kryje się źródło napięć. Miało to coś wspólnego z Joshem, ale intuicja podpowiadała jej, żeby nie drążyć głębiej. Nagle przypomniała sobie zdanie z jakiegoś filmu lub książki, którą kiedyś czytała. „Wykop dół głęboki na metr, a znajdziesz dwa ciała. Jeżeli wykopiesz trzymetrowy – znajdziesz dwadzieścia”. W rodzinie Keelerów krył się

sekret, który teraz ona mogła powtórzyć. Ale niech ją diabli, jeżeli pozwoli mu wyjść na jaw. Bez względu na to, ile to będzie ją kosztowało, nie pozwoli, by z jej dzieckiem stało się to, co, jak podejrzewała, z Joshem. Przeczucie. Uniosła w uśmiechu kącik ust. To był głos jej matki. Nie miała na to żadnego dowodu, ale przeczucie, że Josh nie należy do rodziny Keelerów, tak jak Aaron i Rafe, było silniejsze niż jakikolwiek fakt, który miałyby odwagę dopuścić w tej sprawie. Nie mogła pozwolić, żeby to się powtórzyło. Teraz była ta chwila prawdy, nie w Mougins czy w kawiarni przy Gray's Inn Road, czy wtedy, gdy leżąc w łóżku, nieustannie wałkowała w myślach to, co zrobiła. Liczy się tu i teraz, i to, co będzie później. Odwróciła się od okna dziwnie lekka na duszy. Tak jak Dianie, również jej uparte poszukiwanie prawdy w codziennym życiu przyćmiło coś głębszego. Co Dom kiedyś powiedział? „Ludzie nie pamiętają tego, co mówisz czy robisz, ale jakie uczucia w nich wzbudzasz”. Jeżeli miała zaufać swojej intuicji, planując przyszłość, to właśnie teraz. Dziecko było jej i Aarona, i nic więcej nie trzeba było mówić.

DIANA

Londyn, sylwester 2000

Ekran telewizora stojącego w rogu pokoju migotał światłem i zakłóceniami. Jakiś reporter mówił coś o nowym roku, który wkrótce miał nadejść. Diana leżała na sztywnej niczym deska pościeli z odwróconym lewym ramieniem, a pielęgniarka z wprawą i delikatnością wkłuwała jedną igłę za drugą w bladą skórę ręki, by pobrać krew. Plastikowy pęcherz z krążkami, z których odchodziły rurki niczym pędy ziemniaka, miała przytwierdzony do przedramienia. Kiedyś, w dzieciństwie, bawiąc się pod zlewem w kuchni, znalazła stary kartofel. Dotknęła go i cofnęła się z krzykiem, patrząc przerażona, jak toczy się niezdarnie po podłodze, z dziwnie powykręcanyimi pędami, wyschnięty i pomarszczony. Jej skóra też taka będzie... Nie, dość tego – pomyślała, wydając z siebie niecierpliwie mruknięcie.

– Zaraz kończę – powiedziała pielęgniarka pogodnym tonem, z wprawą przelewając jasnoczerwoną krew – jej krew – ze strzykawki do jednej z fiolek stojących na szafce. – Jeszcze jedna i będzie koniec. Ma pani szczęście.

Miała ochotę spytać, jak klucie przez godzinę co drugi dzień w celu przygotowań do czegoś, co miało trwać sześć miesięcy, a wydawało się piekłem, można nazwać szczęściem, ale się powstrzymała. Za pół godziny przyjdzie Geoffrey z wynikami przeprowadzonych już testów i wspólnie omówią dalsze kroki. Zupełnie jakby testowała środek nasenny albo perfumy – pomyślała, czując, że oczy jej się zamykają. W zeszłym tygodniu przez cały dzień chodziła z płaskim metalowym urządzeniem w futerale, które rejestrowało stan jej organizmu – każdy spadek i wzrost temperatury, każdą kroplę potu, sny, myśli, smak metali w ustach, wszystko. Na podstawie tych rejestrów i wyników pobranej dziś krwi zostanie opracowany plan leczenia. Przekręciła głowę na bok. To wszystko tak szybko postępowało, w trakcie zwyczajnych, ziemskich czynności – odbierania telefonu, pisania streszczenia sprawy, przeglądania notatek, nawet gotowania. Zdała sobie sprawę, że ciało ją opuściło, poszło własną drogą, tak samo jak jej myśli. Miała wrażenie, że zaangażowało się w cichą, sekretną wojnę przeciw sobie.

– Gotowe – oznajmiła pielęgniarka niezmiennie pogodnym tonem. – Chyba nie było tak źle, prawda?

Diana pokręciła głową. Leżała chwilę, czując, jak krew pulsuje jej w żyłach, a serce bije miarowo. Drzwi w rogu pokoju się otworzyły i ktoś wszedł do środka. Potem posłyszała czyjś głos. Musiała się przemóc, żeby go słuchać. To był Geoffrey. Kiwała głową, gdy uznała, że należy, rozciągała mięśnie twarzy, gdy trzeba było

odpowiedzieć, chociaż nic z tego nie rozumiała.

– Leczenie... obiecujące... dobre wyniki testów przygotowawczych... dwa razy w tygodniu...

Słowa wirowały wokół niej.

– Tak – mruknęła sennie. – Tak, tak.

Jej myśli odpłynęły. Pielęgniarki krzątały się po pokoju. Wszystkie szykowały się na sylwestra. Z tego okna będzie widać fajerwerki – powiedziały. Leżała na poduszkach, zbyt zmęczona, by myśleć. Czekwała na Harveya. Lada chwila miał się tu zjawić i zabrać ją do domu.

Obudziła się nagle. Nie miała pojęcia, która godzina. Usiadła ostrożnie na łóżku, usiłując rozpoznać po dźwiękach dochodzących z zewnątrz, czy to dzień, czy noc. Pamiętała mgliście, jak kładli się spać z Harveyem i on coś do niej mówił. Potem zapadła ciemność. Była taka zmęczona, chyba nigdy nie czuła się równie zmęczona. Ponownie oparła się o poduszki. Noc zbliżała się ku końcowi. Odezwały się pierwsze ptaki siedzące na dębie w głębi ogrodu. Powietrze w sypialni było ciemne i nieruchome, cały dom jeszcze spał. Odwróciła na bok głowę i zobaczyła, że Harveya przy niej nie ma. Musiał wstać i przenieść się do pokoju gościnnego. Zrobił tak już kilka razy w tym tygodniu. Dzielenie z nią łoża było dla niego zbyt bolesne. Biedny Harvey. Nie miał o tym zielonego pojęcia, ale jego świat już wywrócił się do góry nogami.

Nie świecił księżyc, w przeciwnym razie w pokoju nie byłoby tak ciemno. Nagle poczuła, że coś się zmieniło, jakby umysł znowu obudził się do życia, a wrażenia minionego dnia pozostawiły po sobie trwałe ślady. Snop światła przepłynął przez sypialnię. Jakiś samochód zawracał, zmierzając w stronę głównej drogi. Warkot silnika ucichł i znowu otuliła ją cisza. Wyjęła rękę spod kołdry. Bała się na nią spojrzeć, spojrzeć w głąb siebie. Wokół niej toczyło się życie, rodzina przychodziła i odchodziła, synowie... Najstarszy, Rafe, musiał dzielić synowską troskę z tą profesjonalną, co utrudniało rozmowę między nimi. Przychodzili codziennie, jedni lub drudzy. Julia z rosnącym brzuchem, Aaron, taki czuły i dumny z przyszłej roli ojca. Maddy, jak zwykle roztargniona i irytująca, zajęta nową rolą, którą grała, ale pewniejsza siebie. I oczywiście Niela. Kto by przypuszczał, że tak to się ułoży? Droga, kochana Niela. W dniach, gdy Diana szła do szpitala na porcję chemioterapii, ona czekała na nią w domu. Niewiele mówiła, czując instynktownie, że chora nie jest zdolna do niczego poza leżeniem. Siadała przy oknie w fotelu, który Harvey przyniósł z gabinetu, i czasami czytała jej tym swoim ciepłym głosem z lekkim akcentem albo wpatrywała się w okno, zatopiona we własnych myślach, ale zawsze czujna. Niela. Polegała na niej jak na nikim innym w całym swoim życiu. Mogła jej mówić o rzeczach, o których nie powiedziałaby nikomu, nawet Harveyowi.

Pewnego ranka, kilka tygodni temu, Diana zeszła na dół po wyjątkowo ciężkiej nocy. Zajrzała do kuchni i zobaczyła Harveya siedzącego przy stole, twarzą do

oszkłonych drzwi wychodzących na ogród. Jadł samotnie śniadanie, pochylony nad miską płatków kukurydzianych czy czegoś tam. Nie słyszał, jak weszła. Nagle ogarnął ją paniczny strach na myśl o tym, że będzie musiała go opuścić. Czy te wspólnie spędzone lata nic nie znaczyły? Czterdzieści lat to szmat czasu. Jeżeli przyjdzie to, co nieuniknione, Harvey zostanie sam. Wycofała się cicho i wróciła na górę, nie mogąc znieść tej myśli.

Ptaki ćwierkały teraz głośniej i w rogu okna pojawiło się nikłe światło zwiastujące brzask. Musiała długo leżeć. Odrzuciła kołdrę i wolno spuściła nogi na podłogę. Przez chwilę patrzyła na nie – chude, blade, białe, nie takie jak kilka miesięcy temu – opalone, szczupłe, eleganckie. Zawsze była dumna ze swoich nóg. Wstała, podeszła do okna, odsunęła ciężką zasłonę i spojrzała na wolno rozjaśniające się niebo. Gwiazdy, te ostre, rozkwitające punkty świetlne, z którymi nagle poczuła się związana, nie zdążyły jeszcze zblednąć. Ona też była takim źródłem światła. Uświadomiła sobie, że jej życie zaczyna tracić ostrość, a śmierć staje się coraz bardziej realna. Poczuła się przytłoczona. Zbyt wiele zdarzeń, zbyt wiele wspomnień, zbyt dużo bólu i wyrzutów sumienia. Gdy gwiazdy zaczęły znikać, zaląła ją fala przejmującego bólu. Uniosła rękę, by go odegnąć. Powiedziała Joshowi prawdę. I Nieli. Nikt inny nie musiał wiedzieć. Nikt inny się nie liczył, nawet Harvey.

Odwróciła się od okna i poszła do łóżka. Wolne, regularne uderzenia serca wystukiwały miarowy rytm: życie/śmierć, życie/śmierć, życie/śmierć. Znowu poczuła się zmęczona. Czas zostawić brzemię, które dźwigała tak długo. Wsunęła się pod puchową kołdrę i ułożyła na miękkich poduszkach. Jęknęła głośno, bo nikt nie mógł usłyszeć. Wyciągnęła ręce przed siebie. Ślubna obrączka z dużym brylantem, otrzymana przed laty od Harveya, wyglądała dziwacznie na chudym palcu. Brylant przekręcił się na bok i odsłonił wyraźnie bielszy pasek. Ściągnęła obrączkę i odłożyła na nocny stolik. Ślubny pierścień brzęknął głośno, a potem zapadła cisza.

Epilog

Dzemmora, Algieria, październik 2001

Samochód pokonał ostatnie wzniesienie i nagle ich oczom ukazało się miasteczko i długi, gęsty rząd drzewek oliwnych otulających drogę biegnącą dnem doliny. Otaczające wzgórza usiane były białymi skałami, wśród których rosło dziwne samotne drzewo. Josh w milczeniu zmienił bieg i ruszył w dół. Niela też się nie odzywała, gdy opuścili jałową pustynię i zjechali ku zielonym terenom. Stojące tu domy wykonano z tej samej różowawej gliny, jaka pokrywała wzgórza. Były kwadratowe, o chropowatych ścianach i ciekawych zdobieniach wokół otworów drzwiowych i okiennych. W miarę jak zjeżdżali w dolinę, suche i chłodne powietrze

robiło się coraz cieplejsze. Jaskrawy błękit nieba, oślepiający swoją intensywnością, zakłócały jedynie delikatne białe smugi chylące się ku horyzontowi i mieniące się w promieniach słońca. Na gołych kolanach Niela leżała mapa, którą kierowali się od wyjazdu z Algierii. Zнали jedynie nazwę miasteczka, przez które Josh kiedyś przejeżdżał, i stary list do Mohammeda Ben Ahmeda z adresem: rue 13 Fevrier, Džemmora. Rufus dał go Joshowi tuż po pogrzebie.

– Nie mają nawet nazw ulic – stwierdziła Niela, gdy wjechali do centrum miasteczka, na otwarty plac otoczony domami o ścianach z gliny, z kilkoma krzywymi sztyldami wiszącymi nad sklepowymi markizami, od którego rozchodził się labirynt malowniczych zaułków. Minęła piętnasta i cienie zaczęły się wydłużać. Kilku mężczyzn uniosło głowy, gdy Josh zatrzymał samochód na skraju drogi i otworzył drzwiczki. Niela pospiesznie owinęła głowę szalem i zapięła guziki długiej białej sukienki.

– Chodź – powiedział Josh, wyciągając do niej rękę. – Zapytajmy tamtych mężczyzn.

Poszła za nim w pewnej odległości.

– *Salaam alaikum.*

Wymienili pozdrowienia. Niela zatrzymała się w pewnej odległości, świadoma ich zaciekawionych spojrzeń. Uśmiechnęła się do siebie, słysząc, jak Josh mówi po arabsku, pytając o Mohammeda Ben Ahmeda lub jego córkę Chadidę.

– Ben Ahmed? – powtórzył jeden ze starszych mężczyzn, rzucając nieznajomemu ukośne spojrzenie. – Na pewno? Tu nie ma nikogo takiego.

– Tak. Przez jakiś czas pracował we Francji. Wrócił tu jakieś trzydzieści lat temu.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, skrzywili się i pokręcili głowami. Wyczuła rozczarowanie Josha.

– Nie, nie ma tu nikogo, kto by się tak nazywał. Ben Ahmed, powiedział pan?

– Tak. Mohammed. Miał córkę... Chadidę... Wrócili razem z Francji.

– A czemu pan pyta? – zabrzmiał czyjś głos.

Josh odwrócił się w jego stronę. Był to niski, krępy mężczyzna po czterdziestce. Na jego twarzy malował się ten sam wyraz nieufności i podejrzliwości, z jakim witali ich mieszkańcy innych miasteczek – naturalna forma obrony przed obcymi i nieznanymi.

– Kim pan jest? – spytał mężczyzna, przenosząc spojrzenie z przybysza na jego towarzyszkę i z powrotem.

Niela zauważyła, że Josh zeszywniał i zgarbił się w dobrze znany jej sposób. Zawahał się, jakby zbierał się w sobie, i po chwili z jego ust wypłynęły słowa:

– Jestem jego wnukiem, synem Chadidży, który został we Francji.

*

W powietrzu unosił się słodki, intensywny zapach kwiatów i ziół. Pochylili głowy,

przechodząc przez jedną bramę, potem drugą. Josh kurczowo trzymał Nielę za rękę. Przed nimi, rozchylając rozwieszony pranie, szły spiesznie dwie kobiety wezwane przez mężczyzn, zmierzając wąskimi uliczkami ku nieznanemu miejscu przeznaczenia. Serce Nieli boleśnie waliło w piersi, gdy usiłowała dotrzymać im kroku. Kobiety rozpoczęły głośny, piskliwy lament. Wyrażały w ten sposób powitanie, ból i błogosławioną ulgę. Aż za dobrze znała to z Mogadyszu. W końcu zatrzymali się przed misternie rzeźbionymi drewnianymi drzwiami, które się otworzyły, zanim zdążyli w nie zapukać. Na tle ciemnego korytarza stał młody człowiek. Niela mimowolnie sięgnęła dłonią do ust. Miała wrażenie, że ma przed sobą młodszego Josha. Gdy młodzieniec go zobaczył, zmarszczył brwi, a przez twarz przemknął mu wyraz zaskoczenia. Kobiety zaczęły wzywać Chadidżę. Niela zbyt słabo znała miejscowy dialekt i nie rozumiała wszystkiego. Wśród hałasu i zamieszania wprowadzono gości do ciemnego pomieszczenia i kazano im czekać. Młodzieńca, który zerkał na nich z ukosa, wyproszono na dwór i też kazano mu tam czekać. To, co miało się zdarzyć, było przeznaczone wyłącznie dla oczu i uszu jego matki.

Była drobna i ciemnoskóra. Siedziała pośrodku pokoju na kolorowych dywanach, ubrana w miękką suknię z rodzaju tych, jakie nosiły mieszkanki miasteczka. Miała błyszczące oczy, podkreślone grubą czarną kreską. Słuchała w milczeniu podekscytowanego trajkotania sąsiadek i przyjaciółek, a kiedy wreszcie umilkły, odprawiła je szybkim, władczyim gestem. Tak bardzo przypominała w tym momencie Dianę.

– *Viens* – powiedziała głośno, przerywając ciszę, która zaległa po wyjściu ostatniej kobiety. W jej francuskim wyczuwało się słońce i akcent charakterystyczny dla Prowansji. – *Pas vous* – dodała, patrząc na Nielę. Potem przeniosła wzrok na Josha. – *Toi*.

Podszedł niepewnie i ukląkł przed nią. Ich twarze zrównały się ze sobą. Niela wstrzymała oddech. Po krótkiej chwili Chadidża wyciągnęła rękę, położyła ją przy dłoni Josha, po czym odwróciła dłoń i wyciągnęła ku niemu. Prosty gest, pierwsze zetknięcie się po przeszło trzydziestu latach. Niela poczuła ucisk w gardle i odwróciła głowę. Tak dobrze pamiętała ten gest. Był jednym z ostatnich gestów Diany – matczynej dotyk, czuły i jednocześnie silny. Spojrzała na Josha i jego matkę, ukradkiem ocierając łzy. Trzymał dłoń Chadidży w swojej. Pierwszy kontakt. Ale nie ostatni.

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności należą się wielu osobom, których nie poznałam, a których prace były dla mnie prawdziwą inspiracją podczas pisania tej książki. Wśród nich jest nagrodzony dziennikarz i reporter Rageh Omaar, autor autobiografii *Only Half of Me: British and Muslim; the Conflict Within* (Penguin 2006); John Burnett, autor książki *Where Soldiers Fear to Tread* (Heinemann 2005), i Scott Peterson, autor wojennej relacji zatytułowanej *Me Against My Brother: At War in Somalia, Sudan and Rwanda* (Routledge 2001). Powieść tę pisałam tym razem nie w domku na odludziu w górach Szkocji, lecz w Akrze, Johannesburgu oraz w Houston, podczas końcówki kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych, która też była swojego rodzaju wojną. Dziękuję Kevinowi i Carol McNulty za ciepło i gościnność (i stanowczo zbyt dużo wspianiałych kolacji!). Pragnę również podziękować Nicoli Trott, Lihua Li, Timowi Southommasane i prefektowi Balliol College, profesorowi Diego Zancanemu za życzliwość i czas poświęcony na oprowadzenie mnie po Holywell Manor i Balliol College w Oksfordzie. W Akrze podziękowania należą się zespołowi GNO w składzie: Wild Lizzie, Nana Amu, Natasha, Poem i Vera, a także innym jego członkom: Vicowi, Patrickowi, Seanowi, Elkinowi, Joemu, Delcie Kilo i Irene; wspianiałym ludziom z Chain Gang, szczególnie Raili i Sunshine, i wreszcie w Biriwie: Carsten, Marcelowi i Rudiemu. W Johannesburgu Kate, Paloma i Paris zapewniły mi wyjątkowy w każdym znaczeniu tego słowa dom – stokrotne dzięki. Dziękuję również „nowej drużynie” Jozi – Trevowi T., Veronice, Caroline, Evie, Rootie, Moky’emu, Jucie, Chilubie, Denise, Kristen, Kay Preston (ponownie) i Margie Wilson stale wskazują mi kierunek; Kate Mills, Lisa Milton, Susan Lamb, Gaby Young i cały zespół Oriona są jak zawsze wspianiali. Bardzo dziękuję mojej siostrze Debbie (i wszystkim wspianiałym ludziom na Skypie); Megs, Lois, Nickowi, Paulowi oraz Mae Ling i wreszcie mojemu ojcu i macosze, których szczerą miłość i wsparcie przez cały ten rok miały dla mnie ogromne znaczenie.

Pamiętne lato

Spis treści

[Okładka](#)

Karta tytułowa

Dedykacja

CZEŚĆ PIERWSZA

Prolog

13
CZĘŚĆ DRUGA

30
CZĘŚĆ CZWARTA

44
CZEŚĆ PIĄTA

61
CZĘŚĆ SZÓSTA

67
CZĘŚĆ SIÓDMA

Podziękowania

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału
ONE SECRET SUMMER

Wydawca
Paulina Martela

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja
Elżbieta Jurczyszyn

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Marianna Filipkowska
Jolanta Rososińska

First published in Great Britain in 2010 by Orion Books, an imprint of The Orion Publishing Group
Ltd Orion House, 5 Upper Saint Martin's Lane,
London WC2H 9EA An Hachette UK Company
Copyright © Lesley Lokko 2010
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Weltbild Polska Sp. z o.o.
Warszawa 2012

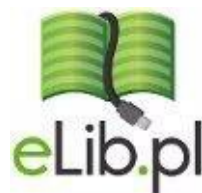
Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012

Świat Książki
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2
Księgarnia internetowa: Weltbild.pl

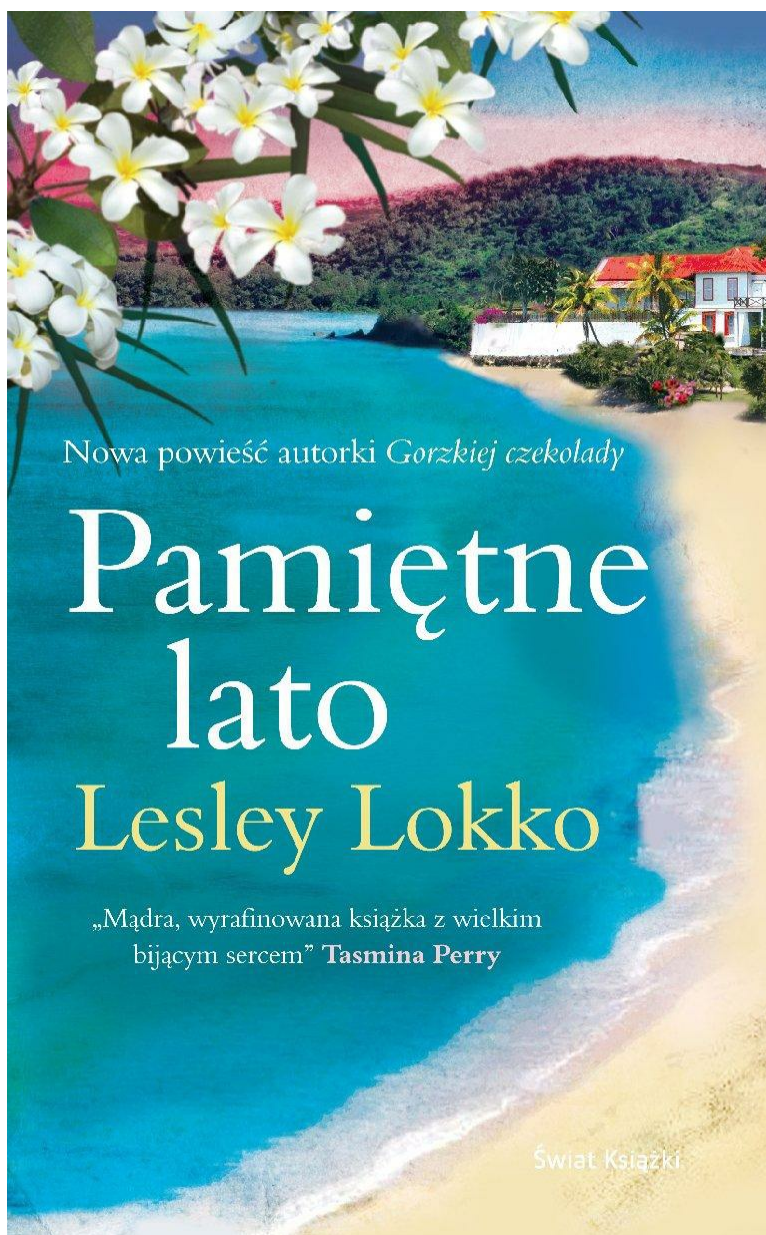
Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-273-0124-6
Nr 90452863



Plik ePub opracowany przez firm eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl
<http://eLib.pl>



Nowa powieść autorki *Gorzkiej czekolady*

Pamiętne lato

Lesley Lokko

„Mądra, wyrafinowana książka z wielkim
bijącym sercem” **Tasmina Perry**

Świat Książki